



Fantasy



FANTOM



TERRY GOODKIND

Terry Goodkind

Fantom

Tom X serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS

*Philowi i Debrze Pizzolato oraz ich dzieciakom: Joeyowi, Nicolette, Philipowi i
Adrianie, którzy nieustannie przypominają mi, jak cenne jest życie, obdarzając mnie
miłością i radością*

Fantom powstał dzięki nieocenionej pomocy tych oto ludzi:

Briana Andersona

Jeffa Boltona

B. Deana Bryana

Dr Joanne Leovy

Marka Mastersa

Desiree i dr. Rolanda Miyada

Keitha Parkinsona

Phila i Debry Pizzolato

Toma i Karen Whelanów

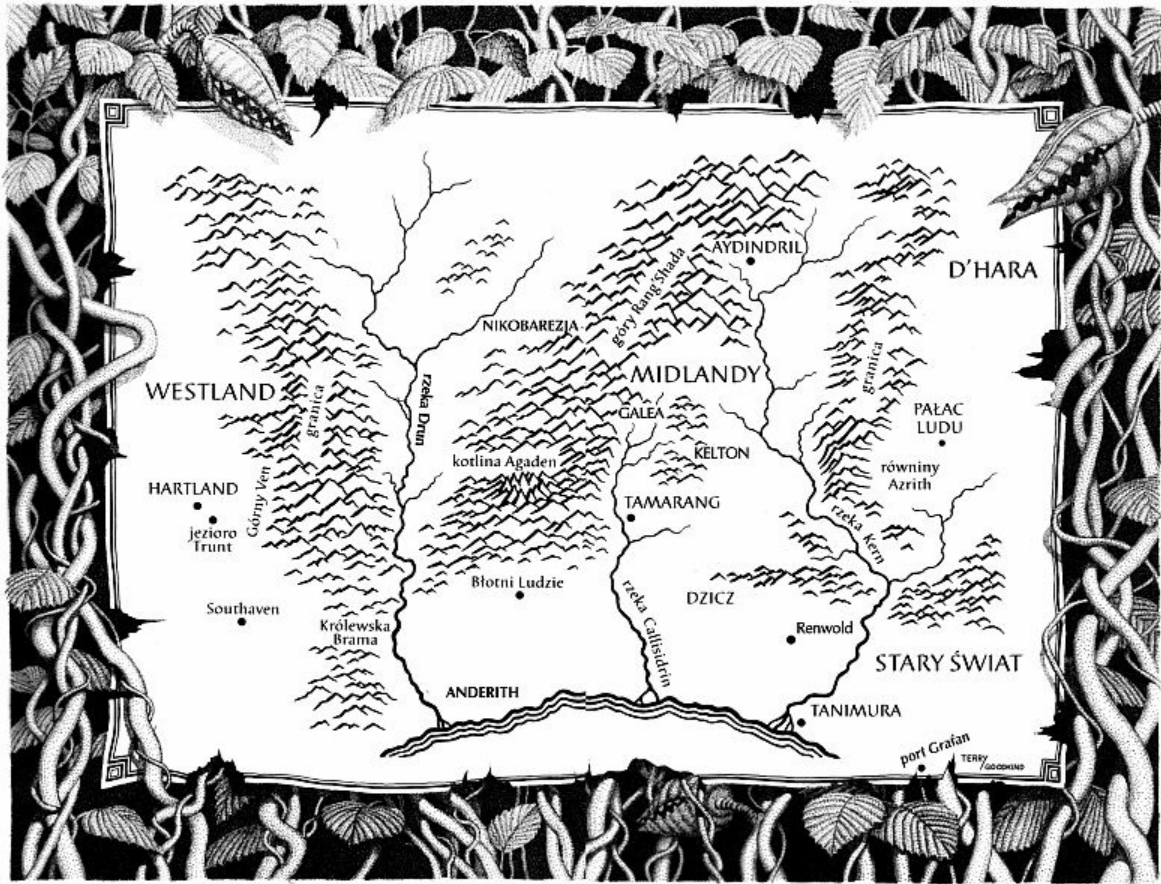
Rona Wilsona

Wszyscy oni byli przy mnie, kiedy najbardziej ich potrzebowałem. Każdy z nich ma jedyne w swoim rodzaju zdolności i odegrał zasadniczą rolę w powstaniu tej książki. Każdy z nich samym swoim istnieniem wnosi radość w moje życie.

Dla uczczenia pamięci Keitha Parkinsona.

„Niechaj odejdą ci, którzy przybyli z nienawiścią, albowiem swojej nienawiści jedynie się zawiodą”.

przełożone z Księgi życia



Rozdział 1

Kahlan stała cichutko w mroku, obserwując, jak zło delikatnie stuka do drzwi. Kulila się na uboczu, pod niewielkim nawisem, mając nadzieję, że nikt nie zareaguje na to pukanie. Chociaż bardzo chciałyby spędzić noc osłonięta przed deszczem, wołałyby nie sprawiać kłopotu niewinnym ludziom. Wiedziała jednak, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

W wąskich oknach po obu stronach drzwi zamigotało słabe światło lampy i odbiło się w wilgotnej podłodze ganku. Wiszący na dwóch żelaznych pierścieniach szyld skrzypiał, kołysany niosącym deszcz wiatrem. Kahlan widziała widmowy kształt małego konia namalowanego na ciemnym, mokrym znaku. Padające z okien światło było zbyt słabe i nie mogła odczytać nazwy, ale ponieważ te trzy kobiety od wielu dni prawie nie mówiły o niczym innym, wiedziała, że powinna to być gospoda Pod Białym Koniem.

Woń nawozu i wilgotnego siana świadczyła, że w jednym z pobliskich ciemnych budynków jest stajnia. W blasku nielicznych odległych błyskawic ledwo zdołała dostrzec niezgrabne budynki majaczące niczym duchy w strugach ulewnego deszczu. Wyglądało na to, że - mimo jednostajnego, donośnego szumu ulewy i dudnienia gromów - mieścina twardo śpi. Dziewczyna uważała, że w taką ciemną, paskudną noc najlepiej byłoby się zwinąć pod kołdrą w ciepłym i bezpiecznym domostwie.

W pobliskiej stajni zarżał koń, gdy Siostra Ulicia zastukała ponownie, tym razem mocniej i natarczywiej. Najwyraźniej chciała, żeby ją usłyszano mimo hałasu ulewy, lecz nie zamierzała się dobijać, by nie sprawić wrażenia kogoś nieprzyjaznego. Siostra Ulicia, osoba porywcza, rozmyślnie starała się nad sobą panować. Kahlan nie wiedziała, dlaczego tamta tak postępuje, ale pomyślała sobie, że musi to mieć jakiś związek z powodem ich wizyty. Ale mógł to być po prostu kaprys tej kobiety. Paskudne usposobienie Ulicii było równie groźne i nieobliczalne jak piorun. Dziewczyna nigdy nie potrafiła przewidzieć, kiedy Siostra Ulicia wybuchnie - a to, że jak dotąd nie wybuchła, wcale nie oznaczało, że z tego zrezygnuje. Dwie pozostałe Siostry też nie były w lepszym nastroju i niewiele brakowało, żeby przestały nad sobą panować. Kahlan przypuszczała, że wkrótce wszystkie trzy będą wreszcie zadowolone i będą się cieszyć ze spotkania.

Błysnęło na tyle blisko, że w ulotnym oślepiającym świetle mignęła cała ulica - dwa rzędy domów stłoczonych przy błotnistej, drodze. Grom odbił się echem w okolicznych górach i wstrząsnął ziemią pod stopami kobiet.

Kahlan pragnęła, żeby coś - niczym błyskawica oświetlająca to, co skrywa mrok nocy - obudziło wspomnienia z jej przeszłości, rozjaśniło mroczną tajemnicę, ujawniło, kim jest. Tak bardzo pragnęła uwolnić się od Sióstr, żyć własnym życiem - wiedzieć, jakie jest jej życie. Przynajmniej tyle potrafiła o sobie powiedzieć. Wiedziała też, że swoje domysły powinna potwierdzić czymś konkretnym. Nie miała wątpliwości, że musi istnieć coś - ludzie i zdarzenia - co pomogłoby jej ustalić, kim jest. Ale choć ogromnie się starała cokolwiek sobie przypomnieć, jej wysiłki spełzały na niczym.

Owego okropnego dnia, kiedy ukradła dla Sióstr szkatuły, przyrzekła sobie, że kiedyś się dowie, kim jest, i będzie wolna.

Gdy Siostra Ulicia zastukała trzeci raz, ze środka dobiegł przytłumiony głos.

- Słyszałem! - To był głos mężczyzny; bosa stopy dudniły o drewniane stopnie. - Zaraz tam będę! Chwileczkę!

Szacunek dla ewentualnych klientów ledwie maskował irytację człowieka zbudzonego w środku nocy. Siostra Ulicia spojrzała posępnie na Kahlan.

- Wiesz, że mamy tu sprawę. - Ostrzegawczo uniosła palec przed twarzą dziewczyny. - Nie waż się sprawić nam najmniejszego kłopotu, bo dostaniesz to, co ostatnim razem.

Kahlan przełknęła ślinę na samo wspomnienie.

- Oczywiście, Sostro Ulicio.

- Oby Tovi zarezerwowała nam pokój - pożałowała się Siostra Cecilia. - Nie mam ochoty usłyszeć, że nie ma wolnych miejsc.

- Będzie pokój - zapewniła ją Siostra Armina, kładąc kres marudzeniu Cecilii, która zawsze spodziewała się najgorszego.

Siostra Armina nie była starszą kobietą, jak Siostra Cecilia. Była niemal tak młoda i atrakcyjna jak Siostra Ulicia. Jednak dla Kahlan liczył się nie ich wygląd, lecz charakter. W jej oczach były zmijami.

- Tak czy inaczej - dodała cicho Siostra Ulicia, patrząc gniewnie na drzwi - pokój się znajdzie.

Zielonkawę, kłębiące się chmury przeszła błyskawica, ogłuszająco huknął grom.

Drzwi się uchyliły. Ujrzały skrytą w mroku twarz mężczyzny zapinającego spodnie pod nocną koszulą. Przechylił lekko głowę w obie strony, żeby się przyjrzeć obcym. Uznał, że nie są niebezpieczne, otworzył drzwi i zamaszystym gestem zaprosił je do środka.

- Wejdźcie - powiedział. - Wszystkie.

- Kto to? - zawołała kobieta, schodząc po schodach. W jednej ręce trzymała lampę, drugą nieco unosiła rąbek nocnej koszuli, żeby się nie potknąć.

- Cztery kobiety podróżujące w deszczową noc - odparł mężczyzna. Jego szorstki ton świadczył, co o tym myśli.

Kahlan zamarła. Powiedział: „cztery kobiety”.

Zobaczył je wszystkie i pamiętał to wystarczająco długo, żeby o tym wspomnieć. O ile sobie przypominała, coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Nikt oprócz czterech Sióstr - tych trzech tutaj i tej, z którą miały się tu spotkać - nigdy nie pamiętał, że ją zobaczył.

Siostra Cecilia popchnęła Kahlan przed siebie, najwyraźniej nie pojawiając znaczenia tej uwagi.

- Na miłość boską - odezwała się kobieta, wchodząc pospiesznie między dwa stoły z desek, po czym mruknęła coś o okropnej pogodzie, bo wiatr uderzył deszczem w okna. - Zabierz je wreszcie z tej ulewy, Orlanie.

Strugi wielkich kropel wpadły za nimi przez drzwi, mocząc fragment sosnowej podłogi. Mężczyzna skrzywił się niezadowolony, z trudem zamykając pchane wichrem drzwi i blokując je metalową sztabą.

Kobieta, z włosami zebranymi w luźny kok, uniosła lampę i zerknęła na tak późnych gości. Zdumiona, zmrużyła oczy, wodząc wzrokiem po przemoczonych postaciach. Otworzyła usta, ale najwyraźniej zapomniała, co chciała powiedzieć.

Kahlan tysiące razy widziała to puste spojrzenie i wiedziała, że kobieta zapamięta tylko trzy osoby. Nikt nie pamiętał jej na tyle długo, by o tym powiedzieć. Zupełnie jakby była niewidzialna. Pomyślała, że może to mrok i deszcz tak zmyliły Orlana, że wspomniał żonie o czterech osobach.

- Wejdźcie i wysuszcie się - powiedziała kobieta, uśmiechając się serdecznie. Ujęła Siostrę Ulicę pod ramię i wciągnęła ją do niewielkiej izby. - Witajcie w gospodzie Pod Białym Koniem.

Pozostałe Siostry, otwarcie rozglądając się po izbie, zdjęły peleryny,

otrząsnęły je i rzuciły na ławę przy jednym ze stołów. Kahlan zauważyła pojedyncze ciemne wejście, z tyłu, przy schodach. Większą część ściany po prawej zajmowało palenisko z płaskich kamieni. W słabo oświetlonej izbie było ciepło i zachęcająco pachniało gulaszem z żelaznego kociołka wiszącego z boku paleniska. Żarzące się węgle błyskały spod grubej warstwy popiołu.

- Wszystkie trzy wyglądacie niczym zmokłe kotki. Musicie się okropnie czuć. - Kobieta obejrzała się na męża i dała mu znak. - Orlanie, rozpal ogień.

Kahlan zauważyła dziewczynkę, może dwunastoletnią, która cichutko zeszła po schodach na tyle tylko, by widzieć izbę spod niskiego stropu. Na przedzie długiej białej koszuli nocnej z koronkowymi mankietami miała wyszytego brązową nitką konika, z grzywą i ogonem z kawałków ciemnej przędzy. Dziewczynka usiadła na stopniach, żeby się przyglądać, i owinęła koszulą kościste kolana. Uśmiech ukazał duże zęby, do których jeszcze musiała dorosnąć. Najwyraźniej zjawiający się w środku nocy goście byli w gospodzie Pod Białym Koniem niespodzianką. Kahlan szczerze pragnęła, żeby to była jedyna niespodzianka.

Orlan, niedźwiedziowaty mężczyzna, klęknął przy palenisku i dołożył kilka szczap. W jego grubych, krótkich palcach dębina wyglądała jak rozpałka.

- Co was napadło, moje panie, żeby podróżować w taką deszczową noc? - zapytał, patrząc na nie przez ramię.

- Spieszno nam się spotkać z przyjaciółką - odparła rzeczowo Siostra Ulicia i uśmiechnęła się obłudnie. - Miała się tutaj z nami zobaczyć. Ma na imię Tovi. Spodziewa się nas.

Orlan wsparł się dłonią o kolano i wstał.

- Nasi goście, zwłaszcza w tych niepewnych czasach, są raczej dyskretni. Większość nie mówi, jak się nazywa. - Spojrzał znacząco na Siostrę Ulicię. - Zupełnie jak wy, moje panie. Też nie powiedziałyście, jak się nazywacie.

- Orlanie, one są gośćmi - ofuknęła go kobieta. - Przemoczonymi, zmęczonymi i na pewno głodnymi gośćmi. - Błysnęła uśmiechem. - Mówią na mnie Emmy. Razem z mężem prowadzimy gospodę od śmierci jego rodziców, co zmarli przed laty. - Zdjęła z półki trzy drewniane miseczki. - Pewnie umieracie z głodu, moje panie. Dam wam trochę gulaszu. Orlanie, weź kubki i zrób paniom gorącej herbaty.

Mijając żonę, mężczyzna wskazał mięsistą dłonią miseczki.

- Masz o jedną za mało. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie. Mam trzy miseczki.

Orlan zdjął cztery kubki z górnej półki kredensu.

- Właśnie. Jak powiedziałem, o jedną za mało.

Kahlan ledwie mogła oddychać. Coś było nie tak. Siostry Cecilia i Armina znieruchomiały, wpatrując się w mężczyznę szeroko otwartymi oczami. Nie umknęło im znaczenie tej wymiany zdań.

Kahlan zerknęła na schody. Dziewczynka pochylała się ku nim, trzymając się poręczy; usiłowała zrozumieć, o czym mówią rodzice.

Siostra Armina chwyciła rękaw Ulicii.

- Ulicio - szepnęła natarczywie przez zaciśnięte zęby - on widzi...

Siostra Ulicia uciszyła ją. Spojrzała gniewnie na mężczyznę.

- Mylisz się - oznajmiła. - Jesteśmy tu w trójkę.

Mówiąc, dźgała Kahlan dębową laską, odpychając dziewczynę do tyłu, w mrok, jakby to wystarczyło, żeby Orlan przestał ją widzieć.

Kahlan nie chciała skryć się w cieniu. Chciała stanąć w świetle i być widoczna - naprawdę widoczna. Coś takiego zawsze wydawało się nierealną mrzonką, lecz nagle stało się całkiem możliwe. I to wstrząsnęło trzema Siostrami.

Orlan spojrział chmurnie na Siostrę Ulicię. Trzymając w jednej mięsistej dłoni cztery kubki, drugą wskazywał po kolei stojące w izbie przybyłe kobiety.

- Jedna, dwie, trzy - przechylił się, zajrzał za Siostrę Ulicię i wskazał Kahlan - cztery. Wszystkie chcecie herbaty?

Kahlan zamrugła, zdumiona. Miała wrażenie, że serce podeszło jej do gardła. Widział ją... i zapamiętał, że widział.

Rozdział 2

To niemożliwe - wyszeptała Siostra Cecilia, załamując ręce. Pochyliła się ku Siostrze Ulicii, wodząc dookoła wzrokiem. - To niemożliwe. - Gdzieś zapodział się jej zwykły, stale obecny, choć pozbawiony wyrazu uśmiech.

- Coś poszło nie tak... - zaczęła Siostra Armina i umilkła, kiedy jej niebieskie jak niebo oczy spojrzały na Siostrę Ulicię.

- To jedynie jakaś anomalia - warknęła Siostra Ulicia, patrząc groźnie na obie towarzyszki.

Choć nigdy nie były służalcze i uległe, żadna nie miała ochoty sprzeczać się z porywczą przywódczynią.

Siostra Ulicia trzema długimi krokami znalazła się przy Orlanie. Złapała go za kołnierz nocnej koszuli. Drugą ręką machnęła dębową laską ku Kahlan, stojącej w mroku nieopodal drzwi.

- Jak ona wygląda?

- Jak przemoczona kotka - odparł zirytowany Orlan. Najwyraźniej nie podobało mu się, że trzyma go za kołnierz.

Kahlan nie miała wątpliwości, że mówienie takim tonem do Siostry Ulicii to poważny błąd, lecz Siostra, zamiast wybuchnąć gniewem, wydawała się równie zdumiona jak ona.

- To wiem. Ale jak ona wygląda? Powiedz, co widzisz.

Orlan się wyprostował i uwolnił kołnierz z pięści Ulicii. Ze ściągniętą twarzą przyglądał się obcej, którą w słabym blasku lamp widział tylko on i Siostry.

- Gęste włosy. Zielone oczy. Bardzo ładna kobieta. Będzie lepiej wyglądać, jak się wysuszy, chociaż ten przemoczony strój dobrze ukazuje jej kształty. - Zaczął się uśmiechać w sposób, który się Kahlan ani trochę nie spodobał, choć tak się cieszyła, że naprawdę ją widzi. - Zgrabniutka - dorzucił, bardziej do siebie niż do Siostry.

Kahlan czuła się naga, kiedy jej się tak przyglądał. Wodząc po niej wzrokiem, otarł kciukiem kącik ust. Usłyszała, jak zachrząścił zarost. Zajęła się jedna ze szczap w palenisku, migotliwy blask rozjaśnił izbę i Orlan widział teraz wyraźniej. Jego wzrok powędrował wyżej i zatrzymał się na czymś.

- Ma takie długie włosy jak...

Zniknął sprośny uśmieszek. Orlan zamrugał ze zdumienia. Szeroko otworzył oczy.

- Drogie duchy - wyszeptał z pobladłą twarzą i opadł na kolano. - Wybacz mi - powiedział do Kahlan. - Nie rozpoznałem...

W izbie aż zadudniło, kiedy Siostra Ulicia walnęła go w głowę dębową laską i rzuciła na oba kolana.

- Milcz!

- Co ty wyrabiasz! - krzyknęła żona, podbiegając do męża. Przykucnęła, objęła go i podtrzymała, kiedy z jękiem dotknął rany na czubku głowy. Rudawozłote włosy pociemniały pod jego palcami, zwilżone krwią. - Chyba wam rozum odebrało! - Przytuliła do piersi głowę męża, plamiąc krwią nocną koszulę. Orlan wyglądał na osłupiałego, ogłuszonego. - Jesteście tylko trzy, chyba że podróżujecie w towarzystwie ducha! Jak śmiesz...

- Milcz! - warknęła Siostra Ulicia takim głosem, że Kahlan przeszył lodowaty dreszcz, a kobieta zamknęła usta.

Deszcz smagał szyby, wśród lesistych wzgórz przetaczał się daleki grzmot. Kahlan słyszała skrzypienie kołysanego wiatrem szyldu. W izbie zapadła grobowa cisza. Siostra Ulicia popatrzyła na dziewczynkę, która stała teraz u podnóża schodów, wczepiona w drewniany słupek poręczy. Wbiła w małą gniewny wzrok z mocą właściwą jedynie rozgniewanej czarodziejce.

- Ile nas widzisz?

Dziewczynka stała z szeroko otwartymi oczami, zbyt przerażona, żeby się odezwać.

- Ile? - spytała ponownie Siostra Ulicia, tym razem przez zaciśnięte zęby i tak groźnym tonem, że aż zbieleły paluszki małej zaciśnięte jeszcze mocniej na ciemnym drewnianym słupku.

- Trzy - odparła w końcu potulnie.

Siostra Armina, ledwo nad sobą panując, nachyliła się ku towarzyszce.

- Co się dzieje, Ulicio? To się nie powinno zdarzyć. To w ogóle nie powinno być możliwe. Rzuciliśmy czar weryfikacji.

- Zewnętrznej - poprawiła ją Siostra Cecilia.

- Słucham? - Siostra Armina spojrzała na nią zdziwiona.

- Rzuciliśmy tylko czar zewnętrznej weryfikacji. Nie zrobiliśmy wewnętrznej.

- Rozum ci odebrało?! - warknęła Siostra Armina. - Po pierwsze, to nie jest konieczne, a po drugie, kto byłby tak głupi, żeby dokonać analizy czaru weryfikacji z wewnętrznej perspektywy! Nikt tego nigdy nie robi! To nie jest konieczne!

- Ja tylko mówię...

Siostra Ulicia zmiażdżyła je wzrokiem i ucichły. Siostra Cecilia, z przyklejonymi do głowy mokrymi lokami, sprawiała wrażenie, że chce dokończyć protest, ale ostatecznie uznała, że lepiej zamilczeć.

Orlan doszedł do siebie, wysunął się z objęć żony i zaczął się chwiejnie podnosić. Krew spływała mu z czoła i ściekała po obu stronach dużego nosa.

- Na twoim miejscu, oberżysto - oznajmiła Siostra Ulicia, patrząc nań - zostałabym na kolanach.

Groźny ton powstrzymał Orlana tylko na chwilę. Wyprostował się, wyraźnie rozgniewany i opuścił zakrwawioną rękę, którą dotykał głowy. Wyprężył się, wypiął pierś, zacisnął pięści. Kahlan nie miała wątpliwości, że gniew bierze w nim górę nad ostrożnością.

Siostra Ulicia dała znak laską, że chce, by Kahlan się cofnęła. Ale dziewczyna zignorowała to i przysunęła się do niej - pragnęła zmienić bieg wydarzeń, zanim będzie za późno.

- On odpowie na twoje pytanie, Siostrze Ulicio. Na pewno odpowie. Daj mu spokój, proszę.

Trzy Siostry, niemile zaskoczone, spojrzały na Kahlan. Ani do niej nie mówiono, ani nie kazano jej się odezwać. Wiedziała, że taka bezczelność będzie ją drogo kosztować, ale wiedziała również, co się może przydarzyć temu mężczyźnie, jeśli coś się nie zmieni, a czuła, że ona jedna mogłaby coś zrobić.

Kahlan wiedziała też, że to jej jedyna szansa, by się czegoś o sobie dowiedzieć - być może odkryć, kim tak naprawdę jest, a może nawet, dlaczego pamięta wyłącznie niedawne fragmenty swojego życia. Ten człowiek najwyraźniej ją rozpoznał. Mógłby się więc okazać kluczem do przeszłości. Nie zamierzała zmarnować takiej szansy... nawet za cenę narażenia się na gniew Sióstr.

Zanim Siostry zdążyły się odezwać, powiedziała do Orlana:

- Posłuchaj mnie przez chwilę, panie Orlanie. Szukamy starszej kobiety o imieniu Tovi. Miała się tutaj spotkać z tymi paniami. Spóźniłyśmy się, więc

powinna już na nas czekać. Odpowiedz, proszę, na ich pytania o przyjaciółkę. Szybko będzie po sprawie, jeżeli pospieszysz na górę i sprowadzisz Tovi. Wtedy znikniemy z twojego życia niczym ta przemijająca burza.

Mężczyzna z szacunkiem pochylił głowę, jakby prosiła go o pomoc królowa. Jego zachowanie wprost oszołomiło Kahlan.

- Ale u nas nie gości nikt o imieniu Tovi, Mat...

Izbę rozjaśniła oślepiająca błyskawica - groźniejsza niż te za oknem. Zygzak płynnego żaru i blasku, który zapłonął pomiędzy dłońmi Siostry Ulicii, smagnął pierś Orlana, nim ten zdołał dokończyć zdanie. Kahlan była tak blisko, że i ona poczuła w głębi trzewi wstrząs wywołany uwolnieniem tak potężnej mocy. Uderzenie odrzuciło Orlana w tył. Przeleciał przez stół i obie ławy, po czym łupnął o ścianę. Śmiercionośna moc przecięła go niemal na pół. Resztki koszuli dymiły. Tam, gdzie uderzył o ścianę - zanim jeszcze zsunął się na podłogę - widniała połyskliwa czerwona plama.

Nagła cisza, która zapadła po ogłuszającym wybuchu, dzwoniła Kahlan w uszach.

Emmy - z szeroko rozwartymi oczami, wstrząśnięta wydarzeniem, które w jednej chwili na zawsze odmieniło jej życie - wyjęczała tylko jedno słowo:

- Nie!

Kahlan zasłoniła dłonią usta i nos nie tylko z odrazy, ale i po to, żeby uchronić się przed wonią krwi i odorem nadpalonego ciała. Tkwiąca na stole lampa spadła na podłogę i zgasła; izbę rozjaśniał jedynie migotliwy blask ognia w palenisku i światło nielicznych błyskawic wpadające przez wąskie okna.

Gdyby nie to, że i tak grzmiało i błyskało się, taki wybuch na pewno obudziłby całą miejscinę.

Emmy upuściła drewniane miseczki; potoczyły się po podłodze. Kobieta wrzasnęła, przerażona, i pobiegła ku mężowi.

Siostrę Ulicię poniosło. Z wściekłością złapała oberżystkę, zanim ta dopadła martwego męża. Grzmotnęła nią o ścianę.

- Gdzie jest Tovi?! Żądam odpowiedzi, i to natychmiast!

Kahlan dostrzegła, że Siostra zsunęła dakrę w dłoń. Niepozorna broń wyglądała jak trzonek noża z ostrym metalowym prętem zamiast ostrza. Wszystkie trzy Siostry miały dakry. Kahlan widziała, jak się nimi

posługiwały, kiedy spotkały zwiadowców Imperialnego Ładu. Wiedziała, że gdy dakra wbije się w ciało, choćby tylko odrobinę, wystarczy jedna myśl Siostry i ofiara umrze. Bo zabijała nie rana, jaką zadała ta broń, lecz Siostra, która gasiła poprzez nią iskrę życia. Jeżeli Siostra nie cofnęła oręża i nie porzuciła morderczych zamiarów, nie było żadnego ratunku, żadnej obrony.

Izbę rozjaśnił przelotnie błysk pioruna; wniknął przez wąskie okna po obu stronach drzwi, rzucając na ściany długie cienie, kiedy dwie Siostry chwyciły przerażoną kobietę i starały się nad nią zapanować. Błyskawica zgasła, izbę znów ogarnął mrok, a trzecia Siostra pognęła na górę.

Kahlan zajęła się dziewczynką.

Chwyciła ją w pasie i powstrzymała, gdy ta biegła do matki. Dziewczynka miała przerażone oczy; nie była w stanie zapamiętać Kahlan na tyle długo, by wiedzieć, kto ją pochwycił - pewnie jakaś niewidoczna zjawka. Co gorsza, dopiero co była świadkiem śmierci ojca. Kahlan wiedziała, że mała nigdy nie zdoła zapomnieć czegoś tak okropnego.

Poprzez jednostajny szum deszczu i wiatru Kahlan słyszała kroki Siostry biegnącej korytarzem na górę. Co chwila przystawała, zaglądając do pokoi. Każdy gość, którego obudziłyby krzyki i hałasy i który ośmieliłby się wyjść na ciemny korytarz, natknąłby się na rozwścieczoną Siostrę Mroku. Tych, którzy spali, i tak nie czekało nic lepszego.

Emmy krzyknęła z bólu, a Kahlan wiedziała dlaczego.

- Gdzie ona jest?! - Ulicia ryknęła na biedaczkę. - Gdzie jest Tovi?!

Emmy błagała głośno, żeby nie krzywdzić jej córki.

Kahlan wiedziała, że to poważny błąd zdradzać wrogowi, czego się najbardziej obawiamy.

Pomyślała jednak, że w tym wypadku taka informacja i tak nie ma znaczenia. Nie tylko było jasne, czego obawia się matka, ale i Siostry nie potrzebowały takich metod nacisku. Dziewczynka coraz bardziej się bała, widząc okropnie przerażoną matkę. Wrywała się z całej siły. Ale taka szczuplutka dziewczuszka, choćby się nie wiadomo jak starała, nie mogła dać rady Kahlan.

Mocno ją przytrzymując, Kahlan wciągnęła małą do ciemnej izby za drzwiami obok schodów. Blask błyskawic wpadający przez tylne okno zdradził jej, że to kuchnia i miejsce, gdzie trzymano zapasy.

Dziewczynka krzyczała, równie przerażona jak jej matka.

- W porządku - szepnęła jej na ucho Kahlan, trzymając ją mocno i starając się uspokoić. - Ochronię cię. Wszystko w porządku.

Była świadoma, że to kłamstwo, ale jej serce nie zniosłoby prawdy.

Chudziutka dziewczynka drapała ręce Kahlan. Musiało jej się wydawać, że pochwycił ją i trzyma jakiś duch z zaświatów. Kahlan wiedziała, że nawet jeśli mała spostrzegła ją, to zapomni o niej, nim zdąży rozpoznać. Również jej pocieszające słowa znikną z umysłu dziewczuszki, nim ta je zrozumie. Każdy, kto ujrzał Kahlan, natychmiast zapominał o jej istnieniu. Jeden Orlan ją pamiętał. A teraz był martwy Kahlan mocno tuliła przerażoną dziewczynkę. Nie wiedziała, czy robi to dla siebie, czy dla niej. W tej chwili mogła wyłącznie trzymać małą z dala od okropieństw, które spadły na jej rodziców. Dziewczynka szarpała się dziko w ramionach Kahlan, usiłując się wyrwać, jakby trzymał ją potwór pałający żądzą krwawego mordy. Kahlan cierpiała, wiedząc, że tylko wzmacnia przerażenie małej, ale gorzej byłoby jej pozwolić pobiec do tamtej izby.

Znów błysnęło i Kahlan spojrzała na okno. Było wystarczająco szerokie i mogłaby się przez nie wydostać. Na zewnątrz panowały ciemności, a gęsty las był blisko budynków. Miała długie nogi.

Była silna i szybka. Wiedziała, że jeśli zechce, w mgnieniu oka wydostanie się przez okno i wpadnie w gęsty las.

Ale już próbowała uciec Siostron. Miała świadomość, że żadna noc i żaden las nie ukryją jej przed kobietami dysponującymi taką mroczną mocą. Klęcząc w ciemnościach i mocno tuląc dziewczynkę, zaczęła się trząść. Sama myśl o ucieczce wystarczyła, by pot zrosił jej czoło ze strachu, że mogłaby uruchomić w ten sposób wpojone jej przez Siostry mechanizmy kontrolne. W głowie kręciło jej się na wspomnienie tamtych prób, tamtej udręki. Nie zniosłaby znów takiego cierpienia - nie wtedy, gdy niczemu by nie służyło. Siostron nie można było uciec.

Kahlan podniosła wzrok i zobaczyła mroczny cień schodzącej ze schodów Siostry.

- Ulicio! - zawołała kobieta; był to głos Siostry Cecylii. - Pokoje na górze są puste. Nie ma żadnych gości.

Siostra Ulicia zakląła szpetnie we frontowej izbie.

Cień Siostry Cecylii minął schody i wypełnił wejście, jakby śmierć we własnej osobie spojrzała groźnie na żywe istoty. Za jej plecami zawodziła i

szlochała Emmy. Skołowana, obolała i przerażona nie była w stanie odpowiedzieć na wykrzykiwane przez Siostrę Ulicę pytania.

- Chcesz, żeby twoja matka umarła? - spytała od drzwi Siostra Cecilia swoim śmiertelnie spokojnym głosem.

Była nie mniej okrutna niż Siostry Armina czy Ulicia, ale jej spokojny, opanowany sposób mówienia przerażał bardziej niż wrzaski Siostry Ulicii. Siostra Armina swoje niewymyślne groźby przekazywała z większą dozą żółci. Siostra Tovi z kolei z chorobliwym zadowoleniem karała, a nawet torturowała. Kahlan już dawno nauczyła się, że odmawianie im tego, czego akurat chcą, prowadzi jedynie do niemal niewyobrażalnej męki - bo w końcu na tym im przede wszystkim zależało.

- Chcesz? - powtórzyła spokojnie Siostra Cecilia.

- Odpowiedz jej - szepnęła Kahlan do ucha małej. - Odpowiedz jej, proszę. Błagam.

- Nie - wykrztusiła dziewczynka.

- To powiedz nam, gdzie jest Tovi.

W izbie za Cecilią matka małej straszliwie zarzęziła i ucichła. Kahlan usłyszała głuchy stukot, gdy kobieta uderzyła o drewnianą podłogę. W domu zapanowała cisza.

Z mglistego, migotliwego blasku za wejściem wśliznęły się za Siostrę Cecilię dwa kolejne cienie. Kahlan wiedziała, że Emmy nie odpowie już na żadne pytanie.

Siostra Cecilia wsunęła się do izby, bliżej dziewczynki mocno trzymanej przez Kahlan.

- Wszystkie pokoje są puste. Dlaczego nie macie żadnych gości?

- Nikt nie przyszedł - wydusiła z siebie dygocząca dziewczynka. - Wieść o najeźdźcach ze Starego Świata odstraszyła ludzi.

Kahlan wiedziała, że to prawda. Odkąd opuściły Pałac Ludu w D'Harze i pospiesznie zmierzały na południe małą łódką - głównie przez odludne okolice - kilka razy natknęły się na oddziały imperatora Jaganga lub minęły nadrzeczne osady, w których już były te bestie. Wieść o takich okropnościach musiała się szerzyć z prędkością wiatru.

- Gdzie jest Tovi? - zapytała Siostra Cecilia.

Odsuwając dziewczynkę od Sióstr, Kahlan spojrzała na nie z gniewem.

- To tylko dziecko! Dajcie jej spokój!

Poraził ją ból. Miała wrażenie, że rozerwano jej każde włókienko każdego mięśnia. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Izba zakołowała. Plecy dziewczyny z olbrzymią siłą uderzyły o kredens. Drzwiczki pootwierały się z rozmachem. Garnki, rondle i inny sprzęt kuchenny odbijały się od drewnianej podłogi i toczyły ze stukiem. Talerze i szklanki się potłukły.

Kahlan upadła twarzą na podłogę. Pokaleczyła dłonie ostrymi odłamkami ceramiki, kiedy daremnie usiłowała się podeprzeć. Gdy poczuła, że coś ostrego dźga ją z boku w język, uświadomiła sobie, że długi fragment szkła przebił jej policzek. Zaciśnęła zęby, łamiąc nimi szkło, żeby nie rozorało jej języka. Z trudem wypluła okrwawiony, sztyletowaty kawałek.

Leżała na podłodze, ogłuszona, oszołomiona, i nie mogła się pozbierać. Stękała, bezskutecznie próbując się ruszyć. Przekonała się, że wydawszy te dźwięki, nie może zaczerpnąć tchu. Każda drobina uciekającego z płuc powietrza była dla niej stracona. Z wysiłkiem starała się oddychać. Paraliżujący ból udaremniał te próby.

Zrozpaczona, zdołała wreszcie zaczerpnąć powietrza. Wypluła więcej krwi i ostrych odłamków. Zaczynał ją boleć policzek, przebity kawałkiem szkła. Ale nie mogła poruszyć rękami, podnieść się z podłogi, a już zwłaszcza wyciągnąć tego odłamka z policzka.

Spojrzała w górę. Dostrzegła ciemne sylwetki Sióstr otaczających dziewczynkę. Podniosły małą i przycisnęły plecami do ciężkiego pieńka rzeźnickiego pośrodku izby. Dwie Siostry trzymały ramiona córki oberżystów, a Siostra Ulicia kucnęła przed nią i spojrzała w jej przerażone oczy.

- Wiesz, kim jest Tovi?

- Stara pani! - krzyknęła dziewczynka. - Stara pani!

- Tak, stara pani. Co jeszcze o niej wiesz?

Mała zachłystywała się powietrzem i ledwo mogła mówić.

- Duża. Stara i duża. Za duża, żeby dobrze chodzić.

Siostra Ulicia nachyliła się ku dziewczynce i złapała ją za szczupłą szyję.

- Gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma? Miała się tutaj z nami spotkać. Dlaczego odeszła?

- Odeszła! - krzyknęła mała. - Poszła sobie!

- Dlaczego? Kiedy tu była? Kiedy odeszła? Dlaczego odeszła?

- Parę dni temu. Była tu. Jakiś czas była u nas. Ale odeszła parę dni temu.

Siostra Ulicia z gniewnym okrzykiem złapała dziewczynkę i cisnęła nią o ścianę. Kahlan wyteńczyła wszystkie siły i podniosła się na kolana. Dziewczynka uderzyła o podłogę. Nie zwracając uwagi na własną słabość, Kahlan powlokła się przez odłamki szkła i ceramiki i osłoniła małą własnym ciałem. Dziewczynka, nie wiedząc, co się dzieje, jeszcze bardziej się rozszochała.

Coraz bliżej słychać było kroki. Kahlan dostrzegła leżący na podłodze tasak. Dziewczynka płakała i usiłowała się wyrwać, ale Kahlan wciąż ją trzymała, osłaniając.

Cień kobiety znalazł się niedaleko i Kahlan zacisnęła palce na drewnianej rękojeści tasaka. Nie zastanawiała się, po prostu działała: zagrożenie, broń. Zupełnie jakby obserwowała kogoś innego.

Ale trzymana w dłoni broń sprawiała jej głęboką satysfakcję. Mocno zacisnęła palce na poplamionej krwią rękojeści. Broń to życie. Stał zalśniła w blasku błyskawicy.

Gdy kobiety podeszły wystarczająco blisko, Kahlan nagle uniosła ramię, chcąc uderzyć. Nim jednak zdążyła to zrobić, poczuła straszliwy cios, jakby dostała kłodą. Siła ciosu rzuciła ją przez izbę.

Otumanilo ją uderzenie o ścianę. Izba - zdawało się - była daleko, na końcu długiego, ciemnego tunelu. Owładnął ją ból. Usiłowała unieść głowę, ale nie mogła. Otoczyła ją ciemność.

Kiedy znów otworzyła oczy, ujrzała dziewczynkę kulącą się przed górującymi nad nią Siostrami.

- Nie wiem - mówiła mała. - Nie wiem, czemu poszła. Mówiła, że musi iść do Caski.

W izbie zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

- Do Caski? - spytała w końcu Siostra Armina.

- Tak, tak mówiła. Musiała się dostać do Caski.

- Miała coś ze sobą?

- Ze sobą? - zakwiliła dziewczynka, szlochając i trzęsąc się. - Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Przy sobie! - wrzasnęła Siostra Ulicia. - Czy miała coś przy sobie?! Musiała coś nieść: pakunek, bukłak. Ale miała i inne rzeczy. Widziałaś coś w

jej bagażu?

Dziewczynka zawahała się i Siostra Ulicia uderzyła ją w twarz tak mocno, że obluzowały się jej zęby.

- Widziałaś którąś z jej rzeczy?

Policzek małej przecinała smuga sączącej się z nosa krwi.

- Jak któregoś dnia była na kolacji, to poszłam jej zanieść czyste ręczniki i zobaczyłam coś w jej izbie. Coś dziwnego.

Siostra Cecilia pochyliła się ku niej.

- Dziwnego? A co?

- To było... to przypominało pudełko. Miała to zawinięte w białą suknię, ale suknia była śliska jak jedwab i trochę się zsunęła. To było jak pudełko, tyle że całe czarne. Ale nie takie czarne jak farba. Czarne jak sama noc. Takie czarne, jakby chciało zabrać światło dnia.

Trzy Siostry wyprostowały się i stały bez słowa.

Kahlan dobrze wiedziała, o czym mówi dziewczynka. Bo to ona zabrała wszystkie trzy szkatuły z Ogrodu Życia w Pałacu Ludu - z pałacu lorda Rahla.

Kiedy wyniosła pierwszą, Siostra Ulicia wściekała się na nią, że nie zabrała od razu wszystkich trzech, ale były większe, niż się spodziewały, i nie miała na nie miejsca w plecaku. Dlatego Kahlan najpierw przyniosła tylko jedną. Siostra Ulicia owinęła to paskudztwo w białą suknię Kahlan i dała Tovi, mówiąc jej, żeby ruszała w drogę, a one później do niej dołączą. Nie chciała ryzykować, że przyłapią je w pałacu z jedną z trzech szkatuł, i dlatego wołała, żeby Siostra Tovi nie czekała, aż Kahlan przyniesie z Ogrodu Życia dwie pozostałe.

- Dlaczego Tovi poszła do Caski? - spytała Siostra Ulicia.

- Nie wiem - wyszłochała dziewczynka. - Przysięgam, że nie wiem. Słyszałam tylko, jak mówiła rodzicom, że musi iść do Caski. Wyruszyła parę dni temu.

Kahlan leżała cicho na podłodze i usiłowała oddychać. Każdy oddech powodował okropny ból zeber. Wiedziała, że to zaledwie początek udreki. Kiedy Siostry skończą z dziewczynką, zajmą się nią.

- Może się trochę prześpijmy, ukryte przed deszczem - zaproponowała w końcu Siostra Armina. - Możemy wyruszyć wcześniej rano.

Siostra Ulicia, zaciskając dąkrę w dłoni wspartej o biodro, chodziła między dziewczynką a pniakiem rzeźnickim i rozmyślała. Pod jej butami

chrzęściły odłamki ceramiki.

- Nie - oznajmiła, patrząc na tamte. - Coś jest nie tak.

- Chodzi ci o zakłęcie? Masz na myśli tego mężczyznę? Siostra Ulicia lekceważąco machnęła ręką.

- To anomalia. Nic więcej. Nie, coś jest nie tak z całą resztą. Dlaczego Tovi miałyby odejść? Wyraźnie jej powiedziałam, że ma się tutaj z nami spotkać. I była tu, a potem nagle sobie poszła. Nie mieli tu żadnych innych gości, w okolicy nie było wojsk Imperialnego Ładu, no i wiedziała, że tu zdążamy, a mimo to odeszła. To bez sensu.

- I dlaczego Caska? - spytała Siostra Cecilia. - Dlaczego miałyby się kierować do Caski?

Siostra Ulicia znów spojrzała na dziewczynkę.

- Kto odwiedził Tovi, kiedy tu była? Kto przyszedł się z nią zobaczyć?

- Już mówiłam, że nikt - odparła mała. - W ogóle nikt się nie zjawił, kiedy była u nas ta stara pani. Nikt tu nie nocował ani nie zaszedł. Ona jedna tu była. Mieszkamy na uboczu. Ludzie nie zagląдают tu na popas.

Siostra Ulicia znów zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Nie podoba mi się to. Coś złego się w tym kryje, ale nie mogę się domyślić co.

- Zgadzam się - powiedziała Siostra Cecilia. - Tovi nie ode-Szłaby ot, tak sobie.

- A jednak to zrobiła. Dlaczego? - Siostra Ulicia zatrzymała się przed dziewczynką. - Mówiła coś jeszcze? A może zostawiła jakąś wiadomość, na przykład list?

Dziewczynka, pochlipując, pokręciła głową.

- Nie mamy wyboru - mruknęła Siostra Ulicia. - Musimy ruszyć za Tovi do Caski.

Siostra Armina wskazała ku frontowym drzwiom.

- Tej nocy? W takim deszczu? Nie sądzisz, że mogłybyśmy poczekać do rana?

Siostra Ulicia, pogrążona w myślach, popatrzyła na nią.

- A jeśli ktoś się zjawi? Jeśli mamy wykonać zadanie, nie możemy sobie pozwolić na dalsze komplikacje. A już z całą pewnością nie chcemy, żeby Jagang czy jego wojska zwąchali, że jesteśmy w pobliżu. Musimy dotrzeć do Tovi i tamtej szkatuły. Wszystkie wiemy, o co toczy się gra. - Przyjrzała się

ich poważnym twarzom i podjęła: - No i nie potrzebujemy żadnych świadków, którzy by donieśli, że czegoś tu szukałyśmy.

Kahlan doskonale wiedziała, do czego zmierza Siostra Ulicia.

- Błagam - wykrztusiła, unosząc się na drżących rękach - błagam, zostawcie ją w spokoju. To tylko mała dziewczynka. Nie wie o niczym, co by się mogło komuś przydać.

- Wie, że Tovi tu była. Wie, co Tovi ma ze sobą. - Ulicia zmarszczyła z niezadowoleniem brwi. - Wie, że byliśmy tutaj, szukając jej.

Kahlan starała się, żeby jej głos nabrał siły.

- W porównaniu z tobą ona jest nikim. Jesteś czarodziejką, a ona tylko dzieckiem. Nie skrzywdzi cię, nie zaszkodzi ci.

Siostra Ulicia spojrzała przez ramię na dziewczynkę.

- Wie również, dokąd idziemy.

Siostra Ulicia z rozmysłem spojrzała Kahlan w oczy. Nie odwracając się ku dziewczynce, pchnęła ją dakrą. Mała zachłysnęła się oddechem.

Nie odrywając oczu od Kahlan, Siostra Ulicia uśmiechnęła się tak, jak tylko wcielone zło potrafiłoby się uśmiechnąć. Dziewczyna pomyślała, że zapewne tak patrzy się w oczy Opiekuna umarłych w jego kryjówce w najmroczniejszych otchłaniach wieczności zaświatów.

Siostra Ulicia uniosła brew.

- Nie zamierzam zostawiać nie dokończonych spraw.

Z szeroko otwartych oczu dziewczynki umknęło światło. Zwiotczała i ciężko upadła na podłogę. Jej ramiona powyginały się pod dziwnymi kątami. Pozbawione życia oczy wpatrywały się uporczywie w Kahlan, jakby oskarżały ją o złamanie słowa.

Obietnica złożona małej - „Ochronię cię” - tłukła się w umyśle Kahlan.

Krzycząc w bezsilnej furii, biła pięściami o podłogę.

A potem krzyknęła z bólu, bo rzuciło ją na ścianę. Ale nie spadła na podłogę, gdyż jakaś siła przyciskała ją do bali. Wiedziała, że to magia.

Nie mogła oddychać. Jedna z Sióstr magiczną mocą ścisnęła jej gardło. Kahlan walczyła o odrobinę powietrza, szarpiąc palcami żelazną obrozę na szyi.

Siostra Ulicia podeszła i przysunęła twarz do jej twarzy.

- Masz dziś szczęście - oznajmiła jadownicę. - Nie mamy czasu na to, żeby kazać ci odcierpieć nieposłuszeństwo, przynajmniej teraz. Ale nie wyobrażaj

sobie, że ujdzie ci to na sucho.

- Nie, Siostrze - odparła Kahlan z ogromnym wysiłkiem. Miała świadomość, że brak odpowiedzi tylko pogorszy sprawę.

- Myślę, że jesteś po prostu za głupia, by pojąć, jak mało jesteś ważna i bezsilna w obliczu lepszych od ciebie. Może tym razem, po kolejnej lekcji, nawet ktoś tak ograniczony i głupi jak ty zdoła to pojąć.

- Tak, Siostrze.

Kahlan - chociaż dobrze wiedziała, co każą jej wycierpieć w trakcie owej „lekcji” - postąpiłaby znowu tak samo. Żałowała jedynie, że nie udało jej się ochronić dziewczynki, jak obiecała. Owego dnia, kiedy zabrała owe szkatuły z pałacu lorda Rahla, zostawiła w Ogrodzie Życia swój najcenniejszy skarb: posążek dumnej kobiety, stojącej z zaciśniętymi pięściami, wygiętymi plecami i odrzuconą w tył głową, jakby stawiała opór mocom, które bezskutecznie usiłowały ją sobie podporządkować.

Tamtego dnia, w pałacu Richarda Rahla, Kahlan zebrała siły.

Stojąc w jego ogrodzie i patrząc na posążek, który musiała tam zostawić, przysięgła sobie, że odzyska swoje życie. A to oznaczało walkę o życie, nawet gdyby to było jedynie życie nie znanej jej dziewczynki.

- W drogę - warknęła Siostra Ulicia, kierując się ku drzwiom i oczekując, że pozostałe pójdą za nią.

Zniknęła przyszpilająca Kahlan do ściany moc i buty dziewczyny uderzyły o podłogę. Osunęła się na kolana i zakrwawionymi dłońmi rozcierała obolałą szyję, chciwie chwytając powietrze. Palce natrafiły na zniechęconą obrożę, dzięki której Siostry ją kontrolowały.

- Rusz się - rozkazała Siostra Cecilia tonem, który skłonił Kahlan do natychmiastowego powstania.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że martwe oczy biednej dziewczynki wciąż się w nią wpatrują, obserwują, jak odchodzi.

Rozdział 3

Richard wstał nagle. Nogi ciężkiego drewnianego krzesła, na którym siedział, zaskrzypiały o nierówną kamienną posadzkę. Czubkami palców nadal dotykał skraju stołu, na którym obok srebrnej lampy leżała otwarta księga. Coś było nie tak z powietrzem.

Nie chodziło o zapach, ciepłość ani wilgotność, chociaż noc była gorąca i parna. Chodziło o samo powietrze. Coś z nim było nie w porządku.

Nie wiedział, dlaczego znienacka przyszło mu coś takiego do głowy. A już zupełnie nie miał pojęcia, co mogło być przyczyną takiej dziwacznej myśli. W niewielkiej czytelni nie było okien, nie wiedział zatem, jak jest na zewnątrz: pogodnie, wietrznie czy burzowo. Wiedział jedynie, że jest głęboka noc.

Tuż za nim Cara, też podniosła się z grubo wyściełanego, brązowego skórzanego fotela, w którym czytała. Czekala, ale w milczeniu.

Richard poprosił ją, by przeczytała kilka historycznych ksiąg, które znalazł. Wszystko, co wyczyta o pradawnych czasach, w których napisano Chainfire, może się okazać pomocne. Nie narzekała na swoje zadanie. Cara rzadko się na cokolwiek skarżyła, o ile tylko nie przeszkadzało jej to chronić Richarda. Ponieważ mogła być w tym samym pokoju, nie protestowała przeciwko czytaniu ksiąg, które jej dał. Jedną z pozostałych Mord-Sith, Berdine, znała górnod'harański i w przeszłości była bardzo pomocna przy lekturze tekstów w dawnym języku, które często trafiały się w unikatowych księgach - ale Berdine była daleko, w Pałacu Ludu. Mimo to Cara i tak miała do przejrzania niezliczone tomy w ich języku.

Cara obserwowała, jak Richard przygląda się wyłożonym boazerią ścianom, jak wodzi wzrokiem po stojących na półkach ozdobach: szkatułkach z laki inkrustowanych srebrem, wyrzeźbionych z kości figurkach tancerzy, gładkich kamieniach leżących w wyściełanych aksamitem pudełkach i ozdobnych szklanych wazach.

- Lordzie Rahlu - spytała w końcu - czy coś się stało?

Richard obejrzał się na nią przez ramię.

- Tak. Coś jest nie w porządku z powietrzem.

Dopiero jej zatroskana mina uświadomiła mu, jak niedorzecznie musiało

to zabrzmieć.

Ale dla Cary - bez względu na to, jak absurdalnie by to zabrzmiało - liczyło się jedynie to, że jego zdaniem coś jest nie tak, a to oznaczało potencjalne zagrożenie. Zaskrzypiał jej skórzany kombinezon, kiedy złapała Agiel. Z orężem w gotowości rozejrzała się po niewielkim pokoju, wpatrując się w cienie, jakby ze stolarki mógł wychynąć jakiś duch.

Zmarszczyła brwi.

- Myślisz, że to bestia?

Tego Richard nie wziął pod uwagę. Bestia, którą Jagang rozkazał stworzyć pochwyconym Siostróm Mroku, a potem wysłał za Richardem, zawsze stanowiła potencjalne zagrożenie. W przeszłości kilka razy pojawiła się wprost z powietrza.

Choć Richard robił, co mógł, nie potrafił dokładnie określić, co go niepokoi. Nie był w stanie odnaleźć przyczyny tego uczucia, ale miał wrażenie, że powinien to pamiętać, że powinien to znać, że powinien to rozpoznać. Sam nie wiedział, czy to tylko wyobraźnia, czy coś rzeczywistego.

Pokręcił głową.

- Nie... nie sądzę, że to bestia. To coś innego.

- Lordzie Rahlu, przez większą część nocy czytasz, że już nie wspomnę o reszcie. Może jesteś po prostu wyczerpany.

Czasami wybudzał się gwałtownie akurat wtedy, kiedy zaczynał przysypiać, zamroczony i zdezorientowany osuwaniem się w mroczne koszmary, których po ocknięciu się nigdy nie pamiętał. Ale to odczucie było inne. Nie zrodziło się z otumanienia drzemką. Był zbyt zatroskany, żeby spać.

Ledwie wczoraj udało mu się wreszcie przekonać tamtych, że Kahlan jest prawdziwa, że istnieje, że nie jest wytworem jego wyobraźni lub ułudą wywołaną zranieniem. Nareszcie wiedzieli, że Kahlan to nie jakieś obłąkańcze marzenie Richarda. W końcu miał jakieś wsparcie, a chęć odnalezienia jej nie pozwalała mu zasnąć. Nie zniósłby marnowania czasu na odpoczynek - nie teraz, kiedy miał już kilka kawałków układanki.

Nicci, przesłuchując Tovi, zanim ta umarła, w pobliżu Pałacu Ludu, poznała okropną prawdę o tym, jak owe cztery kobiety - Siostry Ulicia, Cecilia, Armina i Tovi - zapoczątkowały chainfire. Kiedy wyzwoliły moce od tysięcy lat skrywane w starodawnych księgach, wszyscy - z wyjątkiem

Richarda - w jednej chwili zapomnieli o Kahlan. Miecz w jakiś sposób ocalił wspomnienia chłopaka. Pamiętał Kahlan, ale utracił oręż, usiłując ją odnaleźć.

Chainfire wymyślili czarodzieje w pradawnych czasach. Szukali sposobu, który pozwoliłby im zakraść się między wrogów tak, by nikt ich nie widział, nie zwracał na nich uwagi i natychmiast zapominał. Twierdzili, że można zmienić ludzką pamięć za pomocą magii subtraktywnej. Rozproszone wspomnienia miały się samoistnie zrekonstruować i połączyć, tworząc błędne obrazy wypełniające luki, jakie pod wpływem zaklęcia powstały po zatarciu pamięci o czymś lub o kimś.

Czarodzieje uznali jednak, że zapoczątkowanie takiego procesu mogłoby doprowadzić do kaskady zdarzeń, których nie dałoby się przewidzieć ani kontrolować. Przypuszczali, że - podobnie jak pożoga - reakcja taka przenosiłaby się na innych ludzi, których pamięć początkowo byłaby niezmieniona. W końcu zrozumieli, że - w związku z takimi nieobliczalnymi, rozprzestrzeniającymi się i katastrofalnymi następstwami - chainfire mogłoby doprowadzić do zniszczenia świata istot żywych, i dlatego nigdy nie ośmielili się wypróbować tego zaklęcia.

Za to owe cztery Siostry Mroku to uczyniły - rzuciły je na Kahlan. Nie dbały o to, że mogą zniszczyć świat. W istocie, był to ich ostateczny cel.

Richard nie miał czasu na sen. Teraz, kiedy wreszcie przekonał Nicci, Zedda, Careę, Nathana i Ann, że nie oszalał i że Kahlan naprawdę istnieje, musieli mu pomóc.

Rozpaczliwie potrzebował tej pomocy. Musiał odnaleźć Kahlan. Była jego życiem. Dopełniała go. Była dla niego wszystkim. Od pierwszej chwili oczarowała go jej wspaniała inteligencja. Prześladowało go wspomnienie jej pięknych zielonych oczu, jej uśmiechu, jej dotyku. Nieustannie się zadreęczał, że nie robi wszystkiego, że mógłby zrobić więcej.

Chociaż nikt inny nie pamiętał Kahlan, Richard nie mógł przestać o niej myśleć. Często miał wrażenie, że on jeden wiąże ją z tym światem i że gdyby przestał ją wspominać, przestał o niej myśleć, to w końcu... naprawdę przestałaby istnieć.

Jednak zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce czegoś dokonać, że jeżeli ma w ogóle odnaleźć Kahlan, to czasem musi odsunąć od siebie myśli o niej i skupić się na bieżących problemach.

Spojrzał na Carę.

- Nie czujesz niczego dziwnego? Uniosła znacząco brew.

- Jesteśmy w Wieży Czarodzieja, lordzie Rahlu. Kto by się tu dziwnie nie czuł? To miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

- Gorsze niż zwykle?

Ciężko westchnęła, przesuwając dłonią po spływającym z ramienia długim blond warkoczem.

- Nie.

Richard chwycił lampę.

- Chodź.

Wyszedł z niewielkiego pokoju i znalazł się w długim korytarzu wysłanym grubymi dywanami, zupełnie jakby mieli za dużo dywanów i tylko tu mogli je położyć. Głównie były tkane w klasyczne wzory o stonowanych barwach, ale tu i tam wyzierały spod nich kobierce w jaskrawych żółciach i oranżach.

Dywany tłumiły odgłos kroków Richarda. Chłopak mijał dwuskrzydłowe drzwi, otwierające się po obu stronach korytarza na ciemne komnaty. Długonoga Cara bez trudu za nim nadążała. Richard wiedział, że niektóre z tych komnat to biblioteki, inne zaś, wymyślnie przystrojone, prowadzą jedynie do następnych komnat, które z kolei wiodą do kolejnych - to skromnych, to zdobnych - tworząc skomplikowany i nieodgadniony labirynt, jakim jest wieża.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo, w korytarz o ścianach pokrytych spiralnymi wzorami, które z czasem nabrały cieplej, złotobrazowej barwy. Kiedy dotarli do schodów, położył dłoń na lśniącym słupku z białego marmuru i ruszył w dół. Spojrzawszy w górę, zobaczył, jak schody wznoszą się w mrok, ku górnym partiom wieży.

- Dokąd idziemy? - spytała Cara. Pytanie odrobinę zaskoczyło Richarda.

- Nie wiem.

Mord-Sith zerknęła na niego gniewnie.

- Uznałeś, że możemy tak sobie iść przez tę budowlę o tysiącach komnat, wielką jak góra, po części wbudowaną w górę, i szukać, póki przypadkiem na coś nie natrafisz?

- Coś jest nie tak z powietrzem. Po prostu pozwalam się prowadzić temu doznaniu.

- „Ścigasz powietrze - rzuciła kpiąco Cara. Nagle stała się podejrzliwa. - Ale chyba nie zamierzasz korzystać z magii?

- Caro, wiesz równie dobrze jak inni, że nie potrafię korzystać z mojego daru. Nie mógłbym przywołać magii, nawet gdybym chciał.

A z całą pewnością nie chciał.

Gdyby wykorzystał swój dar, bestia łatwiej by go odnalazła. Cara, jak zawsze troskliwa, martwiła się, że Richard nierozważnie zrobi coś, co przywoła bestię wyczarowaną na rozkaz Jaganga.

Richard znów skupił się na najnowszym problemie i usiłował stwierdzić, co mu się wydawało dziwne w powietrzu. Drobiazgowo zaczął analizować to, co wyczuwał. Pomyślał, że trochę przypomina to powietrze podczas burzy. Równie ciężkie, drażniące, powodujące dreszcz.

Zeszli kilka pięter po białych marmurowych schodach i dotarli do skromnego korytarza z kamiennych bloków. Ruszyli prosto, przecięli parę skrzyżowań i zatrzymali się, kiedy Richard zapatrzył się w dół ciemnych, spiralnych schodów z żelazną poręczą. W końcu zaczął schodzić, a Cara za nim. Na dole minęli krótkie przejście z półokrągłym stropem z dębowych desek i znaleźli się w pomieszczeniu, w którym zbiegały się wszystkie korytarze. Wokół okrągłego pomieszczenia, przy wejściu do prowadzących w mrok korytarzy, stały kolumny z szarego, nakrapianego granitu podtrzymujące złocone nadproża.

Richard uniósł lampę i mrużył oczy, starając się coś wypatrzeć w ciemnych przejściach. Nie rozpoznał okrągłego pomieszczenia, ale zorientował się, że są w trochę innej części wieży; różniła się od reszty w sposób, który pomógł mu zrozumieć, co miała na myśli Cara, mówiąc, że to miejsce przyprawia ją o dreszcz. Jeden z korytarzy, inaczej niż pozostałe, wiódł dość stromo w dół. Najwyraźniej prowadził do jakichś głębiej położonych zakamarków wieży. Richarda zastanowiło, dlaczego jest tu pochylnia, a nie kolejne schody.

- Tędy - rzekł do Cary, prowadząc ją pochylnią w mrok.

Zdawało się, że pochylnia nie ma końca. Wreszcie jednak doprowadziła ich do wielkiego korytarza, szerokiego na ponad dwanaście stóp i wysokiego na jakieś siedemdziesiąt. Richard czuł się jak mrówka stojąca na dnie długiej, wąskiej szczeliny w ziemi, głęboko w ziemi. Po lewej wznosiła się skalna ściana wyciosana w górskim stoku, ścianę po prawej tworzyły ściśle

dopasowane ogromne kamienne bloki. Idąc w głąb nieskończenie długiej szczeliny w trzewiach góry, minęli szereg pomieszczeń z wejściami w ścianie z bloków. Szli, a światło lampy było zbyt słabe, żeby oświetlić kres ich drogi.

Richard nagle uświadomił sobie, co właściwie czuje. Powietrze miało w sobie to coś, co niekiedy wyczuwał w otoczeniu znanych mu osób obdarzonych potężną magiczną mocą. Przypomniawszy sobie, jak powietrze iskrzyło wokół jego byłych nauczycielek, Sióstr Cecylii, Arminy, Merissy i - zwłaszcza - Nicci. Pamiętał, że niekiedy zdawało mu się, że otaczające Nicci powietrze zapłonie, tak wielka moc z niej emanowała. Ale coś takiego wyczuwał zawsze w pobliżu konkretnej osoby. Nigdy nie było to wszechobecne zjawisko.

Jeszcze zanim dostrzegł światło sączące się z jednego z odległych pomieszczeń, wyczuł idący stamtąd prąd powietrza. Niemal spodziewał się, że powietrze w całym korytarzu zacznie iskrzyć.

Wielkie, obite mosiądzem drzwi stały otworem, wiodąc do sali wyglądającej na słabo oświetloną bibliotekę. Richard wiedział, że właśnie tego miejsca szukał.

Minął drzwi pokryte wymyślnymi rzeźbionymi symbolami i zamarł, patrząc ze zdumieniem.

Przez tuzin półkoliście sklepionych okien wpadało światło błyskawic, oświetlając rzędy półek wypełniające olbrzymie pomieszczenie. Wysokie na dwa piętra okna zajmowały całą tylną ścianę. Przedzielały je równie wysokie lśniące mahoniowe kolumny podtrzymujące ciężkie kotary z ciemnozielonego aksamitu. Kotary obramowane były złocistymi frędzlami; podpięto je chwostami, żeby odsłaniały okna. Kwadraciki szkła, tworzące wysokie okna, nie były przejrzyste, lecz grube i złożone z wielu pierścieni, jakby odlano je ze zbyt gęstego szkła. Każda z błyskawic zdawała się rozpaść te szyby. Rozmieszczone wszędzie lampy z odbłyśnikami dawały miękkie, ciepłe światło, które odbijało się od lśniących blatów stołów, widocznych tu i ówdzie spod beładnie porozrzucanych otwartych ksiąg.

Półki nie były takie, jak się Richard spodziewał. Na wielu z nich rzeczywiście stały księgi, lecz na innych leżały najrozmaitsze przedmioty - od starannie złożonego migotliwego płótna do żelaznych spiral, zielonych szklanych butli, skomplikowanych tworów z drewnianych prętów, stosów

welinowych zwojów, prastarych kości i długich, zakrzywionych kłów, których Richard nie rozpoznał i nie miał czasu się nad nimi zastanawiać.

Znów błysnęło i cienie słupków okiennych przemknęły po pomieszczeniu - po stołach, krzesłach, kolumnach, biblioteczkach i biurkach - aż miało się wrażenie, że wszystko się rozpada.

- Co ty robisz, Zeddzie?

- Lordzie Rahlu - odezwała się tuż za nim szeptem Cara - coś mi się zdaje, że twój dziadek zwariował.

Zedd przelotnie spojrzął na stojących w drzwiach Richarda i Carę. Sterczące na wszystkie strony siwe włosy starca wydawały się pomarańczowe w świetle lamp i białe jak śnieg w blasku każdej błyskawicy.

- Jesteśmy trochę zajęci, chłopcze.

Pośrodku komnaty, nad jednym z masywnych stołów, unosiła się Nicci. Richard zamrugał, by się upewnić, że naprawdę to widzi. Stopy Nicci dzieliła od blatu szerokość dłoni. Nieruchomo trwała w powietrzu.

I chociaż było to zaskakujące i właściwie niemożliwe, nie to było najgorsze. Na blacie wyrysowano magiczny symbol zwany Grace.

Wyrysowano krwią.

Ponad Grace, w powietrzu, wisiały również oplatające Nicci nieruchome linie. Richard widział już wcześniej osoby z darem, które kreśliły zaklęcia, zatem dobrze wiedział, na co patrzy. Ale nigdy jeszcze nie widział niczego, co przypominałoby tę zawieszoną w powietrzu płataninę.

W powietrzu widoczny był trójwymiarowy zarys zaklęcia, utworzony z zawitego splotu jarzących się nici zielonego blasku.

Pośrodku tego skomplikowanego geometrycznego wzoru lewitowała Nicci, nieruchoma jak posąg. Jej doskonale piękne rysy zamieniły się w kamień. Jedna dłoń była nieco uniesiona. Palce drugiej, opuszczonej, były rozpostarte. Stopy nie tkwiły tak, jakby spokojnie stała, lecz wisiały, jakby zamarła w skoku. Blond włosy uniosły się odrobinę, zupełnie jak przy skoku, tuż przed wylądowaniem... kiedy to skamieniała.

Nicci sprawiała wrażenie martwej.

Rozdział 4

Richard stał jak sparaliżowany, wpatrując się w Nicci, zawieszoną tuż nad masywnym bibliotecznym stołem wśród plątaniny lśniących zielono i tworzących geometryczny wzór nici. Była zupełnie nieruchoma. Zdawało się, że w ogóle nie oddycha. Błękitne oczy wpatrywały się nieruchomo w dal, jakby patrzyły na świat, który wyłącznie ona mogła widzieć. Znajoma, doskonale piękna twarz wydawała się niezmienna w zielonej poświacie lśniących nici.

Richard pomyślał, że Nicci wygląda bardziej na zmarłą niż żywą, podobnie jak ciało w trumnie tuż przed złożeniem na wieczny odpoczynek.

Był to niesłychanie piękny i zarazem w najwyższym stopniu niepokojący widok. Sprawiała wrażenie posągu z ciała i blasku. Wijące się łagodnie blond pukle i nawet pojedyncze włosy zastygły w powietrzu. Richard cały czas się spodziewał, że Nicci nagle opadnie na stół.

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i wreszcie wypuścił powietrze z płuc.

Powietrze w komnacie - jakby na wzór oślepiających błyskawic za oknami - iskrzyło mocą skoncentrowaną w czymś, co nawet dla niewprawnych oczu Richarda było skomplikowanym zaklęciem. I to właśnie ta cecha powietrza przyciągnęła jego uwagę w niewielkiej czytelni.

Richard nie miał pojęcia, co się dzieje ani w jakim celu odwołano się do tak potężnej magii. Był zarazem zafascynowany tym, co widzi, i zirytowany tym, że tak niewiele wie o tych sprawach. Przede wszystkim jednak uznał, że jest w tym coś przerażającego.

Richard dorastał w Westlandzie, gdzie nie było magii, i niekiedy się zastanawiał, co stracił - zwłaszcza w takich chwilach jak ta, gdy czuł się przeraźliwie niedouczony. Za to kiedy indziej - jak wtedy, gdy porwano Kahlan - nienawidził magii i pragnął już nigdy nie mieć z nią do czynienia.

Osoby wierne naukom Imperialnego Ładu poczułyby cyniczne zadowolenie, gdyby poznały te niechętne magii myśli lorda Rahla.

Chociaż Richard rósł nieświadomy istnienia magii, trochę się już o niej nauczył. Po pierwsze, wiedział, że wyrysowana pod Nicci Grace to potężny symbol stosowany przez mających dar. Wiedział również, że bardzo rzadko

rysowano go krwią, a jeżeli już, to wyłącznie w najwyższej potrzebie.

Kiedy tak patrzył na połyskujące, nakreślone krwią linie Grace, zauważył coś, od czego zjeżyły mu się włosy. Jedna ze stóp Nicci tkwiła ponad środkiem Grace - nad częścią symbolizującą blask Stwórcy, skąd emanowało nie tylko życie, ale i przedstawiające dar promienie, które przenikają życie i zasłonę i sięgają w wieczność zaświatów.

A druga stopa Nicci zastygła poza zewnętrznym kręgiem rysunku - nad częścią symbolizującą zaświaty.

Nicci była zawieszona między światem życia a światem śmierci. Richard zdawał sobie sprawę, że na pewno nie jest to zwykły zbieg okoliczności.

Skierował wzrok poza tę niepokojącą scenę i w mrokach za Nicci wypatrywał Nathana i Ann, którzy niczym duchy to pojawiali się w blasku błyskawicy, to znikali z oczu. I oni z powagą obserwowali Nicci otuloną migotliwymi liniami czaru.

Zedd - zjedną dłonią wspartą o kościste biodro, chudym palcem drugiej zaś gładzący pozbawioną zarostu krawędź szczęki - chodził powoli wokół stołu, wpatrzony w rozrastającą się, coraz bardziej skomplikowaną plątaninę połyskliwych zielonych linii.

Na zewnątrz, za wysokimi oknami, co chwila były pioruny, ale grube mury wieży tłumiły dudnienia grzmotów.

Richard popatrzył na twarz Nicci.

- Czy... nic jej nie jest?

Zedd obejrzał się na niego, jakby już zapomniał, że chłopak wszedł do komnaty.

- Słucham?

- Czy nic jej nie jest?

Zedd zmarszczył krzaczaste brwi.

- A niby skąd mam wiedzieć?

Zaniepokojony Richard wyrzucił ramiona w górę, a potem pozwolił im opaść.

- Na litość boską, Zeddzie, czy to nie ty ją tam umieściłeś?

- Niezupełnie - mruknął czarodziej, zacierając dłonie i chodząc wokół stołu.

Richard podszedł bliżej.

- Co się dzieje? Czy Nicci nic nie jest? Czy coś jej grozi? Zedd w końcu

spojrzał na niego i westchnął.

- Właściwie to niczego nie jesteśmy pewni, chłopcze. Nathan wynurzył się z mroku, podszedł do stołu i znalazł się w zasięgu zielonkawej poświaty. W lazurowych oczach wysokiego Proroka malowało się zatroskanie. Lekko wzruszył ramionami i długie białe włosy zakołysały się. Wykonał gest mający dodać otuchy.

- Sądźmy, że nic jej nie jest, Richardzie.

- Wszystko powinno być z nią w porządku - zapewniła go Ann, podchodząc do Nathana.

Szeroki w barach Prorok wznosił się nad nią niczym góra. W prostej wełnianej sukni, z siwiejącymi włosami zebranymi w luźny kok, przy Nathanie wyglądała jeszcze niepozorniej. Richard pomyślał, że prawie wszyscy by tak wyglądali przy Proroku.

- Co to takiego? - Wskazał otaczającą Nicci siatkę geometrycznych linii.

- Czar weryfikacji - odparł jego dziadek.

- Weryfikacji? - Richard się nachmurzył. - Weryfikacji czego?

- Chainfire - odparł posępnie Zedd. - Usiłujemy pojąć, jak działa chainfire, żeby się zorientować, czy jest sposób odwrócenia tego ciągu zdarzeń.

- Aha. - Richard podrapał się w skroń.

Coraz mniej mu się to wszystko podobało. Rozpaczliwie pragnął odszukać Kahlan, a równocześnie ogromnie się martwił tym, co mogłoby się przytrafić Nicci przy takiej próbie rozwikłania tajemniczych mocy stworzonych przez pradawnych czarodziejów. Zedd, Pierwszy Czarodziej, miał umiejętności i talenty, przekraczające pojęcie Richarda, a przecież tamci czarodzieje byli od niego znacznie potężniejsi. I chociaż Zedd, Nathan, Ann i Nicci bardzo dużo wiedzieli i mieli wielki dar, i tak bawili się czymś, co wykraczało poza ich doświadczenie, poza ich uzdolnienia - czymś, czego obawiali się nawet ci pradawni czarodzieje. Ale czyż mieli wybór?

Richard nie tylko bardzo lubił Nicci, ale też potrzebował jej pomocy przy szukaniu Kahlan. Mimo że inni mogli być pod pewnymi względami silniejsi od Nicci i mieć większą niż ona wiedzę, wszystko to, co się z nią wiązało, stawiało ją na zupełnie innej płaszczyźnie. Prawdopodobnie nigdy nie istniała potężniejsza od niej czarodziejka. Nicci z łatwością przychodziło to, co od innych wymagało olbrzymiego wysiłku. Choć było to tak niezwykle, w

porównaniu z innymi cechami Nicci wydawało się Richardowi mało godne uwagi. Nie znał nikogo innego - z wyjątkiem Kahlan - kto równie nieustępliwie jak ona dążyłby do celu. Cara broniłaby go tak samo nieugięcie, lecz Nicci potrafiła okazywać tę nieustępliwą w każdej sprawie, którą się zajęła. Gdy jeszcze walczyła przeciwko Richardowi, jej zaciekle determinacja sprawiała, że była nie tylko nieubłagana skuteczna, ale i ogromnie groźna.

Richard był rad, że to się zmieniło. Odkąd zaczął szukać Kahlan, Nicci stała się jego najbliższą i najbardziej oddaną przyjaciółką. Wiedziała jednak, że serce Richarda należy do Kahlan i że to się nigdy nie zmieni.

Chłopak przeczesał włosy palcami.

- Dlaczego tak wisi w tym czymś?

- Ona jedna wie, jak się posługiwać magią subtraktywną - wyjaśniła Ann.

- Do zapoczątkowania i podtrzymania kaskady chainfire niezbędny jest czynnik subtraktywny. Staramy się pojąć całość czaru: tak jego element addytywny, jak i subtraktywny.

Richard pomyślał, że to ma sens, ale nie uspokoiło go to.

- I Nicci się na to zgodziła? Nathan odchrząknął.

- To był jej pomysł.

Jasne, że tak. Richardowi czasem zdawało się, że ta kobieta szuka śmierci.

W takich chwilach jak ta żałował, że tak mało wie o tych sprawach. Znowu czuł się niedouczony. Wskazał zawieszoną nad stołem całość.

- Nie miałem pojęcia, że do czaru weryfikacji potrzebni są ludzie. To znaczy, nie zdawałem sobie sprawy, że czar tak kogoś oplata.

- My również - powiedział swoim głębokim, władcym głosem Nathan.

Richard poczuł się nieswojo obserwowany przez Proroka, więc przeniósł wzrok na Zedda.

- Co to znaczy?

Zedd wzruszył ramionami.

- Każde z nas po raz pierwszy analizuje czar weryfikacji z wewnętrznej perspektywy. Do tego jest potrzebna magia subtraktywną, więc pewnie od tysięcy lat nie rzucano w ten sposób sieci weryfikacyjnej.

- Więc skąd wiecie, jak to zrobić?

- To, że żadne z nas tego nie robiło - wtrąciła się Ann - nie oznacza, że nie

badaliśmy rozmaitych relacji na ten temat.

Zedd wskazał jeden z pozostałych stołów.

- Czytaliśmy księgę, którą znalazłeś. Chainfire. Jest bardziej zawiła niż cokolwiek, z czym się do tej pory zetknęliśmy, chcieliśmy zatem spróbować zrozumieć wszystko, czego dotyczy. I chociaż nigdy wcześniej nie próbowaliśmy wewnętrznej perspektywy, jest to właściwie tylko rozwinięcie tego, co już wiemy. Jeżeli wiesz, jak rzucić standardowy czar weryfikacji, i masz wymagane elementy daru, możesz także dokonać analizy z wewnętrznej perspektywy. To właśnie robi Nicci i dlatego to ona musiała się tym zająć.

- Skoro istnieje standardowy proces, to po co akurat ta metoda?

Zedd wskazał linie oplatające Nicci.

- Wewnętrzna perspektywa winna precyzyjniej ukazać czar, aż do bardziej podstawowego poziomu niż ten, który się uzyskuje w standardowym procesie weryfikacyjnym. A skoro można się dowiedzieć więcej i Nicci potrafiła rzucić ten czar, uznaliśmy, że należy z tego skorzystać.

Richard zaczął swobodniej oddychać.

- Czyli wykorzystanie Nicci to tylko teoretyczna analiza. Nic więcej.

Zedd odwrócił wzrok od wnuka i lekko rozmasował bruzdy na czole.

- To jedynie proces weryfikacji, Richardzie, a nie zapoczątkowanie kaskady zdarzeń, więc w pewnym sensie nie jest to prawdziwe. Owa nieruchoma forma zmienia to, co prawdziwy czar dokonuje w jednej chwili, w długi proces weryfikacji pozwalający na wszechstronną analizę. To, co widzisz wokół Nicci, chociaż wiąże się z niejakim zagrożeniem, nie jest gotowym do działania czarem. - Odkaszlnął. - Gdy rzucono prawdziwy czar, na miejscu Nicci znajdowała się Kahlan i był on wówczas jak najbardziej skuteczny.

Richard dostał gęziej skórki. Tak mu zaschło w ustach, że ledwie mógł mówić. Serce podeszło mu do gardła. Chciał, żeby to nie była prawda.

- Ale powiedziałaś, że potrzebowaliście Nicci, by rzucić ten czar. Ze mogliście to zrobić tylko dlatego, iż ona posługuje się magią subtraktywną. Kahlan nie potrafiłaby tego zrobić dla Sióstr, no i w żadnym razie nie chciałyby z nimi współpracować.

Zedd potrząsnął głową.

- Siostry oplotły Kahlan prawdziwym czarem. Władają magią subtraktywną i nie była im potrzebna współpraca Kahlan. Potrzebowaliśmy Nicci, żeby uplotła sieć od środka, używając tak magii addytywnej, jak i subtraktywnej, byśmy mogli określić, jak to działa. Obie te magie nie są porównywalne.

- Jak... ?

- Richardzie - przerwał mu łagodnie dziadek - jak już mówiłem, jesteście dość zajęci. Nie ma teraz czasu na rozprawianie o tym. Musimy obserwować cały proces, by móc podjąć próby wydedukowania przybliżonego działania czaru. Pozwól się nam zająć naszą robotą, dobrze?

Chłopak wsunął rękę do kieszeni.

- W porządku.

Obejrzał się na Carę. Dla innych jej mina byłaby pozbawiona wyrazu, ale Richard, który dobrze znał Mord-Sith, potrafił z niej wiele wyczytać. Teraz widział potwierdzenie własnych podejrzeń. Znowu spojrzał na dziadka.

- Macie jakieś... problemy?

Zedd łypnął spod oka na pozostałych i tylko mruknął, wracając do obserwowania geometrycznych form otaczających zawieszoną w powietrzu kobietę.

Richard wystarczająco dobrze znał dziadka, by wiedzieć, iż te ściągnięte rysy oznaczają, że Zedd jest albo niezadowolony, albo bardzo zatroskany. I sam też zaczął się martwić - o Nicci.

Tamci trzymali się z tyłu, by widzieć całą scenę, i ze zmarszczonymi brwiami w skupieniu patrzyli, jak migotliwy czar weryfikacji rysuje nowe linie. Richard podszedł bliżej. Powoli krążył wokół stołu, wreszcie obserwując - po raz pierwszy naprawdę dokładnie - krzyżujące się w powietrzu linie, które oplatały Nicci.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że linie owe tworzą walec, zupełnie jakby coś płaskiego zostało zwinięte wokół Nicci. A to oznaczało, że wszystkie one tworzą dwuwymiarowy rysunek, nawet jeżeli się zawijają i stykają. Rozprostował w wyobraźni ów walec, jakby rozwijał zwój, by zobaczyć kontury, do których był bardziej przyzwyczajony. A kiedy to zrobił, zaczęło do niego docierać, że w tej sieci linii jest coś dziwnie znajomego.

Im dłużej się temu przyglądał, tym bardziej nie mógł oderwać od tego oczu, jak gdyby rysunek go wciągał... wciągał w układ linii, kątów i łuków.

Miał wrażenie, że powinien w tym wszystkim coś rozpoznać, choć nie mógł się domyślić co.

Stwierdził, że pewnie powinien uznać czar, którym opleciono Kahlan, za coś straszliwego i do głębi złego, lecz nie miał takiego wrażenia. Forma zaklęcia po prostu istniała; nie miała cech dobra czy zła.

Naprawdę źli byli ci, którzy rzucili czar na Kahlan. To owe cztery Siostry wykorzystały czar w złych celach. Uczyniły zeń część planu zdobycia szkatuła Ordenu i uwolnienia Opiekuna z zaświatów - wypuszczenia śmierci na świat istot żywych. I to wszystko za zwodnicze obietnice nieśmiertelności.

Richard wpatrywał się w linie. Zaczął śledzić ich rytm, układ i przebieg. Zaczynał się domyślać, co oznaczają.

Zaczynał dostrzegać w tym pewien zamysł.

Wskazał miejsce w pobliżu wyciągniętej prawej ręki Nicci, tuż pod łokciem.

- W tym miejscu jest błąd - powiedział, patrząc w skupieniu na uplecioną ze światła sieć.

Zedd przystanął.

- Błąd?

Richard nie zorientował się, że powiedział to na głos, a przynajmniej nie na tyle głośno, żeby i pozostali go usłyszeli.

- Tak. Tu jest błąd.

Rozdział 5

Richard znów przyglądał się liniom, przechylając głowę, żeby wygodniej i dokładniej śledzić ich przebieg - skomplikowane sploty tras zbiegających się ze wszystkich stron i kończących na wysokości połowy postaci Nicci. Zaczynał pojmować znaczenie owych szlaków i ogólniejszy cel wzoru.

- Uważam, że tutaj brakuje struktury podtrzymującej. - Wskazał palcem w lewo. - Wydaje się, że powinna stąd odchodzić, nie sądzisz? Tutaj powinna się znajdować przebiegająca aż dotąd linia, która wracałaby potem do punktu pod łokciem.

Richard z taką uwagą badał rytm linii, że w ogóle nie zwracał uwagi na pozostałych.

- Niemożliwe, żebyś się w tym orientował - oznajmiła kategorycznie Ann. Jej sceptycyzm nie zniechęcił chłopaka.

- Gdy ktoś pokazuje ci koło, w którym jest spłaszczony odcinek, to wiesz, że coś jest nie tak, prawda? Potrafisz dostrzec, co zamierzano narysować, i rozumiesz, że ten płaski kawałek nie pasuje do reszty.

- Richardzie, to nie jest jakieś nieskomplikowane kółko. Nawet nie wiesz, na co patrzysz. - Opanowała się, zanim jeszcze bardziej podniosła głos. Splotła przed sobą dłonie i głęboko odetchnęła, a dopiero potem kontynuowała: - Po prostu staram się uświadomić ci, że wchodzi tu w grę wiele zawiłości, z których nie zdajesz sobie sprawy. Nawet my troje nie zaczęliśmy się jeszcze orientować w mechanizmach ukrytych za wzorem zaklęcia, a przecież mamy w tych kwestiach wielkie doświadczenie. Ów wzór ciągle nie jest na tyle kompletny, żebyśmy, z naszym doświadczeniem i wiedzą, zaczęli dostrzegać sposób działania czaru. Nie masz pojęcia o tak skomplikowanych wzorach.

Richard, nie patrząc na Ann, machnięciem ręki zbył jej uwagi.

- To bez znaczenia. Ten ma symboliczną postać. Nathan przekrzywił głowę.

- Jaką?

- Symboliczną - mruknął Richard, wpatrzony w krzyżujące się linie. Usiłował wyróżnić zasadniczy wątek.

- No i? - burknął jego dziadek, nim chłopak znów zatopił się w milczącej

obserwacji.

- Rozumiem mowę symboli - odparł w zamyśleniu, znalazłszy wreszcie podstawową linię. Śledził ją poprzez wznoszenie się, opadanie i zapętlenia, z każdą chwilą coraz bardziej dostrojona do całego zamysłu. - Już to mówiłem.

- Kiedy?

- Gdy byliśmy u Błotnych Ludzi. - Richard skoncentrował się na przebiegu wzoru, usiłując wypatrzeć wśród pomniejszych odgałęzień dominujący motyw. - Kahlan tam była. I Ann.

- Obawiam się, że nie pamiętamy tego - rzekł Zedd, widząc, jak Ann z irytacją kręci głową. Westchnął smutno. - Kolejne stracone dla nas wspomnienie o Kahlan. Stracone z winy Sióstr.

Richard właściwie go nie słyszał. Coraz bardziej poruszony, sunął palcem po luce w liniach, tuż pod łokciem Nicci.

- Mówię wam, że tu brakuje linii. Jestem tego pewny. - Odwrócił się ku dziadkowi. I wtedy przekonał się, że wszyscy się w niego wpatrują. - O, tutaj - powtórzył i znów im to wskazał. - Od krańca tego idącego w górę łuku do tego przecięcia się trójkątów. Tu powinna być linia.

- Linia? - Zedd się nachmurzył.

- Tak. - Nie wiedział, dlaczego wcześniej tego nie zauważyli; dla niego było to jasne jak słońce, jakby w piosence zabrakło frazy. - Brakuje linii. Ważnej linii.

- Ważnej - powtórzyła z irytacją Ann.

Richard, coraz bardziej podenerwowany, przesunął dłonią po wargach.

- Bardzo ważnej. Zedd westchnął.

- O czym ty mówisz, Richardzie?

- Mowy nie ma, żebyś się mógł w tym zorientować - zadrwiła Ann, jeszcze bardziej zniecierpliwiona.

- Słuchajcie - rzekł Richard, odwracając się ku nim - to jest symbol, wzór.

Zedd podrapał się po potylicy, rzucając okiem na okno, bo wyjątkowo potężnie się błysnęło, a piorun uderzył tak blisko, że mieli wrażenie, iż grom rozchwieje kamienne ściany wieży. Czarodziej ponownie spojrzął na Richarda.

- I ten wzór... coś ci mówi, chłopcze?

- Tak. Taki wzór jest jak przekład z innego języka. W pewnym sensie właśnie to staracie się zrozumieć, rzucając ten czar weryfikacji. Ta postać

odpowiada zamysłowi mniej więcej tak, jak równanie matematyczne odzwierciedla materialne cechy, na przykład opisuje stosunek obwodu koła do średnicy. Symboliczne wzory też mogą być rodzajem języka, podobnie jak matematyka. Jedno i drugie jest w stanie wyjaśnić naturę rzeczy. Zedd cierpliwie przyglądał włosy.

- Postrzegasz symbole jako formę języka?

- W pewnym sensie. Weźmy na przykład tę Grace pod Nicci. To symbol. Zewnętrzny krąg symbolizuje początek zaświatów, krąg wewnętrzny zaś odpowiada granicom świata istot żywych. Rozdzielający je kwadrat oznacza zasłonę pomiędzy tymi światami. W środku znajduje się ośmioramienna gwiazda symbolizująca światło Stwórcy. Osiem linii, wychodzących z wierzchołków gwiazdy i sięgających aż za zewnętrzny krąg, to symbol daru spływającego od Stwórcy w świat istot żywych i sięgającego poprzez zasłonę aż w śmierć. Całość jest symbolem. Kiedy nań patrzycie, dostrzegacie ów zamysł. Moglibyście rzec, że rozumiecie jego mowę. Jeżeli mający dar nie narysuje poprawnie Grace, a więc nie posłuży się prawidłowo językiem, czar nie zadziała jak powinien i może nawet wyrządzić szkody. Powiedzmy, że zobaczylibyście Grace z dziewięcioramienną gwiazdą lub bez jednego z kręgów. Czyż nie zorientowalibyście się wtedy, że to błąd? A gdyby nie narysowano prawidłowo kwadratu symbolizującego zasłonę, to w odpowiednich okolicznościach, teoretycznie rzecz biorąc, można by nawet rozerwać zasłonę i doprowadzić do połączenia się obu światów. To symbol. Rozumiecie, co przedstawia. Wiecie, jak powinien wyglądać. Jeżeli jest źle nakreślony, widzicie błąd.

Błyskawica zgasła i komnata wydała się ciemna w słabym świetle lamp. Z leżącej poniżej doliny dobiegł złowieszczy huk gromu.

Zedd, całkowicie zneruchomiał, przyglądał się Richardowi z większą uwagą niż przedtem czarowi weryfikacji.

- Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób, chłopcze, lecz przyznaję, że możesz mieć rację.

Nathan znacząco uniósł brew.

- Na pewno ją ma.

- Być może - westchnęła Ann.

Richard przeniósł wzrok z ich srogich min na połyskujące linie.

- O, właśnie tutaj - wskazał - jest błąd. Zedd wyciągnął szyję i wpatrzył się

w linii.

- Dla dobra sprawy powiedzmy, że masz rację. Co to według ciebie oznacza?

Richard z bijącym sercem okrążył stół, pospiesznie kreśląc linie w zakłębieniu. Wodził palcem tuż ponad niemi blasku, wyznaczając ich podstawowy przebieg, zarysy wzoru, strukturę formy.

Znalazł to, czego się spodziewał.

- Tutaj. Popatrzcie tutaj, na tę nowo utworzoną strukturę, która powstała wokół starszych, pierwotnych linii. Przyjrzyjcie się chaotycznej naturze tego nowego fragmentu. Stanowią zmienną, lecz w tym symbolu wszystko powinno być niezmiennie.

- Zmienna... ? - burknął Zedd, jakby myślał, że śledzi rozumowanie Richarda, lecz nagle zrozumiał, że zupełnie się pogubił.

- Tak - powiedział Richard. - To nie jest symbol. To forma biologiczna. Obie wyraźnie się różnią.

Nathan przesunął obiema dłońmi po białych włosach i westchnął, ale nic nie powiedział. Twarz Ann spurpurowiała.

- To twój zakłębienie. Jest bierny! Nie może być biologiczny!

- I w tym problem. - Chłopak zareagował na uwagę Ann, nie na jej gniew. - Nie możecie dopuścić, żeby tego rodzaju zmienne skazyły coś, co powinno być stałe. Bo to przypominałoby równanie matematyczne, w którym każda z liczb mogłaby samorzutnie zmieniać wartość. W takim przypadku równanie straciłoby sens, stałoby się nierozwiązywalne. Symbole algebraiczne mogą się zmieniać, ale nawet wtedy są to ściśle określone współzależne zmienne. Liczby pozostają stałymi. To samo dotyczy struktury. Symbole muszą się składać z niezmiennych stałych, jak zwykle dodawanie czy odejmowanie, można by rzec. Wewnętrzna zmienna zniekształca stałość formy symbolu.

- Nie nadążam - przyznał Zedd. Richard wskazał stół.

- Wyrysowaliście Grace krwią. Grace jest stałą, jest niezmienna. Krew to element biologiczny. Dlaczego tak postąpiliście?

- Żeby zadziało - warknęła Ann. - Musieliśmy to zrobić, żeby zainicjować ogląd czaru weryfikacji z wewnętrznej perspektywy. Tak to się robi. Taka jest metoda.

Richard uniósł palec.

- Otóż to. Rozmyślnie wprowadziliście kontrolowaną biologiczną

zmienną, krew, do elementu stałego, Grace. Pamiętajcie jednak, że zmienna ta pozostaje poza, „na zewnątrz” wzoru zaklęcia jako takiego. To tylko czynnik inicjujący, katalizator. Uważam, że właśnie taka zmienna w Grace pozwala czarowi, który zainicjowaliście, rozwijać się niezależnie od stałej, czyli samej Grace. Rozumiecie? Daje to czarowi weryfikacji nie tylko moc płynącą z Grace, ale i niezależność uzyskaną dzięki tej biologicznej zmiennej, możliwość rozbudowywania się tak, by mógł odsłonić swoją prawdziwą naturę i zamysł.

Zedd spojrział na Mord-Sith.

- Nie patrz na mnie - powiedziała Cara. - Kiedy tylko zaczyna tak gadać, po prostu kiwam głową i uśmiecham się, czekając, aż się zaczną kłopoty.

Zedd zrobił skwaszoną minę. Wsparł dłoń o biodro i przeszedł parę kroków tam i z powrotem.

- W całym moim długim życiu nie słyszałem takiego wytłumaczenia czaru weryfikacji. To jedyne w swoim rodzaju spojrzenie na ów czar. Najbardziej niepokojące jest to, że w pewien przewrotny sposób jest ono sensowne. Nie mówię, Richardzie, że według mnie masz rację, lecz z całą pewnością jest to intrygujący pogląd.

- Jeżeli się nie mylisz - rzekł Nathan - to by oznaczało, że przez te wszystkie lata byliśmy jak igrające z ogniem dzieci.

- O ile ma rację - dodała pod nosem Ann. - Jak dla mnie jest odrobinę za sprytny.

Richard wpatrywał się w znieruchomiałą w powietrzu kobietę, która w tej chwili nie mogła mówić w swoim imieniu.

- Czyją krwią narysowaliście Grace? - zapytał stojącą za nim trójkę.

- Nicci - odparł Nathan. - Sama to zaproponowała. Powiedziała, że to właściwy sposób i że to tylko wtedy zadziała.

Richard odwrócił się ku nim.

- Nicci. Posłużyliście się krwią Nicci?

- Otóż to - przytaknął Zedd.

- Wytworzyliście zmienną... jej krwią... i wpakowaliście ją do środka?

- Nicci powiedziała nam, że tak właśnie należy postąpić - oznajmiła Ann - a poza tym wystarczająco dużo o tym czytaliśmy i myśleliśmy, by wierzyć, że to odpowiednia metoda inicjowania wewnętrznego oglądu.

- Jestem przekonany, że masz rację... w zwykłych okolicznościach. Skoro

wszyscy znacie właściwą metodę rzucania takich czarów, może to oznaczać jedynie, iż owo zniekształcenie jest zupełnie inne niż zwykłe problemy, które mogłyby się pojawiać w trakcie procesu weryfikacji. - Richard przeczesał włosy palcami. - To musiałyby być coś... sam nie wiem. Coś niewyobrażalnego.

Zedd wzruszył ramionami.

- Naprawdę uważasz, Richardzie, że umieszczenie w tym Nicci, skoro to od niej pochodzi krew, może wywołać kłopoty?

Chłopak skubał dolną wargę, chodząc tam i z powrotem.

- Może nie, jeśli pierwotna forma zaklęcia, które weryfikujecie, była nieskażona. Ale ta tutaj nie jest. Jest skażona inną biologiczną zmienną. Uważam, że włączenie źródła kontrolnej zmiennej, czyli Nicci, mogłoby dać skażeniu pełną swobodę.

- To znaczy? - spytał Nathan. Przechadzający się Richard machnął ręką.

- Jakby się dołało oliwy do ognia.

- Coś mi się zdaje, że burza sprowadza naszą wyobraźnię na manowce - odezwała się Ann.

- Jaka biologiczna zmienna mogłaby ewentualnie skazić czar weryfikacji?

- zapytał Nathan.

Richard znów wpatrzył się w linie, śledząc ich przebieg aż do tego straszliwego łuku, który kończył się tam, gdzie powinien mieć podparcie. Wpatrywał się w czekającą lukę w przestrzeni.

- Nie wiem - przyznał w końcu. Podszedł Zedd.

- Twoje pomysły, Richardzie, są oryginalne i na pewno pobudzają do myślenia. Zapewniam cię, że tak jest. Bardzo możliwe, że dzięki takiemu podejściu zrozumielibyśmy o wiele więcej. Ale nie wszystko, co mówisz, jest słuszne. Część twoich pomysłów jest po prostu błędna.

Richard obejrzał się przez ramię.

- Naprawdę? A które?

Zedd raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Po pierwsze, formy biologiczne też mogą być symboliczne. Czyż liść dębu nie jest formą biologiczną? I czyż nie rozpoznajesz w tym formy symbolicznej? A czyż węża nie można przedstawić symbolem? I czyż nie można wyrazić symbolem takiej jedności, istoty, jak drzewo lub człowiek?

Richard zrobił wielkie oczy.

- Masz rację. Nigdy tak na to nie spojrzałem, ale masz rację.

Znów popatrzył, już innym wzrokiem, na wzór zaklęcia. Przyglądał się zagmatwanej płataninie, usiłując zrozumieć, dostrzec sens. Ale choć starał się ze wszystkich sił, nie udawało mu się to. Nie było żadnego wzorca.

Ale dlaczego? Jeżeli szkic miał biologiczną genezę - a wiedział, że tak jest - to, zgodnie z tym, co powiedział Zedd, powinien w tym tkwić podstawowy wzorzec. A nie było żadnego. Jedynie bezładna gmatwanina.

Wtem dotarło do niego, że chyba rozpoznał w tej gmatwaninie mały fragment. To wyglądało... jakoś tak płynnie. Ale nie miało to sensu, bo wypatrzył inny fragmencik, wyglądający dokładnie odwrotnie. Ten drugi fragment bardziej przypominał symbol ognia.

Chyba że było w tym więcej elementów. Drzewu można było przypisać symbol dębowego liścia, symbol żołędzia lub znak odpowiadający całemu drzewu. No a czyż trzy odmienne formy nie mogły jednocześnie skazać zarysu zaklęcia?

Trzy formy.

I wtedy je zobaczył: każdy z tych żywiołów.

Woda. Ogień. Powietrze.

- Drogie duchy - wyszeptał Richard, szeroko otwierając oczy. Wyprostował się. Dostał gęsiej skórki. - Wyciągnijcie ją stamtąd.

- Richardzie - odezwał się Nathan - ona jest całkiem...

- Zabierzcie ją stamtąd. Natychmiast!

- Richardzie... - zaczęła Ann.

- Mówiłem wam, że zaklęcie ma skazę!

- Przecież tego właśnie chcemy się dowiedzieć, nieprawdaż? - powiedziała Ann z wymuszoną cierpliwością.

- Nie rozumiecie. - Chłopak wskazał gmatwaninę lśniących linii. - Tej skazy nikt by nie szukał. Ona ją zabije. Czar już nie jest bierny, on mutuje. Nabiera życia.

- Nabiera życia? - Zedd zmarszczył z niedowierzaniem brwi. - Jak mógłbyś...

- Musicie ją stamtąd wydostać! Natychmiast!

Rozdział 6

Nicci nie mogła się poruszyć ani nic powiedzieć, lecz słyszała wszystko, co mówiono, chociaż głosy brzmiały głucho, słabo i ulotnie, jakby dobiegały z jakiegoś odległego świata poza zielonkawym całunem.

Chciała krzyknąć: „Słuchajcie go!” Ale nie mogła, ciasno opleciona liniami.

A przede wszystkim chciała się wydostać ze straszliwego oplotu dławiącej ją mocy.

Przedtem nie rozumiała prawdziwego znaczenia „wewnętrznej perspektywy” - żadne z nich tego nie rozumiało, żadne nie odgadłoby, o co tu naprawdę chodzi. Dopiero po zainicjowaniu procesu Nicci zorientowała się, że taka perspektywa to nie sposób na dokładniejsze przyjrzenie się czarowi weryfikacji od środka, jak myśleli, lecz raczej metoda, która pozwala dokonującemu analizy doświadczyć czaru „w sobie”. Ale wtedy było już za późno i nie mogła im powiedzieć, że będzie doświadczać zainicjowanego w jej wnętrzu czaru. Oplatające ją linie były zaledwie aurą przywołanej mocy, która w niej rozbłysła. Początkowo było to niemal boskie doznanie.

Jednak wkrótce po zainicjowaniu czaru coś się zaczęło psuć. Cudowna wizja przerodziła się w przerażającą męczarnię. Każda nowa linia przecinająca przestrzeń wokół Nicci miała swój wewnętrzny odpowiednik, który rozszczepiał jej duszę.

Na początku przekonała się, że z obserwacją ogromniejącego czaru łączy się zadowolenie i przyjemność. Zadowolenie i radość, związane z jasną, godziwą stroną życia, tutaj ukazywały całe piękno skomplikowanego czaru. Zupełnie jakby się obserwowało szczególnie piękny wschód słońca, kosztowało przepysznych łakoci lub patrzyło w oczy ukochanej osoby. A przynajmniej było tak jak w marzeniach Nicci o patrzących na nią oczach ukochanego.

Przekonała się również, że - tak jak w życiu - ból towarzyszył poważnym zaburzeniom.

Nicci nigdy by się nie domyśliła, że kiedyś powszechnie stosowano taką metodę analizowania stworzonego czaru - oceniania jego wewnętrznej prawidłowości. Nigdy by nie wpadła na to, jaką złożoność i zakres pozwoli

dostrzec ta metoda. I nigdy by nie odgadła, jak ogromnie boli, kiedy w zakłębciu coś się popsuje.

Zastanawiała się, czy należałaby na wykorzystanie tej metody, gdyby to wszystko wiedziała. Uznała, że tak, gdyby to mogło pomóc Richardowi.

Ale w tej chwili liczył się dla niej prawie wyłącznie ból. Przekraczał wszystko, czego kiedykolwiek doznała. Nawet Nawiedzający Sny nie był w stanie zadać jej takiego bólu. Mogła myśleć jedynie o tym, jak się uwolnić od tej męki. Ze pragnie się uwolnić od tej męki. Skaza wewnątrz czaru była tak wielka, że Nicci nie miała wątpliwości, iż dalsze doświadczanie tego skończy się dla niej fatalnie.

Richard wskazał im, w którym miejscu czar zaczął się psuć. Pokazał fundamentalny błąd. Rozdzierała ją ta ukryta w zakłębciu skaza. Czuła, jak ucieka z niej życie, jak przesącza się poza ten straszliwy zewnętrzny krąg Grace. A Grace, wyrysowana jej krwią, stała się jej życiem i mogłaby się stać jej śmiercią.

W tej chwili Nicci trwała w obu światach, a żaden z nich nie był dla niej całkowicie realny. Będąc wciąż jeszcze w świecie istot żywych, czuła, jak nieubłagane osuwa się w mroczną zewnętrzną otchłań.

Wokół niej nieustannie bladł świat istot żywych.

W tej chwili była bliska pogodzenia się z tym, osunięcia w wiekuisty niebyt, byle tylko zniknął ból.

Chociaż Nicci nie mogła się poruszyć, widziała komnatę - nie oczami, lecz swoim darem. Mimo udręki uważała, że ta niecodzienna forma oglądu to wspaniałe doznanie. Widzenie uzależnione wyłącznie od daru było bliskie wszechwiedzy. Dostrzegała więcej, niż kiedykolwiek potrafiła zobaczyć oczami. I choć cierpiała, czuła piękno i wagę owego doświadczenia.

Poza siecią zielonkawych linii Richard przenosił wzrok z jednej zaskoczonyj twarzy na drugą.

- Co z wami? Macie ją stamtąd wydostać!

Zanim Ann zdążyła rozpocząć kazanie, Zedd dał jej znak, żeby była cicho. Czarodziej upewnił się, że Ksieni nie otworzy ust, a potem zajął się wnukiem.

Kolejna linia opuściła przecięcie i wykreśliła drogę w przestrzeni. Nicci miała wrażenie, że tępa igła wbija się w jej duszę i przewleka przez nią świetlistą nić, sprawiając potworny ból i jeszcze bardziej szepiając ją z

mroczną śmiercią. Pozostało jej tylko jedno - zachować przytomność. Mimo że coraz bardziej kusiła ją rezygnacja.

Zedd wskazał Nicci.

- Nie możemy, Richardzie. To się musi dokonać. Czar weryfikacji buduje się, tworząc całą serię sprzężeń, i poprzez to dostarcza informacji o swojej naturze. Nie można zatrzymać procesu weryfikacji, kiedy już się rozpocznie. To niemożliwe. Musi przebiec od początku do końca i dopiero wtedy zaniknie.

Nicci znała tę ponurą prawdę. Richard chwycił dziadka za ramię.

- Jak długo? - Potrząsał starcem jak lalką. - Jak długo to potrwa?

Zedd odsunął rękę wnuka.

- Nigdy nie widzieliśmy takiego zaklęcia. Trudno zatem powiedzieć. Ale skoro jest tak złożone, to nie sądzę, żeby zajęło to mniej niż trzy, cztery godziny. Ona tkwi już w tym godzinę, więc to potrwa jeszcze parę godzin, nim dobiegnie do końca i zaniknie.

Nicci wiedziała, że nie ma już dla siebie godzin. Zostało jej zaledwie parę chwil, a potem skaza przeciągnie ją na zawsze poza zasłonę, do świata umarłych. Uważała, że to dziwny sposób zakończenia życia. Taki nieoczekiwany. Taki spokojny. Taki bezcelowy. Chciałaby, żeby ów kres przynajmniej w jakiś sposób pomógł Richardowi lub żeby nastąpił dopiero wtedy, gdy się dowiedzą, że coś osiągnęli. Pragnęła, żeby jej śmierć dała mu coś dlań cennego.

Richard odwrócił się i patrzył na nią.

- Nie przetrwa tak długo. Musimy ją zaraz stamtąd wydostać. Uśmiechnęła się w duchu, chociaż tak cierpiała. Do końca. Richard do końca walczyłby ze śmiercią.

- Richardzie - odezwał się Zedd - nie mogę pojąć, skąd to wiesz. Nie twierdzę, że ci nie wierzę, ale nie możemy przerwać czaru weryfikacji.

- Dlaczego?

- Prawdę mówiąc - westchnął czarodziej - nie wiem nawet, czy to możliwe. A gdyby nawet było możliwe, żadne z nas nie wie, jak to zrobić. Standardowy proces weryfikacji wytwarza mechanizmy chroniące go przed ingerencją. A ten tutaj jest znacznie bardziej skomplikowany.

- To tak, jakby się próbowało zsiąść z konia galopującego granią - odezwał się wysoki Prorok. - Musisz poczekać, aż koń zakończy bieg, i

dopiero wtedy zeskokczyć, bo inaczej się zabijesz.

Richard wrócił do stołu i gorączkowo badał wzrokiem uplecioną ze światła strukturę. Nicci zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę, że sieć, chociaż do pewnego stopnia namacalna, jest w istocie jedynie aurą szalejącej w jej wnętrzu mocy.

Kolejna linia rozwijała się z przecięcia pod absolutnie złym kątem i Nicci aż się zachłysnęła. Czuła, jak powoli rozdziera się coś bardzo ważnego w jej wnętrzu. Ból przenikał ją aż do szpiku kości. Zobaczyła mrok otaczający komnatę i zrozumiała, że patrzy w inny świat, mroczny świat, w którym nie będzie już cierpienia.

Pozwoliła sobie na dryfowanie ku tamtemu światu.

Wtem dojrzała coś w mrokach zaświatów. Opamiętała się i cofnęła od czarnej granicy śmierci.

Z mroków tupały jakieś połyskujące ślepie, niczym dwa żarzące się węgle. Złowrogie, płonące ślepie wpatrywały się w Richarda.

Nicci rozpaczliwie usiłowała ostrzegawczo krzyknąć. Serce jej pękało, że nie może tego zrobić.

- Spójrzcie - wyszeptał wpatrzony w nią chłopak - łza spływa po jej policzku.

Ann ze smutkiem pokręciła głową.

- Pewnie dlatego, że nie może mrugnąć.

Richard gniewnie zaciskał pięści i krążył wokół stołu, starając się rozszyfrować znaczenie linii.

- Musimy znaleźć sposób zakończenia tego. Musi być jakiś sposób.

Dziadek łagodnie położył mu dłoń na ramieniu.

- Przysięgam, Richardzie, że zrobiłbym to, gdybym potrafił, ale nie znam sposobu na zatrzymanie czaru weryfikacji. A w ogóle, dlaczego się tak denerwujesz? Skąd ten nagły pośpiech? Dlaczego uważasz, że coś skaża czar?

Nicci skupiła uwagę na stworze tupałym z mrocznego świata umarłych. Stwór o pałających ślepiach zniknął, ilekroć błyskawica rozjaśniała komnatę. Widoczny był tylko wtedy, kiedy zapadała ciemność.

Richard przeniósł wzrok z linii na twarz Nicci. Niczego nie pragnęła bardziej niż tego, by ją uwolnił od męki zadawanej przez czar, od szarpiącej ją śmiertelnej magii, lecz wiedziała, że nie może tego zrobić. Chętnie

oddałaby życie za jedną chwilę w jego ramionach.

Wreszcie chłopak powiedział cicho, z rezygnacją:

- Demony.

Ann przewróciła oczami. Nathan westchnął z ulgą, jakby się nareszcie zorientował, że Richard po prostu fantazjuje. Zedd uniósł brwi.

- Demony? Obawiam się, Richardzie, że tym razem się pomyliłeś. To po prostu niemożliwe. Demony są częścią zaświatów. I chociaż z pewnością pragną wniknąć do naszego świata, nie są w stanie. Są na zawsze uwięzione w zaświatach.

- Dobrze wiem, czym są demony - odparł niemal szeptem Richard. - Kahlan je uwolniła. Uwolniła je, żeby ocalić mi życie.

- Na pewno nie wiedziałaby, jak to zrobić.

- Nathan jej powiedział, jak to zrobić. Wyjawiał jej ich imiona: Reechani, Sentrosi, Vasi. Woda, ogień, powietrze. Tylko przywołanie ich mogło ocalić mi życie. To był akt rozpaczny.

Nathan aż rozdziawił usta ze zdumienia, lecz zamilczał. Ann zerknęła podejrzliwie na Proroka. Zedd rozłożył ręce.

- Mogło jej się wydawać, Richardzie, że je przywołuje, lecz zapewniam cię, że ta procedura jest niezmiernie skomplikowana. Poza tym wiedzielibyśmy, że demony znalazły się w naszym świecie. Przynajmniej tym się nie musisz martwić. Demony nie zostały uwolnione.

- Już nie są wolne - odparł posępnie chłopak. - Przepędziłem je do zaświatów. Ale Kahlan zawsze wierzyła, że ponieważ nieświadomie ściągnęła je do naszego świata, swoim czynem zapoczątkowała zniszczenie samej magii. Sądziła, że to zapoczątkowało kaskadę zdarzeń, jak to nam niegdyś wyjaśniłeś.

Zedd był ogromnie zaskoczony.

- Kaskada zdarzeń... Tylko ode mnie mogłeś to usłyszeć. Richard, pogrążony we wspomnieniach, skinął głową.

- Usiłowała mnie przekonać, że obecność demonów skaziła magię i że wygnanie ich do zaświatów nie odwróci tego skażenia. Nie wiedziałem, czy ma rację czy nie. Teraz wiem, że ma.

Wskazał ten okropny punkt przed Nicci, sam rdzeń jej bólu, jej udręki, jej kresu.

- Oto dowód. To nie demony, lecz skaza, którą wywołała ich obecność.

Kontaminacja magii. Owa kontaminacja skaziła nasz świat. Przyciągnęła ją moc tego zaklęcia. Skaziła czar chainfire i to zabije Nicci, jeżeli jej stamtąd nie zabierzemy.

W komnacie zrobiło się jeszcze ciemniej. Udręczona Nicci ledwie widziała. Ale wciąż dostrzegała za Richardem te złowrogie ślepie; skryte w mroku obserwowały, czekały. Wyłącznie ona wiedziała, że tam są, w widmowej przestrzeni między światami.

Richard nigdy się nie dowie, co go dopadło.

Nicci nie miała jak go ostrzec. Poczowała, że po jej twarzy spływa kolejna łza.

Richard spostrzegł tę łzę i jeszcze bardziej pochylił się ku Nicci. Z determinacją przesunął palcem nad zasadniczymi liniami, ważnymi węzłami i głównym zrębem symbolu, jak to nazywał.

- To powinno być wykonalne - upierał się.

Ann wyglądała na solidnie zdenerwowaną, ale milczała. Nathan patrzył z kamienną rezygnacją.

Zedd jeszcze wyżej podciągnął rękawy na chudych rękach.

- Richardzie, nie można zatrzymać zwykłego czaru weryfikacji, a co dopiero takiego jak ten!

- Wcale nie - odparł chłopak z irytacją. - Tutaj. Widzisz? Najpierw musisz przerwać ten tutaj szlak.

- Kurczę, Richardzie, niby jak mam zrobić coś takiego?! Czar sam siebie chroni. Tę sieć buduje tak magia addytywna, jak subtraktywną. I obie tworzą osłony.

Richard chwilę wpatrywał się w spurpurowiałą twarz dziadka, a potem znów zajął się gmatwaniną linii. Raz jeszcze spojrzął na Nicci, a potem ostrożnie przesunął rękę przez sieć i dotknął czarnej sukni kobiety.

- Ocalę cię - wyszeptał.

Żadne słowa nigdy nie były słodsze, chociaż wiedziała, że on nie rozumie, iż to czcza obietnica.

Kiedy palce Richarda dotknęły sukni, zaklęcie z dwuwymiarowego stało się trójwymiarowe i przypominało teraz ciernisty krzak. A Nicci miała wrażenie, że przebił ją nożem. Walczyła o zachowanie przytomności. Skoncentrowała się na jarzących się w mroku ślepiach. Musiała znaleźć sposób, żeby ostrzec Richarda.

Jego dłoń znieruchomiła. Ostrożnie ją cofnął. Zaklęcie znów stało się dwuwymiarowe.

Nicci westchnęłyby z ulgą, gdyby mogła oddychać.

- Widziałeś?

- No pewnie - potwierdził Zedd. Richard spojrzął przez ramię na dziadka.

- Czy ono powinno mieć taką zdolność?

- Nie.

- Też tak myślałem. Powinno pozostawać bierne, ale biologiczna zmienna, skazawszy je, zmieniła naturę pierwotnej formy zaklęcia.

Zedd rozmyślał o tym ze ściągniętą twarzą.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to coś zmienia działanie czaru.

Richard skinął głową.

- Co gorsza, to losowa zmienna. Kontaminacja wywołana obecnością demonów w naszym świecie jest biologiczna i ewoluuje prawdopodobnie w ten sposób, by móc atakować rozmaite rodzaje magii. Ten czar niewątpliwie będzie dalej mutował. Zapewne nie można przewidzieć, jak się zmieni, lecz z tego, co tutaj widać, wynika, że będzie się stawać coraz bardziej śmiertcionośny. Mogłoby to zmienić chainfire w coś jeszcze gorszego, jakby ten czar sam w sobie nie był wystarczająco fatalny. Całkiem możliwe, że wszyscy, na których podziała, będą mieli większe problemy niż utrata wspomnień dotyczących Kahlan.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Zedd.

- Zastanów się tylko, o jak wielu wydarzeniach ledwo co wiążących się z Kahlan zapomnieliście. Może to właśnie utracone wspomnienia umożliwiają kontaminacji infekowanie osób, na które działa chainfire.

Zapoczątkowana kaskada chainfire była sama w sobie wystarczająco niebezpieczna, to wszystko zaś czyniło ją katastrofalną ponad wszelkie wyobrażenie.

Ann gotowała się z wściekłości. Zgrzytnęła zębami.

- Gdzie się nauczyłeś takich bzdur? Zedd spojrzął na nią gniewnie.

- Bądź cicho.

- Mówiłem, że potrafię czytać symbole. Ten tutaj jest bardzo zniekształcony.

Nathan popatrzył na okna, za którymi zaśniła błyskawica. Kiedy w

komnacie znów pociemniało, Nicci ponownie ujrzała stwora spoglądającego z mrocznego świata.

- I naprawdę uważasz, że czar w jakiś sposób szkodzi Nieci? - spytał Zedd.

- Wiem, że tak. Spójrz na tę rozbieżność, o tutaj. Coś takiego jest śmiertelne nawet bez tego tam pęknięcia. Sporo wiem o figuratywnych odwzorowaniach mających związek z letalnością.

Zedd spojrział złowieszczo na wnuka.

- Chcę wiedzieć, o czym ty mówisz. Co rozumiesz pod „figuratywnymi odwzorowaniami mającymi związek z letalnością”.

- Później. Najpierw musimy ją stamtąd wydostać, i to natychmiast.

Czarodziej z rezygnacją pokręcił głową.

- Chciałbym znać na to sposób, Richardzie. Naprawdę bym chciał, ale jak już mówiłem, nie znam. Jeżeli spróbujesz ją wyciągnąć, zanim się skończy weryfikacja, z pewnością ją to zabije. Tyle wiem.

- Dlaczego?

- Bo jej życie zostało, że tak powiem, zawieszona. Nie widzisz, że nie oddycha? Otaczający Nicci zarys czaru podtrzymuje w niej życie, bo póki trwa weryfikacja, wszelkie niezbędne do życia funkcje są zablokowane. W pewnym sensie Nicci jest teraz częścią czaru. Wyciągnij ją, a zniszczysz to, co utrzymuje ją przy życiu.

W Nicci zamarło serce. A przez chwilę zaczynała już wierzyć Richardowi, wierzyć, że mu się to uda. Jednak nic z tego.

A jarzące się ślepie cały czas patrzyły. Nicci widziała teraz sylwetkę stwora tkwiącego w mroku przy wysokim regale. Istota przypominała człowieka przekształconego w straszliwą bestię ze ścięgien i węzlastych mięśni. Jej oczy jarzyły się z mroków samej śmierci.

To była bestia ścigająca Richarda. Nasłana przez Jaganga, Nawiedzającego Sny.

Nicci dałaby wszystko, żeby ją powstrzymać, utrzymać z dala od chłopaka, ale nie była zdolna do najlżejszego ruchu. Każda nowa nitka blasku coraz mocniej łączyła ją z jej fatum, nieubłaganie wciągała ją w czerń znajdującą się poza życiem wieczności.

- Chociaż mutuje - rozmyślał na głos Richard - nadal ma elementy podtrzymujące.

- Richardzie, czar weryfikacji to proces autonomiczny. Nawet jeżeli, jak mówisz, mutuje, to i tak nie można go zatrzymać.

- Gdyby można to zatrzymać - mruzczał chłopak - czar uwolniłby ją i nie musielibyśmy jej wyciągać, póki by podtrzymywał jej życie.

Zedd wzdychał i potrząsał głową, jakby myślał, że wnuk nic nie pojął z jego wyjaśnień.

Richard ostatni raz badawczo przyjrzał się liniom, a potem nagle dotknął palcem punktu przecięcia wytworzonego przed polem kontaminacji.

Dotknięta linia zniknęła.

- Drogie duchy - powiedział Nathan.

Cień zrobił krok w przód. Nicci widziała teraz jego kły.

Miała wrażenie, że linia, która zniknęła, zabrała ze sobą część jej. Ze wszystkich sił czepiała się życia. Gdyby Richard naprawdę to zrobił, gdyby naprawdę wymazał zaklęcie, mogłaby go ostrzec.

Jeśli wytrzyma tak długo.

Richard cofnął palec. Linia znów zajaśniała. Nicci poczuła, że przeszywa ją ostry jak brzytwa grot. Świat się zakołysał.

- Widzicie?

Zedd wyciągnął rękę, żeby zrobić to samo, ale cofnął ją z okrzykiem bólu, jakby się poparzył.

- Chroni to magia subtraktywną - odezwała się Ann. Zedd posłał jej mordercze spojrzenie.

- A pamiętasz osłony w Pałacu Proroków? - chłopak spytał Ann. - Przypominasz sobie, że mogłem przez nie przechodzić?

Ksieni potaknęła.

- Ciągle jeszcze mam o tym koszmary.

Richard znów wyciągnął rękę, tym razem pospiesznie, i zablokował nic światła. Ponownie zgasła.

Wtedy przytknął palec drugiej dłoni do punktu przecięcia przed pociemniałą nitką. W okamgnieniu pociemniało więcej linii. Przesunął palec pierwszej dłoni ku kolejnemu węzłowi. Cofał się po zarysie, zmuszając czar, żeby się zwijał do wewnątrz.

Pociemniała nitka mknęła wokół Nicci. Docierała do węzłów, zakręcała i biegła po łukach, niksząc. Zgaszona przez Richarda nitka zniknęła ze wzoru, zaburzając dynamikę rytmu.

Nicci była zdumiona tym, co się działo z przenikającą ją formą zaklęcia. Wyczuwała cały proces wygaszania; wyglądało to tak, jakby kwiat stulał płatki.

W jej magicznym oglądzie komnata znowu jaśniała, niczym rozpalona błyskawicą. Ale Nicci wiedziała, że to nie blask piorunu.

Łypnęły badawczo jarzące się ślepie, jakby i stwór wyczuł zakłócenia przepływu mocy wywołane zniknięciem zgaszonej przez Richarda linii.

Czyżby nikt oprócz Nicci nie zdawał sobie sprawy, że chłopak wykorzystuje swój dar, żeby przeniknąć te osłony? A użycie daru przyciągało bestię z zaświatów.

Na zewnątrz załśniła prawdziwa błyskawica i zagrzmiało. W komnacie zamigotał nie tylko blask błyskawicy, ale i zarys czaru z zakłóconym przepływem mocy. Ściana okien to pojawiała się w oślepiającym błysku, to niknęła w atramentowej czerni.

Nicci miała wrażenie, że oba potężne wyładowania przeszywają ją na wylot. Nie pojmowała, jakim cudem jeszcze żyje. Z całą pewnością jedynie dlatego, że Richard wymazywał czar, nie niszcząc go. Metodycznie go wygaszał, jakby zdmuchiwał płomyki stojących rządkiem świec.

Richard, skoncentrowany na tym, co robi, przesunął niżej drugą dłoń i zablokował kolejną linię. Ta zaczęła ciemnieć i zniknęła w całej skomplikowanej sieci.

Cień bestii zaczął się wynurzać z zaświatów, przechodzić stopniowo do świata istot żywych. Poruszała kończynami, jakby jej to przychodziło z trudem, jakby wypróbowywała nowo powstałe mięśnie. Rozdziawiła paszczę i kły załśniły w świetle lamp.

Nikt jej nie zauważył. Wszyscy wpatrywali się w oplatające Nicci linie.

Nadal blokując jeden splot linii, Richard ostrożnie umieścił palce tak, żeby wygasić poprzedzającą go strukturę.

Zaczął się rozpadać cały rysunek - sieć utraciła nie tylko najważniejsze struktury podtrzymujące, ale i zwartość. Otwierały się załomki. Rozchodziły węzły i opadały tworzące je nitki. Inne nici uderzały o siebie, czemu towarzyszyły rozbłyski i gaśnięcie kolejnych linii.

Nagle - jakby zapadła kurtyna - runęła reszta sieci. Nicci poczuła, jak odpływa szalejąca w niej moc. Kiedy opadająca i zwijająca się sieć linii dotknęła Grace, symbol pociemniał. I w jednej chwili zniknął.

Nicci, uwolniona z kokonu, poleciała na stół, gwałtownie wciągając powietrze, i zachłysnęła się wewnętrznym krzykiem. Nie mogła się utrzymać na nogach i zsunęła się z blatu.

Richard ją chwycił. Pod ciężarem bezwładnego ciała opadł na kolano. Utrzymał równowagę i przytulił Nicci, chroniąc ją przed uderzeniem o kamienną posadzkę.

Na zewnątrz rozszalały się błyskawice, oświetlając komnatę rozbłyskami migotliwego blasku.

I wtedy bestia, pozbawiona duszy istota, którą stworzono w jednym tylko celu, opuściła zaświaty, świat umarłych, i w pełni zmaterializowała się w świecie istot żywych.

A potem skoczyła na Richarda.

Rozdział 7

Nicci, bezwładna i bezsilna, trwała w ramionach Richarda, nie mogąc wykrzesać z siebie siły, żeby go ostrzec przed bestią, która zaraz go dopadnie. Ostatni oddech poświęciłaby na to ostrzeżenie, ale to oddechu jej teraz brakowało.

Przed śmiercią ocaliła chłopaka Cara, rzucając się na atakującą bestię i spychając ją w bok. Mordercze zęby złapały wyłącznie powietrze, lecz pazury przejechały po barku Richarda. Podcięty przez Mord-Sith stwór, przetoczył się obok chłopaka i łupnął w jeden z ciężkich regałów. Posypały się kości, książki i szkatuły.

Bestia się podniosła. Warczała, pokazując kły i naprężając mięśnie. Przez chwilę stała prosto - była o dobrą stopę wyższa od Richarda, bary zaś miała niemal dwukrotnie szersze. Kostne wyrostki znaczyły wygięty kręgosłup. Potężne mięśnie okrywały ciemne, skórzaste ciało, przypominające zasuszone zwłoki.

Stwór ten właściwie nie był żywą istotą, a jednak poruszał się i reagował jak ona. Nicci wiedziała, że jest pozbawiony duszy i dlatego jeszcze bardziej niebezpieczny. Wyczarowano go po części z iskry życia i Handaru - żyjących ludzi. Kierował nim jeden cel wpojony mu przez jego twórców - Siostry Mroku imperatora Jaganga.

Bestia natychmiast się pozbierała i runęła na Richarda. Cara smagnęła ją Agielem. Nie zrobiło to bestii najmniejszej krzywdy, ale gwałtownie się zatrzymała, z oszalamiającą prędkością obróciła ku Mord-Sith i uderzyła ją. Cara wyleciała w powietrze i uderzyła w szafkę biblioteczną, przewracając ją. Nie podniosła się spośród ksiąg i rozłupanego drewna.

Za wysokimi oknami znowu błysnęło i Zedd wykorzystał okazję. Wyrzucił przed siebie rękę i posłał jarzący się grot mocy, który rozjaśnił komnatę. Na ciemnej piersi bestii zapłonęły ogniki białego żaru. Smugi sadzy dowodziły, że stwór naprawdę oberwał - ale nie odniósł żadnej szkody.

Richard położył Nicci na podłodze; dopiero teraz znów mogła oddychać. Podparła się na łokciu i chciwie wciągała tak potrzebne jej powietrze. Widziała krew spływającą z ramienia chłopaka. Wstał, żeby stawić czoło napastnikowi, odruchowo sięgnął po miecz, ale miecza nie było.

Zawahał się na moment, a potem wyciągnął nóż z pochwy u pasa. Ciął bestię z taką siłą, że ta aż się zatoczyła. Stwór, zbity z nóg, potoczył się po kamiennej posadzce i zatrzymał dopiero wtedy, kiedy uderzył w jeden z masywnych regałów. Ze skaleczonego ramienia zwisały mu strzępy zeschniętej skóry. Ale natychmiast się poderwał, gotów do kolejnego ataku.

Ann i Nathan posłali ku bestii ogniste groty. Jednak magiczny ogień nie spalił stwora, przeciwnie - spłynął po nim. Bestia, nietknięta, zaryczała z wściekłością. Ostrze noża tkwiącego w dłoni Richarda zaśniło w blasku błyskawicy. Stwór - cały z kłów i pazurów - znów skoczył na chłopaka.

Richard się odsunął, płynnie uniknął ataku i głęboko, aż po rękojeść, wbił nóż w pierś bestii. Był to wspaniale wyprowadzony cios. Niestety, podobnie jak wcześniejsze, nie wyrządził bestii najmniejszej krzywdy.

Stwór zawrócił z niesamowitą szybkością i chwycił Richarda za przegub. Nim jednak zdążył zamknąć chłopaka w morderczym uścisku, ten się wywinął i znalazł za jego plecami. Zacisnął z wysiłku zęby, wyginając w tył ramię bestii. Nicci słyszała, jak wyłamują się stawy i pęka kość. Ale uraz nie powstrzymał potwora - okręcił się, machając połamanym ramieniem jak cepem. Richard schylił się i odskoczył, kiedy śmignęły śmiertelne pazury.

Zedd rozpalil kulę płynnego ognia. Nawet błyskawice ustały, gdy pojawiła się tak potężna moc. Komnata drżała od wycia śmiertelnej mocy, którą uwolnił czarodziej. Kula wrzącego ognia pomknęła przez mroczną komnatę, oświetlając stoły, krzesła, półki, kolumny i twarze obserwujących jej lot ludzi.

Bestia spojrzała przez ramię na żółtą, płomienistą kulę, pędzącą z rykiem przez komnatę i wyzywająco wyszczerzyła zęby.

Nicci uznała, że to dziwne i że oznacza to, iż stwór nie boi się ognia wyczarowanego przez Zedda. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło przetrwać taki atak... lub się go nie bać. W końcu nie był to zwyczajny ogień, lecz zmaterializowana straszliwa groźba.

Ogień czarodzieja już miał trafić w cel, kiedy bestia po prostu zniknęła.

A kula ognia uderzyła o kamienną posadzkę i rozprysnęła się po dywanach i stołach niczym zalewająca brzeg fala. Chociaż ogień czarodzieja został wyczarowany z myślą o konkretnym przeciwniku, to - pozbawiony swojego celu - mógłby z łatwością unicestwić ich wszystkich. Nicci dobrze o tym wiedziała.

Nim ogień zdążył spalić komnatę lub któreś z nich, Zedd, Nathan i Ann rzucili kolejne zaklęcia. Zedd robił, co mógł, żeby odwołać swoją moc, a tamci gasili płomienie, żeby się nie wymknęły spod kontroli. Tłumili każdą kropelkę nieustępliwego płynnego ognia, w powietrze biły kłęby pary. Przeżyli ciężkie chwile, ale udało się im.

Nicci spostrzegła, jak za zasłoną mgły z mroku wyłania się bestia.

Stwór pojawił się za Zeddem, w tym samym miejscu, w którym się po raz pierwszy zmaterializował. Jedna Nicci zorientowała się, że ukazał się nie tam, gdzie zniknął. Jeszcze nigdy nie widziała stwora, który mógłby swobodnie chować się w zaświatach i z nich powracać. Pojmowała, że to dzięki temu właśnie bestia była w stanie wysledzić Richarda i iść jego tropem przez wielkie przestrzenie. Wiedziała również, że stwór nie spocznie - choćby musiał przybierać nie wiadomo jakie kształty - dopóki go nie dopadnie.

Richard wcześniej niż pozostali zauważył gnającą ku niemu bestię i krzykiem ostrzegł Zedda, który stał na linii szaleńczej szarży potwora. Czarodziej skontrował ów atak, tworząc kanciastą tarczę z mocno skondensowanego powietrza. Sztuczka odrobinę zmieniła trasę bestii. Richard wykorzystał okazję i ciął napastnika. Ale bestia zniknęła, nim dosięgnął jej nóż, i natychmiast pojawiła się za ostrzem.

Wyglądało to tak, jakby się z nimi bawiła, lecz Nicci wiedziała, że to nie zabawa. To tylko pozbawiony duszy stwór stosował rozmaite metody, żeby dopaść Richarda. Nawet gniewne ryki miały przede wszystkim osłabić ofiarę, wzbudzając w niej strach, a tym samym ułatwiając atak. Bo gniew był pozorowany - zdolność odczuwania jakichkolwiek emocji ograniczałaby bestię, dlatego Siostry imperatora Jaganga pozbawiły ją tego. Stwór nie był w stanie odczuwać gniewu. Po prostu nieubłaganie dążył do celu.

Ann i Nathan zesłali na bestię tysiące drobnych, twardych jak gład, śmiercionośnych ostrzy, które mogłyby obdrzeć wołu ze skóry, lecz ta bez wysiłku uniknęła ataku, niknąc w mrokach i pojawiając się w innym miejscu.

Nicci uświadomiła sobie, że żadne z nich nie potrafi powstrzymać bestii.

Wyteżając wszystkie siły, popełzła zatem przez posadzkę, szukając Cary. Mord-Sith nadal leżała pod ścianą, nieprzytomna. Nicci dotknęła jej skroni i posłużyła się magią, by ocucić ją i dodać jej sił. Potem chwyciła ją za skórzany uniform, kiedy Mord-Sith nagle spróbowała wstać.

- Wysłuchaj mnie - rzekła Nicci. - Jeśli chcesz ocalić Richarda, musisz mnie wysłuchać. Nie powstrzymasz tego stwora.

Cara nie lubiła pouczeń, zwłaszcza gdy chodziło o chronienie Richarda. Ujrzała zagrożenie i wkroczyła do akcji. Kiedy bestia się odwróciła, wpatrzona w chłopaka, Mord-Sith rzuciła się na nią i zabiła ją z nóg. Zanim stwór się pozbierał, Cara wskoczyła mu na grzbiet, niczym na nie ujeżdżonego konia, i wbiła Agiel w podstawę czaszki. To zabiłoby każdego człowieka. Gdy stwór uniósł się na kolanach, Cara przejechała mu Agielem po gardle.

Bestia sprawnym ramieniem chwyciła Agiel i bez wysiłku wyrwała go Mord-Sith. Cara skoczyła po oręż i odzyskała go, ale otrzymała kolejny cios, po którym potoczyła się po posadzce.

Każdy cofał się, usiłując się utrzymać poza zasięgiem śmiertelnych pazurów bestii, ona zaś odrzuciła w tył głowę i zaryczała. Ryk był tak ogłuszający, że wszyscy się wzdrygnęli. Za oknami zapłonęły błyskawice i gmatwanina jaskrawych błysków i cieni utrudniała widzenie.

Zedd, Nathan i Ann wyczarowali powietrzne osłony i starali się odepchnąć nimi potwora - ale ten potrafił przedzierać się przez nie i atakował ich, zmuszając do odwrotu.

Nicci wiedziała, że tych troje nie powstrzyma zagrożenia; ich moc do tego nie wystarczała. Richard też raczej nie dałby rady.

Tamci walczyli, wykorzystując całą swoją wiedzę i uzdolnienia, a Nicci znów chwyciła Carę za skórzany uniform i przyciągnęła ku sobie.

- Jesteś gotowa zrobić to po mojemu? A może chcesz, żeby Richard zginął?

Cara, zdyszana z wysiłku, gotowa była zionąć ogniem, ale nie zignorowała słów Nicci.

- Co mam zrobić?

- Bądź gotowa pomóc. Musisz zrobić dokładnie to, co powiem.

Mord-Sith skinęła głową, a Nicci weszła na stół. Postawiła stopę pośrodku Grace wyrysowanej jej krwią, a drugą umieściła poza zewnętrznym kręgiem.

Ann, Zedd i Nathan rzucali na szalejącą bestię wszystkie znane sobie zaklęcia: sieci iskrzącej się mocy zdolne przeciąć kamień, skondensowaną moc potrafiącą wygiąć żelazo, grad powietrznych kulek tak twardych, że

mogłyby zetrzeć na proch kość. Ale nie wyrządzili bestii najmniejszej krzywdy. Czasem ich moc na nią nie działała, innym razem bestia odpychała to, co jej akurat zagrażało, lub unikała ataku, znikając i pojawiając się po chwili.

Stwór ponownie skoncentrował się na swoim celu i skoczył ku Richardowi. Ten uchylił się i kolejny raz przejechał nożem po twardej skórze, starając się odciąć bestii ramię. Nicci wiedziała, że i te wysiłki na nic się nie dadzą.

Troje czarodziejów wykrzykiwało polecenia, usiłując znaleźć sposób zniszczenia stwora, Cara zaś, rozdarta między chęcią pomocy Richardowi a dotrzymaniem słowa, odwróciła się i spojrzała na Nicci.

- Co ty robisz?

Nicci nie miała czasu odpowiadać na jej pytania.

- Dasz radę podnieść tamten kandelabr? - spytała. Mord-Sith zerknęła przez ramię. Kandelabr był ciężki, z kutego żelaza. Żadna z dwóch tuzinów świec się nie paliła.

- Chyba tak.

- Posłuż się nim jak lancą. Zapędź bestię ku oknom...

- I co to da?

Bestia skoczyła na Richarda, próbując zamknąć go w uścisku. Chłopak się wywinął i przy okazji potężnie kopnął stwora w głowę, ale ten ledwo się zachwiał.

- Zrób, jak mówię. Wykorzystaj kandelabr jak lancę i odpędź nim bestię. Zadbaj, żeby tamci się nie wtrącali i trzymali z boku.

- Uważasz, że powstrzymam stwora, jeśli walnę go kandelabrem?

- Nie. Stwór się uczy, a to będzie coś nowego. Po prostu go odpędź. Powinien być przez chwilę zdezorientowany, a przynajmniej ostrożniejszy. Jak tylko go odpędzisz, rzuć kandelabr i odsuń się w bezpieczne miejsce.

Cara, zaciskając mocno wargi w gniewie i frustracji, wahała się jedynie moment. Była kobietą, która wiedziała, że niepewność może wyrządzić szkodę. Chwyciła oburącz ciężką podstawę kandelabru i z wysiłkiem go uniosła. Świece wypadły i potoczyły się po kamiennej posadzce. Nicci nie wątpiła, że żelazny kandelabr jest bardzo ciężki. Niemniej uznała, że Cara ma dość sił, by z nim sobie poradzić. Bo ducha walki z pewnością miała.

Tymczasem jednak nie mogła już się troszczyć o Carę. Wyrzuciła ją z

myśli i wyprostowała ramiona, kierując dłonie ku wyrysowanej krwią Grace. Odrzuciła wątpliwości i obawy, jak wielokrotnie przedtem, i sięgnęła myślami do jądra swojej Han. Tym razem, tkwiąc ponad Grace, miała wrażenie, że wpada w lodowate jezioro mocy.

Lekceważąc los, na który sama się skazywała, odwróciła dłonie wnętrzem ku górze, uniosła ręce i posłużyła się tą lodowatą wewnętrzną mocą do ponownego zainicjowania czaru weryfikacji. Tkwiąc w dominium Grace, skoncentrowała się na usuwaniu wbudowanych w zakłęcie blokad, które utrzymywały je w bezruchu. A kiedy już odsłoniła wewnętrzną osnowę, którą ona jedna mogła zobaczyć, z pełną świadomością wykorzystwała obie strony swej mocy do połączenia przeciwstawnych spoin.

W jednej chwili na nowo zaczęły się pięć i wić zielone linie, niczym stworzone ze światła drapieżne pnące. W mgnieniu oka sieć znalazła się na wysokości ud Nicci.

Cara atakowała bestię kandelabrem. Kilka razy udało jej się trafić przeciwnika nieporęcznym orężem i skłonić do cofnięcia się o krok. Ilekroć stwór się cofnął, Mord-Sith natychmiast nacierała, zmuszając go do odwrotu. Nicci miała rację - stwór ostrożnie reagował na zaskakującą metodę ataku.

Czarodziejka miała nadzieję, że Mord-Sith zdoła odpędzić bestię na odpowiednią odległość, i to w odpowiednim momencie.

Nocne niebo przecinały błyskawice, rozświetlając ścianę okien o grubych szybach. Lampki oliwne były przy ich mocy niemal bezużyteczne. Oślepiające błyski i następująca po nich ciemność ogromnie utrudniały widzenie.

Świetliste zielonkawe linie, będące jedynie aurą wewnętrznego aspektu stworzonego przed tysiącami lat zakłęcia, oplatały Nicci. I znów ożył wewnętrzny zarys czaru, rozwijając się w niej o wiele szybciej niż za pierwszym razem. Nie była jeszcze całkiem gotowa. Przestała widzieć prędzej, niż się spodziewała. Starła się oddychać, dopóki mogła, dopóki jeszcze na tyle nad sobą panowała.

Magiczny wzrok pozwalał jej widzieć to w jednym, to w drugim świecie, to w blasku życia, to w czerni wieczności. Mroczna zewnętrzna pustka pojawiała się i zniknęła niczym błyskawice za oknami, lecz oślebiała czernią, nie blaskiem. Nicci, zawieszona ponad granicą obu światów, miała

wrażenie, że jej dusza zostanie rozszarpana na strzępy.

Zignorowała ból i skoncentrowała się na czekającym ją zadaniu.

Wiedziała, że sam jej dar to za mało, by zniszczyć tę bestię. W końcu Siostry Mroku wyczarowały stwora dzięki pradawnym mocom wykraczającym poza jej zrozumienie. I nic, co mogła przywołać Nicci, nie dorównywało stworzonemu taką magią potworowi. Aby go pokonać, trzeba byłoby czegoś więcej niż zwyczajne czary.

Bestia dopiero w pobliżu okien zebrała się w sobie i przestała cofać. Cara zamachnęła się na nią, lecz ta tylko warczała i już nie chciała posuwać się do tyłu. Mord-Sith miała kłopoty z posługiwaniem się ciężkim żelaznym kandelabrem. Ale kiedy Richard ruszył jej z pomocą, wrzasnęła, że wszyscy mają się trzymać z daleka. Gdy nie usłuchał, zakręciła młynka swoim orężem, aż musiał odskoczyć, i zrozumiał, że Cara mówi poważnie.

Nicci wyteżyła wszystkie siły i uniosła dłonie wnętrzem ku górze, szykując się do uczynienia niemożliwego. Musiała wyczuć punkt między nieistnieniem a rozbłyskiem mocy.

Potrzebowała nie mocy, lecz jej zwiastuna.

Zielone linie coraz gęściej ją oplatały, dążąc do nakreślenia całego zaklęcia. Nicci usiłowała zaczerpnąć powietrza, ale mięśnie już nie chciały jej słuchać. Potrzebowała tego wdechu - choć jednego wdechu.

Kiedy jej magiczny wzrok znów spoczął na świecie istot żywych, wyteżyła wszystkie siły i w końcu zdołała odetchnąć.

- Teraz, Caro!

Mord-Sith bez wahania pchnęła ciężkim kandelabrem. Bestia z łatwością chwyciła żelazny świecznik pazurzastą łapą i wysoko go podniosła. Poza stworem - za oknami - były pioruny i huczały grzmoty.

Nicci czekała na przerwę między błyskawicami.

Kiedy nadeszła, kiedy w komnacie znów pociemniało, uderzyła nie mocą, lecz jej prekursorem.

Bestię trafiło coś dręcząco niedopełnionego: pierwociny rozbłysku mocy... i nic więcej.

Nicci spostrzegła, że stwór wyczuł tę osobliwą zapowiedź czegoś nieokiełzanego - nie do końca wyczarowanego, nie do końca uwolnionego. Zamrugał, zdezorientowany i niepewny, czy naprawdę coś wyczuł. Chciał zareagować, lecz nie wiedział, co właściwie wyczuł i czemu przeciwdziałać.

Nie objawiło się żadne bezpośrednie działanie mocy czarodziejki, więc bestia najwyraźniej uznała, że kobiecie się nie powiodło, i znów wyzywająco uniosła kandelabr ponad głowę, niczym zdobyty w walce łup.

- Teraz! - zawołał Zedd do Ann i Nathana, ruszając naprzód. - Teraz, póki jest tym zajęta!

Zaraz wszystko zepsują. Nicci nie mogła im przeszkodzić. Ale Cara - nigdy nie zwracająca sobie głowy uprzejmością w trakcie wykonywania obowiązków - mogła i zrobiła to. Pogoniła całą trójkę niczym owczarek zbłąkane owce. Protestowali, cofając się, i żądali, by zeszła im z drogi.

Nicci przyglądała się temu z dalekiego miejsca pomiędzy światami. Już nie była w stanie pomóc Carze. Mord-Sith musiała sobie sama poradzić. Hen, w odległym świecie istot żywych, Zedd wściekał się na Carę i usiłował zaatakować bestię, lecz Mord-Sith zamarkowała uderzenie ramieniem, więc się cofnął, zachwiał i zrezygnował.

Tymczasem w tym drugim świecie, w mrocznym świecie poza życiem, Nicci rozmyślnie wytworzyła niedobór następstw, przyczynę bez konsekwencji, zapowiedź uwolnienia swej ciemnej mocy, której świadomie nie zrealizowała.

Zdawało się, że nawet czas znieruchomiał, czekając na to, co powinno, lecz nie chciało się wydarzyć.

Wokół Nicci czuć było niemal namacalne napięcie. Zielone linie jeszcze szybciej snuły się weryfikacji, żeby otoczyła ją jak kokon, żeby znów jej życie uległo zawieszeniu.

Skaza czyhała na nią niczym pająk w sieci.

Nicci wiedziała, że ma tylko chwilę, zanim straci możliwość zrobienia czegokolwiek.

Ale tym razem jej koniec przyniesie przynajmniej coś cennego.

Jeszcze mocniej oplotła bestię zapowiedzią uwolnienia potężnej mocy, przed czym się rozmyślnie wstrzymywała.

Rozdźwięk między tym, co istniało, a tym, co jeszcze nie istnieje i się nie wydarzy, był nie do wytrzymania.

I tę okropną, wprost nie do zniesienia pustkę, tę próżnię mocy wytworzoną przez Nicci w obu światach w jednej chwili wypełniła oślepiająca błyskawica, która z ogłuszającym hukiem wpadła przez okno, a jej bliźniaczy odpowiednik ze świata poza życiem przebił się przez zasłonę,

przyciągnięty niespełnioną zapowiedzią otaczającą bestię. One miały dopełnić to, co Nicci rozpoczęła, lecz nie dokończyła. Tym razem ucieczka do drugiego świata nie zapewniała bezpieczeństwa - oba światy równocześnie dały ujście furii.

Komnatę zasypało potrzaskane szkło. Straszliwy grzmot zatrząsł kamiennymi murami wieży. Zupełnie jakby przez okna wdarło się słońce.

Mknące wokół Nicci linie zamknęły się niczym całun.

Dzięki magicznemu wzrokowi ujrzała dopełnienie się tego, co stworzyła. Spostrzegła, jak błysk odnalazł pustkę wokół bestii i spełnił zapowiedź.

Nigdy wcześniej nie widziała tak potężnego rozbłysku. Wytworzenie prekursora w obu światach dało błyskawicy moc obu światów - addytywną i subtraktywną, kreatywną i destruktywną - złączone w jednym straszliwym błysku.

Zakłęcie unieruchomiło Nicci, nie mogła więc zamknąć oczu, by ochronić się przed oślepiającym rozbłyskiem światła splecionego z czernią, który uderzył w oba końce kandelabru i spłynął na bestię.

Bestia, otoczona białym płomieniem, rozpadła się. Zmieniła się w proch i parę pod działaniem żaru i mocy skupionych w wytworzonej przez Nicci pustce.

Przez strzaskane okno wdarł się z rykiem wiatr niosący deszcz. Z kłębiących się zielonkawych chmur strzeliły kolejne błyskawice. A kiedy rozświetliły komnatę, wszyscy przekonali się, że bestia zniknęła.

Przynajmniej chwilowo.

Poprzez sieć zielonych linii Nicci zobaczyła biegnącego ku niej Richarda.

Komnata wydawała się taka odległa. Wokół czarodziejki zamknął się mroczny świat.

Rozdział 8

Gdy jej koń cicho zarżał i pogrzebał kopytem, Kahlan przesunęła dłoń ku wędzidłu, żeby utrzymać w miejscu zaniepokojone zwierzę. Ani jej, ani koniowi nie podobał się ten odór. Delikatnie pogładziła rumaka po pysku; czekała, tkwiąc za Siostrami Ulicia i Cecilią.

Lekkie podmuchy wiatru chwiały listowiem balsamicznej topoli i połyskliwe liście migotały w południowym słońcu. Na trawiastym grzbiecie wzgórza, ocienionym wielkimi drzewami, tańczyły cętki słonecznego blasku. Wysoko, na oślepiająco błękitnym niebie, płynęły nieliczne puszyste białe obłoki. Wiatr zmienił kierunek i powiał im w plecy, przynosząc ulgę nie tylko od duchoty i skwaru. Kahlan ośmieliła się głębiej oddychać.

Starła palcem pot i brud spod metalowej obroży na szyi. Chętnie by się wykąpała lub przynajmniej wskoczyła do strumienia czy jeziora. Letni skwar i pył wzbijany przez konie zmieniły jej długie włosy w kołtun na swędzącej głowie. Wiedziała, że Sióstr nie interesuje jej samopoczucie i że nie byłyby zadowolone, gdyby spytała, czy może się wykąpać. Sióstr nic a nic nie obchodziły potrzeby Kahlan, a tym bardziej jej dobre samopoczucie czy wygoda. Była ich niewolnicą, nikim więcej. Nie miało znaczenia, że obroża do krwi ociera jej szyję.

Kahlan wróciła myślami do posążka, który musiała zostawić w pałacu lorda Rahla. Chociaż nie pamiętała nic ze swojej przeszłości, utrwaliła w pamięci każdą linię statuetki kobiety z rozwianymi włosami i suknią. W wyrzeźbionej postaci były szlachetność, odwaga i nieugiętość - te tworzące łuk plecy, zaciśnięte pięści i odrzucona w tył głowa - jakby wyzywająco stawiała opór niewidzialnym mocom, które chciałyby ją sobie podporządkować.

Kahlan aż za dobrze wiedziała, jak to jest, kiedy niewidzialne moce przejmują nad kimś władzę.

Patrzyły ze szczytu wzgórza, jak Siostra Armina przemierza otwarte łąki u jego stóp. Nikogo innego nie było widać. Długie trawy, kołysane wiatrem, przypominały wodę. W końcu Siostra Armina wjechała na swojej gniadej kłaczycy na szczyt wzgórza. Zawróciła konia i zatrzymała się przy czekających.

- Nie ma ich tam - oznajmiła.

- Jak daleko przed nami są? - zapytała Siostra Ulicia.

- Nie wyjeżdżałam zbyt daleko za tamte wzgórza. - Siostra Armina wskazała kierunek. - Nie chciałam ryzykować, że wyczuje mnie któryś z mających dar ludzi Jaganga. Ale powiedziałabym, że maruderzy i markietani wyruszyli zaledwie dzień, dwa temu.

Wiejący w plecy wiatr ustał i na szczyt wzgórza znów dotarł ten odór. Kahlan skrzywiła się. Siostra Ulicia zauważyła to, ale nic nie powiedziała. Siostronom odór najwyraźniej nie przeszkadzał.

Siostra Ulicia odwróciła się nagle i wsunęła stopę w strzemień.

- Rzućmy okiem za wzgórza poza miastem - powiedziała, sadowiąc się w siodle.

Kahlan też wskoczyła na konia i ruszyła za zjeżdżającymi ze wzgórza trzema kobietami. Pomyślała, że to dziwne, iż Siostry są takie nerwowe. Zawsze zachowywały się dumnie i arogancko, a teraz nagle stały się ostrożne.

Po lewej piętrzyły się wyniosłe, niebieskoszare góry. Ich stoki i pionowe urwiska były tak strzeliste, że drzewa zdołały się zakorzenić tylko w nielicznych miejscach. Niektóre szczyty wznosiły się na taką wysokość, że nawet teraz, w lecie, leżał na nich śnieg. Kahlan wraz z Siostrami jechała wzdłuż tych gór na południe, od kiedy przekroczyły je po opuszczeniu Pałacu Ludu. W trakcie tej podróży Siostry, jeśli tylko mogły, trzymały się z dala od ludzi.

Kahlan nieco popuściła koniowi cugli. Wzgórza były poryte wąwozami i czasem trudno się przez nie jechało. Wiedziała, że poniżej muszą być drogi, ale Siostry nie lubiły nimi podróżować i unikały tego, kiedy tylko mogły. Jechały przez wysoką trawę, między nielicznymi drzewami, pod bezpieczną osłoną wzgórz.

Zanim Kahlan zdołała dojrzeć to, co leżało przed nimi, dławiący, charakterystyczny odór śmierci stał się tak straszliwy, że ledwie mogła oddychać. Wjechała na szczyt kolejnego wzniesienia i wreszcie zobaczyła leżące w dole miasto. Wszystkie się zatrzymały, patrząc na puste ulice, spalone domy i trupy koni.

- Nie zwlekajmy - odezwała się Siostra Ulicia. - Po tamtej stronie jakiś czas pojedziemy główną drogą i na tyle się do nich zbliżymy, by mieć

pewność, gdzie są i w jakim dokładnie kierunku ciągną.

Puściły konie galopem i w milczeniu zjeżdżały ze wzgórz ku obrzeżom miasta. Wybudowano je w zakolu rzeki, na skrzyżowaniu kilku dróg, zapewne handlowych. Większy z dwóch drewnianych mostów został spalony. Kiedy jechały jedna za drugą ocalałym wąskim mostem, Kahlan spojrzała na wodę. W trzcinach osiadły rozdęte ciała unoszące się na wodzie twarzą w dół. Jeszcze zanim ją ujrzała, odór śmierci stał się tak okropny, że zupełnie straciła ochotę na kąpiel. Chciała jak najszybciej stąd zniknąć.

Kiedy jechały między domami, Kahlan osłoniła chustą nos i usta. Niezbyt to pomogło. Bała się, że smród gnijących ciał przyprawi ją o wymioty. Dziwne, że był aż tak okropny.

Wkrótce się przekonała dlaczego.

Mijały boczne ulice, w których zwalono setki zwłok. Leżały też wśród nich martwe psy i muły. Nagromadzenie zwłok w wąskich bocznych uliczkach powiedziało Kahlan, że tych ludzi zapędzono w miejsca, z których nie było ucieczki, i tam wymordowano. Większość ciał - tak ludzi, jak i zwierząt - miała straszliwe rany. Z niektórych sterczały złamane lance, inni zginęli od strzał. Ale większość zasieczono. Kahlan zauważyła jeszcze coś: wszyscy byli starsi.

W jednej części miasta spalono wiele budynków. Tylko tu i ówdzie ze stosów gruzu wciąż jeszcze unosił się dym. Osmalone belki wyglądały jak szkielety spalonych potworów. Wszystko wskazywało na to, że ogień się dopalił dzień, dwa wcześniej.

Prowadziły konie wąską, brukowaną ulicą między piętrowymi budynkami i w milczeniu przyglądały się zniszczeniom. Wszystkie domy zostały złupione. Wyważone drzwi wpadły do środka albo leżały na zewnątrz. Kahlan nie zauważyła ani jednego całego okna. Z niektórych małych balkonów zwieszały się firanki. Na kilku balkonach widać było ciała. Ulica zasłana była kawałkami drewna z framug, odłamkami szkła oraz najrozmaitszymi rzeczami: sztukami odzieży, okrwawionymi butami, połamanymi meblami, zniszczoną bronią, uszkodzonymi wozami. Kahlan wypatrzyła też lalkę o włosach z żółtej przędzy z odciskiem podkowy na plecach. Każdy z tych przedmiotów miało w rękach sporo ludzi; uznali je za bezwartościowe i odrzucili.

Dziewczyna ośmieliła się zajrzeć w głąb ciemnych domów i zobaczyła

prawdziwe okropieństwa. To nie były po prostu ciała wymordowanych mieszkańców miasta. To były zwłoki ludzi zabitych dla zabawy lub w akcie niesłychanego okrucieństwa. W przeciwieństwie do zabitych z bocznych ulic, ci ludzie nie byli starzy. Najprawdopodobniej usiłowali ochronić swoje sklepy lub domostwa. Przez jedną ze strzaskanych witryn ujrzała mężczyznę w szewskim fartuchu przybitego do ściany za nadgarstki. Z jego piersi sterczało wiele strzał, upodabniając go do makabrycznej poduszki do szpilek. Przebito mu grotami usta i oczy. Nie tylko zrobiono z niego tarczę strzelecką, ale i dowód potwornego poczucia humoru.

W innych ciemnych domach Kahlan widziała zgwałcone kobiety. Całym odzieniem jednej z leżących na podłodze był rękaw koszuli. Okaleczono jej piersi. Gdzie indziej na stole leżała dziewczuszka z sukienką zadartą powyżej pasa. Przecięto jej gardło aż do kręgów. Nogi miała szeroko rozłożone, spomiędzy nich zaś sterczał kij od miotły - znak skrajnej pogardy. Wszystkie te straszliwe obrazy wprawiły Kahlan w odrętwienie. Były przepojone tak wielkim okrucieństwem, że nie potrafiła pojąć, jacy ludzie mogli popełnić te czyny.

Odzież wielu zabitych świadczyła, że byli to zwykli ludzie. Nie żołnierze. Zamordowano ich, bo chcieli - cóż za zbrodnia! - bronić swoich domów i warsztatów.

Mijając jeden z mniejszych budynków, Kahlan zauważyła w narożniku, pod ceglana ścianą, stertę małych dzieci - głównie niemowląt. Przypominało to zmiecione do kąta jesienne liście, tyle że te biedactwa były kiedyś żywymi istotami i miały przed sobą przyszłość. Krwawe ślady na murze zdradzały, gdzie rozbijano im główki. Mordercy najwyraźniej chcieli je sprawnie i bez większej mitręgi zlikwidować. W trakcie jazdy przez miasto dziewczyna widziała jeszcze kilka stosów ciał z najmłodszych, których zamordowali dla zabawy najpotworniejsi z ludzi.

I chociaż wśród zabitych nie było zbyt wiele kobiet, Kahlan nie dostrzegła ani jednej całkowicie ubranej. Te, które tu leżały, były albo stare, albo bardzo młode. Potraktowano je z nieopisanym bestialstwem. Umierały powoli.

Kahlan przełknęła ślinę, żeby się pozbyć kuli w gardle, i otarła oczy. Miała ochotę krzyczeć. Trzy Siostry nie wydawały się specjalnie przejęte masakrą. Spoglądały w boczne ulice i popatrywały na okoliczne wzgórza,

wypatrując oznak zagrożenia.

Nigdy wcześniej się tak nie cieszyła, że skądś wyjeżdża. Kiedy wreszcie wydostały się z miasta i ruszyły drogą prowadzącą na południowy wschód, okazało się, wbrew nadziejom Kahlan, że nie oznacza to ucieczki od okropieństw. Tu i ówdzie w przydrożnych rowach leżały ciała nieuzbrojonych młodych mężczyzn i chłopców. Prawdopodobnie zabito ich za próbę ucieczki i ratowania się przed niewolą, by dać nauczkę pozostałym lub po prostu dla samego mordowania.

Kahlan kręciło się w głowie, było jej gorąco. Bała się, że dostanie torsji. Kołysanie w siodle jeszcze bardziej nasilało mdłości. Odór śmierci i zwęglonych ciał ciągnął się za nimi w jaskrawym słonecznym blasku, gdy jechały wśród wzgórz za miastem. Był tak wszechobecny, że dziewczynie wydawało się, że przesiąkło nim jej ubranie, że czuje go we własnym pocie.

Wątpiła, czy kiedykolwiek pozbędzie się koszmarów.

Nie wiedziała, jak się nazywało to miasto, ale to i tak nie miało już znaczenia. Nikt nie ocalał. Wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, albo zrabowano, albo zniszczono. Po liczbie ciał miarkowała, że wielu mieszkańców - głównie kobiet, przynajmniej tych w odpowiednim wieku - zabrano jako niewolników. Pamiętając, co spotkało zabite w mieście kobiety, doskonale potrafiła sobie wyobrazić, co czeka uprowadzone.

Jak daleko Kahlan mogła sięgnąć wzrokiem, coraz rozleglejsza równina i wzgórza zostały stratowane przez setki tysięcy ludzi. Trawy nie tylko legły pod niezliczonymi butami, podkowami i kołami wozów - obróciły się w pył pod ciężarem niewyobrażalnego tłumu. Widok ów świadczył o liczebności hord, które się przewaliły przez miasto, i na swój sposób był jeszcze bardziej przerażający niż upiorne sceny śmierci. Tak liczne skupisko ludzi stawało się niemal żywiołem, siłą natury, niczym przerażająca burza, która toruje sobie drogę przez okolicę i bezlitośnie niszczy wszystko, co napotka.

Później, kiedy dojeżdżały do szczytu wzgórza, Siostry ustawiły się tak, żeby mieć słońce za plecami. Wtedy każdy przed nimi musiałby spojrzeć prosto w słońce, gdyby chciał je wypatrzeć. Siostra Ulicia zwolniła, uniosła się w strzemionach, bacznie się rozejrzała i dała pozostałym znak, by zsiadły z koni. Przywiązały zwierzęta do pnia starej sosny rozszczepionego przez piorun. Siostra Ulicia nakazała Kahlan trzymać się tuż za nimi.

Przykucnęły bez słowa w zachwaszczonej trawie na szczycie wzgórza i

wreszcie ujrzały to, co przeszło przez zniszczone miasto. Daleko przed nimi, na całej mglistej linii horyzontu rozlewało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak mętne brązowe morze, a w rzeczywistości było ogromną, niemal niezliczoną armią. W ciszy schyłku dnia do Kahlan dolatywały z wiatrem odległe, mrozące krew w żyłach wycia, wrzaski kobiet i rechot mężczyzn.

Napór takich rzesz zmiażdżyłby obronę każdego miasta. Tak liczna armia ledwie zauważyłaby każdy zbrojny opór. Nic nie powstrzymałoby takich tłumów.

Jednak chociaż ta armia wydawała się hordą, tłumem, czymś, Kahlan wiedziała, że nie można tak o niej myśleć. Było to zbiorowisko jednostek. Ci ludzie nie urodzili się potworami. Każdy z nich był kiedyś bezbronnym niemowlęciem tulonym w matczynych ramionach. Każdy był dzieckiem mającym swoje obawy, nadzieje i marzenia. Oczywiście jakiś anormalny osobnik z chorym umysłem mógł wyrosnąć na bezlitosnego mordercę, lecz tak wiele osób nie. Każdy z nich stał się zabójcą z oddania sprawie, zabójcą z wyboru. Wszyscy zjednoczyli się pod sztandarem obłąkańczych wierzeń sankcjonujących ich okrucieństwo.

Każdy z nich miał możliwość wyboru i z własnej woli odrzucił właściwą życiu szlachetność, stając się sługą śmierci.

Kahlan przeraziła rzeź w owym mieście. To, co tam widziała, wzbudziło w niej obrzydzenie, przyprawiło o mdłości. Przez jakiś czas ledwie mogła oddychać - nie tylko z powodu odoru śmierci, ale także rozpaczony wywołanej tak bezrozumnym okrucieństwem, taką straszliwą i celową deprawacją. Lękała się o bezsilnych ludzi, których czeka spotkanie z tą hordą, i traciła nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie warto żyć, że życie może znów być sensowne, bezpieczne i radosne.

Ale teraz, na widok sprawców tej rzezi, na widok rzeszy ludzi, którzy z własnej woli dopuścili się takich okropieństw, wszystkie te smutne odczucia zniknęły. Ich miejsce zajął płomienny gniew, który - jej zdaniem - chyba nieczęsto ktokolwiek odczuwał. Kahlan przypomniawszy sobie rozsiekanych starców, małe dzieci z rozbitymi główkami i okrutnie potraktowane kobiety i mogła myśleć jedynie o gorącym pragnieniu pomszczenia milczących zmarłych.

Płonął w niej gniew, gniew tak straszliwy, że chyba na zawsze ją

odmienił. W owej chwili czuła silną więź z posążkiem, który musiała zostawić w spokojnym ogrodzie Richarda Rahla, i świetnie rozumiała, co uosabia ta figurka.

- To Jagang - stwierdziła w końcu gorzkim tonem Siostra Cecilia.

Siostra Armina potaknęła i dodała:

- I musimy go wyminąć, jeżeli chcemy się dostać do Caski. Siostra Ulicia wskazała ścianę gór po lewej.

- Ich armia, z końmi, wozami i zaopatrzeniem, nie może wykorzystać wąskich przełęczy między tymi szczytami, ale my możemy. Jagang posuwa się tak wolno, że z łatwością przedostaniemy się tymi przełęczami i znajdziemy w Casce na długo przed tym, jak on dotrze na południe, ominie góry, a następnie wejdzie do D'Hary.

Siostra Cecilia wpatrywała się w horyzont.

- D'harańska armia nie ma żadnej szansy w starciu z nimi.

- To nie nasza sprawa - stwierdziła Siostra Ulicia.

- A co z naszą więzią z Richardem Rahlem? - spytała Siostra Armina.

- To nie my atakujemy Richarda Rahla - rzekła Siostra Ulicia. - To Jagang na niego dybie i chce go zniszczyć, nie my. My będziemy władać magią Ordenu i wtedy ofiarujemy Richardowi Rahlowi to wszystko, co dzięki tej magii będziemy mogły dać. To wystarcza, żeby zachować więź i chronić nas przed Nawiedzającym Sny. Jagang i jego armia to nie nasza sprawa i nie ponosimy odpowiedzialności za ich zamierzenia.

Kahlan przypomniała sobie pobyt w Pałacu Ludu i swoją ciekawość, jaki też jest ten Richard Rahl. I chociaż nie знаła go, bała się o niego i o jego ludzi, bo musieli się zmierzyć z tym, co na nich nadciąga.

- To będzie nasza sprawa, jeżeli dotrą do Caski przed nami - odezwała się Siostra Cecilia. - Musimy dogonić Tovi, a Caska to jedyna główna składnica, do której możemy teraz dotrzeć.

Siostra Ulicia zbyła tę uwagę machnięciem ręki.

- Są daleko od Caski. Z łatwością ich wyprzedzimy, idąc przez góry, nie wzduż nich i potem znów do D'Hary, tak jak oni muszą.

- Nie sądzisz, że mogliby przyspieszyć? - zapytała Siostra Armina. - W końcu Jagang mógł nabrać ochoty, żeby wreszcie wykończyć lorda Rahla i d'harańskie wojska.

Siostra Ulicia aż się nastroszyła, usłyszawszy to.

- Jagang wie, że d'harańska armia nie ma się gdzie wycofać. Richard Rahl nie ma wyboru, musi walczyć. To już przesądzona sprawa. I tylko kwestią czasu jest, kiedy się to dokona. Nawiedzający Sny nie spieszy się i nawet nie powinien. Nie z taką wielką, nieruchawą armią. Nawet gdyby mogli przyspieszyć, i tak muszą przebyć znacznie większą odległość, więc nie zdążyliby do Caski przed nami. Zresztą armia Jaganga jest teraz taka jak wtedy, kiedy dziesiątki lat temu opanowała Stary Świat, i jak podczas całej tej tu wojny. Oni nigdy nie zwiększają tempa. Są jak pory roku: nadciągają nieuchronnie, ale powoli. - Ulicia spojrzała znacząco na pozostałe Siostry. - Poza tym dopiero co ogołocili miasto z kobiet. Wojacy Jaganga będą mieli ochotę nacieszyć się nową zdobyczą.

Krew odpłynęła z twarzy Siostry Arminy.

- Przecież dobrze o tym wiemy.

- Jagang i jego ludzie nigdy nie mają dość zabawiania się z pojmanymi kobietami - powiedziała na poły do siebie Siostra Cecilia.

Siostra Armina poczerwieniała.

- Chętnie związałabym Jaganga i zabawiła się z nim po mojemu.

- Wszystkie chętnie dałybyśmy nauczkę tym ludziom - stwierdziła zapatrzona w dal Siostra Ulicia - lecz chwilowo mamy ważniejsze sprawy. - Uśmiechnęła się krzywo. - Ale może pewnego dnia...

Trzy Siostry jakiś czas milczały, wpatrując się w zacinającą horyzont wielką horde.

- Pewnego dnia - odezwała się Siostra Cecilia cichym, mściwym głosem - otworzymy szkatuły Ordenu i zdobędziemy moc, dzięki której zemścimy się na tym człowieku.

Siostra Ulicia zawróciła i poszła ku koniom.

- Jeżeli mamy w ogóle otworzyć jedną z trzech szkatuł, najpierw musimy dotrzeć do Tovi i ostatniej szkatuły, no i do tego, co jest w Casce. Zapomnijcie o Jagangu i jego armii. Ponownie zobaczymy ich dopiero wtedy, kiedy wyzwolimy moc Ordenu i będziemy mogły z radością wymierzyć karę Nawiedzającemu Sny.

Rozdział 9

Nicci otworzyła oczy. Dostrzegła jedynie niewyraźne kształty.

- Zedd jest na ciebie zły.

Chociaż usłyszała to z jakiegoś odległego miejsca, i tak wiedziała, że to głos Richarda. Zdziwiła się, że go słyszy. Że w ogóle słyszy. Pomyślała, że właściwie powinna być już martwa.

Zaczynała widzieć coraz wyraźniej. Przekręciła głowę w prawo i zobaczyła Richarda - siedział skulony na krześle przysuniętym do łóżka. Przyglądał się jej pochylony w przód, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi palcami.

- Dlaczego? - spytała.

Odetchnął z ulgą, spostrzegłszy, że się ocknęła. Odchylił się w tył na skromnym drewnianym krześle i uśmiechnął tym swoim krzywym uśmiechem, który tak lubiła.

- Bo rozbiłaś okno w komnacie, w której rzuciliście czar weryfikacji.

W łagodnym blasku lampy osłoniętej mlecznobiałym kloszem Nicci zauważyła, że jest przykryta aż do ramion bogato haftowaną złocistą narzutą, obszytą lśniącymi szarozielonymi frędzlami. Ubrana była w atłasową koszulę nocną, której nigdy przedtem nie widziała. Rękawy były długie: koszula różowa. Nie jej kolor.

Zastanawiała się, skąd się wzięła ta koszula, no i przede wszystkim, kto ją rozebrał i odział w ten nocny strój. W Pałacu Proroków, tak dawno temu, Richard był pierwszą ze znanych Nicci osób, która nie uważała, że ma prawo do jej ciała lub do jakiejś części jej życia. Ta postawa chłopaka odegrała ważną rolę w dalszych wydarzeniach. Dała Nicci impuls do przemyślenia wszystkiego na nowo, co w końcu skłoniło ją do odrzucenia nauk Ładu. Dzięki Richardowi w pełni zrozumiała, że jej życie należy tylko i wyłącznie do niej. A to z kolei pozwoliło jej odnaleźć godność i poczucie własnej wartości.

Jednak teraz miała ważniejsze troski niż różowa koszula nocna. Pulsująca bólem głowa na miękkiej poduszce okropnie jej ciążyła.

- Właściwie to błyskawica strzaskała okno, nie ja.

- Jakoś mi się nie wydaje - odezwała się Cara, siedząca przy drzwiach na

krześle przechylonym w tył tak, że oparciem dotykało ściany - żeby ta wymówka zrobiła na nim duże wrażenie.

- Też tak myślę - westchnęła Nicci. - Ta komnata znajduje się w umocnionej części wieży.

- Gdzie? - Richard zmarszczył brwi.

Zmrużyła lekko oczy, by wyraźniej widzieć jego twarz.

- Tamta część wieży to szczególne miejsce. Jest dodatkowo chronione nie tylko przed celową ingerencją, ale i przed nieprawidłowymi oraz błędzącymi zjawiskami.

Cara skrzyżowała ramiona.

- Byłabyś uprzejma to przetłumaczyć?

Mord-Sith była w czerwonym skórzanym uniformie. Nicci zastanawiała się, czy oznacza to, że szykują się nowe kłopoty, czy też to tylko następstwo wizyty bestii.

- To pole powstrzymujące - wyjaśniła Nicci. - Bardzo mało wiemy o pradawnej, zdumiewająco skomplikowanej naturze czaru chainfire. Niebezpieczne jest już samo zgłębianie tak niestabilnych komponentów, splecionych w taki sposób jak w tym przypadku. I dlatego czar weryfikacji rzuciliśmy w owej szczególnej komnacie. Mieści się ona w samym sercu wieży. To nienaruszalne sanktuarium wykorzystywane do prac nad taką niestabilną materią. Różne rodzaje tak wielocząłowych, jak i jednocząłowych zaklęć zawierają w swojej strukturze możliwość wystąpienia efektów pobocznych, co może doprowadzić do naruszenia domeny, więc jeżeli się z nimi pracuje, lepiej otoczyć takie potencjalnie niebezpieczne komponenty polem powstrzymującym.

- No cóż, dzięki za przełożenie tego na zrozumiały język - rzekła kąśliwie Cara. - Teraz wszystko jasne. To jakieś tam pole.

Nicci potaknęła, na ile mogła ruszyć głową.

- Tak, pole powstrzymujące. - A gdy Cara jeszcze bardziej się nasrożyła, dodała: - Kiedy czarujesz w takim miejscu, jest tak, jakbyś trzymała osę w słoju.

- Ooo - westchnęła Mord-Sith, w końcu łapiąc, o co chodzi. - To wyjaśnia, dlaczego Zedda tak to rozeźliło.

- Może uda mu się przywrócić wszystko do poprzedniego stanu - rzekł Richard. - O dziwo, komnata wcale nie jest aż tak bardzo zniszczona. On się

wścieka głównie w powodu tych porozbijanych okien.

Nicci z trudem uniosła rękę.

- Nie wątpię. To jedyne w swoim rodzaju szkło. Wtopiono w nie atrybuty mające zapobiec uwolnieniu się przywołanej magii oraz ingerencjom mających dar. Pełni tę samą funkcję co osłony, tyle że zatrzymuje moc, nie ludzi.

Richard namyślał się chwilę.

- No cóż - stwierdził w końcu - nie zapobiegło jednak atakowi bestii.

Nicci wpatrywała się w półki wbudowane w ścianę naprzeciwko łóżka.

- Nic by mu nie zapobiegło - powiedziała. - W tym wypadku bestia nie przyszła przez okna czy ściany. Przedostała się przez zasłonę, weszła z zaświatów wprost do komnaty. Nie musiała przenikać przez jakiegokolwiek osłony, pole powstrzymujące czy szkło refrakcyjne.

Krzesło Cary z łomotem stanęło na czterech nogach.

- I omal nie wyrwała ci ramienia. - Mord-Sith pogroziła palcem Richardowi. - Posłużyłeś się darem. Przywabiłeś bestię. Na szczęście Zedd tam był i cię uleczył, bo inaczej pewnie byś się wykrwawił na śmierć.

- Caro, za każdym razem bardziej krwawię w twojej opowieści. Pewnie przy następnej okazji usłyszę, że bestia rozerwała mnie na dwoje i potem zostałem zszyty magiczną nicią.

Mord-Sith skrzyżowała ramiona i znów odchyliwszy krzesło, oparła je o ścianę.

- Mogła rozerwać cię na dwoje.

- Wcale nie zostałem aż tak ciężko raniony, jak opowiadasz. I nic mi nie jest. - Richard nachylił się lekko i uścisnął dłoń Nicci. - Przynajmniej powstrzymałaś bestię.

Spojrzała mu w oczy.

- Na razie - stwierdziła. - Niestety.

- Na razie wystarczy na razie. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dobrze się spisałaś, Nicci.

Wyraz szarych oczu potwierdzał słowa. Świat zawsze wydawał się lepszy, kiedy Richard był zadowolony, że ktoś dokonał czegoś trudnego. Zawsze doceniał osiągnięcia ludzi, zawsze się radował ich zwycięstwem. A serce Nicci zawsze śpiewało, kiedy się cieszył tym, co zrobiła.

Przestała patrzeć na chłopaka. Spostrzegła mały posążek stojący tuż za

nim na stole. Blask lampy podświetlał rozwiane włosy i suknię statuetki, w której niegdyś Richard zawarł swój zachwyt nad potęgą ducha Kahlan. Lśniący posązek z drewna orzechowego milcząco rzucał wyzwanie niewidzialnej mocy, która usiłowała złamać owego ducha.

- Jestem w twoim pokoju - powiedziała Nicci na poły do siebie.

Trochę go to zaskoczyło.

- Jak się dowiedziałaś?

Czarodziejka odwróciła wzrok od statuetki i spojrzała w małe, półkolistie zwieńczone okno w grubej kamiennej ścianie po lewej. Zbliżał się świt i skraj czarnego, gwiazdzonego nieba zaczynał się delikatnie różowić.

- Zgadłam - skłamała.

- Był bliżej - wyjaśnił Richard. - Zedd i Nathan chcieli cię położyć do łóżka, wygodnie ułożyć, aby ocenić, co muszą zrobić, żeby ci pomóc.

Płynący w jej żyłach chłód świadczył, że na ocenie się nie skończyło.

- Wraz z Rikką rozebrałyśmy cię i włożyłyśmy ci tę koszulę, którą znalazł Zedd - oświadczyła Cara w odpowiedzi na nieme pytanie, jakie wyczytała w oczach Nicci.

- Dzięki. - Czarodziejka uniosła dłoń w nieokreślonym geście. - Jak długo byłam nieprzytomna? Co się stało?

- Hmm - odezwał się Richard - gdy przedwczorajszej nocy wskoczyłaś znowu do tego zaklęcia i przywołałaś błyskawicę, żeby powstrzymać bestię, mało brakowało, żeby czar weryfikacji na dobre cię wchłonął. Kiedy cię wydostałem, Zedd uznał, że przede wszystkim potrzebny ci wypoczynek, i zrobił coś, żebyś mogła spać. Trochę majaczyłaś z bólu. Powiedział, że pomoże ci odpłynąć, żebyś nie cierpiała. Stwierdził, że powinnaś przespać cały wczorajszy dzień i tę noc i że zbudzisz się tuż przed świtem. I chyba miał rację.

Cara podniosła się z krzesła, stanęła za Richardem i popatrzyła na Nicci.

- Nikt nie sądził, że lord Rahl zdoła cię drugi raz wydostać. Uważali, że twój duch tak daleko odszedł w zaświaty, że nie uda się cię uratować, ale on to zrobił. Wydostał cię.

Nicci przeniosła wzrok z triumfalnego uśmiechu Cary na szare oczy Richarda. Jego spojrzenie nie zdradzało, jakie to było trudne. Ciężko jej było pojąć, jak zdołał czegoś takiego dokonać.

- Dobrze się spisałeś, Richardzie - powiedziała, a on się uśmiechnął.

Chłopak i Cara obejrzeni się, bo ktoś cicho zastukał w drzwi. Potem skrzydło leciutko się uchyliło i do komnaty zajrzał Zedd. Kiedy zobaczył, że Nicci się ocknęła, odrzucił zbędną ostrożność i wmaszerował do środka.

- O, powiedziałbym, żeś wróciła z tamtego świata. Nieci się uśmiechnęła.

- Beznadziejna wyprawa. Nie polecam nikomu. Przepraszam za okna, ale to było albo...

- Lepiej, że ucierpiały okna niż Richard. Ucieszyła się, usłyszawszy to.

- Też tak pomyślałam.

- Kiedyś będziesz mi musiała wyjaśnić, co dokładnie zrobiłaś i jak. Nie zdawałem sobie sprawy, że którakolwiek z przywołanych mocy mogłaby strzaskać te okna.

- Bo nie mogła. Ja tylko... zaprosiłam siłę natury, żeby wpadła przez okno. Zedd wpatrywał się w nią nieodgadnionym wzrokiem.

- A skoro mowa o oknach - rzekł w końcu spokojnie - moglibyśmy wykorzystać do ich naprawy twoją zdolność posługiwania się obiema stronami daru.

- Z przyjemnością pomogę. Cara zrobiła krok ku nim.

- Gdy Tom i Friedrich wrócą wreszcie ze zwiadu, na pewno będą się mogli zająć stolarką okienną. Zwłaszcza Friedrich zna się na robocie w drewnie.

Zedd skinął głową i uśmiechnął się przelotnie, uradowany słowami Mord-Sith, a potem powiedział do wnuka:

- Gdzie byłeś? Szukałem cię rano i nie mogłem znaleźć. Cały dzień cię szukałem.

Nicci uświadomiła sobie, że to nie okna były największym zmartwieniem czarodzieja.

Richard rzucił okiem na posązek.

- Dużo czytałem tej nocy. Kiedy zrobiło się jasno, poszedłem na spacer, żeby się zastanowić, co teraz robić.

Zedd westchnął, usłyszawszy to.

- Jak ci już powiedziałem, kiedy przełamaleś pierwsze otaczające Nicci zaklęcie, musimy pogadać o pewnych sprawach, o których wtedy wspomniałeś.

Najwyraźniej nie była to zwyczajna ciekawość, lecz jednoznaczne żądanie.

Richard zobaczył, że Nicci chce usiąść, i wstał, by podeprzeć ją poduszkami. Ból stał się już gasnącym wspomnieniem. Zedd z całą pewnością nie tylko zadbał o to, żeby mogła spać. Zaczął jej się rozjaśniać umysł. Uświadomiła sobie, że jest głodna.

- No to rozmawiajmy - rzekł Richard, ponownie siadając.

- Chcę, żebyś mi dokładnie wyjaśnił, skąd wiedziałeś, jak wygasić czar weryfikacji; zwłaszcza czegoś tak skomplikowanego jak kaskada chainfire.

Richard wyraźnie był znużony.

- Już ci mówiłem, że potrafię czytać mowę symboli.

Zedd splótł dłonie za plecami i zaczął się przechadzać. Miał zatroskaną i zaniepokojoną minę.

- A tak, wspomniałeś, że sporo wiesz o „figuratywnych odwzorowaniach mających związek z letalnością”. Chciałbym wiedzieć, co przez to rozumiesz.

Richard głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuściwszy, odchylił się do tyłu na krześle. Dorastał przy Zeddzie i doskonale zdawał sobie sprawę, że kiedy czarodziej chce się czegoś dowiedzieć, najlepiej odpowiadać na jego pytania. Odwrócił oparte o kolana nadgarstki. Na podbitych skórą srebrnych bransoletach widniały dziwne symbole. Pośrodku każdej obręczy, na wewnętrznej części przegubu, wygrawerowano małą Grace. Już to samo w sobie było niepokojące, bo Nicci widziała, jak Richard przywołał za ich pomocą sylfę, żeby mogli podróżować. Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, co znaczą pozostałe symbole.

- Te grawerunki na obręczach: symbole, wzory i godła, to rysunki mające swoje znaczenie. Jak już mówiłem, są żargonem, swoistą mową.

Zedd pomachał palcem nad symbolami na obręczach.

- I potrafisz się dopatrzeć ich znaczenia? Tak jak w przypadku wzoru zaklęcia?

- Tak. Większość dotyczy walki mieczem, dlatego je rozpoznałem i od tego zacząłem się uczyć ich znaczenia. - Dłoń chłopaka odruchowo powędrowała do rękojeści miecza, ale nie miał go już u boku. Opamiętał się i podjął: - Wiele z tych symboli umieszczono również przed enklawą Pierwszego Czarodzieja. No wiesz, na tych mosiężnych płytkach na belkowaniu ponad czerwonymi kamiennymi kolumnami i na okrągłych metalowych dyskach na fryzie. Wyrzeźbiono je też na kamiennym gzymsie. - Obejrzał się przez ramię na dziadka. - Większość z tych symboli wyraźnie

dotyczy walki mieczem.

Zasłuchana Nicci aż zamrugła ze zdumienia. Richard nigdy jej nie opowiadał o symbolach na obręczach. Zedd, jako Pierwszy Czarodziej, przechowywał Miecz Prawdy i miał obowiązek w razie potrzeby obwołać nowego Poszukiwacza, lecz z jego reakcji czarodziejka wywnioskowała, że nawet on nie miał o tym pojęcia. Uznała, że to zrozumiałe. W końcu miecz wykuli tysiące lat temu czarodzieje obdarzeni potężną mocą.

- Ten tutaj. - Zedd dźgnął kościstym palcem symbol na jednej z obręczy. - Ten tutaj jest na drzwiach do enklawy Pierwszego Czarodzieja.

Richard odwrócił drugi nadgarstek i postukał w promienistą gwiazdę na srebrnej obręczy.

- Tak jak i ten.

Zedd przyciągnął rękę chłopaka i uważnie przyjrzał się bransoletom w blasku lampy.

- Tak... oba są na drzwiach. - Popatrzył chmurnie na Richarda. - Naprawdę wierzysz, że coś oznaczają i że nauczyłeś się je odczytywać?

- Tak.

Czarodziej mocno zmarszczył krzaczaste brwi. Wyraźnie nie dowierzał wnukowi.

- I co według ciebie oznaczają?

Richard dotknął symbolu na obręczy i takiego samego na ćwieku buta. Wskazał te same symbole na złotej taśmie obramowującej czarną tunikę. Dopóki tego nie zrobił, Nicci nie zdawała sobie sprawy, że tam są, ukryte wśród na pozór nic nie znaczącego wymyślnego haftu. Wyglądały jak dwa trójkąty, wokół których i przez które biegła podwójna falista linia.

- To symbolizuje rytm walki z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Wyraża kadencję tańca, ruchy bez żelaznego szablonu.

Zedd uniósł brew.

- Ruch bez żelaznego szablonu?

- Tak. No wiesz, ruchy, które nie są sztywne, nieelastyczne, wyznaczone regułami, a jednak przemyślane, wykonane z konkretnym zamiarem i w dokładnie określonym celu. Ten symbol opisuje integralną część tańca.

- Tańca?

Richard skinął głową.

- Tańca ze śmiercią.

Zedd chwilę ruszał szczęką, zanim odzyskał głos.

- Taniec. Ze śmiercią. - Umilkł na kolejną chwilę, powstrzymując niezliczone pytania, i wreszcie poprzestał na czymś prostszym. - A jaki to ma związek z symbolami przed enklawą Pierwszego Czarodzieja?

Richard potarł kciukiem rysunki na lewej obręczy.

- Symbole na pewno były czytelne dla czarodzieja wojny. Po części dlatego pojąłem ich znaczenie. Symbole są ważne w wielu zawodach. Krawcy malują nad oknem nożyce, wytwórca broni może narysować na drzwiach nóż, na szyldzie oberży umieszczają kufel, kowala kowadło, a podkuwacz koni może sobie przybić podkowę. Niektóre znaki, na przykład czaszka i skrzyżowane piszczele, ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Podobnie czarodzieje wojny otoczyli znakami enklawę Pierwszego Czarodzieja. Co ważniejsze, każdy fach ma własny żargon, specyficzne słownictwo. Tak samo i czarodziej wojny. Specyficzny język jego fachu dotyczy totalności. Te tutaj symbole i tamte, przed enklawą Pierwszego Czarodzieja, są po części jego szyldem, znakiem jego rzemiosła: siania śmierci.

Zedd odchrząknął, a potem wskazał kolejny symbol na bransolecie.

- Ten tutaj. Jest na drzwiach do mojej enklawy. Wiesz, co oznacza? Potrafisz to opisać?

Chłopak odwrócił nieco nadgarstek i spojrzał na promienistą gwiazdę.

- To napomnienie, żebyś nie koncentrował spojrzenia w jednym tylko punkcie. Nakaz patrzenia równocześnie we wszystkich kierunkach, nieprzedkładania jednego obrazu nad inne. Przypomnienie, że nie możesz pozwolić, aby przeciwnik skupił twoją uwagę na jednej rzeczy. Bo jeżeli na to pozwolisz, będziesz widzieć to, co on zechce ci pokazać. A tym samym, by tak rzec, oślepi cię i zaatakuje niepostrzeżenie, ty zaś najprawdopodobniej stracisz życie. Powinieneś dostrzegać wszystko, podobnie jak promienie tej gwiazdy biegną we wszystkich kierunkach, i nigdy, nawet podczas walki, nie skupiać uwagi wyłącznie na jednym. Tańczyć ze śmiercią oznacza zrozumieć przeciwnika i stać się jak on, czyli myśleć jak on i wiedzieć to, co on, żebyś znał jego miecz równie dobrze jak własny: jego dokładną pozycję, szybkość i następny ruch, zanim jeszcze się zacznie. Postrzegając w ten sposób, wyczulając wszystkie zmysły, instynktownie pojdziesz umysł przeciwnika i jego strategię.

Zedd podrapał się w skroń.

- Usiłujesz mi powiedzieć, że te przypisane czarodziejom wojny symbole są wskazówkami, jak używać miecza?

Richard potrząsnął głową.

- Słowo „miecz” reprezentuje wszystkie rodzaje walki, nie tylko orężem. Między innymi oznacza również strategię i przywództwo. Tańczyć ze śmiercią to ponad wszystko cenić życie, być oddanym tej sprawie umysłem, sercem i duszą i naprawdę być gotowym zrobić wszystko, aby to życie chronić. Tańczyć ze śmiercią to być ucieleśnieniem śmierci zabijającym w obronie życia.

Zedd wyglądał jak rażony gromem.

Richarda najwyraźniej zdumiała reakcja dziadka.

- Przecież to się doskonale zgadza z tym, czego mnie zawsze uczyłeś, Zeddzie.

Blask lampy rzucał ostre cienie na kościstą twarz czarodzieja.

- Sądzę, że tak, Richardzie. Ale zarazem daleko poza to wykracza.

Chłopak skinął głową, pocierając kciukiem łagodnie połyskującą srebrną bransoletę. Szukał słów.

- Wiem, Zeddzie, że wolałbyś być tym, kto nauczył mnie spraw łączących się z twoją enklawą, podobnie jak chciałeś być tym, kto objaśni mi Grace. Jesteś Pierwszym Czarodziejem, to było twoje zadanie. Może powinienem poczekać. - Zacisnął pięść. - Ale chodziło o życie ludzi i o to, co musiałem zrobić. Musiałem się tego wszystkiego nauczyć sam, bez ciebie.

- Kurczę, Richardzie, jak mógłbym cię nauczyć takich rzeczy? - powiedział z rezygnacją Zedd. - Znaczenie tych symboli zatarło się na tysiące lat. Żaden czarodziej od... żaden ze znanych mi czarodziejów nigdy nie potrafił ich odcyfrować. Nie mogę pojąć, jak tobie się to udało.

Richard, zakłopotany, poruszył ramieniem.

- Jak już coś załapałem, to wszystko stało się oczywiste. Zedd niespokojnie zerknął na wnuka.

- Dorastałem tutaj, Richardzie. Spędziłem tu sporą część życia. Byłem Pierwszym Czarodziejem, kiedy jeszcze mieszkali tu czarodzieje. - Potrząsnął głową. - Przez cały ten czas owe symbole znajdowały się przy enklawie Pierwszego Czarodzieja, a nie miałem pojęcia, co oznaczają. Tobie się to może wydawać jasne i proste, lecz wcale takie nie jest. Równie dobrze możesz sobie tylko wyobrażać, że rozumiesz ich mowę, odczytywać z nich

to, co chcesz odczytać.

- Wcale nie fantazuję. Mnóstwo razy ocaliły mi życie. A kiedy zrozumiałem mowę tych symboli, wiele się dowiedziałem o walce mieczem.

Zedd się nie sprzeczał. Wskazał amulet na szyi chłopaka. Pośrodku osadzona była rubinowa łąza wielkości paznokcia kciuka Nicci, okolona skomplikowanymi złotymi i srebrnymi liniami.

- Znalazłeś to w mojej enklawie. Domyślasz się, co oznacza?

- To część tego stroju, ubioru czarodzieja wojny, lecz w przeciwieństwie do niego zostało, jak powiedziałeś, umieszczone w enklawie Pierwszego Czarodzieja.

- A co oznacza?

Palce Richarda ze złości musnęły amulet.

- Rubin symbolizuje kroplę krwi. A symbole wygrawerowane na tym amulecie opisują prymarny edykt.

Zedd przycisnął palce do czoła oszołomiony kolejną zagadką.

- Prymarny edykt?

Chłopak zapatrzył się na amulet.

- To oznacza jedno i zarazem wszystko: uderzaj. Kiedy zacząłeś walczyć, uderzaj. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Uderzaj. To twój obowiązek, twój cel, twoje pragnienie. Nie ma ważniejszej reguły czy obowiązku niż ten: uderzaj.

Richard mówił cicho, ze śmiertelną powagą i przekonaniem. Jego słowa zmroziły Nicci aż do szpiku kości. Uniósł mały amulet, nie odrywając wzroku od wymyślnego grawerunku.

- Te linie odwzorowują taniec i dlatego mają określone znaczenie. - Wiódł palcem po skomplikowanych wzorach i mówił, jakby odczytywał linijkę tekstu w pradawnym języku. - Uderzaj spokojnie, nie daj się ponieść emocjom. Uderzaj na wroga tak prędko i bezpośrednio, jak to tylko możliwe. Uderzaj bez wahania. Stanowczo i zdecydowanie. Mierz w jego siłę. Wykorzystuj luki w obronie. Powal go. Zniszcz. Nie pozwól mu odetchnąć. Zmiażdż go. Bezlitośnie zniszcz jego ducha. - Popatrzył na dziadka. - Śmierć to przeciwwaga życia. Zapisano tu taniec ze śmiercią, a dokładniej mówiąc, mechanizm tańca ze śmiercią, samą jego esencję zredukowaną do symboli odwzorowujących idee. Czarodziej wojny postępuje zgodnie z tą regułą, bo inaczej ginie.

Z orzechowych oczu Zedda nie można było niczego wyczytać.

- Czyli te wszystkie znaki i symbole określają czarodzieja wojny jako zwykłego fehmistrza?

- Ma tu zastosowanie ta sama nadrzędna reguła, o której ci wcześniej wspomniałem. Prymary edykt ma nie tylko wyrazić to, jak czarodziej wojny walczy orężem, ale i, co ważniejsze, umysłem. To fundamentalne pojmowanie natury rzeczywistości, które musi obejmować wszystko, co on czyni. Zgodnie z prymarnym edyktem każdy oręż jest przedłużeniem jego umysłu, nośnikiem jego woli. Sam mi kiedyś powiedziałeś coś podobnego, tłumacząc, jak to jest być Poszukiwaczem. Liczy się nie tyle oręż, ile władający nim człowiek. Ten, kto ostatni nosił ów amulet, był niegdyś Pierwszym Czarodziejem. Nazywał się Baraccus. I on, jak ja, urodził się czarodziejem wojny. I on poszedł do Świątyni Wichrów, a kiedy stamtąd wrócił, udał się do enklawy Pierwszego Czarodzieja, zostawił tam amulet i popełnił samobójstwo, skacząc z murów wieży. - Richard zapatrzył się w odległe obrazy i wspomnienia. - Przez jakiś czas rozumiałem to i bardzo pragnąłem zrobić to samo. - Nicci ulżyło, kiedy uśmiech zastąpił widoczną w szarych oczach udrękę. - Ale się opamiętałem.

W komnacie zapadła dzwoniąca w uszach cisza, jakby wśliznęła się tu milczkiem śmierć, pobyła chwilę i odeszła.

W końcu Zedd też się uśmiechnął, chwycił wnuka za ramię i z czułością nim potrząsnął.

- Rad jestem, że dokonałem właściwego wyboru, obwołując cię Poszukiwaczem, chłopcze.

Nicci chciałyby, żeby Richard nadal miał miecz Poszukiwacza, lecz oddał go za informacje mające pomóc mu odnaleźć Kahlan.

- Tak więc - odezwał się Zedd, wracając do tematu - skoro rozumiesz te symbole, to uważasz, że odczytujesz również symbole obudowane w czar chainfire.

- Przecież je wygasilem, nieprawdaż? Zedd znów splótł dłonie za plecami.

- Punkt dla ciebie. Ale to niekoniecznie oznacza, że potrafisz odczytywać wbudowane w zakłęcie znaki tak jak symbole, a już tym bardziej, że potrafisz stwierdzić, iż zakłęcie zostało skażone przez demony.

- Nie przez same demony - tłumaczył cierpliwie Richard - lecz przez

kontaminację, która powstała, ponieważ demony były w naszym świecie. Ta skała zainfekowała czar chainfire. W tym cały problem.

Zedd odwrócił się i skrył twarz w mroku.

- Ależ Richardzie, nawet jeśli naprawdę rozumiesz coś z symboli związanych z czarodziejami wojny, to skąd możesz mieć pewność, że prawidłowo pojmujesz to... to... - machnął ręką w stronę komnaty, w której się to wszystko wydarzyło - tę całą resztę z czarem chainfire i demonami?

- Wiem to - spokojnie i z uporem powiedział chłopak. - Widziałem znamię określające skazę. Spowodowały ją demony.

Jego głos zdradzał zmęczenie. Nicci zastanawiała się, kiedy ostatnio spała. Podejrzewała, że wiele dni temu - wskazywały na to chwiejność ruchów i bezbarwny głos. Ale choć tak zmęczony, zdecydowanie obstawał przy swoim. Wiedziała, że mobilizuje go troska o Kahlan.

Dwukrotnie wydobył ją z matrycy czaru, więc nie była skłonna ot, tak odrzucić jego wyjaśnienia. A poza tym zaczęła pojmować, że Richard zupełnie inaczej niż oni wszyscy patrzy na magię. Początkowo sądziła, że widzi w działaniu magii element sztuki, bo wzrastał bez żadnego kontaktu z magią i się o niej nie uczył. Potem jednak dostrzegła, że owo jedyne w swoim rodzaju spojrzenie na dar oraz wyjątkowy umysł pozwoliły Richardowi pojąć samą istotę magii, zasadniczo odmienną od tradycyjnych nauk.

Nicci zaczęła wierzyć, że Richard prawdopodobnie patrzy na magię tak, jak tego nie czynił nikt od pradawnych czasów.

Zedd ponownie się ku nim odwrócił. Część twarzy czarodzieja oświetlał ciepły blask lampy, część - słaba, chłodna poświata brzasku.

- Powiedzmy, Richardzie, że masz rację co do znaczenia symboli na bransoletach i takich samych przed enklawą Pierwszego Czarodzieja. Ale to, że je rozumiesz, nie oznacza, że odczytujesz linie w czarze weryfikacji. To coś zupełnie innego i wyjątkowego. Nie wątpię w twoje umiejętności, chłopcze, naprawdę nie wątpię, ale matryce zaklęć to ogromnie skomplikowana materia. Nie możesz pochopnie wnioskować...

- Widziałeś w ostatnich latach smoka?

Nagła zmiana tematu sprawiła, że wszyscy osłupieli i zapadła cisza, zwłaszcza że ten nowy temat był co najmniej dziwny.

- Smoka? - zaryzykował Zedd po chwili niczym ktoś, kto ostrożnie próbuje wejść na świeżo zamrożone jezioro.

- Tak, smoka. Pamiętasz, że widziałeś smoka, po tym jak opuściliśmy Westland i znaleźliśmy się w Midlandach?

Czarodziej przyglądał parę kosmyków siwych włosów. Zerknął na Carę i Nicci, a potem odparł:

- Nie, nie przypominam sobie, żebym widział jakieś smoki. Ale co to ma wspólnego...

- Gdzie one są? Dlaczego żadnego nie widziałeś? Gdzie się podziały?

Zedd znalazł się w kropce. Rozłożył ręce.

- Richardzie, smoki to bardzo rzadko spotykane stworzenia. Chłopak odchylił się na oparcie krzesła i założył nogę na nogę.

- Czerwone smoki. Ale Kahlan mówiła mi, że inne są dość pospolite i że te mniejsze trzyma się między innymi do polowań.

Zedd zrobił się podejrzliwy.

- Do czego zmierzasz?

Richard wykonał zamaszysty gest.

- Gdzie są smoki? Dlaczego żadnego nie widzieliśmy? Do tego zmierzam.

Zedd skrzyżował ręce na piersi.

- Poddaję się. O czym ty mówisz?

- Po pierwsze, mówię o tym, że nie pamiętasz. Czar chainfire zaburzył nie tylko twoje wspomnienia o Kahlan.

- Czego nie pamiętam? - burknął czarodziej. - O czym ty mówisz?

Richard, zamiast odpowiedzieć, obejrzał się przez ramię.

- Widziałaś smoka? - spytał Carę.

- Nie przypominam sobie żadnego. - Uporczywie mu się przyglądała. - Chcesz powiedzieć, że powinnam?

- Rahl Posępny trzymał smoka. Był wówczas lordem Rahlem, więc trzymałaś się blisko niego i pewnie widziałaś smoka.

Zedd i Cara spojrzeli na siebie z niepokojem. Tak typowy dla Richarda wzrok drapieżnego ptaka spoczął na Nicci.

- A ty?

Nicci odkaszlnęła.

- Zawsze uważałam, że to mityczne stworzenia. W Starym Świecie nie było żadnego. A jeśli kiedykolwiek były, to zniknęły przed wiekami. Od czasu wielkiej wojny nie wspominają o nich żadne zapisy.

- A co z twoim pobylem w Nowym Świecie?

Ociągała się z przywołaniem wspomnień. Jednak Richard tak spokojnie czekał na odpowiedź, że zrozumiała, iż nie odpuści. Wiedziała, że sprawa, którą chłopak stara się rozwikłać, może być bardzo niejasna, ale na pewno nie błaża. Jego badawcze spojrzenie sprawiło, że nie tylko czuła się w obowiązku odpowiedzieć, ale i ogarnęły ją złe przeczucia. Odrzuciła przykrycie i spuściła nogi z łóżka. Nie chciała dłużej leżeć, a zwłaszcza gdy miała mówić o tym. Chwyciła się bocznego słupka i spojrzała Richardowi w oczy.

- Kiedy zabierałam cię do Starego Świata, natrafiliśmy na olbrzymie kości. Nie zsiadłam z konia, żeby im się przyjrzeć, ale pamiętam, jak patrzyłam na ciebie chodzącego wśród żeber. Żeber, które były dwa razy wyższe od ciebie. Nigdy przedtem takich nie widziałam. Powiedziałeś, że twoim zdaniem są to szczątki smoka. Pomyślałam sobie, że muszą to być bardzo stare kości. Ale ty stwierdziłeś, że nie, że ciągle jeszcze przylegają do nich resztki mięśni. Pokazałeś mi brzęczące wokół nich roje much, dowód na to, że to szczątki gnijących zwłok, a nie pradawne pozostałości.

Richard potwierdził skinieniem głowy. Zedd odchrząknął.

- A ty widziałeś kiedyś smoka, Richardzie? Żywego, oczywiście.

- Scarlet.

- Słucham?

- Miała na imię Scarlet. Zedd zrobił wielkie oczy.

- Widziałeś smoka... i on miał imię?

Richard wstał i podszedł do okna. Oparł dłonie na kamiennym obramowaniu i zapatrzył się w dal.

- Tak - powiedział w końcu. - Miała na imię Scarlet. Pomogła mi. Była szlachetną istotą. - Odwrócił się od okna. - Ale nie w tym problem. Problem w tym, że i ty ją znałeś.

Brwi Zedda powędrowały wysoko.

- Znałem tę smoczycę?!

- Nie tak dobrze jak Kahlan i ja, ale znałeś. Kaskada chainfire najwyraźniej odebrała ci to wspomnienie. Chainfire miało sprawić, że wszyscy zapomną Kahlan, ale zapominają też inne powiązane z nią rzeczy. O ile mi wiadomo, mogłeś kiedyś lepiej ode mnie rozumieć znaczenie symboli przed enklawą Pierwszego Czarodzieja. A jeżeli tak było, zatraciłeś pamięć o tym. Ileż jeszcze wspomnień zginęło? Niewiele wiem o rozmaitych

sposobach posługiwania się magią, lecz kiedy tamtej nocy walczyliśmy z bestią, miałem wrażenie, że dawniej rzucaliście wymyślniejsze i potężniejsze zaklęcia niż te, którymi teraz staraliście się uporać z zagrożeniem. Może z wyjątkiem tego, co Nicci zrobiła na końcu. I tego właśnie najbardziej obawiali się ci, którzy stworzyli chainfire. Dlatego nigdy nie chcieli go użyć. A nawet nie ośmielili się wypróbować. Obawiali się, że kaskada zdarzeń, raz zapoczątkowana, zacznie się rozprzestrzeniać, niszcząc to, co się łączyło z zasadniczym celem zaklęcia, w tym przypadku z Kahlan. Przepadły twoje wspomnienia o Kahlan. Przepadły twoje wspomnienia o Scarlet. I najwyraźniej przepadła też pamięć o tym, że w ogóle widziałeś smoki.

Nicci wstała.

- Richardzie, nikt nie zaprzecza, że chainfire jest straszliwie niebezpieczne. Wszyscy wiemy, że jest. Wiemy, że uruchomienie kaskady chainfire uszkodziło naszą pamięć. Czy zdajesz sobie sprawę, jak zatrważająca jest świadomość, że coś robiliśmy, coś wiedzieliśmy i kogoś znaleźliśmy, a teraz o tym wszystkim nie pamiętamy? Czy wiesz, jak dręcząca jest nieustanna obawa o to, jakie wspomnienia utraciliśmy i jakie jeszcze możemy utracić? Że umysł ulega erozji? Do czego w ogóle zmierzasz?

- Właśnie do tego: co jeszcze zostało utracone. Myślę, że u wszystkich trwa niszczenie pamięci, że umysły ulegają erozji, jak to nazwałaś. Nie sądzę, by chainfire spowodowało tylko jedno: że zapomniano o Kahlan. Myślę, że zaklęcie, raz „obudzone”, jest niepowstrzymanym, dynamicznym procesem. I że wszyscy nieustannie tracą wspomnienia.

Zedd, Cara i Nicci nie mogli wytrzymać wzroku Richarda i odwrócili oczy. Nicci zastanawiała się, jak mogą się spodziewać, że go wesprą, skoro żadne z nich nie potrafiło w pełni wykorzystać swojego umysłu i jeszcze z dnia na dzień coraz więcej zapominało.

Jak Richard mógłby zawierzyć któremuś z nich?

- Obawiam się również, że choć to i tak już jest złe, szerzy się i staje coraz gorsze - powiedział Richard spokojnym tonem. - Smoki, jak wiele istot w Midlandach, potrzebują magii, by żyć. A jeśli skaza spowodowana przez demony zniszczyła magię potrzebną tym istotom do życia? Jeśli nikt nie widział smoków przez ostatnie parę lat, bo już nie istnieją, a chainfire zabiło pamięć o nich? Jakie jeszcze magiczne istoty mogły zniknąć? - Postukał się kciukiem w pierś. - My też jesteśmy magicznymi istotami. Mamy dar. Ile

czasu upłynie, nim skaza pozostawiona przez demony zacznie niszczyć i nas?

- Ale być może... - Zedd umilkł, nie znajdując argumentów.

- Samo zakłęcie chainfire też jest skażone. Wszyscy widzieliście, co robiło Nicci. Była wewnątrz czaru i zna okrutną prawdę. - Chłopak zaczął się przechadzać. - Nie wiadomo, jak wbudowana w czar skaza może zmienić jego działanie. Bardzo możliwe, że to właśnie za sprawą kontaminacji utrata pamięci jest rozległej-Sza, niż byłaby bez niej. Co gorsza, wydaje się, że skaza i chainfire działają symbiotycznie.

Zedd spojrzął na wnuka.

- O czym ty mówisz?

- Co jest bezwiednym celem demonów? Po co je przede wszystkim stworzono? Tylko i wyłącznie po to - odpowiedział sobie Richard - żeby zniszczyć magię. - Przystanął i po chwili kontynuował, patrząc na nich: - Skaza pozostawiona przez demony niszczy magię. Pierwsze najprawdopodobniej ucierpiały istoty potrzebujące magii do życia, na przykład smoki. Ta kaskada zdarzeń będzie trwać. Ale nikt nie jest tego świadom, bo chainfire równocześnie niszczy pamięć. Sądzę, że może dzieje się tak, bo czar jest skażony i zaciera wspomnienia o tym, co przestaje istnieć. Podobnie jak pijawka znieczula miejsce, w którym się przyssała, żeby ofiary nie czuły, jak wysysa im krew, chainfire, skażony przez demony, zaciera pamięć o tym, co utracone. Świat się radykalnie zmienia i nikt nie jest tego świadom. Jakby wszyscy zapominali, że to świat, w którym magia istnieje i ma wielkie znaczenie. Ta magia teraz zanika... i pamięć o niej też. - Znów oparł się o parapet i zapatrzył w dal. - Świta nowy dzień, w którym magia nadal będzie zanikać i nikt nie będzie tego świadom. A kiedy całkiem zniknie, pewnie nikt nie będzie pamiętał, że istniała. Zupełnie jakby cały ten świat stawał się legendą.

Zedd mocno przycisnął palce do blatu i zapatrzył się w dal. Blask lampy uwypuklił głębokie zmarszczki na jego ściągniętej twarzy. Pobladł. Nicci pomyślała, że wygląda bardzo staro.

- Dobre duchy - powiedział czarodziej. - A jeżeli masz rację? Odwrócili się, usłyszawszy pukanie. Cara otworzyła drzwi. Stali za nimi Nathan i Ann.

- Przeprowadziliśmy standardową weryfikację - odezwał się Nathan, wchodząc za Ann i patrząc na ich ponure miny.

- I? - niecierpliwie spytał Zedd.

- I nie ujawniła żadnej skazy - odparła Ksieni. - Czar jest pod każdym względem nienaruszony.

- Jak to możliwe? - spytała Cara. - Wszyscy widzieliśmy, co się działo. O mało nie zabił Nicci. I byłby ją zabił, gdyby lord Rahl jej nie wy dostał.

- No właśnie - rzekł Nathan. Zedd odwrócił wzrok.

- Wewnętrzna perspektywa ma ujawnić więcej niż zwykła weryfikacja - wyjaśnił Carze. - To nie jest dobry znak. Oj nie. Kontaminacja najwyraźniej wniknęła jak najgłębiej, żeby zataić swoją obecność. To dlatego nie widać jej przy standardowej weryfikacji.

- Albo - zasugerowała Ann, chowając dłonie w rękawach skromnej szarej sukni - z zaklęciem nie stało się nic złego. W końcu żadne z nas nigdy nie przeprowadzało weryfikacji z wewnętrznej perspektywy. Nie robiono tego od tysięcy lat. Całkiem możliwe, że popełniliśmy jakiś błąd.

Zedd pokręcił głową.

- Chciałbym, żeby tak było, ale teraz wiem, że jest zupełnie inaczej.

Nathan nachmurzył się podejrzliwie, lecz Ann go ubiegła.

- Nawet jeżeli Siostry, które rzuciły czar, przeprowadziły weryfikację - powiedziała - to najprawdopodobniej nie z wewnętrznej perspektywy. Zatem nawet nie podejrzewały, że w zaklęciu jest skaza.

Richard potarł palcami czoło.

- Nawet jeżeli wiedziały, że jest skażony, i tak o to nie dbały. Nie byłoby dla nich ważne, jaką szkodę taka skaza może wyrządzić światu. W końcu zamierzają zdobyć szkatuły Ordenu i uwolnić jego moc.

Nathan wodził wzrokiem po ponurych twarzach.

- O co chodzi? Co się stało?

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że utrata pamięci to dopiero początek. - Nicci dość dziwnie się czuła, stojąc przed nimi w różowej nocnej koszuli i ogłaszając koniec znanego im świata. - Niknie to, kim jesteśmy, czym jesteśmy. Tracimy nie tylko nasz świat, ale i samych siebie.

Richard już się nie interesował rozmową. Stał nieruchomo, wyglądając przez okno.

- Ktoś podąża drogą ku wieży.

- Może to Tom i Friedrich - odezwał się Nathan. Zedd pokręcił głową, idąc ku oknu.

- Nie wróciliby tak szybko z patrolu.
- Ale mogliby...
- To nie Tom i Friedrich - oznajmił Richard, ruszając ku drzwiom. - To dwie kobiety.

Rozdział 10

Co się dzieje? - zawołała Rikka, widząc biegnących ku niej Richarda, Nicci i Care.

Nathan i Ann zostali daleko w tyle, Zedd był gdzieś pośrodku.

- Chodź! - odkrzyknął Richard, mijając ją.

- Ktoś nadciąga drogą ku wieży! - zawołała przez ramię Cara, gdy Rikka dołączyła do biegu korytarzami.

Richard skręcił gwałtownie przy długim kamiennym stole ustawionym pod ścianą, pod malowidłem z jeziorem. Pogrążone w głębokim cieniu sosnowe zagajniki osłaniały wiodące przez nie ścieżki. W oddali, w błękitnawej mgiełce, wznosiły się majestatyczne góry opromienione słonecznym blaskiem. Ten widok zawsze budził w Richardzie tęsknotę za lasami Hartlandu, za tak dobrze znanymi mu ścieżkami. A przede wszystkim przypominał mu cudowne lato spędzone z Kahlan w domu, który zbudował dla niej w górach.

Lato powrotu Kahlan do zdrowia po strasliwym pobiciu - kiedy to pokazał jej piękno swojego leśnego świata i kiedy ona odzyskała urodę i zdrowie - było jednym z najszcześniejszych okresów życia Richarda. Zakończyło się nagle, zbyt szybko, gdy znienacka pojawiła się Nicci i uprowadziła go. Wiedział jednak, że gdyby to nie czarodziejka przerwała ów szczęśliwy okres, zrobiłoby to co innego. Ten czas był jak sen, który musi się skończyć. Dopóki nie przeminie groza Imperialnego Ładu, nikt nie zrealizuje swoich marzeń. Wszyscy mogliby się za to pogrążyć w tym samym koszmarze.

Skręcili przy kolumnie z zielonego marmuru, ze złotą głowicą i bazą, i pognali w dół spiralnymi granitowymi schodami. Richard i Nicci na czele, obie Mord-Sith tuż za nimi. Schody, jak na wieżę były małe, ale i tak przyćmiłyby wszystko, co chłopak widział, dorastając w Westlandzie.

Na dole Richard na chwilę przystanął, zastanawiając się, którędy dotrą najszybciej. W wieży pozory często myliły. Poza tym można było się tam zgubić równie łatwo jak w brzezynie.

Cara wepchnęła się pomiędzy Richarda a Nicci i znalazła przed nimi. Zrobiła to nie tylko po to, żeby z obu stron osłaniały go czerwone uniformy,

ale i po to, żeby to właśnie ona była z przodu. O ile wiedział, Mord-Sith nie miały hierarchii, ale tak Rikka, jak pozostałe zawsze milcząco uznawały zwierzchnictwo Cary.

Richard rozpoznał charakterystyczny układ wąskich czarnych i połączonych wstęg, które bieły górą i dołem mahoniowej boazerii w jednym z bocznych korytarzy. Odkąd nauczył się chodzić, orientował się według charakterystycznych punktów otoczenia. W lasach zapamiętywał drzewa z wykręconym konarem, odrostem lub blizną, a w wieży znajdował drogę, kierując się zapamiętanymi detalami architektonicznymi.

- Tędy - rzekł i Cara pomknęła przed nim.

Biegli, dudniąc butami po kamiennej posadzce korytarza. Nicci była boso. Richarda trochę dziwiło, że czarodziejka może tak biec po szorstkim kamieniu. Nigdy mu nawet nie przyszło na myśl, że taka kobieta mogłaby biec bez butów. Ale nawet boso Nicci nadal wyglądała... po królewsku.

A jeszcze tak niedawno w ogóle nie sądził, że ona kiedykolwiek znów będzie biegać. Nadal go dziwiło, że zdołał wydostać Nicci z matrycy czaru po tym, jak błyskawica uderzyła przez okno. Przez chwilę był przekonany, że ją stracili. I mogło się tak stać, gdyby nie było tam Zedda, który zajął się Nicci, gdy Richard wygasił czar weryfikacji.

Skręcili w kolejny korytarz, długie dywany zaś tłumili ich kroki. W końcu wbiegli między dwiema lśniącymi kolumnami z czerwonego marmuru do owalnego westybulu. Okalała go galeria wsparta na kolumnach i łukach. Widoczne w tyle galerii przejścia wiodły do korytarzy, rozbiegających się niczym szprychy koła i prowadzących na rozmaite poziomy i do różnych segmentów wieży.

Richard zbiegł po pięciu stopniach, okalających westybul u podstawy kolumn i minął wielką fontannę w kształcie liścia koniczyzny ustawioną pośrodku wyłożonej płytami posadzki. Woda spływała kaskadą do coraz szerszych, przypominających muszle mis, a potem do dolnego zbiornika, który otaczała sięgająca kolan ścianka z białego marmuru służąca również jako ławka. Przez przeszklony strop, setki stóp w górze, wpadało światło i ciepło.

Chłopak znalazł się po drugiej stronie westybulu, wyminął Carę i otworzył jedno skrzydło ciężkich drzwi. Zatrzymał się na szczycie dwunastu szerokich zewnętrznych granitowych stopni. Nieci znalazła się po jego lewej

ręce, mając Rikkę u drugiego boku. Cara zajęła obronną pozycję po jego prawej. Wszyscy łapali jeszcze oddech po krótkim, lecz szybkim biegu przez wieżę.

Trawa na padoku po drugiej stronie drogi zieleniła się bujnie w promieniach porannego słońca. Za padokiem wyrastała ściana wieży, dzięki czemu wewnętrzny dziedziniec wyglądał jak zaciszny kanion. Mijające tysiąclecia pokryły niebosięzną ścianę z dokładnie dopasowanych bloków ciemnego kamienia jasnobrązowym nalotem. Białawe smużki wapiennych nacieków stwarzały pozory, że skała powoli się topi.

Z mrocznego, łukowatego wylotu tunelu po lewej wyczłapały dwa konie. Ta trasa na wewnętrzny dziedziniec częściowo wiodła pod wieżę. Richard nie miał pojęcia, kim są osoby ukryte w cieniach szerokiego, nisko sklepionego przejścia, ale najwyraźniej wiedziały, dokąd idą, i nie bały się wejść do wewnętrznej części wieży, do której wstęp mieli tylko czarodzieje i ludzie tu dla nich pracujący, a nie goście. Ale to było dawno temu. Mimo to Richard dobrze pamiętał, z jakim niepokojem, ostrożnie, odważył się za pierwszym razem wejść aż tak daleko w głąb terenów wieży. Nastroszył się, zaskoczony i zaniepokojony, że ktoś ośmielił się przyjechać wprost tutaj.

Kiedy jeźdźcy wyjechali z cienia, przekonał się, że jednym z nich jest Shota.

Wiedźma spojrzała mu w oczy i obdarzyła swoim spokojnym, znaczącym uśmiechem. Chłopak niezbyt jej ufał, toteż nie bardzo wierzył w szczerść tego uśmiechu i wcale nie był pewny, że on dobrze wróży.

Nie rozpoznał może dziesięć lub piętnaście lat starszej kobiety jadącej pokornie za Shotą. Krótkie, rudoblond włosy okalały miłą twarz. Oczy miała tak intensywnie niebieskie jak niebo w słoneczny jesienny dzień. W przeciwieństwie do Shoty nie uśmiechała się swobodnie. Kręciła głowę, wodząc tymi błękitnymi oczami, jakby się bała ataku demonów, które mogłyby nagle wychynąć z ciemnych kamiennych bloków okolicznych murów.

Shota za to była spokojna i pewna siebie.

Cara pochyliła się mimo Richarda ku Nicci.

- Shota, wiedźma - szepnęła dyskretnie.

- Wiem - odparła czarodziejka, nie spuszczając wzroku z jadącej ku nim pięknej kobiety.

Shota zatrzymała konia tuż przy schodach. Wyprostowała się dumnie i wsparła nadgarstki o łęk siodła.

- Musiałam się z tobą zobaczyć - powiedziała do Richarda, jakby poza nim nikt tam nie stał. Uśmiech, szczerzy czy nie, zniknął. - Mam dużo do omówienia.

- A gdzie twój kompanion o morderczych instynktach?

Wiedźma, jadąca po damsku, zsunęła się z konia, a Richard pomyślał, że tak pewnie zrobiłby to duch, gdyby duchy jeździły konno. Przymrużyła migdałowe oczy, odrobinę oburzona.

- To jedna ze spraw, które musimy omówić.

Druga kobieta również zsiadła i wzięła wodze konia Shoty, gdy ta przesunęła w bok trzymającą je rękę zupełnie jak królowa, która nie wie i nie dba, czy ktoś się nimi zajmie, a jednak oczekuje, że ktoś to robi. Nie odrywając oczu od Richarda, wiedźma podплыnęła ku szerokim granitowym stopniom. Gęste, faliste kasztanowe włosy spływały poniżej ramion, lśniąc w porannym słońcu. Jej wydekoltowana szata ze zwiewnej, rdzawej materii, wspaniale zharmonizowana odcieniem z kolorem włosów, kołysała się w rytm kroków, przywierając do każdej krągłości.

Shota wreszcie oderwała wzrok od Richarda i spojrzała wyzywająco na Nicci. Takie spojrzenie pognębiłoby każdego. Ale nie Nicci. Chłopak uświadomił sobie nagle, że najprawdopodobniej znalazł się w towarzystwie dwóch najgroźniejszych kobiet na świecie. Trochę się obawiał, że nadplyną burzowe chmury i uderzy piorun, ale niebo pozostało błękitne.

Shota znów popatrzyła na niego.

- Twój przyjaciel Chase został ciężko ranny.

Richard sam nie wiedział, jakiej wiadomości spodziewał się od wiedźmy, ale czegoś takiego z całą pewnością nie.

- Chase... ?

Znienacka pojawił się Zedd i przepchnął między wnukiem a Carą.

- Shota! - zawołał rozsierdzony. Twarz mu poczerwieniała, i to na pewno nie po biegu przez korytarze. - Jak śmiesz się zjawiać w wieży?! Najpierw wyludzasz od Richarda miecz, a potem...

Richard oparł ramię o pierś dziadka, powstrzymując go od zbiegnięcia po schodach.

- Uspokój się, Zedzie. Shota mówi, że Chase został ciężko ranny.

- Co ona sobie myśli... - Umilkł nagle, bo dotarło doń, co Richard powiedział. Zaskoczony, spojrzał na wiedźmę. - Chase ranny? Drogie duchy... jak? - Nagle dostrzegł drugą kobietę, stojącą z tyłu i trzymającą wodze obu koni. Zmrużył oczy, bo światło było ostre. - Jebra? Jebra Bevinvier?

Kobieta uśmiechnęła się serdecznie.

- Minęło trochę czasu. Nie sądziłam, że mnie sobie przypomnisz, czarodzieju Zoranderze.

Tym razem Richard nie starał się zatrzymać dziadka, kiedy ten zaczął zbiegać ze schodów. Czarodziej serdecznie uściskał kobietę.

- Czarodzieju Zoranderze...

- Zeddzie, pamiętasz?

Odchyliła się, żeby spojrzeć na jego twarz. Bardzo smutne oczy rozjaśnił uśmiech. A potem uśmiech zniknął.

- Zeddzie, moje wizje zasnuł mrok.

- Zasnuł mrok? - Twarz czarodzieja stężała z niepokoju. Spoważniał i chwycił Jebra za ramiona. - Kiedy?

- Prawie dwa lata temu. - W błękitnych oczach znów było widać okropną udrękę.

- Dwa lata... - powtórzył Zedd i umilkł, zaniepokojony.

- Już sobie przypominałem - rzekł Richard, schodząc ze schodów. - Kahlan mi o tobie opowiadała.

- Kto? - spytała Jebra, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Fantom, za którym goni - wyjaśniła Shota, wpatrując się w Richarda, jakby go prowokowała do protestów.

- Kobieta, której szuka, nie jest fantomem - wtrąciła się Nicci, przyciągając uwagę wiedźmy. - Przekonaliśmy się, po części dzięki twoim kosztownym i dość dwuznacznym podpowiedziom, że Richard cały czas mówił nam prawdę. Najwyraźniej jeszcze o tym nie wiesz.

Lodowate spojrzenie Nicci przypomniało Richardowi, że onegdaj nazywano ją Panią Śmierci. Chłodny, władczy głos pasował do spojrzenia. Niewiele było na świecie kobiet, których by się tak wszyscy bali jak niegdyś Nicci. No, może należałoby jeszcze do nich zaliczyć Shotę. Postawa Nicci jasno wskazywała, że tej kobiety nadal należy się obawiać.

Shota, niewzruszona, przyjrzała się różowej nocnej koszuli Nicci.

Richard spodziewał się znaczącego uśmiešku. Tymczasem oczy wiedźmy gniewnie błysnęły.

- Spałaś w jego łóżku. - Wyraźnie zdziwiły ją własne słowa, jakby ten fakt nieoczekiwanie przyszedł jej na myśl.

Nicci wzruszyła ramionami zadowolona z gniewu Shoty.

- I owszem.

Leciutki uśmiech wzniosł kąciki ust wiedźmy.

- Ale jeszcze nie udało ci się go tam zwabić. - Uśmiechnęła się szerzej. - Próbowałaś, moja droga? A może obawiasz się gorzkiego smaku odrzucenia?

- Boja wiem... Może mi powiesz, jak to smakuje, to się zastanowię.

Richard łagodnie powstrzymał Nicci, zanim obie kobiety zdążyły zrobić jakieś głupstwo. Choćby wydrapać sobie oczy. Albo wzajemnie się spopielić.

- Mówiłaś, Shoto, że zjawiłaś się tu z jakiegoś powodu. I lepiej niech to nie będzie ten powód.

Wiedźma leciutko westchnęła.

- Znalazłam twojego przyjaciela Chase'a. Był ciężko ranny.

- Tak powiedziałaś. Co go zraniło?

Nie odwróciła wzroku. Ciągle patrzyła mu w oczy.

- Zranił go miecz, który powinieneś dobrze znać. Richard aż zamrugał ze zdumienia.

- Miecz Prawdy? Samuel go zaatakował?

- Na to wygląda.

- To twoja sprawka! - Zedd pogroził Shocie kościstym palcem.

- Bzdura. - Wiedźma też uniosła palec, bo Zedd przystąpił bliżej. Był to gest ostrzegawczy, a nie oskarżycielski. Gest i jej słowa powstrzymały czarodzieja przed zrobieniem kolejnego kroku. - Nie potrzebuję miecza, by zranić. - Znacząco uniosła brew. - Chcesz się przekonać, czarodzieju?

- Przestańcie! - Richard zbiegł po dwa stopnie naraz i stanął między Shotą a dziadkiem. Spojrzał gniewnie na wiedźmę. - Co się dzieje?

- Nie bardzo wiem - westchnęła ze smutkiem.

- Dałaś Samuelowi mój miecz. - Starał się mówić spokojnie i nie okazywać gniewu, ale obawiał się, że marnie mu to wychodzi. - Ostrzegałem cię przed nim. A ty mimo moich ostrzeżeń nalegałaś, żeby dostał miecz. Chcę wiedzieć, co on knuje. Gdzie jest Chase? Jak ciężko jest ranny? No i gdzie jest Rachel?

Shota zmarszczyła brwi.

- Rachel?

- Dziewczynka, którą adoptował. Oboje wracali do Westlandu. Chase miał sprowadzić do wieży całą swoją rodzinę. Chcesz powiedzieć, że małej przy nim nie było?

- Znalazłam go ciężko rannego. - Shota po raz pierwszy okazała zaniepokojenie. - Dziewczynki tam nie było.

Richard patrzył, jak Rikka bierze wodze obu koni i prowadzi zwierzęta na padok, i usiłował się domyślić, co się dzieje oraz dlaczego Rachel nie została przy Chasie. Martwiły go ewentualne przyczyny i to, co się mogło przytrafić małej. Wiedział, jaka jest zaradna i przywiązana do strażnika, więc zastanawiał się, czy nie poszła po pomoc i nie błąka się teraz samotnie. Wtem coś przyszło mu do głowy.

- Jak to się stało, że natrafiłaś na Chase'a?

Shota zwilżyła wargi. Nie miała ochoty się do tego przyznać, ale wreszcie to zrobiła.

- Ścigałam Samuela.

Richard, zdumiony, spojrział na Nicci. Nawet nie drgnęła, a jej twarz tak dalece nie wyrażała jakiegokolwiek uczucia, że przypomniało to chłopakowi minę, jaką widywał u Kahlan. Nazywała to „twarzą Spowiedniczki”. Spowiedniczki musiały czasami tłumić wszelkie uczucia, by móc popełnić niezbędne niekiedy okrucieństwa.

- Jak się ma Chase? - spytał znacznie spokojniejszy. Chciał wiedzieć, dlaczego Shota ścigała Samuela, ale chwilowo miał ważniejsze strapienia. - Wyzdrowieje?

- Tak sędzę - odparła Shota. - Przebito go mieczem...

- Moim mieczem.

Nie zaprotestowała przeciwko tej poprawce.

- Nie jestem uzdrowicielką, ale mam pewne zdolności i przynajmniej udało mi się zawrócić go z drogi ku śmierci. Znalazłam ludzi, którzy się o niego zatroszczą i pomogą mu wyzdrowieć. Sędzę, że na razie jest bezpieczny. Ale trochę czasu upłynie, zanim znów stanie na nogi.

- A dlaczego Samuel go nie zabił? - spytała stojąca na najwyższym stopniu Cara.

- Tovi też tak pchnął - odezwała się Nicci. - I jej także nie zabił.

- Samuel na pewno potrafi zabić - orzekł Richard. Shota splotła przed sobą dłonie.

- Samuel najwyraźniej nie może się zebrać na odwagę, by zabić mieczem. Czynił to w przeszłości, kiedy miecz należał do niego, i wie, jak się potem cierpi. - Spojrzała znacząco na Richarda. - Jestem pewna, że wiesz, o czym mówię.

- To oręż, który nie powinien się znaleźć w niewłaściwych rękach - powiedział chłopak.

Zignorowała docinek i podjęła:

- Jest tchórzem. A tchórz często zostawia ofiarę, żeby zmarła, bo nie chce oglądać jej śmierci.

- Biedacy jeszcze mocniej wtedy cierpią - stwierdził Zedd. - To bardziej okrutne. Może o to mu chodziło.

Wiedźma potrząsnęła głową.

- Samuel to tchórz i oportunistą. Nie tyle chce być okrutny, ile jest skończonym egocentrykiem. Tchórze zazwyczaj nie obmyślają swoich postępów. Kierują się kaprysem. Jeżeli czegoś chcą, muszą to mieć natychmiast. Samuel rzadko się zastanawia nad skutkami swych czynów. Kiedy widzi coś, czego pragnie, łapie to, jeśli dostrzeże po temu okazję. Unika cierpienia, jakie zesłałoby zabicie mieczem, i dlatego nie kończy zabójstwa, które zaczął pod wpływem impulsu. Nic go nie obchodzi; że zraniona osoba umiera potem długo i boleśnie, bo on już tego nie widzi. Co z oczu, to z myśli. Tak właśnie postąpił z Chase'em.

- I ty dałaś mu miecz - odezwał się Richard, nie potrafiąc ukryć gniewu. - Wiedziałaś, jaki on jest, a mimo to umożliwiłaś mu takie postęпки.

Shota patrzyła chwilę na niego, zanim odpowiedziała.

- Wcale tak nie było, Richardzie. Dałam mu miecz, bo myślałam, że go to ucieszy. Sądziłam, że będzie zadowolony, że go odzyskał. Że to ukoji zadawnione urazy wywołane odebraniem mu miecza. - Spojrzała morderczym wzrokiem na Zedda.

- Czyli nie zastanowiłaś się nad następstwami swojego czynu - stwierdził Richard. - Po prostu zrobiłaś, co chciałaś, kiedy tylko przyszła ci na to chętka.

Wiedźma znowu popatrzyła na chłopaka.

- Jesteś równie bezczelny i popędliwy jak zawsze, choć upłynęło tyle czasu i tyle się wydarzyło?

Richard nie był w nastroju do usprawiedliwiania się.

- Obawiam się, że z tym łączy się o wiele więcej - dodała Shota już mniej gniewnie. - Więcej, niż sobie wtedy uświadamiałam.

Zedd pocierał brodę, zastanawiając się nad tym wszystkim.

- Samuel musiał zranić Chase'a i potem porwać Rachel. Richarda zaskoczyła uwaga dziadka; nie przyszło mu to na myśl. Założył, że Rachel poszła po pomoc. Spojrzał chmurnie na Shotę.

- Dlaczego Samuel miałby to zrobić?

- Niestety, nie mam pojęcia. - Wiedźma zerknęła na Nicci stojącą nadal na szczycie granitowych schodów. - Kim jest ta kobieta, którą, jak mówisz, zranił? Ta Tovi?

- Była Siostrą Mroku. I nie jest to gołosłowne oskarżenie. Tovi nie znała osoby, która ją raniła, nie wiedziała, kim jest Samuel, ale rozpoznała Miecz Prawdy. Była niegdyś, w Pałacu Proroków, jedną z nauczycielek Richarda. Przed śmiercią opowiedziała mi, jak wraz z trzema innymi Siostrami Mroku rzuciły na Kahlan czar chainfire, żeby wszyscy o niej zapomnieli. Później posłużyły się Kahlan, każąc jej wynieść z Pałacu Ludu szkatuły Ordenu.

Shota zmarszczyła czoło. Naprawdę ją to zdumiało.

- Szkatuły Ordenu są w grze - dodał Richard. Zatopiona w myślach wiedźma niedbale machnęła ręką.

- O tym już wiem. Ale nie wiem, jak do tego doszło. Richard był ciekaw, ile tak naprawdę ona wie, ale mimo wszystko opowiedział:

- Tovi miała przy sobie jedną ze szkatuł Ordenu wyniesionych z Pałacu Ludu w D'Harze. Samuel napadł ją, przebił mieczem i ukradł szkatułę.

Shota znów się zdziwiła, ale uczucie to szybko zastąpił gniew, kiedy milcząc, zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Znam Chase'a całe życie - rzekł Richard. - Każdy może popełnić błąd, ale jeszcze nie słyszałem, żeby zaskoczył go ktoś na niego zaczajony. Podejrzewam, że Siostry Mroku też nie jest łatwo wciągnąć w zasadzkę. Osoby z ich uzdolnieniami wyczuwają obecność będących w pobliżu ludzi.

Shota popatrzyła na niego:

- O co ci chodzi?

- Samuelowi jakoś udało się zaskoczyć Siostrę Mroku i strażnika granicy. - Chłopak skrzyżował ramiona na piersi. - Co więcej, ilekroć Samuel próbuje zrobić coś złego, ty jesteś zdumiona i twierdzisz, że nie wiedziałas, co knuł.

Jaką rolę odgrywasz w tym wszystkim, Shoto?

- Żadnej. Nie miałam pojęcia, co zamierzał.

- Taka wiedza jest do ciebie niepodobna. Twarz Shoty okryła się rumieńcem.

- Nie masz o tym pojęcia. - Odwróciła się wreszcie od niego i ruszyła ku schodom. - Mówiłam, że mamy dużo do omówienia.

Richard chwycił ją za ramię i zwrócił ku sobie.

- Masz coś wspólnego z tym, że Samuel potrafił zaskoczyć Chase'a i Tovi i ukraść tę szkatułę? Zrobiłaś coś jeszcze poza oddaniem mu miecza i poinformowaniem o mocy skrytej w szkatułach Ordenu?

Przez chwilę wpatrywała się badawczo w jego oczy.

- Chcesz mnie zabić, Richardzie?

- Zabić cię? Nigdy nie miałaś lepszego ode mnie przyjaciela.

- Zatem odsuń od siebie gniew i wysłuchaj, co obie mamy do powiedzenia, bo po to przyjechałyśmy. - Uwolniła rękę i ponownie ruszyła ku schodom. - Wejdzmy. Schowajmy się przed tą paskudną pogodą.

Richard spojrzał na błękitne niebo.

- Pogoda jest wspaniała - powiedział, obserwując, jak wiedźma wchodzi po schodach.

Na szczycie Shota przystanąła, wymieniła z Nicci krótkie spojrzenie i popatrzyła na Richarda. Było to zniewalające, niepokojące, wszechwiedzące spojrzenie, według chłopaka właściwie jedynie wiedźmie.

- Nie w moim świecie - rzekła niemal szeptem. - W moim świecie pada.

Rozdział 11

Shota spłynęła ze schodów i zatrzymała się przed fontanną. Przeświecająca szata, która okrywała jej posągowe kształty, falowała łagodnie niczym w powiewach wiatru. Woda - tryskająca, pieniaąca się i spływająca kaskadą - tańczyła i lśniła w blasku wpadającym przez wysoki, przeszklony strop; wszystko dla uciechy patrzących. Wiedźma wpatrywała się w nią przez chwilę nieobecny wzrokiem, jakby pogrążona bez reszty we własnych myślach, a potem obróciła się ku grupce czekającej przy wielkich, dwuskrzydłowych drzwiach. Stali w milczeniu, obserwując ją, jakby czekali na werdykt królowej.

Za jej plecami woda fontanny trysnęła wysoko. Ruch wody gwałtownie ustał. Znajdujący się już w powietrzu strumień osiągnął zenit i opadł. Liczne strumyki, spływające z poszczególnych mis, jakby zakłopotane własnym pluskaniem, znieruchomiały i umilkły.

Zedd stanął na skraju stopni i przybrał groźną minę. Rozwiana skromna szata owinęła się wokół jego nóg. Richard pomyślał, że w tej chwili jego dziadek w istocie wygląda na tego, kim jest - na Pierwszego Czarodzieja. Wcześniej uważał, że Nicci i Shota sprawiają wrażenie niebezpiecznych, a teraz uświadomił sobie, że i Zedd jest nie mniej groźny. Był jak burzowa chmura, z której lada chwila uderzy piorun.

- Nie życzę sobie, żebyś tu przy czymkolwiek manipulowała. Pozwoliłem ci tutaj wejść, gdyż przybyłaś z powodów, które mogą się okazać dla nas ważne. Ale nie będę tolerować wtrącania się do czegokolwiek.

Shota zbyła to ostrzeżenie machnięciem ręki.

- Domyślam się, że nie pozwolisz mi wejść dalej. Fontanna jest hałaśliwa. Nie chcę, żeby Richardowi umknęło to, co ja i Jebra mamy do powiedzenia. - Uniosła ramię ku Ann, która stała obok Nathana, niemal niewidoczna w mrokach galerii i olbrzymich czerwonych kolumn. - Ta sprawa była bliska twemu sercu przez połowę twego życia, Ksieni.

- Już nie jestem Ksienią - odparła Ann spokojnym, władczym tonem, który brzmiał tak, jakby nadal nią była.

- Dlaczego ścigałaś Samuela? - zapytała Cara, ściągając na siebie uwagę wiedźmy.

- Bo nie powinien opuszczać moich ziem w kotlinie Agaden. A już zwłaszcza bez mojego pozwolenia.

- A jednak to zrobił - odezwał się Richard. Shota skinęła głową.

- Więc zaczęłam go szukać. Chłopak splótł dłonie za plecami.

- Jak to możliwe, Shoto, że nie wiedziałaś, iż Samuel zamierza cię opuścić? Masz taką moc, rozległą wiedzę, no i sama mi tłumaczyłaś, że wiedźma widzi zdarzenia płynące w strumieniu czasu. Jak zatem mógł to zrobić bez twojej zgody?

Nie uchyliła się przed odpowiedzią.

- Jest tylko jedno wyjaśnienie.

Richard powstrzymał sarkastyczną uwagę, która mu przyszła na myśl.

- A jakież to? - zapytał.

- Na Samuela rzucono urok.

Chłopak nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Rzucono urok. Przecież to ty jesteś wiedźmą. To ty rzucasz uroki. Shota złączyła dłonie i przez chwilę patrzyła w podłogę, splatając palce.

- Inna rzuciła na niego urok. Richard zszedł z pięciu stopni.

- Inna wiedźma?

- Tak.

Chłopak głęboko zaczerpnął powietrza i rozejrzał się. Pozostali wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Nikt nie palił się, aby zapytać, więc on to zrobił.

- Chcesz powiedzieć, że gdzieś tu jest druga wiedźma i że to ona czarami wywabiła Samuela?

- Chyba wyraźnie to powiedziałam.

- Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia. Pewne wydarzenia w strumieniu czasu są moją sprawą, zadbałam o to. A skoro byłam tak ślepa na to, co należy do moich kompetencji, może to oznaczać tylko jedno: inna wiedźma celowo ukryła przede mną te ciągi zdarzeń.

Richard wsunął dłonie do tylnych kieszeni. Namyslał się. Przeszedł się i wreszcie znów spojrzął na Shotę.

- Może to nie była wiedźma. Może to była Siostra Mroku lub ktoś w tym rodzaju. Osoba mająca dar. Może nawet czarodziej. Jagang też ich ma.

- Wcale nie tak łatwo zmylić wiedźmę, nawet w mało znaczących

sprawach. - Łypnęła groźnie na Zedda. - Zapytaj dziadka. - Wskazała kilkoro z obecnych w westybulu, a potem popatrzyła na Richarda.

- Osoba mająca dar, nawet taka jak ci tutaj, choćby nie wiem jak biegła, nie byłaby w stanie dokonać tak poważnej manipulacji jak ta. Wyłącznie inna wiedźma mogłaby się potajemnie wśliznąć na moje terytorium. Tylko inna wiedźma mogłaby spowić zasłoną moje widzenie, a potem nakłonić urokami Samuela, żeby zrobił to, co zrobił.

- Skoro twoje widzenie jest spowite zasłoną - odezwała się Cara - to jak możesz być tak pewna, że na Samuela rzucono urok? Może działał z własnej woli. Widziałam go i wiem, że nie potrzeba żadnej tajemniczej uwodzicielki, żeby uległ instynktom. Sam jest wystarczająco podstępny.

Shota z wolna pokręciła głową.

- Przypomnij sobie, co mi powiedzieliście, a zrozumiesz, że trzeba do tego było nie zwykłego sprytu, lecz wiedzy wykraczającej poza możliwości Samuela. Napadnięto Siostrę Mroku i ukradziono jej szkatułę Ordenu. Po pierwsze, skąd Samuel wiedziałby, że ta kobieta ma przy sobie coś cennego? Ja o niej nie wiedziałam, bo to należy do spraw ukrytych przede mną. Nie mogłabym zatem mu o tym powiedzieć, nie mogłabym mu tego zdradzić nawet mimo woli, przez nieuwagę, jak wszyscy myślicie. Czyli Samuel nie dowiedział się tego ode mnie. Muszę przyznać, że jeżeli natrafi na jakiś skarb, gotów jest zrobić wszystko, żeby go sobie przywłaszczyć.

- Masz na myśli głównie to, jak zdobył Miecz Prawdy? - zapytał Zedd.

Shota przelotnie spojrzała mu w oczy, ale wołała wrócić do bieżącej sprawy, niż podjąć wyzwanie.

- Po drugie, skąd Samuel wiedziałby, gdzie znajdzie Siostrę niosącą szkatułę Ordenu? Nie możecie poważnie twierdzić, że się zwyczajnie wałęsał, i to w D'Harze, i przez przypadek trafił na tę właśnie Siostrę Mroku, pchnął ją mieczem, a potem ukradł to, co niosła, a co się okazało szkatułą Ordenu.

- Muszę przyznać - rzekł Richard - że nigdy za bardzo nie wierzyłem w przypadek. A tu na pewno nie wydaje się to prawdopodobne.

- Uważam tak samo - oznajmiła Shota. - A jest jeszcze Chase. Był w bardzo ciężkim stanie, więc za dużo się od niego nie mogłam dowiedzieć, ale udało mi się odkryć, że wpadł w zasadzkę. Kolejny przypadek: Samuel napotyka kogoś i uderza, po czym okazuje się, że to też ktoś, kogo znasz? Nie

sądzę. To nasuwa pytanie, dlaczego Samuel miałby czyhać na twojego znajomego. Dlaczego miałby na niego napaść? Co cennego miał Chase?

- Rachel - stwierdził Zedd, wpatrując się w dal i w zadumie pocierając brodę.

- Ale po co by mu była dziewczyna? - spytała Cara. Gdy popatrzyli na nią z zakłopotaniem, dodała: - Miałam na myśli konkretnie tę dziewczynę.

- Nie wiem - odparła Shota. - I w tym cały problem. Jak już mówiłam, wszystkie te wydarzenia są przede mną ukryte, i to tak, że się nie zorientowałam, więc nawet nie wiedziałam, że coś przede mną ukryto. Nie ma wątpliwości, że Samuelem ktoś kierował. A tym kimś może być wyłącznie inna wiedźma.

- Znasz ją? - spytał Richard. - Wiesz, kto to jest? Kto mógłby to być?

Shota spojrzała nań złowrogo. Nigdy nie widział takiej miny na kobiecej twarzy.

- Nie mam pojęcia.

- Skąd się zjawiała? Może choć tego się domyślasz? Jeszcze bardziej się nachmurzyła.

- O, tak mi się zdaje. Myślę, że przyszła ze Starego Świata. Gdy kilka lat temu zniszczyłeś wielką barierę, na pewno dostrzegła okazję i weszła na moje terytorium, podobnie jak Imperialny Ład dostrzegł okazję najechania i podbicia Nowego Świata. Rzucając urok na Samuela, przesyła mi wiadomość, że zajmuje moje miejsce, przywłaszcza sobie to, co do mnie należy, w tym również moje ziemie.

Richard spojrzał na Ann stojącą w głębi westybulu.

- Słyszałaś o wiedźmie w Starym Świecie?

- Zarządzałam Pałacem Proroków, kierowałam młodych czarodziejów i wszystkie Siostry ku światłu. Wielką wagę przykładałam do związanych z tym zadaniem prorocत्व, ale raczej nie interesowałam się sprawami reszty Starego Świata. Od czasu do czasu słyszałam pogłoski o wiedźmach, ale tylko pogłoski. Jeżeli ona istnieje, to nigdy nie przyciągnęła mojej uwagi.

- I ja nigdy nie słyszałem o wiedźmie - dodał z westchnieniem Nathan. - Nigdy nawet nie słyszałem plotek o niej.

Shota skrzyżowała ramiona na piersi.

- My się raczej nie afiszujemy.

Richard żałował, że tak mało wie o tych sprawach - chociaż znajomość z

jedną wiedźmą wielokrotnie okazała się bardzo kłopotliwa. A teraz kłopoty się podwoją.

- Ma na imię Six - głos Nicci przerwał ciszę w westybulu. Wszyscy na nią spojrzeli.

Shota zmarszczyła brwi.

- Co powiedziałaś?

- Ta wiedźma w Starym Świecie. Jej imię brzmi Six, jak liczba. - Twarz Nicci znów nie wyrażała jakichkolwiek emocji, była równie nieruchoma jak leśny staw po pierwszym ataku mrozu. - Nigdy jej nie spotkałam, ale Siostry Mroku rozmawiały o niej przyciszonym głosem.

- Oczywiście, te Siostry - burknęła Ann.

Shota powoli opuściła ręce i zrobiła krok ku Nicci, stojącej na marmurowej posadzce u szczytu schodów.

- Co o niej wiesz?

- Prawie nic. Tylko słyszałam jej imię, Six. I zapamiętałam je, bo jest takie niezwykle. Najwyraźniej znały ją niektóre z moich ówczesnych przełożonych, przełożonych wśród Sióstr Mroku. Kilka razy słyszałam, jak wymieniano jej imię.

Shota wyglądała równie groźnie jak żmija z obnażonymi kłami.

- Co wspólnego miały Siostry Mroku z wiedźmą?

- Naprawdę nie wiem - powiedziała Nicci. - Nawet jeżeli miały z nią jakieś kontakty, to nic mi o tym nie wiadomo. Nie zawsze wtajemniczały mnie w swoje sprawy. Być może tylko o niej wiedziały. I niewykluczone, że nigdy się z nią nie spotkały.

- Albo że bardzo dobrze ją znały. Nicci wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Musiałabyś je o to spytać. I radzę się z tym pospieszyć, bo Samuel już zabił jedną z nich.

Wiedźma zignorowała drwinę i znów zapatrzyła się w nieruchome wody fontanny.

- Musiałaś słyszeć, co o niej mówiły.

- Nic konkretnego - odparła Nicci.

- Hmm - odezwała się Shota z przesadną wyrozumiałością, zwracając się ku czarodziejce - ale co w ogóle o niej mówiły?

- Zapadły mi w pamięć dwie sprawy. Słyszałam, że Six mieszka na dalekim południu. Siostry wspominały, że żyje w głębi Starego Świata, w

jakichś dziewiczych lasach i bezdrożnych mokradłach. - Nicci spojrziała śmiało w oczy Shoty. - I że się jej bały.

Wiedźma znów skrzyżowała ręce na piersiach.

- Bały się jej - powtórzyła bezbarwnym tonem.

- Były przerażone.

Shota przez pewien czas wpatrywała się w Nieci, a potem znowu zapatrzyła się w fontannę, jakby miała nadzieję, że ze spokojnych wód wyczyta jakiś sekret.

- Nic nie przemawia za tym, że to ta sama kobieta - odezwał się Richard.

- Nie ma dowodów na to, że to ta sama wiedźma, Six ze Starego Świata.

Shota obejrzała się przez ramię.

- I właśnie ty sugerujesz, że to jedynie przypadek? - Znowu szukała ukojenia w wodach fontanny. - Właściwie nie ma znaczenia, czy to ona czy nie. Ważne jest tylko to, że wmieszała się wiedźma i że chce mi narobić kłopotów.

Richard podszedł ku niej.

- Trudno mi uwierzyć, że ta druga wiedźma odciągnęłaby od ciebie Samuela jedynie po to, żeby ci dopiec i zabrać, co twoje. W tym musi się kryć coś więcej.

- Może to wyzwanie - wtrąciła się Cara. - Może prowokuje cię do walki.

- Wtedy powinna się ujawnić - powiedziała Shota. - A ona postępuje dokładnie na odwrót. Rozmyślnie się ukrywa, żeby nie mogła z nią walczyć.

Richard wsparł stopę o okalającą fontannę marmurową ławę i zastanawiał się.

- Nadal twierdzę, że w tym musi się kryć coś więcej. Wykorzystanie Samuela do wykradzenia jednej ze szkatuł Ordenu to już ponura sprawa.

- Najbardziej prawdopodobne jest to, że to twoja sprawka, Shoto - rzekł Zedd, przyciągając uwagę wszystkich. - To przypomina jedno z twoich wielkich oszustw.

- Mogę zrozumieć, dlaczego tak uważasz, ale po co bym się wtedy tu zjawiała i mówiła wam o tym?

Wzrok czarodzieja nie złagodniał.

- Żeby uchodzić za niewiniątko, chociaż to właśnie ty skrycie wszystkim kierujesz.

Shota przewróciła oczami.

- Nie mam czasu na takie dziecinne gierki, czarodzieju. Nie kierowałam Samuelem, jego dłonią. Zajmowałam się innymi, ważniejszymi sprawami.

- Na przykład?

- Byłam w Galei.

- W Galei! - parsknął z niedowierzaniem Zedd. - A jakież to sprawy miałaś w Galei?

Jebra położyła dłoń na ramieniu czarodzieja.

- Przybyła, żeby mnie uwolnić. Byłam w Ebinissii. Zastała mnie tam inwazja i zrobiono ze mnie niewolnicę. Shota mnie wyciągnęła.

Zedd popatrzył podejrzliwie na Shotę.

- Pojechałaś do stolicy Galei, żeby uwolnić Jebra? Wiedźma spojrzała przelotnie na Richarda, chmurnie i znacząco.

- To było konieczne.

- Dlaczego? - dopytywał się Zedd. - Jasne, że się cieszę, że Jebra jest w końcu z dala od tych okropieństw, ale co właściwie masz na myśli, mówiąc, że to było konieczne?

Shota przytrzymała przejrzysty fragment sukni, unoszący się lekko niczym kot, który wygina grzbiet w oczekiwaniu na muśnięcie dłonią pani.

- Ciąg wydarzeń płynie ku ponuremu zakończeniu. Jeżeli to się nie odmieni, dostaniemy się pod władzę najeźdźców, ludzi, którzy między innymi uważają, że magia jest złem i że należy wyplenić ją ze świata. Wierzą, że człowiek to grzeszna i zepsuta istota, która powinna się bezwolnie i bezsilnie podporządkowywać wszechmocnym prawom natury. Ci z nas, którzy mają dar, zostaną wyłapani i zniszczeni właśnie dlatego, że nie są bezwolni i bezsilni. - Powiodła wzrokiem po przysłuchujących się jej ludziach. - Ale to jedynie nasza osobista tragedia, a nie prawdziwa plaga Ladu. Jeżeli bieg wydarzeń się nie zmieni, to potworne wierzenia, które narzuca Ład, rozprzestrzenia się po całym świecie, omroczą go niby pogrzebowy całun. Nie będzie bezpiecznego miejsca, nie będzie schronienia. Wszystkich, którzy pozostaną przy życiu, bezwzględne prawo zmusi do uległości. W imię złudnego powszechnego dobra, przy wtórce podniosłych sloganów i bezsensownych poglądów, które budzą w nieodpowiedzialnej hołocie ślepe pożądanie tego, na co nie zapracowała, zostanie poświęcone wszystko, co dobre i szlachetne, a cywilizowani ludzie zostaną

zdegradowani do zgrai szabrowników. Ale co im pozostanie, kiedy już rozgrabią wszystko, co cenne? Gardząc tym, co wspaniałe, i lekceważąc dobro, opowiadają się za tym, co małosłowne i prostackie. Przez zapiekłą nienawiść do każdego, kto się wyróżnia, zasady Ładu skazają wszystkich na pełzanie w bloku. Narzucona będzie wiara w przyrodzoną ludzom nikczemność. I ta wiara, umacniana z bezwzględny okrucieństwem i wśród niesłychanych udręk, stanie się ich trwałym wyróżnikiem. Zepchną ludzkość w ciemne wieki cierpienia i biedy, z których może się już nigdy nie uwolnić. I to właśnie jest groza Ładu. Nie śmierć, lecz życie według ich wierzeń i zasad. - Słowa Shoty całkiem zmąciły nastrój. - W końcu umarli nie czują i nie cierpią. To potrafią jedynie żywi. - Spojrzała ku skrytemu w mroku Nathanowi. - I co powiesz, Proroku? Proroctwa zapowiadają co innego czy też powiedziałam prawdę?

Nathan, wysoki i ponury, odparł spokojnie:

- Proroctwa dotyczące Imperialnego Ładu nie zapowiadają niczego innego. Trafnie i zwięźle streściłaś kilka tysięcy lat przestróg.

- Nie jest łatwo zrozumieć tak stare dzieła - wtrąciła się Ann. - Słowo pisane potrafi być wieloznaczne. Proroctwa nie są dla niedoświadczonych. Niewprawnym może się wydawać...

- Mam szczerą nadzieję, Ksieni, że do wygłoszenia owego sądu natchnęła cię marna opinia o moim wyglądzie, a nie o moich uzdolnieniach.

- Ja tylko... - zaczęła Ann.

Shota zbyła ją machnięciem ręki i odwróciła się. Popatrzyła na Richarda tak, jakby oprócz niego nikogo tam nie było. Odezwała się wyłącznie do niego.

- Możemy być ostatnimi wolnymi ludźmi. Może to kres godnej przyszłości, dążeń do respektowania cnót, możliwości poprawy swojego losu. Jeżeli bieg wydarzeń się nie zmieni, staniemy się świadkami narodzin tego, co najgorsze, czasów, w których ludzie zmieniają się w ciemnych dzikusów, żyjących według ideałów Ładu, bo nikt nie ośmielił się zdecydować o sobie i żyć na własny rachunek.

- Wszyscy o tym wiemy - rzekł Richard, zaciskając pięści. - Nie rozumiesz, jak się staraliśmy, żeby do tego nie dopuścić? Nie wiesz, ile wycierpieliśmy? A niby o co ja, według ciebie, walczę?

- Nie wiem, Richardzie. Głosisz, że jesteś oddany sprawie, a przecież nie

udało ci się odmienić biegu wydarzeń, nie zdołałeś powstrzymać napływu Imperialnego Ładu. Twierdzisz, że rozumiesz, a najeźdźcy wciąż przybywają i z każdym dniem podporządkowują sobie coraz więcej ludzi. Ale nawet nie o to chodzi. Chodzi o przyszłość. Bo w przyszłości też nas zawodziś.

Richard nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Nie tyle go rozgniewało, ile przeraziło, że Shota powiedziała coś takiego. Zupełnie jakby nie miało dla niej znaczenia to wszystko, czego dokonał, jakby się dla niej nie liczyło żadne jego poświęcenie, żaden wysiłek... nie tylko teraz, ale i w przyszłości.

- Przyszłaś mi prorokować, że zawiodę?

- Nie. Przyszłam ci powiedzieć, że jeżeli dalej będzie tak jak teraz, że jeżeli tego nie odmienisz, to wszyscy przegramy tę walkę. - Odwróciła się od Richarda i wyciągnęła rękę ku Nicci. - Ukazałaś mu odrętwienie i bezruch śmierci, jedyne, do czego mogą doprowadzić wierzenia Ładu. Ukazałaś mu smętną egzystencję pod władzą ich dogmatów, zgodnie z którymi miarą wartości życia jest poświęcanie się, zgodnie z którymi życie to jedynie mało znaczący etap przed wiecznym trwaniem w innym świecie. Oddałaś nam tym ogromną przysługę i jesteśmy ci za to wdzięczni. Dobrze wywiązałaś się z zadania nauczycielki Richarda, chociaż stało się inaczej, niż oczekiwałaś. Ale i to jest zaledwie częścią całości.

Richard nie pojmował, jak można wzięcie go do niewoli, zmuszenie do ciężkiego życia w Starym Świecie traktować jako przysługę. Nie musiał tego wszystkiego doświadczyć, żeby zrozumieć, jak beznadziejne i pozbawione sensu jest życie pod władzą Imperialnego Ładu. Nie kwestionował ani jednego słowa więdźmy o tym, co by ich spotkało, gdyby przegrali, lecz gniewało go, że uznała, iż powinien to wszystko jeszcze raz usłyszeć - jakby nie pojmował, o co walczy, i przez to nie był wystarczająco oddany ich sprawie.

Chłopak nie wiedział, jak to się stało, bo nie zauważył, żeby się poruszyła, lecz Shota znalazła się znenacka tuż przed nim.

- A mimo to nadal nie ogarniasz całości i nie jesteś gotowy na wszystko.

Richard popatrzył na nią gniewnie.

- Nie jestem gotowy na wszystko? O czym ty mówisz?

- Musiałam jakoś sprawić, żebyś to zrozumiał, Poszukiwaczu, żebyś dostrzegł prawdę. Musiałam jakoś sprawić, żebyś zobaczył, co czeka ludzi nie tylko w Nowym, ale i w Starym Świecie, co czeka całą ludzkość.

- Jak mogłaś pomyśleć, że ja...

- Jesteś tym wybranym, Richardzie Rahlu. Wiesz resztki sił stawiających opór ideom, które pobudzają do działania Imperialny Ład. Z jakiegoś powodu właśnie ty nam przewodzisz w tej walce. Możesz wierzyć w to, o co walczysz, ale nie czynisz tego, co konieczne, żeby odmienić bieg wojny, bo gdybyś to czynił, widziałabym inny ciąg zdarzeń. A w tych okolicznościach jesteśmy zgubieni. Powinieneś się dowiedzieć, jaki los czeka twój lud, wszystkich ludzi. Dlatego udałam się do Galei na poszukiwania Jebry, żeby ona mogła ci opowiedzieć, co widziała. Żeby widząca pomogła ci zobaczyć.

Richard pomyślał, że to kazanie powinno go rozgniewać, ale już nie potrafił być zły. Gniew odpływał.

- Już wiem, co się stanie, jeżeli przegramy, Shoto. Wiem, jaki jest Imperialny Ład. Wiem, co nas czeka, jeżeli pokonają nas w tej walce.

Shota pokręciła głową.

- Wiesz, jak jest już po wszystkim. Wiesz, jak to jest patrzeć na umarłych. Ale umarli już nic nie czują. Umarli nie mogą krzyczeć. Umarli nie mogą szlochać z przerażenia. Umarli nie mogą już błagać o litość. Wiesz, jak to jest, kiedy się ogląda rankiem zniszczenia po burzy. Musisz usłyszeć opowieść osoby, która widziała, jak burza nadciąga i wybucha. Usłyszeć, jak było, kiedy nadciągnęły hordy. Musisz usłyszeć, co czeka nas wszystkich. Co się stanie z tymi, którzy przeżyją, jeżeli nie zrobisz tego, co ty jeden zrobić możesz.

Richard spojrzał na Jebkę. Ramię Zedda, dla wsparcia i pocieszenia, okalało jej barki. Poblada twarz kobiety była zalana łzami. Drżała od stóp do głów.

- Drogie duchy - wyszeptał chłopak - jak możesz być tak okrutna, by choć przez sekundę pomyśleć, że jeszcze nie wiem, jaki los nas czeka, jeżeli przegramy?

- Widzę ciąg przyszłych zdarzeń - powiedziała wiedźma cicho, tylko do niego. - I wiem, że nie uczyniłeś wystarczająco wiele, żeby odmienić przyszłość, bo w przeciwnym razie widziałabym co innego. W tym cały problem. To nie okrucieństwo, lecz prawda.

- I czego ode mnie oczekujesz, Shoto?

- Nie wiem, Richardzie. Ale teraz nie robisz tego, co powinieneś,

nieprawdaż? Coraz bliższe są niewyobrażalne okropieństwa, a ty nie robisz nic, żeby je powstrzymać. Tylko uganiaasz się za fantomami.

Rozdział 12

Richard tak wiele chciał powiedzieć Shocie. Chciał jej powiedzieć, że Imperialny Ład wcale nie jest jedynym nadciągającym zagrożeniem. Że Siostry Mroku chcą się posłużyć szkatułami Ordenu i mogą - jeśli się im w tym nie przeszkodzi - uwolnić moc, która zniszczy świat istot żywych i wyda wszystkich w ręce Opiekuna. Że jeżeli nie znajdą sposobu na odwrócenie zaklęcia chainfire, to może ono zniszczyć ludziom pamięć i umysł, odbierając im szansę utrzymania się przy życiu. Że jeżeli nie znajdą sposobu na oczyszczenie świata z kontaminacji pozostawionej przez demony, to magia może w ogóle zniknąć, i że owa kontaminacja mogła już zapoczątkować kaskadę zdarzeń, która - jeśli się jej nie zatrzyma - może samoistnie zniszczyć życie.

Chciał jej powiedzieć, że nic nie wie o jego ukochanej, o tak drogiej mu kobiecie. Chciał jej powiedzieć, ile Kahlan dla niego znaczy, jak bardzo się o nią boi, jak ogromnie za nią tęskni, jak nie daje mu spać lęk o to, co jej uczyniono.

Chciał jej powiedzieć, że w tej chwili Imperialny Ład jest zaledwie jednym z ich problemów. Ale - widząc Jebkę dygoczącą pod opiekuńczym ramieniem Zedda - pomyślał, że znajdzie się lepsza okazja do rozmowy o tych sprawach.

Richard dał Jebra znak, żeby podeszła. Jej błękitne oczy wypełniły się łzami. W końcu z wahaniem zeszła ku niemu po stopniach. Nie wiedział, jakie koszmary przeżyła, lecz jej wymizerowana twarz aż nazbyt wyraźnie zdradzała związany z tym stres. W jej rysach pozostał ślad ciężkich przeżyć.

Kiedy Jebra ujęła jego dłoń, nakrył jej rękę drugą dłonią w geście pocieszenia.

- Odbylaś długą podróż i wysoko sobie cenimy twoją pomoc. Opowiedz nam, proszę, co wiesz.

Kiwnęła głową i krótkie, rudoblond włosy zakołysały się wokół zalanej łzami twarzy.

- Postaram się jak najlepiej, lordzie Rahlu.

Richard, pod baczny spojrzeniem Shoty, poprowadził Jebra ku fontannie. Usadził ją na niskiej marmurowej ścianie okalającej

znieruchomiła wodę.

- Wróciłaś z królową Cyrillą do jej pałacu - podsunął jej. - Opiekowałaś się nią, bo była chora. Straciła rozum po pobycie w dziurze z tymi okropnymi ludźmi. Miałaś jej pomóc wyzdrowieć, gdyby to było możliwe, i doradzać jej, gdyby wyzdrowiała.

Jebra potaknęła.

- I zaczęło jej się poprawiać, kiedy wróciła do domu? - zapytał Richard, chociaż to akurat wiedział od Kahlan.

- Tak. Długo trwała w otępieniu, tak długo, że myśleliśmy już, iż nigdy się jej nie polepszy. Ale jak już pobyła w domu, w końcu zaczęła odzyskiwać przytomność. Początkowo przebłyski świadomości trwały krótko. Jednak im lepiej rozpoznawała znajome otoczenie, tym dłuższe były owe okresy świadomości. Ku radości wszystkich powoli wracała do życia. Wreszcie otrząsnęła się z długiego letargu niczym zwierzątko z zimowego snu. Zdawało się, że wydobyła się z długiego uśpienia, wróciła do normalnego życia. Była pełna energii, cieszyła się, że znów jest w domu.

- Cyrilla była królową Galei - wyjaśniła wiedźma Richardowi. - To ona odziedziczyła koronę, a nie...

- Książę Harold - dokończył chłopak, patrząc na nią. - Jej brat, Harold. Zrezygnował z korony, bo wolał dowodzić armią Galei.

Shota znacząco uniosła brew.

- Sporo wiesz o monarchii Galei.

- Ich ojcem był król Wyborn - rzekł Richard. - Był on również ojcem Kahlan. Kahlan jest przyrodnią siostrą Cyrilli. To dlatego tyle wiem o monarchii Galei.

Jeżeli te słowa zdziwiły Shotę albo jeżeli mu nie uwierzyła, bo łączyło się to z Kahlan, to nie zdradziła się z tym. W końcu przestała mu patrzeć w oczy i znów zaczęła się przechadzać, pozwalając Jebrze podjąć opowieść.

- Cyrilla wróciła na tron, jakby go nigdy nie opuszczała. Miasto radowało się z jej powrotu. Galea z trudem podnosiła się po okropnościach wyrażonych przez wojska Imperialnego Ładu, które splądrowały stolicę. Była to okropna tragedia, bardzo wielu ludzi straciło życie. Ale najeźdźcy dawno odeszli i od jakiegoś czasu trwała odbudowa. Odbudowywano nawet spalone domy. Rzemieślnicy podjęli pracę. Odrodził się handel. Ludzie znów ściągali do stolicy z całej Galei, chcąc poprawić swój byt. Rodziny zaczęły się

rozrastać i koligacić. Dzięki ciężkiej pracy wracał dostatek. Królowa wróciła, co jeszcze bardziej dodało ducha miastu i sprawiło, że świat znów był taki, jak należy. Ludzie mówili, że dostali nauczkę i że taka tragedia już się nie powtórzy. Budowano nowe fortyfikacje, zwiększono liczebność armii. Cyrilla, jak wielu Galejczyków, zostawiła za sobą te koszmarne czasy i ochoczo zajęła się sprawami kraju. Udzielała audiencji i uczestniczyła w wielu sprawach wagi państwowej. Angażowała się we wszystko: od mediacji w sporach handlowych po udział w oficjalnych balach, na których tańczyła z dostojnikami. Książę Harold, wódz galejskiej armii, przekazywał Cyrilli najnowsze wieści o najeździe na Nowy Świat, więc dobrze wiedziała, że hordy napływają na południowe krańce Midlandów. Zawsze wiedziałam, kiedy dostawała najnowszy raport. Widziałam wtedy, jak mnie chusteczkę, mamrocze coś do siebie i chodzi tam i z powrotem w ciemnej komnacie bez okien. Miałam wrażenie, że szuka w umyśle bezpiecznego ciemnego zakamarka - odrętwienia, w którym niegdyś trwała - lecz nie może go znaleźć, nie może tam powrócić. - Wskazała starca, który przyglądał się jej, gdy opowiadała. - Zedd kazał mi nad nią czuwać, służyć radą. Chociaż pozornie była taka jak dawniej i nie popadła w odrętwienie, czułam, że znajduje się na skraju szaleństwa. Moje wizje nie były wyraźne, prawdopodobnie właśnie dlatego. Chociaż bowiem pozornie wróciła do normy, nadal dręczyły ją straszliwe lęki. Podobnie było z Galeą. Na pozór wszystko było normalnie, lecz obecność Imperialnego Ładu w Nowym Świecie wszystko zmieniła. Stale wyczuwało się skryty niepokój i napięcie. Kiedy nasi zwiadowcy donieśli, że Ład posuwa się w górę doliny Callisidrinu, dążąc ku centrum Midlandów, by rozszczepić Nowy Świat, doradzałam królowej, żeby wsparła d'harańskie wojska. Tłumaczyłam, że powinna wysłać galejską armię, żeby walczyła wraz z resztkami sił wszystkich ziem, które się przyłączyły do imperium D'Hary. Usiłowałam jej wytłumaczyć, podobnie jak książę Harold, że naszą jedyną szansą jest zjednoczenie się z wojskami stawiającymi opór Ładowi. Nie chciała o tym słyszeć. Mówiła, że jako królowa ma obowiązek bronić Galei, a nie mieszkańców innych krain. Próbowałam ją przekonać, że jeśli Galea zostanie sama, to nie będzie mieć żadnej szansy. Jednak Cyrilla słyszała opowieści o innych zaatakowanych miastach, historie o bezlitosnym okrucieństwie Ładu. Przerażliwie bała się żołnierzy Ładu. Tłumaczyłam jej, że bezpieczna będzie jedynie wtedy, gdy

pomożemy powstrzymać najeźdźców, zanim dotrą do Galei. Dostawaliśmy błagalne prośby o wojska. Cyrilla zignorowała je i kazała księciu Haroldowi powołać pod broń wszystkich mężczyzn, jakich tylko zdoła, i wykorzystać tę armię do obrony Galei. Powiedziała, że i on, i galejska armia mają obowiązki wyłącznie wobec ojczyzny. Rozkazała, żeby nie pozwolono najeźdźcom przekroczyć granic, postawić stopy na galejskiej ziemi. Księżę Harold, który początkowo doradzał jej mądrzejsze działanie, zrezygnował z tego i bezwarunkowo, w próżnej lojalności, podporządkował się jej życzeniom. Rozkazała, żeby bez względu na koszty budowano obronę Galei. Jej brat zajął się wypełnianiem tych poleceń. Nie obchodziło jej, czy reszta Midlandów, a nawet cały Nowy Świat, dostanie się pod władzę Ładu, byle tylko galejska armia...

- Tak, tak. - Shota niecierpliwie machnęła ręką, mijając w swojej wędrówce Jebra. - Wszyscy wiemy, że królowa Cyrilla była pomyłona. Nie sprowadziłam cię tu po to, żebyś opisywała życie pod berłem szurniętej królowej.

- Przepraszam. - Zażenowana Jebra odkaszlnęła i podjęła opowieść. - Cyrilla zaczęła tracić cierpliwość do mnie i do moich rad. Oznajmiła mi, że nie zmieni decyzji. Jej upór zdecydował o przebiegu zdarzeń, o naszej przyszłości i naszym losie. Chyba właśnie dlatego miałam w końcu przejmującą wizję. Zaczęło się nie od obrazów, lecz od mrozącego krew w żyłach dźwięku, który wypełnił mój umysł. Ten straszliwy dźwięk sprawił, że dygotałam. Wraz z owym przerażającym dźwiękiem napłynęły obrazy: obrońcy pokonani przez przeważające siły wroga, upadające miasto, królowa Cyrilla wydana wyjącom bandom na... żeby im służyła jako dziwka i obiekt rozrywki. - Jebra - jedną ręką osłaniająca brzuch, z łokciami mocno przyciśniętymi do boków - otarła łzy z policzka. Uśmiechnęła się przelotnie do Richarda. Wstydlivy uśmiech nie zamaskował przerażenia, które chłopak tak wyraźnie czytał w jej oczach. - Nie opowiadam wam, oczywiście, o wszystkich okropieństwach, jakie ujrzałam w tej wizji. Ale jej opowiedziałam.

- Nie sądzę, by to pomogło - odezwał się Richard.

- Istotnie, nie pomogło. - Jebra bawiła się pasemkiem włosów. - Cyrilla była wściekła. Wezwała królewską gwardię. Gdy wpadli przez te wysokie, dwuskrzydłowe, błękitne i pozłacane drzwi, wskazała mnie palcem i ogłosiła

zdrajczynią. Rozkazała, żeby zamknęli mnie w lochu. A kiedy żołnierze mnie pochwycili, wrzasnęła do nich, że gdybym kiedykolwiek powiedziała choć słowo o mojej wizji, moim bluźnierstwie, jak to nazwała, mają mi uciąć język. - Rozległ się krótki śmiech kontrastujący z drżącą brodą i zmarszczonym czołem. - Nie chciałam, żeby mi obcięli język - powiedziała z boleścią.

Zedd zszedł ze schodów i uspokajająco dotknął jej ramienia.

- Jasne, że nie, moja droga. Jasne, że nie. W tamtej sytuacji nie wyszłoby ci na dobre, gdybyś trwała przy swoim. Nikt nie oczekiwałby, że zrobisz więcej, niż już zrobiłaś. To by nic nie dało. Uczyniłaś, co było w twojej mocy. Ukazałaś jej prawdę. A ona świadomie dokonała wyboru: postanowiła być na nią ślepa.

Jebra, wyłamując sobie palce, skinęła głową.

- Wydaje mi się, że nigdy nie wyleczyła się z obłędu.

- I ci, którzy są przy zdrowych zmysłach, często działają nierozsądnie. Nie usprawiedliwaj takich świadomych postępów obłędem. - Kiedy spojrzała nań ze zdumieniem, Zedd rozłożył ręce w geście pełnej bólu frustracji. Zbyt wiele razy zetknął się z tym dylematem. - Rozmaici ludzie, którzy ogromnie pragną w coś wierzyć, często nie chcą dostrzec prawdy, choćby nie wiem jak rzucała się w oczy. Dokonują takiego właśnie wyboru.

- Chyba tak - odezwała się Jebra.

- Wygląda na to, że zamiast dostrzec prawdę, uwierzyła w kłamstwo, w które chciała uwierzyć - wtrącił się Richard, przypominając sobie część pierwszego prawa magii, z którym zapoznał go dziadek.

- Otóż to. - Zedd wyciągnął rękę w smutnej parodii czarodzieja spełniającego życzenie. - Zapragnęła, żeby się wydarzyło to i to, a potem uznała, że rzeczywistość spełni jej życzenia. - Opuścił rękę. - Rzeczywistość nie spełnia niczyich kaprysów.

- No i królowa Cyrilla złościła się na Jebra za to, że głośno mówiła prawdę, że głosiła ją tam, gdzie nie można jej było z łatwością nie dostrzec, zignorować - odezwała się Cara. - A potem ją za to ukarała.

Zedd skinął głową, delikatnie muskając palcami ramię widzającej. Pod dotykiem czarodzieja przymknęła zmęczone oczy.

- Ludzie, którzy z jakiegoś powodu nie chcą widzieć prawdy, mogą być do niej wyjątkowo wrogo nastawieni i ostro przeciwko niej protestować.

Często kierują swoją wrogość przeciwko osobom, które ośmielają się zwracać uwagę na tę prawdę.

- Co raczej nie usuwa tej prawdy - powiedział Richard. Zedd wzruszeniem ramion skwitował jego prostolinijność.

- Ci, którzy szukają prawdy, we własnym, dobrze pojętym interesie powinni zawsze dostrzegać rzeczywistość. W końcu to prawda jest zakorzeniona w rzeczywistości, a nie imaginacja.

Richard wsparł nasadę dłoni na hikorowej rękojeści zatkniętego za pas noża. Brakowało mu miecza, ale oddał go za informacje, które doprowadziły go do księgi Chainfire i prawdy o tym, co się przytrafiło Kahlan, zatem warto było. Mimo to tęsknił za orężem, i martwił się, jaki użytek zrobi z niego Samuel. Myśląc o Mieczu Prawdy, zastanawiając się, gdzie on teraz jest, Richard wpatrywał się przed siebie.

- Ciężko pojąć, jak ludzie mogą nie chcieć widzieć tego, co leży w ich najlepszym interesie.

- Nieprawdaż? - Zedd nie mówił już niedbałym tonem. Jego głos brzmiał teraz ostrzej i Richard zorientował się, że dziadek ma na myśli coś jeszcze. - I w tym cały problem.

Richard odwrócił się ku dziadkowi, który bacznie na niego spoglądał.

- Rozmyślnie odwracanie się od prawdy jest zdradą wobec siebie.

Shota, przechadzająca się ze skrzyżowanymi ramionami, przystanęła i pochyliła się ku Zeddowi.

- Prawo magii, czarodzieju? Zedd znacząco uniósł brew.

- I to dziesiąte.

Wiedźma wymownie popatrzyła na Richarda.

- Mądra rada.

Długo wpatrywała się w chłopaka twardym wzrokiem, aż wreszcie znów zaczęła się przechadzać.

Richard uznał, iż myślała, że on ignoruje prawdę - prawdę o nacierającej armii Imperialnego Ładu. A on przecież w najmniejszym stopniu tej prawdy nie ignorował. Po prostu nie miał pojęcia, czego jeszcze Shota od niego oczekiwała, co jeszcze jej zdaniem mógł zrobić, żeby ich powstrzymać. Gdyby marzenia miały siłę sprawczą, już dawno przepędziłby ich do Starego Świata. Gdyby tylko wiedział, co zrobić, żeby ich powstrzymać, zrobiłby to... lecz nie wiedział. Już i tak fatalnie było wiedzieć, jakie okropności

nadciągają, i nie móc ich powstrzymać, a tu jeszcze Shota wściekała go, bo najwyraźniej sądziła, że on z uporem uchyla się od zrobienia czegoś w tej sprawie, zupełnie jakby miał rozwiązanie w zasięgu ręki.

Richard popatrzył na stojącą u szczytu schodów posągową kobietę, która mu się przyglądała. Nawet w różowej koszuli nocnej wyglądała godnie i mądrze. Jego wychowywali ludzie zachęcający go, żeby widział rzeczy takimi, jakie naprawdę są, ją zaś indoktrynowały osoby pozostające pod wpływem nauk Ładu. Trzeba było być naprawdę niezwykłą osobą, żeby po tylu latach wyzwolić się spod władzy despotycznych nauk i zechcieć dostrzec prawdę. Długo patrzył w jej błękitne oczy, zastanawiając się, czy miałby jej odwagę... odwagę pozwalającą dostrzec naturę i ogrom straszliwych błędów, które popełniła, a potem opowiedzieć się po stronie prawdy i odmienić się. Nieliczni ludzie odznaczają się taką odwagą.

Richard dumiał, czy i ona uważa, że z irracjonalnych i egoistycznych pobudek lekceważy inwazję Imperialnego Ładu. Czy i ona myśli, że nie robi tego, co niezbędne, żeby ocalić niewinnych ludzi od straszliwych cierpień. Miał gorącą nadzieję, że nie. Czasami jedynie wsparcie Nicci dawało mu siły, żeby to dalej ciągnąć.

Zastanawiał się, czy oczekiwała, że zrezygnuje z prób odnalezienia Kahlan i wszystkie siły poświęci ratowaniu życia wielkiej rzeszy osób, a nie tylko tej jednej, choćby i najdroższej. Przełknął tkwiącą w gardle kulę; wiedział, że Kahlan by tego żądała. Choć tak bardzo go kochała - w czasach, kiedy pamiętała, kim jest - nie chciałaby, żeby jej szukał, jeżeli oznaczałoby to rezygnację z prób ocalenia tak wielu ludzi będących w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

I nagle to do niego dotarło - w czasach, kiedy pamiętała, kim jest... kim on jest. Kahlan nie będzie go kochać, jeżeli nie będzie pamiętać, kim sama jest i kim on jest. Kolana ugięły się pod nim.

- Właśnie tak uważałam - powiedziała Jebra. Otworzyła oczy i jakby się obudziła, kiedy Zedd cofnął podtrzymujące ją ramię. - Że zrobiłam, co w mojej mocy, by ukazać jej prawdę. Ale nie podobało mi się tkwienie w tym lochu. Ani odrobinę.

- I co się wtedy stało? - Zedd podrapał się po zapadniętym policzku. - Jak długo byłeś w lochu?

- Straciłam rachubę. Nie było okien, więc po jakimś czasie nie

orientowałam się nawet, czy to dzień, czy noc. Nie miałam pojęcia, kiedy się zmieniały pory roku, lecz wiedziałam, że tkwię tam wystarczająco długo, żeby takie zmiany nastąpiły. Zaczęłam tracić nadzieję. Karmili mnie. Nigdy do syta, ale na tyle dobrze, bym żyła. Niezmiernie rzadko zostawiali w obskurnym pomieszczeniu przed żelaznymi drzwiami palącą się świecę. Strażnicy nie byli wobec mnie rozmyślnie okrutni, ale przerażało mnie to tkwienie w maleńkiej kamiennej celi. Nie byłam taka głupia, by się skarżyć. Kiedy inni więźniowie przeklinali, uskarżali się lub wszczynali awantury, pouczano ich, że mają siedzieć cicho. Niestety, gdy ktoś nie usłuchał, słyszałam, jak strażnicy wprowadzają w czyn pogroźki. Niektórzy więźniowie pojawiali się w lochach na krótko, tuż przed egzekucją. Od czasu do czasu przyprawiano nowych. Z tego, co widziałam przez malutki otwór w drzwiach, ci nowi byli agresywni i niebezpieczni. Zdarzało się, że budziły mnie ich rozlegające się w ciemnościach okropne przekleństwa i miałam koszmary, gdy znów zasypiałam. Cały czas z lękiem oczekiwałam wizji, która by ujawniła, co mnie czeka, ale taka wizja nigdy nie nadeszła. Właściwie jednak nie potrzebowałam żadnej wizji, by wiedzieć, co niesie przyszłość. Wiedziałam, że gdy najeźdźcy podejną bliżej, Cyrilla zapewne uzna, że to moja wina. Całe życie miałam wizje. Ludzie, którym nie podobało się to, co ich spotkało, często mi wyrzucali, że powiedziałam im, co zobaczyłam. Łatwiej im było zrzucić na mnie winę, niż wykorzystać tę informację do prób odmiany losu. Często uważali, że to ja spowodowałam ich kłopoty, mówiąc im, co widziałam, jakbym przywoływała wizje i potem złośliwie je urzeczywistniała. Przebywanie w tej ciemnej celi było niemal nie do zniesienia, ale nie miałam innej możliwości. Tkwiąc tam bez końca, zaczęłam pojmować, dlaczego tamto wrzucenie do jamy doprowadziło Cyrillę do szaleństwa. Ale przynajmniej nie musiałam się szarpać z żadnymi bydlakami. Tacy osobnicy tkwili w innych celach. Obawiałam się, że umrę w lochu, opuszczona i zapomniana. Straciłam rachubę czasu i nie wiedziałam, jak długo tam tkwię, oderwana od świata, światła i życia. Przez cały ten okres nie miałam wizji. I nie miałam wtedy pojęcia, że już nigdy ich mieć nie będę. Pewnego razu królowa przysłała posłańca, żeby zapytać, czy odwołam swoją wizję. Oznajmiłam temu człowiekowi, że chętnie powiedziałabym królowej każde kłamstwo, które chciałyby usłyszeć, gdyby tylko mnie wypuściła. Ale królowa chyba nie takiej odpowiedzi oczekiwała, bo już nigdy

nie zobaczyłam tego wysłańca i nikt nie przyszedł, żeby mnie wypuścić.

Richard obejrzał się i zobaczył, że Shota mu się przygląda. Czytał w jej oczach nieme oskarżenie, że on robi dokładnie to samo - chce, żeby mu powiedziała coś innego niż to, co ujrzała w strumieniu czasu. Poczł ukłucie winy.

Jebra spojrzała na wysoki, przeszklony strop, jakby się napawała codziennym cudem światła.

- Pewnej nocy - później się dowiedziałam, że i na świecie była wtedy noc - do maleńkiego otworu w żelaznych drzwiach mojej ciasnej celi podszedł strażnik. Wszeptał, że do miasta zbliżają się wojska Imperialnego Ładu. Powiedział mi, że lada chwila rozpocznie się walka. W jego głosie usłyszałam radość z tego, że wreszcie skończyło się dręczące oczekiwanie, że rzeczywistość uwolniła ich wszystkich od udawania przed królową. Jakby świadomość tego, co nadciąga, czyniła z nich zdrajców, a teraz owo negowanie przywidzeń królowej okaże się słuszne. Ale to i tak była zaledwie część urojeń Cyrilli, ta zbyt widoczna, żeby ją pominąć. Odparłam szeptem, że boję się o mieszkańców miasta. Rozzłościł się i powiedział, że gadam głupoty, że nie widziałam, jak walczą galejscy żołnierze. Był przekonany, że galejska armia, licząca dobrze ponad sto tysięcy doborowych żołnierzy, sprawi lanie najeżdżcom i przegoni ich, dokładnie tak, jak zapowiedziała królowa. Milczałam. Nie ośmieliłam się zaprzeczać złudnym przekonaniom Cyrilli o ich niezwykłości, nie śmiałam powiedzieć, że przytłaczające siły Imperialnego Ładu, które ujrzałam w wizji, z łatwością zmiotą armię obrońców i miasto upadnie. A zamknięta w celi nie będę nawet mogła uciec. A potem usłyszałam ten osobliwy, złowieszczy dźwięk z mojej wizji. Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Dostałam gęsiej skórki. Nareszcie wiedziałam, co to za dźwięk. Był to odgłos tysięcy rogów bojowych wroga. Brzmiało to jak wycie demonów, które wyrwały się z zaświatów, żeby pochłonąć żywe istoty. Nawet grube kamienne mury nie były w stanie wytłumić tego strasznego, przesywającego dźwięku. Był to dźwięk oznajmiający zbliżanie się śmierci, dźwięk, który wywołałby uśmiech samego Opiekuna.

Rozdział 13

Jebra rozcierała ramiona, jakby znów dostała gęsiej skórki na samo wspomnienie przenikliwego dźwięku rogów bitewnych. Głęboko wciągnęła powietrze, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a potem spojrzała na Richarda i podjęła opowieść.

- Wszyscy strażnicy pobiegli na mury miejskie, pozostawiając loch bez dozoru. Jasne, że te żelazne drzwi, które za sobą pozamykali, aż nadto wystarczały, by zapobiec ucieczce. Kiedy zniknęli, niektórzy więźniowie zaczęli wiwatować na cześć nadciągającego Imperialnego Ładu, ciesząc się, że Galea na pewno upadnie i że lada chwila będą, jak wierzyli, wolni. Ale wkrótce ucichli, bo z góry zaczęły dochodzić wrzaski. W mrocznych pałacowych lochach zapadła cisza. Szybko usłyszałam szcęk oręża, okrzyki walczących na śmierć i życie żołnierzy. Te odgłosy stawały się coraz bliższe. Rykom towarzyszyły przeraźliwe wrzaski rannych. Obrońców spychano i krzyki żołnierzy były coraz głośniejsze. A potem wróg wtargnął do pałacu. Przez jakiś czas mieszkałam w pałacu i poznałam wielu z tych, którzy teraz mieli stanąć przed... - Zamilkła, żeby otrzeć łzy z policzków. - Przepraszam - wymamrotała, wyciągając z rękawa chusteczkę. Wysiąkała nos, odkaslnęła i kontynuowała: - Nie mam pojęcia, jak długo szalała walka, ale wreszcie nadeszła chwila, gdy usłyszałam grzmiący huk tarana uderzającego w żelazne drzwi na górze. Każde uderzenie wstrząsało kamiennymi ścianami. Drzwi padły i dźwięki się przybliżyły, bo zaczęto wyważać kolejne. Te również ustąpiły. A potem nagle po schodach zaczęły zbiegać dziesiątki żołnierzy wznoszących bojowe okrzyki; znaleźli się w lochach. Wzięli ze sobą pochodnie i pomieszczenie przed moją celą zalało ostre światło. Pewnie szukali skarbcza, żeby go ograbić. A znaleźli brudne miejsce odosobnienia. Wbiegli po schodach i zostawili nas w mroku i trwodze. Myślałam, że już ich nie zobaczę, ale wkrótce wrócili. Tym razem przywlekli ze sobą wrzeszczące kobiety z pałacowego personelu. Najwyraźniej chcieli być sami z najnowszymi brankami, chcieli odizolować się od innych wojaków, którzy mogliby im je odebrać lub bić się z nimi o tak cenne łupy. To, co usłyszałam, sprawiło, że cofnęłam się w najdalszy kąt celi, ale to nic nie dało. Nadal słyszałam te koszmarnie odgłosy. Nie pojmuję, jakim trzeba być człowiekiem,

żeby się śmiać i radośnie pokrzykiwać, czyniąc takie ohydztwa. Te biedaczki nie miały nikogo, kto by im pomógł, żadnej nadziei na ocalenie. Jedna z młodszych kobiet zdołała się wyrwać oprawcy i w panice pobiegła ku schodom. Słyszałam głosy wołające ku innym żołdakom, by ją złapali. Była szybka i silna, ale bez trudu ją pochwycili i rzucili na podłogę. Kiedy błagała o darowanie życia i szlochała „proszę, nie, proszę, nie”, rozpoznałam jej głos. Jeden trzymał ją na podłodze, a drugi postawił but na jej kolanie, złapał za stopę i ciągnął w górę, póki nie złamał nogi. Gdy krzyczała z bólu i przerażenia, zrobił to samo z drugą nogą. Rechotali, mówiąc jej, że skoro już nie może uciec, to powinna się zająć nowymi obowiązkami. A potem się na nią rzucili. Nigdy w życiu nie słyszałam tak przeraźliwych wrzasków. Nie wiem, ilu żołnierzy zeszło do lochów, ale pojawiali się coraz inni. I trwało to tak godzinami. Niektóre kobiety szlochały i zawodziły cały czas, kiedy je maltretowano. Pobudzało to żołdaków do śmiechu. To nie byli ludzie, lecz potwory pozbawione sumienia i wszelkich hamulców. Jeden z żołnierzy znalazł schowek z kluczami i chodził od celi do celi, otwierając je. Śmiał się i pohukiwał, z rozmachem otwierając drzwi. Ogłaszał, że uciśnieni są wolni, i zachęcał więźniów, żeby wzięli pomstę na niegodziwcach, którzy ich prześladowali. Ta dziewczyna, której połamali kolana, Elizabeth, nigdy nikogo nie prześladowała w swoim krótkim życiu. Zawsze się uśmiechała przy pracy, bo bardzo się cieszyła, że ją zatrudniono w pałacu, i durzyła się w młodym terminatorze stolarskim, który też w nim pracował. Więźniowie wysypywali się z cel, aż nadto chętni, by się do tego przyłączyć.

- Dlaczego cię nie wyciągnęli? - zapytał Richard.

Jebra milczała, chciwie chwytając powietrze, a potem podjęła:

- Kiedy z rozmachem otwarto drzwi mojej celi, wcisnęłam się w najciemniejszy kąt. Nie miałam wątpliwości, co mnie spotka, jeśli wyjdę lub mnie zauważą. Ale przez te wrzaski kobiet, pokrzykiwania i śmiechy żołnierzy oraz przepychanki o miejsce w kolejce jakoś przeoczono, że chowam się w mroku w tyle celi. W lochach nie było zbyt jasno. Pewnie pomyśleli, że mała cela jest pusta, jak niektóre inne, bo nikomu nie chciało się oświecić pochodnią i zajrzeć. W końcu pozostali więźniowie byli mężczyznami, przestępcami i aż za bardzo się palili, by wyjść. Nigdy się do nich nie odzywałam, więc chyba nawet nie wiedzieli, że jest z nimi w lochach kobieta. Inaczej na pewno by mnie wywlekli. Poza tym oni wszyscy byli...

dość zajęci. - Ukryła w dłoniach wykrzywioną cierpieniem twarz. - Nie opowiem wam, jakie okropne rzeczy robiono kobietom tak blisko mnie. Do końca życia będę mieć koszmary. Tym żołdakom chodziło nie tylko o gwałt. Tak naprawdę kierowało nimi umiłowanie przemocy, okrutna chęć poniżania i ranienia bezsilnych, decydowania o ich życiu i śmierci. Gdy kobiety przestały się szarpać, krzyczeć i przestały oddychać, mężczyźni postanowili poszukać jedzenia i picia, żeby uczcić zwycięstwo, a potem znaleźć sobie nowe branki. Wszyscy, jak najlepsi przyjaciele na wywczasach, przysięgali, że nie spoczną, póki w Nowym Świecie będzie chociaż jedna kobieta, której jeszcze nie mieli. - Jebra oburącz odgarnęła w tył włosy. - Kiedy się wynieśli, w lochach zrobiło się spokojnie i cicho. Ciągle tkwiłam na tyłach celi, zasłaniając usta ręką sukni, by nie wydać żadnego dźwięku, który zdradziłby moją obecność. Nieopanowanie trzęsłam się i płakałam. Dusił mnie straszliwy odór krwi i innych rzeczy. Zabawne, że po pewnym czasie nos staje się nieczuły na zapachy, które początkowo wywoływały mdłości. Nie mogłam przestać się trząść. Przecież słyszałam, jakie okropieństwa wyrządzono tym kobietom. Byłam przerażona, że mnie odnajdą i zrobią ze mną to samo. Kiedy się tak ukrywałam w celi, bojąc się wyjść, bojąc się choćby odetchnąć, zaczęłam pojmować, dlaczego Cyrilla w takich okolicznościach oszalała. Cały czas słyszałam dobiegające z góry odgłosy: odgłosy nadal trwającej walki, wrzaski bólu i przerażenia, krzyki umierających. Czulałam woń dymu. Miałam wrażenie, że walka i zabijanie nigdy nie ustaną. Za to kobiety leżące za otwartymi drzwiami mojej celi nie wydawały żadnych odgłosów. Wiedziałam dlaczego. Wiedziałam, że są już z dala od trosk tego świata. Modliłam się, żeby się znalazły w czułym, pokrzepiającym uścisku dobrych duchów. Nieustanne przerażenie ogromnie mnie wyczerpało, ale nie mogłam zasnąć. Nie ośmielałam się zasnąć. Noc mijała i wreszcie zobaczyłam światło rozjaśniające schody; żelazne drzwi nie oddzielały już lochów od świata na górze. Nadal nie miałam śmiałości wyjść. Nie śmiałam się poruszyć. Tkwiłam tak cały dzień, póki nie nadeszła czarna noc. Odgłosy demolowania i płądrowania nie milkły. Bitwa zmieniła się w pijackie świętowanie zwycięstwa. Świt nie przyniósł spokoju na górze. Wiedziałam, że nie mogę pozostać w lochu. Odór martwych kobiet stawał się nie do wytrzymania. Nie mogłam znieść myśli o pozostaniu w tej ciemnej dziurze, wśród gnijących zwłok ludzi,

których znałam. Ale tak się bałam tego, co czekało na górze, że zostałam w celi jeszcze ten dzień i całą noc. Tak bardzo chciało mi się pić i byłam tak głodna, że zaczęłam widzieć na podłodze bochny chleba i kubki wody. Czułam zapach świeżego chleba, świeżego, ciepłego chleba leżącego ledwie parę stóp ode mnie. Jednak kiedy wyciągałam rękę, niczego tam nie było. Nie pamiętam, kiedy to nadeszło, lecz ostatecznie zapragnęłam, by ustał ten obezwładniający strach, pogodziłam się z końcem i niemal za nim tęskniłam. Aż za dobrze wiedziałam, co mnie czeka, ale uznałam, że przynajmniej wreszcie dobiegnie końca dręczący strach. I chciałam, żeby się skończył. Wiedziałam, że będę musiała znieść cierpienie, upokorzenie i ból, lecz wiedziałam też, że podobnie jak dla tych martwych kobiet, tak i dla mnie to wszystko wreszcie się skończy i już nie będę cierpieć. I wreszcie ośmieliłam się wyjść z mroków mojej celi. Od razu zobaczyłam martwe oczy Elizabeth wpatrujące się we mnie, jakby na mnie czekała, bym mogła zobaczyć, co jej zrobiono. Jakby milcząco błagała mnie o świadczenie przed trybunałem. Ale nie było przed kim świadczyć, nie miał kto wymierzyć sprawiedliwości. Byłam jedynym, milczącym świadkiem jej żalosnego kresu. Widok Elizabeth i pozostałych kobiet sprawił, że się cofnęłam. Gdy ujrzałam, jakim torturom je poddano, zdołałam wreszcie połączyć te okropieństwa ze wspomnieniami ich wrzasków. Rozszlochałam się spazmatycznie. Skuliłam się, przerażona, wyobrażając sobie, że to spotyka właśnie mnie. A potem, w ataku ślepego strachu, zakryłam nos skrajem sukni, chroniąc się przed straszliwym odorem, i pobiegłam wśród poskręcanych, obnażonych ciał. Pognałam w górę schodów, nie mając pojęcia, ku czemu biegnę, wiedząc zaś jedynie, od czego uciekam. Cały czas modliłam się o szybką śmierć. Widok pałacu wstrząsnął mną. To było takie piękne miejsce. Dopiero niedawno ukończono naprawy po zniszczeniach sprzed kilku lat. Teraz była to straszliwa ruina. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak wszystko zniszczyli, jak mogły ich radować takie bezmyślne akty wandalizmu. Wspaniałe drzwi zostały wyrwane z zawiasów i połamane. Marmurowe kolumny przewrócono. Wszędzie walały się fragmenty pogruchotanych mebli. Podłogi zaścieniały warstwa szczątków wspaniałych niegdyś przedmiotów: odłamki pięknie glazurowanej ceramiki, kawałeczki uszek, nosków i paluszków porcelanowych figurek, drewniane ułamki z resztkami rzeźbień i złocień, potrzaskane stoły, strzępy obrazów i zniszczone buciarami portrety.

Wszystkie okna zostały wybite, kotary zerwane i podeptane, posągi pozbawione twarzy lub roztrzaskane. Ściany miejscami podziurawiono, miejscami natomiast okrwawiono. Bogate komnaty zamieniono w latryny i odchodami powypisywano na ścianach plugawe słowa oraz zapowiedź śmierci dla wszystkich ciemiężców Ładu z północy. Wszędzie byli żołnierze grzebiący w resztkach pozostawionych przez innych żołnierzy, buszujący wśród zmarłych, rabujący wszystko, co mogli wynieść, dla czystej przyjemności niszczący elegancki wystrój, żartujący przed komnatami z brankami, kiedy czekali na swoją kolej. Kroczyłam, oszołomiona, pośród tych zniszczeń i cały czas spodziewałam się, że mnie złapią i wciągną do jednej z tych komnat. Wiedziałam, że nie uniknęłabym swojego losu. Nigdy nie widziałam takich ludzi. Ci wywoływali straszne przerażenie. Wielcy, niezdarni, brudni żołnierze w podrapanych i poplamionych krwią skórzanych pancerzach. Większość z nich była obwieszona łańcuchami, pasami i nabijanymi ćwiekami rzemieniami. Wielu miało ogolone głowy, przez co wyglądali na jeszcze bardziej umięśnionych i groźnych. Inni patrzyli gniewnie spod szopy długich, skołtunionych, tłustych włosów. Wszyscy wyglądali dziko i mało przypominali ludzi. Twarze mieli uczernione sadzą ogni, w której pot wyżłobił bruzdy. Mówili głośno, ochryple, plugawie. Gdy szli przez wspaniałe różowe lub błękitne komnaty, sprawiali niemal komiczne wrażenie, ale nie było nic zabawnego w okrwawionych toporach u pasa, w mieczach śliskich od krwi czy wiszących u boku nożach, cepach i okutych żelazem pałkach. Ale to ich oczy wbijały cię w ziemię. Ich spojrzenia mówiły, że nie tylko oswoili się z tymi jatkami, ale i nabrali do nich upodobania. Na każdą żywą istotę patrzyli, zastanawiając się, czy to coś do zabicia. Jednak ich oczy nabierały jeszcze okrutniejszego wyrazu, ilekroć spojrzeli na którąś z przekazywanych z rąk do rąk branek. Takie spojrzenie mogło pozbawić kobietę oddechu lub nawet zatrzymać jej serce. To byli ludzie, którzy odrzucili wszelkie pozory ogłady. Oni nie pertraktowali i nie targowali się jak wszyscy inni, normalni. Oni po prostu brali to, czego chcieli, a potem walczyli ze sobą o najmarniejszy łup. Miażdżyli, niszczyli i zabijali, kiedy im przyszła na to ochota, bez zastanowienia i poczucia winy. Moralność nie miała do nich przystępu. To byli okrutni, bezlitośni zwyrodnialcy grasujący wśród niewinnych ludzi.

Rozdział 14

Skoro tam wszędzie byli żołnierze, to dlaczego cię nie złapali? - spytała Cara z charakterystyczną uszczypliwą bezpośredniością, którą jedynie Mord-Sith posługiwały się tak swobodnie, jakby były ponad wszelkie konwenanse.

To samo pytanie nasunęło się też Richardowi, ale w tej chwili nie był w stanie się odezwać.

- Myśleli, że zrobiono z niej służącą - powiedziała Nicci spokojnym, znaczącym tonem. - Skoro chodziła bez przeszkód tak długo po ataku, żołnierze mogli uznać, że są po temu ważne powody, że ci z dowództwa wyznaczyli ją do innych obowiązków.

Jebra skinęła głową.

- Otóż to. Pewien oficer zauważył mnie i wciągnął do komnaty, w której inni wyżsi rangą stali nad rozpostartymi na stołach mapami. Ta komnata, w przeciwieństwie do innych, nie została zniszczona. Dopytywali się, gdzie strawa dla nich, jakbym to mogła wiedzieć. Wyglądali równie dziko i groźnie jak pozostali i początkowo nie przyszło mi do głowy, że to mogą być oficerowie. Nie pomyślałabym o tym, gdyby nie szacunek okazywany im przez przynoszących meldunki żołnierzy. Niektórzy z tych oficerów byli nieco starsi i jeszcze groźniejsi, mieli jeszcze zimniejsze spojrzenie niż zwykli żołnierze, którzy zawsze omijali ich z daleka. Kiedy popatrzyli na mnie, zrozumiałam, że to ludzie, którzy oczekują natychmiastowej odpowiedzi. Uchwyciłam się tego przebłysku szansy, że może przeżyję, jeżeli się dostosuję. Skłoniłam się pokornie i odparłam, że natychmiast zajmę się posiłkiem. Powiedzieli, że powinnam, najwyraźniej bardziej zainteresowani jedzeniem niż wymierzaniem kary. Pospieszyłam do kuchni, starając się zachowywać jak ktoś, kto ma określony cel, ale nie biec, bo bałam się, że jeśli żołnierze zobaczą biegnącą kobietę, zareagują niczym wilki na pierzchającą z ukrycia sarnę. W kuchniach było paręset osób, przeważnie starszych mężczyzn i kobiet. Wielu z tych ludzi rozpoznałam, bo od dawna gotowali dla pałacu. Byli tu też i młodszy, silniejsi mężczyźni, potrzebni do prac zbyt ciężkich dla podkuchennych czy dla starszych osób, na przykład do przenoszenia tusz czy kręcenia ciężkimi rożnami. Wszyscy pracowali jak

szaleni wśród ryczących ogni i parujących garnków, jakby od tego zależało ich życie. Bo też po prawdzie tak było. Kiedy weszłam do kuchni, ledwo mnie zauważali, zagonieni i zajęci różnymi sprawami. Widząc, że wszyscy pracują na najwyższych obrotach, chwyciłam duży półmisek mięs i zaproponowałam, że zaniosę go na górę. Ludzie w kuchni byli bardzo zadowoleni, że ktoś chce wrócić pomiędzy wojaków. Kiedy przyszedłam ze stawką, oficerowie, którzy mnie po nią posłali, porzucili swoje zajęcie. Sprawiali wrażenie okropnie głodnych. Poderwali się z kanap i foteli i gołymi, brudnymi rękami brali z tacy mięsiwa. Postawiłam ciężką tacę na jednym z większych stołów, a wtedy przyjrzał mi się któryś z oficerów. Przeżuwając coś, spytał, dlaczego nie mam w wardze kółka. Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Przebijają kółkiem dolną wargę niewolnic - odezwała się Nicci. - To je oznacza jako własność wyższych rangą i powstrzymuje żołnierzy od traktowania ich jak branki. A dowódcy mają do dyspozycji służące.

Jebra skinęła głową.

- Oficer wykrzyczał rozkazy. Żołnierz chwycił mnie i przytrzymał, podszedł drugi. Naciągnął mi dolną wargę i przebił ją kółkiem.

Nicci zapatrzyła się w dal.

- Żelazo to dla nich symbol żelaznych kociołków i tym podobnych. A żelazne kółko oznacza kogoś z kuchni.

Richard dostrzegł w błękitnych oczach Nicci tłumiony gniew. I ona miała niegdyś kółko w dolnej wardze, chociaż jej było złote - na znak, że jest własnością imperatora Jaganga. To nie był zaszczyt. Nicci wykorzystywano do rzeczy gorszych niż podrzędne prace.

- Masz rację - powiedziała Jebra. - Kiedy już wbili mi to kółko w wargę, odesłali mnie do kuchni po kolejną porcję stawy i wino. Uświadomiłam sobie wtedy, że wszyscy w kuchniach też mają żelazne kółka. Oszołomiona i otępiała biegałam tam i z powrotem, przynosząc oficerom to, czego zażądali. Łykałam trochę wody i przegryzałam coś, gdy tylko miałam okazję. To wystarczyło, żeby nie zasłabnąć. Znalazłam się wśród innych wystraszonych ludzi pracujących w pałacu i wykonujących rozkazy oficerów. Nie miałam czasu się zastanawiać, jak mi się udało uniknąć gorszego losu. A choć warga pulsowała i krwawiła, cieszyłam się, że mam w niej ten żelazny pierścień, bo jak tylko zobaczył go jakiś żołnierz, od razu zostawiał mnie w spokoju.

Wkrótce zaczęto mnie wysyłać z ciężkimi torbami żywności i napitków do oficerów w innych częściach miasta. A kiedy znalazłam się na terenach wokół miasta, zaczęłam dostrzegać prawdziwe rozmiary okropieństw, które dotknęły Ebinissię. Jebrę ogarnęło odrętwienie, więc Richard zapytał:

- Co ujrzałaś?

Popatrzyła na niego, jakby zapomniała, że opowiada o swoich przeżyciach, lecz potem przemogła udrękę.

- Za murami miasta leżały dziesiątki tysięcy poległych. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, tkwiły poturbowane ciała. Wielu padło w grupach, na ostatnim posterunku. Widok był zupełnie nierealny, ale ja już to wcześniej widziałam... w wizji. Co gorsza, było tam nadal sporo żyjących, chociaż ciężko rannych galejskich żołnierzy. Leżeli na pobojowisku, obok martwych towarzyszy, i nie byli w stanie się ruszyć. Niektórzy jęczeli cichutko, bliscy śmierci. Inni byli w nieco lepszym stanie, lecz z tego czy innego powodu nie mogli chodzić. Jeden z żołnierzy miał nogi przygniecione i zmiażdżone przez roztrzaskany wóz. Innego przyszpilono do ziemi włócznią. Chociaż okropnie cierpiał, tak bardzo pragnął żyć, że wołał nie wyrywać drzewca, żeby nie wypłynęły mu jelita. Inni mieli tak połamane ręce lub nogi, że nie byli w stanie czołgać się wśród martwych żołnierzy, zabitych koni i rumowiska. Nieustannie krążyły tam patrole Ładu, więc wiedziałam, że gdybym się zatrzymała, żeby pocieszyć lub pomóc któremuś z rannych, od razu by mnie wypatrzono i zabito. Kiedy tak krążyłam między placówkami a pałacem, musiałam przechodzić przez to straszliwe pole bitwy. Na wzgórzach, wśród których rozegrała się ta ostatnia batalia, widać było setki ludzi chodzących powoli wśród poległych i okradających ich. Dowiedziałam się później, że to była mała armia osób ciągnących za wojskami Imperialnego Ładu, markietani żyjący z tego, co zostawiali żołnierze Ładu. Te ludzkie sępy grzebały w kieszeniach poległych, utrzymując się ze śmierci i zniszczeń. Przypominam sobie starą kobietę w wyświechtanej białej chuście, która natrafiła na żyjącego jeszcze galejskiego żołnierza. Miał wiele ran, w tym rozciętą aż do kości nogę. Drżącymi rękami zaciskał ziejącą ranę. To cud, że nadal żył. Kiedy stara kobieta w chuście szarpała jego odzienie, szukając czegoś wartościowego, błagał ją o łyk wody. Zignorowała to i rozchyliła mu koszulę, żeby sprawdzić, czy aby nie ma zawieszanej na szyi sakiewki, jak niektórzy żołnierze. Słabym, ochrypłym głosem znów błagał o

łyk wody. Wtedy wyciągnęła z pasa długą igłę i wbiła ją bezsilnemu żołnierzowi w ucho. Aż wysunęła z wysiłku czubek języka, świdrując w mózgu biedaka. Zadrzały mu ramiona, a potem znieruchomiał. Kobieta wyciągnęła igłę i otarła o nogawkę żołnierza, mruczając, że to go wreszcie uciszy. Potem wetknęła igłę w pas i znów zaczęła przeszukiwać jego odzienie. Zdumiało mnie, że miała taką wprawę w tym makabrycznym rzemiośle. Widziałam, jak inni markietanie kamieniami rozbijali głowę każdemu rannemu, który jeszcze żył. Chcieli mieć pewność, że ich nie zaatakuje, kiedy będą chcieli szukać łupu. Niektóre z tych hien nie trudziły się dobijaniem rannych, chyba że ci mieli zdrowe ręce i próbowali się opędzać. Jeżeli taki biedak żył, lecz nie był w stanie się bronić, po prostu brali, co chcieli, i szli dalej. Ale byli też tacy, którzy wznosili pięść, krzycząc triumfalnie, kiedy znaleźli wciąż żyjącego żołnierza, którego mogli dobić. Zupełnie jakby taki postępek robił z nich bohaterów. Trafiali się i tacy, których radowało torturowanie bezbronnych rannych. Pastwili się nad nimi w najokropniejszy sposób, ubawieni tym, że taki żołnierz nie może ani uciec, ani ich przepędzić. A i tak przecież była to kwestia paru dni, zanim wszyscy ranni umrą, albo wskutek odniesionych ran, albo dobici przez markietanów. Przez kilka następnych tygodni żołnierze Imperialnego Ładu świętowali swoje wielkie zwycięstwo orgią przemocy, gwałtów i plądrowania. Wpadali do każdego budynku i gruntownie go przeszukiwali. Rabowali wszystko, co miało jakąś wartość. Z wyjątkiem niewielu osób, tak jak ja oznakowanych jako słudzy, żaden mężczyzna nie pozostał na wolności i żadna kobieta nie uniknęła łap tych bestii. - Jebra szlochała. - Żadna młoda kobieta nie powinna nigdy doświadczyć tego, co zrobiono tym biedaczkom. Pojmani galejscy żołnierze oraz mężczyźni i chłopcy z miasta dobrze wiedzieli, co się dzieje ich matkom, żonom, siostrom i córkom; żołdacy Ładu już o to zadbali. Kilka razy niewielkie grupy więźniów, którzy nie mogli już znieść tego wszystkiego, usiłowały położyć kres wykorzystywaniu i gwałtom. Mordowano ich. Wkrótce zaczęto wysyłać liczne gromady więźniów do kopania wielkich dołów dla poległych. Kiedy skończyli kopać, zmuszono ich do zebrania wszystkich gnijących ciał i wrzucenia do tych masowych grobów. Ci, którzy się opierali, też kończyli w dołach. Gdy już wszyscy umarli znaleźli się w dołach, mężczyźni musieli wykopać długie rowy. Potem zaczęły się egzekucje. Zginąć miał prawie każdy mężczyzna mający ponad

piętnaście lat. W sieć Ładu wpadły dziesiątki tysięcy ludzi. Wiedziałam, że wymordowanie ich potrwa całe tygodnie. Kobiety i dzieci zmuszono pod groźbą miecza do przyglądania się, jak ich mężczyźni giną i są wrzucani do rowów. A kiedy patrzyły, pouczano je, że to próbka tego, co czeka osoby przeciwstawiające się sprawiedliwemu i moralnemu prawu Imperialnego Ładu. W czasie nie kończących się egzekucji tłumaczono im, że było błuznierstwem wobec Stwórcy żyć tak, jak żyli oni, wyłącznie z myślą o realizacji własnych egoistycznych celów. Mówiono im, że ludzkość należy oczyścić z takiej zwały, że stanie się przez to lepsza. Niektórych mężczyzn ścinano. Innym kazano uklęknąć przy rowie, a potem krzepcy żołdacy z okutymi żelazem pałkami szli wzdłuż linii klęczących i potężnym ciosem rozbijali im po kolei głowy, natomiast idący za nimi więźniowie w łańcuchach wrzucali pomordowanych do rowu. Jeszcze inni więźniowie służyli jako tarcze łucznicze lub cele dla włóczy. Koledzy śmiali się i drwili z pijanego kata, jeżeli nie potrafił czysto uśmiercić tak łatwego celu. Dla nich to była zabawa. Uważam jednak, że takie nasilenie okrucieństw wprawiło niektórych żołnierzy Ładu w ponury nastrój i zaczęli pić, by stłumić odragę i móc się do tego przyłączyć, czego od nich oczekiwano. W końcu to co innego zabijać w ogniu walki, a co innego mordować z zimną krwią. A mordowali z zimną krwią. A kiedy mężczyźni wpadali do rowów, to zasypywali ich ci, którzy wkrótce mieli do nich dołączyć. Przypominam sobie pewien deszczowy dzień, kiedy miałam zanieść strawę oficerom stojącym pod czymś, co niegdyś było płócienną markizą nad sklepem, a teraz było podparte lancami. Znaleźli się tam, by obserwować egzekucję pomyślaną jako wielkie widowisko. Przerażone kobiety, które miały się przyglądać wykonywaniu wyroków, przywleczono wprost z przybytków gwałtu. Wiele z nich nadal miało niekompletne odzienie. Słyszac wykrzykiwane imiona, szybko pojęłam, że śledczy Ładu rozpoznali mężów owych kobiet i wydzielili ich. Urządzili małżonkom makabryczne spotkanie: byli rozdzieleni, lecz widzieli się. Kobietom, stłoczonym i bezbronnym, kazano patrzeć, jak ich mężczyznom związują mocno rzemieniem nadgarstki za plecami. Mężczyznom zmuszono, żeby uklękli przed nowymi rowami, naprzeciwko kobiet. Wzdłuż szeregu klęczących szli żołnierze, chwytali jednego biedaka po drugim za włosy, odchylali mu głowę do tyłu i podrzynali gardło. Pamiętam, jak potężne mięśnie katów lśniły w deszczu. Gdy już podcięli komuś gardło,

wrzucali ciało do rowu i dopiero potem podchodzili do następnego nieszczęśnika. Czekający na śmierć mężczyźni płakali i dygotali, wykrzykiwali imiona ukochanych, zapewniali je o swojej dozgonnej miłości. Kobiety robiły to samo, patrząc, jak mordowano ich mężczyzn, a następnie ciskano ich na sterty innych, wciąż jeszcze rzucających się w przedśmiertnych drgawkach. Nigdy nie widziałam czegoś tak przerażającego, rozdzierająco smutnego. Wiele kobiet, ujrzawszy śmierć ukochanego, zemdlało i osunęło się w błoto pokryte wymiocinami. Inne, stojąc w nieustannie padającym deszczu, obłądnie przerażone, wykrzykiwały imię tego, który właśnie miał być zabity. Szarpały się w krzepkich łapach strażników, którzy po kolei je odciągali, krzycząc do czekających na śmierć mężów, co zamierzają im zrobić. To było wynaturzone okrucieństwo prowadzące do cierpień tak strasznych, że nie potrafię tego wyrazić. Rodziny nie tylko na zawsze rozdzielono, ale i wymordowano. Czy słyszeliście kiedykolwiek to odwieczne pytanie: Jak według ciebie skończy się świat? Właśnie tak. Tak świat kończył się dla tysięcy ludzi... tyle że dla każdego z nich po kolei. Było to rozwleczone w czasie niszczenie ludzkiego życia, ostateczny kres świata każdej z tych osób.

Richard ścisnął skronie palcami jednej dłoni tak mocno, jakby chciał sobie zmiażdżyć czaszkę. Z ogromnym trudem zapanował nad oddechem i głosem.

- Czy komuś udało się uciec? - zapytał w dzwoniącej ciszy. - Czy ktoś uciekł w trakcie tych gwałtów i egzekucji?

Jebra potakująco skinęła głową.

- Tak. Sądzę, że kilku osobom się udało, ale, rzecz jasna, nie mogłam się co do tego upewnić.

- Wystarczająco wielu uciekło - powiedziała cicho Nicci.

- Wystarczająco?! - krzyknął Richard, kierując ku niej swój gniew. Pohamował wściekłość, która wymknęła się spod kontroli, i stonował głos. - Wystarczająco do czego?

- Dla ich celów - odparła Nicci, patrząc mu w oczy i godnie przyjmując to, co tam wyczytała. - Ład wie, że są uciekinierzy. Kiedy okrucieństwo sięga szczytów, w chwilach największych okropieństw, świadomie zmniejszają nadzór, by mieć pewność, że choć kilku ucieknie.

Richard miał wrażenie, że w jego głowie kłębią się tysiące bezładnych,

przygnębiających myśli.

- Dlaczego?

Nicci długo patrzyła mu w oczy, zanim odpowiedziała.

- Mają szerzyć taki strach, by kolejne miasto ogarnęła panika. Przerazenie, które sprawi, że ludzie znajdujący się na drodze nacierającej armii raczej się poddadzą, niż narażą na takie same okrucieństwa. Dzięki temu Ład zwycięża, nie musząc walczyć o każdą piędź ziemi. Panika szerzona przez uciekinierów, którzy opowiadają, co widzieli, jest potężną bronią niszczącą odwagę tych, którzy dopiero zostaną zaatakowani.

Serce Richarda tak się tłukło, że potrafił zrozumieć przerażenie czekających na atak Ładu. Przeczesał włosy palcami i znowu zajął się Jebra.

- Czy zamordowali wszystkich pojmanych?

- Nielicznych żołnierzy, których z różnych powodów uznano za niegroźnych, wysłano razem z innymi ludźmi, żeby pracowali na farmach. Nigdy się nie dowiedziałam, co się z nimi stało, ale przypuszczam, że nadal tam są i mozolą się jako niewolnicy, wytwarzając żywność dla Ładu. - Spuściła wzrok i odgarnęła z twarzy pasemka włosów. - Większość kobiet, które przeżyły, stała się własnością wojska. Niektóre młodsze i ładniejsze miały w dolnej wardze miedziany pierścień i były zarezerwowane dla wyższych rangą. Po obozie często krążyły wózki, na które wrzucano ciała kobiet zmarłych podczas maltretowania i szczególnie brutalnego wykorzystywania. Żaden oficer nie sprzeciwiał się brutalności, z jaką żołnierze traktowali te kobiety. Zwłoki ciskano do dołów. Nikogo nie chowano w oznaczonym grobie, nawet poległych żołnierzy Imperialnego Ładu. Wszystkich wrzucano do masowych grobów. Ład nie ceni jednostek i nie zapisuje ich odejścia, nie oznacza grobów.

- A co z dziećmi? - zapytał Richard. - Mówiłaś, że nie zabili młodszych chłopców.

Jebra głęboko zaczerpnęła powietrza, nim odpowiedziała.

- Na samym początku chłopców zebrano razem i podzielono na grupy według wieku, jak młodocianych rekrutów. Nie uważano ich za pojmanych Galejczyków, za pokonanych, lecz za młodych członków Imperialnego Ładu wyzwolonych spod władzy ludzi, którzy by ich jedynie dręczyli i wypaczyli im umysły. Winą za niegodziwość i zło, które spowodowały inwazję, obarczono starsze pokolenia, a nie tych młodych ludzi. Ich nie obwiniono za

grzechy starszych. Fizycznie i duchowo oddzielono ich od dorosłych i rozpoczęło się ich szkolenie. Chłopców szkolono przez zabawę, dla wielu z nich na pewno niemiłą. Traktowano ich stosunkowo dobrze i dbano, żeby każdą chwilę spędzali na rozwijaniu mięśni i umiejętności. Nie pozwalano im tęsknić za rodzinami, wmawiano im, że to okazywanie słabości. Ich rodziną stał się Imperialny Ład, czy im się to podobało czy nie. Nocą słyszałam nie tylko krzyki kobiet, ale i głosy chłopców śpiewających pod przewodnictwem specjalnych oficerów szkoleniowych. Musiałam nosić strawę tym oficerom, więc miałam okazję zobaczyć, co się działo z owymi chłopcami, w miarę jak mijały tygodnie i miesiące. Po trwającym jakiś czas szkoleniu chłopcy zaczęli zdobywać sobie pozycję w swoich grupach. Wyróżniali się czy to w popisach siły i umiejętności, czy to w przyswajaniu nauk o prawości Ładu. Kiedy biegałam tam i z powrotem, wypełniając swoje obowiązki i polecenia oficerów, widywałam chłopców stojących na baczność przed grupą i recytujących to, czego ich nauczono, mówiących o chwale przynależności do Ładu, o zaszczytnym obowiązku bycia częścią nowego świata zaangażowaną w postęp ludzkości, o pragnieniu poświęcenia się dla tego większego dobra. Chociaż właściwie nigdy nie miałam okazji dokładnie poznać nauk wpajanych chłopcom, zapamiętałam wers, który bezustannie wykrzykiwali, stojąc na baczność: „W pojedynkę jestem niczym. Jedynie poświęcenie się innym nadaje mojemu życiu znaczenie. Razem jesteśmy jednością, mamy jeden umysł, jeden cel”. Po wiecach o olbrzymim ładunku emocjonalnym prowadzono grupy chłopców na egzekucje „zdrajców ludzkości”. Po zabiciu każdego „zdrajcy” zachęcano ich do radosnych okrzyków. Ich dowódcy z szeregów Ładu stali dumnie wyprostowani przed nimi, plecami do krwawej łaźni, i mówili: „Bądźcie silni, młodzi bohaterowie. Oto, co spotyka egoistycznych zdrajców ludzkości. Jesteście przyszłymi zbawcami ludzkości. Jesteście przyszłymi bohaterami Ładu, więc bądźcie silni i dzielni”. Mimo że początkowo tych chłopców mogła ogarniać trwoga, po długotrwałej nieustającej indoktrynacji i przy ciągłych zachętach oficerów wiwatowali. I choć pierwotnie nie było to szczere, z czasem się takie stało. Widziałam, jak chłopcy zaczynają wierzyć, naprawdę żarliwie, w to, czego nauczali ich dorośli. Chłopcom dawano noże i zachęcano ich, by dźgali dopiero co zabitych „zdrajców”. Był to tylko jeden ze sposobów, jakimi systematycznie niszczone w nich wrażliwość na śmierć. W końcu chłopcy

zdobywali pozycję, uczestnicząc w egzekucjach. Stawali przed jeńcami o pustym spojrzeniu i wyrzucali im ich egoizm, zdradę współbraci i Stwórcy. Potem skazywali każdego jeńca na śmierć i niekiedy sami przeprowadzali egzekucję. A ich koledzy oklaskiwali zapał w oczyszczaniu ludzkości z tych, którzy odrzucili pobożne nauki Ładu, z tych, którzy się odwrócili od Stwórcy i świętego obowiązku służenia bliźniemu. Zanim to wszystko się skończyło, prawie każdy z tych chłopców przyłożył rękę do mordowania jeńców. Wychwalano ich jako „bohaterów” Ładu. A wieczorami, w koszarach, ci nieliczni chłopcy, którzy nie chcieli uczestniczyć w egzekucjach, stawali się wyrzutkami i ostatecznie piętnowano ich jako tchórzy, a nawet zwolenników dawnych obyczajów, egoistów, którzy nie chcą wspomagać bliźniego, czyli w tym wypadku, chłopca. Najczęściej grupa katowała ich na śmierć. W moich oczach ci nieliczni chłopcy byli bohaterami. Ginęli osamotnieni z rąk kolegów, innych chłopców, którzy kiedyś się z nimi bawili i śmiali, a teraz zmienili się we wrogów. Wiele bym oddała, żeby choć móc uścisnąć tych szlachetnych biedaków i szepnąć im słowa podziękowań za to, że nie przyłączyli się do reszty. Ale nie mogłam tego zrobić, więc umarli, odrzuceni przez dawnych kolegów. To był obłęd. Miałam wrażenie, że cały świat oszalał, że nic już nie ma sensu, że samo życie już nie ma sensu. Ból i udreka stały się wyznacznikami życia. Niczego innego nie było. Wspomnienia radosnych chwil były mgliste i nierealne. Życie się wlokło, dzień za dniem, pora roku za porą roku, lecz w taki czy inny sposób obracało się wokół śmierci. Wreszcie ze wszystkich mieszkańców Galei pozostali przy życiu jedynie chłopcy i kobiety, które przetrwały brutalne gwałty i były dziwkami żołnierzy. W końcu również starsi chłopcy brali udział w gwałtach, co należało do ich inicjacji i było nagrodą za zapał w wypełnianiu zadań, w tym za udział w egzekucjach. Wielu kobietom, oczywiście, udało się zabić. Każdego ranka na ulicznym bruku, u stóp wyższych budynków, znajdowano pogruchotane ciała kobiet, które widząc, że czeka je tylko poniżenie i upodlenie, rzuciły się z okien lub dachów. Już nie wiem, ile razy napotkałam w jakimś ciemnym kącie kobietę, która podcięła sobie żyły i wykrwawiła się, pozbawiona jakiegokolwiek nadziei. Nie obwinałam ich za taki postęp.

Richard stał, splatając dłonie za plecami, wpatrzony w znieruchomiałe wody fontanny, a Jebra opowiadała o tym, co nastąpiło po wielkim

zwycięstwie dzielnych wojsk Imperialnego Ładu. Było to tak monstualnie bezsensowne, że prawie niemożliwe do pojęcia, a tym bardziej do przetrwania.

Wpadające przez przeszkłony strop snopy słonecznego blasku powoli wędrowały po marmurowej ławie wokół fontanny, po rozległej posadzce i po granitowych stopniach. Krwistoczerwone kolumny lśniły, w miarę jak słońce stopniowo przesunęło się ku ich głowicom, a Jebra opowiadała o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy była branką Ładu.

Shota niemal cały czas stała nieruchomo, zwykle ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i z posępną miną. Przyglądała się opowiadającej Jebra lub słuchającemu jej Richardowi, jakby się upewniała, że nic nie rozprasza jego uwagi.

- Galea miała zapasy żywności dla mieszkańców, ale zdecydowanie zbyt małe dla rzesz najeźdźców, którzy okupowali Ebinissię i nie mieli własnych, wystarczająco obfitych. Żołnierze ogołocili z żywności każdy skład. Spustoszyli każdą spiżarnię, każdy magazyn. Zabito na mięso prawie wszystkie zwierzęta w promieniu wielu mil, w tym wiele owiec hodowanych dla wełny i mlecznych krów. Zabili też i zjedli kurczęta, miast zaczekać, aż dorosną i zaczną znosić jajka. Zapasy żywności topniały i oficerowie wysyłali posłańców z nagłymi żądaniem przysłania nowych. Dostawy nie przychodziły całymi miesiącami, w dużej mierze dlatego, że nastąpiła zima. - Jebra zamilkła i przełknęła ślinę, nim znów zaczęła opowiadać. - Pamiętam taki dzień, podczas gwałtownej burzy śnieżnej, kiedy rozkazano nam ugotować świeże mięso dostarczone do kuchni przez żołnierzy Imperialnego Ładu. Były to zwłoki niedawno zabitych ludzi, pozbawione głów i wypatroszone.

Richard gwałtownie się odwrócił i wpatrzył w Jebra. Spoglądała nań niczym z głębi szaleństwa, jakby się bała, że zostanie potępiona za to, co wie, bo przechodziło to wszelkie granice. Błękitne, wypełnione łzami oczy błagały o wybaczenie, jakby się lękała, że Richard zabije ją za to, co miała wyznać.

- Czy musiałeś kiedy ćwiartować ludzkie ciało do gotowania? Bo my tak. Piekliśmy mięso lub oddzielaliśmy je od kości i robiliśmy gulasz. Suszyliśmy wielkie ilości mięsa dla zwykłych żołnierzy. Jeśli byli głodni, a nie było ich czym nakarmić, dostarczano do kuchni ciała. Doszliśmy do niebywałej wprawy w wykorzystywaniu tych zapasów żywności, które mieliśmy.

Gotowaliśmy zupy i potrawy z zielska, o ile znaleźliśmy je pod śniegiem. Ale i tak było za mało jedzenia dla tylu żołnierzy. Byłam świadkiem wielu rzeczy, które przez resztę życia będą mnie nawiedzać w koszmarach. Obraz tych pozbawionych skrupułów żołnierzy stojących w otwartych drzwiach, przez które wiatr nawiewa śniegu, i rzucających te ciała na podłogę kuchni, to jedna z rzeczy, które już zawsze będą mnie prześladować. Richard skinął głową i wyszeptał:

- Rozumiem.

- A potem, wczesną wiosną, zaczęły wreszcie nadciągać wozy z zaopatrzeniem. Przywiozły wielkie ilości strawy dla żołnierzy. Wiedziałam, że choć tych pełnych wozów było na pozór nieskończenie wiele, i tak na długo tego nie wystarczy. Oprócz żywności przybyły też posiłki, żeby zastąpić tych, którzy zginęli podczas podbijania Galei. W Ebinissii i tak były już ogromne rzesze żołnierzy Ładu. Nowo przybyli jedynie wzmagali we mnie poczucie beznadziei. Usłyszałam, jak nowi oficerowie zapowiadali, że nadejdą kolejne partie zaopatrzenia i dalsi żołnierze. W miarę jak napływali z południa, wielu wysyłano w inne rejony Midlandów. Były kolejne miasta do zdobycia, ziemie do opanowania, ogniska oporu do stłumienia, ludzie do uciemnienia. Z zaopatrzeniem i nowymi oddziałami nadchodziły też listy od tych, którzy zostali w Starym Świecie. Oczywiście nie były to listy do konkretnych żołnierzy, bo Imperialny Ład nie wiedziałby, jak odnaleźć adresata wśród tak licznych wojsk, i nawet by o to nie zadbał, skoro w ich oczach jednostka nic nie znaczyła. Były to listy przeznaczone do odczytania dzielnym żołnierzom, walczącym za ludzi pozostałych w ojczystym kraju, walczącym ku chwale Stwórcy, bijącym się, żeby pognębić pogan z północy, żeby nieść ciemnym ludziom zbawcze nauki Ładu. Całymi tygodniami, co wieczór, czytano te listy grupom żołnierzy, bo większość z nich nie umiała czytać. Były to najrozmaitsze listy: od ludzi opisujących, na jak wielkie poświęcenia musieli się zdobyć, by wysłać na północ, swoim walczącym żołnierzom, żywność i inne dobra; epistoły wychwalające olbrzymie poświęcenie, z jakim żołnierze szerzyli boskie nauki Ładu; pisma od młodych kobiet obiecujących, że oddadzą swoje ciała żołnierzom, kiedy ci wrócą po pokonaniu niecywilizowanego i zacofanego przeciwnika z północy. Możecie sobie wyobrazić, jak popularne były zwłaszcza te ostatnie listy. Czytano je wciąż na nowo, przy akompaniamencie pohukiwań i

gromkich wiwatów. Mieszkańcy Starego Świata przysyłali też pamiątki: talizmany mające zapewnić zwycięstwo; rysunki do ozdabiania namiotów dzielnych wojaków; ciasteczka i ciasta, które już dawno się zepsuły; skarpety, rękawice, koszule i czapki; zioła na wszystko, od herbatek po opatrunki; pachnące chusteczki od oczarowanych kobiet, gotowych ofiarować się wojakom; pasy żołnierskie i inne tego rodzaju rzeczy zrobione przez korpusy młodych chłopców, którzy ćwiczyli ze swoimi rówieśnikami w oczekiwaniu dnia, kiedy i oni będą mogli ruszyć na północ, by gromić tych, którzy się opierają mądrości Stwórcy i sprawiedliwości Imperialnego Ładu. Długie szeregi wozów, zanim wróciły po kolejne dostawy dla olbrzymiej armii w Nowym Świecie, wypełniano łupami, które miały dotrzeć do miast Starego Świata dostarczających wojsku żywność i inne dobra. To był nieustający handel wymienny: łupy za dostawy, dostawy za łupy. Przypuszczam, że płynące bez przerwy na południe ładunki zrabowanych dóbr miały zachęcać tamtejszych ludzi do ponoszenia ogromnych kosztów wojny. Armia najeźdźców była zbyt liczna, żeby się rozlokować w mieście, więc z każdym nowym kontyngentem, który przybywał z południa wraz z wozami dostawczymi, bezkresne morze namiotów coraz szerzej rozlewało się po okolicy, zajmując wzgórza i doliny. Drzewa w sporej odległości od miasta wycięto i spalono minionej zimy, więc ziemie wokół stolicy były ogołoczone i wymarłe. Trawy nigdy nie odrastały, nieustannie deptane przez rzesze żołnierzy, tratowane przez niezliczone końskie kopyta, rozjeżdżane przez wozy. Wydawało się, że Galeę zmieniono w morze błota. Z nowo przybyłych ze Starego Świata jednostek formowano oddziały uderzeniowe i wysyłano je, by atakowały inne ziemie, szerzyły władzę Ładu, ugruntowywały jego zwierzchnictwo. Zdawało się, że nigdy nie przestaną napływać posiłki mające ujarzmić Nowy Świat. Pracowałam do upadłego, karmiąc tych wszystkich oficerów, więc często słyszałam rozmowy o planach inwazji, meldunki o zdobyciu kolejnych miast, raporty o tym, ilu wzięto jeńców i ilu niewolników odesłano do Starego Świata. Od czasu do czasu sprowadzano oficerom co ładniejsze kobiety. W oczach tych kobiet widziałam dziki lęk przed tym, co je czeka. Wiedziałam, że ich oczy już wkrótce zamgli tęsknota za litościwą śmiercią. Wszystko to było według mnie nie kończąca się napaścią, bezgranicznym okrucieństwem, które zapowiadały się na całą wieczność. W owym czasie, rzecz jasna, w mieście

nie było już dawnych mieszkańców. Niemal każdy mężczyzna powyżej piętnastego roku życia został zabity, a garstka tych, którzy ocaleli, została wysłana do niewolniczej pracy. Wiele kobiet - zbyt starych lub zbyt młodych, żeby się przydać Ładowi - zabito, jeżeli nawinęły się pod rękę, a resztę wydano na śmierć głodową. Żyły niczym szczury - w mrocznych zakamarkach miasta. Ostatniej zimy widywałam grupki staruszek i dziewczynek, które wyglądały jak szkielety; zebrały o resztki żywności. Serce mi pękało, lecz nakarmienie ich równałoby się śmierci dla nich i dla mnie. Ale jak tylko miałam okazję i mogłam się czymś podzielić, wciskałam im coś do jedzenia. W końcu starto z powierzchni ziemi większość mieszkańców królewskiego miasta Galei, setki tysięcy ludzi. Przestało istnieć to, co niegdyś było sercem krainy. Stolicę okupowali teraz żołnierze, setki tysięcy żołnierzy. Markietani zaczęli zajmować dawno splądrowane domy, przywłaszczając sobie to, co do nich nie należało. Ze Starego Świata napływali coraz to nowi ludzie, żeby się tu osiedlić i żyć jak u siebie. Większość ocalałych Galejek stała się niewolnicami służącymi żołnierzom za dziwki. Po jakimś czasie wiele z nich zaszło w ciążę i urodziło dzieci wojaków Imperialnego Ładu. Potomstwo to wychowywano na przyszłych fanatyków Ładu. W zasadzie po pierwszym roku okupacji jedynymi pozostawionymi przy życiu galejskimi dziećmi byli chłopcy. Nieustannie wpajano im nauki Ładu i stali się Ładem. Dawno już odrzucili obyczaje rodziców i rodzinnego kraju, a nawet zwykłą przyzwoitość. Teraz byli członkami Imperialnego Ładu, nowo uformowanymi potworami. Po całych miesiącach szkolenia grupy starszych chłopców szły w pierwszej linii podczas ataku na kolejne miasta. Byli mięsem, o które miały się stępić miecze pogan. Szli ochoczo. Niegdyś sądziłam, że barbarzyńcy z Imperialnego Ładu to odrębny, dziki gatunek ludzi, który nie ma nic wspólnego z cywilizowanymi mieszkańcami Nowego Świata. Ale kiedy patrzyłam, jak ci chłopcy się zmieniali i czym się w końcu stali, uświadomiłam sobie, że członkowie Ładu tak naprawdę różnią się od nas jedynie wierzeniami i motywami działania. Może to i szalony pomysł, lecz wydawało mi się, że istnieje jakiś tajemniczy mechanizm pozwalający omamić każdego i nawrócić na wierzenia Ładu. - Jebra z rozpaczą potrząsnęła głową. - Nigdy nie potrafiłam pojąć, jak mogło do tego dojść, jak oficerowie mogli wpajać chłopcom takie rzeczy, jak mogli ich nauczać, że

powinni się całkowicie wyrzec dbałości o własne sprawy i poświęcać dla dobra innych. I że potem, niczym za sprawą czarów, ci chłopcy radośnie, ze śpiewem odmaszerują, mając nadzieję, że polegną w walce.

- To naprawdę zupełnie proste - wtrąciła bezceremonialnie Nicci.

- Proste? - Jebra z niedowierzaniem uniosła brwi. - Chyba żartujesz.

Rozdział 15

O tak, proste. - Nicci powoli zeszła ze schodów. - W Starym Świecie Bractwo Ładu uczy chłopców i dziewczynki tego samego i tymi samymi metodami. - Zatrzymała się w pobliżu Richarda, skrzyżowała ramiona na piersi i westchnęła, nie ze znużeniem, lecz raczej kostycznie. - Tyle że w ich wypadku zaczyna się to niedługo po narodzinach. Zaczyna, rzecz jasna, od prostych nauk i potem, przez całe ich życie, rozszerza się je i pogłębia. Widok pobożnych starych ludzi uczestniczących w lekcjach dawanych przez mnichów z Bractwa Ładu nie jest czymś niezwykłym. Przede wszystkim ludzie dążą do uporządkowanej struktury społecznej i pragną wiedzieć, jakie jest ich miejsce w ogólnym planie uniwersum. Bractwo Ładu zapewnia im wszechstronny i autorytarny system. Innymi słowy, mówi im, jak mają myśleć i żyć. Jednak to przynosi najlepsze efekty, kiedy się zaczyna z młodymi. Jeżeli uformuje się młody umysł według dogmatów Ładu, to zwykle przez całe życie jest on nieelastyczny i ciasny. W rezultacie każdy inny sposób myślenia, umiejętność rozumowania, na ogół zanikają w młodym wieku i są już na zawsze stracone. Kiedy taka osoba się zestarzeje, będzie uczestniczyć w tych samych elementarnych naukach, chłonąc każde słowo.

- Proste? - spytała Jebra. - Powiedziałaś, że uzasadnienie jest całkiem proste?

Nicci skinęła głową.

- Ład naucza, że ten świat, świat życia, jest skończony. Życie jest przemijające. Rodzimy się, żyjemy jakiś czas i umieramy. Za to życie pozagrobowe jest wieczne. W końcu wszyscy wiemy, że ludzie umierają i że nikt nie powraca z tamtego świata. Śmierć jest wieczna. I dlatego to życie pozagrobowe jest ważne. Bractwo Ładu wpaja ludziom tę podstawową zasadę oraz nieustannie wbija im do głów, że każdy musi zasłużyć na wieczne życie w chwale Stwórcy. Życie na tym świecie to sposobność zasłużenia na wieczność, swego rodzaju próba.

Jebra zamrugła z niedowierzaniem.

- Ale przecież życie jest... bo ja wiem, życie to życie. Jak coś może być ważniejsze od twojego życia? - Złagodziła niedowierzanie uśmiechem. - To

na pewno nie przekona ludzi do brutalnych metod Ładu, nie przekona ich, żeby się odwrócili od życia.

- Życie? - Nicci pochyliła się nieco ku Jebra, spoglądając na nią gniewnie. - Nie obchodzi cię własna dusza? Nie sądzisz, że powinnaś się poważnie, żarliwie troszczyć o to, co przez całą wieczność będzie się dziać z twoją duszą?

- No, oczywiście, ja... - zaczęła Jebra i umilkła.

Nicci wyprostowała się i kpiąco, z lekceważeniem wzruszyła ramionami.

- Życie jest skończone, przemijające. Zatem jaką wagę może mieć ulotne życie na tym żalnym świecie w porównaniu z wiecznym życiem pozagrobowym? Czymże innym może być ta krótka egzystencja, jak nie próbą dla duszy?

Jebra najwyraźniej miała wiele wątpliwości, ale nie chciała się sprzeciwiać czarodziejce, kiedy ta przemawiała z takim patosem.

- I dlatego - dodała Nicci - poświęcanie się dla każdej niedoli, każdej potrzeby, każdego pragnienia bliźniego jest pełnym pokory przyznaniem, że wobec tego jedynym ważnym celem jest wieczność w chwale Stwórcy, na tamtym świecie. Tak? Poświęcając się, udowadniasz, że nie stawiasz świata ludzi ponad wiecznością, domeną Stwórcy. I dlatego poświęcanie się jest ceną, niewielką ceną, nędznym groszem, jaki płacisz za wieczną chwałę twojej duszy. Twoim świadectwem wobec Stwórcy, że jesteś godna wieczności u Jego boku.

Richard był zdumiony, spostrzegłszy, jak łatwo ten wywód - wygłoszony przez Nicci z przekonaniem, władczo i autorytarnie - onieśmielił Jebra i zmusił ją do milczenia. Jebra, słuchając górującej nad nią Nicci, zerknęła niekiedy na innych: Zedda, Careę, Shotę, a nawet Ann i Nathana. Nie zgłaszali sprzeciwu, nie przedstawiali kontrargumentów, więc zaczęła kulić ramiona i garbić się, jakby chciała zniknąć w szczelinie marmurowej posadzki.

- Jeżeli ograniczysz się do zapewnienia sobie szczęścia na tym świecie - Nicci, sunąc królewsko przed nimi, wdzięcznie uniosła ramię i wskazała otaczający ją świat - jeżeli odważysz się upajać bezsensownymi błahostkami tego nędznego świata, tej krótkiej, jałowej egzystencji, będzie to oznaczać, że odrzucasz tak ważne wieczne życie oraz wzniosłe zamysły Stwórcy wobec twojej duszy. Kim jesteś, by się sprzeciwiać Stwórcy całego uniwersum? Jak

śmiesz przedkładać własne małostkowe zachcianki co do twojego nieistotnego, nędznego żywota ponad doniosły zamiar Stwórcy, który chce przygotować cię na całą wieczność?

Nicci zamilkła i wyzywająco skrzyżowała ramiona na piersi. Dzięki wieloletniej indoktrynacji potrafiła z miazdzącą precyzją przedstawiać zręcznie wykoncypowane zasady Ładu. I dziwnym trafem różowa koszula nocna jedynie podkreślała jej lekceważenie banalności życia. Richard aż za dobrze pamiętał, jak Nicci wygłaszała do niego tę samą przemowę. Tyle że wtedy była śmiertelnie poważna. Jebra unikała przeszywającego spojrzenia czarodziejki, wpatrując się w złożone na podołku dłonie.

- Wielu żołnierzy Ładu musiało umrzeć - Nicci podjęła, przechadzając się - żeby zanieść nauki Ładu innym ludziom, na przykład mieszkańcom Galei. - Wzruszyła ramionami. - Ale ofiara z życia to największe poświęcenie w dziele niesienia światła tym, którzy jeszcze nie wiedzą, jak podążać jedyną słuszną i prawdziwą ścieżką ku chwale na tamtym świecie. Jeżeli ktoś poświęca życie w walce na rzecz Ładu, niosąc zbawienie zacofanym, ciemnym i mało ważnym ludziom, tym samym zapracowuje na wieczność ze Stwórcą na tamtym świecie. - Uniosła ramię obciążone różowym jedwabiem koszuli nocnej, jakby chciała wskazać coś cudownego, choć niewidocznego, bezpośrednio przed nimi. - Śmierć jest jedynie przejściem do świetlanej wieczności. - Opuściła rękę. - Ponieważ życie jednostki nie ma znaczenia wobec tego, co naprawdę ważne, jasne jest, że torturując i zabijając tych, którzy stawiają opór, pomagasz jedynie pchnąć masy pogan ku oświeceniu. Przynosisz tym rzeszom zbawienie, służysz dobrej sprawie, wprowadzasz dzieci Stwórcy do Jego królestwa. - Nicci stała się równie posępna jak słowa, które przed chwilą wypowiadała. - Ludzie, którym się to wpaja od urodzenia, zaczynają w to wierzyć z takim ślepym fanatyzmem, że ich zdaniem każdy, kto żyje według zasad odmiennych od nauk Ładu - innymi słowy, nie opłaca poświęceniem wiecznego zbawienia - zasługuje na całą wieczność niewyobrażalnych udręk w mrocznych, lodowatych otchłaniach domeny Opiekuna. Uważają, że to właśnie czeka taką osobę, jeśli nie zmieni swoich obyczajów. Jedynie nieliczni spośród dorastających w takiej indoktrynacji na tyle zachowują zdolność rozumowania, że potrafiliby znaleźć wyjście z tego zaczarowanego kręgu. Ale nawet tego nie chcą. Ich zdaniem radowanie się życiem, życie na własny rachunek to wymienianie

wieczności na przelotne i grzeszne igraszki, które nieuchronnie kończą się nie znającą kresu śmiercią. A skoro muszą zapomnieć o radościach tego życia, będą aż nazbyt skorzy do wypatrzenia tych wszystkich, którzy unikają poświęcania się, którzy nie żyją według kanonów Bractwa Ładu. Poza tym ujawnienie grzeszności innych jest uznawane za cnotę, gdyż pomaga zawrócić na drogę ku zbawieniu ludzi lekceważących swój moralny obowiązek. - Nachyliła się ku Jebrze i zniżyła głos do złowieszczygo syku: - Podobnie cnotą jest zabijanie niewiernych. Czyż nie? - Wyprostowała się. - Wyznawcy Ładu żarliwie nienawidzą tych, którzy nie wierzą w to samo co oni. W końcu Ład naucza, że niecni grzesznicy, którzy nie chcą się pokajać, są zwolennikami Opiekuna. A śmierć jest tym, na co tacy wrogowie sprawiedliwie zasługują. - Nicci rozpostarła ramiona w złowrogim geście. - Nie może być co do tego żadnej wątpliwości, bo przecież nauki Ładu to wola samego Stwórcy, a więc objawiona prawda.

Jebrze była wyraźnie zbyt zastraszona, żeby się sprzeciwić.

Za to Cara na pewno nie była.

- Czyżby? - powiedziała spokojnie, lecz hardo. - Coś mi się wydaje, że w tej beczce miodu jest łyżka dziegciu. Skąd oni to wszystko wiedzą? Skąd wiedzą, że tamten świat naprawdę jest taki, jak go opisują? - Splotła z tyłu dłonie i wzruszyła ramionami. - O ile wiem, nie odwiedzili świata zmarłych. Skąd niby mieliby wiedzieć, jak jest za zasłoną? Nasz świat jest światem życia, więc na tym świecie to życie jest ważne. Jakim prawem ośmielają się je umniejszać, czyniąc z naszego życia jedynie cenę za coś niepoznawalnego? Jak mogą głosić, że cokolwiek wiedzą o naturze innych światów? Chcę powiedzieć, że z tego, co ogólnie wiadomo, świat ducha mógłby się okazać jedynie przejściowym etapem ześlizgiwania się w nieistnienie śmierci. I skąd niby Bractwo Ładu mogłoby wiedzieć, że są to życzenia Stwórcy lub że w ogóle ma On jakieś życzenia? - Mord-Sith spochmurniała. - Skąd oni w ogóle wiedzą, że stworzenie świata to dzieło świadomego umysłu, który powołał do istnienia jakąś boską królewską rasę?

Jebrze najwyraźniej ulżyło, że ktoś się wreszcie sprzeciwił. Nicci uśmiechnęła się osobliwie i uniosła brew.

- I w tym cały problem. - Nie odwracając się, wyciągnęła ramię ku Ann stojącej w mrokach po drugiej stronie komnaty. - Na tej samej podstawie Ksieni i jej Siostry Światła twierdzą, że to ich wersja jest prawdziwa.

Prorocy, arcykapłani lub jakieś skromne, lecz ogromnie pobożne osoby usłyszały cichy szept Boga, miały zesłaną przez Niego uświęconą wizję albo też nawiedził je On we śnie. Istnieją nawet pradawne teksty zawierające rzekomo niepodważalną wiedzę o tym, co się znajduje za zasłoną. Taki przekaz jest głównie zbiorem podobnych pogłosek, wizji i snów, które w odległej przeszłości uznano za fakty i które stały się „niezbite” tylko dlatego, że są tak stare. I jak mamy zweryfikować prawdziwość takiego świadectwa? - Wykonała zamaszty gest. - Przecież kwestionowanie takich spraw jest największym ze wszystkich grzechem: brakiem wiary! Ich zdaniem już samo to, że niepoznawalne jest niepoznawalne, nadaje wierze wartość i czyni ją nienaruszalną. Bo w końcu jaki walor miałaby wiara, gdybyśmy mogli poznać to, w co wierzymy? Osoba, która potrafi zachować wiarę, nie mając na te sprawy żadnego dowodu, z definicji powinna być zupełnie bezgrzeszna. Dlatego też jedynie ci, którzy z niezachwianej opoki sprawdzalnego z ufnością i wiarą rzucają się w bezkres nieuchwytnego, są cnotliwi, prawi i godni wiekuiestej nagrody. To jakby ci kazano skoczyć ze skały i uwierzyć, że możesz latać, lecz nie mogłabyś machać rękami, bo to jedynie zdradziłoby zasadniczy brak wiary, każde zachwianie wiary zaś nieuchronnie spowodowałoby, że polecisz na ziemię, dowodząc w ten sposób, że brak wiary jest twoim, i to fatalnym w skutkach, grzechem. - Czarodziejka odgarnęła z ramion jasne włosy i z westchnieniem opuściła ręce. - Im trudniej pojąć takie nauki, tym głębszej wiary wymagają. Żarliwszej, ślepej wierze towarzyszy ściślejsza więź z tymi, którzy ją dzielają, silniejsze poczucie przynależności do wyróżnionej grupy oświeconych. Wierzący, ponieważ ich religia jest tak ostentacyjnie mistyczna, jeszcze bardziej odsuwają się od „nieoświeconych”, od tych, którzy są podejrzani, gdyż nie chcą przyjąć wiary. Określenie „niewierzący” staje się ogólnie przyjętą formą potępienia i piętnuje każdego, kto - Nicci postukała palcem w skroń - nie chce zrezygnować z posługiwania się rozumem. Wiara to istotny element: magiczna różdżka, którą machają nad sporządzoną przez siebie miksturą, żeby uczynić ją czymś „bezdiskusyjnym” i „niepodważalnym”.

Ann, patrząc z gniewną pogardą na Siostrę Światła - zdrajczynię sprawy, nie zaprotestowała. Richard pomyślał, że w jej przypadku to wyjątkowa decyzja, a w owej chwili szczególnie rozsądna.

- I to właśnie - oznajmiła Nicci, machając palcem i przechadzając się boso - jest rysą na imponującej konstrukcji nauk Ładu. To jest skazą wszystkich wierzeń wydumanych przez ludzi. Bo w końcu wszystko to, choć może i szczerze, nie jest bardziej konkretne niż wymyślne twory fantazji i oszukiwania siebie. Ostatecznie bowiem, jeżeli brakuje oparcia w rzeczywistości, chora na umyśle, słysząca głosy osoba, jest równie szczerą i równie wiarygodną. To dlatego Ład sławi świętość wiary i naucza, że człowiek powinien się wyzbyć grzesznej chęci posługiwania umysłem i podporządkować się uczuciom. A kiedy już podporządkujesz swoje życie ich ślepej wierze w tamten świat, głoszą, że wtedy i tylko wtedy otworzą się przed tobą drzwi do wieczności i pojmiesz wszystko. Innymi słowy, wiedzę zdobywa się wyłącznie przez odrzucenie wszystkiego, co tak naprawdę się na nią składa. Właśnie dlatego Ład utożsamia wiarę ze świętością i dlatego jej brak uznawany jest za grzech. I dlatego nawet dociekliwość w sprawach wiary uważa się za herezję. Bo bez wiary wszystkie ich nauki tracą sens, wali się cała misterna konstrukcja. A skoro wiara to nieodzowne spoiwo, które umacnia chwiejną konstrukcję przekonań, w końcu prowadzi do okrucieństwa. Jest tak, gdyż wiara, której nie chroni przemoc, okazuje się jedynie fantazyjnym urojeniem lub złudnym przekonaniem królowej, że nikt nie porwie się na jej tron, że żaden wróg nie przekroczy granic, żadna siła nie pokona jej obrońców, jeżeli ona tego zwyczajnie zabroni. W końcu nie muszę cię zastraszać, żebyś pojęła, że woda w tej fontannie jest mokra lub że ściany tej komnaty są kamienne. Za to Ład musi zastraszać ludzi, by uwierzyli, że wieczność bez życia będzie nieskończenie wspaniała, lecz tylko wtedy, gdy w tym życiu zrobią, co im się każe.

Nicci patrzyła gniewnie na znieruchomiłe wody fontanny, a Richard pomyślał, że jej błękitne oczy mogłyby zamienić je w lód. Lodowaty gniew widoczny w jej oczach zrodził się z tego, co widziała w swoim życiu, a o czym on nawet nie miał pojęcia. Już samo to, z czego zechciała mu się zwierzyć w mroczne i spokojne wieczory, było wystarczająco okropne.

- O wiele łatwiej skłonić ludzi, by umierali za twoją sprawę, jeżeli najpierw sprawisz, że zapragną śmierci - powiedziała gorzko Nicci. - O wiele łatwiej skłonić chłopców, by wystawiali pierś na strzały i miecze, jeżeli będą wierzyć, że to altruistyczny czyn, dzięki któremu Stwórca się uśmiechnie i przyjmie ich do wiekuistej chwały na tamtym świecie. Kiedy Ład przemieni

już ludzi w fanatycznych wiernych, to tak naprawdę zrobi z nich potwory, które nie tylko umrą za sprawę, ale i za nią zabiją. Fanatycznych wiernych trawi nieprzejednana nienawiść do tych, którzy nie wierzą. Nie ma niebezpieczniejszej, brutalniejszej i bardziej bezwzględnej osoby niż zaślepiona wierzeniami Ładu. Takiej osoby nie ukształtowały rozum i rozsądek, więc nie mają one nad nią żadnej władzy. W rezultacie nie istnieje też żaden mechanizm temperowania tej nienawiści. Są to mordercy, którzy z rozkoszą zabijają dla sprawy, wspierani świadomością, że postępują słusznie i sprawiedliwie.

Nicci tak zacisnęła pięści, że aż zbieleły jej knykcie. W komnacie zapadła nagle przeraźliwa, dzwoniąca cisza, a słowa czarodziejki nadal rozbrzmiewały w głowie Richarda. Pomyślał, że otaczająca ją aura mocy mogłaby wywołać w westybulu burzę z piorunami.

- Jak mówiłam, uzasadnienie jest całkiem proste. - Nicci potrząsnęła głową w gorzkiej rezygnacji, poruszona tą posępną opowieścią. - Większość mieszkańców Starego Świata, a teraz i Nowego, nie ma wyboru. Muszą się kierować naukami Ładu. Jeżeli ich wiara słabnie, przypomina im się surowo o niewypowiedzianych wiekuistych mękach, które czekają niewiernych. A jeżeli to nic nie daje, wpaja im się wiarę mieczem.

- Ale musi być jakiś sposób, który pozwoli uratować tych ludzi - odezwała się wreszcie Jebra. - Czyż nie można ich jakoś skłonić do opamiętania i odrzucenia nauk Ładu?

Nicci odwróciła od niej wzrok i zapatrzyła się przed siebie.

- Od urodzenia wychowywano mnie zgodnie z naukami Ładu, a odzyskałam rozsądek. - Wciąż zapatrzona w mroczne wspomnienia umilkła na chwilę, jakby na nowo przeżywała nieskończenie długą walkę o uchwycenie się życia, o wyrwanie się ze szponów Ładu. - Ale nie potrafisz sobie wyobrazić, jak strasznie ciężko było mi się uwolnić od tych mrocznych wierzeń. Wątpię, by ktoś, kto nie żył w świecie przytłoczonym naukami Ładu, potrafił pojąć, jak to jest wierzyć, że życie nie ma wartości, czy zrozumieć, jaki strach ogarnia cię za każdym razem, gdy usiłujesz się odwrócić od tego, co według wpajanych ci nauk jest jedyną drogą do zbawienia. - Zwróciła zażawione oczy ku Richardowi.

Wiedział. Był tam. Wiedział, jak to jest.

- Ocalałam - wyszeptała łamiącym się głosem - ale to było bardzo trudne.

Jebra wyraźnie nabrała otuchy po tych słowach, chociaż Richard wiedział, że źle je zrozumiała.

- Ale skoro tobie się udało, to może i pozostałym się uda.

- Ona jest inna niż większość otumanionych naukami Ładu - rzekł Richard, patrząc w błękitne oczy Nicci, które zdradzały, ile dla niej znaczył. - Kierowała nią chęć zrozumienia. Pragnęła się dowiedzieć, czy to, czego ją nauczono, jest prawdą czy też w życiu jest coś więcej, czy jest coś, dla czego warto żyć. Większość uczniów Ładu nie ma takich wątpliwości. Tłumią tego rodzaju pytania i jeszcze uporczywiej czepiają się swoich wierzeń.

- Ale dlaczego uważasz, że się nie zmienią? - Jebra najwyraźniej nie zamierzała porzucić wątlej nadziei. - Skoro Nicci się zmieniła, to czemu i inni nie mogliby się zmienić?

Richard, nadal patrząc w oczy Nicci, odparł:

- Uważam, że potrafią stłumić wszelkie wątpliwości co do swoich przekonań, ponieważ one tak głęboko w nich zapadły, że nie widzą już w nich pojęć, które im wbito do głów. Owe wpojone im idee stają się odczuciami, które z kolei przekształcają się w wierzenia o potężnym ładunku emocjonalnym. Uważam, że na tym polega cała sprawa. Są całkowicie pewni, że to ich myśli, a nie cudze idee, które im wpajano, gdy dorastali.

Nicci odkaszlnęła, odwróciła wzrok od oczu Richarda i ponownie zajęła się Jebra.

- Uważam, że Richard ma rację. Zdawałam sobie sprawę, że jest to włączone w moje rozumowanie, byłam świadoma tego wewnętrznego przekonania, które w gruncie rzeczy powstało wskutek przemyślnie zaplanowanych nauk. Pewni ludzie, potajemnie ceniący życie, przyłączają się do rewolty, jeśli zobaczą, że istnieje realna szansa na zwycięstwo. Tak właśnie stało się w Altur'Rang. Ale jeśli takiej szansy nie ma, wiedzą, że muszą powtarzać słowa, które chcą usłyszeć zwolennicy Ładu, bo inaczej grozi im utrata tego, co dla nich najcenniejsze: życia. Pod władzą Ładu wierzysz w to, czego uczą, albo umierasz. Prosta sprawa. Są w Starym Świecie ludzie próbujący połączyć siły tych, którzy się chcą zbuntować, próbujący rozpalic ogień wolności dla tych, którzy chcą skorzystać z okazji zdobycia kontroli nad własnym losem. Czyli są tacy, którzy prawdziwie chcą wolności i postarają się ją zdobyć. Jagang także wie o tych staraniach i wysłał

wojska, żeby stłumić ogniska buntu. Jednak aż za dobrze wiem, że większość mieszkańców Starego Świata nigdy z własnej woli nie wyzbędzie się tych wierzeń. Uważają, że byłby to grzech. Pomogą w bezlitosnym stłumieniu każdego buntu. W razie potrzeby będą się trzymać swojej wiary aż po grób. Ci...

Shota gniewnie uniosła rękę, uciszając Nicci.

- Tak, tak. Jedni zechcą, inni nie. Dużo słów, mało treści. To bez znaczenia. Nie ma co liczyć na rewoltę. To daremne czekanie na ratunek, który ma nadejść nie wiadomo skąd. Rzesze żołnierzy ze Starego Świata są teraz tutaj, w Nowym Świecie, więc to o Nowy Świat powinniśmy się martwić, a nie o Stary i nie o to, czy będzie tam klimat do buntu czy nie. Większość Starego Świata wierzy w Ład, wspiera Ład i zachęca Ład do podbicia reszty świata. - Zbliżyła się posuwicie i znacząco spojrzała na Richarda. - Jedyne rozwiązanie na to, żeby cywilizacja przetrwała, to odesłać żołnierzy Ładu do ich wytęsknionej wieczności na tamym świecie. Nie ma odwrotu dla tych, którzy pragną umrzeć za swoją wiarę. Ład i jego nauki można powstrzymać tylko po wybicciu takiej ich rzeszy, żeby nie byli w stanie tego kultywować.

- Cierpienie potrafi zmienić ludzkie umysły - odezwała się Cara. Shota z aprobatą skinęła głową ku Mord-Sith.

- Jeżeli naprawdę pojmą, że nie zwyciężą, że ich wysiłki prowadzą do pewnej śmierci, to może niektórzy z nich odrzucą swoje wierzenia i sprawę. Równie dobrze może się okazać, że mimo wiary w nauki Ładu, w gruncie rzeczy jedynie nieliczni chcą umrzeć, żeby się przekonać o ich prawdziwości. Ale co z tego? Czy to naprawdę ma dla nas znaczenie? Jedno wiemy na pewno: że bardzo wielu z nich to fanatycy z radością idący na śmierć. Setki tysięcy już zginęły, udowadniając, że naprawdę są gotowi na tę ostateczną ofiarę. Resztę tych żołnierzy należy zabić, bo inaczej to oni nas wszystkich zabiją i skażą cały świat na powolne osuwanie się w barbarzyństwo. Oto, przed czym stoimy. Taka jest prawda.

Rozdział 16

Shota spojrzała zapalczywie na Richarda.

- Jebra opowiedziała ci, do czego doprowadzą ci żołnierze, jeżeli ich nie powstrzymasz. Uważasz, że oni w ogóle zastanawiają się nad wartością swego życia? Lub że przyłączyliby się do buntu przeciwko Ładowi, gdyby im dać po temu okazję? Wątpię. Jestem tutaj, żeby pokazać ci, co już się stało losem wielu, żebyś zrozumiał, co czeka wszystkich innych, jeżeli nie zrobisz czegoś, żeby położyć temu kres. Nie naszą sprawą jest dokładne zrozumienie, co ukształtowało żołnierzy Ładu, jakie wybory skłoniły ich do niszczenia życia niewinnych ludzi i jakie były powody ich wyborów. Są, czym są. Asą niszczycielami i zabójcami. I są tutaj. Teraz tylko to ma znaczenie. Należy ich powstrzymać. Kiedy zginą, przestaną być zagrożeniem. Prosta sprawa.

Richard zastanawiał się, jak, u licha, jej zdaniem ma załatwić taką „prostą” sprawę. Równie dobrze mogłaby go poprosić, żeby zdjął z nieba księżyc i zmiażdżył nim armię Imperialnego Ładu.

Nicci jakby czytała w jego myślach.

- Wszyscy się z tobą zgadzamy, z każdym słowem, które wypowiedziałaś - rzekła. - Wcale nie musiałaś nam mówić tego, co już wiemy, jakbyś nas uważała za dzieci i sądziła, że jedynie ty jesteś rozsądna. Ale nie rozumiesz, o co prosisz. Armia, którą widziała Jebra, a która wdarła się do Galei, z taką łatwością przełamała galejską obronę i zabiła tak wielu ludzi, jest zaledwie pomniejszą i raczej mało znaczącą jednostką Imperialnego Ładu.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - odezwała się Jebra. Nicci wreszcie odwróciła gniewny wzrok od Shoty i popatrzyła na nią.

- Widziałaś jakieś osoby z darem?

- Z darem? Nie, raczej nie - odparła Jebra po krótkim namyśle.

- To dlatego, że dowództwo nie widzi potrzeby przydzielania im takich osób - stwierdziła Nicci. - Gdyby były z nimi osoby mające dar, Shota nie zdołałaby tak łatwo się tam dostać i wyprowadzić cię. Ale nie mieli nikogo z darem. Są względnie niewielką jednostką i uznano, że można spisać ich na straty. Dlatego tak długo muszą czekać na zaopatrzenie. Całe dostawy idą najpierw na północ, do najważniejszej armii Jaganga. Dopiero kiedy tamci

mają wszystko, czego im potrzeba, pozwalają wysłać zaopatrzenie do innych jednostek, takich jak ta w Galei. To tylko jeden z korpusów ekspedycyjnych Jaganga.

- Ale ty nie rozumiesz. - Jebra się podniosła. - Są wielką armią. Byłam tam. Widziałam ich na własne oczy. - Tarła dłonią o dłoń, wodząc wzrokiem po wszystkich w westybulu. - Byłam tam. Pracowałam dla nich całymi miesiącami. Widziałam, jak są liczni. Jak mogłabym nie dostrzec wielkości tej armii? Opowiadałam wam o ich wyczynach.

Nicci, nie przekonana, potrząsnęła głową.

- Są niczym.

Jebra zwilżyła wargi, przygnębiona.

- Może zbyt słabo się starałam, opisując to wszystko, może niezbyt przekonująco mówiłam, jak wielu żołnierzy Ładu wdarło się do Galei. Przykro mi, że nie potrafiłam wam uzmysłowić, z jaką łatwością rozgromili gotowych na wszystko obrońców.

- Bardzo dobrze się spisałaś, dokładnie opowiadając o tym, co zobaczyłaś - powiedziała łagodniej Nicci, pokrzepiająco ściskając ramię kobiety. - Ale widziałaś zaledwie wycinek całości. Siły, które widziałaś, choć na pewno budzące przerażenie, są niczym w porównaniu z całością. I wcale nie przygotowało cię to na widok głównej armii prowadzonej przez Jaganga. Spędziłam wiele czasu w głównym obozie imperatora. Wiem, o czym mówię. Armia, którą widziałaś, wcale nie jest imponująca w porównaniu z głównymi siłami.

- Ma rację - odezwał się posepnie Zedd. - Przykro mi, że muszę to przyznać, ale ona ma rację. Główna armia Jaganga jest o wiele potężniejsza od tej, która najechała Galeę. Starałem się spowolnić ich marsz przez Midlandy, kiedy stopniowo sychali nas ku Aydindril, więc wiem. Kiedy się widzi, jak nadciągają, to jakby się obserwowało nieprzeliczone zastępy sługusów zaświatów zalewające świat istot żywych.

Czarodziej stał nieporuszony w skromnych szatach u szczytu pięciu stopni, obserwując i słuchając, co mówią inni. Jednak Richard wiedział, że jego dziadek wcale nie jest obojętny wobec tego wszystkiego. Zedd często wysłuchiwał, co inni mają do powiedzenia, zanim się odezwał. A tu nie musiał korygować niczyich słów.

- Skoro wojska Ładu w Galei nie miały nikogo z darem - powiedziała

Jebra - to może moglibyście posłać tam takich ludzi, by je wyeliminowali. Może zdołalibyście dzięki temu ocalić tych biedaków, którzy jeszcze żyją i którzy tak wiele wycierpieli. Przynajmniej dla części z nich jeszcze nie jest za późno.

Richard pomyślał, że tak naprawdę ona pyta, choć boi się to głośno powiedzieć, dlaczego którekolwiek z tu obecnych nie zrobiło nic, by powstrzymać rzeź, której była świadkiem, skoro na Galeę uderzyła pomniejsza jednostka pozbawiona ludzi z darem. Za swoich hartlandzkich czasów pewnie też żywiłby urazę i był zły na tych, którzy nic nie zrobili, żeby tamtych ocalić. Ale teraz miał dręczącą świadomość wszystkiego, co się za tym kryje.

Nicci pokręciła głową, odrzucając pomysł Jebry.

- To nie takie łatwe, jak się wydaje. Osoby mające dar mogłyby zlikwidować bardzo wielu żołnierzy wroga i na jakiś czas spowodować zamęt, lecz nawet ten korpus ekspedycyjny jest wystarczająco liczny, by przetrwać każdy atak mających dar. Zedd na przykład mógłby ogniem czarodzieja wykosić szeregi żołnierzy, ale gdyby przestał wyczarowywać ten ogień, wróg posyłałby na niego jedną falę żołnierzy za drugą. Mogliby stracić mnóstwo ludzi, ale ich nie zniechęcają nawet olbrzymie straty. Nacieraliby. Rzucaliby do walki coraz więcej żołnierzy. Bez względu na to, ilu by ich zginęło, wkrótce obezwładniliby nawet kogoś tak uzdolnionego jak Pierwszy Czarodziej. I co wtedy? Nawet grupka łuczników może zabić osobę z darem.

- Popatrzyła na Richarda. - Wystarczy, że jedna strzała trafi w cel, a mający dar umrze jak każdy inny.

Zedd rozłożył ramiona sfrustrowany.

- Obawiam się, że Nicci ma rację. W końcu Ład i tak by się tam znalazł i zrobił to samo, choćby miał mniej żołnierzy. A my moglibyśmy zostać bez tych osób z darem, które byśmy przeciwko nim wysłali. Oni mogą uzupełnić straty napływającymi niemal bez końca posiłkami, za to nam nie napłynęłyby z pomocą rzesze mających dar. Choć może się to wydawać okrutne, naszą jedyną szansą nie jest utrata życia w walce, która nie może się zakończyć zwycięstwem, lecz wymyślenie czegoś, co naprawdę okaże się skuteczne.

Richard bardzo chciałby wierzyć, że istnieje jakieś rozwiązanie, jakiś plan, który miałby szanse powodzenia. Ale nie sądził, by mogli zrobić coś

więcej, niż spowolnić nadejście końca.

Jebra skinęła głową, tracąc resztkę nadziei. Głębokie bruzdy na policzkach i kurze łapki w kącikach błękitnych oczu sprawiały, że wyglądała na starszą, niż - zdaniem Richarda - była. Ramiona miała nieco przygarbione, dłonie szorstkie i zgrubiałe od ciężkiej pracy. I choć żołnierze Ładu jej nie zabili, pozbawili ją witalności i na zawsze naznaczili tym, co przeżyła, i tym, czego wbrew swej woli musiała być świadkiem. A iluż było takich jak ona, żyjących, ale na zawsze skazanych na brutalność i okrucieństwo najeźdźców, cieni dawnych ludzi, niby żywych, lecz właściwie martwych?

Richard był zszokowany. Nie mógł uwierzyć, że Shota sprowadziła tu Jebra, żeby ta przekonała go, jaki okropny jest Ład. Przecież on już wiedział, jacy są okrutni, jakie stanowią zagrożenie. Prawie rok mieszkał w Starym Świecie, pod bezwzględnyymi rządami Ładu. Był tam, kiedy wybuchła rewolta w Altur'Rang. Opowieść Jebry, naoczego świadka, jedynie potwierdziła to, co już wiedział: że nie mają najmniejszej szansy przeciwko Jagangowi i wojskom Imperialnego Ładu. Całe imperium D'Hary mogłoby prawdopodobnie powstrzymać tę część wrogich wojsk, która wdarła się do Galei... i była niczym w porównaniu z główną armią Imperialnego Ładu.

Kiedy poznał Kahlan, walczył o powstrzymanie zagrożenia, jakim był dla wszystkich Rahl Posępny. Chociaż było bardzo ciężko, Richard zdołał położyć temu kres, eliminując władcę D'Hary. Wiedział jednak, że teraz jest inaczej. Rozumiał, że - choć tak nienawidzi Jaganga - nie powinien myśleć o tym jako o rozstrzygającej bitwie. Bo choćby nawet udało mu się zabić Jaganga, nie wyeliminowałoby to zagrożenia ze strony Imperialnego Ładu. Do działania popychały ich niewzruszone, nieugięte zasady, a nie ambicje jednego człowieka. I dlatego brakowało nadziei.

Wizja Shoty - to, co ujrzała w strumieniu czasu jako pozbawioną nadziei przyszłość świata, gdyby nie udało im się powstrzymać Imperialnego Ładu - zdaniem Richarda nie wymagała jakichś wielkich umiejętności czy daru jasnowidzenia. Nie musiał być prorokiem, by dostrzec, jak ogromne zagrożenie stanowi Imperialny Ład. Jeżeli się ich nie powstrzyma, zawładną światem. W tej sprawie Jebra nie powiedziała mu nic nowego, nie powiedziała o niczym, o czym by już nie wiedział.

Richard aż za dobrze rozumiał, że gdy w takiej sytuacji wojska imperium

D'Hary zetrą się w końcu z armią Jaganga w rozstrzygającej bitwie, wszyscy ci dzielni żołnierze, jedyna przeszkoda na drodze Ładu, polegną. I wtedy nikt już nie stawi oporu Imperialnemu Ładowi. Będą się srożyć, niepowstrzymani, i wreszcie zapanują nad światem.

Shota na pewno nie jest głupia, więc musiała to wszystko wiedzieć i zdawać sobie sprawę, że i on wie.

Zatem dlaczego właściwie tu jest? - zastanawiał się Richard.

Choć przerażająca opowieść Jebry o tym, co widziała, wprawiła go w ponury nastrój, uważał, że wiedźma musiała mieć inny powód, by złożyć mu tę wizytę.

Opowieść Jebry nie tylko udręczyła Richarda, ale i wzbudziła w nim gniew. Odwrócił się i zapatrzył w znieruchomiłe wody fontanny. Czuł, jak ogarnia go straszliwe przygnębienie. Cóż mógłby zrobić? Czuł, że to i wszystkie walące się na nich kłopoty wypychają Kahlan z jego myśli, oddalają ją od niego. Czasem wydawała mu się tak mało rzeczywista. Nie cierpiał takich myśli. Innym razem - kiedy wspominał jej mądrość; jej uśmiech, gdy opierała nadgarstki na jego barkach, splatała palce na jego karku i patrzyła nań; jej piękne zielone oczy; jej cichy śmiech; jej dotknięcie; przeznaczony wyłącznie dla niego uśmiech - bardziej przypominała fantom istniejący wyłącznie w jego wyobraźni.

Sama myśl o tym, że Kahlan jest nierzeczywista, przyprawiała go o lodowate dreszcze. Przez długi, mroczny czas żył z tym paralizującym strachem. Okropnie było samemu wierzyć w to, że ona istnieje, wątpić, czy się jest przy zdrowych zmysłach. Ale wreszcie odkrył prawdę o zaklęciu chainfire i przekonał innych, że Kahlan istnieje. Teraz miał przynajmniej ich wsparcie.

Richard wziął się w garść. Kahlan nie jest fantomem. Musiał wymyślić, jak uwolnić ją z łap Siostry Ulicii i pozostałych Sióstr Mroku. Myśl o Kahlan więzionej przez bezlitosne Siostry przyprawiała go o taką udrękę, że czasem nie mógł znieść zastanawiania się, jakie okropne rzeczy mogą one robić kobiecie, która jest jego całym światem, którą kocha nad życie... a mimo to nie mógł myśleć o niczym innym.

I chociaż Shota uważała, że powinien postąpić tak, a nie inaczej, Richard musiał pamiętać nie tylko o Kahlan tkwiącej w sieci zaklęcia chainfire, ale i o innych zagrożeniach: o będących w grze szkatułach Ordenu i o szkodach

wyrządzonych przez demony. Nie mógł o tym wszystkim zapomnieć tylko dlatego, że zjawiała się wiedźma, by poinformować go, co jej zdaniem powinien zrobić. Zresztą Shocie mogło tak naprawdę chodzić o coś zupełnie innego. Mogła mieć jakieś tajne zamiary związane z tą drugą wiedźmą, Six. Nie wiadomo, co właściwie Shota knuła.

Ale i tak Richard, podobnie jak Kahlan, nabrał dla wiedźmy szacunku, mimo że nie do końca jej ufał. Choć Shota często była sprawcą kłopotów, to niekoniecznie dlatego, że rozmyślnie chciała mu zrobić przykrość. Niekiedy pragnęła mu pomóc, a w innych wypadkach była posłanką prawdy. I chociaż zawsze mówiła mu prawdę o tym, co zobaczyła, owe sprawy niemal za każdym razem dopełniały się w sposób, którego nie przepowiedziała... a przynajmniej którego nie ujawniła. Jak często mawiał Zedd, wiedźma nigdy nie powie ci tego, co chcesz wiedzieć, nie dodając przy okazji tego, o czym wolałbyś nie wiedzieć.

Gdy po raz pierwszy zobaczył wiedźmę, przepowiedziała mu, że Kahlan porazi go swoją mocą i że powinien ją zabić, by temu zapobiec. Jak się okazało, Kahlan istotnie dotknęła go mocą Spowiedniczki, ale dzięki temu mógł oszukać Rahla Posępnego i pokonać go. Shota mówiła prawdę, lecz wszystko przebiegło zupełnie inaczej, niż przepowiedziała. Tak więc choć w gruncie rzeczy mówiła prawdę, gdyby poszedł za jej radą, Rahl Posępny zachowałby życie i uwolnił moc Ordenu, po czym władał nimi wszystkimi, a przynajmniej tymi, którzy by przeżyli.

Na dzień pamięci kryła się przepowiednia Shoty, że jeśli Richard poślubi Kahlan, to urodzi ona dziecko, które okaże się potworem. Pobrali się. Na pewno i tak przepowiednia nie spełniłaby się według słów Shoty. Kahlan z pewnością nie urodziłaby potwora.

To Zedd się w końcu odezwał, wyrrywając Richarda z zadumy.

- Co się stało z królową Cyrilla?

W westybulu na pewien czas zapadła głucha cisza, a potem Jebra odpowiedziała:

- Stało się to, co ujawniła mi wizja. Oddano ją najniższym rangą żołnierzom, żeby się zabawiali, jak tylko zechcą. Aż się palili do swojej zdobyczy. Bardzo źle się to dla niej skończyło. Spełniły się jej najgorsze obawy.

Zedd przekrzywił głowę, najwyraźniej uważając, że to nie koniec

opowieści.

- Zatem wtedy widziałaś ją ostatni raz? Jebra splotła przed sobą dłonie.

- Nie. Pewnego dnia, kiedy pospiesznie niosłam półmisek ze świeżo upieczoną wołowiną, natknęłam się na hałaśliwą grupę żołnierzy grających w grę, którą wojska Imperialnego Ładu uwielbiały oglądać. Były dwie drużyny oraz widzowie, którzy ich zagrzewali do walki. Wszyscy zakładali się, która drużyna wygra. Nie wiem, co to była za gra...

- Ja'La - odezwała się Nicci, a kiedy Jebra na nią popatrzyła, dodała: - Ta gra to Ja'La. W teorii to pokaz zręczności, siły i strategii, w praktyce zaś, wskutek reguł obowiązujących graczy Ładu, Ja'La jest oczywiście tym wszystkim plus brutalność. Ja'La to ulubiony sport Jaganga. Ma własną drużynę. Pamiętam, że kiedyś przegrali mecz. Cały zespół skazano na śmierć. Imperator wkrótce miał nową drużynę, złożoną z najlepszych, najtwardszych i najbardziej krzepkich graczy, jakich udało się znaleźć. Nie przegrali. Pełna nazwa gry to Ja'La dh Jin. W ojczystym języku Jaganga oznacza to „Gra o życie”.

Jebra ściągnęła brwi.

- Tak... chyba sobie przypominam, że słyszałam, jak nazywają to Ja'La. Zawsze grali ciężką piłką. Na tyle ciężką, że mogła połamać graczom kości.

- Piłkę nazywają brok - rzekł Richard, nie odwracając się.

Nicci spojrzała na niego.

- Racja.

- A owego dnia - podjęła Jebra - kiedy niosłam półmisek dowódcom, musiałam pójść tam, gdzie toczyła się gra. Obserwowały ją tysiące żołnierzy. Skierowano mnie na niewielką trybunę dla dowódców i musiałam przejść wśród wiwatujących tłumów. To było okropne. Żołnierze widzieli w mojej wardze żelazny pierścień niewolnicy, więc żaden nie odważył się zawlec mnie do namiotu, ale nie przeszkodziło im to mnie dotykać. - Wbiła wzrok w posadzkę. - Dość często musiałam znosić coś takiego. - Wreszcie podniosła wzrok. - Gdy dotarłam do dowódców, w pobliżu pola gry, przekonałam się, że rozpoczynający nową rozgrywkę nie używają zwykłej piłki. - Odkasznęła. - Za piłkę mieli głowę królowej Cyrilli. - Zdecydowała się przerwać krępującą ciszę. - Tak czy inaczej, życie w Galei na zawsze się zmieniło. Tam, gdzie kiedyś było centrum handlu, teraz jest rozległe wojskowe obozowisko, skąd wychodzą uderzenia na niektóre wolne jeszcze obszary Nowego Świata.

Gospodarstwa, w których pracują niewolnicy, nie wytwarzają tyle co niegdyś. Plony niszczeją albo są niskie. Rzesze żołnierzy w Galei mają ogromne potrzeby. Zawsze trudno o żywność, ale regularne dostawy ze Starego Świata utrzymują wojska w takiej formie, by mogły walczyć. Dzień i noc pracowałam jako niewolnica dla dowódców Imperialnego Ładu. I po tamtej, dotyczącej królowej Cyrilli, nigdy już nie miałam wizji. Dziwnie się bez nich czułam. Miałam je całe życie, ale po tej okropnej wizji o królowej Cyrilli sprzed paru lat żadna się już nie pojawiła. Jakbym straciła dar widzącej. Moje widzenie zasnuł mrok.

Ze spojrzenia Nicci Richard wywnioskował, że ona wie, o czym on myśli.

- W końcu - powiedziała Jebra - pewnego dnia ktoś mnie wyrwał spośród tych wojsk. To Shocie jakoś udało się mnie wydostać. Nie bardzo wiem, jak to się stało. Przypominam sobie tylko, że była tam ze mną. Zaczęłam o coś pytać, ale powiedziała, żebym zamknęła buzię i zaczęła iść. Pamiętam, że raz się odwróciłam, żeby popatrzeć, i zobaczyłam wojska stojące obozem w dolinie i na wzgórzach, ale były daleko za nami. Naprawdę nie wiem, jak to się stało, że byliśmy tak daleko. - Ze ściągniętymi brwiami przywoływała mgliste wspomnienia. - Po prostu szliśmy. I jestem tutaj. Ale już w niczym wam nie pomogę, skoro moje widzenie zasnuł mrok.

Richard uznał, że powinna znać prawdę, więc jej powiedział.

- Twoje widzenie pewnie dlatego zasnuł mrok, że kilka lat temu przez jakiś czas były na tym świecie demony. Zostały przepędzone do zaświatów, ale szkoda już się stała. Uważam, że obecność demonów w świecie istot żywych zapoczątkowała zanikanie magii.

I prawdopodobnie dlatego zniknął twój dar. A gdyby nawet twoje wizje częściowo lub na pewien czas wróciły, w końcu zapewne całkowicie znikną.

Jebnę zaszokowały te nowiny.

- Całe życie często żałowałam, że się urodziłam z darem widzącej. Bo właściwie zrobił ze mnie wyrzutka. Częstokroć płakałam nocami, pragnąc się uwolnić od wizji, pragnąc, żeby mnie zostawiły w spokoju. Ale kiedy powiedziałaś mi, że moje życzenie się spełniło, stwierdziłam, że tak naprawdę nigdy nie było ono szczere.

- I w tym cały problem z życzeniami - rzekł z westchnieniem Zedd. - Zazwyczaj...

- Demony? - przerwała czarodziejowi Shota. Po jej minie i tonie głosu

Richard zorientował się, że nie ma ochoty słuchać o życzeniach. - Jeżeli to prawda, to dlaczego nie ma na to innych dowodów?

- I owszem, są - odparł Richard, poruszając ramieniem. - Przez ostatnie parę lat nie widziano niektórych magicznych istot, na przykład smoków.

- Smoków? - Wiedźma owinęła wokół palca długi pukiel falistych włosów i przez chwilę w milczeniu przyglądała się chłopakowi. - Niektórzy ludzie ani razu w życiu nie widzą smoka, Richardzie.

- A zniknięcie wizji Jebry? Zniknęły po pobycie demonów w naszym świecie. Jej dar, podobnie jak wiele innych uzależnionych od magii rzeczy, wygasa. Jestem przekonany, że o większości takich strat nawet nie wiemy.

- Ja bym o nich wiedziała.

- Niekoniecznie. - Richard odgarnął włosy z czoła. - Cały problem w tym, że chainfire, o którym po raz pierwszy usłyszałem właśnie od ciebie, to zaklęcie rzucone przez cztery Siostry Mroku, żeby wszyscy zapomnieli o Kahlan. Demony skaziły je, więc ludzie zapominają nie tylko o Kahlan, ale i o innych sprawach, na przykład o smokach.

Shota ani trochę nie wyglądała na przekonaną.

- I tak wiedziałabym o takich sprawach, bo płyną one ze strumieniem czasu.

- A co z tą drugą wiedźmą, z Six? Wydawało mi się, że mówiłaś, iż ona neutralizuje twoją zdolność widzenia strumienia czasu.

Shota zignorowała jego pytanie i odwinęła z palca pukiel kasztanowych włosów. Skrzyżowała ramiona na piersi. Nie odrywała od Richarda migdałowych oczu.

- Jeżeli mrok Ładu ogarnie ludzkość, żadna z tych spraw i tak nie będzie miała znaczenia, czyż nie? Położą kres całej magii, zabiją całą nadzieję.

Chłopak nie odpowiedział. Znów zapatrzył się w znieruchomiłe wody fontanny i wrócił do ponurych rozmyślań.

Shota przekrzywiła głowę, wskazując schody, i powiedziała cicho do Jebry:

- Podejź do Zedda. Muszę porozmawiać z Richardem.

Rozdział 17

Shota zbliżyła się do Richarda, rzucając Nicci groźne spojrzenie. Chłopak ciekaw był, dlaczego wiedźma nie kazała Nicci pójść wraz z Jebra do Zedda. Przypuszczał, że wiedziała, iż Nicci nie posłuchałaby takiego rozkazu. Wcale mu się nie uśmiechał konflikt między nimi. Miał się o co martwić i nie potrzebował zatargów pomiędzy sojusznikami.

Kiedy Richard spojrzał na wchodzącą po schodach Jebra, przekonał się, że Ann i Nathan już obeszli westybul i stoją obok dziadka. Gdy Jebra do niego podeszła, Zedd otoczył ramieniem jej barki i szeptał słowa pociechy, ale nie odrywał wzroku od Richarda. Chłopak doceniał to, że dziadek nad nim czuwa i ma oko na wiedźmę, na wypadek gdyby zechciała zrobić którąś ze swoich sztuczek. Zedd pewnie lepiej niż oni wszyscy wiedział, do czego zdolna jest Shota. Poza tym ani trochę jej nie ufał i nie podzielał zdania Richarda, że w gruncie rzeczy wiedźma kieruje się tymi samymi przekonaniem co oni.

Ale choć Richard wysoko cenił główny cel wiedźmy, był świadom, że Shota czasami dążyła doń drogami, które w przeszłości przysporzyły mu wielu trosk.

Zdawał sobie również sprawę, że Shota niekiedy ma własne zamiary - jak wtedy, gdy dała miecz Samuelowi. Podejrzywał, że i teraz coś knuje, tylko nie wiedział, co i dlaczego. Zastanawiał się, czy to może mieć jakiś związek z wyeliminowaniem tej drugiej wiedźmy.

- Richardzie - odezwała się Shota cicho i ze współczuciem - poznałeś naturę nadciągającej ku nam grozy. Ty jeden możesz to powstrzymać. Nie wiem, dlaczego tak jest, lecz wiem, że tak właśnie jest.

Chłopaka nie wzruszył jej łagodny ton ani zaniepokojenie wspólnym wrogiem.

- Ośmielasz się mówić o swej głębokiej rozpacz z powodu cierpień i śmierci, jakie zsyła Ład, oraz o swym przekonaniu, że tylko ja mogę powstrzymać zagrożenie, chociaż knułaś, by ukryć informacje, pragnąc wyłudzić ode mnie Miecz Prawdy?

Nie podjęła rękawicy.

- Nie było żadnego knucia, jak to określiłaś. To była uczciwa wymiana:

coś cennego za coś cennego. - Jej głos pozostał pogodny. - Poza tym miecz na nic by ci się nie przydał, Richardzie.

- Marne usprawiedliwienie tego, że dałaś go temu zbrodniarzowi Samuelowi.

Shota uniosła brew.

- A jak się okazuje, gdybym tego nie zrobiła, Siostry Mroku, które ukradły szkatuły Ordenu, już by się pewnie spotkały. Mając wszystkie szkatuły, zapewne już by jedną otworzyły, uwalniając moc Ordenu i wydając nas wszystkim Opiekunowi zaświatów. I po co byłby ci miecz, gdyby świat życia dobiegł kresu? Wygląda na to, że Samuel zapobiegł katastrofie.

- Samuel wykorzystał miecz również po to, żeby porwać Rachel. A przy okazji omal nie zabił Chase'a, co najwyraźniej zamierzał zrobić.

- Rusz głową, Richardzie. Miecz przysłużył się nam wszystkim, kupując czas, chociaż cena nikomu się nie podoba. Co zamierzasz zrobić z czasem, który teraz masz, a którego w innym wypadku byś nie miał? A w ogóle, na co przydałby ci się miecz w walce z zagrożeniem ze strony Ładu? Poza tym z mieczem każdy może być Poszukiwaczem, a przynajmniej za Poszukiwacza uchodzić. Prawdziwy Poszukiwacz nie potrzebuje miecza.

Wiedział, że ona ma rację. Co by zdziałał mieczem? Próbował w pojedynkę wykosić Imperialny Ład? Nicci dopiero co tłumaczyła Jebrze, że mający dar nie zdołaliby pokonać przeważającego liczebnie przeciwnika tylko dlatego, że władają magią. To samo odnosiło się do miecza. Ale Shota dała miecz Samuelowi, a teraz Samuel prawdopodobnie działał na polecenie innej wiedzy, którą najwyraźniej obchodziły wyłącznie własne sprawy.

Poza tym jaki sens miało przejmowanie się jednym mieczem, kiedy tak wielu ginęło z rąk Ładu, a ten jeden jedyny miecz nie obroniłby ani ich życia, ani wolności? Richard wiedział, że to nie miecz jest prawdziwym orężem. Liczył się rozum, który nim kierował.

Był prawdziwym Poszukiwaczem. Prawdziwym orężem. Samuel tego nie zmieni.

A mimo to nie miał pojęcia, co zrobić, żeby powstrzymać zagrożenie, zapobiec nadciągającym niebezpieczeństwom.

Nicci stała w pobliżu - na tyle daleko, by Shota mogła z nim porozmawiać na osobności, lecz wystarczająco blisko, by wkroczyć między nich, gdyby rozmowa zmieniła się w groźbę lub coś, co by się Nicci nie spodobało.

Richard chwilę patrzył w błękitne oczy czarodziejki, a potem znów spojrzał w oczy Shoty.

- I czego ode mnie oczekujesz?

Nie zauważył, żeby się zbliżała, lecz nagle uświadomił sobie, że opiera policzek o pierś wiedźmy. Czuł delikatny zapach lawendy. Aromat sprawił, że ulotniło się całe napięcie.

- Oczekuję - wyszeptała Shota, otaczając go ramieniem w pasie - że zrozumiesz. Naprawdę zrozumiesz.

Mgłście zaniepokojony tym, o co jej tak naprawdę chodzi, Richard pomyślał, że powinien się uwolnić z jej uścisku. Ale nim zdążył się poruszyć, Shota dotknęła palcem jego podbródka.

I w jednej chwili klęczał w błocie.

Otaczał go monotonny grzmot ulewy uderzającej w dachy i daszki, bębniącej w kałuże, rozbryzgującej błocko na ściany budynków, połamane wozy i nogi kłębiącego się tłumu. Gdzieś w oddali żołnierze wykrzykiwali rozkazy. Kościste konie, ze zwieszonymi łbami i nogami oblepionymi błotem, stały biernie w deszczu. Tkwiący z boku żołnierze śmiali się z czegoś, druga ich grupa o czymś gawędziła. Pobliską drogą jechały wozy, turkocząc i podskakując na wybojach, a gdzieś daleko nieustannie warczały psy, raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby.

Pod ołowianym, zachmurzonym niebem wszystko było bure. Richard obejrzał się w prawo i zobaczył, że klęczą tam w błocie, szeregiem, inni mężczyźni. Wypłowiałe, przemoknięte ubrania zwisały na przygarbionych ramionach. Twarze mieli poblądłe, oczy oszalałe z przerażenia. Za nimi ział głęboki rów wyglądający jak mroczne wejście do zaświatów.

Richard, coraz bardziej niespokojny, spróbował się poruszyć, tak zmienić pozycję, żeby móc wstać i się bronić. I wtedy się zorientował, że ma ręce związane na plecach, związane rzemieniami. Kiedy usiłował wysunąć nadgarstki z ciasnych więzów, rzemień głęboko wciął mu się w skórę. Zlekceważył piekący ból i wyteżył wszystkie siły, ale nie zdołał się uwolnić. Ogarnął go dawny lęk, że mając tak związane ręce, jest bezsilny.

Wszędzie stali zwaliści żołnierze - jedni w skórzanych pancerzach lub osłonach z zardzewiałych metalowych płyt, inni tylko w kamizelach ze zwierzęcych skór. Broń przyczepili do szerokich pasów i nabijanych ćwiekami rzemieni. Nie był to wyszukany oręż, lecz zwyczajne, proste

narzędzia ich fachu: noże z własnej roboty drewnianymi trzonkami wbitymi na tylec ostrza, miecze z rzemieniami owiniętymi wokół drewnianych uchwytów, żeby te trzymały się trzpienia, maczugi z topornie odlanych żelaznych głowic nabitych na krzepki hikorowy trzon lub sztabę z kutego żelaza. Mimo prymitywnego wykonania oręż ten dobrze spełniał swoje zadanie. Brak ozdób tylko uwypuklał jego przeznaczenie, żołnierze zaś wyglądali przez to jeszcze bardziej złowieszczo.

Tłuste włosy tych, którzy nie ogolili głów, ociekały deszczem. Niektórzy żołnierze mieli w uszach i nosie wiele kółek lub zaostrzonych metalowych sztyftów. Warstwa brudu na ich obliczach wydawała się odporna na deszcz. Przez wiele twarzy biegł ukosem ciemny tatuaż. Niektóre tatuaże przypominały maski, inne przecinały policzek, nos i czoło zamaszystą, zygzakowatą linią. Za sprawą krzykliwych tatuaży żołnierze wyglądali wprost nieludzko, dziko i okrutnie. Ich oczy biegały niespokojnie, z rzadka dłużej się na czymś zatrzymując, przez co przypominali zaniepokojone zwierzęta.

Richard musiał mrugać, żeby strącić z oczu krople deszczu. Potrząsał głową, odrzucając z twarzy pasma mokrych włosów. I wtedy przekonał się, że również po jego lewej ręce klęczą mężczyźni. Niektórzy łkali niepowstrzymanie, gdy żołnierze podnosili tych, którzy nie mogli lub nie chcieli klęczeć prosto jak struna w bloku. Przerazenie było niemal namacalne. Fale paniki dotarły i do Richarda, ogarnęły go, chciały zatopić.

Wiedział, że to nie jest realne... a jednak na swój sposób było. Deszcz był zimny. Odzienie miał przemoczone. Od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz. Tak ohydneho smrodu, jakim cuchnęło to miejsce, jeszcze nigdy nie czuł. Była to mieszanina gryzącego dymu, zastarzałego potu, odchodów i gnijącego mięsa. Krzyki i płacze wokół niego były aż nadto realne. Nie sądził, by potrafił sobie wyobrazić zawrota głowy tak pozbawione nadziei i zarazem pełne rozpaczliwego strachu. Wielu mężczyzn dygotało nieustannie, i to nie z powodu zimnego deszczu. Richard uświadomił sobie, że jest jednym z nich, że jest zupełnie taki sam jak oni - po prostu był jednym z klęczących w błocie, jednym z mających związane na plecach ręce.

Było to tak nieprawdopodobne, że aż szokujące - jakoś się tu znalazł. Shota w jakiś sposób przeniosła go tutaj. Nie potrafił pojąć, jak w ogóle można tego dokonać. Pewnie to sobie tylko wyobraża.

W lewe kolano ugniatał go boleśnie kamień zakryty błotem. Taki nieprzewidywalny, banalny szczegół zwiększał prawdopodobieństwo całej sytuacji. Jak można byłoby wyobrazić sobie coś tak nieoczekiwanego? Próbował przerzucić ciężar ciała na drugie kolano, ale trudno było utrzymać równowagę. Udało mu się odrobinę przesunąć kolano, zdjęć je z ostrego kamienia. Czegóż takiego na pewno nie mógł sobie roić.

Zaczął się zastanawiać, czy wyobraża sobie całą resztę. Czy to wszystko to tylko sen, zmyłka, sztuczka jego umysłu. Czy to możliwe, by zakłęcie chainfire sprawiło, że zapomniał, co się naprawdę dzieje, czy też rzeczywistość była aż tak przerażająca, że wyparł ją z umysłu i przeniósł się do urojonego świata, a teraz, nagle, zestresowany sytuacją, wrócił do tego, co realne. Począł sobie uświadamiać, że gdyby nawet nie był do końca pewien, co się właściwie dzieje i jak mu się to wszystko mogło tak pomieszać, tak naprawdę liczyło się to, że cała ta sytuacja była rzeczywista i że on dopiero teraz się ocknął. Bo takie właśnie miał wrażenie: że się dopiero co obudził, oszołomiony i zdezorientowany.

Jeśli przedtem był zdezorientowany, teraz desperacko próbował sobie przypomnieć, zrozumieć, jak się tutaj znalazł, jak skończył na kolanach, w błocie, wśród żołnierzy Imperialnego Ładu. Wydawało mu się, że już-już sobie przypomni, jak tu trafił, że wspomnienia powrócą, ale były tuż poza jego zasięgiem, niczym zapomniane słowo ukryte w mrocznych zakamarkach umysłu.

Richard spojrział na szereg po lewej i zobaczył, jak żołnierz łapie jednego z klęczących za włosy i gwałtownie zadziera mu głowę. Mężczyzna wrzasnął - był to krótki, zdławiony przez lęk odgłos. Richard wyraźnie widział, że choć tamten rozpaczliwie się stara, nie ma najmniejszej szansy ucieczki. Jego płaczliwe skargi przyprawiły chłopaka o gęsią skórkę. Żołnierz stojący za klęczącym przyłożył mu do odsłoniętego gardła długi, cienki nóż.

I znów Richard usiłował sobie wmówić, że miał przedtem rację, że to nie jest realne, że on tylko to sobie roi. Ale widział szczerbę byle jak ostrzonego noża, widział, jak ten dyszący z przerażenia biedak co chwila przetyka ślinę, widział ponury uśmieszek na gębie zadowolonego z siebie żołnierza.

Kiedy ostrze cięło głęboko gardło, mężczyzna zatrząsł się z bólu... a Richard z szoku.

Mężczyzna rzucił się, ale trzymający go za włosy żołnierz bez trudu dał

sobie z nim radę. Lśniące od deszczu mięśnie jego krzepkich ramion wyrzuciły się, kiedy włożył więcej wysiłku w drugie, o wiele głębsze cięcie, niemal odcinając głowę.

Krew, zadziwiająco szkarłatna w szarawym świetle, tryskała przy każdym uderzeniu wciąż jeszcze bijącego serca. Richard skrzywił się, kiedy dotarł do niego jej odór.

Próbował sobie wmówić, że to nie jest realne, a jednak - kiedy patrzył, jak biedak się wije, jak plama krwi rozrasta się na jego koszuli, docierając aż do kroku spodni - było to aż za bardzo rzeczywiste. Mężczyzna z ziejącą raną na szyi ostatnim wysiłkiem kopnął prawą nogą. Żołnierz, który cały czas trzymał go za włosy, wrzucił go do rowu. Richard usłyszał, jak ciało ciężko uderza o dno.

Serce tłukło mu się tak mocno, jakby miało pęknąć. Mdlilo go. Pomyślał, że zwymiotuje. Gorączkowo usiłował uwolnić ręce, ale rzemień tylko głębiej wrzynał się w ciało. Deszcz spłukiwał mu pot w oczy. Rzemienie tak długo go krępowało, że każde poruszenie rękami rozogniało świeże rany i łzy napływały mu do oczu. Ale to go nie powstrzymywało. Stękał z wysiłku, wyęzając wszystkie siły, by rozerwać więzy. Czuł, jak rzemień ociera się o odsłonięte ścięgna nadgarstków.

Wtem usłyszał, że ktoś woła jego imię. Natychmiast rozpoznał głos.

Kahlan.

Czas znieruchomiał, kiedy podniósł wzrok i spojrzał przez drogę w olśniewające zielone oczy. W jednej chwili wróciło i odpłynęło wszystko, co kiedykolwiek czuł, pozostawiając za sobą straszliwą udrękę.

Tak długo byli rozdzieleni...

Widząc najdrobniejsze szczegóły jej twarzy i niewielki łuk zmarszczki na czole, o której zapomniał, widząc, jak wygina plecy, lekko odwrócona, i jak jej włosy wdzięcznie układają się pod ciężarem deszczu, widząc jej oczy, jej piękne zielone oczy - wiedział, że to nie może być urojenie. Kahlan wyciągnęła ku niemu ramię.

- Richardzie!

Znieruchomiał, usłyszawszy jej głos. Od tak dawna nie słyszał jej wyjątkowego głosu, głosu, który od pierwszego z nią spotkania urzekł go inteligencją, dźwięcznością i urokiem. Ale teraz niczego takiego w jej głosie nie było. Pozbawiono go tych wszystkich cech - zostało jedynie przeraźliwe

cierpienie, cierpienie nie do zniesienia.

Udręce w głosie dorównywało przerażenie wykrzywające piękną twarz Kahlan, która patrzyła, jak on klęczy w błocku. Oczy miała zaczerwienione. Po policzkach spływały zmieszane z deszczem łzy.

Richard klęczał, sparaliżowany strachem, sparaliżowany widokiem Kahlan, tak bliskiej, a zarazem tak dalekiej. Odkryciem, że ona jest tutaj, wśród setek tysięcy wrogich żołnierzy.

- Richardzie!

Znów rozpaczliwie wyciągnęła ku niemu rękę. Usiłowała się do niego przedrzeć, ale nie mogła.

Przytrzymał ją krzepki żołnierz z wygoloną głową.

Richard po raz pierwszy zauważył, że zniknęły, poodrywane, guziki bluzki Kahlan i że bluzka jest rozchełstana, wystawiając dziewczynę na pożądliwe spojrzenia żołdaków.

Ale nie dbała o to. Chciała jedynie, żeby Richard ją widział, jakby tylko to się w życiu liczyło, jakby patrzeć na niego było jej całym życiem. Jakby wyłącznie tego potrzebowała, by żyć.

Gardło Richarda zacisnęło się boleśnie. Łzy napłynęły mu do oczu. Wyszeptał jej imię, zbyt zszokowany jej widokiem, żeby się zdobyć na więcej.

Kahlan zapamiętała wyciągała ku niemu rękę, próbując się uwolnić z krzepkiej łapy żołnierza. Jego mocne zaciśnięte palce zostawiały białe ślady na jej ramieniu.

- Richardzie! Kocham cię, Richardzie! O drogie duchy, kocham cię!

Kiedy tak usiłowała się wyrwać i skoczyć ku niemu, żołnierz objął ją mocarnym ramieniem w tali, pod rozchyłoną bluzką, i przytrzymał. Palcami drugiej dłoni ścisnął brodawkę piersi Kahlan. Patrzył ze znaczącym uśmiechem, czy Richard aby na pewno widzi, co on robi.

Kahlan wyrwał się krótki okrzyk zaskoczenia i bólu, ale to była jej jedyna reakcja na poczynania żołdaka. Ignorowała go całkowicie, wykrzykując w panice imię Richarda.

Richard, rozwścieczony, gorączkowo usiłował wstać. Musiał się do niej dostać. Żołnierz śmiał się, obserwując wysiłki chłopaka. Inna okazja już się nie nadarzy. To była ta chwila. To była jego jedyna szansa.

Richard zaczynał się z wysiłkiem podnosić, gdy strażnik tak mocno kopnął go w brzuch, że upadł. Drugi dołożył kopniaka w bok głowy, niemal

odbierając mu przytomność. Świat pociemniał. Dźwięki zlały się w jednostajny szum. Chłopak z całych sił starał się pozostać przytomny. Nie chciał stracić widoku Kahlan. Najważniejszego, najcenniejszego widoku na świecie.

Musi znaleźć sposób, by wyciągnąć ją z tego koszmaru.

Kiedy walczył o odzyskanie oddechu, wielka łapa żołnierza złapała go za włosy i uniosła. Zachłysnął się, usiłując wciągnąć powietrze mimo otepiającego bólu po otrzymanych ciosach. Czuł spływającą bokiem twarzy ciepłą krew, która zmywała błoto.

Kiedy uniesiono mu głowę, ponownie zobaczył Kahlan, jej długie włosy, teraz splątane i zmoczone przez deszcz. Zielone oczy były takie piękne, że serce omal mu nie pękło z rozpaczy, że chociaż znów ją widzi, to nie może przytulić.

Tak straszliwie pragnął ją utulić, pocieszyć, ochronić.

A tymczasem inny trzymał ją w ramionach. Usiłowała się wyrwać. Żołdak objął dłonią jej pierś i ścisnął, póki Richard nie zobaczył, że to sprawia jej ból. Tłukła żołnierza pięściami, ale mocno ją trzymał. Śmiał się z jej daremnych wysiłków i znów popatrzył na Richarda.

Kahlan szarpała się z żołdakiem, zarazem ignorując jego poczynania. Bo nie one były dla niej najważniejsze. Najważniejszy był Richard. Rozpaczliwie wyciągała ku niemu ramiona.

- Kocham cię, Richardzie! Tak mocno za tobą tęskniłam! - Rozszlochała się boleśnie. - Drogie duchy, pomóżcie mu! Błagam! Niech mu ktoś pomoże!

Tuż po jego lewej ktoś usiłował się cofnąć przed nożem głęboko tnącym gardło. Richard słyszał spazmatyczny oddech mężczyzny bulgoczący w rozplątanej tchawicy.

Zrobiło mu się słabo z przerażenia. Nie miał pojęcia, co robić.

Magia. Powinien przywołać dar. Ale jak ma to zrobić? Nie wiedział, jak przywołać magię. A przecież w przeszłości potrafił to uczynić.

Wściekłość.

W przeszłości to gniew przywoływał dar.

Widok żołnierza przytrzymującego Kahlan i sprawiającego jej ból budził gniew aż nadto wystarczający do przywołania daru. A jeszcze bardziej rozwścieczali Richarda inni, podchodzący do Kahlan, łypiący na nią pożądliwie i dotykający.

Pociemniało mu w oczach z wściekłości.

Każdą cząstką siebie usiłował tą wściekłością obudzić dar. Napinał mięśnie i zaciskał zęby, kumulując ową wściekłość. Trząśł się z gniewu i czekał na pojawienie się mocy dorównującej tej wściekłości. Wiedział, co musi zrobić. Wydawało się to takie bliskie. Wyobrażał sobie, jak razi żołnierzy. Wstrzymał oddech przed burzą, która lada moment wybuchnie.

I jakby nieoczekiwanie upadł, a pod nim nie było ziemi.

Deszcz nadal padał z szarego nieba, zatapiając jego wysiłki. Żadna magiczna moc nie objawiła się w przestrzeni między Richardem a trzymającym Kahlan żołnierzem. Nie uderzyła magiczna błyskawica. Nie stała się sprawiedliwość.

To była krytyczna chwila, która kiedyś musiała nadejść - nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nie będzie bardziej naglącej potrzeby, pragnienia czy gniewu związanego z ukochaną kobietą. Ale nie było żadnej mocy, żadnego ratunku.

Równie dobrze mógłby się urodzić bez daru.

Nie miał daru. Dar zniknął.

Richard miał wrażenie, że świat się wali. Chciał, żeby wszystko przebiegało wolniej, dając mu czas na znalezienie rozwiązania, lecz wydarzenia tak gnały. Wszystko działo się za szybko. Jaka to niesprawiedliwość musieć tak umrzeć. Nie miał szansy żyć, spędzić życia z Kahlan. Tak ogromnie ją kochał, a właściwie nigdy nie mógł z nią być, tylko z nią, żyć spokojnie. Chciał się z nią uśmiechać i śmiać, tulić ją, iść z nią przez życie. Siedzieć z nią przed kominkiem w zimną, śnieżną noc, obejmować ją, bezpieczną i serdeczną, rozmawiać o tym, co dla nich ważne, o ich przyszłości. Powinni mieć przyszłość.

To było takie niesprawiedliwe. Chciał żyć po swojemu. A wszystko miało się skończyć w tym ponurym miejscu, właściwie nie wiadomo dlaczego. Bez powodu. Nawet nie był w stanie nadać swojej śmierci jakiegoś znaczenia, zginąć, walcząc o życie. Umrze w deszczu i błocie, otoczony przez ludzi nienawidzących wszystkiego, co w życiu dobre, a Kahlan będzie musiała na to patrzeć.

Nie chciał, żeby to oglądała. Wiedział, że nigdy nie zdoła o tym zapomnieć. Nie chciał jej zostawiać z takim ostatnim przerażającym wspomnieniem - jak wstrząsają nim przedśmiertne drgawki.

Znów próbował się podnieść, jak to robiła większość pozostałych. Żołnierz za nim stanął mu na łydkach, przygniatając całym swoim ciężarem. Ból wydawał się odległy. Richard czuł się jak ogłuszony.

Niczego tak nie pragnął, jak uwolnić Kahlan od tych żołdaków, którzy ją przytrzymywali i obmacywali. Krzyczała na nich z wściekłością, drapała ich, tłukła pięściami i równocześnie w bezsilnej rozpaczycy nawoływała Richarda.

Z całej siły starał się rozerwać rzemienie krępujące mu nadgarstki, ale tylko głębiej się wpijały. Czuł się jak schwytane w pułapkę zwierzę. Dłonie mu zdrętwiały. Już nie czuł krwi kapiącej z palców.

Nie chciał umierać. Co miał zrobić? Musiał temu przeciwdziałać. Jakoś. Ale nie wiedział jak. W przeszłości gniew pozwalał mu obudzić dar, przywołać moc. Teraz był zupełnie bezradny.

- Kahlan!

Nie potrafiła uchronić się przed grozą tego wszystkiego, przed obezwładniającym strachem. Nie mógł powstrzymać tej nacierającej fali. Nie mógł odzyskać samokontroli. Niósł go strumień wydarzeń, których nie był w stanie ani kontrolować, ani powstrzymać. To było takie bezsensowne. Tak okropnie bezcelowe, tak straszliwie okrutne.

- Kahlan!

- Richardzie! - krzyknęła, znów wyciągając ku niemu ramiona. - Kocham cię nad życie, Richardzie! Tak bardzo cię kocham. Jesteś dla mnie wszystkim. I zawsze byłeś. - Dusiło ją łkanie. - Richardzie... tak bardzo cię potrzebuję.

Serce mu pękało. Czuł, że ją zawiódł. Żołnierz chwycił go za włosy.

- Nie! - wrzasnęła Kahlan, wyciągając rękę. - Nie! Błagam, nie! Niech mu ktoś pomoże! O dobre duchy, błagam!

Żołnierz się nachylił, okrutny uśmiezek wykrzywił jego brudną gębę.

- Nie martw się. Zadbam o nią... osobiście. - Zarechotał Richardowi w ucho.

- Błagam - chłopak usłyszał własny głos - błagam... nie.

- O drogie duchy, błagam, niech mu ktoś pomoże! - wołała Kahlan do otaczających ją ludzi.

Nie mogła nic zrobić i wiedziała o tym. Nie miał żadnej szansy i wiedziała o tym. Pozostawało jej błagać o cud. I właśnie to jeszcze wzmagало lęk Richarda, aż tracił nad nim kontrolę. To był kres wszystkiego.

- To prawdziwa ślicznotka - odezwał się żołnierz, patrząc pożądliwie na Kahlan i potwierdzając to, co Richard wiedział: że nie będzie żadnego cudu.

- Błagam... zostawcie ją w spokoju.

Żołnierz za nim się roześmiał. Właśnie to chciał usłyszeć.

Richarda dławili szloch. Nie mógł oddychać. Po twarzy spływały mu zmieszane z deszczem łzy. Była jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, jedyną osobą, która była dla niego wszystkim, cenniejszą niż samo życie.

Bez Kahlan nie było życia, a tylko istnienie. Była jego światem.

Bez Kahlan życie było puste.

Wiedział, że bez niego życie Kahlan będzie równie puste.

W pobliżu Kahlan widział inne kobiety. Przytrzymywane przez żołnierzy, wołały do swoich mężczyzn. Słyszał, jak mówią to co ona, słyszał te same słowa miłości, te same wołania o pomoc. Żołnierze wygadywali sprośne rzeczy, prowokując klęczących w błocie.

Jeden z klęczących na prawo od Richarda, widząc kobiety w łapach żołnierzy, tak gwałtownie się szarpał, że został pchnięty w brzuch. Nie zabiło go to, ale skazało na spokojne czekanie na swoją kolej. Klęczał nieruchomo, patrząc na swe różowe, połyskujące wnętrza, które powoli wypływały z rany. Wrzaski jego żony mogłyby rozedrzeć wiszące nad nimi chmury.

Mężczyzna klęczący tuż obok Richarda, po lewej, ostatni raz chwycił powietrze, miotając się w drgawkach, gdy żołnierz trzymający jego głowę przeciągnął mu po odsłoniętym gardle dużym nożem. Skończył i stękając z wysiłku, zepchnął martwe ciało do rowu. Richard słyszał, jak uderzyło o inne zwłoki. Słyszał dobiegające z rowu charczenie.

- Twoja kolej - oznajmił żołnierz trzymający Richarda, stając tak, żeby wykonać zadanie kata. Pochylił się; jego oddech cuchnął piwem i kiełbasą. - Muszę to zakończyć. Jak tylko się z tobą załatwię, mam randkę z twoją milusią żonką. Kahlan, nie? Taa, zgadza się. Jedna z tamtych kobiet wyznała, że twojej żonie na imię Kahlan. Nie martw się, młody, nie pozwolę, żeby cię oplakiwała i wspominała. Już ja przykuję jej uwagę, obiecuję. A jak już się nią nacieszę, przyjdzie kolej na innych.

Richard chętnie skrzyłby mu kark.

- Rozmyślaj o tym, kiedy twoja grzeszna dusza będzie się pogrążyć w mrocznej, wiekuistej udręce zaświatów, wpadać w zimne, bezlitosne łapy Opiekuna. To tam idą tacy jak ty, na sprawiedliwe wieczyste męki. I tak

powinno być, skoro poświęciliśmy wszystko, żeby się zjawić w tej dalekiej krainie, niosąc wam, samolubnym poganom, boskie Światło i prawa Ładu. Wasze grzeszne obyczaje, samo wasze istnienie obraża Stwórcę i tych, którzy Mu oddają cześć.

Żołnierz wzbudzał w sobie sprawiedliwy gniew.

- Masz pojęcie, ile poświęciłem dla zbawienia dusz twoich ludzi? Moja rodzina głoduje, wszystkiego sobie odmawia, żeby wysłać bohaterskim żołnierzom to, czego potrzebują. Razem z bratem poświęciliśmy się walce o sprawę i o to wszystko, w co wierzymy. Obaj poszliśmy na północ, żeby wypełnić obowiązek wobec imperatora i Stwórcy. Poświęciliśmy życie niesieniu prawdy i dobra twojemu ludowi. W niezliczonych krwawych bitwach walczyliśmy z tymi, którzy się opierają naszym wysiłkom szerzenia prawdy i sprawiedliwości. Widzieliśmy, jak nasi towarzysze giną w tych bojach. Widziałem, jak chwała armii Ładu nie gaśnie w tej walce o zbawienie, chociaż twoi wysłali przeciwko nam nikczemników z darem. Ci nikczemnicy wyczarowali magiczne zło. Część tej magii oślepiła mojego brata. Krzyczał w męce, kiedy magia puszczała mu krew z oczu i spalała płuca. Zakażenie szybko go dopadło i spuchła mu cała głowa, a ślepe oczy wyszły na wierzch. Mógł tylko jęczeć w agonii. Zostawiliśmy go, by umarł samotnie, żebyśmy mogli dalej prowadzić naszą szlachetną walkę, co było słuszne. Twoja żonka i inne poświęcą się teraz umilaniu nam tego nędznego żywota, w którym trudzimy się w szlachetnej walce. To z jej strony drobna spleta długu wdzięczności za to, z czego zrezygnowaliśmy dla bliźniego, żeby nieść słowo Ładu tym, którzy inaczej odwróciliby się od obowiązków wobec wiary. Pewnego dnia twoja grzeszna żonka dołączy do ciebie w mrokach zaświatów, ale nie wcześniej, nim z nią skończymy. Nie spodziewaj się, że szybko się przy tobie znajdzie, bo według mnie sporo czasu będzie się puszczać z dzielnymi wojakami Ładu, którzy lubią dostać w łapy taką ślicznotkę, by choć na chwilę zapomnieć o męczarniach swej zaszczytnej roboty. Spodziewam się, że będzie bardzo zajęta, bo mamy jej mnóstwo - pomachał nożem przed oczami Richarda - jak na przykład ta tutaj. Da nam wytchnienie i będziemy mieć siłę, by z jeszcze większym zapałem zabijać tych wszystkich, którzy nie zechcą się poddać zasadom Ładu.

To był obłąd. Richard ledwie mógł uwierzyć, że są ludzie tak bezmyślni, tak ślepo oddani tym absurdalnym zasadom - ale byli. Roili się zewsząd,

mnożyli jak robactwo, usiłując zniszczyć wszystko, co radosne i zbawienne dla życia.

Powstrzymał słowa, powstrzymał gniew. Takich jak ten tutaj nic bardziej nie rozwścieczało niż rozsądek, prawda i życie, dobro. Takie wartości jedynie budziły w nich chęć niszczenia. Milczał, bo wiedział, że każde jego słowo tylko rozjuszyłoby żołdaka i jeszcze bardziej pogorszyło los Kahlan. Tylko tyle mógł teraz dla niej zrobić.

Widząc, że nie udało mu się podpuścić Richarda, żołnierz znowu się roześmiał i posłał Kahlan całusa.

- Zaraz przy tobie będę, złociutka, tylko cię rozwiodę z tym twoim nic niewartym mężulkiem.

Ten potwór miał wkrótce ruszyć ku kobiecie, którą Richard kochał, ku bezbronnej, przerażonej kobiecie, której udręka dopiero się zaczynała.

Potwór.

Czyżby Shota to miała na myśli?

Wiedźma powiedziała kiedyś, że jeśli Richard i Kahlan się pobiorą i legną razem, Kahlan poczne potwora. Zawsze zakładali, że według Shoty to ich dziecko będzie potworem, bo odziedziczy dar Richarda i moc Spowiedniczki Kahlan.

Ale może wiedźma wcale nie to miała na myśli.

W końcu żadna z ostrzegawczych przepowiedni Shoty nie spełniła się tak, jak ona zapowiadała, a nawet tak, jak sama wiedźma wierzyła. Ostrzeżenia i przepowiednie Shoty zawsze spełniały się w zupełnie nieprzewidziany sposób, o którym nigdy nawet nie pomyśleli, ale też zawsze okazywały się prawdziwe.

Czyżby właśnie to kryło się za przepowiednią Shoty? Czy skomplikowany splot zdarzeń wreszcie osiągał punkt kulminacyjny proroctwa wiedźmy? Shota dobitnie ich ostrzegała, żeby się nie pobierali, bo Kahlan urodzi potwora. Pobrali się. Czy właśnie tak miałyby się dopełnić proroctwo Shoty? Czyżby cały czas właśnie to kryło się za jej ostrzeżeniami? Czyżby te potwory miały spłodzić potwora?

Richard dławił się łzami. Jego śmierć nie będzie gorsza od tego wszystkiego. Kahlan wycierpi najgorsze: śmierć za życia w łapach tych bestii jako matka ich potwora.

- Wiesz, że cię kocham, Richardzie! Tylko to się liczy: że cię kocham!

- Ja też cię kocham, Kahlan!

Nie przychodziły mu na myśl inne słowa - nic, co by miało większe znaczenie. Pomyślał, że dla niego nic nie miało większego znaczenia, nic nie było ważniejsze. Te proste słowa znaczyły tyle co życie, co cały świat.

- Wiem, mój najmilszy - powiedziała i na chwilę piękne zielone oczy rozjaśnił uśmiech. - Wiem.

Richard zobaczył przesuwające się przed twarzą ostrze. Instynktownie się cofnął. Żołnierz stojący mu na łydkach był na to przygotowany. Wbił kolano między jego łopatki, powstrzymując go, a potem uniósł mu głowę.

Widząc, co się dzieje, Kahlan znowu krzyknęła i zaczęła bić przytrzymujących ją żołnierzy.

- Nie zwracaj na nich uwagi, Richardzie! Patrz na mnie! Richardzie! Patrz na mnie! Myśl o mnie! Myśl o tym, jak bardzo cię kocham!

Chłopak wiedział, o co jej chodzi.

- Pamiętasz dzień, kiedy się pobraliśmy? Ja pamiętam, Richardzie. I nigdy nie zapomnę.

Starła się ofiarować mu ostatni dar czułych, kochających myśli.

- Pamiętam dzień, w którym poprosiłeś mnie, żebym została twoją żoną. Kocham cię, Richardzie. Pamiętasz nasz ślub? Pamiętasz dom duchów?

Usiłowała odwrócić jego uwagę, nie pozwolić mu myśleć o tym, co się dzieje. Ale to tylko przypomniało mu ostrzeżenie Shoty, że jeżeli poślubi Kahlan, ona powije potwora.

- Wzruszające - odezwał się stojący za nim żołnierz. - Takie zapalczywe kobitki jak ona są dobre w łóżku, co nie?

Richard chętnie urwałby mu głowę, ale zmilczał. Tamten koniecznie chciał coś z niego wyciągnąć. Chciał, żeby Richard błagał, protestował, zawodził w męce. Chłopak nie dał mu tej satysfakcji - był to jego ostatni akt obrony przed takimi ludźmi.

Kahlan wołała, że go kocha, że chce, by sobie przypomniał, jak go pierwszy raz pocałowała.

Mimo wszystko się uśmiechnął.

W owej chwili nie dbała o to, co ją czeka - po prostu chciała odwrócić jego uwagę, złagodzić ból i przerażenie ostatnich chwil życia.

Jego ostatnich chwil.

Wszystko się kończyło. Wszystko się skończyło. Nie było już niczego.

Życie się skończyło. Skończył się jego czas z ukochaną. Już niczego nie będzie.

Świat się kończył.

- Richardzie! Richardzie! Tak bardzo cię kocham! Patrz na mnie, Richardzie! Kocham cię! Patrz na mnie! O tak, patrz na mnie! Tylko ciebie kochałam! Tylko ciebie, Richardzie! Ciebie jednego! Tylko to się liczy, że cię kocham! Kochasz mnie? Powiedz, Richardzie, błagam. Powiedz. Powiedz teraz.

Poczuł ostrze dotykające gardła.

- Kocham cię, Kahlan. Ciebie jedną. Na zawsze.

- Wzruszające - warknął żołnierz w ucho Richarda, trzymając mu nóż na gardle. - Jak już się będziesz wykrwawiał w rowie, ja się nią zajmę. Zamierzam zgwałcić twoją milusią żonkę. Ty już wtedy będziesz martwy, ale chcę, żebyś przed śmiercią dowiedział się, co jej zrobię, i pojął, że w żaden sposób tego nie powstrzymasz, bo tak się dopełni wola Stwórcy. Powinieneś już dawno podporządkować się zasadom Ładu, ale wolałeś walczyć o swoje grzeszne obyczaje, swoje samolubne obyczaje, i odwróciłeś się od wszystkiego, co słuszne i sprawiedliwe. Za zbrodnie przeciwko bliźnieniu nie tylko umrzesz, ale i przez całą wieczność będziesz cierpieł męki z rąk Opiekuna zaświatów. Okrutnie cierpiał. A skoro już odchodzisz w mroki tamtego świata, chcę, żebyś odchodził, wiedząc, że jeśli twoja cenna Kahlan przeżyje, to tylko po to, by być naszą dziwką. Jeśli pożyje wystarczająco długo i urodzi chłopca, wyrośnie on na wspaniałego żołnierza Ładu i będzie nienawidzić takich jak ty. Zadbamy o to, by przyszedł napluć na twój grób, napluć na ciebie i tobie podobnych, którzy by go wychowali według nikczemnych zasad na takiego, co to nie służy bliźniemu i Stwórcy. Rozmyślaj o tym, kiedy twój duch będzie się pogrązać w mrokach. Kiedy twoje ciało zacznie stygnąć, ja będę przy miłym, ciepłym ciałku twojej ukochanej, robiąc jej dobrze. Chcę, żebyś się o tym dowiedział, zanim umrzesz.

Richard właściwie był już martwy. Wszystko się skończyło, życie I świat dobiegły kresu. Tak wiele przepadło. Wszystko było stracone. I to z powodu bezrozumnej nienawiści do wszystkiego, co cenne, nienawiści do życia. Nienawiści żywionej przez tych, którzy woleli pustkę śmierci.

- Kocham cię i zawsze będę cię kochać z całego serca - powiedział

ochrypłym głosem. - Dzięki tobie moje życie było radością.

Widział, jak Kahlan kiwa głową na znak, że go usłyszała, i jak jej wargi formują słowa miłości. Była taka piękna.

Nie mógł znieść jej nieutulonego żalu.

Patrzyli sobie w oczy, zastygli w tej szczególnej chwili, ostatniej chwili istnienia świata.

Richard zachłysnął się okrzykiem przerażenia, lęku i nagłego ostrego bólu, czując, jak ostrze wbija się w ciało, jak głęboko rozcina mu gardło.

To był kres wszystkiego.

Rozdział 18

- Przestań! - warknęła Nicci.

Richard zamrugał. Nie mógł pozbierać myśli. Nicci trzymała przegub Shoty w żelaznym uścisku, odsuwając jej rękę od chłopaka. Ale wiedźma dalej obejmowała go w pasie.

- Nie mam pojęcia, co robisz - powiedziała Nicci tak groźnie, że Richard pomyślał, iż wystraszona Shota na pewno się cofnie - ale masz przestać.

Wiedźma ani się nie cofnęła, ani nie wystraszyła.

- Robię to, co musi zostać zrobione. Nicci miała tego dość.

- Odejdź od niego albo cię na miejscu ubiję.

Po drugiej stronie wiedźmy, blokując ją, stała Cara z Agielem w dłoni, jeszcze bardziej rozeźlona niż Nicci. Zanim Shota zdążyła odpowiedzieć pogroźką na pogroźkę, Richard osunął się ciężko na marmurową ławę otaczającą fontannę.

Spazmatycznie chwycił powietrze ogarnięty przerażeniem. Stale miał przed oczami Kahlan w łapach tych zbirów, wciąż czuł ostrze podcinające mu gardło. Przesunął palcami po szyi, ale nie znalazł ziejącej rany ani krwi. Rozpaczliwie usiłował zatrzymać obraz Kahlan, lecz widok jej bezsilności i przerażenia był tak okropny, że zarazem niczego tak nie pragnął, jak na zawsze wymazać go z pamięci.

Nie do końca wiedział, gdzie jest. Nie bardzo wiedział, co się dzieje. Nie miał pewności, co jest realne, a co nie.

Zastanawiał się, czy aby nie jest w agonii, to wszystko zaś to nie przedśmiertne urojenia, które dręczą go, zanim się całkowicie wykrwawi, jakaś ostatnia iluzja, która ma go dręczyć, kiedy umiera. Wodził rękami, szukając obok siebie, w rowie, innych ciał.

Cara stała z przodu, osłaniając go przed wiedźmą, a Nicci natychmiast zostawiła Shotę w spokoju i usiadła obok niego. Otoczyła ramieniem jego barki.

- Nic ci nie jest, Richardzie? - Pochyliła się, patrząc mu w oczy. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył żywego trupa.

Zlekceważywszy Carę, wiedźma skrzyżowała ramiona na piersi i stała przy nich, obserwując Richarda.

A on nadal słyszał krzyki Kahlan, patrzył na nią, wołającą jego imię i pękało mu serce. Tak strasznie dawno jej nie widział. Ale ujrzeć ją tam to była udręka.

- Już wszystko w porządku, Richardzie - odezwała się Nicci. - Jesteś tutaj, ze mną, z nami wszystkimi.

Richard przycisnął dłoń do czoła.

- Jak długo mnie nie było? Nicci zmarszczyła brwi.

- Nie było?

- Uważam, że Shota coś zrobiła. Jak długo... to robiła?

- Nie pozwoliłam jej nic zrobić. Powstrzymałam ją, nim zdołała zacząć. Powstrzymałam ją, gdy tylko dotknęła twojego podbródka. Nie miała czasu, żeby cokolwiek zrobić.

Richard ciągle widział Kahlan, widział, jak woła do niego przytrzymywana brudnymi łapami żołnierzy Imperialnego Ładu. Przeczesał włosy drżącymi palcami.

- Miała wystarczająco dużo czasu.

- Tak mi przykro - wyszeptała Nicci. - Sądziłam, że w porę ją powstrzymałam.

Miał wrażenie, że już dłużej nie da rady. Że nie znajdzie w sobie sił, żeby oddychać. Że nie będzie w stanie zrobić czegokolwiek poza pograżeniem się w rozpacz.

Nie mógł powstrzymać łęku, cierpienia i łez. Nicci przyciągnęła jego twarz do ramienia, bez słowa chroniąc go w objęciach.

Wszystko wydawało się daremne. Wszystko się kończyło. Wszystko się skończyło. Zawsze mówił, że nie zdołają pokonać wojsk Jaganga. Ład jest zbyt potężny. Wygra wojnę. Richard nie mógł nic na to poradzić. Pozostawało im tylko czekanie na śmierć.

Shota podeszła do niego, kiedy tak siedział na marmurowej ławie. Stała naprzeciwko Nicci i chciała mu położyć dłoń na ramieniu. Cara złapała wiedźmę za nadgarstek i przeszkodziła jej.

- Przykro mi, że musiałam to zrobić, Richardzie - powiedziała Shota, ignorując Mord-Sith - ale musisz się przekonać, zrozumieć...

- Zamilcz - odezwała się Nicci - i nie dotykaj go. Nie sądzisz, że już zbyt wiele bólu mu sprawiłaś? Zawsze musisz krzywdzić? Nie możesz mu pomóc, nie raniąc go przy tym i nie sprawiając kłopotów?

Shota cofnęła rękę, a Nicci przytknęła swoją do twarzy Richarda i palcem otarła mu łzę z policzka.

- Richardzie...

Skinął głową, doceniając jej czułe zatroskanie. Nie mógł się odezwać. Ciągle widział nawołującą go Kahlan, która bezskutecznie usiłuje się wyrwać z łap tych żołnierzy. Przez resztę życia będzie go prześladować ten widok. W tamtej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż oszczędzić jej udręki patrzenia na jego egzekucję i losu, jaki ją czekał w niewoli Ładu. Chciał tam wrócić, coś zrobić, uchronić ją przed tym nieludzkim maltretowaniem. Nie mógł znieść świadomości, że jej świat się skończył, kiedy patrzyła na jego śmierć.

Ale to nie było realne. Przecież nie mógł tam być. To było zupełnie niemożliwe. Mógł to sobie jedynie uroić. Zaczął się uspokajać.

To nie było realne. Nie było. Kahlan nie była w łapach Ładu. Nie patrzyła na jego egzekucję. To tylko okrutna sztuczka więdźmy. Tylko jedna z jej iluzji.

Tyle że to było realne dla wszystkich ludzi w Galei i wielu innych miejscach, do których dotarł Imperialny Ład. Nawet jeżeli nie było rzeczywiste dla Richarda, dla nich było aż nazbyt realne. Tak to wyglądało. Ich świat właśnie tak się skończył. Dokładnie wiedział, co wycierpieli. Dokładnie wiedział, co się wtedy czuje.

Jak wielu nie znanych im, porządnych ludzi straciło życie w taki właśnie sposób dla zaspokojenia zaświatowych aspiracji tych ze Starego Świata?

Nagle znów ogarnął go lęk. Miał dar. Był czarodziejem wojny. U większości mających dar przejawiał się on w jednej określonej dziedzinie. Ale czarodziej wojny był obdarzony mocą zawierającą elementy wszystkich aspektów magii, jednym z nich zaś było prorokowanie. A jeżeli to, co widział, w istocie było proroctwem? Jeżeli miało się wydarzyć? Jeżeli naprawdę ujrzał wizję przyszłości?

Jednak Richard nie wierzył, że przyszłość jest z góry określona, niezmienna. Choć niektóre sprawy, na przykład śmierć, były nieuniknione, wcale nie oznaczało to, że wszystko inne jest już ustalone i że nikt nie może dążyć ku lepszym celom, że nie może uniknąć nieszczęść, nie może odmienić biegu wydarzeń. Jeżeli to było proroctwo, oznaczało jedynie, że to, co widział, jest możliwe. Ale to wcale nie znaczyło, że on nie może

spróbować temu zapobiec.

W końcu przepowiednie Shoty nigdy się nie spełniały tak, jak zapowiadała. A to, co widział i czego doświadczył, było najprawdopodobniej sprawką wiedźmy.

Richard uściskał dłoń Nicci, dziękując jej bez słów. Jej druga dłoń, na ramieniu chłopaka, odwzajemniła uścisk. Zatraskanie czarodziejki trochę zelżało, nawet się leciutko, z ulgą uśmiechnęła, widząc, że Richard dochodzi do siebie.

Staął przed Shotą tak, że powinna się cofnąć. Ale tego nie zrobiła.

- Jak śmiałaś mi to zrobić? Jak śmiałaś mnie wysłać w to miejsce?

- Nigdzie cię nie wysłałam, Richardzie. To twój umysł zabrał cię tam, dokąd chciał. Nie zrobiłam niczego poza uwolnieniem myśli, które tłumiliś. Oszczędziłam ci tego, co i tak ujawniłoby się w koszmarach.

- Nie pamiętam swoich snów.

Wiedźma skinęła głową, patrząc mu badawczo w oczy.

- Ten byś zapamiętał. Byłby o wiele gorszy niż to, co dopiero co wycierpiałeś. Lepiej stawić czoło takim wizjom, kiedy wiesz, czym one są, i możesz dojść ich prawdziwego znaczenia.

Richard poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Czy to miałaś na myśli, gdy powiedziałaś kiedyś, że jeśli się ożenię z Kahlan, to ona powije potwora? Czy taką prawdę ukrywała twoja pokrętna przepowiednia?

Shota nie okazała żadnych emocji.

- Ona znaczy to, co znaczy.

Chłopak ciągle słyszał słowa żołnierza Imperialnego Ładu, opowiadającego mu, co zrobi Kahlan, jak będą ją traktować, że będzie rodzić dzieci, a oni nauczą je pluć na groby tych, którzy chcieli żyć po swojemu, którzy wierzyli w to, co i jemu było drogie.

Nagle skoczył ku Shocie i złapał ją za gardło. Zderzenie oraz jego determinacja, by ją dopaść, sprawiły, że przelecieli przez niski murek i znaleźli się w fontannie. Wpadli pod wodę. Richard był na górze i podduszał wiedźmę.

Wyciągnął ją za gardło.

- Czy właśnie to miałaś na myśli?!

Woda spływała jej po twarzy. Wykaszała ją. Potrząsnął nią.

- Czy właśnie to miałaś na myśli?!

Richard zamrugał. Stał. Był suchy. Shota stała przed nim. Też sucha. Ręce wciąż miał przy sobie.

- Opanuj się, Richardzie. - Wiedźma uniosła brew. - Nadal po części tkwisz w urojeniu.

Chłopak się rozejrzał. To była prawda. Ani on, ani Shota nie byli przemoczeni. Ani jeden kasztanowy włos na jej głowie nie zmienił miejsca. Nicci uniosła brwi, kiedy na nią spojrział. Nie miała pojęcia, co mogło być przyczyną jego konsternacji. To musiała być prawda - ciągle jeszcze śnił. To istotnie było tylko rojenie, jak jego egzekucja, jak patrzenie na Kahlan. Tylko sobie wyobraził, że trzyma Shotę za gardło.

Ale chętnie by to zrobił.

- Czy o to ci chodziło, kiedy powiedziałaś, że Kahlan powije potwora? - spytał trochę spokojniej, ale równie groźnie.

- Nie wiem, kim jest ta Kahlan.

Chłopak zgrzytnął zębami, aż mu się uwypukliły mięśnie szczęki, myśląc, żeby naprawdę złapać wiedźmę za gardło.

- Odpowiedz na pytanie! Czy o to? Shota ostrzegawczo uniosła palec.

- Uwierz mi, Richardzie, na pewno byś nie chciał, żeby wiedźma się na ciebie rozgniewała.

- A ty, żebym ja się na ciebie wściekł, więc odpowiedz. Czy to miałaś na myśli?

Shota wygładziła rękawy sukni, starannie dobierając słowa.

- Po pierwsze, ujawniłam ci to w innych czasach, wraz z innymi rzeczami, które widziałam w strumieniu czasu. Nie pamiętam tej kobiety, tej Kahlan, ani niczego, co ma z nią związek. Nie wiem zatem, o jakim wydarzeniu czy przepowiedni mówisz, bo i tego nie pamiętam.

Twarz Shoty przybrała mroczny, groźny wyraz, a ten przypomniał Richardowi, że mówi do wiedźmy, której samo imię przerażało większość mieszkańców Midlandów.

- Ale zapędzasz się w poważne, groźne sprawy unoszone strumieniem czasu. - Skrzywiła się z niezadowoleniem. - O co ci dokładnie chodzi z tym... dzieckiem, które ma być potworem?

Richard odwrócił się i zapatrzył w znieruchomiałe wody fontanny, myśląc o okropnościach, które widział. Nie mógł się zdobyć, żeby powiedzieć

to na głos. Nie był w stanie powiedzieć tego w obecności ich wszystkich, choćby tylko zasugerować, że Shota wygłosiła niegdyś przepowiednię, która, jak się obawiał, mogła tak naprawdę oznaczać, że Kahlan urodzi dziecko spłodzone przez bestie z Imperialnego Ładu. Miał wrażenie, że jeżeli głośno to wypowie, w jakiś sposób doprowadzi do spełnienia tej przepowiedni. Była to tak bolesna myśl, że odsunął całą sprawę na bok i zdecydował się zadać inne pytanie.

Znów spojrzał na Shotę.

- A co oznacza to, że nie mogłem przywołać gniewem mojego daru?

Wiedźma ciężko westchnęła.

- Musisz coś zrozumieć, Richardzie. Nie zesłałam ci wizji. Ja tylko pomogłam ci uwolnić ukryte myśli, twoje myśli. Nie zesłałam ci snu, który stworzyłam, ani też nie zasiałam ci w umyśle żadnych pomysłów. Sprawiałam jedynie, że uświadomiłeś sobie własne myśli. Nie mogę ci nic powiedzieć o tym, co widziałeś, bo nie wiem, co to było.

- No to dlaczego...

- Wiem jedno: że to właśnie ty musisz powstrzymać Ład. Pomogłam ci wydobyć na powierzchnię umysłu stłumione myśli, żebyś potrafił lepiej zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- To, co powinieneś zrozumieć. I nie mam pojęcia, co to jest, podobnie jak nie wiem, co takiego zobaczyłeś we własnym umyśle, że aż tak cię to poruszyło. Mógłbyś uznać, że jestem zaledwie posłańcem. Nie czytałam wieści.

- Ale pokazałaś mi rzeczy...

- Nie, wcale nie. Ja tylko odsunęłam dla ciebie zasłonę, Richardzie. Nie stworzyłam deszczu, który ujrzałeś za tym oknem. Próbujesz obarczyć mnie winą za ów deszcz, zamiast docenić, że tylko odsunęłam zasłonę, byś mógł go zobaczyć na własne oczy.

Richard obejrzał się na Nicci. Nic nie powiedziała. Popatrzył na stojącego u szczytu schodów dziadka, który w milczeniu go obserwował, luźno splatając dłonie. Zedd zawsze uczył go dostrzegać rzeczywistość, uczył, żeby nie pomstować na - jak to niektórzy określali - niewidzialną rękę losu kontrolującą i wywołującą zdarzenia. Czyżby teraz właśnie tak postępował z Shotą? Czyżby usiłował obwinać ją za to, że ukazała mu rzeczy, których nie

widział lub widzieć nie chciał?

- Przepraszam, Shoto - powiedział spokojniej. - Masz rację. Naprawdę pokazałaś mi deszcz. Nie wiem, co w tej sprawie zrobić, ale go widziałem. Nie powinienem obwiniać cię za czyny innych. Wybacz.

Wiedźma leciutko się uśmiechnęła.

- Między innymi dlatego jesteś tym wybranym, Richardzie. Jedynym, który może powstrzymać szaleństwo. Nie zamykasz oczu na prawdę, chcesz ją dojrzeć. Dlatego sprowadziłam tu Jebkę z jej straszliwą opowieścią o sprawkach Ładu. Musisz znać prawdę o tym wszystkim.

Richard skinął głową. Czuł się jeszcze gorzej, jeszcze bardziej przybity tym, że nie ma pojęcia, jak zrobić to, czego ona od niego oczekuje.

Spojrzał we wpatrzone w siebie oczy wiedźmy.

- Zdobyłaś się na wielki wysiłek, żeby sprowadzić tutaj Jebkę. Pokonałaś bardzo długą drogę. Twoja przyszłość, twoje życie, zależą od tego dokładnie tak samo jak moje życie czy życie wszystkich wolnych ludzi, wszystkich mających dar. Jeżeli Ład zwycięży, wszyscy zginiemy. Ty także. Czy jest coś, co byś mi mogła powiedzieć, a co pomogłoby mi powstrzymać to szaleństwo? Przyda mi się każda pomoc, jakiej zechcesz udzielić. Czy jest coś, co byś mi mogła powiedzieć?

Patrzyła na niego chwilę, zanim się odezwała. Patrzyła tak, jakby myślami była gdzie indziej.

- Gniewa cię każda informacja, którą ci przynoszę - powiedziała w końcu - jakbym to ja tworzyła to, co jest, a nie jedynie o tym powiadamiała.

- Grożą nam wszystkim niewola, tortury i śmierć, a ty się nagle obrażasz, że się uraża twoje uczucia?

Usłyszawszy to, Shota musiała się wbrew sobie uśmiechnąć.

- Wydaje ci się, że wyciągam objawienia z rękawa, jakbym zrywała gruszki z drzewa? - Uśmiech zniknął, kiedy się zapatrzyła w dal. - Nawet sobie nie potrafisz wyobrazić, jaką cenę płacę za zdobycie tak tajemnej wiedzy. Nie zamierzam się podejmować tak ogromnego zadania, jeżeli ta drogo okupiona wiedza ma służyć jedynie podsycaniu urazy.

Richard wsunął dłonie do tylnych kieszeni spodni.

- W porządku, rozumiem cię. Skoro zamierzasz podjąć taki wysiłek, oczekujesz, że poważnie to wszystko potraktuję i sumiennie przemyślę. Wszyscy mamy wiele do stracenia, Shoto. Ryzykujemy wszystko. Docenię

każde twoje słowo.

Chociaż Richard szczerze wierzył, że Shota przekazuje mu to, co zobaczyła w strumieniu czasu, wcale nie uważał, że to wszystko jest tak jednoznaczne lub że wiedźma trafnie odgaduje znaczenie zdarzeń. Zawsze jednak przekazywała mu wiadomości, które miały zasadnicze znaczenie dla danej sprawy, jak na przykład ostatnio w przypadku chainfire. Mimo że wyjawieniu słowa Chainfire nie towarzyszyła żadna informacja, która pomogłaby Richardowi, owa wskazówka dopingowała go w wysiłkach wyjaśnienia, co się stało z Kahlan. Gdyby nie znał tego jednego słowa, nigdy nie odnalazłby księgi zawierającej klucz do prawdy.

Shota głęboko wciągnęła powietrze i wreszcie z rezygnacją je wypuściła. Nachyliła się odrobinę ku Richardowi, aby podkreślić, jak poważnie to traktuje.

- To wyłącznie dla twoich uszu.

Rozdział 19

Richard spojrział na Carę i Nicci. Z ich min wyczytał, co sądzą o pomysłe pozostawienia go bez ochrony. Wiedział, że ich zdaniem powinny być tuż przy nim, lecz wcale nie uważał, że byłby bezpieczniejszy, gdyby czuwały nad nim oddalone o krok, a nie o kilkadziesiąt kroków. W końcu Shota dopiero co to zademonstrowała. Nie miał jednak wątpliwości, że one uważają inaczej.

Uznał, że powinien znaleźć rozwiązanie, które zadowoliłoby wszystkich.

- Są po tej samej stronie. Jaka różnica...

- A taka, że to moje życzenie. - Shota odwróciła się ku fontannie, plecami do niego, i skrzyżowała ramiona na piersi. - Jeżeli chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia, uszanuj moje życzenie.

Richard nie miał pojęcia, czy to aby nie jedynie upór więdźmy, lecz wiedział, że nie czas tego dochodzić. Jeżeli chce uzyskać pomoc Shoty, musi jej okazać zaufanie. Cara i Nicci też będą musiały mu teraz zaufać.

Wskazał ku schodom.

- Idźcie, proszę, do Zedda i zaczekajcie tam.

Nicci ten pomysł najwyraźniej podobał się równie mało jak Carze, lecz ze spojrzenia Richarda wyczytała, iż chce, by zrobiła, o co ją prosi. Gniewnie popatrzyła na tył głowy Shoty.

- Jeżeli uznam, że chcesz go skrzywdzić, to cię spopiele, nim zdołasz zadziałać.

- Dlaczego miałabym go skrzywdzić? - Więdźma obejrzała się przez ramię. - Jeden Richard może powstrzymać Ład.

- Otóż to.

Richard obserwował, jak Nicci i Cara bez słowa się odwracają i wchodzą po schodach. Spodziewał się, że Mord-Sith będzie protestować, więc był rad, że tak się nie stało.

Popatrzyli sobie z dziadkiem w oczy. Zedd, jak na niego, był wyjątkowo spokojny. Nathan i Ann również. Wszyscy troje przyglądali mu się, jakby był dziwem znalezionym pod kamieniem. Zedd leciutko skinął Richardowi głową, ponaglając go, żeby się nie ociągał, żeby zrobił, co trzeba.

Chłopak usłyszał, jak za jego plecami fontanna nagle wróciła do życia.

Obejrzał się. Woda znów tryskała w górę, opadała i spływała z kolejnych mis, żeby pluskać w sadzawce.

Shota siedziała tyłem do niego na niskiej marmurowej ścianie okalającej sadzawkę i leniwie wodziła dłonią w wodzie. Coś w mowie jej ciała sprawiło, że Richardowi zjeżyły się włoski na karku.

Kiedy się odwróciła, żeby spojrzeć przez ramię, zobaczył twarz matki.

Zesztywniał.

- Richardzie. - Smutny uśmiech ujawniał, jak bardzo go kocha i jak za nim tęskni. Ani odrobinę się nie postarzała od tamtego dnia z jego dzieciństwa.

Tkwiał nieruchomo w miejscu, a ona podniosła się z wdziękiem.

- Och, Richardzie - powiedziała głosem równie czystym i dźwięcznym jak wody fontanny - tak ogromnie za tobą tęskniłam. - Objęła go w pasie, drugą dłonią zaś przesunęła czule po jego włosach. Tęsknie patrzyła mu w oczy. - Jak bardzo, bardzo za tobą tęskniłam.

Chłopak natychmiast zapanował nad emocjami. Mowy nie było, żeby dał się przekonać, iż to jego matka.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Shotę, też ukazała mu się jako jego matka, która zginęła w ogniu, gdy był jeszcze chłopcem. Wtedy Richard miał ochotę ściąć Shocie głowę za - jak uznał - okrutny żart. Wiedźma odgadła tę myśl i zganiała go, mówiąc, że ukazanie mu się w tej postaci było darem przez wzgląd na jego niegasnącą miłość do matki i jej wieczną miłość do niego. Powiedziała, że Richard nigdy nie doceni i nie zrozumie, ile ją ten dobry uczynek kosztował.

Nie sądził, by tym razem ofiarowywała mu dar. Nie wiedział, o co jej chodzi i dlaczego to robi, ale postanowił przyjąć to spokojnie, bez wyciągania pochopnych wniosków.

- Dziękuję ci, Shoto, za to przepiękne wspomnienie, ale dlaczego musiałaś przyjąć postać mojej matki?

Wiedźma, w matczynej postaci, zmarszczyła w namyśle czoło.

- Znasz imię... Baraccus?

Włoski na karku Richarda, które akurat zaczęły opadać, znowu się zjeżyły. Delikatnie ujął ją w tali i bardzo ostrożnie odsunął od siebie.

- W czasach wielkiej wojny żył Baraccus, który był Pierwszym Czarodziejem. - Uniósł wiszący mu na piersi amulet. - To należało do niego.

Jego matka potaknęła.

- To ten. Był wielkim czarodziejem wojny.

- Racja.

- Jak ty.

Chłopak poczuł, że się rumieni, usłyszawszy, jak matka nazywa go „wielkim”, choć to była tylko Shota w jej postaci.

- Wiedział, jak się posługiwać swoim darem. Ja nie wiem. Matka znów skinęła głową, a leciutki uśmiech uniósł kąciki jej ust zupełnie tak, jak to zapamiętał. Jego matka uśmiechała się tak, kiedy była dumna, że pojął znaczenie szczególnie trudnej lekcji. Ciekaw był, czy według Shoty miało to teraz znaczenie.

- Wiesz, co mu się przydarzyło? Co się stało z Baraccusem? Richard odetchnął, by się uspokoić.

- Tak, prawdę mówiąc, wiem. Były kłopoty ze Świątynią Wichrów. Świątynię wraz z bezcenną zawartością odesłano dla bezpieczeństwa do innego świata.

- W zaświaty - poprawiła go.

- Tak. Baraccus się tam udał, żeby spróbować wszystko naprawić.

Matka uśmiechnęła się i znów przeczesła mu włosy palcami.

- Tak jak ty.

- No tak.

Wreszcie skończyła się bawić jego włosami i jej piękne oczy znów nań patrzyły.

- Poszedł tam dla ciebie.

- Dla mnie? - Richard spojrzał na nią nieufnie. - O czym ty mówisz?

- W Świątyni Wichrów, w zaświatach, zamknięto magię subtraktywną, którą usunięto ze świata życia, żeby już nigdy nie narodził się czarodziej mający jej dar.

Richard nie miał pojęcia, czy ona tylko powtarza to, czego się dowiedział, czy też przekazuje mu to, co uważa za fakty.

- Przyszło mi to na myśl, kiedy studiowałem księgi o tych czasach. W rezultacie nikt już nie rodził się z darem magii subtraktywnej.

Obserwowała go spokojnie, z powagą, co go nadzwyczaj niepokoiło.

- Ale ty tak - rzekła w końcu, nadając tym prostym słowom ogromne znaczenie.

Chłopak zamrugał.

- Chcesz powiedzieć, że będąc w Świątyni Wichrów, zrobił coś, żeby znowu narodził się ktoś mający dar magii subtraktywnej?

- Czy mogę założyć, że przez „kogoś” rozumiesz... siebie? - Uniosła brew, podkreślając powściągliwość swojego pytania.

- Co sugerujesz?

- Od tamtej pory, od odesłania Świątyni Wichrów w zaświaty, nie pojawił się nikt z darem magii subtraktywnej i, co więcej, nie pojawił się żaden czarodziej wojny.

- Słuchaj, nie jestem pewien, czy to prawda, ale gdyby nawet, to wcale nie oznacza...

- Wiesz, co zrobił czarodziej Baraccus po powrocie ze Świątyni Wichrów?

Pytanie zaskoczyło Richarda. Zastanawiał się, jaki może mieć związek z całą resztą.

- Wiem. Kiedy powrócił ze Świątyni Wichrów, to... popełnił samobójstwo. - Wskazał ogromną budowlę ponad nimi. - Rzucił się z Wieży Czarodzieja, z zewnętrznych murów od strony doliny i Aydindril.

Matka ze smutkiem skinęła głową.

- Górujących nad miejscem, gdzie potem zbudowano Pałac Spowiedniczek.

- Tak sędzę.

- Ale najpierw, zanim się rzucił z tych murów, zostawił coś dla ciebie.

Richard przyglądał się jej, nie wiedząc, czy dobrze usłyszał.

- Dla mnie? Jesteś tego pewna? Matka potaknęła.

- W księdze, którą czytałeś, nie ujawniono wszystkiego. Widzisz, zanim się rzucił z murów wieży po powrocie ze Świątyni Wichrów, dał swojej żonie księgę i wysłał ją z tą księgą do swojej biblioteki.

- Swojej biblioteki?

- Baraccus miał tajemną bibliotekę.

Richard miał wrażenie, że porusza się po cienkim lodzie.

- Nawet nie wiedziałem, że miał żonę.

- Przecież ją znasz, Richardzie. - Jej uśmiech sprawił, że już i tak zjeżone włoski na karku chłopaka zjeżyły się jeszcze bardziej.

Richard z trudem oddychał.

- Znam ją? Jak to możliwe?

- No cóż - rzekła matka, poruszając ramieniem - słyszałeś o niej. Wiesz, który czarodziej stworzył pierwszą Spowiedniczkę?

- Tak - odparł, zdezorientowany zmianą tematu. - Nazywał się Merritt. Pierwszą Spowiedniczką była Magda Searus. Na stropie w Pałacu Spowiedniczek namalowano ich podobizny.

Matka potaknęła, a żołądek Richarda zawiązał się w supeł.

- To ta kobieta.

- Jaka kobieta?

- Żona Baraccusa.

- Nie... - powiedział Richard, dotykając palcami czoła i usiłując się nad tym zastanowić. - Nie, ona była żoną Merritta, czarodzieja, który zmienił ją w Spowiedniczkę, a nie Baraccusa.

- To było później. - Matka zbyła to lekceważącym gestem. - Jej pierwszym mężem był Baraccus.

- Jesteś pewna? Zdecydowanie skinęła głową.

- Kiedy Baraccus wrócił ze Świątyni Wichrów, Magda Searus czekała na niego tam, gdzie zgodnie z jego prośbą miała czekać: w enklawie Pierwszego Czarodzieja. Czekala wiele dni, obawiając się, że już nigdy nie wróci. Ku jej wielkiej uldze, wreszcie się zjawił. Pocałował ją, zapewnił o swojej dozgonnej miłości, a potem, w sekrecie, po przysiędze, że na zawsze zachowa to dla siebie, wysłał ją z księgą do swojej tajemnej, osobistej biblioteki. A gdy odeszła, zostawił swój strój - ten, który teraz nosisz, razem z tymi wyścielonymi skórą srebrnymi obręczami na nadgarstki, peleryną wyglądającą, jakby ją utkano ze złota, i tym amuletem - w enklawie Pierwszego Czarodzieja. Zostawił to dla czarodzieja, który dzięki jego czynowi miał przyjść na ten świat życia... Zostawił to dla ciebie, Richardzie.

- Dla mnie? Jesteś pewna, że to naprawdę było przeznaczone dla mnie, konkretnie dla mnie?

- A niby dlaczego jest tyle przepowiedni, które mówią o tobie, czekają na ciebie, nazywają cię „ten z krwi i kości”, „kamyk w stawie”, „dawca śmierci”, Caharin? Skąd się wzięły te dotyczące ciebie przepowiednie? Niby dlaczego potrafiłeś zrozumieć niektóre z nich, skoro nikt nie potrafił ich rozszyfrować przez całe wieki, całe tysiąclecia? Niby dlaczego wypełniłeś inne z nich?

- Ale to wcale nie znaczy, że to miałem być właśnie ja. Gestem dała znać,

że nie zamierza ani się z tym zgodzić, ani temu zaprzeczyć.

- Któż wie, czy magia subtraktywną wreszcie znalazła dziecko, w którym się mogła objawić, czy też wreszcie odnalazła dziecko, w którym się miała objawić. Proroctwo musi mieć swoje jądro. Musi istnieć coś, co zrodzi przyszłość, choćby to był jedynie kolor oczu, który odziedziczyłeś. Coś musi to zapoczątkować. Czy w tym wypadku jest to traf czy zamysł?

- Wolałbym myśleć, że to przypadkowy ciąg zdarzeń.

- Jeśli tak ci się podoba. Ale czy teraz ma to znaczenie, Richardzie? To ty się urodziłeś z magią, którą Baraccus uwolnił z zamknięcia w tamtym świecie. To do twoich narodzin chciał doprowadzić, czy to przypadkiem, czy świadomie. W końcu liczy się tylko to, że właśnie ty urodziłeś się z darem owej magii.

Chłopak przypuszczał, że ona ma rację. Nie miało znaczenia, co właściwie do tego wszystkiego doprowadziło; taka wiedza i tak niczego by nie zmieniła.

Matka westchnęła i podjęła opowieść.

- Tak czy inaczej, dopiero wtedy, po wszystkich przygotowaniach mających doprowadzić do urzeczywistnienia się jego zamiarów, Baraccus wyszedł ze swojej enklawy i skoczył w objęcia śmierci. Ci, którzy spisywali księgi, nie wiedzieli, że był tam wystarczająco długo, żeby wysłać żonę z pilną tajną misją. Wróciła i dowiedziała się, że on nie żyje.

Richardowi kręciło się w głowie. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Nieoczekiwane wyjaśnienia tak dawnych wydarzeń przyprawiały go o zawrót głowy. Był jednak w Świątyni Wichrów, wiedział zatem, że to możliwe. Oddał zdobytą tam wiedzę za powrót do świata życia. Choć utracił tę wiedzę, pozostała mu świadomość, jaka była rozległa. Wyrzeczenia się zdobytej wiedzy w zamian za powrót do Kahlan zażądał duch Rahla Poępnego, jego prawdziwego ojca.

- Zbolała Magda Searus postanowiła się poddać eksperymentowi wymyślonemu przez Merritta. Postanowiła się stać Spowiedniczką. Wiedziała, że może nie przeżyć nieznanymi zagrożeniami owych czarów, lecz jej świat skończył się ze śmiercią ukochanego męża, Pierwszego Czarodzieja. Uznała, że nie ma już po co żyć, chyba tylko po to, żeby się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za brzemienne w skutki wydarzenia, które doprowadziły do śmierci jej męża. I dlatego zgłosiła się do tego, zdaniem

wszystkich, zgubnego w skutkach eksperymentu. Ale przeżyła. Dużo później pokochała Merritta, a on ją. To on przywrócił do życia jej świat. Opisy tych czasów są miejscami niejasne, niektórych fragmentów brak, inne są przedstawione w chronologii zdarzeń, lecz prawdą jest, że Merritt był jej drugim mężem.

Richard musiał usiąść na marmurowej ławie. To było niemal za trudne do pojęcia. Implikacje były oszałamiające. Ciężko mu było pogodzić te wszystkie zbieżności: że to właśnie on po tysiącach lat urodził się z darem magii subtraktywnej; że Baraccus ostatni poszedł do Świątyni Wichrów, którą potem dopiero on, Richard, odwiedził; że Baraccus był mężem kobiety, która została pierwszą Spowiedniczką, on sam zaś zakochał się w Spowiedniczce, samej Matce Spowiedniczce, czyli Kahlan, i poślubił ją.

- Kiedy Magda Searus dotknęła swoją nową mocą Spowiedniczki Lothaina, dowiedzieli się, co uczynił w Świątyni Wichrów, o czym przedtem wiedział tylko Baraccus.

Richard podniósł wzrok.

- Co zrobił?

Matka popatrzyła mu w oczy, jakby spojrzała w duszę.

- Kiedy Lothain był w Świątyni Wichrów, zdradził, postarawszy się o to, żeby szczególnie, zamknięta tam magia dostała się w przyszłości do świata życia. Imperator Jagang urodził się z mocą, której Lothain pozwolił się wydostać z bezpiecznego, zdawałoby się, zamknięcia w tamtym świecie. Czyli z mocą Nawiedzającego Sny.

- Ale dlaczego Lothain, główny oskarżyciel, miałby zrobić coś takiego? W końcu to on zadbał o to, żeby całą ekipę Świątyni Wichrów stracono za szkody, jakie wyrządziła.

- Lothain zapewne zaczął uważać, podobnie jak wrogowie w Starym Świecie, że magię należy wyplenić z ludzkiej rasy. Sądzę, że jego fanatyzm znalazł nowe ujście. Lothain wyobraził sobie, że jest zbawcą ludzkości. I chcąc ją zbawić, zadbał o powrót Nawiedzającego Sny do świata życia, aby oczyścić ów świat z magii. Baraccus z jakiegoś powodu nie mógł zapieczętować wyłomu dokonanego przez Lothaina, nie był w stanie, że się tak wyrażę, anulować zdrady. Więc zrobił to, co w tej sytuacji było najlepsze. Zadbał o to, by zrównoważyć wyrządzoną szkodę, by był ktoś, kto będzie walczyć z siłami mającymi zniszczyć tych z darem, ktoś z niezbędnymi do

tego umiejętnościami. Czyli ty, Richardzie. Baraccus zadbał o to, żebyś się urodził i przeciwdziałał temu, co uczynił Lothain. I dlatego jedynie ty, Richardzie Rahlu, możesz powstrzymać Ład.

Chłopakowi zrobiło się słabo. Przez to wszystko poczuł się tak, jakby był jedynie pionkiem wykorzystywanym w niewiadomym celu, frajerem przeżywającym zaaranżowane przez innych życie i odgrywającym z góry ustaloną rolę w walce. Miał wrażenie, że wszystko zostało ustalone przed tysiącletkami.

Shota - jakby czytała w myślach Richarda - nadal wyglądając jak jego matka, współczująco położyła mu dłoń na ramieniu.

- Baraccus zadbał o to, by zrównoważyć wyrządzoną szkodę. Nie ustalił z góry, jak to powinno przebiegać, co ma się wydarzyć. Nie pozbawił cię wolnej woli, Richardzie.

- Tak myślisz? A mnie się wydaje, że jestem tylko ostatnią częścią tej układanki, wreszcie włączoną do gry. Nie dostrzegam w tym wszystkim swojej wolnej woli, swojego życia, swojego wyboru. Mam wrażenie, że to inni zdecydowali za mnie.

- Nie sądzę, żeby istotnie tak było, Richardzie. Raczej należałoby powiedzieć, że jest tak, jakby wyszkolili żołnierza do walki. Takie szkolenie daje możliwość osiągnięcia celu, czyli wygrania bitwy, jeśli do niej dojdzie. To wcale nie oznacza, że gdy dojdzie do walki, żołnierz nie ucieknie, lecz podejmie wyzwanie i będzie walczyć. A nawet, że jeśli będzie walczyć najlepiej, jak potrafi dzięki - szkoleniu i umiejętnościom, to wygra. Baraccus zadbał o to, żebyś miał odpowiednie możliwości, Richardzie. Zbroję, oręż i umiejętności, by w razie potrzeby walczyć o swoje życie i o swój świat. Nic poza tym. On zwyczajnie podał ci pomocną dłoń.

Pomocna dłoń wyciągnięta poprzez otchłań czasu. Richard był wyczerpany i oszołomiony. Miał wrażenie, że już nie zna siebie, nie wie, kim naprawdę jest, o jakiej części swojego życia sam zdecydował.

Wydawało mu się, że Baraccus nagle powstał z pyłu pradawnych kości, żeby nawiedzać go niczym fantom.

Rozdział 20

Jedna rzecz nie dawała Richardowi spokoju, nie pasowała do całości. Jak mógłby główny oskarżyciel, Lothain, odrzucić swoje przekonania, zwrócić się przeciwko wszystkim w Nowym Świecie? Przyszło mu do głowy, że tamtego oczarowały wierzenia Starego Świata, że dostał się pod ich wpływ, ale uznał, że to zbyt wygodne wyjaśnienie.

I nagle go olśniło - w jednym błysku zrozumienia. Aż mu zaparło dech w piersiach. Zawsze coś go niepokoiło w tych starych kronikach. Shota odświeżyła mu pamięć o tamtych wydarzeniach i dzięki temu wszystkie fragmenty układanki nagle wskoczyły na swoje miejsce. Teraz rozumiał, co jest w tej opowieści nie tak, co go zawsze niepokoiło. A kiedy już to rozumiał, nie mógł pojąć, dlaczego już dawno do tego nie doszedł.

- Lothain był żarliwym oskarżycielem - powiedział Richard na poły do siebie. Wszystko się błyskawicznie układało, kiedy tak mówił z szeroko otwartymi oczami, patrząc nieruchomo przed siebie. - Nie znalazł nowego ujścia dla swojego fanatyzmu. Nie zwrócił się przeciwko nim. Nie był zdrajcą. Był szpiegiem. Zawsze był szpiegiem. Był jak kret coraz bliżej podkopujący się do celu. Powoli, lecz skutecznie dążył do objęcia ważnej funkcji. Miał też współników, którzy potajemnie dla niego pracowali. Lothain był czarodziejem, który stał się nie tylko ogólnie szanowany, ale i potężny. Dzięki swej politycznej pozycji miał dostęp do najważniejszych miejsc. A kiedy wreszcie pojawiła się sposobność, do czego zresztą przyłożył rękę, zadziałał. Zadbął o to, żeby jego konspiratorzy zostali wyznaczeni do ekipy świątyni. Lothain i jego ludzie, zupełnie jak dzisiaj Ład, żarliwie wierzyli w swoją sprawę. To oni zaprzepaścili całą misję. To nie była zmiana poglądów ani chybiony akt dobrej woli. To było zaplanowane. Zamierzone. Wszyscy oni chcieli się poświęcić, umrzeć za to, co uważali za większe dobro. Nie wiem, ilu członków zespołu było szpiegami, może zresztą wszyscy, lecz było ich wystarczająco wielu, żeby zdołali osiągnąć cel. Bardzo możliwe, że udało im się przekonać pozostałych, żeby z nimi współpracowali, wmawiając im, że to ich moralna powinność. Było, rzecz jasna, nieuniknione, że inni czarodzieje z wieży dość szybko się zorientują, że cały projekt Świątyni Wichrów został narażony na szwank. Kiedy tak się

stało, Lothain był aż nadto chętny do oskarżenia całego zespołu świątyni i zadbał, żeby wszyscy zostali straceni. Nie chciał, by pozostał przy życiu ktoś, kto mógłby zdradzić, ile szkód wyrządzili. Lothain cały czas zamierzał utrzymać w tajemnicy to, co zrobili, żeby nie można było zastosować odpowiednich środków zaradczych. Szpiedzy, których wyznaczył do zespołu świątyni, chętnie poszli na śmierć, zabierając do grobu swoje tajemnice. A on, oskarżając i skazując cały zespół świątyni, zdołał pogrzebać wraz z nimi uknuty przez siebie spisek. Wyeliminował wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o rozmiarach wyrządzonych szkód. Był przekonany, że pewnego dnia jego współwyznawcy pokonają wszelki opór i zawładną światem. Wtedy stałby się największym bohaterem tej wojny. Pozostawała tylko jedna drobna sprawa. Po procesie „góra” nalegała, żeby ktoś poszedł do Świątyni Wichrów i naprawił szkody. Lothain, oczywiście, nie mógł na to pozwolić, bo wtedy poznaliby rzeczywisty rozmiar wyrządzonych szkód i mogliby ewentualnie temu przeciwdziałać. Oznajmił zatem, że sam pójdzie. Cały czas miał taki zamiar: w razie potrzeby pójść śladem zespołu i ukryć prawdę. Był głównym oskarżycielem, więc wierzono, że chce wszystko naprawić. Kiedy Lothain w końcu dotarł do Świątyni Wichrów, nie tylko zadbał o to, żeby szkód nie dało się naprawić, ale wykorzystał zdobytą tam wiedzę, żeby owe szkody jeszcze zwiększyć, tak by już nikt nie mógł odnaleźć i zapieczętować wyłomu. Potem zamaskował to, co zrobił, żeby się wydawało, iż wszystko zostało naprawione. Był tylko jeden problem: zmiany, których dokonał, wykorzystując wiedzę z samej świątyni, wystarczyły, żeby uruchomić alarm. Będąc w Świątyni Wichrów, na tamtym świecie, Lothain nie wiedział, że na tym świecie księżyc stał się czerwony. No i ujęto go, kiedy powrócił. Ale nie dbał o to. Z niecierpliwością oczekiwał śmierci, wiecznej chwały na tamtym świecie, na którą zasłużył swoimi uczynkami. Dokładnie tak, jak opowiadała Nicci o poglądach ludzi ze Starego Świata. Czarodzieje z wieży musieli się dowiedzieć, jakie szkody spowodował Lothain. Ale chociaż go torturowano, nie ujawnił całego planu. Magda Searus została Spowiedniczką, żeby poznać prawdę o tym, co się stało. Jednak była niedoświadczona i nadal się uczyła, działając. Mimo że posłużyła się swoją mocą, wówczas nie zdawała sobie jeszcze sprawy, jakie znaczenie ma zadawanie właściwych pytań. - Richard spojrział na matkę. - Kahlan powiedziała mi kiedyś, że samo uzyskanie wyznania jest łatwe. Najtrudniej

jest pojąć, jak zadawać właściwe pytania, żeby dotrzeć do prawdy. Merritt dopiero co odkrył moc Spowiedniczki. Nikt jeszcze nie pojął, jak ona działa. Kahlan całe życie uczono, jak się nią właściwie posługiwać, ale wtedy, tysiące lat temu, Magda Searus nie wiedziała, jak zadawać właściwe pytania, i to w odpowiedniej kolejności. Chociaż wierzyła, że udało jej się dowiedzieć od Lothaina, co uczynił, nie zdołała odsłonić całej rozciągłości jego zdrady. Był szpiegiem, a nie ustalili tego, chociaż wykorzystali moc pierwszej Spowiedniczki. I dlatego nigdy nie poznali całego zakresu szkód wyrządzonych przez ludzi Lothaina z zespołu Świątyni Wichrów.

Matka przyglądała mu się spod zmarszczonych w skupieniu brwi.

- Jesteś tego pewny, Richardzie? Skinął głową.

- Wreszcie to wszystko ma dla mnie sens. Po tym, co dodałaś do całej historii, wszystkie fragmenty, których nigdy wcześniej nie mogłem złożyć w całość, teraz do siebie pasują. Lothain był szpiegiem i poszedł na śmierć, nie wyjawiając, kim naprawdę jest oraz że umieścił w zespole Świątyni Wichrów swoich ludzi. Wszyscy umarli, nie wyjawiając prawdziwych rozmiarów szkód, jakie wyrządzili. Nikt, nawet Baraccus, nie zdawał sobie z nich sprawy.

Matka westchnęła i zapatrzyła się w dal.

- To z pewnością wyjaśnia niektóre luki w tym, co do mnie dotarło. - Znów na niego spojrzała, jakby go na nowo zobaczyła. - Znakomicie, Richardzie. Naprawdę wspaniale.

Chłopak potarł dłonią zmęczone oczy. Wcale nie był dumny z tego, że sięgnął w mroki historii i wydobył na światło dzienne takie nikczemne uczynki, napływające przez czas, żeby go dręczyć.

- Mówiłaś, że Baraccus zostawił dla mnie księgę. Potaknęła.

- Dał ją żonie, aby dla bezpieczeństwa zaniósła ją do jego sekretnej biblioteki. Była przeznaczona dla ciebie.

Richard westchnął.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Matka powoli splotła palce. - Podczas pobytu w Świątyni Wichrów spisał księgę, wspomagając się zdobytą tam wiedzą. Tylko on jeden ją czytał. Nikt nawet nie odchylił okładki, odkąd Baraccus skończył pisać tekst i zamknął księgę. Od tamtej pory spoczywa w jego tajemnej bibliotece.

Sama myśl o tym przyprawiła Richarda o dreszcz. Nie miał pojęcia, gdzie

też mogłaby być ta biblioteka, ale nawet gdyby ją odnalazł, nic by mu to nie pomogło. Nie sądził, by była na to szansa, ale na wszelki wypadek zapytał:

- Może wiesz, jak się zwie ta księga? Albo o czym jest? Matka z powagą skinęła głową.

- Ma tytuł Sekrety mocy czarodzieja wojny.

- Drogie duchy - wyszeptał Richard, patrząc na nią. Wsparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach. Był tak wstrząśnięty, że z trudem to do niego docierało. Ostatnia osoba, która trzy tysiące lat przed nim była w Świątyni Wichrów, zadbała o to, by świątynia uwolniła magię subtraktywną, z której darem on się urodził. Zrobiła to, żeby mógł się dostać do Świątyni Wichrów i powstrzymać zarazę wywołaną przez Nawiedzającego Sny, przyszedł na świat dlatego, że najpierw był w świątyni czarodziej Lothain i postarał się, by Nawiedzający Sny się narodził, zawładnął światem i zniszczył magię. Co więcej, ten sam człowiek, który zadbał o to, żeby Richard otrzymał dar magii subtraktywnej, zostawił mu księgę ze wskazówkami, jak korzystać z tej magii, żeby mógł pokonać Nawiedzającego Sny.

Kiedy Baraccus wrócił i popełnił samobójstwo, czarodzieje - mimo pojawienia się czerwonego księżyca lub innych znaków - zrezygnowali z prób dostania się do Świątyni Wichrów. Uznali, że to niemożliwe. Już nigdy nie byli w stanie tam dotrzeć i naprawić szkód, wyrządzonych najpierw przez zespół świątyni, a potem przez Lothaina. Jeden Baraccus zdołał zrobić cokolwiek, by przeciwdziałać zagrożeniu.

Całkiem możliwe, że to sam Baraccus postarał się, żeby nikt inny nie mógł już się dostać do Świątyni Wichrów - zapewne po to, aby żaden szpieg nie był w stanie zniweczyć tego, co zrobił, żeby zapewnić przeciwwagę dla zagrożenia, czyli narodziny Richarda.

Chłopak podniósł wzrok. Matki już nie było. Stała tam Shota. Fałdy jej zwiewnej szaty kołysały się lekko niczym na łagodnym wietrze. Zasmucił się, że matka zniknęła, lecz jednocześnie poczuł ulgę, bo trudno było rozmawiać z wiedźmą za pośrednictwem matczynego ducha.

- Gdzie jest ta biblioteka, w której Baraccus ukrył Sekrety mocy czarodzieja wojny?

Shota ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie wiem, niestety. I nie sądzę, żeby wiedział to ktoś poza Baraccusem i jego żoną, Magdą Searus.

Richard miał strój czarodzieja wojny, ostatnio noszony przez Baraccusa, nosił ten sam amulet co ów czarodziej i zapewne za sprawą Baraccusa otrzymał dar magii subtraktywnej. Baraccus zostawił też Richardowi księgę z instrukcjami, jak się posługiwać magią, którą dzięki jego staraniom chłopak odziedziczył.

- Bibliotek jest bardzo dużo. Któraś z nich mogłaby się okazać osobistą biblioteką Baraccusa. Orientujesz się, która mogłaby nią być?

- Wiem jedynie, że nie ma jej wśród tych innych bibliotek. To była jego i tylko jego biblioteka. Każda z ksiąg była wyłącznie jego własnością. Dobrze je ukrył. Do dziś nikt ich nie odnalazł.

- A dlaczego uznał, że nie należy zostawić tych ksiąg w bezpiecznej enklawie Pierwszego Czarodzieja?

- Bezpiecznej? Nie tak dawno nasłane przez Jaganga Siostry Mroku sprofanowały to miejsce. Zawiozły imperatorowi księgi i inne rzeczy. Jagang jest łasy na księgi, bo zawierają wiedzę, która pomaga mu w walce o władzę nad światem dla Ładu. Gdyby księga, którą Baraccus dla ciebie spisał, została w wieży, teraz mogłaby się znajdować w rękach Jaganga. Baraccus postąpił rozsądnie, nie zostawiając cennego dzieła tutaj, gdzie każdy mógłby je odnaleźć, gdzie każdy następny Pierwszy Czarodziej mógłby je odkryć i majstrować przy nim lub nawet je zniszczyć, żeby nie wpadło w niepowołane ręce.

Tak właśnie się stało z Księgą Opisania Mroków. Ann i Nathan, przez wzgląd na prorocstwo, pomogli George'owi Cypherowi sprowadzić ją do Westlandu, żeby Richard - kiedy już wystarczająco podrośnie - mógł się nauczyć na pamięć tekstu, a potem zniszczyć księgę, aby nie wpadła w niepowołane ręce. Okazało się, że bardzo by się przydała Rahlowi Posępnemu, który chciał otworzyć szkatuły Ordenu - te same, które teraz były w grze za sprawą dawnych Sióstr Ann więzących Kahlan, ostatnią Spowiedniczkę, która dzięki księdze pomogła chłopakowi pokonać Rahla Posępnego.

Richard uniósł wiszący na szyi amulet, który niegdyś należał do Baraccusa. Wpatrywał się w symbole opisujące taniec ze śmiercią. Zbyt wiele się z tym łączyło, żeby to był jedynie przypadek.

Popatrzył na Shotę.

- Chcesz powiedzieć, że Baraccus przewidział, co się wydarzy, i schował

księgę w lepiej zabezpieczonym miejscu?

Wiedźma wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, Richardzie, ale nie wiem. Być może był po prostu ostrożny. A zważywszy na jego powody i stawkę gry, taka ostrożność wydaje się nie tylko uzasadniona, ale i roztropna. Powiedziałam ci wszystko, co mogłam. Znasz wszystkie kawałki układanki, o których ja nie mam pojęcia. To wcale nie znaczy, że to już wszystko, ale dzięki innym źródłom znasz dodatkowe fragmenty historii, więc wiesz więcej ode mnie. Prawdopodobnie wiesz więcej niż ktokolwiek od czasów, kiedy czarodziej wojny Baraccus był Pierwszym Czarodziejem.

Richard zdawał sobie sprawę, że wszystkie uzyskane od Shoty wiadomości na nic mu się nie przydadzą, jeżeli nie znajdzie księgi, którą Baraccus dla niego przeznaczył. Bez tej księgi moce czarodzieja wojny były dla niego tajemnicą, były niemal bezużyteczne. Bez tej księgi nie było nadziei na pokonanie armii, która przyszła ze Starego Świata. Ład zawładnie światem i magia zostanie wypłeniona ze świata życia, tak jak to zaplanował Lothain. Bez księgi zamysł Baraccusa się nie powiedzie i Jagang zwycięży.

Chłopak spojrzał na przeszklony dach, setki stóp w górze, przez który wpadało nieco przedwieczornego światła, wspomagając blask lamp płonących w westybulu. Zastanawiał się, kiedy zapalono lampy. Nie przypominał sobie tego.

- Ta wiedza nigdy nie będzie bardziej potrzebna, Shoto. Jak mam powstrzymać Ład, jeżeli nie umiem wykorzystywać moich umiejętności czarodzieja wojny? Naprawdę nie możesz mi podpowiedzieć, jak odnaleźć tę księgę? Jeżeli wkrótce się czegoś nie dowiem, będzie po mnie. Po nas wszystkich.

Ujęła dłonią podbródek Richarda i spojrzała mu w oczy.

- Mam nadzieję, że wiesz, że gdybym miała pojęcie, jak zdobyć dla ciebie tę księgę, tobym ją zdobyła. Wiesz, jak bardzo chcę powstrzymać Imperialny Ład.

- Jak zdobywasz konkretną informację? Skąd się ona bierze? Dlaczego objawia ci się w określonej chwili, na przykład teraz? Dlaczego nie wtedy, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem? Albo wtedy, kiedy się starałem dostać do Świątyni Wichrów, żeby powstrzymać zarazę?

- Przypuszczam, że moje informacje pochodzą z tego samego miejsca, w którym ty znajdujesz odpowiedzi lub inspirację, kiedy rozmyślasz nad jakimś problemem. Dlaczego wtedy znajdujesz rozwiązania konkretnych spraw? Rozmyślałam o jakiejś sytuacji i czasem napływają ku mnie odpowiedzi. W gruncie rzeczy tak samo rodzą się pomysły w głowach wszystkich ludzi. Tyle że moje pomysły są charakterystyczne dla umysłu wiedźmy i jawią się jako zdarzenia w strumieniu czasu. Przypuszczam, że w bardzo podobny sposób poznałeś nagle prawdę o tym, co zrobił Lothain. Skąd ci się to wzięło? Sądzę, że bardzo podobnie działa to i u mnie. Gdybym wiedziała, gdzie są Sekrety mocy czarodzieja wojny, lub domyślała się, jak je odnaleźć, bez wahania bym ci to powiedziała.

Richard ciężko westchnął i wstał.

- Wiem, Shoto. Dziękuję za wszystko, co uczyniłaś. Postaram się to wykorzystać.

Wiedźma ścisnęła mu ramię.

- Muszę już odejść. Muszę odnaleźć tę drugą wiedźmę. Przynajmniej, dzięki Nicci, znam teraz jej imię.

Coś mu nagle przyszło do głowy.

- Ciekawe, dlaczego ma na imię Six? Shota spochmurniała.

- To uwłaczające imię. Wiedźma widzi mnóstwo rzeczy w strumieniu czasu, zwłaszcza odnoszących się do córek, które by mogła urodzić. Dla wiedźmy siódme dziecko jest wyjątkowe. Nazwać córkę Six to oznajmić, że zawiodła, że nie jest bez zarzutu. To jawna obelga, od urodzenia, za to, co matka przewiduje w związku z charakterem córki. To komunikat, że córka jest pełna wad. Nazwawszy córkę Six, matka zapewne poniosła śmierć z jej ręki.

- To dlaczego tak otwarcie coś takiego oznajmiła? Dlaczego nie nazwała córki inaczej, żeby uniknąć śmierci?

Shota patrzyła nań ze smutnym uśmiechem.

- Gdyż istnieją wiedźmy, które wierzą w prawdę, bo prawda może innym pomóc uniknąć niebezpieczeństwa. Dla takich kobiet kłamstwo byłoby jedynie zawiązkiem o wiele większych kłopotów, które by z niego wyniknęły. Dla nas prawda to jedyna nadzieja przyszłości. Dla nas przyszłość to życie.

- No cóż, wygląda na to, że imię pasuje do osoby powodującej takie kłopoty.

Uśmiech Shoty, chociaż i tak smutny, zniknął. Spochmurniała. Ostrzegawczo uniosła palec.

- Taka kobieta mogłaby z łatwością zataić swoje imię. Tymczasem ta je ujawnia, na podobieństwo odsłaniającego kły węża. Troszcz się o inne sprawy, a ją zostaw mnie. Wiedźma jest w najwyższym stopniu niebezpieczna.

Richard uśmiechnął się leciutko.

- Jak ty?

Shota nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jak ja.

Chłopak stał samotnie obok fontanny i patrzył, jak Shota wchodzi po schodach. Nicci, Cara, Zedd, Nathan, Ann i Jebra stali z boku, zbici w grupkę, i rozmawiali szeptem. Nie zwrócili uwagi na Shotę, kiedy mijala ich niczym niewidzialna zjawą.

Richard poszedł za nią. W drzwiach - ciemna sylwetka na jasnym tle - wiedźma odwróciła się, zupełnie jakby sama ujrzała jakąś zjawę. Wsparła na chwilę dłoń o futrynę.

- Jeszcze coś, Richardzie. - Jakiś czas badawczo patrzyła mu w oczy. - Kiedy byłeś mały, twoja matka zginęła w ogniu.

Richard skinął głową.

- To prawda. Pewien człowiek zaatakował George'a Cyphera, który mnie wychował i którego uważałem za ojca. Ten, który zaczął bójkę z moim ojcem, strącił ze stołu lampę i podpalił dom. Spaliśmy już z bratem w sypialni na tyłach. Ów mężczyzna wyciągnął ojca na zewnątrz i bił go, a matka wyniosła z płonącego domu brata i mnie. - Odkaszlnął; wspomnienie ciągle jeszcze budziło ból. Pamiętał, jak się z ulgą uśmiechnęła, rada, że już są bezpieczni, pamiętał też ostatni pospieszny pocałunek w czoło. - Kiedy mama się upewniła, że już nic nam nie grozi, wbiegła z powrotem, żeby coś uratować. Nigdy się nie dowiedzieliśmy co. Jej krzyki przywiodły tamtego człowieka do opamiętania i razem z ojcem starali się ją ocalić, ale im się nie udało... Było za późno. Żar był taki, że musieli się cofnąć i już nie mogli jej pomóc. Tamten mężczyzna, pełen poczucia winy i odrazy do własnego czynu, uciekł, szlochając, że przeprasza i że mu przykro. To była okropna tragedia, zwłaszcza że w domu już nikogo nie było i nie było też czego ratować. Nie było niczego wartego życia mamy. Umarła bez potrzeby.

Shota, stojąc w drzwiach wsparta dłonią o futrynę, patrzyła na niego całą wieczność. W jej postawie, w jej migdałowych oczach kryło się jakieś straszliwe przesłanie. W końcu powiedziała cicho:

- Nie tylko twoja matka zginęła w owym pożarze. Richard dostał gęsiej skórki. Jedno zdanie więdźmy i wszystko, co wiedział niemal przez całe życie, ulotniło się w tej chwili.

- O czym ty mówisz? Co masz na myśli? Shota ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Przysięgam na życie, Richardzie, że nic więcej nie wiem. Podszedł bliżej i chwycił ją za ramię, uważając, żeby nie ścisnąć zbyt mocno, choć z łatwością mógłby to zrobić, tak bardzo bowiem pragnął zrozumieć, dlaczego coś takiego powiedziała.

- Jak to nic więcej nie wiesz? Jak możesz powiedzieć coś tak niepojętego, a zaraz potem stwierdzić, że nic więcej nie wiesz? Jak możesz powiedzieć coś takiego o śmierci mojej mamy i zaraz potem już nic nie wiedzieć? To bez sensu. Musisz wiedzieć więcej.

Shota dotknęła policzka Richarda.

- Kiedy ostatnio przyszedłeś do kotliny Agaden, coś dla mnie zrobiłeś. Odrzuciłeś moją propozycję i powiedziałeś, że zasługuję na coś lepszego niż czyjeś wymuszone towarzystwo. Powiedziałeś, że zasługuję na kogoś, kto by mnie cenił za to, jaka jestem. Chociaż bardzo się wtedy rozgniewałam, twoje słowa zmusiły mnie do zastanowienia. Nikt mnie nigdy nie odtrącił, a ty uczyniłeś to ze słusznych powodów: bo się o mnie troszczysz, bo zależy ci, żebym dostała to, co nada mojemu życiu wartość. I zależy ci na tym na tyle, byś się naraził na mój gniew. Kiedy przybrałam postać twojej matki, ów dar podziałał na strumień płynących ku mnie informacji. I właśnie dlatego, gdy już miałam odejść, pojawiła się ta myśl: nie tylko twoja matka zginęła w tamtym pożarze. Jak wszystko, co wychwytyuję z przepływu zdarzeń w strumieniu czasu, objawiło mi się to jako swego rodzaju intuicyjna wizja. Nie mam pojęcia, co to oznacza, i nic więcej o tym nie wiem. Przysięgam, Richardzie. W normalnych warunkach zachowałabym dla siebie tę okruszynę informacji, bo wiąże się z nią tak wiele możliwości i niewiadomych. Ale przecież nie są to zwyczajne czasy. Uznałam, że powinieneś wiedzieć, co mi się objawiło. Uznałam, że powinieneś poznać wszystko, co wiem, najdrobniejszy fragment informacji. Nie wszystko,

czego się dowiaduję ze strumienia czasu, jest użyteczne i dlatego nie zawsze mówię ludziom o takich oderwanych cząstkach jak ta. Jednak w tym wypadku uznałam, że powinieneś się o tym dowiedzieć, na wypadek gdyby to coś dla ciebie znaczyło, gdyby mogło się okazać pożyteczne.

Richard był oszołomiony i zdezorientowany. Sam nie wiedział, czy wierzy, że to naprawdę znaczy to, co niby znaczy.

- Czyżby to oznaczało, że nie umarła sama, bo razem z nią umarła jakaś częśćka nas? Że nasze serca już nigdy nie będą takie jak przedtem? Że w tym sensie nie sama zginęła w pożarze?

- Nie wiem, Richardzie, naprawdę. Ale to całkiem możliwe. I może do tej pory nie miało to znaczenia, teraz zaś mogłoby ci jakoś pomóc. Nie zawsze wiem wszystko o tym, co objawia mi się w strumieniu czasu. Nie zawsze wiem, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Może być po prostu tak, jak powiedziałeś. Pomocna mogę być tylko wtedy, kiedy wiernie przekażę informacje, co i uczyniłam. Dokładnie tak mi się to objawiło: nie tylko twoja matka zginęła wtedy w ogniu.

Chłopak poczuł, jak łza spływa mu po policzku.

- Czuję się taki samotny, Shoto. Sprowadziłaś Jebre, żeby opowiedziała mi rzeczy, przez które będę mieć koszmary. Nie wiem, co teraz robić. Nie wiem. Tylu ludzi wierzy we mnie, liczy na mnie. Mogłabyś powiedzieć mi coś, co by mnie przynajmniej nakierowało we właściwą stronę, zanim będzie po nas?

Shota starła palcem łzę z jego policzka. Ten zwykły gest choć trochę dodał mu otuchy.

- Przykro mi, Richardzie. Nie znam odpowiedzi, które by cię ocaliły. Gdybym znała, to uwierz, proszę, z chęcią bym ci je przekazała. Ale wiem, że jest w tobie dobro. Wierzę w ciebie. Wiem, że masz w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć. Będą chwile, że w siebie zwątpisz. Nie poddawaj się. Przypomnij sobie wtedy, że w ciebie wierzę, że wiem, iż potrafisz dokonać tego, co dokonać musisz. Jesteś wyjątkową osobą, Richardzie. Wierz w siebie. Wiedz, że ja wierzę, iż jesteś tym, kto może tego dokonać.

Na zewnątrz, zanim poszła w dół granitowych schodów, odwróciła się. Była ciemnym kształtem na tle gasnącego światła dnia.

- Już nie ma znaczenia, czy Kahlan kiedykolwiek istniała czy nie. Teraz stawką jest cały świat życia, życie każdej istoty. Musisz zapomnieć o tym

jednym życiu, Richardzie, i myśleć o całej reszcie.

- Proroctwo, Shoto? - Chłopakowi było zbyt ciężko na sercu, by podniósł głos. - Coś ze strumienia czasu?

Shota pokręciła głową.

- Po prostu rada więdźmy. - Ruszyła ku padokowi po konia. - Stawka jest zbyt duża, Richardzie. Musisz przestać się uganiać za tym fantomem.

Kiedy Richard wrócił do westybulu, wszyscy byli stłoczeni wokół Jebry i rozmawiali cicho, przepełnieni współczuciem. Gdy chłopak do nich dołączył, Zedd umilkł w środku zdania.

- Raczej dziwne, mój chłopcze, nie sądzisz? Richard powiódł wzrokiem po zdumionych twarzach.

- Co jest dziwne? Zedd rozłożył ręce.

- Zew samym środku opowieści Jebry wiedźma wstała i zniknęła.

- Zniknęła - powtórzył ostrożnie Richard. Nicci skinęła głową.

- Sądziliśmy, że zostanie i coś doda, gdy Jebra skończy.

- Może musiała poszukać sobie kogoś do zastraszania - odezwała się Cara.

- A może chciała już ruszyć za tą drugą wiedźmą - westchnęła Ann.

- Może, jako wiedźma, nie przepada za pożegnaniem - zasugerował Nathan.

Richard nic nie powiedział. Już wcześniej widział, jak Shota zrobiła coś takiego - na przykład wtedy, kiedy się pokazała na jego ślubie i dała Kahlan naszyjnik. Wówczas też nikt jej nie słyszał, kiedy z nimi rozmawiała. I nikt nie widział, jak odeszła.

Tamci, z wyjątkiem Zedda, na nowo podjęli rozmowę. Dziadek Richarda sprawiał wrażenie nieobecnego i rozkojarzonego.

- Co się stało? - zapytał Richard.

Zedd potrząsnął głową, objął ramieniem barki wnuka i pochylił się ku niemu.

- Z jakiegoś powodu zacząłem rozmyślać o twojej matce - rzekł cicho.

- Mojej matce. Czarodziej potaknął.

- Naprawdę mi jej brakuje.

- Mnie też - powiedział Richard. - A skoro już o tym wspomniałeś, to wiedz, że i ja o niej myślałem.

Zedd zapatrzył się w dal.

- Tamtego dnia wraz z nią umarła i częśćka mnie. Chwilę potrwało, zanim Richard odzyskał głos.

- Domyślasz się może, po co wróciła do płonącego domu? Myślisz, że tam było coś ważnego? A może ktoś, o kim nie wiedzieliśmy?

Zedd pokręcił głową.

- Byłem przekonany, że musiała mieć ważny powód, ale sam przeszukałem pogorzelnisko. - Łzy napłynęły mu do oczu. - I znalazłem tylko jej kości.

Richard wyjrzał przez drzwi i zobaczył, jak zjawa siedzącej na koniu Shoty, nie oglądając się za siebie, rusza drogą.

Rozdział 21

Rachel przystanąła w głębi mrocznego wejścia. Było coraz ciemniej. Wolałaby nie widzieć tego, co namalowano na ścianach, ale niestety widziała. Wchodząc do jaskini, starała się zbyt nie przyglądać dziwnym scenom pokrywającym kamienne ściany. Niektóre obrazy przyprawiły ją o gęsią skórkę. Nie mogła pojąć, po co ktoś wyrysował takie okropne, okrutne rzeczy, za to dobrze pojmowała, dlaczego woleli je umieścić w jaskini, dlaczego woleli ukryć takie mroczne myśli przed światłem dnia.

Mężczyzna nieoczekiwanie ją popchnął. Rachel potknęła się i upadła na twarz. Łapczywie chwyciła powietrze, które tak gwałtownie uciekło jej z płuc. Wypluła ziemię, podpierając się na rękach. Była zbyt wściekła, żeby się rozplakać.

Zerknęła przez ramię i stwierdziła, że on - zamiast ją obserwować - patrzy tymi swoimi niepokojącymi złocistymi oczami w mrok, jakby błędził myślami gdzieś daleko i zupełnie o niej zapomniał. Spojrzała ku światłu, zastanawiając się, czy zdołałaby się przedostać koło jego długich nóg. Pomyślała, że mogłaby udać, iż idzie w jedną stronę, a potem skoczyć w drugą. To by się mogło powieść. Jednak był o wiele wyższy od niej i na pewno szybciej biegał, pomijając już fakt, że miała nogi odrętwiałe po długim związaniu. Gdyby tylko nie odebrał jej noży. Ale i tak, jeśli będzie szybka, może zdobędzie wystarczającą przewagę.

Tymczasem spojrział na nią, nim zdążyła spróbować. Złapał ją za kołnierz i postawił na nogi, a następnie pchnął naprzód, w głąb mrocznej jaskini. Rachel z trudem mijała sterczące z ziemi skalne wychodnie i przeskakiwała szczeliny. Zatrzymała się, bo dostrzegła przed sobą jakiś ruch.

- No, no - dobiegł z ciemności wysoki, ostry głos. - Goście.

Ostatnie słowo przeciągnięto tak, że przypominało syk węża.

Rachel zlodowaciała i szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w mrok, z przerażeniem myśląc, kto też może mieć taki głos.

Z mroków, niczym z zaświatów, zmaterializował się cień, sunąc ku nim w mglistym blasku.

Ale cienie się przecież nie uśmiechają, uświadomiła sobie Rachel. To była

kobieta, wysoka kobieta w długiej czarnej szacie. Jej długie, sztywne włosy też były czarne. Za to skórę miała tak bladą, iż wydawało się, że jej twarz sama płynie w ciemnościach. Przypominała Rachel skórę salamandry albinosa, kryjącej się za dnia pod liśćmi w poszyciu lasu i nigdy nie wychodzącej na słońce. Wszystko w tej kobiecie - od szorstkiej czarnej tkaniny szaty po kościste kłykcie i sztywne włosy - zdawało się zasuszone niczym spalony słońcem zewłok.

Uśmiechała się tak, jak według Rachel uśmiechałby się wilk na widok nieoczekiwanego obiadku.

Miała niebieskie oczy, lecz ich barwa wyblakła podobnie jak jej skóra, przez co sprawiała wrażenie ślepej. Jednak spojrzała na Rachel tak, że nie było najmniejszych wątpliwości, iż doskonale widzi nie tylko przy świetle, ale i zapewne w całkowitej ciemności.

- Lepiej niech to będzie warte zachodu - odezwał się mężczyzna za Rachel. - Ten bachor dźgnął mnie w nogę.

Dziewczynka łypnęła gniewnie przez ramię. Nie wiedziała, jak mu na imię. Nigdy jej tego nie zdradził. Właściwie odkąd ją porwał, prawie się nie odzywał, jakby była nie kimś, lecz czymś - jakimś przedmiotem, który zabrał. Traktował ją tak, że czuła się niczym worek ziarna rzucony na tył siodła. Lecz w tej chwili żal, strach, pragnienie i głód, odczuwane w trakcie długiej podróży, były zaledwie drobnymi, niemal zapomnianymi niedogodnościami.

- Zabiłeś Chase'a - powiedziała Rachel. - Zasługujesz na coś gorszego, niż ci zrobiłam.

- Kogo? - Kobieta się nachmurzyła.

- Tego, który z nią był.

- A, jego - powiedziała kobieta w czerni. - Zabiłeś go? - Nie wykazała zbytnej ciekawości. - Na pewno? Pochowałeś go?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie jest martwy. Ludzie nie zdrowieją z takich ran. Zakłęcie dobrze mnie chroniło, tak jak obiecałaś, więc w ogóle mnie nie zauważył. Nie traciłem czasu na grzebanie go, bo wiedziałem, że chcesz, bym jak najszybciej wrócił. , Nikły uśmiech kobiety stał się wyraźniejszy. Zbliżyła się, wyciągnęła rękę i przeczesła mu włosy długimi, kościstymi palcami. Jej upiorne niebieskie oczy bacznie mu się przyglądały.

- Bardzo dobrze, Samuelu - zagruchała. - Bardzo dobrze. Samuel

wyglądał jak pies drapany za uszami.

- Dziękuję, pani.

- I resztę też mi przywiozłeś?

Przytaknął z zapalem. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Rachel uważała go za bezlitosnego człowieka, może za sprawą jego dziwnych złocistych oczu, ale uśmiech maskował jego charakter. Z tym uśmiechem był całkiem przystojny, chociaż dla Rachel był i zawsze będzie potworem. Serdeczny uśmiech nie odmieni tego co zrobił.

Samuel niespodziewanie był w świetnym nastroju. Rachel jeszcze nie widziała go tak szczęśliwego. Co prawda większość czasu spędziła w worku, przywiązana na grzbiecie konia, więc tak naprawdę nie miała pojęcia, czy był wtedy w dobrym nastroju czy nie. I właściwie nie obchodziło jej to.

Chciała, żeby umarł. Zabił Chase'a - najwspanialszy dar, jaki dostała od życia. Chase był najlepszym ze wszystkich ludzi. Zabrał ją do siebie, kiedy uciekła od królowej Mileny, z zamku w Tamarang, i od tej okropnej księżniczki Violet. Kochał ją i opiekował się nią. Nauczył ją, jak dbać o siebie. Miał rodzinę, którą kochał i która go kochała i potrzebowała.

A teraz wszyscy go stracili.

Chase był taki wielki i tak doskonale władał bronią, że Rachel nawet nie przyszło na myśl, że ktoś mógłby go pokonać, a już zwłaszcza w pojedynkę. Ale Samuel zjawił się jak duch i ranił Chase'a, kiedy ten spał, przebił go tym ślicznym mieczem, o którym Rachel wiedziała, że absolutnie nie może być jego. Wolą nie myśleć o tym, jak zdobył ten miecz i kogo jeszcze nim zranił.

Samuel stał niczym głupek, ze zwieszonymi rękami i przygarbionymi ramionami, a ta kobieta głaskała go po włosach i szeptała pocieszające, przymilne słowa. Zupełnie nie był do siebie podobny. Wcześniej wydawał się dufny i pewny siebie. Stale pokazywał Rachel, że to on rządzi. Zawsze dokładnie wiedział, czego chce. Ale przy tej kobiecie był zupełnie inny. Rachel niemal się spodziewała, że wystawi język i zacznie się ślinić.

- Powiedziałeś, Samuelu, że przywiozłeś i tamto - rzekła tym swoim syczącym głosem.

- Tak. - Wskazał ku światłu. - Jest na koniu.

- Nie zostawiaj tam tego - powiedziała kobieta z nutką niecierpliwości. - Idź po to.

- Tak... Tak, już. - Aż się palił, żeby spełnić jej życzenie, i szybko zawrócił.

Rachel przyglądała się, jak biegnie przez jaskinię, przeskakuje kamienie leżące mu na drodze, czasem podpira się rękami i pospiesznie mija przyprawiającą o gęsią skórkę galerię rysunków, kierując się ku wyjściu. Zauważyła migoczące na ciemnych ścianach błyski światła. Kiedy usłyszała syki i trzaski, zorientowała się, że to światło pochodni. Odwróciła się i ujrzała, jak z mroków wyłania się jeszcze ktoś, trzymając pochodnię.

Aż rozdziawiła usta.

To była księżniczka Violet.

- No, no, czy to nie sierotka Rachel do nas wróciła? - odezwała się Violet. Zamocowała pochodnię w uchwycie na skalnej ścianie i stanęła obok kobiety w czerni.

Rachel o mało oczy nie wyszły z orbit. Nie była w stanie zamknąć ust. Zupełnie odebrało jej mowę.

- Violet, kochanie, coś mi się zdaje, że wystraszyłaś tę małą na śmierć. Zapomniałaś języka w gębie, mała?

Księżniczka Violet straciła kiedyś język. Ale odrósł. Jakoś odrósł, choć to się wydawało niemożliwe.

- Księżniczka Violet...

Violet wyprostowała się, prężąc szerokie ramiona. Wydawała się o połowę wyższa niż wtedy, kiedy Rachel ją ostatnio widziała. Wyglądała na grubszą. I starszą.

- Teraz królowa Violet.

Rachel aż zamrugnęła ze zdumienia.

- Królowa... ?

Uśmiech Violet mógłby zamienić ogień w lód.

- Tak, właśnie tak. Królowa. Bo widzisz, moja matka została zamordowana, kiedy uciekł ten człowiek, Richard. To była jego robota. Jest odpowiedzialny za śmierć mojej matki, za śmierć naszej ukochanej poprzedniej królowej. Sprowadził na nas wszystkich żałobę i okropne chwile. - Westchnęła ciężko. - Sprawy się zmieniły. Teraz ja jestem królową.

Rachel nie mogła w to uwierzyć. Królowa. To się wydawało niemożliwe. Ale przede wszystkim zdumiewało ją to, że Violet znów mogła mówić, choć przecież straciła język.

Violet uśmiechnęła się ponuro i zmarszczyła brwi.

- Uklęknij przed swoją królową.

Rachel jakby nie rozumiała tych słów. Skądś pojawiła się dłoń Violet i uderzyła tak mocno, że dziewczynka upadła.

- Uklęknij przed swoją królową!

Wrzask Violet poniósł się echem w ciemnościach.

Zszokowana i obolała Rachel, z trudem chwytając oddech, przycisnęła dłoń do policzka i z wysiłkiem uklękła. Czuła, jak krew spływa jej z brody. Violet była o wiele silniejsza niż przedtem.

Bolesny policzek sprawił, że nagle wróciła przeszłość, jakby wszystko było tylko snem i jakby Rachel znów budziła się do koszmarnego poprzedniego życia. Znowu była zupełnie sama, bez Gillera, bez Richarda, bez Chase'a, którzy by jej pomogli. Znowu była bezsilna wobec Violet, nie miała ani jednego przyjaciela.

Uśmiech Violet zniknął. Patrząc na klęczącą przed nią Rachel, zmrużyła oczy w sposób, który skłonił dziewczynkę do przełknięcia śliny.

- Wiedz, że mnie zaatakował. Kiedy był Poszukiwaczem, Richard zaatakował mnie i zranił, bez żadnej przyczyny. - Wsparła się pięściami pod boki. - Ciężko mnie zranił. Zaatakował i zranił dziecko! Szczeka mi pęczę. Zęby trzasnęły. Straciłam język, tak jak kiedyś zagroził. Nie mogłam mówić.

Jej głos przeszedł w warknięcie, które zmroziło Rachel do szpiku kości.

- Ale to było najmniejsze z moich cierpień. - Violet odetchnęła dla uspokojenia. Wygladziła na biodrach różową atlasową suknię. - Żaden z doradców mojej matki na nic się nie przydał. Jak przyszło co do czego, zmienili się w mamroczących głupców. Tylko bez końca proponowali mikstury i kataplazmy, okadzanie i zaklinanie. Zanosili modły i składali ofiary dobrym duchom. Przystawiali pijawki i bańki. Wszystko na nic. Nie byłam na pogrzebie matki. Leżałam wtedy nieprzytomna. Nawet gwiazdy nie miały nic do powiedzenia o moim stanie i rokowaniach. Doradcy głównie stali w pobliżu, załamując ręce i pewnie przy okazji spiskując, kto zagarnie koronę, gdy wreszcie umrę. Podejrzewam, że gdyby to szybko nie nastąpiło, któryś z nich pomógłby mi dołączyć do matki w zaświatach. Słyszałam ich zaniepokojone szepty, że mogą zostać królową. - Znowu odetchnęła dla uspokojenia. - W samym środku tego koszmaru bólu i cierpienia, niepokoju i żalu, coraz większego lęku, że mnie zamordują, pojawiła się Six i pomogła mi. - Wskazała stojącą obok niej kobietę. - Akurat wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowałam, zjawiała się i uratowała mnie.

Uratowała koronę i Tamarang, kiedy nikt inny tego nie mógł lub nie chciał zrobić.

- Ale, ale - wydukała Rachel - jesteś za młoda na królową. Już w chwili, kiedy wypowiedziała te słowa, wiedziała, że to błąd, że nie powinna tego mówić. Śmignęła drugą dłoń Violet i uderzyła Rachel w drugi policzek. Violet złapała dziewczynkę za włosy i brutalnie podniosła ją na kolana. Rachel przyłożyła dłoń do nowego pulsującego bólem śladu, a drugą otarła krew z ust.

Violet wzruszyła ramionami, obojętna na ból i krew będące jej dziełem.

- Poza tym dorosłam w ostatnich kilku latach. Nie jestem już dzieckiem, którym wtedy byłam i za które wciąż mnie uważasz. Nie jestem dzieckiem z czasów, kiedy tu mieszkaliśmy, korzystając z naszej uprzejmości i hojności.

Rachel wcale nie uważała, że Violet dorosła na tyle, by zostać królową, ale nie była taka głupia, żeby to drugi raz powiedzieć. Poza tym miała za dużo rozumu, by ciemienie uznać za „uprzejmość”.

- Six pomogła mi odzyskać zdrowie. Uratowała mnie.

Rachel podniosła wzrok na bladą, uśmiechniętą twarz.

- Zaofiarowałam swoje usługi. Violet przyjęła mnie na zamek. Doradcy jej matki z całą pewnością nie byli jej w niczym pomocni.

- Six użyła swojej mocy, żeby wyleczyć moją połamaną i zakażoną szczękę. Bardzo osłabłam, bo mogłam jedynie sączyć cieniutki bulion. Z pomocą Six mogłam w końcu znowu jeść i odzyskałam siły. Pojawiły się nawet nowe zęby. O ile wiem, nikomu jeszcze nie wyrósł trzeci komplet zębów, a mnie tak. Ale wciąż nie mogłam mówić, więc kiedy się wystarczająco wzmocniłam, Six posłużyła się swoją niezwykłą mocą i dała mi nowy język. - Mocno zacisnęła pięści. - Język, który utraciłam przez Poszukiwacza.

- Poprzedniego Poszukiwacza - poprawiła ją szeptem Six.

- Poprzedniego Poszukiwacza - przyznała Violet znacznie spokojniej.

Na jej pulchną twarz wrócił pełen zadowolenia z siebie uśmiech. Rachel aż za dobrze go znała.

- Teraz zaś sprowadzono cię z powrotem. - W głosie pobrzmiwała groźba nie wyrażona w słowach.

- A co z nimi wszystkimi? - spytała Rachel, próbując zdobyć czas na zastanowienie się. - Ze wszystkimi doradcami królowej?

- Ja jestem królową!!! - Najwyraźniej, wraz z całą resztą, przybrał na sile i charakterek Violet.

Six delikatnie dotknęła jej pleców, a ona zerknęła na nią i się uśmiechnęła. Znow odetchnęła dla uspokojenia, zupełnie jakby jej przypomniano, że ma się odpowiednio zachowywać.

- Nie potrzebuję doradców matki - odpowiedziała. - W końcu i tak byli do niczego. Teraz Six pełni tę funkcję i robi to o wiele lepiej niż którykolwiek z tych głupców. W końcu żaden z nich nie potrafił sprawić, żeby odrósł mi język, czyż nie?

Rachel spojrzała na Six. Powrócił wilczy uśmieszek. Upiorne niebieskie oczy zdawały się patrzeć prosto w duszę dziewczynki.

- To wykraczało daleko poza ich umiejętności - powiedziała kobieta spokojnym tonem, w którym wyczuwało się jednak potężną moc. - Za to znajdowało się w zakresie moich.

Rachel zastanawiała się, czy Violet rozkazała, żeby stracono wszystkich doradców. Kiedy ostatni raz była w zamku, Violet, u boku matki, akurat zaczynała skazywać na śmierć. Teraz, gdy była królową i miała wsparcie Six, na pewno nic nie mogło stanąć na przeszkodzie jej zachciankom.

- Six oddała mi mój język. Oddała mi głos. Poszukiwacz myślał, że mi to odebrał, ale przywrócono mi to. Tamarang jest szczęśliwie w moich rękach.

Gdyby to nie było takie przerażające i okropne, Rachel roześmiałyby się na samą myśl, że Violet jest królową. Kiedyś była uczestniczką zabaw księżniczki, jej panną do towarzystwa, a w gruncie rzeczy jej osobistą niewolnicą. Matka Violet, królowa Milena, wzięła Rachel z sierocińca, żeby córka miała na kim ćwiczyć władanie ludźmi, kogoś młodszego, z kim by sobie łatwo dała radę i kogo mogłaby wykorzystywać.

Rachel nie tylko uciekła, ale i zabrała ze sobą cenną szkatułę Ordenu królowej Mileny, którą to szkatułę w końcu oddała Richardowi, Zeddowi i Chase'owi.

To było dawno temu. Violet wyglądała teraz na szesnaście lat, chociaż Rachel nie bardzo potrafiła ocenić wiek starszych. Za to z całą pewnością była o wiele większa niż wtedy, kiedy dziewczynka widziała ją ostatni raz. Nawet matowe włosy były dłuższe. Kości stały się grubsze, cięższe. Jej twarz, podobnie jak reszta, była pulchna, lecz z tymi małymi, ciemnymi, wyrachowanymi oczami straciła dziecinne cechy. Violet wyglądała jak

dorośla osoba, która już-już ma się wydostać z poczwarki. Zawsze była znacznie starsza od Rachel, ale teraz ta różnica jeszcze się zwiększyła.

Ale i tak nie wyglądała na kogoś na tyle dorosłego, żeby móc być królową. Jednak królową była.

Rachel okropnie bolały nagie kolana, dotykające skały. Ale nie ośmieliła się zapytać, czy może wstać. Za to postanowiła o coś zapytać.

- Violet... Plask.

Nim dziewczynka zdążyła się zorientować, Violet uderzyła, zupełnie jakby czekała na pretekst. Rachel zakręciło się w głowie. Miała wrażenie, że cios obluzował jej zęby. Ostrożnie wodziła po nich językiem, póki się nie upewniła, że nadal są na miejscu.

- Królowo Violet - warknęła tamta. - I nie pomyśl się znowu, bo zostaniesz wydana na tortury jako podżegająca do zdrady.

Rachel przełknęła zaciskającą jej gardło kulę strachu.

- Tak, królowo Violet.

Violet ucieszyła się z tego zwycięstwa. Naprawdę była królową.

Rachel wiedziała, że dziewczyna gustuje jedynie w najwymyślniejszych rzeczach, najwspanialszych ozdobach, czy to draperiach, czy półmiskach, najpiękniejszych sukniach, najcenniejszych klejnotach. Dążyła do tego, żeby się otoczyć wszystkim, co najlepsze... a była wtedy jedynie księżniczką. Tym dziwniejsze było to, że się znalazła w jaskini.

- Królowo Violet, co robisz w tym okropnym miejscu? Violet przyglądała jej się chwilę, a potem pomachała przed buzią Rachel czymś, co przypominało kawałek kredy.

- Moja spuścizna, moje dziedzictwo.

Rachel nie zrozumiała.

- Twoje co?

- Mój dar. - Violet nonszalancko wzruszyła ramionami. - No, może nie dar, ale coś bardzo zbliżonego. Bo widzisz, pochodzę z długiej linii artystów. Pamiętasz Jamesa? Nadwornego artystę?

Rachel potaknęła.

- Miał jedną rękę.

- Tak - rzekła przeciągle Violet. - Trochę za bezczelny, żeby mu to mogło wyjść na zdrowie. Tylko dlatego, że był krewnym królowej, wyobraził sobie, że ujdą mu na sucho pewne niedyskrecje. Mylił się.

Rachel zamrugnęła ze zdumienia.

- Krewnym?

- Dalekim kuzynem czy czymś w tym rodzaju. Miał w sobie odrobinę królewskiej krwi. A ta wyjątkowa krew przynosi jedyny w swoim rodzaju dar... sztuki. W rodzinie władców Tamarang nadal pojawia się ten starodawny talent. Matka nie miała owej zdolności, lecz się okazało, że przekazała ją mnie. Ale wtedy jedyną znaną nam osobą, która miała ów rzadki dar, był James. I dlatego służył jako nadworny artysta, służył koronie i mojej matce, królowej Milenie. Poszukiwacz, poprzedni Poszukiwacz, Richard, zanim narobił kłopotów, które doprowadziły do zamordowania mojej matki, zamordował także Jamesa. Nasza kraina po raz pierwszy w historii została pozbawiona usług artysty mających chronić koronę. Nie wiedzieliśmy wtedy, że i ja mam ów prastary talent. - Wskazała stojącą przy niej wysoką kobietę. - Six go we mnie dojrzała. Powiedziała mi o moich cudownych zdolnościach. Pomagała nauczyć się z tego korzystać, kierując mną w moich... lekcjach sztuki. Wielu ludzi nie chciało, żebym została królową. Nawet niektórzy z najwyższych doradców. Na szczęście Six doniosła mi o potajemnych spiskach. - Zatrzymała kredę przed buzią Rachel. - Zdrajcy znaleźli swoje podobizny na tych ścianach. Zadbałam, żeby wszyscy się dowiedzieli, co czeka zdrajców. Dzięki temu oraz pomocy Six i rady zostałam królową. Już nikt nie śmie mi się sprzeciwiać.

Rachel, kiedy jeszcze mieszkała w zamku, uważała, że Violet jest w najwyższym stopniu niebezpieczna. Nie miała wówczas pojęcia, o ile bardziej niebezpieczna księżniczka się stanie. Poczła przytłaczającą ją bezsilność.

Violet i Six podniosły wzrok, gdy usłyszały nadchodzącego spieszenie Samuela. Rachel, bojąc się, że Violet znowu ją uderzy, uznała, że lepiej się nie oglądać. I tak słyszała, jak sapie zbliżający się Poszukiwacz.

Violet machnęła ręką, nakazując dziewczynce się odsunąć. Rachel natychmiast usłuchała, szczęśliwa, że znajdzie się poza zasięgiem ręki tamtej, choć nie poza zasięgiem jej władzy.

Samuel niósł skórzany worek związany sznurkiem. Położył go ostrożnie i rozpostarł. Popatrzył na Six. Gestem nakazała, żeby robił swoje.

To była jakaś szkatułka. Kiedy się wynurzyła z worka, Rachel ujrzała, że jest czarna niczym sama śmierć. Pomyślała, że mogłoby ich wessać w tę

czarną pustkę i że wtedy zniknęliby w zaświatach.

Samuel uniósł tę ponurą rzecz ku Six. Uśmiechając się, wzięła ją z jego ręki.

- Jak obiecałam - powiedziała do Violet - daję ci szkatułę Ordenu królowej Mileny.

Rachel pamiętała królową Milenę trzymającą tę szkatułę z taką samą trwożliwą czcią. Tyle że teraz szkatuła nie była pokryta srebrem, złotem i klejnotami. Zedd wyjaśnił Rachel, że prawdziwa szkatuła kryła się pod tymi klejnotami. To musiało być to samo pudełko, które Rachel wyniosła cichcem z zamku, jak ją o to prosił czarodziej Giller.

A teraz Giller nie żył, Richard nie miał swojego miecza, a Rachel ponownie była w łapach Violet. Violet zaś, jak przedtem jej matka, miała cenną szkatułę.

Violet uśmiechnęła się z wyższością.

- Widzisz, Rachel? I na cóż mi ci starzy, bezużyteczni doradcy? Czy daliby radę osiągnąć choć część tego, co ja osiągnęłam? Bo w przeciwieństwie do tych słabych ludzi, z którymi się zmówiłaś, ja zawsze trwam przy czymś, póki nie dopnę swego. Tak się jest królową. Mam z powrotem szkatułę Ordenu. I mam z powrotem ciebie. - Znów zamachała kredą. - I będę mieć Richarda, którego spotka kara.

Six westchnęła.

- Zakończmy już to radosne spotkanie. Masz, o co prosiłaś. Muszę omówić z Samuelem jego następne zadanie, a ty powinnaś wrócić do swojej lekcji sztuki.

Violet uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Tak, moja lekcja. - Zerknęła gniewnie na Rachel. - Ana ciebie czeka w zamku stalowa klatka. No i jest jeszcze sprawa twojej kary.

Six skłoniła głowę.

- Odchodzę, moja królowo.

Violet gestem udzieliła jej pozwolenia. Six złapała ramię Samuela i ruszyli. Musiał uważać, żeby nie upaść, stąpając po gładkich lub omijając je. Za to Six - wydawało się - bez wysiłku sunęła w ciemnym świetle.

- Chodź - odezwała się Violet pozornie radosnym tonem, który zmroził Rachel krew w żyłach. - Możesz się przyglądać, jak rysuję.

Violet chwyciła pochodnię, a Rachel stanęła na zdrętwiałych nogach i

poszła za swoją królową. Chwiejący się płomień oświetlał ściany pokryte obrazami okrucieństw, które czyniono ludziom. Nie było ani odrobiny miejsca wolnego od jakiejś straszliwej sceny. Rachel okropnie tęskniła za Chase'em, za jego opiekuńczością, za jego uśmiechem, kiedy dobrze wykonała zadanie, za dodającą otuchy dłonią na swoim ramieniu. Tak bardzo go kochała. A Samuel go zabił, zabił wszystkie jej marzenia i sny. Z otępiającą rozpaczą szła za Violet, coraz głębiej w mrok, coraz głębiej w szaleństwo.

Rozdział 22

Nicci dostrzegła w oddali Richarda. Stał przy blankowanym zewnętrznym murze, w pobliżu podstawy niebosiężnej wieży, i patrzył na leżące daleko w dole opuszczone miasto. Zmierzch przygasił barwy odchodzącego dnia i pofałdowane odległe łąki poszarzały. Cara stała w pobliżu chłopaka, milcząca, lecz czujna.

Nicci na tyle dobrze znała Richarda, że z łatwością wyczytała z jego postawy wzmożone napięcie. I na tyle dobrze znała Carę, żeby dostrzec echa jego stresu tłące się za świadomym spokojem Mord-Sith. Przycisnęła pięść do kurczącego się z niepokoju żołądka.

Nad ich głowami kłębiły się niebieskoszare chmury, z których od czasu do czasu spadała gruba kropla deszczu. Na odległych górskich przełęczach huczał grzmot, zapowiadając burzliwą noc. Powietrze - mimo mroku i kłębiących się chmur - było osobliwie nieruchome. Spiekota dnia nagle zniknęła, jakby uciekając przed burzą, która lada chwila miała się rozpętać.

Nieci dotarła do nich. Zatrzymała się, oparła dłoń o krenelaż i głęboko wciągnęła wilgotne powietrze.

- Rikka powiedziała, że chcesz mnie widzieć. Mówiła, że to pilne.

Nastrój Richarda dorównywał nadciągającej burzy.

- Muszę stąd odejść. Natychmiast.

Nicci właściwie się tego spodziewała. Spojrzała na Carę stojącą z drugiej strony chłopaka, ale Mord-Sith nie zareagowała. Richard chodził zamyślony przez te dni. Był jakby nieobecny, gdy rozważał to wszystko, czego się dowiedział od Jebry i Shoty. Zedd doradził Nicci, żeby pozwoliła mu w spokoju to przetrwać. Nie potrzebowała tej rady - zapewne lepiej niż oni wszyscy znała jego mroczne nastroje.

- Idę z tobą - oświadczyła, jasno dając do zrozumienia, że nie życzy sobie sprzeciwów.

Potaknął z roztargnieniem.

- Dobrze będzie mieć cię przy sobie. Zwłaszcza w tym wypadku. Ulżyło jej, że nie protestował, ale ostatnie słowa tylko wzmogły niepokój. W powietrzu wyczuwało się niemal namacalne niebezpieczeństwo. W owej chwili zależało jej tylko na jednym: żeby - bez względu na to, co zamierza -

był jak najlepiej chroniony.

- Cara też idzie.

Richard cały czas patrzył w dal.

- Oczywiście.

Nicci zorientowała się, że on patrzy na południe.

- Skoro Tom i Friedrich już wrócili, Tom będzie nalegać, żebyśmy i jego wzięli. Jego umiejętności bardzo się przydadzą.

Tom należał do elitarnej jednostki strażników lorda Rahla. Miły i spokojny, był niezrównany w pełnieniu swych obowiązków. Na tak zaufanych obrońców lorda Rahla nie wybierano ludzi tylko dlatego, że mieli miły uśmiech. Podobnie jak inni d'harańscy strażnicy lorda Rahla, Tom zaczął bardzo osobiście traktować obowiązek chronienia Richarda.

- Nie może z nami pójść - stwierdził Richard. - Będziemy podróżować sylfą. Tylko Cara, ty i ja możemy tak podróżować.

Nicci przełknęła ślinę na myśl o takiej podróży.

- A dokąd się udajemy, Richardzie?

Jego szare oczy wreszcie na nią spojrzały. Swoim zwyczajem patrzył jej w oczy tak, jakby zaglądał w duszę.

- Wymyśliłem - powiedział.

- Co?

- Co powinienem zrobić.

Nicci poczuła, jak jej palce mrowią z nieokreślonego lęku. Nieugięte postanowienie widoczne w szarych oczach sprawiło, że ugięły się pod nią kolana.

- A co powinieneś zrobić, Richardzie? Zastanawiał się chwilę.

- Czy już ci dziękowałem, że powstrzymałaś Shotę, kiedy mnie dotknęła?

Nicci nie spieszyła nagła zmiana tematu. Nauczyła się, że Richard ma taki zwyczaj. Robił tak zwłaszcza wtedy, gdy był ogromnie wzburzony. Im bardziej był poruszony, tym więcej spraw kłębiło się równocześnie w jego umyśle. Jakby nieustanna gonitwa myśli wciągała wszystko w wir rozważań.

- Tak, Richardzie. Ze sto razy. Lekko skłonił głowę.

- No cóż, dziękuję.

Głos znów miał chłodny i obojętny, bo wracał do mrocznych rozrachunków, od których zależała przyszłość.

- Sprawiała, że cierpiełaś, czyż nie.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu, w który Nicci coraz bardziej wierzyła po wizycie Shoty. Nie wiedziała, co wiedźma zrobiła, ale żałowała, że pozwoliła nawet na to przelotne dotknięcie. Trudno było powiedzieć, co Shota mogła przekazać tym dotknięciem, choć było tak krótkie. W końcu błyskawica też trwa krótko. Richard nigdy nie powiedział, co Shota mu ukazała, a Nicci z jakiegoś powodu bała się o to dopytywać. Chłopak ciężko westchnął.

- Tak. Ukazywała mi prawdę. Po części dzięki tej prawdzie zrozumiałem wreszcie, co muszę zrobić. Choć bardzo się tego obawiam...

Zamilkł, a Nicci cierpliwie ponowiła pytanie:

- I co twoim zdaniem powinieneś zrobić?

Richard mocniej zacisnął palce na kamiennym murze i znów zapatrzył się na mroczniejącą daleko w dole okolicę, a potem na ciemniejące jeszcze dalej góry.

- Miałem rację na początku. - Spojrzał na Carę. - Wtedy, gdy zabrałem ciebie i Kahlan w góry Westlandu.

Cara się nachmurzyła.

- Pamiętam, jak mówiłeś, że wracamy w te odludne góry, bo zrozumiałeś, że nie możemy wygrać wojny, walcząc z armią Imperialnego Ładu. Powiedziałeś, że nie poprowadzisz ich do takiej bitwy, którą z całą pewnością przegrają.

Richard skinął głową.

- I miałem rację. Teraz to wiem. Nie możemy pokonać ich armii. Shota pomogła mi to zrozumieć. Może starała się mnie przekonać, że muszę przyjąć tę bitwę, ale teraz wiem, po części dzięki temu, co ona i Jebra mi ukazały, że nie możemy w niej zwyciężyć. I wiem też, co powinienem uczynić.

- I cóż to takiego? - ponagliła go Nicci.

Richard wreszcie się cofnął od kamiennego krenelażu.

- Musimy ruszać. Teraz nie mam czasu wszystkiego wyjaśniać.

Nieci poszła za nim.

- Spakowałam trochę rzeczy. Są gotowe. Richardzie, czemu nie możesz mi powiedzieć, co postanowiłeś?

- Powiem - odparł. - Później.

- Marnujesz czas - powiedziała do niej półgłosem Cara, dołączając do

nich. - Już tego próbowałam, ale w końcu miałam dość.

Richard, usłyszawszy uwagę Cary, złapał Nicci za ramię i przyciągnął do siebie.

- Jeszcze nie skończyłem się nad tym zastanawiać. Muszę to sobie poukładać. Wyjaśnię wszystko, jak się tam dostaniemy, wszystkim wyjaśnię... ale teraz nie mamy na to czasu. W porządku?

- Dokąd się dostaniemy? - spytała Nicci.

- Do armii d'harańskiej. Główne siły Jaganga wkrótce wejdą do D'Hary. Muszę powiedzieć naszym wojskom, że nie mamy szansy zwyciężyć w zbliżającej się bitwie.

- To z całą pewnością doda im ducha - odezwała się Cara. - Nic lepiej nie wpływa na morale żołnierzy w przeddzień bitwy jak dowódca mówiący im, że przegrają i umrą.

- Wolalibyś, żebym ich okłamał? - zapytał Richard. Odpowiedzią Mord-Sith było gniewne spojrzenie. Na końcu rampartu chłopak otworzył ciężkie dębowe drzwi u podstawy wieży. Za nimi była komnata, w której już zapalono kilka lamp. Nicci słyszała, jak ktoś wbiega po bocznych kamiennych schodach.

- Richard!

To był Zedd z wielkim, jasnowłosym D'Harańczykiem, Tomem. Richard przystanął, czekając, aż dziadek dotrze do szczytu schodów i wejdzie do skromnej kamiennej komnaty. Zedd znalazł się przy nich, chciwie chwytając powietrze.

- Richardzie! Co się dzieje? Wpadła Rikka, mówiąc, że odchodzisz.

Richard skinął głową.

- Chciałem, żebyś wiedział, że muszę odejść. Ale wkrótce wrócę. Za parę dni będę z powrotem. Miejmy nadzieję, że w tym czasie ty, Nathan i Ann znajdziecie w księgach coś, co się przyda w sprawie chainfire. Może nawet uda się wam odkryć jakąś radę na skażenie wywołane przez demony.

Zedd z irytacją machnął ręką.

- Skoro już przy tym jesteśmy, to może byś chciał, żebym przepędził tę burzę?

- Nie złość się na mnie, Zeddzie, proszę. Muszę iść.

- W porządku, ale dokąd i dlaczego?

- Jestem gotowy, lordzie Rahlu - oznajmił Tom, wpadając do komnaty.

- Przykro mi - powiedział Richard - ale nie możesz iść. Będziemy musieli skorzystać z sylfy.

Zedd wyrzucił ręce w górę.

- Sylfa! Zrobiłeś, co w twojej mocy, żeby mnie przekonać, że magia zanika, a teraz zamierzasz powierzyć życie magicznej istocie?! Rozum ci odbiera, Richardzie? Co się dzieje?

- Jestem świadomy niebezpieczeństwa, ale muszę zaryzykować - rzekł Richard i wskazał na coś. - Widzisz tę promienistą gwiazdę na drzwiach enklawy Pierwszego Czarodzieja? - Kiedy Zedd przytaknął, chłopak postukał w srebrną bransoletę. - Taka sama jak ta tutaj.

- No i? - zapytał Zedd.

- Pamiętasz, jak mówiłem, co oznacza ten symbol? To napomnienie, by nie koncentrować się tylko na jednej sprawie. Nakaz, żeby dostrzegać wszystko równocześnie, nie dawać niczemu pierwszeństwa. Oznacza, że nie możesz pozwolić, by wróg przyciągnął twoją uwagę i kazał ci się skupić na tym, co chce ci ukazać. Jeżeli na to pozwolisz, będziesz ślepy na wszystko inne. I tak właśnie postępowałem. Jagang zmuszał mnie, zmuszał każdego, do skupienia uwagi na jednej sprawie. A ja, jak głupi, właśnie to robiłem.

- Jego armia - odgadła Nicci. - O to ci chodzi? Że wszyscy zajmowaliśmy się tylko jego nacierającą armią?

- Właśnie. Ta promienista gwiazda oznacza, że musisz być otwarty na wszystko, nigdy nie poprzestawać tylko na jednym, nawet gdy walczysz z wrogiem. Oznacza, że zamiast się skupiać na jednej sprawie, musisz mieć umysł otwarty na wszystko, i to nawet wtedy, kiedy trzeba utrzymywać w centrum uwagi to jedno główne zagrożenie.

Zedd przekrzywił głowę.

- Musisz skupić uwagę na zagrożeniu, przez które możesz zginąć, Richardzie. Jego armia liczy miliony żołnierzy. Nadchodzą, by zgnieść wszelki opór i zamienić nas w niewolników.

- Wiem. I dlatego nie możemy z nimi walczyć. Bo przegramy. Twarz Zedda spurpurowiała.

- Zatem proponujesz, żeby nie stawiać oporu i pozwolić jego armii wdrzeć się do Nowego Świata? Zamierzasz pozwolić armii Jaganga swobodnie zajmować miasta i dopuścić, żeby stało się to wszystko, co w Ebinissii? To wszystko, o czym opowiadała nam Jebra? Chcesz beztriosko

pozwolić, żeby tych wszystkich ludzi wymordowano lub zamieniono w niewolników?

- Myśl o rozwiązaniu - przypomniał Richard dziadkowi - a nie o problemie.

- Niezbyt pocieszająca rada dla tych, którym podcinają gardło.

Richard zamarł i wpatrywał się w dziadka. Słowa Zedda najwyraźniej odebrały mu mowę.

- Posłuchaj - powiedział w końcu, przeczesując włosy palcami. - Teraz nie mam na to wszystko czasu. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę. Liczy się czas. Już i tak zbyt wiele go zmarnowałem. Mam jedynie nadzieję, że nadal wystarczająco dużo go nam zostało.

- Wystarczająco dużo na co?! - ryknął Zedd.

Nicci usłyszała, że ktoś biegnie po schodach. Do komnaty wpadła Jebra.

- Co się dzieje? - spytała Zedda.

Czarodziej machnął ręką ku Richardowi.

- Mój wnuk postanowił, że musimy przegrać wojnę, że nie powinniśmy walczyć z armią Jaganga.

- Chyba nie mówisz tego poważnie, lordzie Rahlu - rzekła. - Nie możesz poważnie rozważać, czy pozwolić tym bestiom... - Zamilkła i zbliżyła się, wpatrzona w Richarda. Znieruchomiała, a potem chwiejnie cofnęła się o krok.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

Otworzyła usta. Bez skutku usiłowała coś powiedzieć. Przerazenie wykrzywiło jej rysy.

Błękitne oczy uciekły jej w tył głowy i zemdłała.

Kiedy padała, Tom chwycił ją i ostrożnie położył na granitowej posadzce. Wszyscy otoczyli nieprzytomną kobietę.

- Co się stało? - zapytał Tom.

- Nie wiem - odparł Zedd, klękając przy Jebrze i dotykając jej czoła. - Zemdłała, ale nie wiem dlaczego.

Richard ruszył ku drzwiom prowadzącym na żelazne schody, które wiodły w głąb wieży.

- Zajmij się nią, Zeddzie, jesteś wspaniałym uzdrowicielem. Jest w dobrych rękach. Nie mogę sobie teraz pozwolić na dalsze marnowanie czasu. - Jeszcze się odwrócił od drzwi. - Wrócę najszybciej, jak mi się uda,

obietuję. Nie powinno nam to zająć więcej niż parę dni.

- Ale Richardzie...

Już ruszył w dół żelaznymi schodami.

- Wróć - zawołał do nich, a jego głos wzbudził echa w mrokach.

Cara bez wahania podążyła za nim do ciemnej wieży. Nicci nie chciała, żeby zbyt daleko odszedł bez niej, ale wiedziała, że będzie musiał przywołać sylfę, więc ma jeszcze kilka chwil. Zedd sprawdzał rozmaite punkty na głowie Jebry, Nicci zaś przysiadła przy nieprzytomnej naprzeciwko czarodzieja. Dotknęła czoła Jebry.

- Ależ rozpalone.

Zedd spojrzał na nią tak, że w Nicci zamarło serce.

- To wizja.

- Skąd wiesz?

- Wiem coś o jasnowidzących w ogóle, a o tej tu w szczególności. Miała potężną wizję. Jebra jest wrażliwsza niż większość jasnowidzących. I jej uczucia, przy pewnych rodzajach wizji, czasem biorą nad nią górę. Ta wizja musiała być niezwykle silna i wyrazista, skoro pozbawiła ją przytomności.

- Sądzisz, że to dotyczyło Richarda?

Zedd pewnie nie chciał zgadywać, ale Jebra, nim zemdląca, spojrzała Richardowi w oczy. Nicci nie miała czasu na bawienie się w dyskrecję. Nie mogła pozwolić, by Richard bez niej odszedł - a wiedziała, że to zrobi, jeżeli jej nie będzie, kiedy już przyjdzie pora - równocześnie jednak nie mogła odejść, nie wiedząc, czy Jebra miała dotyczącą go wizję, która ujawniła coś ważnego.

Wsunęła rękę pod szyję Jebry i przycisnęła palce do podstawy jej czaszki.

- Co robisz? - spytał podejrzliwie Zedd. - Jeżeli robisz to, o czym myślę, to jest to nie tylko lekkomyślne, ale i niebezpieczne.

- Podobnie jak niewiedza - odrzekła Nicci, uwalniając moc. Jebra gwałtownie otworzyła oczy. Zachłysnęła się oddechem.

- Nie...

- No już, już - pocieszał ją Zedd. - Już wszystko dobrze, moja droga. Jesteśmy przy tobie.

- Co widziałaś? - spytała Nicci, nie marnując czasu.

Jebra spojrzała na nią przerażonymi oczami. Wyciągnęła rękę i chwyciła Nicci za kołnierz.

- Nie zostawiaj go samego!

Czarodziejka nie musiała pytać, o kim Jebra mówi.

- Dlaczego? Co widziałaś?

- Nie zostawiaj go samego! Ani na chwilę nie spuszczaaj go z oczu!

- Dlaczego? - spytała ponownie Nicci. - Co się stanie, jeżeli będzie sam?

- Jeżeli zostawisz go samego, będzie dla nas stracony.

- W jakim sensie? Co widziałaś?

Jebra oburącz przyciągnęła ku sobie twarz Nicci.

- Idź. Nie pozwól, żeby był sam. Nie ma znaczenia, co widziałam. Jeżeli nie będzie sam, to się nie wydarzy. Rozumiesz? Jeżeli pozwolisz, żeby się oddzielił od ciebie i Cary, nie będzie miało znaczenia, co widziałam. Dla nikogo z nas nie będzie miało znaczenia. Nie mogę ci wyjaśnić znaczenia rozdzielania. Mogę jedynie powiedzieć, że bez względu na wszystko nie wolno ci do tego dopuścić. Tylko to jest ważne. Idź! Bądź przy nim!

Nicci przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Lepiej zrób, co mówi - doradził jej Zedd. - W tym wypadku nic nie mogę poradzić. Wszystko zależy od ciebie. - Chwycił ją za rękę niejako Pierwszy Czarodziej, lecz dziadek Richarda. - Bądź przy nim, Nicci. Chroń go. Pod wieloma względami jest Poszukiwaczem, lordem Rahlem, przywódcą imperium D'Hary, ale w sercu wciąż jest leśnym przewodnikiem. Jest naszym Richardem. Chroń go, błagam. Wszyscy na ciebie liczymy.

Nicci wpatrywała się w niego, słuchając tak nieoczekiwanej osobistej prośby. Prośby, która wykraczała poza ogólniejszą potrzebę bronięcia wolności Nowego Świata i sprowadzała to wszystko do ukochania Richarda jako człowieka. Zrozumiała w owej chwili, że bez szczerzej, zwyczajnej troski o Richarda jako takiego cała reszta nie ma znaczenia.

Zaczęła wstawać, ale Jebra znów ją przyciągnęła.

- To nie jest wizja typu „być może”, to nie prawdopodobieństwo. To całkowita pewność. Nie zostawiaj go samego, bo będzie zdany na ich łaskę.

- Czyją łaskę?

Jebra przygryzła dolną wargę, jej błękitne oczy wypełniły się łzami.

- Mrocznej wiedźmy.

Nicci wstrząsnął lodowaty dreszcz strachu.

- Idź - szepnęła Jebra. - Idź, proszę. Spiesz się. Nie zostawiaj go samego. Bądź przy nim.

Czarodziejka poderwała się i przemknęła przez komnatę. Zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła. Jej serce biło tak mocno, że się słaniała na nogach.

- Przysięgam, Zeddzie. Będę go chronić, póki będę oddychać. Patrzyła, jak Zedd skinął głową. Po ogorzałym policzku czarodziejka spływała łza.

- Spiesz się.

Nicci odwróciła się i zaczęła zbiegać żelaznymi schodami, po dwa stopnie naraz. Odgłos jej kroków niósł się echem w olbrzymiej wieży. Zastanawiała się, czego jeszcze Jebra dowiedziała się z wizji o losie czekającym Richarda, gdyby został z nimi rozdzielony, gdyby został sam. Ostatecznie jednak uznała, że w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, jakie jest to przeznaczenie z wizji, bo liczy się tylko jedno: za żadną cenę nie może dopuścić, żeby się spełniła.

W wieży unosiły się chmury nietoperzy wylatujących przez otwarte okna u szczytu. Ciągnęły na nocne łowy, a Nicci pędziła po schodach. Szum tysięcy błoniastych skrzydeł sprawiał, iż miało się wrażenie, że wieża wypuszcza powietrze z przeciągłym, cichym jękiem. Nie zatrzymując się, Nicci mijała żelazne drzwi na podestach. Czasem musiała się chwycić poręczy, żeby utrzymać równowagę. Na dole pobiegła chodnikiem okalającym cuchnącą wodę, która wypełniała dno wieży. Powierzchnia czarnej wody się marszczyła, kiedy małe stworzenia znikwały w atramentowym schronieniu.

Nicci wbiegła przez wyrwę po drzwiach wysadzonych, kiedy Richard zniszczył wielką barierę odgradzącą niegdyś Stary Świat od Nowego. Wieże utrzymujące ową barierę stały od czasów wielkiej wojny, od trzech tysięcy lat. W nowszych czasach była to przeszkoda powstrzymująca Jaganga i jego armię Imperialnego Ładu.

Nie byli w stanie przedrzeć się przez barierę. Ale Richard zniszczył te wieże, by móc powrócić do Nowego Świata po wymuszonym pobycie w Pałacu Proroków, i w rezultacie Imperialny Ład miał wolną drogę do Nowego Świata. Wojna nie wybuchła z winy Richarda, lecz nie mogłaby na nowo rozgorzeć, gdyby nie zniszczył bariery.

Richard i Cara stali na obmurowaniu wielkiej studni sylfy, istoty odgradzonej wraz ze Starym Światem, dopóki trwała wielka bariera.

Widoczna za nimi srebrzysta twarz sylfy obserwowała wbiegającą do

pomieszczenia Nicci.

- Chcesz podróżować? - Przedziwny głos sylfy wzbudził echa w komnacie.

- Tak, chcę - odparła zdyszana Nicci, chwytając swój plecak. Cara musiała go tu położyć. - Dziękuję - powiedziała do Mord-Sith.

Richard wyciągnął rękę, kiedy czarodziejka zarzucała plecak na ramię.

- Chodź.

Nicci ujęła jego dłoń, pozwalając, żeby jednym mocnym szarpnięciem wciągnął ją na obmurowanie. Miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła. Już tak podróżowała, znała zatem towarzyszące temu upojenie, a mimo to nie potrafiła się pozbyć lęku przed oddychaniem żywym srebrem sylfy. Taki pomysł był zupełnie sprzeczny z zasadą życiodajnego oddechu.

- Będziesz zadowolona - powiedziała sylfa, gdy Nicci dołączyła do tamtych.

Czarodziejka nie zaoponowała.

- Ruszajmy - odezwał się Richard. - Chcę podróżować.

Ze studni uniosło się połyskliwe ramię i otoczyło Richarda i Carę, ale nie Nicci.

- Czekaj! - krzyknęła Nicci. - Muszę iść z nimi. Sylfa znieruchomiała.

- Posłuchaj mnie, Richardzie. Musisz ująć dłoń Cary i moją. I za nic nie puszcząć.

- Już to robiłaś, Nicci. To będzie...

- Posłuchaj! Cara i ja ci ufamy, a ty musisz zaufać nam. Nie możesz się od nas oddzielić. Za nic. Nawet na chwilę. Jeżeli do tego dojdzie, będziesz dla nas stracony. Jeżeli tak się stanie, nie spełnią się twoje zamiary.

Richard w milczeniu przyglądał jej się przez chwilę.

- Czy Jebra miała wizję o czymś, co się stanie?

- Tylko jeżeli się z nami rozdzielisz. Tylko jeżeli zostaniesz sam.

- Co widziała?

- Wiedźmę, Six. Nazwalają „mroczną wiedźmą”. Richard znów badawczo ją obserwował.

- Shota szuka Six.

- Możliwe, ale Six już przywłaszczyła sobie władzę Shoty na jej terytorium.

- Może na chwilę. Ale nie chciałbym być w jej skórze, kiedy Shota ją

dopadnie. Obiła swój tron skórą osoby, która przyszła odebrać jej siedzibę, a był to czarodziej.

- Nie wątpię, że Shota jest bardzo niebezpieczna, ale przecież nie wiemy, jak groźna jest Six. Dar jest różny w poszczególnych osobach. Może się w końcu okazać, że Shota nie dorównuje Six. Wiem, że Siostry Mroku się jej bały. Jebra miała przeraźliwą wizję i mówi, że nie wolno cię zostawiać samego. Nie zamierzam pozwolić, żeby jej wizja się ziściła.

Musiał wyczytać na twarzy Nicci twarde postanowienie, bo skinął głową.

- W porządku. - Ujął jej dłoń i rękę Cary. - No to nie puszczajcie mnie, a wtedy nie będziemy się musieli tym przejmować.

Nicci ścisnęła dłoń Richarda. Nachyliła się za nim ku Carze.

- Rozumiesz? Nie możemy go spuścić z oczu. Nawet na chwilę. Mord-Sith zmarszczyła się gniewnie.

- A niby kiedy to zamierzałam spuścić go z oka?

- Dokąd chcesz podróżować? - zapytała sylfa.

Nicci zerknęła na Richarda i Carę i uświadomiła sobie, że pytanie było skierowane do niej.

- Tam, dokąd oni.

Na srebrzystej twarzy pojawiła się przebiegła mina.

- Nie mogę ujawniać, co robią inni moi goście, kiedy są we mnie. Powiedz, czego sobie życzysz, a zadowolę cię.

Nicci spojrzała pytająco na Richarda.

- Nigdy nie ujawnia niczego o innych. To swego rodzaju zawodowa dyskrecja. Udajemy się do Pałacu Ludu.

- Pałac Ludu - powiedziała Nicci. - Chcę podróżować do Pałacu Ludu.

- Podróżuje ze mną i z Carą - poinformował sylfę Richard. - Do tego samego miejsca. Rozumiesz? Ma być przy nas, kiedy będziemy tam podróżować.

- Tak, panie. Będziemy podróżować. - Twarz, przypominająca błyszczące oblicze posągu, uśmiechnęła się. - Będziesz zadowolony.

Ciekłe ramię stężało wokół całej trójki i ściągnęło ich z obmurowania. Nicci mocno ścisnęła dłoń Richarda.

Zanurzyli się w absolutną ciemność sylfy i Nicci wstrzymała oddech. Wiedziała, że musi oddychać, ale przerażała ją sama myśl o oddychaniu srebrzystą ciecżą. Oddychaj.

W końcu to zrobiła, spazmatycznie wciągając sylfę do płuc.

Kolory, blaski i kształty stopiły się wokół niej w jedno, tworząc fantastyczne widowisko. Nicci mocno trzymała dłoń Richarda, kiedy sunęli w jedwabistą dal. To było cudowne, leniwe, upojne poczucie nieprawdopodobnego pędu.

Nicci kolejny raz odetchnęła oszałamiającą istotą sylfy. Było to cudowne uwolnienie się od wszystkiego, co ją prześladowało, od ciężkiego brzemienia przytłaczającego jej duszę. Pozostał jej tylko kontakt z Richardem. Nie było niczego innego. Nie było nikogo innego.

To było upojenie.

Nie chciała, żeby to się skończyło.

Rozdział 23

Kahlan przyglądała się, jak trzy Siostry patrzą w dal, wypatrując jakiegokolwiek poruszenia. Słońce zachodziło i cienie zaczynały się zlewać w mroczną mgiełkę. Na południowym nieboskłonie, pod groźnymi szarymi chmurami zasnuwającymi ciemnofioletowe niebo, lśniły jeszcze resztki gasnącego dnia. Szczyty chmur obrysowane były czerwienią, co nadawało wieczorowi osobliwą, oniryczną aurę.

Tutejsze niebo, tak często pełne olbrzymich, kłębiących się chmur, zdawało się wprost bezkresne i Kahlan czuła się małeńka, mało znacząca. Płaskie równiny na południu ciągnęły się bez końca, aż po horyzont. Mało co rosło w tak niegościnniej okolicy, a nieliczne rośliny znajdowało się głównie w zagłębieniach.

Sunące nad okolicą chmury wlokły ze sobą słupy deszczu, ale tereny były tak rozległe, że deszcz był zawsze odległym, odosobnionym zjawiskiem. Kahlan podejrzewała, że gdyby ktoś stał w tym samym miejscu cały rok, czekając, aż przejdzie nad nim jeden z tych przygodnych, przelotnych opadów, nie doczekałby się tego. Jałowe ziemie sprawiały, że życie wydawało się kruche i skazane na zagładę. Jedynie góry na północy i wschodzie potrafiły wycisnąć deszcz z przesuwających się chmur.

Gdy konie parsknęły i uderzyły kopytami o ziemię, Kahlan mocniej ściągnęła wodze i z roztargnieniem pogłaskała jednego z nich, dając mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Zwierzę delikatnie szturchnęło ją łbem, domagając się dalszych pieszczot. Kahlan odwróciła wzrok od przeraźliwego pustkowia i znów pogłaskała konia.

Widziała odległe miejsce, w którym ściana gór przechodziła w masywny skalny cypel. Ów cypel, przypominający ogon śpiącej bestii, wydawał się najdalej wysuniętą częścią gór, którymi szły na południe. Kahlan chętnie wróciłaby w te góry. Góry dawały jej poczucie bezpieczeństwa, pewnie dlatego, że - w przeciwieństwie do otwartych równin - nie miała wrażenia, iż jest widoczna z odległości wielu mil. Na równinach czuła się nieosłonięta, wystawiona na widok. Zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, dlaczego ma takie odczucie, skoro raczej nie mogła już być w gorszej sytuacji niż teraz - zapomniana przez wszystkich niewolnica Sióstr.

Dziewczyna pomyślała, że na odległym skalnym cyplu dostrzega coś przypominającego budynki. Jeżeli wzrok jej nie mylił, to te budynki właściwie były zaledwie ruinami. Jeżeli to naprawdę były budynki, to kilka z nich chyba miało dachy. To, co początkowo pozbawione było sensu, zaczęło go nabierać, kiedy uznała, że mogą to być mury, które już dawno się zwały. To by tłumaczyło te dziwaczne kształty. Nie dostrzegała ani śladu ludzi. Pewnie i o nich już dawno zapomniano.

Nawet jeżeli to naprawdę były opuszczone budowle, to dawno wyludnione miejsca tak samo jak wszystko inne budziły nieufność Sióstr. Nieufność ta wynikała z poczucia całkowitej i absolutnej władzy, która znajdowała się już o krok. Ale w tej okolicy Kahlan była równie podenerwowana jak one.

Trzy Siostry milczały przez większość dnia, odzywając się tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Bark Kahlan wciąż pulsował bólem tam, gdzie Siostra Ulicia zniecka ją uderzyła. Nie była to kara za jakiś występki - prawdziwy czy wymyślony - lecz raczej surowe napomnienie, żeby nie sprawiła żadnych kłopotów. Siostry niekiedy dawały wyraz swojej przewadze nad innymi, choćby demonstrując, że mogą skrzywdzić Kahlan tylko dlatego, że przyszła im na to ochota. Musiała się nauczyć nad sobą panować, żeby któraś z Sióstr nie zorientowała się, co ona o tym myśli. Przetykała godność wraz z myślami i po prostu mówiła: „Tak, Siostrze”. - Kahlan nie sądziła, że to dobry pomysł tak krążyć w ciemnościach, zwłaszcza że docierały do okolic głęboko poślubionych i zerodowanych przez wodę spływającą z wyższych partii gór. Konie z łatwością mogłyby połamać sobie nogi. Ale Siostry, gnane pragnieniem dotarcia do Caski, nie zamierzały się zatrzymać, kiedy nadciągnął zmierzch. Zawsze było tak, jak chciały. Kahlan wcale się nie uśmiechało rozbijanie obozu w ciemnościach.

- Uważam, że ktoś tam jest - odezwała się cicho wpatrzona w mrok Siostra Armina.

- I ja coś wyczuwam - mruknęła Siostra Cecilia. Siostra Armina spojrzała wyczekująco.

- Może to Tovi.

- To może być jedynie dziki muł. - Siostra Ulicia wyraźnie nie była w nastroju do domysłów. - Ruszamy. - Obejrzała się na Kahlan. - Trzymaj się blisko.

- Tak, Siostró - powiedziała Kahlan i podała Siostróm wodze ich koni.

Siostra Cecilia, starsza od pozostałych, stęknęła z wysiłku, podciągając się na siodło.

- To, co pamiętam z unikatowych map z krypt Pałacu Proroków, wskazuje, że powinniśmy się już zbliżać do tego miejsca.

- I ja sobie przypominam, że widziałam tę prastarą mapę - odezwała się Siostra Ulicia, kiedy już była w siodle. - Określała to miejsce nazwą Głęboka Głusza. To by zaś oznaczało, że na tym odległym skalnym cyplu musi być Caska.

Siostra Armina westchnęła niecierpliwie, prowadząc swojego konia za tamtymi.

- Więć nareszcie znajdziemy tam Tovi.

- A kiedy się w końcu z nią spotkamy - rzekła Siostra Cecilia - będzie się musiała wytłumaczyć.

Siostra Armina wskazała ku dalekiemu skalnemu cyplowi.

- Znasz Tovi. Zawsze lekceważy to, co ma zrobić, bo uważa, że wie lepiej. To najbardziej uparta kobieta, jaką w życiu spotkałam.

Zdaniem Kahlan, Armina nie bardzo mogła tamtą krytykować.

- Przekonamy się, jaka jest uparta, kiedy ją chwycę za gardło - oznajmiła Siostra Cecilia.

Siostra Armina ponagliła konia i znalazła się obok Siostry Ulicii.

- Nie uważasz, że ona mogłaby coś knuć, Ulicio?

- Tovi? - Siostra Ulicia spojrzała przez ramię. - Nie, raczej nie. Może i jest czasem irytująca, ale ma ten sam cel co my. Poza tym równie dobrze jak my wie, że musimy mieć wszystkie trzy szkatuły. Wie, o co chodzi i jaka jest stawka. Wkrótce znów będziemy mieć wszystkie szkatuły, a tylko to się naprawdę liczy, i dotrzemy do Caski, więc właściwie nic by nam nie dało wcześniejsze dołączenie do Tovi. Tak czy inaczej, musiałyśmy się tu zjawić.

- Ale dlaczego nie zaczekała na nas? - dopytywała się Siostra Cecilia.

Siostra Ulicia wzruszyła ramionami. W przeciwieństwie do tamtych dwóch wydawała się spokojniejsza, odkąd Caska znalazła się w zasięgu wzroku.

- Może po prostu odkryła, że w pobliżu są oddziały Imperialnego Ładu, i chciała uniknąć ewentualnych kłopotów, więc odeszła stamtąd. Może po prostu ruszyła głową. Wiedziała, że musimy tu dotrzeć. Prawdopodobnie

dostrzegła szansę wymknięcia się i wykorzystała ją. Taka ostrożność bardziej się nam przysłużyła. W końcu Tovi szła tam, dokąd i tak miałyśmy pójść, więc naprawdę nie wiem, jaką intrygę mogłaby knuć.

- Założmy. - Siostra Cecilia wydawała się nieco rozczarowana brakiem czarnego charakteru, na którym mogłaby skoncentrować swój gniew.

Jechały w milczeniu jeszcze blisko godzinę, zanim do Sióstr dotarło wreszcie, że podróżowanie w ciemności przez taką okolicę grozi nie tylko złamaniem końskiej nogi, ale i skręceniem karku przez którąś z nich. Zdaniem Kahlan i tak nie były bliżej skalnego cypla niż przez większość dnia. Na równinach odległości były o wiele większe, niż się wydawało. Od tego, co początkowo wyglądało na odległe zaledwie o parę mil, mogło dzielić wiele dni jazdy. Mimo że Siostry pragnęły dotrzeć do Caski i spotkać się z Tovi, były zmęczone i gotowe zatrzymać się na noc.

Siostra Ulicia zsiadła z konia i podała wodze Kahlan.

- Rozbij obóz. Jesteśmy głodne. Kahlan skłoniła głowę.

- Dobrze, Siostrze.

Natychmiast spętała konie, żeby się nie oddaliły, a potem podeszła do jucznych zwierząt, by zdjąć im uprząż. Była przeraźliwie zmęczona, ale wiedziała, że upłynie zapewne jeszcze wiele godzin, nim będzie się mogła choć trochę przespać. Trzeba rozbić obóz i przygotować strawę, po czym nakarmić konie, napić je i oporządzić na noc.

Siostra Ulicia ujęła ramię Siostry Arminy i przyciągnęła ją ku sobie.

- Chcę, żebyś poszła i póki rozbijamy obóz, sprawdziła okolicę. Muszę wiedzieć, czy to na pewno tylko muł.

Siostra Armina skinęła głową i natychmiast odeszła w ciemność.

Siostra Cecilia obserwowała, jak Armina znika w mroku nocy.

- Naprawdę myślisz, że to muł?

Siostra Ulicia posłała jej ponure spojrzenie.

- Jeżeli to muł, to trzymał się od nas w tej samej odległości, kiedy jechałyśmy. A jeżeli to ktoś, kto nas obserwuje, to Armina go odnajdzie.

Kahlan wyciągnęła śpiwory, kiedy Siostry zażądały czegoś wygodniejszego niż goła ziemia, na czym by mogły usiąść. Potem wyjęła jeden z garnków, żeby się zabrać do przygotowywania posiłku.

- Żadnego ognia dzisiaj - oznajmiła Siostra Ulicia, spostrzegłszy Kahlan z garnkiem.

Dziewczyna wpatrywała się w nią chwilę.

- Więc co chcecie na kolację, Siostry?

- Został chleb. Możemy go zjeść z suszonym mięsem. Mamy też orzeszki piniowe. - Spojrzała w noc. - Nie chcę ogniska na otwartej przestrzeni, gdzie można by nas wypatrzyć z wielkiej odległości. Weź jedną z najmniejszych lamp.

Kahlan nie potrafiła pojąć, czego Siostry mogłyby się bać. Podała lampę Siostrze Arminie. Ta zapaliła ją kiwnięciem palca i postawiła na ziemi przed sobą i Siostrą Ulicią. Kahlan nie miała zbyt dużo światła przy rozpakowywaniu, ale zawsze było to lepsze niż nic.

Zdarzało się już, że napotykały je patrole wojska. Siostry nigdy nie były specjalnie wystraszone takimi nieoczekiwanymi spotkaniami z wrogimi oddziałami. Rozprawiły się z żołnierzami bez problemu... i bez litości.

Natrafwszy na patrol, Siostry dbały o to, żeby nie wymknął się żaden świadek, żeby żadne meldunki nie dotarły do armii. Kahlan podejrzewała, że takie meldunki doprowadziłyby wreszcie do tego, iż ścigałyby je liczne oddziały rozeźlonych żołnierzy. Ale Siostry niezbyt się tym przejmowały. Raczej wyglądało na to, że mają po prostu sprawę do załatwienia i nie chcą, żeby im cokolwiek przeszkodziło.

Najważniejsze było dla nich dotarcie do Tovi i ostatniej szkatuły, toteż nie szczydziły wysiłku, by jak najszybciej przebyć całą odległość. Kahlan była trochę zdziwiona, że jeszcze nie dogoniły Tovi, skoro dla Sióstr nic nie było tak ważne jak ich drogocenne szkatuły.

Tyle że to były szkatuły lorda Rahla. Siostry wykradły je z pałacu Richarda Rahla.

Pewnego razu, gnając tak, natrafiły na spory oddział wielkich żołdaków Imperialnego Ładu. Siostry nie mogły się doczekać, kiedy będą wreszcie w stanie wyminąć oddział i ruszyć za swoimi sprawami, ale żołnierzom wcale się nie spieszyło. Siostry poczekały i w samym środku nocy przeszły przez śpiący obóz. Ilekroć jakiś żołnierz je zobaczył, jedna z Sióstr rzucała ciche zaklęcie i bez zbędnych ceregieli likwidowała takiego świadka. Siostry nie miały żadnych skrupułów i bezwzględnie zabijały każdego, kto im stanął na drodze. Szły przez obóz spokojnie, bez strachu, niespiesznie. Tej nocy Kahlan widziała śmierć wielu żołnierzy. Dla Sióstr było to jak rozdeptywanie mrówek dających im się we znaki w obozie.

Ale to było dawno temu i od tamtej pory nie widziały żadnych oddziałów. Armia Imperialnego Ładu była teraz daleko za nimi i od jakiegoś już czasu nie musiały się nią przejmować. Nie oznaczało to jednak wcale braku innych zagrożeń, więc Siostry często były płochliwe jak sarny. Mimo to z łatwością mogły się nagle stać równie niebezpieczne jak żmije.

Siostra Armina już dawno wróciła bez żadnych wieści i wszystkie trzy Siostry się posiliły, gdy Kahlan jeszcze pracowała; musiała wszystko zrobić, zanim będzie jej wolno coś zjeść. Szczotkowała konie, kiedy wydało się jej, że usłyszała cichy odgłos kroków po jałowej ziemi. Wyrwało ją to z rozmyślań o żołnierzach. Ręka trzymająca zgrzebło znieruchomiała.

Kahlan obejrzała się przez ramię i z zaskoczeniem spostrzegła smukłą dziewczynę z krótkimi, ciemnymi włosami stojącą na granicy słabego blasku latarni.

Pędzone wiatrem chmury tylko od czasu do czasu odsłaniały księżyc i obóz oświetlała jedynie latarnia stojąca przy Siostrach, więc trudno było coś zobaczyć, ale Kahlan całkiem niezłe widziała wpatrzona w nią jasne oczy młodej kobiety.

Te oczy wyraźnie patrzyły na nią. Dziewczyna ją widziała.

- Proszę... - odezwała się, lecz Kahlan położyła palec na wargach, żeby była cicho, bojąc się, że Siostry ją usłyszą.

Dziewczyna, tak jak tamten mężczyzna, widziała i zapamiętywała Kahlan. A ona była zdumiona i równocześnie się bała, żeby dziewczyny nie spotkało to samo co oberżystę.

- Proszę - powtórzyła cichutko dziewczyna - mogę dostać coś do jedzenia? Jestem taka głodna.

Kahlan obejrzała się na Siostry. Rozmawiały. Sięgnęła do swojej sakwy, leżącej na stercie w pobliżu jej stóp, i wyjęła pasek suszonej sarniny. Znów położyła palec na ustach i podała mięso dziewczynie. Tamta kiwnęła głową, że rozumie, i ani pisnęła. Skwapliwie chwyciła oburącz mięso i natychmiast odgryzła kęs.

- Teraz odejdz - szepnęła Kahlan - zanim cię zobaczą. Pospiesz się.

Dziewczyna spojrzała na nią, a potem za nią. Szeroko otworzyła oczy. Przestała jeść.

- No, no - zza ramienia Kahlan rozległ się groźny głos - czyż to nie nasz mały muł przyszedł nas okraść?

- Była głodna - odezwała się Kahlan, mając nadzieję, że zmniejszy gniew Siostry Ulicii, zanim ten się na dobre rozпали. - Poprosiła o coś do jedzenia. Nie ukradła. Dałam jej moją strawę, nie waszą.

Pozostałe Siostry dołączyły do Siostry Ulicii i teraz wyglądało to tak, jakby w jednym rzędzie usiadły trzy sępy. Siostra Armina uniosła wyżej lampę, żeby lepiej widzieć. Wszystkie trzy miały takie miny, jakby chciały do czysta obdziobać kości dziewczyny.

- Pewnie czekała, aż pośniemy - rzekła Siostra Ulicia, nachylając się - żeby mogła poderżnąć nam gardła.

Oczy barwy miedzi zaśniły w świetle lampy, kiedy przestraszona młoda kobieta spojrzała na nie.

- Nie czałam się. Byłam głodna. Myślałam, że może uda mi się dostać coś do jedzenia. Nic więcej. Poprosiłam, nie ukradłam.

Młoda kobieta trochę przypominała Kahlan dziewczynkę z gospody Pod Białym Koniem, którą obiecała chronić, a którą Siostra Ulicia tak bezlitośnie zamordowała. Przerazenie tamtej dziewczynki wciąż prześladowało Kahlan nocami, zanim zasnęła. Wciąż cierpiała, że nie zdołała dotrzymać obietnicy. I chociaż mała nie była w stanie na tak długo zapamiętać słów Kahlan, żeby je zrozumieć, jej nadal było przykro, że obiecała ochronę i nie zdołała jej zapewnić.

Ta dziewczyna była trochę starsza i trochę wyższa. Kahlan czytała w jej oczach, że naprawdę pojmuje, co jej grozi. W miedzianych oczach widać było mądrą przezorność. Ale ciągle jeszcze była dzieckiem. Kobieta dopiero się stanie.

Siostra Armina znienacka uderzyła dziewczynę. Cios okręcił ją i posłał na ziemię. Siostra rzuciła się na nią. Dziewczyna osłoniła głowę rękami i usiłowała przeprosić, że zapytała o jedzenie. Siostra Armina biła ją i szarpała jej strój.

Kiedy Siostra wreszcie wstała, trzymała nie znany Kahlan nóż. Zakołysała nim w blasku lampy, a potem rzuciła go na ziemię, do stóp Siostry Ulicii.

- Miała to. Jak mówiłaś, pewnie zamierzała podciąć nam gardła, gdy zaśniemy.

- Nie chciałam nikogo skrzywdzić! - zawołała dziewczyna, kiedy Siostra Ulicia uniosła dębową łaskę.

Kahlan aż za dobrze wiedziała, co się szykuje, i zasłoniła sobą przerażoną dziewczynę.

Laska Siostry Ulicii grzmotnęła Kahlan w plecy, dokładnie w to miejsce, w które już kiedyś dostała. Dziewczyna drgnęła, usłyszawszy uderzenie dębowej laski w kość. Kahlan krzyknęła z bólu. Z całych sił odsunęła dziewczynę od Sióstr, starając się chronić ją przed ciosami.

- Zostawcie ją w spokoju! - wrzasnęła. - To jeszcze dziecko! Po prostu jest głodna! Nic złego wam nie zrobiła!

Chudziutkie ramiona spanikowanej dziewczyny mocno uczepliły się szyi Kahlan, jakby była jedynym korzeniem na skraju przepaści. Gdyby Kahlan mogła na miejscu ubić Siostry, na pewno by to zrobiła, lecz mogła tylko osłaniać dziewczynę. Wiedziała, że jeśli spróbuje z nimi walczyć, w odwecie Siostry ją odciągną, a wtedy już nic nie będzie mogła poradzić. Toteż jedynie osłaniała dziewczynę.

Siostra Ulicia znowu trafiła Kahlan w plecy, a ta zacisnęła zęby z bólu. Siostra raz za razem uderzała laską.

- Puść bachora! - wrzeszczała, bijąc Kahlan. Dziewczyna ledwo mogła oddychać z przerażenia.

- W porządku - udało się wydusić Kahlan - obronię cię. Obiecuję.

Tamta szepnęła jej na ucho:

- Dziękuję.

Kahlan nie tylko gorąco pragnęła ochronić to niewinne dziecko, ale i rozpaczliwie chciała zachować tę więź ze światem. Dziewczyna wiedziała, że Kahlan istnieje. Widziała ją, słyszała i zapamiętywała. Kahlan potrzebowała takiej więzi ze światem ludzi.

Siostra Ulicia podeszła bliżej i tłukła Kahlan, wyęszczając wszystkie siły. Kahlan wiedziała, że jest w poważnych tarapatkach, ale nie zamierzała dopuścić do tego, by skrzywdziły tę dziewczynę tak samo jak tamtą. Mała nie zasłużyła sobie na to, co one by jej zrobiły.

- Jak śmiesz...

- Jeżeli już chcesz kogoś zabić - krzyknęła Kahlan do Siostry Ulicii - to zabij mnie, a ją zostaw w spokoju! W niczym ci nie zagraża.

Siostra Ulicia najwyraźniej chętnie by to zrobiła. Aż stękała z wysiłku, okładając w amoku Kahlan. Biedaczce już się kręciło w głowie z bólu, ale nie zamierzała pozwolić, by Siostra dopadła dziewczynę.

A mała, osłonięta ciałem Kahlan, krzyczała ze strachu - nie przed tym, co Siostra mogłaby jej zrobić, lecz udręczona tym, co robiła Kahlan. Laska z głuchym łomotem uderzyła w głowę Kahlan. Niemal pozbawiło to bitą przytomności. Ale nadal nie chciała puścić dziewczyny. Krew sklejała jej włosy, ściekała po twarzy.

Wtem laska złamała się na plecach Kahlan. Większy kawałek poleciał w noc. Siostra Ulicia, zaślepiona wściekłością, dyszała, trzymając bezużyteczną końcówkę. Kahlan spodziewała się, że zaraz ją zabije, ale już o to nie dbała. I tak nie mogła uciec. Już nie miała przed sobą przyszłości. Gdyby nie mogła walczyć o życie niewinnej młodej dziewczyny, życie byłoby dla niej bezwartościowe.

- Ulicio - szepnęła Armina, łapiąc tamtą za nadgarstek - ona widzi Kahlan. Tak jak ten mężczyzna w gospodzie.

Siostra Ulicia wpatrywała się w towarzyszkę, najwyraźniej tym wstrząśnięta.

Siostra Armina uniosła brew.

- Musimy sprawdzić, co się dzieje.

Siostra Cecilia, nie usłyszawszy, co powiedziała Siostra Armina, podeszła z twarzą wykrzywioną gniewem i stanęła nad Kahlan.

- Jak śmiesz się sprzeciwiać Siostrze? Obedrzymy tego bachora żywcem ze skóry, a tobie każemy na to patrzeć, żebyś miała nauczkę.

- Siostrze? - spytała dziewczyna. - Wszystkie jesteście siostrami?

Noc zrobiła się nagle niesamowicie cicha. Kahlan okropnie kręciło się w głowie. Przy każdym oddechu miała wrażenie, że noże wbijają się jej między żebra. Po twarzy płynęły łzy wywołane bólem. Nie mogła powstrzymać dygotu, ale za nic nie puściłaby dziewczyny.

Siostra Ulicia odrzuciła resztkę złamanej dębowej laski.

- Jesteśmy Siostrami. I co z tego? - spytała podejrzliwie.

- Tovi kazała mi na was czekać. Chociaż nie bardzo mi wyglądacie na siostry Tovi.

Wszystkie znieruchomiały.

- Tovi? - spytała ostrożnie Siostra Ulicia. Dziewczyna skinęła głową. Wyrzała zza ramienia Kahlan.

- To starsza kobieta. Jest duża, większa od każdej z was, i wcale nie wygląda na waszą siostrę, ale kazała mi iść i czekać na swoje siostry.

Powiedziała, że wy trzy macie ze sobą inną kobietę.

- A niby czemu taka dziewczyna jak ty zrobiła to, o co prosiła Tovi?

Dziewczyna odgarnęła z twarzy ciemne włosy. Zawahała się, a potem odparła:

- Bo ona ma mojego dziadka. Powiedziała, że jeśli nie zrobię, co każe, to go zabije.

Ulicia uśmiechnęła się tak, jak zdaniem Kahlan uśmiechnąłby się wąż, gdyby tylko potrafił.

- No, no. Chyba rzeczywiście znasz Tovi. Gdzie ona jest? Kahlan uniosła się na jednej ręce.

Dziewczyna wskazała ku skalnemu cyplowi.

- Tam. Jest w izbie ze starymi księgami. Kazała mi pokazać sobie, gdzie są trzymane księgi. Powiedziała, żebym was do niej przyprowadziła.

Siostra Ulicia wymieniła spojrzenie z towarzyszkami.

- Być może już odnalazła główną składnicę w Casce. Siostra Armina zachichotała z ulgą i radośnie klepnęła Siostrę Cecilię w łopatkę. Ta się jej odwzajemniła.

- Jak to daleko? - spytała Siostra Ulicia, zniecierpliwiona.

- Jeżeli wyruszymy o brzasku, to całe dwa dni, może trzy. Siostra Ulicia jakiś czas patrzyła w mrok.

- Dwa lub trzy dni... - Spojrzała na dziewczynę. - Jak ci na imię?

- Jillian.

Siostra Ulicia kopnęła Kahlan w bok i ten niespodziewany cios zrzucił ją z dziewczyny.

- No, Jillian, możesz wziąć śpiwór Kahlan. Nie będzie go potrzebować. Za karę postoi całą noc.

- Błagam - powiedziała Jillian, kładąc dłoń na ramieniu Kahlan - gdyby nie ona, zostałybyście bez przewodniczki do Tovi. Błagam, nie karzcie jej. Oddała wam przysługę. Siostra Ulicia namyślała się chwilę.

- Coś ci powiem, Jillian. Skoro się wstawiasz za naszą nieposłuszną niewolnicą, pozwalam ci zadbać o to, żeby całą noc nie usiadła. Jeżeli nas nie usłucha, sprawię jej takie lanie, że będzie kuleć przez resztę życia. Ale możesz temu zapobiec, dbając, żeby przestała noc. Co ty na to?

Jillian przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała.

Siostra Ulicia chwyciła Kahlan za włosy i postawiła ją na nogi.

- Dbaj, żeby stała, bo inaczej będziesz odpowiedzialna za to, co jej zrobimy, jeśli nie usłucha. Zrozumiałaś?

Jillian skinęła głową, szeroko otwierając ze strachu oczy koloru miedzi.

Siostra Ulicia uśmiechnęła się chytrze.

- To dobrze. - Odwróciła się ku pozostałym Siostram. - Chodźcie. Prześpiemy się trochę.

Kiedy odeszły, Kahlan delikatnie położyła rękę na głowie siedzącej u jej stóp dziewczyny.

- Cieszę się, że cię poznałam, Jillian - wyszeptała cicho, żeby Siostry tego nie usłyszały.

Jillian uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję, że mnie ochroniłaś. Dotrzymałaś obietnicy - odparła, delikatnie ujęła dłoń Kahlan i na chwilę przycisnęła sobie do policzka. - Odkąd poznałam Richarda, ty jesteś najodważniejszą osobą.

- Richarda?

- Richarda Rahla. Był tu. Ocalił wtedy mojego dziadka, ale teraz...

Jillian umilkła i odwróciła oczy. Kahlan delikatnie pogłaskała ją po głowie, chcąc pocieszyć w cierpieniu. Wskazała brodą, mówiąc:

- Idź do tamtej sakwy, Jillian, i weź sobie coś do jedzenia. - Drżała z bólu i bardzo chciała się położyć, ale wiedziała, że Siostra Ulicia nie rzuca grózb na wiatr. - A potem, jeżeli zechcesz, posiedzisz ze mną przez noc? Bardzo by mi się przydała przyjaciółka.

Jillian uśmiechnęła się do niej. Taki szczery uśmiech dodał Kahlan otuchy.

- Rankiem dołączy do nas jeszcze jeden przyjaciel - powiedziała dziewczyna, a gdy Kahlan pytająco poruszyła brwiami, wskazała niebo. - Mam kruka, nazywa się Lokey. Przyleci rankiem i zabawi nas swoimi sztuczkami.

Kahlan uśmiechnęła się na myśl, że będzie miała kruka za przyjaciela.

Dziewczyna ścisnęła jej dłoń.

- Nie zostawię cię tej nocy, Kahlan. Obiecuję.

Choć tak ogromnie cierpiała i jej przyszłość zapowiadała się tak ponuro, Kahlan była radosna. Jillian żyła. Kahlan wygrała właśnie swoją pierwszą bitwę i to było upajające.

Rozdział 24

Richard szedł wśród zgromadzonych żołnierzy i dziękował im za powitanie skinieniami głowy i uśmiechem. Nie był w radosnym nastroju, ale bał się, że nie zrozumieliby, czemu się nie uśmiecha. Oczami pełnymi nadziei i wyczekiwania obserwowali, jak idzie pośród nich. Wielu stało, milcząc, z pięścią przyciśniętą do serca - był to nie tylko salut, ale i gest dumy. Richard nie mógł się zdobyć na wyjaśnianie im okropności, które ukazała mu Shota, więc uśmiechał się tak serdecznie, jak tylko zdołał.

Na horyzoncie, poza obozem, błysnęło. Richard usłyszał złowieszczy huk gromu przetaczający się nad równinami Azrith mimo zwykłego obozowego gwaru - dźwięków wydawanych przez tysiące żołnierzy i koni, brzęku kowalskich młotów, odgłosów rozładowywania zapasów i rozdawania prowiantu, wykrzykiwanych rozkazów. Gromadziły się groźne chmury burzowe, niosąc ze sobą coraz czarniejsze mroki. Nieruchome, wilgotne powietrze mieszały od czasu do czasu porywy wiatru łopoczące chorągwiami i proporcami. Wiatr ustał, jak tylko się pojawił, niczym przednia straż wracająca pospiesznie, żeby donieść o nadciągającej burzy.

Ale nikt się nie przejmował coraz groźniejszym niebem. Wszyscy chcieli choć rzucić okiem na Richarda kroczącego przez obóz. Pomyśleć, że niegdyś ta sama armia była absolutnie zdecydowana zabić go lub pojmać. Ale to było, zanim Richard stał się lordem Rahlem.

Kiedy już wziął na siebie te obowiązki, w miejsce służenia orężem tyranii dał owym żołnierzom szansę bronięcia słusznej sprawy. Byli i tacy, którzy odpowiedzieli na tę ofertę nieskrywaną nienawiścią. Ci ludzie przystali do sprawy Ładu i grasowali po kraju z zapiekłą wściekłością, chcąc wykorzenić myśl, iż każdy człowiek ma prawo sam decydować o swoim życiu.

Za to reszta - a właściwie większość - nie tylko przyjęła propozycję Richarda, ale opowiedziała się po jego stronie z takim zapałem, do jakiego są zdolni jedynie ci, którzy żyli w ucisku. Ci żołnierze, pierwsi od pokoleń mający szansę na prawdziwą wolność, dobrze zrozumieli, ile ona dla nich znaczy. Nieustępliwie trzymali się szansy życia w świecie, jaki ukazał im Richard. Oni z kolei mogli ofiarować swoim rodzinom i bliskim najwspanialszy z darów: możliwość bycia wolnym, decydowania o własnym

życiu. Wielu poległo za tę szlachetną sprawę.

Podobnie jak Mord-Sith, ci żołnierze szli teraz za Richardem, bo dokonali takiego wyboru, a nie dlatego, że zostali do tego zmuszeni. A kiedy nazywali go „lordem Rahlem”, znaczyło to dla nich zupełnie co innego niż przedtem.

Ale żołnierze ci stawiali teraz czoło najostrzejszej stali, narzucającej pogląd, że ani oni, ani ich bliscy nie mają prawa żyć po swojemu. Richard nie wątpił w tych żołnierzy, lecz wiedział, że nie zdołają zwyciężyć w bitwie z o wiele liczniejszymi najeźdźcami z Imperialnego Ładu. I właśnie dzisiaj musiał być lordem Rahlem. Jeżeli miała się pojawić jakakolwiek szansa na godną życia przyszłość, Richard musiał być lordem Rahlem w najpełniejszym znaczeniu tego tytułu, lordem Rahlem troszczącym się o dobro tych, którymi dowodzi. Musiał im ukazać to, co sam zobaczył.

Verna, idąc spieszenie u boku chłopaka, mocniej ścisnęła jego ramię i bardziej się ku niemu nachyliła.

- Nawet nie wiesz, Richardzie, jak twój widok podniesie na duchu tych żołnierzy przed bitwą, która ich czeka, a którą prorocтва zapowiadały od tysięcy lat. Nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

A Richard wątpił, czy ci żołnierze potrafiliby sobie wyobrazić, o co zaraz ich poprosi. Spojrzał na uśmiech Verny.

- Wiem, Ksieni.

Ponieważ nieustannie dążyli na południe, żeby stawić czoło Imperialnemu Ładowi, podróż z Pałacu Ludu trwała o wiele dłużej, niż kiedy ostatnio odwiedził tych żołnierzy. Odkąd Ład ruszył ku północy, w głąb D'Hary, stała mu na drodze jedynie ta armia. Ci żołnierze byli ostatnią nadzieją imperium D'Hary. To był ich zawód, ich obowiązek.

A Richard nie miał wątpliwości, że przegraliby tę bitwę.

Musiał przekonać ich o nieuchronności zbliżającej się klęski i śmierci.

Cara i Nicci właściwie deptały mu po piętach. Nie sądził, że muszą być aż tak blisko, żeby go chronić, ale doskonale wiedział, że żadna i tak by go nie usłuchała. Kiedy obejrzał się przez ramię, Nicci obdarzyła go pełnym napięcia uśmiechem.

Ciekaw był, co czarodziejka powie, kiedy usłyszy mowę, którą on zaraz wygłosi do żołnierzy. Sądził, że zrozumie. Wierzył, że spośród wszystkich, którzy usłyszą jego mowę, to właśnie ona powinna zrozumieć. Właściwie na

to liczył. Czasami tylko jej zrozumienie i wsparcie pozwalały mu wytrwać. Niekiedy był gotów się poddać, a Nicci dodawała mu sił do ciągnięcia tego wszystkiego.

Wiedział za to, że Cara przykłaśnie temu, co on zaraz powie, choć z zupełnie innych powodów.

Mimo że Cara miała równie bojową minę jak zawsze, jakby gotowa była wybić do nogi całą armię, gdyby żołnierze nagle zdradzili i zaatakowali Richarda, nerwowe skubanie szwów czerwonego uniformu mówiło chłopakowi, jak niecierpliwie czeka, żeby znów spotkać się z generałem Meiffertem, czyli Benjaminem. Od ostatniej wspólnej wizyty u żołnierzy z odrobinę mniejszą niechęcią ujawniała swoje uczucia do przystojnego d'harańskiego generała. Richard podejrzewał, że Nicci ma z tym coś wspólnego.

Choć bardzo dręczyło go to, że wszystko wokół się wali, cieszył się, że Mord-Sith potrafiła zapalać takimi uczuciami, a jeszcze bardziej radowało go, że w końcu zechciała je ujawnić, przynajmniej jemu. Dowodziło to, że mimo brutalnego przygotowania owe kobiety nadal miały własne pragnienia i aspiracje, które - chociaż długo tłumione - przetrwały i pozwoliły na nowo rozkwitnąć prawdziwej osobowości. Było to - niczym piękny kwiat na rozległym ugorze - potwierdzenie jego wiary w lepszą przyszłość, w to, że może jednak istnieć lepsza przyszłość.

Richard mijał rzędy namiotów, wozów, spętane konie, warsztaty kowali i składowiska zapasów. Widział nadciągających zewsząd żołnierzy, którzy porzucili swoje wieczorne obowiązki: oporządzanie zwierząt, naprawę rynsztunku, nadzorowanie zaopatrzenia, gotowanie, stawianie namiotów. Rzut oka na grubą warstwę chmur wystarczył, by Richard pomyślał, że powinni być na tyle bystrzy, żeby przynajmniej dokończyć rozbijanie namiotów.

W morzu żołnierzy w ciemnych mundurach Richard dostrzegł generała Meifferta. Stał dumnie wyprostowany wśród oficerów przed obszernym sektorem dowództwa. Richard obejrzał się przez ramię i po uśmiechu Cary poznał, że i ona zobaczyła Meifferta.

Oficerowie i podoficerowie byli zbyt liczni, żeby mogli się zmieścić w namiocie, więc zgromadzili się na łące usianej głazami. Rozpięto nad nią i powiązano ze sobą daszki umocowane do solidnych głazów, żeby w razie

potrzeby chroniły zebranych przed deszczem. Richard nie sądził, żeby to ich osłoniło przed wiatrem, ale przynajmniej dość dobrze strzegło przed przemoknięciem, kiedy rozprawiali o kierowaniu tak dużą armią.

Grzmot wstrząsnął ziemią, a Richard nachylił się lekko ku Vernie.

- Twoje Siostry też będą?

Verna skinęła głową.

- Tak. Wysłałam gońców z wieścią, że chcesz je widzieć wraz ze wszystkimi oficerami. Niektóre są na dalekich zwiadach, ale pozostałe będą.

- Lordzie Rahlu - odezwał się generał Meiffert, przyciskając pięść do serca.

Richard skłonił głowę.

- Generale. Miło mi cię widzieć w dobrym zdrowiu. Żołnierze, jak zwykle, prezentują się znakomicie.

- Dziękuję, lordzie Rahlu. - Błękitne oczy już patrzyły na Carę. Skłonił się jej nisko. - Pani Caro.

Cara naprawdę się uśmiechnęła.

- Jesteś radością dla moich oczu, Benjaminie.

Gdyby Richard nie był przygnębiony tym, co go tutaj sprowadziło, ogromnie by się ucieszył, widząc, jak patrzą sobie w oczy. Pamiętał, że patrzył tak na Kahlan, pamiętał radość, jaką czuł, widząc ją.

Kapitan Zimmer, którego dopasowany skórzany uniform podkreślał krzepką muskulaturę, stał niedaleko za generałem. Część pozostałych oficerów, w podobnych, choć nie tak skromnych mundurach, czekała w pobliżu, większość zaś już się zgromadziła pod daszkami. Stojący w grupkach i z zapalem rozprawiający żołnierze umilkli, po czym odwrócili się ku lordowi Rahlowi, przywódcy imperium D'Hary. Richard nie miał czasu na uprzejmości, więc od razu przystąpił do rzeczy. Wszyscy zebrani żołnierze patrzyli w milczeniu.

- Czy są tutaj wszyscy oficerowie i podoficerowie, generale? - zapytał Richard.

Meiffert skinął głową.

- Tak, lordzie Rahlu. Przynajmniej wszyscy z obozu. Niektórzy są na dalekich zwiadach. Gdybym wiedział, że się zjawisz i zechcesz wszystkich zobaczyć, tobym ich odwołał. A tak potrzebowałibyśmy trochę czasu, żeby ich tu ściągnąć. Jeżeli taka twoja wola, zaraz po nich poślę.

Chłopak uniósł dłoń, odrzucając tę propozycję.

- Nie, nie trzeba. Wystarczy, że większość tu jest. Pozostali zostaną powiadomieni później.

W obozie było zbyt wielu żołnierzy, żeby mogli osobiście wysłuchać Richarda i pojąć jego przesłanie. Zamierzał wyjaśnić wszystko oficerom i podoficerom, którzy następnie przekażą to swoim ludziom. Wyżsi rangą byli wystarczająco liczni do tego zadania.

Generał, swobodnie, lecz władczo, dał znak żołnierzom otaczającym sektor dowództwa i obserwującym doniosłe wydarzenie. Natychmiast zaczęli się rozchodzić do swoich zadań. To dowódcy mieli się dowiedzieć, co ich czeka.

Generał Meiffert gestem zaprosił Richarda i jego eskortę pod daszki. Chłopak najpierw spojrział na niebo, oceniając, czy naprawdę się wkrótce rozpada. Pod wielkim nieprzemakalnym płótnem tłoczyły się setki ludzi. Richard uderzył się pięścią w serce, odpowiadając na ich jednoczesny salut.

- Przybyłem tu dzisiaj - zaczął, patrząc w obserwujące go oczy - w najważniejszej sprawie... w sprawie nadciągającej ostatecznej bitwy ze zbliżającą się armią Imperialnego Ładu. Nie może być żadnych nieporozumień, niedomówień co do spraw, o których zamierzam powiedzieć. Chcę, byście wszyscy zrozumieli, o co chodzi, o co zamierzam was poprosić i dlaczego. Chodzi o życie nas wszystkich, więc niczego nie będę przed wami zatajać i uczciwie, najlepiej jak potrafię, wyjaśnię to wszystko, co zechcecie wiedzieć. Pytajcie, proszę, bez skrępowania, zgłaszajcie zastrzeżenia, a nawet sprzeciw wobec pewnych punktów, kiedy już wyłożę, co postanowiłem. Cenię waszą zbiorową wiedzę i umiejętności. Ufam waszemu doświadczeniu i zdolnościom. Ale musiałem rozważyć i przemyśleć sprawy wykraczające poza wasze kompetencje i dopiero na podstawie całości podjąłem decyzję. Zdaję sobie sprawę, że pozbawieni takich informacji, możecie nie w pełni pojąć moje rozumowanie, więc zrobię, co w mojej mocy, żeby to wyjaśnić, lecz nie odstąpię od mych wniosków. - W jego głosie zabrzmiało niezłomne zdecydowanie. - Wykonacie moje rozkazy.

Zebrani popatrzyli na siebie. Richard jeszcze nigdy nie przemawiał tak władczo, nie nakazywał tak surowo.

W ciszy popołudnia chłopak zaczął powoli chodzić tam i z powrotem,

starannie dobierając słowa. Wreszcie wskazał zebrany przed nim tłum.

- Jesteście oficerami i dowódcami. Co przede wszystkim zaprzęta wasze myśli?

Przez chwilę milczeli, zażenowani, aż wreszcie odezwał się stojący z boku oficer.

- Sądzę, że wszyscy myślimy o tym, o czym już wspomniałeś, lordzie Rahlu - rzekł. - O rozstrzygającej bitwie.

- Właśnie, rozstrzygająca bitwa - powiedział Richard, zatrzymując się i odwracając ku zebranym. - Zazwyczaj tak myślimy. Myślimy, że wszystko sprowadza się do tej decydującej chwili, apogeum wysiłków każdego z nas, że wtedy rozegra się ostateczna wielka batalia, która wszystko rozstrzygnie: kto wygra, kto przegra, kto będzie władać, kto będzie służyć, kto przeżyje, kto zginie. Jagang też tak rozumuje.

- W przeciwnym razie nie byłby ich przywódcą - stwierdził jakiś starszy oficer.

Tu i tam rozległy się śmiechy.

- Istotnie, to prawda - powiedział poważnie Richard. - A zwłaszcza w wypadku imperatora Jaganga. Zamierza w imię swojej sprawy doprowadzić do tej rozstrzygającej bitwy i zniszczyć nas raz na zawsze. Jest bardzo inteligentnym wrogiem. Zmusił nas, byśmy się skoncentrowali na tej rozstrzygającej bitwie. Jego strategia się sprawdza.

Śmiechy ucichły. Zebrani sprawiali wrażenie niezbyt zadowolonych z tego, że Richard aż tak wysoko ocenia imperatora. Żołnierze tacy jak oni nie lubili przypisywać wrogowi zbyt wielkiej biegłości, żeby ich podkomendni nie tracili odwagi.

Richard nie chciał, żeby Jagang uchodził za mniej groźnego, niż jest w rzeczywistości. Wprost przeciwnie. Chciał, żeby zebrani zdali sobie sprawę, czemu się przeciwstawiają i jak wielkie jest zagrożenie.

- Jagang to miłośnik gry zwanej Ja'La dh Jin. - Niektórzy skinęli głowami i Richard domyślił się, że gra nie jest im całkiem obca. - Ma własny zespół Ja'La, podobnie jak Bractwo Ładu ma własną armię. Kiedy Jagang wysyła swój zespół do walki, jego nadrzędnym celem jest zwycięstwo w Ja'La. Dlatego zebrał najsilniejszych, najtwardszych graczy i utworzył z nich swoją ekipę. W przeciwieństwie do niektórych nie traktuje tego jako współzawodnictwa, nie widzi w tym sportowej rywalizacji. Chce nie tylko

zwyciężyć w każdej grze Ja'La, ale i zmiażdżyć przeciwnika. Pewnego razu zespół Jaganga przegrał. Imperator nie zamierzał bardziej się starać następnym razem, lepiej przygotować swoich graczy i osiągnąć lepszy wynik. Pozbył się tej ekipy i zebrał innych graczy. Stworzył zespół największych, najsilniejszych i najszybszych zawodników. Nawiasem mówiąc, Ja'La dh Jin znaczy „Gra o życie”. Na początku, jednocząc rozmaite królestwa i krainy Starego Świata w jeden naród, Jagang przegrywał bitwy. Wyciągał z tego wnioski. Zebrał największą, najokrutniejszą armię, jak tylko zdołał, i w końcu zjednoczył cały Stary Świat pod sztandarem Ładu. Kiedy na żądanie Bractwa Ładu wyruszył na tę tu wojnę, zadbał, żeby mieć do dyspozycji wszelkie niezbędne środki. I wy powinniście zrobić to samo. Jagang nadal od czasu do czasu przegrywał bitwy. I znów się uczył. Zwrócił się do swojego zaplecza o przysłanie większej liczby żołnierzy. W ten sposób zbliża się do celu, czyli do wygrania wojny dla Ładu. Dzięki pomocy zaplecza ma dzisiaj armię tak potężną, że może zmiażdżyć każdy opór. Wie, że zwycięży. Zatem niecierpliwie oczekuje rozstrzygającej bitwy. Poza tym Jagang jest Nawiedzającym Sny, człowiekiem o mocy przekazanej mu przez prastarą magię. Wykorzystując swój dar, wdziera się do umysłów innych ludzi nie tylko po to, żeby zdobyć informacje, ale i po to, by ich kontrolować. Jak wiecie, kontroluje pewną liczbę osób mających dar, w tym Siostry Światła i Mroku. Czyli władza tak stałą, jak i magią.

- Lordzie Rahlu - przerwał mu jeden ze starszych oficerów - za bardzo umniejszasz naszych ludzi. Większość armii to wojska d'harańskie, a pozostałych my wyszkoliliśmy. Wiedzą, jaka jest stawka. Nie są niedoświadczonymi rekrutami. To doświadczeni żołnierze, którzy umieją walczyć. Mamy również Verne i jej Siostry, które dowiodły, co potrafią. Mamy więc doborowych żołnierzy i Siostry Światła, no i racja jest po naszej stronie.

- Imperialny Ład nie przegra tylko dlatego, że jest zły. Na dłuższą metę zło zwraca się przeciwko sobie, ale dla nas i dla tych, których bronimy, to niewielka pocięcha. Zło może zapanować nad ludźmi na tysiąc, dwa tysiące lat, a nawet i dłużej, zanim w końcu sześcinnie od własnego jadu. - Richard znów chodził tam i z powrotem, przemawiając z większą pasją. - Są w historii chwile, kiedy sprawom można nadać inny bieg, lecz zapewniam was, że jest to możliwe wyłącznie dzięki męstwu jednostek. Prawdę mówiąc, liczę

na to. To czas, kiedy decydujemy, jaka będzie nasza przyszłość. Czas, kiedy musimy zrobić to, co powinno zostać zrobione, bez względu na to, jakie to będzie przykre, jeśli my i nasze dzieci mamy w ogóle mieć jakąś przyszłość. Nasza przyszłość, przyszłość wolności, zależy od nas i od tego, co zrobimy, od tego, czy zwyciężymy czy nie.

- Lordzie Rahlu - odezwał się pewnie starszy oficer - żołnierze wiedzą, że jesteśmy przyparci do muru. Będą walczyć, jeżeli o to ci chodzi.

Richard zdał sobie sprawę, że oni nie pojmują, do czego zmierza. Przystanął, spojrzął na zebranych i splótł dłonie za plecami. Pamięć podsunęła mu ukazany przez Shotę upiorny obraz krwawego zakończenia tego wszystkiego. Był niczym przytłaczający go ciężar.

- Zawsze twierdziłem - przemówił w końcu - że nie mogę was poprowadzić do rozstrzygającej bitwy z Ładem, bobyśmy przegrali. To, co się wydarzyło od mojego ostatniego pobytu u was, tylko utwierdziło mnie w tym przekonaniu.

Pomruk niezadowolenia dorównał pomrukowi grzmotu wstrząsającego mrocznym popołudniem. Zanim zdążyli się sprzeciwić lub nagle zmienić temat, Richard podjął:

- Armia Ładu, dążąc do Pałacu Ludu, wkrótce zacznie posuwać się od południa w głąb D'Hary. Wy idziecie na południe na spotkanie z nimi. Wiedzą o tym. Spodziewają się tego. Chcą tego. Działamy zgodnie z życzeniami Jaganga. Imperator kontroluje naszą taktykę. Wciąga nas w bitwę, której nie możemy wygrać, a której on przegrać nie może i o tym wie.

Rozległy się protesty. Krzyczano, że przyszłość nie jest z góry dana, że mogą przecież zwyciężyć. Richard podniósł rękę, uciszając ich.

- Przyszłość nie jest z góry ustalona, lecz rzeczywistość jest, jaka jest. Jako żołnierze dostosowujecie swoje działania do tego, co wiecie, a nie do waszych życzeń. Nawet gdybyśmy jakimś cudem zdołali wygrać nadciągającą bitwę, i tak mogłoby się okazać, że wcale nie była ona ostateczna. Mogłoby być i tak, że wygralibyśmy tę bitwę, ponosząc wielkie straty, a Ład znów by na nas uderzył jeszcze liczniejszą armią. Nawet gdybyśmy wygrali zbliżającą się walkę - a wiem, że to niemożliwe - potem musielibyśmy staczać kolejne bitwy z jeszcze większą armią. Dlaczego? Bo ilekroć z nimi walczymy, tracimy żołnierzy i stajemy się słabsi. Mamy niewielkie zasoby. Ilekroć Jagang tego potrzebuje, płynie do niego niemal

niewyczerpany strumień posiłków, a to wzmacnia jego siły. W końcu przegramy z bardzo prostego powodu: nie można wygrać wojny, walcząc defensywnie. Można zwyciężyć w bitwie z pozycji obronnych, lecz nie da się wygrać defensywnej wojny.

- Cóż więc proponujesz? - zapytał jeden z oficerów. - Żebyśmy poprosili o pokój?

Richard zbył ten pomysł niedbałym, choć pełnym irytacji gestem.

- Ład nie pójdzie na żadne pokojowe układy. Może dawno temu, na samym początku, zaakceptowaliby nasze poddanie się, pozwolili nam się pokłonić i ucałować im buty, zgodzili się, byśmy nałożyli sobie okowy niewolników... ale nie teraz. Teraz chcą jedynie zwycięstwa okupionego naszą krwią. Ale jakąż by to zrobiło różnicę? Tak czy inaczej, skończyłoby się tym samym: rzezią i ujarzmieniem nas oraz naszych ludzi. W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, jak przegramy. Poddanie się czy klęska prowadzą do tego samego. Tak czy owak, wszystko byłoby skończone.

- Więc... co? - zająknął się zapalczywie oficer. - Mamy walczyć, dopóki nas w końcu nie wybiją lub nie wyłapią?

Wszyscy wpatrywali się w poczerwieniałego oficera, który się odezwał. Ci żołnierze od dawna walczyli z Ładem. Nie usłyszeli niczego, o czym by już i tak nie wiedzieli. Nie zmieniało to faktu, że mogli jedynie walczyć z najeźdźcami. To był ich obowiązek. Tylko to potrafili.

Richard odwrócił się i spojrzał na Carę. Stała w swoim czerwonym uniformie na rozstawionych nogach, splatając dłonie za plecami. Sprawiała wrażenie, iż wierzy, że sama jedna dałaby radę Ładowi.

Wskazał stojącą obok Cary kobietę.

- Nicci, którą tu widzicie, niegdyś była po ich stronie. - Kiedy usłyszał szemranie, że oto jest wśród nich wróg, dodał: - Podobnie jak wy wszyscy byliście kiedyś po stronie tyranii, służąc Rahlowi Pośępnemu, a niektórzy z was nawet jego ojcu, Panisowi Rahlowi. Nie mieliście wyboru. Rahla Pośępnego nie obchodziło, co chcecie zrobić z waszym życiem. Wymagał jedynie, byście wypełniali jego rozkazy. Kiedy dostaliście możliwość wyboru, opowiedzieliście się po naszej stronie. Nicci zrobiła to samo. Żołnierze Ładu są inni. Wy walczyliście, ponieważ was do tego zmuszono, grożąc przemocą lub nawet śmiercią. Oni walczą, bo wierzą w swoją sprawę. Pałą się do walki. Pragną wziąć udział w wojnie. Ponieważ Nicci była tam, przy Jagangu, ma

wiadomości z pierwszej ręki. Widziała rzeczy, które pomogą wam to właściwie ocenić.

Richard ponownie spojrzął na czarodziejkę. Wyglądała jak posąg: skóra gładka i jasna, spływające na ramiona blond włosy. Gdyby miał ją wyrzeźbić, nie zmieniłby niczego w jej twarzy i sylwetce. Była ucieleśnieniem piękna, które widziało nieprawdopodobną szpetotę.

- Nicci, powiedz, proszę, tym żołnierzom, co ich czeka, jeżeli zostaną pojmani przez Imperialny Ład.

Chłopak nie miał pojęcia, co ona powie i co wiedziała, lecz zdawał sobie sprawę - zwłaszcza po tym, co przekazała im Jebra - że Ład darzy życie wyłącznie pogardą.

- Ład nie zabija swoich jeńców od razu. - Nicci z lodowatym spokojem zrobiła krok ku wpatrzonym w nią żołnierzom. Odczekała u boku Richarda, póki cisza nie stała się przykra, póki nie przykuła uwagi każdego z obecnych. - Najpierw - powiedziała - kastruje się każdego pojmanego żołnierza.

Wszyscy jednocześnie zachłysnęli się oddechem.

- Potem, kiedy już wycierpią przeraźliwy ból i ponizenie, tych, którzy przeżyli, oddaje się na tortury. Ci, którzy przetrwają tortury, są w końcu w taki czy inny brutalny sposób mordowani. Oszczędza się tego wszystkiego tym, którzy się poddają Ładowi bez walki. Okrucieństwo wobec jeńców ma porazić strachem ewentualnego przeciwnika i sprawić, żeby się dobrowolnie poddał. Mieszkańców zdobytych miast traktuje się równie brutalnie, w tym samym celu. W rezultacie wiele miast dostało się w ręce Ładu bez walki. Biliście się z nimi długo i zaciekle. Niczego by wam nie oszczędzono. Jeżeli złapią was wojska Jaganga, to nie będzie dla was nadziei. Będziecie z całego serca żałować, żeście się w ogóle urodzili. Śmierć będzie dla was jedynym wybawieniem. Choć to właściwie bez znaczenia. Bo życie pod władzą Ładu jest czekaniem na śmierć z rąk Ładu. Życie pod władzą Ładu jest w gruncie rzeczy powolnym konaniem. Tyle że trwa to dłużej. Udręka rozciąga się na całe lata. Dobrze się wie tylko tym, którzy nienawidzą życia i wszystkiego, co dobre. Ład bowiem wspiera i zachęca tych, którzy nienawidzą przyjemnych, dobrych aspektów życia. Ich nauki są oparte na zacieklej nienawiści do dobra. Takie wierzenia prowadzą do powszechnej niedoli. Nienawistni rozkoszują się niedolą innych, a dobro budzi w nich gniew. Jeżeli zostaniecie pojmani, ci ludzie staną się waszymi panami.

Żołnierze stali bez słowa, osłupiali. Richard słyszał w tej ciszy lekkie bębnienie deszczu w osłaniający ich wszystkich dach. Nadciągała burza.

Nicci bezceremonialnie przerwała tę ciszę.

- Smażone jądra wrogów są cenionym przysmakiem żołnierzy Imperialnego Ładu. Markietani przeczesują po walce pole bitwy, szukając łupu i rannych, ale wciąż żywych przeciwników, których by mogli wykastrować. Te drogocenne, krwawe klejnoty odebrane żyjącemu wrogowi są bardzo poszukiwane podczas pijackiego świętowania zwycięstwa. Żołnierze wierzą, że taki przysmak dodaje im sił i męskości. A potem kierują uwagę na pojmane kobiety.

Richard zacisnął palce na grzbiecie nosa.

- Coś jeszcze? Nicci uniosła brew.

- Czyż to nie wystarczy?

Chłopak ciężko westchnął i opuścił rękę.

- Chyba wystarczy. - Popatrzył na zebranych. - Prawda jest taka, że nie możecie wygrać nadciągającej bitwy. Przegracie. - Głęboko zaczerpnął powietrza i wreszcie powiedział to, co cały czas zamierzał powiedzieć. - I dlatego nie będzie rozstrzygającej bitwy. Nie będziemy walczyć z imperatorem Jagangiem i jego armią imperialnego Ładu. Jako lord Rahl, przywódca Imperium D'Hary, nie wyrażam zgody na taki akt bezcelowego samozniszczenia. Nie będziemy z nimi walczyć. Rozpuszczę armię. Nie będzie rozstrzygającej bitwy. Jagang bez oporu zajmie Nowy Świat.

Richard zobaczył, jak oczy wielu z obecnych wypełniają się łzami.

Rozdział 25

Słowa Richarda przyjęto jak policzek.

- To dlaczego mielibyśmy walczyć?! - krzyknął jakiś rozgniewany oficer, a potem zamaszystym gestem wskazał towarzyszy. - Od lat prowadzimy tę wojnę. Nie ma dzisiaj z nami wielu naszych towarzyszy, bo poświęcili życie dla obrony naszej sprawy i swoich bliskich. Jeżeli nie ma żadnej szansy, jeżeli na koniec mamy przegrać, to po co w ogóle walczyliśmy?! Dlaczego niby mielibyśmy dalej walczyć?!

Chłopak uśmiechnął się gorzko.

- I w tym cały problem.

- Niby co? - burknął tamten.

- Jeżeli ludzie nie widzą szansy na zwycięstwo, na triumf, a jedynie mają przed oczami zniszczenie i śmierć, zaczynają tracić wolę walki. Jeżeli widzą, że nie mogą szerzyć swojej wiary, że czeka ich śmierć, gdyby nadal tego próbowali, zaczynają nabierać ochoty na zakończenie takiej wojny.

Oficer, jak wielu jego kolegów, był coraz bardziej rozgniewany.

- Zatem namawiasz nas, żebyśmy sobie dali spokój z tą wojną? Twierdzisz, że nie zwyciężymy Ładu? Że skoro nie możemy zwyciężyć, to nie ma po co walczyć?

Richard splótł dłonie za plecami i zdecydowanym ruchem uniósł podbródek. Milczał, póki wszyscy nie zaczęli czekać na jego słowa.

- Nie. Mówię wam, że chcę sprawić, by tak czuli i myśleli ludzie ze Starego Świata.

Nachmurzyli się, zdezorientowani, i zaczęli szeptać między sobą. Wkrótce jednak ucichli.

- Jagang wprowadza armię do D'Hary - oświadczył Richard. - Chce się z nami zmierzyć w bitwie. Dlaczego? Bo wierzy, że zdoła nas pokonać. Uważam, że ma rację. Nie sądzę tak dlatego, że brakuje wam męstwa, wyszkolenia, siły czy umiejętności, lecz dlatego, że wiem, jakie on ma rezerwy. Spędziłem jakiś czas w Starym Świecie. Wiem, jaki jest wielki. Podróżowałem po Starym Świecie, więc się orientuję, jaki jest ludny, ile tam mają żywego inwentarza, upraw i innych dóbr. Widziałem tego tyle, ile nigdy przedtem. Nawet sobie nie potraficie wyobrazić, jakie mają zaplecze.

Jagang zgromadził olbrzymią armię dzikusów ślepo oddanych swojej wierze. Zamierzają zniszczyć wszystkich i wszystko, co im stanie na drodze. Aż się palą, żeby zostać zwycięskimi bohaterami, żeby szerzyć swoją wiarę. Jagang zapewnił sobie wszystko, co według jego doświadczenia może mu być potrzebne, a potem to podwoił. I żeby mieć absolutną pewność, podwoił to kolejny raz. Jego nie obchodzą jakieś przewrotne zasady moralne prowadzenia wojny takimi środkami, jakie ma przeciwnik. Nie dba o swoistą sprawiedliwość i uczciwość narzucone walce na śmierć i życie. Nie interesuje go walka na równych prawach, bo niby czemu miałyby interesować. Zależy mu jedynie na zawładnięciu nami. To jego zadanie. I właśnie dlatego chcą, żebyśmy się bronili tam, gdzie jesteśmy najslabsi, najbardziej wystawieni na ciosy: na polu bitwy, w tradycyjnej rozstrzygającej batalii. Wszystkie wysiłki Jaganga zmierzały do tego celu, bo wszyscy tego oczekują. Chcą się z nami zmierzyć właśnie w ten sposób, bo nie mamy najmniejszej szansy w walce z tak liczną armią. Nijak nie zdołamy ich pokonać. Zmiażdżyliby nas. A potem świętowaliby swoje wielkie zwycięstwo, jakby kiedykolwiek były co do niego jakieś wątpliwości, smażąc wasze jądra i podczas pijackiej orgii gwałcąc wasze żony, siostry i córki! - Pochylił się ku zebrany i postukał palcem w skroń. - Myślcie! Jesteście tak zaślepieni ideą tradycyjnej rozstrzygającej bitwy, że zapomnieliście, jaki to wszystko ma cel? Przedkładacie „zawsze tak postępowano” nad przyczynę walki? Jej cel? Wyłącznym celem takiej bitwy jest pokonanie wroga, załatwienie sprawy raz na zawsze. Idea rozstrzygającej batalii sprowadziła się w końcu do uznania, że należy sprawy załatwić właśnie tak, bo zawsze załatwiano je w ten sposób. Nie czepiajcie się tak kurczowo tego zamysłu. Myślcie. Nie bądźcie zaślepieni tym, co już wcześniej robiliście. Nie rzucajcie się na oślep do grobu. Myślcie, myślcie, jak osiągnąć cel.

- Chcesz powiedzieć, że masz lepszy pomysł niż walka z nimi? - spytał młodszy oficer. Był, jak większość, naprawdę zdziwiony i zaintrygowany.

Richard zaczerpnął powietrza, starając się zapanować nad sobą. Zniżył głos i powiódł wzrokiem po wszystkich zwróconych ku niemu poważnych twarzach.

- Tak. Zamiast zrobić to, czego się spodziewają, i rzucić się do rozstrzygającej batalii, chcę ich zniszczyć. W końcu taki jest podstawowy cel rozstrzygającej bitwy. A skoro taka wielka bitwa nie pozwoliłaby nam

osiągnąć tego celu, musimy znaleźć inny sposób. W przeciwieństwie do tych, którzy walczą za wiarę Ładu, nikt z nas nie musi się chełpić wspaniałym zwycięstwem na polu bitwy. Nie ma w tym żadnej chwały. Jest jedynie sukces lub porażka. Porażka oznacza nowy ciemny wiek. Sukces, że żyjemy wolni. Wazą się losy cywilizacji. Ot i tyle. W takiej walce o życie, w walce o przetrwanie toczonej z ludźmi powodowanymi chęcią wymordowania nas, bo ich zdaniem nie mamy prawa istnieć, nie ma wąsko rozumianego pola bitwy. Takie zmagania nie są bitwą o kawałek ziemi, nie są wojną o wygon. Mają źródło w umysłach ludzi, w ideach, którymi oni się kierują. Naszym bliskim nic albo niewiele da zwycięstwo na polu bitwy. Korzystna dla nich będzie jedynie nasza wygrana w walce idei.

Generał Meiffert uniósł wreszcie dłoń na znak, że chce coś powiedzieć.

- Lordzie Rahlu, skoro nie możemy się z nimi zmierzyć w walce, to jak według ciebie mamy sobie poradzić z przeciwnikiem, który - jak dopiero co nam wyjaśniłeś - jest tak liczny, że nie da się go pokonać? W końcu, jeżeli nawet gna ich do walki wiara, to mamy do czynienia z ich mieczami.

Zebrani kiwali głowami, zadowoleni, że ich generał zadał pytanie, które wszyscy mieli na myśli. Richard również czekał na to pytanie. Pozbawił ich nadziei na zwycięstwo w tradycyjnej walce, odrzucając utartą taktykę. Teraz musiał im ukazać, jak wygrać wojnę.

Deszcz coraz głośniej bębnił o dach z nieprzemakalnego płótna, a chłopak splótł dłonie na plecach i badawczo patrzył w zwrócone ku niemu twarze.

- Musicie być gromem i błyskawicą wolności - rzekł. - Musicie być pomstą spadającą na ludzi o wypaczonych ideach, którzy nie tylko pozwolili, żeby w ich sercach zamieszkało zło, ale i opowiedzieli się za nim. Musimy prowadzić wojnę po naszymu. Musimy pamiętać, czym tak naprawdę jest ta walka: że to nie armie na polu bitwy, będące namiastkami idei, lecz wojna o przyszłość ludzkości. I dlatego jest to wojna, w którą zaangażował się cały Stary Świat, w której z zapalem bierze udział każdy po ich stronie. Są żarliwie oddani sprawie. Wierzą w to, co robią. Uważają, że racja jest po ich stronie, że postępują zgodnie z moralnością, że wypełniają wolę Stwórcy i dlatego wolno im mordować kogo tylko zechcą, by narzucić ludziom jedynie słuszny sposób życia. Wszyscy oni poświęcają sprawie swoje mienie, swoją pracę, swój majątek i swoje życie. Tamtejsi ludzie, a nie tylko ich armia, chcą

nas sobie podporządkować i narzucić nam swoją wiarę. Chcą, żebyśmy się stali, podobnie jak oni, niewolnikami ich wiary. Zachęcają swoją armię do atakowania niewinnych mieszkańców Nowego Świata, do narzucania nam siłą ich zasad. Chcą, żebyśmy, jako wyznawcy tej samej co oni wiary, poświęcili owej wierze nasze życie i żyli tak, jak oni nam każą. Chcą decydować, w co mają wierzyć nasze dzieci... i w razie potrzeby narzucić to siłą. Wszyscy, którzy wierzą w zasady Ładu, którzy ponoszą koszty, zachęcają, wspierają, modlą się, by ich żołnierze nas pokonali, mają swój udział w wojnie. Każdy z tych ludzi wnosi coś do ich sprawy. I dlatego są takimi samymi wrogami jak żołnierze, którzy walczą w ich imieniu mieczem. To oni zaopatrują armię w młodych ludzi i wszystko, czego potrzeba do agresji na nas: od żywności po moralne wsparcie i zachętę. - Richard wskazał na południe. - W rzeczywistości ludzie, którzy umożliwili tę wojnę, są zapewne czymś gorszym niż wróg, bo każdy z nich jest cichym współuczestnikiem, który z daleka życzy nam najgorszego, który nienawidzi z wyboru, który wierzy, że mogą nam bezkarnie narzucać swoją wolę. W nagrodę za wsparcie wysłała się im łupy. I niewolników, żeby na nich pracowali. Wyciska się krew i łzy, by narzucić wymogi ich wiary. Ci ludzie wybrali swoją wiarę, wybrali przekonanie, że mają prawo do naszego życia i do wszystkich czynów, które zapewnią im władzę nad nami. Muszą ponieść konsekwencje swojego wyboru, zwłaszcza gdy prowadzi on do niszczenia życia ludzi, którzy nigdy nie zrobili im nic złego. - Chłopak otworzył dłonie. - A jak mamy tego dokonać? - Zacisnął dłonie w pięści. - Musimy przenieść wojnę do ojczyzny ludzi, którzy ją wspierają i zachęcają do niej. W tej krwawej rzezi, podsycanej przez mieszkańców Starego Świata, nie powinni już tracić życia wyłącznie nasi przyjaciele, nasze rodziny i nasi ukochani. Teraz i oni muszą ginąć. Uważają, że to wojna o przyszłość ludzkości. Zamierzam sprawić, żeby istotnie tak było. Chcę, by w pełni zrozumieli, że jeśli przyjdą nas mordować i podporządkowywać sobie, to poniosą konsekwencje. Od dziś będziemy prowadzić prawdziwą wojnę, wojnę totalną, wojnę bezlitosną. Nie narzucimy sobie zbędnych reguł dotyczących tego, co jest „godziwe”. Mamy zwyciężyć. Tylko w ten sposób przetrwamy i my sami, i nasi najbliżsi, i nasza wolność. Jedynie nasze zwycięstwo jest etyczne i sprawiedliwe. Chcę, żeby każdy poplecznik Ładu zapłacił za napaść. Chcę, żeby zapłacili swoimi majątkami, swoją przyszłością, swoim

życiem. Nadszedł czas, byśmy uderzyli na tych ludzi z sercami przepętnionymi dzikim gniewem, bezlitośnie. - Uniósł pięść. - Zetrzyjcie ich na proch!

Chwilę panowała cisza, bo wszyscy nabierali powietrza, a potem zagrzmiały okrzyki, jakby każdy w głębi duszy wiedział, że nie mieli szansy na zwycięstwo i że byli skazani na śmierć i porażkę, ale teraz ukazano im, że istnieje inna droga.

Nareszcie pojawiła się szansa na to, że uratują swoje domy i swoich bliskich, że ocalą przyszłość.

Richard pozwolił im na moment odprężenia, po czym uniósł rękę, dając znak, żeby się uciszeli i słuchali go.

- Armia Ładu ma wsparcie ludzi z ojczystych stron - rzekł. - Każdy żołnierz Ładu wie, że wspierają ich rodziny, sąsiedzi i przyjaciele. Potrzebne im są wieści ze Starego Świata. Chcę, by do żołnierzy Ładu zaczęły docierać zawodzenia i jęki. Chcę, by wiedzieli, że ich domy obrabowano, miasta i miasteczka zrównano z ziemią, warsztaty i zasiewy zniszczono, a ich bliscy zostali z niczym. Ład głosi, że życie na tym świecie jest jedynie niedolą. Sprawcie, by się tym dla nich stało. Zedrzyjcie cienką warstewkę cywilizacji, którą tak gardzą. - Popatrzył na Verne i stojące przy niej Siostry Światła. - Nienawidzą magii. Sprawcie, by się jej panicznie bali. Uważają, że ludzie mających dar należy zniszczyć. Sprawcie, by uwierzyli, że to niemożliwe. Chcą świata bez magii; sprawcie, by żałowali, że nas rozdrażnili i rozgniewali. Chcą być zdobywcami. Sprawcie, by marzyli wyłącznie o poddaniu się.

Ciemne powietrze popołudnia przecięły błyskawice, gnany wiatrem deszcz dudnił o płócienny dach, a Richard ponownie zajął się żołnierzami.

- Aby osiągnąć cel, musimy mieć plan działań przeciwko wszelkim rodzajom zagrożeń - powiedział, gdy ucichł huk ostatniego gromu. - Toteż część naszych oddziałów powinna się zająć niszczeniem ich linii zaopatrzeniowych. Mają one zasadnicze znaczenie dla przetrwania Ładu. Nie tylko zdążają nimi posiłki, ale i płyną wszelkie niezbędne materiały. Wojska Imperialnego Ładu plądrują ziemię, przez które przechodzą, ale to o wiele za mało, by mogli przetrwać. Ich ogromna liczebność to nie tylko zaleta, ale także wada. Musimy ich pozbawić zaopatrzenia, które pozwala przeżyć tutaj tak licznym oddziałom. Jeżeli żołnierze Imperialnego Ładu

zaczną głodować, to jakby już byli martwi. Każdy zmarły z głodu żołnierz Ładu to jeden powód do zmartwień mniej. Tylko to ma dla nas znaczenie. Ciągący z południa rekruci też będą łatwiejszym celem, bo jeszcze nie dołączyli do doświadczonych żołnierzy, no i nie idą taką ławą. Są słabo wyszkoleni. To właściwie młode opryszki, idące, żeby gwałcić i rabować. Zabijcie ich, nim dotrą na północ i zdołają zrealizować swe zamiary. Nabór nowych rekrutów stanie się trudniejszy, jeżeli będą ginąć na własnej ziemi, zanim odmaszerują, by zabijać bezbronnych cudzoziemców. Nawet lepiej, jeśli będą to małe oddziały, właśnie formujące się w rodzinnych miasteczkach. Zanieście im wojnę. Zabijcie ich, nim zdążą przynieść ją do nas. Gdy młodzi ludzie zorientują się, że jeśli się zaciągną, to nigdy nie zostaną bohaterami, nigdy nie będą mieć okazji rabować i nigdy nie wpadną im w ręce młode branki, gdy przekonają się, że nie ujdą daleko, a już uderzą na nich żołnierze, którzy nie walczą tak, jak oni tego oczekiwali, i nie rzucają się w beznadziejną rozstrzygającą batalię, opuści ich chęć włączenia się do walki. A jeśli nie, to umrą, zanim będą mieli okazję dotrzeć do armii na północy. Widok ciał przyszłych bohaterów, gnijących u progu ich domostw, złamie ducha mieszkańców Starego Świata. - Richard chwilę patrzył w pełne skupienia oczy, a potem rzekł: - Dzisiaj odeszła w niepamięć koncepcja rozstrzygającej bitwy. Dzisiaj znikniemy bez śladu. I już nie będzie armii imperium D'Hary, którą Imperialny Ład mógłby wciągnąć w rozstrzygającą bitwę i zniszczyć. Chcą to zrobić, żeby pozbawić nasz lud naszej ochrony, żeby się stał bezbronny i bezradny. Nie pozwolimy na to. Dzisiaj zaczynamy toczyć tę wojnę w nowy sposób: racjonalnie przemyślany, prowadzący do zwycięstwa. Chcę, żeby wszyscy w Starym Świecie bali się was tak, jakbyście byli mszczącymi się duchami. Od dziś jesteście widmowymi d'harańskimi legionami. Nikt nie będzie wiedzieć, gdzie jesteście. Nikt nie będzie wiedzieć, kiedy uderzycie. Nikt nie będzie wiedzieć, gdzie uderzycie następnym razem. Ale chcę, żeby nikt w Starym Świecie nie miał wątpliwości, że będziecie ich prześladować i zaatakujecie tak, jakby się miały otworzyć zaświaty i unicestwić ich. Chcę, żeby się bali widmowych d'harańskich legionów, jakbyście byli uosobieniem śmierci. Chcą umrzeć, żeby dostąpić wiekuistej chwały w drugim życiu... więc sprawcie, by ich życzenie się spełniło. Jeden ze stojących w tyle oficerów odchrząknął.

- Lordzie Rahlu, zginą tamtejsi niewinni ludzie - rzekł. - To nie żołnierzy

będziemy atakować. Życie straci też wiele dzieci.

- Tak, to niestety prawda, lecz nie pozwólcie, by takie wydumane i uboczne kwestie odebrały wam jasność osądu i osłabiły waszą determinację. Ład odpowiada za prowadzenie wojny przeciwko niewinnym ludziom, którzy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy, także przeciwko kobietom i dzieciom. Chcemy tylko możliwie najszybciej zakończyć tę napaść. To prawda, że niewinni ludzie, w tym dzieci, zostaną ranni lub zginą. Ale jaki mamy wybór? Dalej poświęcać porządnych ludzi z obawy, że skrzywdzimy kogoś niewinnego? Wszyscy jesteśmy niewinni. Wszystkie nasze dzieci są niewinne. A teraz cierpią. Władza Ładu doprowadzi w końcu do krzywdy wszystkich, także wszystkich dzieci w Starym Świecie. Ład zmieni wiele z nich w potwory. A jeżeli zwycięży, zginie o wiele więcej ludzi. Ponadto to nie my jesteśmy odpowiedzialni za życie ludzi w Starym Świecie, lecz Ład. To nie my zaczęliśmy tę wojnę, atakując ich. To oni na nas napadli. Naszym jedynym celem jest zakończyć tę wojnę tak szybko, jak to możliwe. A takie działanie to jedyny sposób, żeby to osiągnąć. W końcu postępujemy najbardziej humanitarnie jak się da, bo w rezultacie zmniejszymy straty w ludziach. Rzecz jasna, jeśli to będzie możliwe, unikajcie krzywdzenia niewinnych ludzi, lecz nie to jest waszym nadrzędnym celem. Jest nim zakończenie wojny, a chcąc to osiągnąć, musimy pozbawić ich zdolności jej prowadzenia. Bronimy naszego prawa do życia. Jeżeli zwyciężymy, damy wolność nieprzeliczonym rzeszom. Ale uwalnianie tamtejszych ludzi nie jest naszym celem. Jeżeli chcą być wolni, niech się do nas przyłączą. Prawdę mówiąc, znam w Starym Świecie ludzi, którzy się zbuntowali przeciwko Ładowi i są w tej walce po naszej stronie. I tak na przykład zwykły kowal Victor i jego towarzysze w Altur'Rang rozpalili w Starym Świecie płomień wolności i już walczą wraz z nami. Ilekroć natraficie na ludzi, którzy pragną być wolni, powinniście ich wesprzeć i zwerbować. Chętnie pozwolą, żeby ich miasta i miasteczka spłonęły, jeśli te ognie wypalą robactwo niszczące im życie. Nigdy nie zapominajcie, że waszym celem jest powstrzymanie Ładu od zabijania nas i że chcąc to osiągnąć, musimy pozbawić ich woli walki. Dlatego musimy przenieść wojnę na ich tereny. Żałuję, że niewinni ludzie stracą życie, ale to przecież skutek amoralnych działań Ładu. Nie mamy prawa poświęcać naszego życia, by oszczędzić niewinnych ludzi po ich stronie. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za ich życie, bo to nie my

wywołaliśmy tę wojnę. Z całą pewnością mamy prawo bronić naszego życia. Nie pozwólcie sobie wmówić, że tak nie jest. Zagrożenie musi zostać wyeliminowane. Inaczej błyskawicznie będzie po nas.

Zebrani stali posepni pod łopoczącym płóciennym dachem, który chronił ich przed ulewą. Żaden z nich się nie sprzeciwił. Od dawna prowadzili z góry przegraną walkę. Widzieli śmierć tysięcy ludzi. Rozumieli, że już nie ma innego sposobu.

Richard skinął na kapitana Zimmera, młodego mężczyznę o kwadratowej szczęce i potężnej szyi, stojącego z ramionami skrzyżowanymi na masywnej piersi. Słuchał chłopaka w skupieniu. Został dowódcą sił specjalnych, gdy Kahlan mianowała kapitana Meifferta głównodowodzącym d'harańskich wojsk. Kahlan opowiadała Richardowi, że kapitan Zimmer i jego ludzie są świetni w swojej robocie, że są doświadczeni, że nie tracą zimnej krwi w trudnych sytuacjach, że nie znają lęku, są niezmordowani i zabijają bez mrugnięcia okiem. I że się uśmiechają, kiedy większość żołnierzy blednie. Powiedziała mu też, że kolekcjonują uszy wrogów.

- Kapitanie Zimmer, mam dla ciebie specjalną robotę, która jest częścią naszego nowego zadania.

Zimmer rozpromienił się zaraźliwym uśmiechem, opuścił ręce i stanął na baczność.

- Tak jest, lordzie Rahlu!

- Zasadnicze znaczenie ma usunięcie każdego, każdego, kto głosi zasady Ładu. Ci ludzie są uosobieniem nienawiści i źródłem wypaczonych poglądów, które zatruwają życie. Bractwo Ładu postawiło sobie za cel zawładnięcie wszystkimi ludźmi i podporządkowanie ich surowym prawom Ładu. Jego członkowie nawołują do zabijania wszystkich, którzy nie ugięli karku pod ich wierzeniami. Idee tych ludzi stają się zarzewiem mordów. Gdyby nie ich nauki, nikt by się tu nie zjawiał, żeby zabijać. Ład jest żmiją, która się wylęgła z ich wierzeń, ich idei, ich nauczania. Ta żmija sięga aż tutaj z samego serca Starego Świata. Od tej chwili waszym celem jest odcięcie głowy temu gadowi. Zabijcie każdego, kto głosi ich wiarę. Jeżeli przemawiają, chcę, by następnego ranka znaleziono ich ciała dokładnie w tym samym miejscu i by nie było wątpliwości, że nie zmarli naturalną śmiercią. Chcę, by wiadano, że głoszenie nauk Ładu to proszenie się o szybką śmierć. Nie ma znaczenia, jak ich zabijecie, ale musicie ich zabić.

Martwi nie będą już mogli pluć jadem i podburzać innych do zabijania nas. Zgładzenie ich to wasza robota. Im szybciej zabijecie jednego, tym prędzej będziecie mogli uśmiercić następnych. Nie zapominajcie, że arcykapłani Bractwa Ładu mają dar. Powinniście być ostrożni i świadomi, że to czarownicy, lecz pamiętajcie, że nawet i czarownicy mają serce, które tłoczy im w żyły krew. Strzała uśmierci ich równie niezawodnie jak każdego innego człowieka. Wiem to, ponieważ niedawno o mało nie zginąłem od strzały wypuszczonej podczas niespodziewanego ataku na mój obóz. - Wskazał na dwie stojące za nim kobiety. - Miałem szczęście, bo były tam Cara i Nicci, które ocaliły mi życie. Chodzi o to, że mimo ich mocy, ci ludzie są wrażliwi na ciosy. Możecie ich wyeliminować. W końcu ileż to razy słyszałem, jak mówicie, że jesteście stałą przeciwko stali, żebym ja mógł być magią przeciwko magii? W owej maksymie ukryta jest podstawowa prawda, że mający dar są tak samo śmiertelni i narażeni na niebezpieczeństwa jak inni ludzie. Wiem, że wy i wasi żołnierze znajdziecie sposoby, by wyeliminować kaznodziejów Ładu. Chcę, żeby każdy, kto głosi sięjące nienawiść wierzenia Ładu, poniósł za to śmierć. Muszą zrozumieć, że nie unikną tego losu tylko dlatego, że mają dar. Wy i wasi żołnierze macie im to uprzytomnić. Ostatecznie chodzi o prawdę i złudzenie, a walka toczy się o to, którą z tych koncepcji ludzie wybiorą. Oni głoszą złudną wiarę w to, co nierealne, w iluzję, w królestwo na tamtym świecie, w karę i nagrodę po śmierci. Zabijają, żeby zmusić ludzi do przyjęcia tej wiary. Ripostą na to jest konkretność zapowiedzi kary za krzywdzenie nas. Ta zapowiedź musi zostać spełniona. Ta obietnica musi zostać dotrzymana. Jeżeli przegramy tę walkę, na długo nastaną mroczne czasy. - Popatrzył na milczących żołnierzy i powiedział cicho, lecz tak, by wszyscy go słyszeli: - Liczę, że dzięki doświadczeniu i rozsądkowi zrobicie to, co musimy zrobić. Jeżeli zobaczycie coś, co waszym zdaniem jest dla nich użyteczne, zniszczcie to. Jeżeli ktoś zechce wam przeszkodzić, zabijcie go. Chcę, żeby ich zasiewy, domy, miasta i miasteczka spłonęły do szczytu. Chcę, żeby spłonął cały Stary Świat. By nie pozostał tam kamień na kamieniu. Chcę, żeby Stary Świat tak ucierpiał, by stracili możliwość realizowania swoich zbrodniczych zamiarów. Chcę, żeby złamano ich wolę walki. Chcę, żeby pozbawiono ich animuszu. Ufam, że znajdziecie sposoby, żeby tego dokonać. Nie poprzestajcie na tym, co wam powiedziałem. Zastanówcie się, co jest dla nich cenne i jak moglibyście to

zniszczyć. Myślcie o tym, jak najlepiej wykonać nowe rozkazy. - Obserwował oczy żołnierzy, którym kazano zrobić to, czego się nie spodziewali. - Nie będzie rozstrzygającej bitwy z armią Ładu. Nie przeciwstawimy się im w sposób, którego sobie życzą. Natomiast będziemy ich prześladować aż po grób.

Wszyscy oficerowie uderzyli się pięścią w serce.

Richard ponownie spojrzął na kapitana Zimmera.

- Masz moje rozkazy. Bądźcie bezlitośni. Tym ludziom nie można odpuścić. Zaslugują tylko i wyłącznie na śmierć. Niech będzie nieunikniona, szybka i bezlitosna.

Kapitan Zimmer dumnie się wyprostował.

- Dziękuję, lordzie Rahlu, że pozwoliłeś mnie i moim ludziom uwolnić świat od tych, którzy roznoszą taką zarazę.

- Chciałbym, żebyś wraz ze swoimi ludźmi zrobił dla mnie coś jeszcze.

- Tak, lordzie Rahlu?

- Przynieście mi ich uszy.

Kapitan Zimmer uśmiechnął się i przyłożył pięść do serca.

- Nie będzie dla nich żadnej litości, lordzie Rahlu. Przyniosę ci dowody.

Oficerowie, kiedy już wzięli pod rozwagę nowe zadania, zaczęli jeden przez drugiego wymieniać cele ataku i sposoby zniszczenia ich. Zapał ożywił ich twarze, zupełnie jakby wcześniej przyzwyczaili się do myśli, że nieprzejednany wróg ich złamie, i uginali się pod tym brzemieniem z obliczami pobrużdżonymi troską. Teraz Richard dostrzegał w nich nową energię, podekscytowanie tym, że istnieje rozwiązanie, że można wreszcie dojrzeć koniec tego wszystkiego.

Proponowali posypywanie pól solą, zatrucie rezerw wody gnijącymi truchłami zwierząt i ludzi, niszczenie tam i wałów, wycinanie sadów, wybijanie żywego inwentarza, podpalanie młynów. Nicci odrzuciła niektóre z tych pomysłów, wyjaśniając, że to by się nie udało lub że wymagałoby zbyt wielkiego zachodu, i w zamian sugerowała coś innego. Dopracowała inne pomysły, żeby przyniosły jeszcze więcej szkód.

Richard do pewnego stopnia był zniesmaczony tym, co słyszał, i świadomością, że on to sprowokował. Ale potem pomyślał o zesłanej mu przez Shotę wizji Kahlan i o tym, że wszystkie te okropieństwa dotyczą nieprzeliczonych niewinnych ludzi - i był zadowolony, że wreszcie

odpowiedzą atakiem, który może pozwoli zakończyć owe potworności. W końcu Ład sam to na siebie ściągnął.

- Liczy się czas - rzekł chłopak do oficerów i Sióstr Światła. - Każdego dnia Ład zajmuje więcej ziem, podporządkowuje sobie, torturuje, gwałci i morduje kolejnych ludzi.

- Zgadzą się - odezwał się generał Meiffert. - To nie może być marsz na południe.

- Nie, nie może - potwierdził Richard. - Chcę, byście galopowali co koń wyskoczy i uderzali bez litości. Ład ma wielką armię i z marszu zajmuje Nowy Świat. Ale ze względu na swoją liczebność jest to wojsko ociężałe i powolne. Jagang świadomie wykorzystuje tę powolność. Każde miasto na jego szlaku przechodzi męki oczekiwania, wyobrażania sobie, co czeka wszystkich mieszkańców. Strach ma kiedy narastać, aż wreszcie staje się nie do zniesienia. Naszym atutem jest to, że nasze szwadrony, niewielkie i ruchliwe, będą mogły uderzać niczym piorun w coraz to innym miejscu. Oni dążą do tego, żeby podejść do miast, otoczyć je i zająć. Nie możemy dać się wciągnąć w takie działania, które prowadzą do strat w ludziach i wyczerpują. Musimy niszczyć, co tylko zdołamy, i natychmiast ruszać do następnego celu. Musimy sprawić, żeby wszyscy w Starym Świecie poczuli strach, żeby wiedzieli, że nic ich nie ocali przed naszą zemstą.

Brodaty oficer wskazał na obóz.

- Nie ma tyle koni, żeby zamienić całą armię w kawalerię.

- Więc musicie szybko znaleźć konie dla wszystkich żołnierzy - odezwała się Cara. - Bierzcie je, gdzie tylko zdołacie.

Oficer zastanawiał się, drapiąc po brodzie. Uśmiechnął się do Cary.

- Nie martw się, już my sobie z tym poradzimy. Odezwał się inny:

- Znam sporo miejsc w D'Harze, gdzie się hoduje konie. Uważam, że stosunkowo szybko zbierzemy tyle, ile nam potrzeba. - Kiedy Richard z aprobatą skinął głową, oficer uderzył się pięścią w serce. - Natychmiast się tym zajmę - rzekł i ruszył w deszcz.

- Armię trzeba podzielić na małe jednostki - powiedział chłopak do generała Meifferta, kiedy oficer spiesznie odszedł. - Nie powinni się trzymać razem.

Generał zapatrzył się w przestrzeń, rozmyślając.

- Sformujemy oddziały uderzeniowe i natychmiast wyślemy je na

południe. Żołnierze będą musieli sami sobie radzić, polegać wyłącznie na sobie. Nie mogą się spodziewać, że dowództwo będzie koordynować wszystkie ich działania lub że pošle im jakiegokolwiek zaopatrzenie.

- Musimy ustanowić siatkę kontaktów - odezwał się jeden ze starszych oficerów - ale masz rację. Też nie sądzę, że da się to koordynować. Trzeba wydać wszystkim jasne instrukcje, a potem pozwolić im działać. Jest co atakować w Starym Świecie.

- Lepiej byłoby, gdyby się ze sobą nie kontaktowali - wtrąciła Nicci, a kiedy wielu z nich na nią spojrzało, dodała: - Każdy złapany posłaniec pójdzie na tortury. Ład ma mistrzów tortur. Każdy jeniec powie to, co wie. Jeżeli wszystkie oddziały będą utrzymywać łączność, to mogą zostać wydane. Jeżeli natomiast pojmany nie będzie wiedzieć, gdzie są inne jednostki, nie będzie mógł zdradzić ich rozmieszczenia.

- Mądra rada - stwierdził Richard.

- Lordzie Rahlu - rzekł powściągliwie generał Meiffert - cała nasza armia, skierowana do Starego Świata, gdzie nie będzie miał kto stawić oporu, dokona niesłychanych spustoszeń. Spuszczeni ze smyczy, z takimi rozkazami, wszyscy konno, żołnierze zniszczą Stary Świat w niespotykanym stopniu.

Generał dawał Richardowi ostatnią szansę zmiany zdania i ostatnią okazję wyjaśnienia, że nie wysłałby ich na pewną śmierć, bo przestał wierzyć w zwycięstwo. Chłopak nie uchylił się przed ukrytym w tych słowach pytaniem. Głęboko zaczerpnął powietrza i splótł dłonie za plecami.

- A wiesz, Benjaminie, pamiętam czasy, kiedy najmniejsza wzmianka o d'harańskich żołnierzach nappełniała mnie przerażeniem.

Stojący w pobliżu skinęli głowami, żałując, że to już przeszłość.

- Wciągając nas w rozstrzygającą bitwę, której zapewne byśmy nie wygrali - rzekł Richard - Jagang sprawił, że d'harańscy żołnierze wydają się słabi i bezradni. Już nie budzimy strachu. A ponieważ uważają, że jesteśmy słabi, sądzą, że mogą z nami robić, co zechcą. Uważam, że to nasza ostatnia szansa na wygranie tej wojny. Jeżeli pozwolimy jej się wymknąć, będzie po nas. Nie chcę, żebyśmy zmarnowali tę szansę. Niczego nie wolno oszczędzać. Chcę, żeby do Jaganga przybywał posłaniec za posłańcem z wieścią, że cały Stary Świat płonie. Chcę, żeby myśleli, że oto otwarły się zaświaty, aby ich pochłonąć. Chcę, żeby ludzie znów drżeli ze strachu na

samą myśl o tym, że prześladowuje ich pomsta d'harańskich żołnierzy. Chcę, żeby każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko ze Starego Świata bali się widmowych d'harańskich legionów z północy. Chcę, żeby wszyscy w Starym Świecie zaczęli nienawidzić Ład za to, że ściągnął na nich takie cierpienia. Chcę, żeby w Starym Świecie podniósł się krzyk, że czas zakończyć wojnę. To wszystko, co chciałem powiedzieć, panowie. Nie mamy chwili do stracenia, więc do dzieła.

Żołnierze, przepełnieni nową determinacją, salutowali, mijając Richarda. Dziękowali mu i mówili, że wykonają robotę. Chłopak patrzył, jak wychodzą na deszcz i idą ku swoim oddziałom.

- Lordzie Rahlu - odezwał się generał Meiffert, podchodząc bliżej - chcę, byś wiedział, że nawet jeżeli nie jesteś przy nas, to prowadzisz nas w nadchodzącej walce. I chociaż może nie będzie to jedna wielka bitwa, której się wszyscy spodziewali, dałeś tym żołnierzom coś, czego bez ciebie by nie mieli. Jeżeli to zadziała, dzięki tobie odwróci się bieg tej wojny.

Richard patrzył, jak krople deszczu kapią ze skraju płóciennego dachu. Pod butami spieszących we wszystkie strony żołnierzy ziemia zamieniała się w błoto. Przypomniało mu to wizję, w której klęczał w błocie, z rękami związanymi na plecach i z nożem przytkniętym do gardła. W pamięci wciąż słyszał, jak Kahlan woła jego imię. Pamiętał swoją bezradność, poczucie, że jego świat się kończy. Musiał stłumić nieoczekiwany, narastający strach. Krzyki Kahlan sprawiały mu okropny ból.

Obok generała stanęła Verna.

- On ma rację, Richardzie. Nie podoba mi się pomysł wciągania w walkę ludzi, którzy nie są żołnierzami, ale wszystko, co mówiłeś, jest prawdą. To oni do tego doprowadzili. Chodzi o przetrwanie cywilizacji i przez to sami siebie uczynili jedną ze stron konfliktu. Nie ma innego sposobu. Siostry zrobią, o co prosiłeś, daję ci na to słowo jako Ksieni.

Richard bał się, że Verna wystąpi przeciwko jego planowi. Był wdzięczny za słowa, od których się powstrzymała. Uściskał ją mocno i szepnął:

- Dziękuję.

Zawsze uważała, że ci, którzy są po jego stronie, powinni nie tylko rozumieć powody, dla jakich walczą, ale i walczyć z nim lub bez niego dla siebie samych. Teraz wierzył, że pojęli, jaka jest stawka, i będą walczyć nie tylko dlatego, że to ich obowiązek, ale również dla siebie.

Verna odsunęła Richarda na długość ramienia i spojrzała mu w oczy.

- Co się dzieje? Potrzęsnał głową.

- Dręczą mnie okropieństwa, które spotykają ludzi. Chcę, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Verna uśmiechnęła się do niego leciutko.

- Wskazałeś nam, jak doprowadzić do tego zakończenia, Richardzie.

- Jaką rolę rezerwujesz dla siebie, lordzie Rahlu? - spytał generał, kiedy chłopak odwrócił się od Verna. - Oczywiście, o ile wolno zapytać.

Richard westchnął i znów skierował myśli ku bieżącym sprawom. A wtedy przerażająca wizja zniknęła.

- Obawiam się, że mamy poważne kłopoty z magią. Armia Imperialnego Ładu to zaledwie jedno z zagrożeń, z którymi musimy sobie poradzić.

Generał Meiffert zmarszczył brwi.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

Chłopak wiedział, że nie wytłumaczy całej tej historii, toteż od razu przeszedł do rzeczy.

- Zniknęła kobieta, która mianowała cię generałem. Jest w rękach pewnych Sióstr Mroku.

Generał był całkowicie zdezorientowany.

- Mianowała mnie generałem? - Mrużył oczy, szukając w pamięci. - Nie mogę sobie przypomnieć...

- To wszystko łączy się z kłopotami z magią. Generał i Verna wymienili spojrzenia.

- To była żona lorda Rahla, Kahlan - odezwała się Cara. - Ona mianowała cię generałem, Benjaminie. - Zrobił zdumioną minę, a Mord-Sith wzruszyła ramionami. - To długa historia, na inny czas - dodała, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Jeden lord Rahl ją pamięta. Za sprawą zaklęcia zwanego chainfire.

- Chainfire? - Verna stała się jeszcze bardziej podejrzliwa. - Które Siostry?

- Siostra Ulicia i inne jej nauczycielki - odezwała się Nicci. - Odszukały pradawne zaklęcie chainfire i rzuciły je.

Verna dość chłodno przyjrzała się Nicci.

- Powinnaś wiedzieć, do czego są zdolne te kobiety, skoro byłaś jedną z nich.

- Tak - odparła ze znużeniem czarodziejka - a ty pojmałaś Richarda i sprowadziłaś go do Pałacu Proroków. Gdybyś tego nie zrobiła, nie zniszczyłby wielkiej bariery i Imperialny Ład tkwiłby teraz nadal w Starym Świecie. Jeżeli już zamierzasz obarczać kogoś winą, to pomyśl, że Siostry Mroku nigdy nie spotkałyby Richarda, gdybyś go nie pojmała i nie sprowadziła przez barierę do Starego Świata.

Verna mocno zacisnęła usta. Richard znał tę minę i wiedział, co nadciąga.

- W porządku - odezwał się cicho, zanim na dobre zaczęły. - W tamtych czasach wszyscy zrobiliśmy to, co musieliśmy, co uważaliśmy za najlepsze. Ja też popełniłem błędy. Możemy kształtować jedynie przyszłość, nie przeszłość.

Verna skrzywiła się. Najwyraźniej miała wielką ochotę przedłużyć tę sprzeczkę, ale była za mądra.

- Masz rację.

- No pewnie - wtrąciła Cara. - Jest lordem Rahlem. Verna musiała się uśmiechnąć.

- Jasne, że jest, Caro. Dopełnił proroctwa, nawet jeżeli nie miał takiego zamiaru.

- Nie - wtrącił Richard. - Zjawiłem się po to, byśmy spróbowali ocalić samych siebie. To się jeszcze nie dokonało, a proroctwo, w przypadku, o którym mówisz, ma inne znaczenie.

Podejrzliwość Verny natychmiast wróciła.

- Jakież?

- Nie mam teraz czasu, żeby się w to zagłębiać. Muszę wracać i sprawdzić, czy Zedd i tamci coś znaleźli.

- Masz na myśli odszukanie twojej żony, lordzie Rahlu?

- Tak, generale, ale sytuacja się pogarsza. Dzieją się inne rzeczy. Są zasadnicze kłopoty z magią.

- Na przykład? - dopytywała się Verna. Richard badawczo spojrzął jej w oczy.

- Powinnaś wiedzieć, że demony skaziły świat życia. Magia została skażona. Niektóre jej aspekty już zanikły. Nie wiadomo, co teraz zaniknie i jak szybko to nastąpi. Musimy wracać i sprawdzić, co da się zrobić, o ile w ogóle można coś na to poradzić. Jest tam Ann, jest i Nathan. Razem z

Zeddem starają się czegoś dowiedzieć. - Zanim Verna zdążyła zasypać go gradem pytań, zwrócił się do generała: - Jeszcze jedno. Jestem przekonany, że kiedy nie będzie armii, która stanęłaby im na drodze, Jagang zechce zająć Pałac Ludu.

Generał Meiffert podrapał się po głowie i zastanowił.

- Też tak myślę. Ale pałac jest wysoko na wielkim płaskowyżu. Na górę prowadzą tylko dwie drogi: wąska z mostem zwodzonym lub przez wielkie wewnętrzne wrota. Jeżeli wielkie wrota zostaną zamknięte, wtedy nikt się nie przedostanie, a tamta droga nie nadaje się dla takiej armii. Ale i tak, żeby mieć całkowitą pewność, doradzałbym, byśmy wysłali do pałacu trochę naszych najlepszych żołnierzy jako posiłki. Kiedy ruszymy na południe, naczelną dowódca Trimack i jego Pierwsza Kompania Gwardii Pałacowej sami staną naprzeciwko całej armii Jaganga. Ale szturm na pałac? - Pokręcił sceptycznie głową. - Pałac jest nie do zdobycia.

- Jagang ma przy sobie mających dar - przypomniała mu Cara. - A ty, lordzie Rahlu, nie zapominaj, że te Siostry już się kiedyś, na początku, dostały do pałacu. Pamiętasz?

Zanim Richard zdążył odpowiedzieć, Verna chwyciła go za ramię i obróciła ku swej nachmurzonej twarzy.

- Po co te Siostry miałyby rzucać zaklęcie, o którym wspomniałeś? To chainfire?

- Żeby ludzie zapomnieli o istnieniu Kahlan.

- Ale po co im coś takiego? Chłopak westchnął.

- Siostra Ulicia chciała, żeby Kahlan weszła do Pałacu Ludu i ukradła szkatuły Ordenu. Zaklęcie chainfire miało jej zapewnić swego rodzaju niewidzialność. Odkąd rzuciły ten czar na Kahlan, nikt jej nie pamięta. Nikt sobie nie przypomina, że przeszła przez pałac i zabrała szkatuły z Ogrodu Życia.

- Zabrała szkatuły... - zdumiała się Verna. - Ale po co, u licha?

- Siostra Ulicia włączyła je do gry - odezwała się Nicci.

- Drogi Stwórco - powiedziała Verna, przyciskając dłoń do czoła. - Zostawię tam kilka Sióstr z surowym ostrzeżeniem.

- Może powinnaś być jedną z nich - rzekł Richard. Wyjrzał spod dachu i zobaczył, że zerwał się wiatr i deszcz czasami zacina z ukosa. - Nie możemy pozwolić, by pałac padł. Sianie zamętu w Starym Świecie to nic trudnego dla

twoich Sióstr. Obrona pałacu przed hordą Jaganga i jego mającymi dar to o wiele trudniejsze wyzwanie.

- Pewnie masz rację - przyznała, odgarniając z twarzy pukiel falistych włosów.

- A ja tymczasem sprawdzę, co mogę zrobić, żeby powstrzymać Ulicę i jej Siostry Mroku. - Richard obejrzał się na Nicci i Carę oraz na krzątających się w deszczu żołnierzy zajętych nowym zadaniem. - Muszę wracać.

Generał Meiffert uderzył pięścią w serce.

- Będziemy stałą przeciwko stali, lordzie Rahlu, żebyś ty mógł być magią przeciwko magii.

Verna dotknęła policzka chłopaka, w jej piwnych oczach pojawiły się łzy.

- Uważaj na siebie, Richardzie. Potrzebujemy cię.

Skinął głową i uśmiechnął się do niej serdecznie. Wyraził tym uśmiechem więcej niż słowami.

Generał Meiffert otoczył ramieniem kibić Cary.

- Czy mogę was eskortować do koni? Mord-Sith posłała mu bardzo kobiecy uśmiech.

- Myślę, że nas to ucieszy.

Nicci nasunęła kaptur na głowę i wyskoczyli na ulewę. Popatrzyła na Richarda i zmarszczyła podejrzliwie brwi.

- Skąd ci przyszedł do głowy „widmowy legion”?

Położył dłoń na jej plecach i prowadził ją przez deszcz.

- Shota mi to podsunęła, kiedy powiedziała, że powinienem przestać się uganiać za fantomami. Miała na myśli, że fantomu nie można odnaleźć, nie można schwytać. Chcę, żeby ci żołnierze byli fantomami.

Objęła ramieniem jego barki i pobiegli ku koniom.

- Zrobiłeś, co należało, Richardzie. Ujrzała w jego oczach smutek.

Rozdział 26

Rachel ziewnęła. Violet zniechęca się okręciła i tak ją uderzyła, że dziewczynka spadła z głazu, na którym siedziała.

Ogłuszona, uniosła się na jednej ręce. Przyłożyła dłoń do policzka, czekając, aż zelżeje przeraźliwy ból, aż wszystko wokół znów stanie się wyraźne. Violet, zadowolona, wróciła do pracy.

Rachel była półprzytomna z braku snu i nie uważała, dlatego cios Violet zupełnie ją zaskoczył. Ból był taki, że łzy napływały jej do oczu, ale wiedziała, że nie należy nic mówić, a już zwłaszcza okazywać bólu.

- Ziewanie jest w najlepszym wypadku niegrzeczne, w najgorszym zaś wyraża brak szacunku. - Pulchna twarz Violet obróciła się ku małej. - Jeżeli nie będziesz się zachowywać jak należy, następnym razem użyję bicia.

- Tak, królowo Violet - odparła potulnie Rachel. Aż za dobrze wiedziała, że Violet nie rzuca gróźb na wiatr.

Dziewczynka była taka zmęczona, że oczy same jej się zamykały. Niegdyś była „towarzyszką zabaw” Violet, za to teraz została wyłącznie kimś do wyżywania się.

Violet bez reszty pochłaniała zemsta. Na noc kazała mocować w ustach Rachel żelazne urządzenie. To było okropne. Rachel musiała wsuwać język w przypominający dziób zacisk z dwóch płaskich, rowkowatych kawałków żelaza. Wtedy te dwie „szczęki” zaciskano i unieruchamiały one jej język.

Rachel przekonała się, że opór prowadzi do batożenia, a gwardziści na siłę otwierają jej usta i szczypcami wyciągają delikatny język, żeby umieścić go w zacisku. I tak zawsze byli góraj; jej język nie miał się gdzie ukryć. A kiedy język był już w zacisku, mocowano jej na głowie żelazną maskę, która stanowiła część całego urządzenia i unieruchamiała język.

Gdy urządzenie było zamocowane, dziewczynka nie mogła mówić. Nawet ciężko jej było przelżykać. A wtedy Violet zamykała ją na noc w starej żelaznej klatce. Mówiła, że chce, by Rachel wiedziała, jak to jest być niemową i cierpieć.

To bardzo bolało. Zamknięcie na całą noc w żelaznej klatce, z tym okropnym urządzeniem unieruchamiającym język na głowie, niemal doprowadziło ją do szaleństwa. Początkowo, obłądnie przerażona

samotnością i tkwieniem w pułapce, nie mogąc się wydostać ani zdjąć tego czegoś, krzyczała i krzyczała. Violet, rechocząc, tylko narzuciła na klatkę gruby koc, żeby stłumić wrzaski małej. Ale płacz i krzyki sprawiały, że żelazne szczęki jeszcze bardziej raniły język.

W końcu przestała płakać i krzyczeć, kiedyś bowiem Violet podeszła, przysunęła twarz do małego okienka i zapowiedziała, że jeżeli Rachel nie będzie cicho, to ona każe Six obciąć dziewczynce język. Rachel wiedziała, że Six zrobi to, jeżeli Violet jej każe.

Potem już nie krzyczała i nie szalała. Po prostu zwijała się w kłębek w swoim niewielkim żelaznym więzieniu i usiłowała przypomnieć sobie to wszystko, czego nauczył ją Chase. I właśnie to ją ostatecznie uspokoiło.

Chase powiedziałby jej, żeby nie rozmyślała o swoim kłopotliwym położeniu, tylko wypatrywała chwili, kiedy się będzie mogła uwolnić. Chase nauczył ją, jak zauważać prawidłowości w zachowaniu ludzi i luki w ich czujności. Toteż właśnie to robiła, leżąc każdej nocy w żelaznej klatce i czekając na rano oraz ludzi, którzy wyciągną ją z klatki i zdejmą jej to okropne urządzenie.

Dziewczynka ledwo mogła jeść, taki miała obolały i obtarty język, mimo że niewiele dawali jej do jedzenia. Każdego ranka, kiedy już zdjęto zacisk, język boleśnie pulsował całymi godzinami. Szczęki też ją bolały, bo urządzenie przez całą noc nie pozwalało jej zamknąć ust. Jedzenie sprawiało ból. A gdy już jadła, wszystko miało smak brudnego metalu. Mówienie również sprawiało ból, więc odzywała się tylko wtedy, kiedy Violet o coś pytała. Violet, widząc, jak Rachel unika mówienia, uśmiechała się czasem pogardliwie i nazywała ją swoją małą niemową.

Rachel była ogromnie przygnębiona tym, że znowu znalazła się w rękach tak nikczemnej osoby, i przeraźliwie smutna, jak nigdy przedtem, bo Chase odszedł. Nie mogła zapomnieć o tym, jak straszliwie został raniony. Bez końca go opłakiwała. Jej smutek, boleść i całkowita samotność były nie do zniesienia. Kiedy Violet nie była na swoich lekcjach rysunku, nie nakazywała niczego ludziom, nie jadła, nie przymierzała klejnotów czy sukien, zabawiała się krzywdzeniem Rachel. Czasami, wypominając dziewczynce, jak to ją niegdyś straszyla ogniową pałeczką, Violet chwytala małą za nadgarstek i kładła jej na ramię rozżarzony węgielek. Ale i tak żał, że raniono Chase'a, bolał bardziej niż wszystko to, co Violet mogła jej zrobić. Chase odszedł i

właściwie nie miało znaczenia, co się z nią stanie.

Violet musiała „zdyscyplinować” Rachel, jak to nazywała, za te wszystkie okropne rzeczy, które dziewczynka zrobiła. Królowa uznała, że utrata języka przytrafiła jej się w dużej części z winy Rachel. Powiedziała, że upłynie dużo czasu, zanim dziewczynka zasłuży na wybaczenie tak poważnego występku i braku respektu, jaki okazała, uciekając z zamku. Zdaniem Violet ucieczka Rachel była karygodnym odrzuceniem tego, co nazywała ich „szczodroblewością” wobec nic niewartej sieroty. Często rozwodziła się nad tym, ileż to ona i jej matka zrobiły dla Rachel tylko po to, żeby dziewczynka w końcu okazała się niewdzięczną znajdą.

Rachel podejrzewała, że zostanie stracona, kiedy Violet wreszcie znudzi się dręczenie jej. Słyszała, jak królowa skazuje na śmierć więźniów oskarżonych o „zbrodnie stanu”. Gdy ktoś się jej naraził lub gdy Six jej powiedziała, że konkretna osoba stanowi zagrożenie dla korony, Violet zarządzała egzekucję. A jeżeli ktoś popełnił poważny błąd, otwarcie kwestionując autorytet Violet lub jej rządy, nakazywała gwardzistom, żeby umierał powoli i boleśnie. Niekiedy szła popatrzeć, żeby się upewnić, czy jest, jak poleciła.

Rachel pamiętała, jak królowa Milena zarządzała egzekucje, a Violet zaczynała na nie chodzić. Musiała iść razem z księżniczką, bo była jej towarzyszką zabaw. Rachel zawsze odwracała wzrok od okropnego widoku, Violet zaś nigdy.

Six stworzyła cały system, za pomocą którego można było potajemnie podawać nazwiska ludzi wypowiadających się przeciwko królowej. Powiedziała też Violet, że ludzi dostarczających takie tajne raporty należy wynagradzać za lojalność. I Violet hojnie płaciła za nazwiska zdrajców.

Od czasów, kiedy Rachel przy niej była, Violet nabrała jeszcze większego zamiłowania do zadawania bólu. Six wielokrotnie powtarzała, że ból to dobry nauczyciel. Violet niezmiernie się podobało, że ma kontrolę nad życiem innych, że na jej rozkaz ludziom można zadawać cierpienie.

Stała się również ogromnie podejrzliwa. Właściwie miała zaufanie jedynie do Six. Tylko jej ufała i tylko na niej polegała. Violet nie wierzyła większości swoich „lojalnych poddanych”, o których często mawiała, że to zera, że nic nie znaczą. Rachel pamiętała, że Violet i ją nazywała nikim.

Kiedy Rachel mieszkała wcześniej w zamku, ludzie pilnowali się, by nie

rozniewać niektórych osób, ale po prostu byli czujni. Bali się królowej Mileny, i mieli po temu powody, lecz czasem się uśmiechali i śmiali. Praczki plotkowały, kucharze niekiedy robili z potraw zabawne buźki, sprzątacze pogwizdywali przy robocie, a żołnierze opowiadali sobie dowcipy, maszerując na służbie zamkowymi korytarzami.

Teraz natomiast, ilekroć królowa Violet lub Six były w pobliżu, panowała grobowa cisza. Żaden ze sprzątaczy, żadna praczka czy szwaczka, żaden kucharz czy żołnierz się nie uśmiechał i nie śmiał. Cały czas wyglądali na przestraszonych. Atmosfera w zamku zawsze była przepojona grozą, bo w każdej chwili każdy mógł zostać wskazany. Wszyscy usuwali im się z drogi i czołobitnie okazywali szacunek królowej, zwłaszcza w obecności jej wysokiej, posępnej doradczyni. Ludzie najwyraźniej bali się Six tak samo, jak się bali Violet. Gdy na twarzy Six pojawiał się ten dziwaczny, pusty, wężowy uśmiech, ludzie zastygali z szeroko otwartymi oczami i spoconym czołem, a potem przetykali z ulgą ślinę, kiedy zniknęła im z oczu.

- Tutaj - powiedziała Six.

- Co tutaj? - spytała Violet, gryząc chlebową pałeczkę.

Rachel ostrożnie usadowiła się na tym samym gładzie. Napomniała się, że powinna bardziej uważać. Oberwała z własnej winy, bo znudziła się i przestała być czujna.

Wcale nie, powiedziała sobie. To Violet zawiniła. Chase mówił jej, że nie powinna się obwiniać za postęпки innych.

Chase. Serce pękało jej na samą myśl o nim. Musiała zająć myśli innymi sprawami, bo inaczej zrobi się taka smutna, że zacznie płakać. A Violet nie znosiła, gdy Rachel robiła coś bez pozwolenia. Dotyczyło to także płaczu.

- Tutaj - powtórzyła Six z przesadną cierpliwością, a kiedy Violet tylko się w nią wpatrywała, przesunęła długim palcem po oświetlonej pochodnią skalnej ścianie. - Czego brakuje?

Violet pochyliła się, zerkając na ścianę.

- Ummmm...

- Gdzie jest słońce?

- No - powiedziała opryskliwie Violet, prostując się i wskazując palcem złocisty dysk - tutaj. Przecież wyraźnie widzisz, że to słońce.

Six przez chwilę patrzyła na nią gniewnie.

- Oczywiście, że widzę, że to słońce, moja królowo. - Znow powrócił ten

pusty uśmiezek. - Ale w której części nieba się znajduje?

Violet postukała się kredą w brodę.

- Nieba?

- Tak. Gdzie jest na niebie? Dokładnie nad nami? - Six skierowała palec w górę. - Mamy uznać, że patrzymy na słońce w zenicie? To samo południe?

- No niejasne, że to nie samo południe. Wiesz przecież, że nie może tak być. To ma być pod koniec dnia. I to też wiesz.

- Czyżby? A skąd mamy to wiedzieć? W końcu to bez znaczenia, że ja wiem, jak powinno być. Rysunek musi to pokazać. Nie może uzyskać ode mnie wyjaśnienia, nieprawdaż?

- No, nie może - przyznała Violet.

Wiedźma znów przesunęła palcem po ścianie poniżej słońca.

- Czegóż więc brakuje?

- Brakuje, brakuje... - mamrotała Violet. - O! - Szybko narysowała linię w miejscu, które Six wskazywała palcem. - Horyzontu. Horyzont pozwala nam określić porę dnia. Mówiłaś mi to przedtem. Pewnie wyleciało mi z głowy. - Spojrzała ze złością na kobietę. - Wiesz, tyle trzeba zapamiętać. Ciężko to wszystko sobie poukładać.

Chłodny uśmiech nie schodził z warg Six.

- Oczywiście, moja królowo. Wybacz, że zapomniałam, jak trudno mi było to wszystko zapamiętać, kiedy byłam w twoim wieku.

Rysunek, nad którym mozoliła się Violet, był znacznie bardziej skomplikowany niż pozostałe malunki w jaskini, lecz Six zawsze tu była, żeby przypomnieć królowej, by we właściwym czasie wyrysowała odpowiedni fragment.

Violet pogroziła wiedźmie kredą.

- Lepiej, żebyś już o tym nie zapomniała. Six starannie splotła palce.

- Oczywiście, moja królowo. - Ściągnęła usta i w końcu odwróciła od Violet gniewny wzrok, by znów spojrzeć na ścianę. - W tym momencie potrzebna jest nam mapa nieba dla tej domeny. Później, jeżeli zechcesz, powiem ci, dlaczego tak jest, ale teraz może ci tylko pokażę to, co niezbędne?

Violet zerknęła tam, gdzie Six wskazywała, i wzruszyła ramionami.

- Niech będzie - odparła i wróciła do ciamkania chlebowej pałeczki.

Six otworzyła niewielką książkę. Violet nachyliła się, mrużąc oczy w migotliwym świetle. Wiedźma postukała w stronicę długim paznokciem, a

dziewczyna wreszcie odgryzła kawałek chrupkiej chlebowej pałeczki.

- Widzisz azymut? Pamiętasz lekcję o kącie odniesienia względem horyzontu dla tej tu gwiazdy?

- Taaak - rzekła przeciągle Violet, sprawiając wrażenie, że naprawdę wie, o czym Six mówi. - To by się wiązało z odniesieniem kątowym o tutaj. Racja?

- Tak. To aspekt skalającego czynnika, który to wszystko spaja. Violet skinęła głową.

- I w rezultacie łączy to z nim... - powiedziała w zamyśleniu.

- Słusznie. Spójnia jest częścią tego, co niezbędne, żeby osadzić to wszystko w miejscu i czasie ostatecznego scalenia. Dlatego horyzont, który właśnie narysowałaś, jest konieczny do ustalenia owego kąta. W przeciwnym razie byłaby to labilna korelacja. Violet znowu przytaknęła.

- Chyba już rozumiem, dlaczego muszą się łączyć. Bo gdyby wzajemne relacje nie były ściśle określone - wyprostowała się i wskazała na łuk symboli - mogłoby się to wydarzyć w dowolnym czasie. Dziś, jutro albo, bo ja wiem, za dwanaście lat.

Six uśmiechnęła się chytrze.

- Tak jest.

Violet rozpromieniła się, dumna z siebie.

- Ale skąd bierzemy te wszystkie symbole i skąd wiemy, jak je wykorzystać w rysunku? Skąd na przykład wiemy, że są potrzebne w tych konkretnych punktach, w których kazałaś mi je narysować?

Six odetchnęła, by zachować cierpliwość.

- No cóż, mogłabym cię tego wszystkiego najpierw nauczyć, ale to by potrwało jakieś dwadzieścia lat. Chcesz tak długo czekać na zemstę?

Violet spochmurniała.

- Nie.

Wiedźma wzruszyła ramionami.

- Toteż powiedziałabym, że moja pomoc w tworzeniu rysunku najszybciej doprowadzi do pożądanych efektów.

Violet się skrzywiła.

- Pewnie tak.

- Masz podstawy, moja królowo. W tej fazie rozwijania swojego talentu dobrze sobie radzisz. Zapewniam cię, że chociaż cię wspomagam w pewnych zawiłościach, nic z tego nie funkcjonowałoby bez twojego daru. Gdyby nie

twoje zdolności, nie mogłabym sprawić, żeby to zadziało.

Violet uśmiechnęła się niczym wzorowa uczennica. Uważnie spojrzawszy w otwartą książeczkę trzymaną przez Six, wróciła do ściany i pieczołowicie przerysowała niezbędne elementy.

Rachel była zdumiona, że Violet tak dobrze rysuje. Wszystkie ściany jaskini, od wejścia do miejsca, gdzie pracowały, pokryte były rysunkami. Obrazy zajmowały każdy dostępny fragment. Tu i tam sprawiały wrażenie, jakby je wciśnięto w luki pomiędzy starszymi rysunkami. Niektóre były bardzo dobre, z takimi szczegółami jak cieniowanie. Jednak w większości były to zwyczajne przedstawienia kości, upraw, węży czy innych zwierząt. Były również podobizny ludzi pijących z kubków, na których widniały czaszki i skrzyżowane piszczele. W jednym miejscu kobieta, wyglądająca jak zrobiona z patyków, uciekała z płonącego domu; kobietę też otaczały płomienie. Gdzie indziej mężczyzna tkwił w wodzie obok tonącej łódki. W kolejnej scenie wąż kąsał jakiegoś mężczyznę w kostkę. Na ścianach widniały także rysunki najrozmaitszych trumien i grobów. Wszystkie te obrazy miały jedną wspólną cechę: przedstawiały jakieś okropności.

Ale żadne z malowideł w jaskini nawet w przybliżeniu nie było tak skomplikowane jak to, nad którym Violet teraz pracowała.

Inne podobizny ludzi z rzadka były naturalnych rozmiarów, a nawet wtedy zawierały niewiele szczegółów: na przykład skałę spadającą na taką osobę lub tratującego ją konia. Większość rysunków ukazywała bardzo podobne wydarzenia i miała wielkość zaledwie paru dłoni. Za to najnowsze malowidło Violet zajmowało dziesiątki stóp, od ziemi do poziomu, do którego mogła sięgnąć, posuwając się w głąb jaskini. Violet sama je narysowała; zgodnie ze wskazówkami Six, ma się rozumieć.

Ale najbardziej niepokoiło Rachel to, że po jakimś czasie, kiedy Violet narysowała już gwiazdy, wzory, diagramy i dziwne, zawile symbole, pośrodku umieściła czyjąś postać.

Postać Richarda.

To malowidło Violet nie przypominało niczego innego w jaskini. W porównaniu z nim wszystkie pozostałe rysunki były toporne i prościutkie. Ich znaczenie było zupełnie jasne: ciemna chmura z zygzakowatymi liniami symbolizującymi deszcz; wilk szczerzący kły; trzymający się za pierś, upadający na plecy człowiek. Wokół postaci widniały nieliczne, proste

dodatki.

Za to obraz Violet pełen był zupełnie innych rzeczy. Były tam cyfry i wzory, słowa w dziwnych językach, niektóre wpisane w diagramy, liczby starannie umieszczone tam, gdzie tworzyły się kąty, oraz dziwaczne geometryczne symbole rozrzucone po całym malowidle. Ilekroć Violet rysowała któryś z tych symboli, Six stała przy niej, skupiona, szepcząc wskazówki dotyczące każdej linii, czasami pokazując, gdzie dziewczyna ma przyłożyć kredę, i nie pozwalając, żeby dotknęła kredą ściany, gdyby kolejna linia miała zostać źle wykreślona. Raz Six nawet się zaniepokoiła i chwyciła Violet za nadgarstek, nim ta zdążyła dotknąć kredą ściany. Odetchnęła z ulgą i przesunęła rękę królowej, pomagając jej rozpocząć we właściwym miejscu.

To malowidło Violet, w przeciwieństwie do pozostałych, było również wielobarwne. Inne rysunki w jaskini, aż do punktu, w którym Violet zaczęła swoje, wykonano kredą. Na malowidle Violet w jednym miejscu widniały zielone drzewa, w innym niebieska woda, żółte słońce i czerwone chmury. Niektóre wzory były całkiem białe, inne wielobarwne, lecz w uporządkowanej sekwencji kolorów.

I coś jeszcze różniło je od reszty malowideł w jaskini - kiedy odchodziły i Rachel się obejrzała, spostrzegła, że elementy malowidła jarzą się w mroku. I to nie kreda sprawiała, że lśniły, bo w innych miejscach rysunku nie świeciła w mroku.

Również część jednego z symboli jarzyła się w mroku. Była to dziwna twarz jaśniejąca na tle ciemnych, zawitych wzorów. Kiedy pochodnia była w pobliżu, twarz znikwała i wszystko to wyglądało jedynie jak sieć linii. Rachel nie mogła się zorientować, jakie fragmenty wzoru budują tę twarz. Ale w mroku oblicze było zwrócone ku niej, oczy śledziły ją, obserwowały, jak odchodzi.

Jednak to podobizna Richarda przyprowadziła Rachel o gęsią skórkę. Była tak wierna, że dziewczynka mogła go rozpoznać nawet wyłącznie po rysach twarzy.

Rachel zdumiewało, że Violet potrafi tak dobrze rysować. Inne rzeczy też świadczyły, że to Richard, nawet gdyby podobizna nie była taka doskonała. Jego czarny strój został znakomicie odwzorowany, dokładnie tak jak zapamiętała go Rachel. Na obrzeżu tuniki widniały nawet niektóre z

tajemniczych symboli. Six bardzo starannie kierowała rysowaniem owych symboli. Na malowidle Violet chłopak miał także rozwianą pelerynę, która wyglądała jak utkana ze złotych nici.

Violet narysowała to tak, jakby był w wodzie.

Otaczały go faliste barwne obszary, które Six nazywała „aurami”. Kolory oddziały od siebie i od Richarda skomplikowane wzory i symbole. Wiedźma powiedziała, że w ostatniej fazie te elementy między nim a jego istotą zostaną połączone, tworząc nieprzenikliwą przegrodę. Rachel nie miała pojęcia, co to oznacza, lecz najwyraźniej dla Violet miało to znaczenie.

Six wydawała się szczególnie dumna z tych elementów nieprzenikliwej przeszkody. Czasem długo stała przed malowidłem i wpatrywała się w nie.

Na obrazie Richard miał Miecz Prawdy, ale narysowany tak leciutko, jakby tam był i zarazem nie był. Wydawał się niemal częścią chłopaka, bo Violet narysowała to tak, że wyglądało, jakby miecz przenikał jego pierś. Niemniej Rachel nie była pewna, czy on naprawdę trzyma miecz, tak delikatnie oręż był nakreślony. Violet bardzo się napracowała, żeby to tak wyglądało. Six kazała jej to kilka razy poprawiać, mówiąc, że to ogromnie istotne.

Rachel była zdumiona, że Richarda narysowano z mieczem, bo przecież teraz Samuel go miał. Ale przedstawienie Richarda z mieczem wydawało się właściwe. Może Six też tak uważała.

Violet cofnęła się, przekrzywiła głowę i oceniała swoją robotę. Six stała nieruchomo i wpatrywała się w rysunek, jakby była tu zupełnie sama. Z wahaniem wyciągnęła rękę i leciutko dotknęła wzorów wokół Richarda.

- Kiedy ostatecznie połączymy wszystkie elementy? - zapytała Violet.

Palce Six powoli, delikatnie przesuwają się po wzorach i niektóre z elementów reagowały na jej dotyk, lśniąc i migocząc w nikłym świetle.

- Wkrótce - wyszeptała. - Wkrótce.

Rozdział 27

- Lordzie Rahlu!

Richard odwrócił się w ostatniej chwili i zobaczył, jak skacze ku niemu gnająca ile sił w nogach Berdine. Wylądowała mu na piersi, oplatając ramionami i nogami. Zderzenie pozbawiło go tchu. Owinął się wokół niego jej długi warkocz spleciony z falujących brązowych włosów. Richard chwiejnie zrobił krok w tył i objął ją, żeby nie spadła. Ale tak mocno się go trzymała rękami i nogami, że nie potrzebowała pomocy.

Richard rzadko widywał, by nawet latająca wiewiórka wykonała lepszy skok. Choć tyle go gnębiło, nie mógł się nie uśmiechnąć, widząc żywiołowość Berdine. Kto by pomyślał, że Mord-Sith znów się kiedyś stanie równie spontanicznie radosna jak mała dziewczynka.

Oplatając go w pasie nogami, odchyliła się i uśmiechnęła do niego. Obejrzała się na nachmurzoną Carę.

- Nadal mnie lubi najbardziej. Cara tylko przewróciła oczami.

Richard ujął Berdine w tali, uniósł i postawił. Była niższa niż większość znanych mu Mord-Sith. Była również pełniejsza życia i miała bujniejsze kształty. Chłopak zawsze uważał, że usposobienie Berdine to rozbrajające połączenie naturalnej zmysłowości, szelmstwa i radości. Ale, jak każda Mord-Sith, była także zdolna do natychmiastowej, bezlitosnej przemocy czającej się tuż pod powierzchnią jej dziecinnego zachwyty światem. Poza tym jawnie i żarliwie kochała Richarda - szczerą i czystą córczyną miłością.

- Jesteś balsamem dla mego serca, Berdine. Jak się masz? Zmarszczyła nosek.

- Lordzie Rahlu, jestem Mord-Sith. Jak według ciebie powinnam się mieć?

- Takie samo utrapienie jak zawsze - rzekł półszepem. Uśmiechnęła się, zadowolona z odpowiedzi.

- Słyszeliśmy, że byłeś tu wcześniej, ale się z tobą rozminęłam. Ostatnio już dwa razy się z tobą rozminęłam, więc nie zamierzałam znów pozwolić, byś zniknął, zanim się z tobą zobaczę. Mamy tyle do omówienia, że nie wiem, od czego zacząć.

Richard spojrzał w głąb szerokiego korytarza, wyłożonego ukośnie

płytami z bogato żyłkowanego złocistego marmuru w obramowaniu z czarnego granitu, i zobaczył grupę żołnierzy idących ku niemu szybkim krokiem. Wysoko w górze deszcz monotonnie bębnił w świetliki wpuszczające szarawe światło dnia. Ale nawet to przyćmione światło zdołało się rzęsiście odbić od wypolerowanych napierśników żołnierzy.

Wszyscy mieli u pasa topory o sierpowatym ostrzu, miecze i długie noże. Niektórzy byli uzbrojeni w gotowe do strzału kusze. Ci nosili czarne rękawice i zachowywali spory odstęp od kolegów. Bełty w kuszach wyglądały bardzo groźnie i miały czerwone upierzenie.

Korytarze były zatłoczone ludźmi - od tych, którzy tu mieszkali i pracowali, po tych, którzy przyjechali wymienić lub sprzedać towar. Wszyscy oni zostawiali nadchodzącym żołnierzom szerokie przejście. I równocześnie przyglądali się Richardowi, usiłując sprawiać wrażenie, że wcale tego nie robią. Kiedy chłopak napotykał ich wzrok lub przyłapywał ich na patrzeniu się, niektórzy pochylali w ukłonie głowę, a inni przyklękali na kolano. Richard uśmiechał się, chcąc, żeby się poczuli swobodnie.

Rzadko się zdarzało, przynajmniej w ostatnich latach, by lord Rahl był w pałacu. Richard nie mógł się więc spodziewać, że ludzie nie będą mu się przyglądać. Zresztą trudno było go nie zauważyć w czarnym stroju czarodzieja wojny i w rozwianej złocistej pelerynie. Ale i tak nie potrafił myśleć o pałacu jako o domu. W głębi serca nadal uważał za dom lasy Hartlandu. Dorastał, spacerując wśród niebosiężnych drzew, a nie pomiędzy strzelistymi kamiennymi kolumnami.

Naczelną dowódca Pierwszej Kompanii Gwardii Pałacowej Trimack sprężyście zatrzymał się i zasalutował, uderzając pięścią w dopasowany skórzany napierśnik. Delikatny metaliczny szczęk rynsztunku ucichł, kiedy dwunastu towarzyszących mu żołnierzy zasalutowało równocześnie. Ci żołnierze, nieustannie przepatrujący korytarze i przyglądający się badawczo wszystkim mijającym ich ludziom, byli osobistą gwardią lorda Rahla, kiedy ten znajdował się w pałacu. Wszyscy spojrzeli na Carę, a potem pospiesznie oszacowali Nicci stojącą tuż za Richardem. Byli stalowym pierścieniem chroniącym lorda Rahla przed najmniejszym nawet zagrożeniem. Służyli w Pierwszej Kompanii, bo byli najsprawniejszymi i najlojalniejszymi wojownikami całej d'harańskiej armii.

Po służbowym salucie dowódca skłonił się Carze, a następnie

Richardowi.

- Cieszymy się, lordzie Rahlu, że wreszcie jesteście w domu.

- Obawiam się, generale Trimack, że to jedynie krótka wizyta. Nie mogę zostać. - Richard wskazał Carę i Nicci. - Mamy naglące sprawy i musimy zaraz ruszać.

Generał Trimack - szczerze zawiedziony, choć nie całkiem zaskoczony - westchnął. Potem coś przyszło mu na myśl i odrobinę się rozchmurzył.

- Czy odnalazłeś tę kobietę, swoją żonę, która była w Ogrodzie Życia i zostawiła tam posążek, który odkryłeś?

Richard poczuł ukłucie niepokoju o Kahlan. Poczucił się winny, że bardziej nie przykłada się do odszukania jej. Jak mógł pozwolić, żeby inne sprawy odwiodły go od szukania Kahlan? Jak cokolwiek mogło się okazać na tyle ważne, żeby przeszkodzić mu w szukaniu jej? Starał się nie myśleć o wizji, którą zesłała mu Shota. Wyglądało na to, że wydarzenia sprawiły, iż odsunął na bok poszukiwania osoby, która jest dla niego najważniejsza. Wiedział, że w gruncie rzeczy wcale tak nie jest, że nic nie można na to poradzić, ale i tak musiał wrócić do wieży i szukać sposobu odnalezienia jej.

Tak naprawdę nie zapominał o Kahlan nawet wtedy, gdy załatwiał inne sprawy. Starał się domyślić, dokąd Siostra Ulicia mogła ją zabrać. Dokąd też mogły pójść Siostry, kiedy już miały szkatuły Ordenu, a przynajmniej dwie z nich. Co knuły. Jeżeli się tego domyśli, to może będzie mógł podążyć za nimi.

Przyszło mu też na myśl, że nadal potrzebują Księgi Opisanie Mroków, żeby otworzyć właściwą szkatułę Ordenu, więc może się u niego zjawią, jeśli będzie wystarczająco długo tkwił w jednym miejscu - bo przecież księga istniała teraz wyłącznie w jego pamięci. Nie ulegało wątpliwości, że o ile nie chcą zgadywać i ryzykować popełnienia błędu, potrzebują Księgi Opisanie Mroków do otwarcia odpowiedniej szkatuły. A Richard nie mógł sobie wyobrazić, by zaryzykowały utratę obiecanej im nieśmiertelności. Potrzebowały klucza, żeby rozwiązać zagadkę i otworzyć właściwą szkatułę, a klucz miał tylko on. Kahlan stanowiła jego część, ale i tak potrzebowały tego, co miał jedynie Richard.

Uznał, że jest tylko jeden sposób na odnalezienie Kahlan: dowiedzieć się wszystkiego o chainfire i szkatułach Ordenu. Może na tej podstawie uda mu się domyślić, co Siostry potem zrobią. A w wieży były tak księgi, które musiał

przeczytać, jak i ludzie, którzy najlepiej je rozumieli i mieli największe doświadczenie w takich sprawach. Musiał tam wrócić.

Richard spojrzął w patrzące na niego wyczekująco oczy generała.

- Niestety, jeszcze nie. Nadal jej szukamy, ale dziękuję za troskę. Jeden Richard ją pamiętał - pamiętał jej uśmiech, przebłysk ducha w zielonych oczach. A i tak Kahlan czasami również jemu nie wydawała się realna. Zdawało się, że nie może istnieć, że jest wyłącznie wytworem jego pamięci, ucieleśnieniem najskrytszych pragnień. Potrafił zrozumieć, jak ciężko jest poradzić sobie z całą tą sytuacją ludziom, którzy są najbliżej niego.

- Przykro mi to słyszeć, lordzie Rahlu. - Generał przypatrywał się tłumom idącym korytarzem. - Ale chyba nie zjawiłeś się tu tym razem w samym środku najgorszych tarapatów?

Teraz to Richard westchnął. Jak zacząć?

- W pewnym sensie, tak.

- Armia Imperialnego Ładu posuwa się w głąb D'Hary? - domyślił się generał.

Chłopak skinął głową.

- Niestety. Krótko mówiąc, generale, wydałem naszym wojskom rozkaz, żeby się nie wdawały w bitwę z armią Jaganga, bo są zbyt małe. To byłaby niepotrzebna, bezcelowa rzeź, a Jagang i tak zdobyłby Nowy Świat.

Generał Trimack podrapał się po bliźnie, odcinającej się bielą od rumianej cery u nasady szczęki.

- A jakież jest inne wyjście, lordzie Rahlu, jak nie zmierzenie się z wrogiem w bitwie?

Spokojne, proste słowa brzmiały jak rada, jak ostrzeżenie zrodzone z doświadczenia, z nadziei balansującej o włos od rozpacz. Richard chwilę wsłuchiwał się w szelest stóp na marmurowej posadzce, szelest stóp bez przerwy idącego korytarzem tłumu.

- Rozkazałem, żeby nasze wojska natychmiast wyruszyły pustoszyć Stary Świat. - Pałające oczy chłopaka znów spojrzały na generała. - Chcieli wojny. Zamierzam wepchnąć im to życzenie w gardła i patrzeć, jak się zadławiają na śmierć.

Niektórzy żołnierze aż rozdziawili usta, usłyszawszy te zaskakujące wieści. Generał Trimack jakiś czas patrzył ze zdumieniem, a potem w zamyśleniu potarł palcem bliźnę. Szelmowski błysk w oczach zdradził

wreszcie, że - mimo początkowego zaskoczenia - zaczyna mu się podobać ten pomysł.

- Domyślam się, że zadaniem Pierwszej Kompanii będzie utrzymanie tych sukinsynów z dala od pałacu.

Richard spojrział w spokojne oczy generała.

- Uważasz, że dasz radę?

Krzywy uśmiech wygiął wargi żołnierza.

- Lordzie Rahlu, moje skromne umiejętności to i tak ledwie margines bezpieczeństwa pałacu. Twój przodek tak go zbudował, żeby nikt nie był w stanie go zdobyć. - Wskazał widoczne dokoła olbrzymie kolumny, ściany i galerie. - Pałac ma nie tylko naturalne środki obrony, ale i przepojono go mocami, które osłabiają magiczny dar każdego wroga.

Richard wiedział, że pałac zbudowano na zarysie zakłęcia, które wzmacniało moc każdego będącego wewnątrz Rahla i osłabiało moc innych osób. Cały pałac odwzorowywał symbol. Chłopak do pewnego stopnia rozumiał jego znaczenie i obrys. Potrafił odczytać wpleciony we wzór motyw siły.

Niestety, zakłęcie osłabiało również dar tych, którzy byli po jego stronie, jak na przykład Verna. Chciał, żeby Verna mogła pomóc w obronie pałacu, ale jeżeli zakłęcie osłabi ją i jej Siostry, będzie jej trudniej. Jednak, myślał sobie, atakujący będą mieli ten sam problem, więc to wszystko się zrównoważy i nie zyskają przewagi nad Verna i jej Siostrami. Nie pozostawało nic innego, jak liczyć, że Ksieni zrobi, co w jej mocy.

- Oprócz posiłków wysyłam wam kilka Sióstr wraz z Verna, ich Ksienią.

Generał Trimack skinął głową.

- Znam ją. Jest uparta, kiedy jest zadowolona, i nie do wytrzymania, kiedy nie jest. Rad jestem, że będzie po naszej stronie, a nie po przeciwnej.

Richard musiał się uśmiechnąć. Trimack naprawdę znał Verne.

- Wróć, jak tylko będę mógł, generale. Tymczasem powierzam ci obronę pałacu.

- Należy zamknąć wielkie wewnętrzne wrota.

- Rób, co uważasz za konieczne, generale.

- Wielkie wrota są przesycone tą samą mocą co reszta pałacu, więc nie jest to słaby punkt, który pozwala na atak. Problem w tym, że ich zamknięcie uniemożliwi handel będący duszą pałacu... przynajmniej w czasach pokoju.

Richard obserwował tłumy ludzi idących przejściami i górnymi galeriami.

- To, co nadchodzi, i tak uniemożliwi handel w pałacu. Nikt nie będzie mógł podróżować przez równiny Azrith. Ani w ogóle w Nowym Świecie, nawiasem mówiąc. Rwą się wszystkie kontakty i szlaki handlowe. Przygotuj się na długie oblężenie.

Generał wzruszył ramionami.

- W przeszłości wrogie armie zawsze to robiły: okręzały nas i miały nadzieję wziąć głodem. Nic z tego. Sami pierw pomrą z głodu na równinach Azrith. Wrócisz, lordzie Rahlu, żeby pomóc bronić pałacu?

Richard potarł usta dłonią.

- Nie wiem, kiedy będę mógł wrócić. Ale obiecuję, że wrócę, gdy tylko zdołam. Teraz muszę się zająć nowym zadaniem. Spróbujemy uśmiercić Ład, wyrывая mu serce, zamiast bezskutecznie się zmagać z jego mięśniami.

- A jeżeli będziesz musiał wrócić, kiedy już otoczą pałac? Jak się wtedy tu dostaniesz?

- Cóż, nie mam smoka, więc nie przylecę. - Generał tylko patrzył nań bez wyrazu, toteż Richard odchrząknął i rzekł: - Jeżeli będzie trzeba, wrócę tą samą drogą, którą się dzisiaj tu dostałem. Z pomocą magii, poprzez sylfę.

Trimack sprawiał wrażenie, że nie rozumie, ale bez słowa przyjął wyjaśnienia Richarda.

- Właśnie tam wracam, generale. Jeżeli chcesz, możesz mi towarzyszyć i zobaczyć to na własne oczy.

Dowódcy wyraźnie ulżyło, że pozwolono mu wykonywać robotę, czyli chronić lorda Rahla. Richard ujął ramię Berdine i poprowadził ją korytarzem, a żołnierze ustawili się w szyku obronnym.

Berdine była znacznie niższa od Richarda, więc się trochę nachylił, żeby nie podnosić głosu przy rozmowie.

- Muszę wiedzieć parę rzeczy. Przetłumaczyłaś coś jeszcze z dziennika Kolo?

Uśmiechnęła się jak dziewczyna mająca do przekazania wiele plotek.

- O tak. Ale z powodu pewnych spraw, o których wspominał Kolo, musiałam szukać również w innych księgach, żeby lepiej zrozumieć, jak to się wszystko łączy w całość. - Pochyliła się ku niemu. - Działy się tam rzeczy,

o których nie mieliśmy pojęcia, kiedy razem nad tym pracowaliśmy. Tylko prześliznęliśmy się po powierzchni.

Richard pomyślał, że ona nie ma pojęcia nawet o części tego wszystkiego.

- Czy to ma związek z Pierwszym Czarodziejem Baraccusem?

Berdine znienacka przystanęła i wpatrzyła się w niego.

- Skąd wiesz?

Rozdział 28

Richard wysunął rękę, chwycił Berdine za ramię i przyciągnął. Znow szli obok siebie.

- Wytłumaczę ci to, kiedy będę mieć więcej czasu. Co Kolo napisał w swoim pamiętniku o Baraccusie?

- To, co napisał Kolo, to tylko część całej historii. Kolo ledwie napomknął o tym, co się działo, więc żeby uzupełnić luki, zaczęłam czytać księgi z twoich prywatnych, zamkniętych dla innych bibliotek.

Richard ciągle nie mógł się nadziwić, że jako lord Rahl ma dostęp do takich zamkniętych bibliotek. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić ogromu wiedzy zawartej w zebranych tam woluminach.

- Jakie księgi?

- Jedna z nich jest po drodze, nie w ogólnie dostępnym sektorze, ale głębiej, w prywatnej części pałacu. W miejscu, gdzie właściwie prawie nigdy nikomu nie wolno wchodzić. Pokażę ci. Ma to coś wspólnego z czymś zwanym „głównymi składnicami”.

Wtrąciła się Nicci, idąca u drugiego boku Richarda.

- Nathan mówił mi, że czytał o miejscach zwanych głównymi składnicami.

- Na przykład? - zapytał chłopak.

Nicci odgarnęła blond włosy z policzka i odrzuciła je za ramię.

- Główne składnice to supertajne biblioteki. Owe tajne, bezpieczne i ukryte miejsca stworzono tuż przed lub po wielkiej wojnie z myślą o przechowywaniu ksiąg uznanych za zbyt niebezpieczne, by mogły być dostępne ogółowi, a nie tylko nielicznym wybrańcom. Nathan uważa, że może być z pół tuzina takich składnic.

- To prawda - powiedziała Berdine. Rozejrzała się, sprawdzając, czy żaden z żołnierzy nie jest na tyle blisko, żeby ją usłyszeć. - Lordzie Rahlu, znalazłam wzmiankę informującą, że przynajmniej niektóre z tych składnic zostały oznaczone imionami lordów Rahlów z proroctw.

Richard się zatrzymał.

- Chcesz powiedzieć, że umieścili imię na nagrobku? Berdine uniosła brwi.

- Otóż to. Wspomniano, że te miejsca, te biblioteki, są razem z kośćmi. Uważali, opierając się na prorocztwie, że przyszedł lord Rahl będzie potrzebował przechowywanych tam ksiąg, i dlatego, przynajmniej w tym jednym przypadku, który znalazłam w zapiskach, umieścili jego imię na nagrobku.

- W Casce.

Berdine pstryknęła palcami, a potem mu pogroziła.

- Właśnie tę nazwę wyczytałam. Skąd wiesz?

- Byłam tam. Moje imię widnieje na wielkim pomniku na cmentarzu.

- Byłeś tam? Po co? Czego szukałeś? Co znalazłeś?

- Księgę Chainfire, która pomogła mi wyjaśnić, co się przytrafiło mojej żonie.

Berdine popatrzyła na Carę i Nicci, a potem znów na Richarda.

- Słyszałam plotki, że masz żonę. Najpierw myślałam, że to tylko jakaś zwariowana pogłoska. A więc to jednak prawda?

Chłopak głęboko nabrał powietrza, otoczony przez gwardzistów i obserwowany przez mijające ich tłumy. Nie czuł się na siłach tłumaczyć Berdine, że знаła Kahlan i że spędziła z nią mnóstwo czasu.

- To prawda - odparł zwięźle.

- Lordzie Rahlu, co to za historia? Richard zbył pytanie machnięciem ręki.

- To długa opowieść i teraz nie mam na nią czasu. A co cię tak podekscytowało w tych głównych składnicach?

- Cóż - powiedziała Berdine, znów się ku niemu pochylając, kiedy szli spiesznie szerokim korytarzem - pamiętasz, że Baraccus się zabił, kiedy wrócił ze Świątyni Wichrów?

Richard popatrzył na nią.

- Tak.

- Coś się za tym kryło.

- Za tym. Co masz na myśli?

Berdine skręciła w boczny korytarz strzeżony przez dwóch żołnierzy z lancami. Kiedy ujrzeni Richarda ze świtą, przyłożyli pięść do serca i przepuścili ich. Mord-Sith otworzyła jedno z dwuskrzydłowych, okutych metalem drzwi. Za nimi był pusty, mniejszy korytarz z mahoniową boazerią. Było to przejście do prywatnej części pałacu.

- Nie mogłam się zorientować, o co chodzi, ale uważam, że Baraccus coś zrobił, kiedy był w Świątyni Wichrów. - Obejrzała się na Richarda, sprawdzając, czy słucha. - Coś poważnego. Coś znaczącego.

Chłopak skinął głową, idąc za Berdine pustym korytarzem.

- Kiedy Baraccus był w Świątyni Wichrów, w jakiś sposób zadbał o to, żebym się urodził z darem magii subtraktywnej.

Tym razem to Nicci złapała Richarda za ramię, zatrzymała i okręciła go ku sobie.

- Co takiego?! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Richarda zdumiała jej zaszokowana mina.

- Shota mi powiedziała.

- A skąd Shota mogłaby wiedzieć coś takiego? Wzruszył ramionami.

- Znasz więdźmy. Widzą to i owo w strumieniu czasu. Część złożyłem ze znanych mi fragmentów opowieści.

Nicci wcale nie wyglądała na przekonaną.

- Po co, u licha, Baraccus miałby zrobić coś takiego? Shota usiłuje ci wmówić, że ni z tego, ni z owego ten czarodziej udał się w zaświaty, a gdy już tam był, to... co? A gdy już tam był, to przy okazji zadbał o to, żeby Richard Rahl, kiedy się już urodzi za trzy tysiące lat, otrzymał dar magii subtraktywnej?

Richard spojrzał na nią.

- To jest trochę bardziej skomplikowane, Nicci. Jestem pewny, że zrobił to, by przeciwdziałać temu, co uczynił inny czarodziej, który był tam przed nim. Tym czarodziejem był Lothain. Pamiętasz go, Berdine?

- Oczywiście.

- Lothain był szpiegiem. Mord-Sith aż się zachłysnęła oddechem.

- Tak właśnie myślał Kolo - powiedziała. - Sądził, że on cały czas był szpiegiem, umieszczonym tam i czekającym na okazję, żeby uderzyć. Kolo, w przeciwieństwie do innych, nie wierzył, że Lothain oszalał. Taka wtedy krążyła opinia: że stres i niebezpieczeństwa jego zajęcia zmogły wreszcie Lothaina i już nie mógł sobie z nimi poradzić, że po prostu stracił rozum. Kolo nigdy nie mówił innym, co o tym myśli. Uważał, że nie uwierzyliby mu i zaczęli myśleć, że to Baraccus był szpiegiem.

Richard nachmurzył się i ruszył w drogę.

- Baraccus! Co za głupi pomysł!

- Kolo też tak myślał.

- A co niby zrobił ten czarodziej Lothain? - spytała Nicci dobitnie, żeby wrócił do tematu i żeby podkreślić wagę pytania.

Richard chwilę patrzył w jej błękitne oczy. Ujrzał w nich nie tylko Nicci, ale i potężną czarodziejkę, którą przecież była. Jej zachwycające rysy, baczne błękitne oczy, to, że okazywała mu tyle szacunku, nie wspominając już o przyjaźni - wszystko to sprawiało, że łatwo było zapomnieć, iż to czarodziejka, która widziała i robiła rzeczy, jakie trudno mu było pojąć. Była najprawdopodobniej najpotężniejszą ze wszystkich dawnych i obecnych czarodziejek, potęgą, z którą należało się liczyć.

A przede wszystkim właśnie Nicci zasługiwała na to, aby znać prawdę. Nie, żeby próbował coś przed nią zataić - po prostu nie miał czasu o tym porozmawiać. Prawdę mówiąc, żałował, że jeszcze jej o tym nie opowiedział, że nie wie, co ona o tym myśli, zwłaszcza o tej sekretnej bibliotece Baraccusa i przeznaczonej dla Richarda księdze, którą czarodziej kazał żonie zanieść do owej biblioteki, by spoczywała tam bezpiecznie... aż do narodzin nowego czarodzieja wojny, który podejmie ich wysiłki.

Richard westchnął. Nie było na to czasu. Choć bardzo chciał jej to wszystko opowiedzieć, omówić to z nią i zadać parę pytań, uznał, że na razie pominie większość szczegółów i ograniczy się do tego, co najważniejsze.

- Lothain był szpiegiem sił ze Starego Świata. Być może wiedział, że nie zdołają wygrać wojny. A może tylko przedsięwziął dodatkowe środki ostrożności. W każdym razie, gdy znalazł się w Świątyni Wichrów, zadbał o to, żeby kiedyś, w przyszłości, cała ta sprawa na nowo odżyła. A już na pewno uczynił coś, co sprawiło, że w przyszłości miał się narodzić Nawiedzający Sny. Baraccus nie mógł odwrócić tych machinacji, więc zrobił to, co w takiej sytuacji było najlepsze. Dopilnował, żeby na świat przyszła przeciwwaga Nawiedzającego Sny, czyli ja.

Nicci odjęło mowę i tylko się weń wpatrywała. Richard znów przeniósł uwagę na Berdine.

- No i co ta sprawa z Baraccusem ma wspólnego z głównymi składnikami?

Berdine ponownie się rozejrzała, sprawdzając, jak daleko są żołnierze.

- Kolo zapisał w pamiętniku, iż wśród grupy wpływowych ludzi krążyły pogłoski, że Baraccus mógł być zdrajcą i że jeżeli istotnie był, to podczas

pobytu w Świątyni Wichrów mógł narobić szkód.

Richard z irytacją pokręcił głową.

- O jakie czyny go podejrzewali? Mord-Sith wzruszyła ramionami.

- Jeszcze się tego nie dowiedziałam. To wszystko było bardzo poufne. Nikt nie chciał publicznie nic powiedzieć ani oskarżyć Baraccusa o zdradę. Nie chcieli rozgniewać niewłaściwych ludzi. Wiele osób, na przykład Kolo, nadal go szanowało. Mogło być również tak, że nie mieli żadnego konkretnego zarzutu, lecz tylko podejrzewali, że mógł coś zrobić. Nie zapominaj, że po Baraccusie już nikt nigdy nie mógł się udać do Świątyni Wichrów. Dopiero ty to zrobiłeś. Poza tym najwyraźniej bali się tej kobiety, Magdy Searus. No wiesz, tej, z której zrobiono Spowiedniczkę.

- Tak, pamiętam - rzekł Richard. - Ale to dziwne, że nie mówiono bardziej otwarcie o tym, co ponoć mogło mieć tak katastrofalne skutki.

- Nie - odezwała się szeptem Berdine, jakby się bała, że mogłyby ją usłyszeć duchy z przeszłości. - W tym cały problem. Bali się, że jeśli ludzie się dowiedzą o ich podejrzeniach, to wpadną w panikę, stracą nadzieję. Pamiętaj, że wojna cały czas trwała i wciąż nie było wiadomo, czy w ogóle przetrwają, a tym bardziej, czy zwyciężą. Wszyscy martwili się o morale walczących i bez przerwy usiłowali znaleźć sposób na zwycięstwo. A ta grupka wysoko postawionych osób na dodatek zamartwiała się, że Baraccus mógł zrobić w Świątyni Wichrów coś okropnego, co rzekomo w ogóle miało być niemożliwe.

Richard wyrzucił w górę ręce.

- Na przykład co?

Berdine skrzywiła się z irytacją.

- Nie wiem. Kolo jedynie o tym napomknął. Wierzył w Baraccusa, ufał mu. I był zły, że tamci robią to wszystko, co robili. Ale był zbyt nisko w hierarchii, żeby się z nimi sprzeczać. Ani nie należał do sztabu, ani nie był czarodziejem dostatecznie wysokiej rangi. Ale w jego pamiętniku jest wzmianka, która przypawiła mnie o gęsią skórkę. Nie wiem, czy to dotyczyło sporu o Baraccusa czy nie, to znaczy nie mogę znaleźć żadnego wyraźnego związku, nie tak...

- O czym mówi ta wzmianka?

Nie tylko Richard nadstawił ucha, ale Cara i Nicci też. Berdine westchnęła ciężko.

- Pisał o okropnej pogodzie i o tym, jak wszyscy mają już dosyć deszczu, a potem nagle wspomniał, że jest zaniepokojony, bo „oni” zrobili pięć kopii „księgi, która nigdy nie miała być kopiowana”.

To skłoniło Richarda do zastanowienia i sprawiło, że zadrżał.

- I prawie natychmiast - dodała Berdine - wrócił do tych głównych składnic.

- Czyli myślisz... że co? Ze ukryli te kopie, których nie powinni robić, w owych tajemnych głównych składnicach?

Berdine uśmiechnęła się i postukała palcem w skroń.

- Zaczynasz zadawać te same pytania, które i ja sobie zadawałam.

- I w ogóle nie napomknął, jaką księgę skopiowali? - zapytała Nicci. - Nie zostawił żadnej wskazówki?

Berdine pokręciła głową.

- Właśnie to przyprawiło mnie o gęsią skórkę. Ale było w tym coś więcej niż słowa.

- Co masz na myśli? - spytała niecierpliwie Nicci.

- No wiesz, kiedy długo tłumaczysz czyjeś teksty, potrafisz odgadnąć nastrój, wymowę, sposób rozumowania, nawet jeżeli autor tego nie zapisze. Cóż - przerzuciła do przodu brązowy warkocz i zaczęła się bawić jego końcem - ze sposobu, w jaki to napisał, wywnioskowałam, że bał się nawet wymienić tytuł tej tak sekretnej, tak ważnej księgi, że nigdy nie miała zostać skopiowana. Jakby sama wzmianka o niej w pamiętniku była bardzo niebezpieczna.

Richard pomyślał, że Berdine na pewno ma rację. Mord-Sith zatrzymała się przed wysokimi, żelaznymi, pomalowanymi na czarno drzwiami.

- To tutaj znalazłam księgi, które mówią o głównych składnicach umieszczonych z kośćmi. Cokolwiek to znaczy.

- Ta, którą znalazłem, była w katakumbach - odezwał się Richard.

Berdine się zamyśliła.

- Czyli to byłoby już wyjaśnione.

- Nathan powiedział mi - wtrąciła Nicci, patrząc to na Richarda, to na Berdine - że jego zdaniem pod Pałacem Proroków były katakumby i że pałac wybudowano po to, między innymi oczywiście, by ukryć to, co zostało zakopane.

Żołnierze zatrzymali się trochę dalej w korytarzu. Richard zauważył, że

Berdine się im przygląda.

- Może zaczekałbyś tutaj ze swoimi ludźmi? - zawołała Berdine do generała Trimacka. - Muszę wejść do biblioteki i pokazać lordowi Rahlowi kilka ksiąg. Pomyślałam, że mógłbyś popilnować korytarza i zadbać, by nikt się tu nie podkradł.

Generał skinął głową i zaczął wydawać żołnierzom rozkazy, żeby się rozstawili w korytarzach. Berdine wyjęła spod bluzy uniformu klucz.

- Tutaj znalazłam księgę, przez którą mam koszmary. - Obejrzała się na Richarda i przekręciła klucz w zamku.

Nicci pochyliła się do ucha chłopaka.

- To miejsce ma osłony. - W jej głosie brzmiała nieskrywana podejrzliwość.

- Ale ona nie ma daru - szepnął Richard. - Nie może przejść przez osłony. Jak zdołała się tam dostać, skoro są osłony?

Berdine, usłyszawszy ich, pomachała kluczem, który wyjęła z zamka.

- Mam klucz. Wiedziałam, gdzie Rahl Posępny go chował. Nicci uniosła brew i spojrzała na Richarda.

- Klucz wyłącza osłony drzwi. Nigdy jeszcze się z czymś takim nie spotkałam.

- Pewnie miał zapewnić dostęp pozbawionym daru zaufanym pomocnikom lub uczonym - domyślił się chłopak. Znów popatrzył - na Berdine, mozolącą się z zasuwą ciężkich drzwi. - A dowiedziałas się czegoś jeszcze o Baraccusie?

- Niewiele - odparła, patrząc na niego przez ramię. - Tylko tyle, że Magda Searus, kobieta, która została Spowiedniczką, była kiedyś jego żoną.

Richard wpatrywał się w nią.

- Skąd ona wie takie rzeczy? - mruknął do siebie.

- Słucham? - zaciekawiała się Berdine.

- Nic. - Zbył to machnięciem ręki, a potem wskazał drzwi. - No więc co tam znalazłaś?

- Coś związanego z tym, co napisał Kolo.

- Masz na myśli tę księgę, której miano nie kopiować.

Berdine tylko szelmowsko uśmiechnęła się do niego, chowając klucz do wewnętrznej kieszeni bluzy, a potem otworzyła czarne drzwi.

Rozdział 29

Wnętrze było oświetlone słabym światłem późnego popołudnia, wpadającym przez trzy wysokie okna, które zajmowały prawie całą przeciwległą ścianę. Deszcz uderzał w szyby i spływał wijącymi się strumyczkami. Pod ścianami niewielkiej komnaty stały biblioteczne półki ze złotej dębiny. Poza tym miejsca starczało jedynie na prosty dębowy stół i ustawione wokół niego cztery drewniane krzesła. Pośrodku stołu tkwiła dziwna czwórdzielna lampa - miejsce przed każdym z krzesel miało własne oświetlenie ze srebrnego odbłyśnika.

Nicci jednym gestem posłała iskierkę daru czterem knotom. Pojawiły się płomyki i małą komnatę rozświetlił ciepły złocisty blask. Richard zauważył, że chociaż czar pałacu osłabiał dar wszystkich oprócz Rahla, Nicci nie miała kłopotu z zapaleniem lamp.

Berdine podeszła do półek na prawo od drzwi.

- Uważam, że w tekście sąsiadującym ze wzmianką o księdze, której ponoć miano nie kopiować, Kolo sugerował, że kopie zrobili ci, którzy nie ufali Baraccusowi. Przynajmniej tak mi się zdaje, ale nie jestem pewna. Pisze o nich „półgłówki z Opowieści Yanklee”.

Nicci gwałtownie okręciła się ku niej.

- Opowieści Yanklee?

Richard przeniósł wzrok ze zdumionej Nicci na Berdine.

- Co to za Opowieści Yanklee? - zapytał.

- Książka - odparła Berdine. Spojrzał pytająco na Nicci. Czarodziejka sapnęła z irytacji.

- To nie jakaś tam książka, Richardzie. Opowieści Yanklee to księga proroctw. Bardzo, bardzo szczególna księga proroctw. Powstała siedemset lat przed wielką wojną. W podziemiach Pałacu Proroków znajdowała się jej wczesna kopia. To była ciekawostka, którą musiała poznać każda Siostra w trakcie nauki o proroctwach.

Richard powiódł wzrokiem po księgach zapełniających półki.

- A co jest w niej takiego szczególnego?

- To książka o proroctwach zawierająca wyłącznie plotki i pogłoski.

Chłopak znów na nią spojrział.

- Nie rozumiem.

- Cóż - powiedziała Nicci i zamilkła, szukając właściwych słów - nie uważano jej za księgę proroctw o przyszłych wydarzeniach... ściśle rzecz biorąc. Tak naprawdę... tak naprawdę uważa się, że to proroctwa o przyszłych plotkach, że tak powiem.

Richard przetarł zmęczone oczy i westchnął. Ponownie popatrzył na Nicci.

- Chcesz powiedzieć, że ten Yanklee spisał przepowiednie co do plotek? - Kiedy przytaknęła, zapytał jedynie: - Po co?

Czarodziejka leciutko się ku niemu pochyliła.

- To pytanie, na które wszyscy chcieliby znać odpowiedź. Richard potrząsnął głową, jakby chciał ją otrzepać z pajęczyn, odświeżyć sobie umysł.

- Sam wiesz, że istnieje wiele spraw, które są sekretne. - Nicci wskazała ku Berdine. - Jak ta z księgą, której nie miano kopiować. Ten rodzaj sekretów często pozostaje tajemnicą, bo ludzie zabierają je ze sobą do grobu. To dlatego, badając historyczne zapiski, nie jesteśmy niekiedy w stanie rozwikłać tajemnicy. Bo nie ma żadnych informacji. Ale czasem krążą okruchy informacji, coś, co ludzie podłyszeli lub ujrzeli, a potem zaczęli plotkować o tych smakowitych kąskach. W Pałacu Proroków były Siostry, które wierzyły, iż w tej księdze profetycznych plotek mogą się kryć wskazówki dotyczące tego, czym mogą się okazać te przyszłe sekrety.

Richard uniósł brew.

- Masz na myśli, że te Siostry, że tak powiem, nasłuchiwały plotek, żeby się czegoś dowiedzieć?

Nicci skinęła głową.

- Coś w tym rodzaju. Kilka Sióstr uważało tę zwykłą książkę z pozornymi bzdurami za jedną z najważniejszych ksiąg proroctw. Bardzo starannie jej strzeżono. Nigdy nie pozwalano wynosić jej z podziemi, choć niektóre księgi proroctw można było zabierać. Pewne Siostry poświęcały mnóstwo swego wolnego czasu na studiowanie tej pozornie głupiutkiej książki. A ponieważ ludzie zwykle nie zwracają sobie głowy spisywaniem plotek, Opowieści Yanklee są uważane za jedyne dzieło tego rodzaju: jedyny zapis plotek, nawet jeżeli jeszcze nie krążą. Te Siostry były zdania, że istnieją wydarzenia, których ani się nie odkryje, ani nie da zbadać inaczej niż za pośrednictwem książki, która je poprzedza. W istocie wierzyły, że słuchają pogłosek o

rzeczach, które się wydarzą w przyszłości, plotek o tajemnych sprawach. Wierzyły, że w Opowieściach Yanklee znajdują się bezcenne wskazówki dotyczące sekretów, których nikt nie zna i w żaden inny sposób nie pozna.

Richard ucisnął czoło palcami, starając się to wszystko pojąć.

- Powiedziałaś, że były Siostry z upodobaniem studiujące tę książkę. Może znasz imię którejś z nich?

Nicci powoli skinęła głową.

- Siostra Ulicia.

- No i masz - mruknął chłopak.

Berdine otworzyła przeszklone drzwi jednej z szaf i zdjęła z półki tom. Odwróciła się i pokazała okładkę Richardowi i Nicci. Tytuł brzmiał Opowieści Yanklee.

- Kiedy przeczytałam w pamiętniku Kolo o „półgłówkach z Opowieści Yanklee”, wydało mi się to takie dziwaczne, że utkwiło mi w pamięci. Rozumiesz, co mam na myśli? Potem szukałam tutaj pewnego dnia informacji i rzucił mi się w oczy tytuł tej książki. Nie zdawałam sobie sprawy, że to księga prorocत्व, jak wyjaśniłaś, Nicci.

Czarodziejka poruszyła ramieniem.

- Niektóre księgi prorocत्व trudno rozpoznać, zwłaszcza komuś, kto nie ma w tym wprawy. Takie ważne księgi mogą wyglądać na jakieś nudne zapiski lub, jak w przypadku Opowieści Yanklee, na zwyczajne bajdy.

Berdine wskazała stojące pod ścianami szafy biblioteczne.

- Tyle że w tej komnacie trudno byłoby znaleźć błahe opowiastki.

- Celną uwagę - rzekł Richard.

Berdine uśmiechnęła się, zadowolona, że docenił trafność jej rozumowania. Położyła książkę na stole pośrodku niewielkiej biblioteki i ostrożnie odchyliła okładkę. Przewracała kruche stronicę, dopóki nie znalazła fragmentu, o który jej chodziło. Popatrzyła najpierw na jedno, potem na drugie z nich.

- Ponieważ Kolo wspomniał o tej książce, uznałam, że powinnam ją przeczytać. Była naprawdę nudna. Omal nad nią nie zasnęłam. Wydawało mi się, że nie ma znaczenia - postukała w stronę - póki nie natrafiłam na to. To mnie od razu obudziło.

Richard przekrzywił głowę, żeby przeczytać słowa nad jej palcem. Przez chwilę musiał się zastanawiać nad znaczeniem ustępu w górnod'harańskim.

- Tak wylęknieni będą wścibscy półgłówkowie kopiowaniem klucza, co nigdy nie powinien być kopiowany - tłumaczył, drapiąc się w skroń - że drzeć będą z lęku przed tym, co uczynili, i rzucać cień klucza pomiędzy kości, nigdy nie ujawniając, że ledwie jeden wycięto prawidłowo.

Richardowi zjeżyły się włoski na karku. Cara skrzyżowała ręce na piersi.

- Czyli chcesz powiedzieć - spytała - że kiedy przyszło co do czego i zrobili kopie, to stchórzyli i tylko jedna z nich jest prawdziwa?

Berdine przesunęła dłonią po długim, lśniącym brązowym warkoczu.

- Na to wygląda.

Richard nadal zajmował się tekstem.

- Rzucać cień klucza pomiędzy kości... - Popatrzył na Berdine. - Ukryli je w głównych składnicach. Zakopali z kośćmi.

Berdine się uśmiechnęła.

- Dobrze, że wróciłeś, lordzie Rahlu. Podobnie myślimy. Tak mi ciebie brakowało. Tyle było takich jak ta spraw, które chciałam z tobą omówić.

Chłopak łagodnie otoczył ramieniem jej barki, wyjawiając bez słów to samo odczucie.

Berdine przewróciła kolejne stronicie książki, zatrzymując się przy pustymi miejscu.

- W wielu księgach brakuje tekstu. Tak jak tutaj.

- Proroctwo - odezwała się Nicci. - To jest związane z zaklęciem chainfire, które Siostry Mroku rzuciły na żonę Richarda. Zaklęcie usuwa też odnoszące się do niej proroctwa.

Berdine zadumała się nad jej słowami.

- To na pewno jeszcze wszystko utrudni. Eliminuje całe mnóstwo informacji, które by się mogły przydać. Verna wspominała, że brakuje fragmentów proroctw, ale nie wiedziała dlaczego.

Nicci rozejrzała się po półkach.

- Pokaż mi wszystkie książki, w których zauważyłaś brak tekstu.

Richard zastanawiał się, czemu Nicci jest taka podejrzliwa.

Mord-Sith otworzyła kilka przeszkłonych drzwiczek i wyjmując księgi, podawała je po jednej Nicci. Ta pobieżnie je przeglądała, a potem odkładała na stół.

- Proroctwa - oznajmiła ponownie, odkładając na stos ostatnią księgę podaną przez Berdine.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Richard. Zamiast mu odpowiedzieć, spojrzała na Mord-Sith.

- Są jeszcze jakieś z brakującym tekstem? Berdine skinęła głową.

- Jeszcze jedna.

Spojrzała przelotnie na Richarda i popchnęła rząd tomów. Następnie przesunęła ukrytą za nimi płytkę. Otworzyła się niewielka część ściany, ukazując pozłocaną wnękę z małą książką. Dzieło leżało na ciemnozielonej aksamitnej poduszce obszytej złotymi frędzlami. Skórzana okładka była pewnie niegdyś czerwona, ale teraz tak wyblakła i tak zniszczała, że jedynie drobne resztki spłowiałej barwy wskazywały na jej minioną świetność. Była to prześliczna książeczka, intrygująca zarówno niewielkimi rozmiarami, jak i bogato zdobioną skórzaną oprawą.

- Pomagałam lordowi Rahlowi, to znaczy Rahlowi Poępnemu, pracować nad tłumaczeniami ksiąg w gornod'harańskim - wyjaśniła Berdine. - Ta komnata to jedno z miejsc, w których czytywał prywatne książki. Dlatego wiedziałam, gdzie znaleźć klucz, i znałam ten schowek za szafą. Naprawdę sądziłam, że to by się mogło przydać.

- I przydało się? - zapytał Richard.

- Myślałam, że się przyda, ale nic z tego. Tu też brakuje tekstu. Ale nie tak jak w innych księgach jakiejś linijki tu i tam czy fragmentu. Tu nie ma ani słowa. Cała książka jest pusta.

- Nie ma ani jednego słowa? - spytała podejrzliwie Nicci. - Pokaż mi ją.

Berdine podała jej książeczkę.

- Jest zupełnie pusta. Mówię ci. Sama się przekonaj. Jest bezużyteczna.

Nicci otworzyła starą, zniszczoną skórzaną okładkę i powiodła wzrokiem po pierwszej stronie. Przesuwała palec, jakby coś czytała. Przewróciła stronicę i czytała kolejną, a potem następną.

- Drogie duchy - wyszeptała, nie przerywając lektury.

- O co chodzi? - zapytał Richard.

Berdine stanęła na palcach, wyciągnęła się i zajrzała do książeczki.

- Tam nie może nic być. Widzisz, jest pusta.

- Wcale nie - mruknęła Nicci, czytając. - To magiczna księga. - Podniosła wzrok. - Wydaje się pusta tylko tym, którzy nie mają daru. A w tym szczególnym przypadku nawet dar musi mieć odpowiednią moc, żeby można to przeczytać. To niezwykle ważny wolumin.

Berdine zmarszczyła noseć.

- Słucham?

- Magiczne księgi są niebezpieczne, a niektóre nadzwyczaj niebezpieczne. Jeszcze inne zaś, jak ta tutaj, groźne ponad wszelkie wyobrażenie. - Nicci pomachała książeczką przed Mord-Sith. - Ta jest więcej niż niebezpieczna. Takie książki są zazwyczaj chronione osłonami. Jeżeli uznano je za ogromnie niebezpieczne, chronią je zaklęcia, które sprawiają, że tekst tak szybko znika z umysłu danej osoby, iż ta nawet nie pamięta, że go widziała. I myśli, że stronicę są puste. Osoba bez daru nie jest w stanie zatrzymać w umyśle słów magicznej księgi. Widzisz słowa w tej książeczce, ale tak prędko je zapominasz, iż nie jesteś świadoma, że na tych stronach coś jest. Słowa znikają z twojego umysłu, zanim je zrozumiesz. To szczególnie zaklęcie jest podstawą koncepcji czaru chainfire. Czarodzieje z dawnych czasów, często chroniący takimi zaklęciami pisane przez siebie księgi, zaczęli się zastanawiać, czy nie można by tego zastosować i do ludzi. Tak by w efekcie znikali niczym słowa w niektórych magicznych księgach. - Wykonała nieokreślony gest, znów zajęta książką. - Oczywiście, kiedy w grę wchodzi dusza, cała sprawa staje się niewypowiedzianie skomplikowana.

Richard już dawno się dowiedział, że tylko dzięki darowi był w stanie nauczyć się na pamięć Księgi Opisania Mroków. Zedd wyjaśnił mu, że gdyby nie miał daru, nie zdołałby zatrzymać słów w umyśle na tyle długo, by je zapamiętać.

- Więc o czym jest ta książeczka? - zapytał. Nicci w końcu oderwała wzrok od stronic.

- To księga magicznych zaleceń.

- Wiem, już to mówiłaś - powiedział cierpliwie. - Jakich zaleceń?

Czarodziejka znów przebiegła wzrokiem stronicę, przełknęła ślinę i popatrzyła mu w oczy.

- Uważam, że to oryginał księgi z instrukcjami, jak się posłużyć szkatułami Ordenu.

Richard ponownie dostał gęziej skórki.

Ostrożnie wyjął książeczkę z rąk Nicci. Oczywiście, wcale nie była pusta. Każda stronica była ciasno wypełniona słowami, diagramami, wykresami i formułami.

- To w gornod'harańskim. - Spojrzał na Nicci. - Czyli znasz

górnod'harański?

- Oczywiście.

Richard i Berdine wymienili spojrzenia.

Chłopak natychmiast się zorientował, że książka jest niezmiernie zawiła. Nauczył się górnod'harańskiego, ale ten tekst ledwie rozumiał.

- To o wiele bardziej specjalistyczny górnod'harański niż ten, w którym dotąd czytałem - powiedział, przeglądając stronicę.

Nicci nachyliła się ku niemu i wskazała miejsce na stronicy, w którą się wpatrywał.

- To wszystko tutaj to odsyłacze do formuł potrzebnych w inkantacjach. Musisz znać formuły i zaklęcia, żeby to w pełni zrozumieć.

Richard spojrzał w jej błękitne oczy.

- A ty znasz?

Skrzywiła usta i zmarszczyła brwi, patrząc na książkę.

- Nie wiem. Musiałabym to dokładnie przejrzeć, żeby wiedzieć, czy mogę pomóc w tłumaczeniu.

Berdine znów stanęła na palcach i zajrzała do książki, jakby sprawdzając, czy aby słowa się jej nie ukazały.

- Dlaczego nie możesz powiedzieć od razu? To znaczy, albo możesz przeczytać i zrozumieć, albo nie.

Nicci przeczesła palcami swoje blond włosy i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- W przypadku magicznych ksiąg to nie takie proste. Przypomina to rozwiązywanie skomplikowanych równań. Możesz znać liczby i początkowo myśleć, że wiesz, o co chodzi, i że dasz sobie radę, ale jeżeli potem natrafisz na ukryte w równaniu nieznanne symbole, odnoszące się do obcych ci rzeczy, to całe równanie staje się nierozwiązywalne. Sama znajomość niektórych liczb to za mało. Musisz wiedzieć, co oznacza każdy element, a przynajmniej, jak znaleźć wartość lub wielkość, którą oznacza. W tym tu przypadku jest tak samo, chociaż upraszcam, żebyś to rozumiała. W tej książce są nie tylko symbole, ale i zarzucone już odnośniki do zaklęć, przez co jeszcze trudniej to wszystko zrozumieć. A górnod'harański tylko to pogarsza, bo z czasem zmieniły się słowa owego języka i ich znaczenie. Na dodatek tekst jest spisany w starodawnym dialekcie.

Richard chwycił ją za ramię, przyciągając w ten sposób jej uwagę.

- Nicci, to ważne. Myślisz, że dałabyś sobie z tym radę? Spojrzała z wahaniem na książeczkę.

- Trochę potrwa, zanim przetłumaczę tyle, by się zorientować, czy mi się uda.

Chłopak wyjął jej z rąk książeczkę, zamknął i ponownie wręczył.

- Więc lepiej weź ją ze sobą. Kiedy będziemy mieć więcej czasu, to się nią zajmiesz i sprawdzisz, czy dasz sobie radę.

Nachmurzyła się podejrzliwie.

- Dlaczego? Co ci chodzi po głowie?

- Nie rozumiesz, Nicci? To może być nasza odpowiedź. Jeżeli zdołasz to przetłumaczyć, zrozumieć, może znajdziemy w tym sposób, który pozwoli przeciwdziałać, odwrócić lub rozmontować to, co zrobiła Siostra Ulicia. Może uda się nam wycofać z gry szkatuły Ordenu.

Nicci ostrożnie potarła palcem okładkę książeczki.

- Brzmi to całkiem sensownie, Richardzie, ale fakt, że wiesz, jak coś zrobić, wcale nie oznacza, że zdołasz to zatrzymać.

- To jakbyś próbowała „odkręcić” ciężę? - spytała Cara.

- Coś w tym rodzaju. - Nicci uśmiechnęła się. Nieoczekiwana analogia Cary na powrót skierowała myśli Richarda ku Kahlan i jej ciąży. Opadła ją zgraja oprychów, kiedy była sama, i pobiła niemal na śmierć. Straciła ich dziecko. Jej ciąża skończyła się, zanim Richard zdążył się o niej dowiedzieć. Kolana się pod nim ugięły, kiedy wróciło wspomnienie o tak skrzywdzonej Kahlan. Musiał siłą odegnąć te okropne myśli w mroki, z których wypłynęły.

Nicci zmarszczyła czoło, ujrawszy na jego twarzy cierpienie. Zignorował jej milczące zatroskanie.

- Nie muszę ci przypominać, jakie to ważne - rzekł.

Długo na niego patrzyła, jakby pragnęła stwierdzić, że to niemożliwe, lecz jednocześnie z całej duszy nie chciała powiedzieć „nie”. W końcu mocno zacisnęła wargi i skinęła głową.

- Zrobię, co w mojej mocy, Richardzie. - Nagle się rozpogodziła. Przekręciła książeczkę i pospiesznie odwróciła ostatnią stronicę. Przez chwilę bacznie się w nią wpatrywała. - To ciekawe - mruknęła.

- Co? - zapytał Richard.

Nicci podniosła wzrok znad tekstu.

- Na końcu niektórych magicznych ksiąg, jako zabezpieczenie przed

nieuprawnionym czytelnikiem, jest ostateczny krok, akt, bardzo ważny, lecz pominięty. Gdyby tak było i tu, to nawet jeżeli szkatuły są już w grze, moglibyśmy przerwać ciąg wymaganych specjalnych działań. Rozumiesz, o co mi chodzi? Niekiedy, jeżeli księga jest bardzo niebezpieczna, nie jest kompletna i wymaga czegoś jeszcze dla uzupełnienia całości.

- Czegoś jeszcze? Czego na przykład?

- Nie wiem. Właśnie to sprawdzam. - Uniosła palec. - Pozwól mi przeczytać część tego fragmentu... - Po chwili podniosła wzrok i postukała palcem w stronicę. - Tak, miałam rację. Tu jest ostrzeżenie, że przy korzystaniu z tej książeczki należy się posłużyć kluczem. Inaczej, bez klucza, wszystko, co się już zdarzyło, będzie nie tylko nieskuteczne, ale i zgubne. Napisano tu, że w ciągu roku klucz musi dopełnić to, co pomieszczono w tej książeczce.

- Klucz - powtórzył bezbarwnym głosem Richard. Popatrzył na Berdine.

- Drzeć będą z lęku przed tym, co uczynili, i rzucać cień klucza pomiędzy kości - zacytowała z Opowieści Yanklee. - Uważasz, że mowa o t y m właśnie kluczu?

Coś się poruszyło na obrzeżach świadomości Richarda. I w nagłym błysku olśnienia zrozumiał. Ogarnął go lodowaty chłód. Ręce i nogi mu zdrętwiały.

- Drogie duchy - wyszeptał. Nicci spojrzęła nań chmurnie.

- Co się stało, Richardzie? Zbladłeś jak płótno.

Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie usłyszał, jak mówi:

- Muszę wracać do Zedda. Czarodziejka położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co się stało?

- Chyba wiem, co to za klucz.

Zaczął szybko, urywanie oddychać, serce tłukło mu się jak oszalałe. Wszystko, co wiedział, stawało na głowie, wszystkie fragmenty układanki się rozsypywały. Miał wrażenie, że traci oddech.

Drzeć będą z lęku przed tym, co uczynili, i rzucać cień klucza pomiędzy kości, przemknęło mu przez głowę.

- Co miałeś na myśli...

- Wytlumaczę, kiedy tam dotrzemy. Musimy natychmiast wyruszać.

Nicci, zatroskana, wsunęła książeczkę do kieszeni swojej czarnej spódnicy.

- Zrobię, co w mojej mocy, Richardzie. Rozgryzę to, obiecuję. Przytaknął z roztargnieniem, gorączkowo usiłując na powrót poskładać wszystkie fragmenty układanki. Zdawało mu się, że sam siebie obserwuje. Chwył Berdine za ramię.

- Baraccus miał sekretne pomieszczenie, bibliotekę. Chcę, żebyś spróbowała odkryć, gdzie ona była.

Mord-Sith kiwnęła głową.

- Oczywiście, lordzie Rahlu. Postaram się dowiedzieć. Zrobię, co w mojej mocy. - Spojrzała na zbiegające kłyki dłoni wpijającej się w jej ramię.

Richard uświadomił sobie, że pewnie sprawia jej ból, i cofnął rękę.

- Dziękuję, Berdine. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. - Nicci i Cara wpatrywały się w niego. - Muszę wracać do Zedda. Muszę z nim natychmiast porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, gdzie to znalazł.

- Co znalazł? - Nicci przycisnęła dłoń do jego piersi, zatrzymując go, nim zdążył wyjść. - Richardzie, co jest takie ważne, że...

- Słuchaj, wyjaśnię wszystko, gdy już tam wrócimy - przerwał jej. - Teraz muszę to przemyśleć.

Nicci i Cara wymieniły niespokojne spojrzenia.

- W porządku, Richardzie. Uspokój się. Wkrótce wrócimy do wieży.

Złapał Carę za czerwony uniform i wypchnął przed sobą przez drzwi.

- Prowadź nas do sylfy, najkrótszą drogą.

Cara, teraz bardzo poważna i zasadnicza, zacisnęła w pięści Agiel.

- No to chodźmy.

Znow spojrzał na Berdine truchającą za Carą.

- Chcę, żebyś znalazła wszystko na temat Baraccusa. Wszystko! Berdine wyprzedzała Nicci.

- Dobrze, lordzie Rahlu. Wskazał na nią.

- Verna wkrótce tu będzie. Powiedz jej, że chcę, żeby ci pomogła. I jej Siostry także. Jeżeli będzie trzeba, przejrzycie każdą księgę w pałacu, ale wyszukaj wszystko o Baraccusie: gdzie się urodził, gdzie dorastał, co lubił, czego nie. Był Pierwszym Czarodziejem, więc powinny być o nim jakieś informacje. Chcę wiedzieć, kto go strzygł, kto mu szył odzież, jaki kolor najbardziej lubił. Wszystko, choćby twoim zdaniem było okropnie banalne. A skoro już przy tym jesteś, sprawdź, czy uda ci się odszukać jeszcze coś o tym, co zrobiły „półgłówki z Opowieści Yanklee”.

- Nie martw się, lordzie Rahlu. Jeżeli tylko jest gdzieś jakaś informacja, to ją znajdę. Przemyślę to i będę miała odpowiedź, kiedy powrócisz.

Richard chwycił Nicci za rękę, by mieć pewność, że nie zostanie w tyle, i rzekł do Cary:

- Szybko. Spieszmy się.

Berdine, z Agielem w pięści, biegła za nimi, osłaniając tyły. Richard ledwie zwrócił uwagę na błyski światła odbijającego się od lśniących pancerzy i oręza oraz na szczęk metalu, kiedy żołnierze ruszyli, jakby Opiekun we własnej osobie ścigał lorda Rahla.

Myśli śmigały równie prędko jak stopy i Richard uznał, że lepiej udać się najpierw do Caski.

Ale gdy się dłużej nad tym zastanowił i gdy fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować, zmienił zdanie. Sylfą raz-dwa dotrze do Caski z wieży.

Spotkanie z Zeddem było pilniejsze.

Kiedy tak mknęli przez labirynt holi, komnat i korytarzy, Richard usłyszał daleki dźwięk dzwonu zwołującego na modły do lorda Rahla.

Ciekaw był, czy wszyscy wkrótce uklękną przed Opiekunem zaświatów i zanoszą do niego modły.

Rozdział 30

Six nagle wstała. Bez słowa zrobiła trzy długie kroki do ściany jaskini z wielkim malowidłem Violet. Delikatnie przycisnęła kościste dłonie do symboli, które Violet wyrysowała kredą wiele dni temu. I symbole zniecka zaczęły się jarzyć: żółta kreda jaśniała żółtym blaskiem, czerwona czerwonym, a niebieska niebieskim. Niesamowity blask jaśniejących barw migotał na ścianach jaskini niczym światło odbijające się od pomarszczonej powierzchni wody.

Rachel obejrzała się na Violet, tkwiącą na niskim i szerokim stołku z pikowanym purpurowym siedziskiem, który kazała tu dziewczynce przywlec wiele dni temu. Znudzona królowa skubała paznokciami łuszczącą się skalną ścianę za swoimi plecami. Rachel zaczęła myśleć o Violet jako o królowej jaskini, bo właśnie tutaj spędzały coraz więcej czasu.

Violet nie lubiła siadać na głazie, kiedy nie rysowała. Wstrętny stary głaz był aż za dobry dla Rachel, orzekła, ale nie dla królowej. Six w ogóle nie zatroszczyła się o stołek. Zawsze była zaprzątnięta poważniejszymi sprawami niż jakieś tam poduszki. Ale Violet miała dość czekania, kiedy Six rozmyślała o owych poważniejszych sprawach, i dlatego kazała Rachel przywlec do jaskini ciężki stołek.

I teraz królowa jaskini, oblana migotliwym blaskiem pochodni i jarzących się symboli, siedziała na swoim pikowanym purpurowym tronie i czekała, aż jej doradczyni powie jej, co należy zrobić.

- Nadciąga - syknęła Six. - Znow nadchodzi przez pustkę.

Rachel nie miała wątpliwości, że tamta wcale nie mówi do Violet, ale sama do siebie. Królowej równie dobrze mogłoby tutaj nie być.

Violet podniosła wzrok. Wyraźnie nie miała zamiaru wstawać, póki Six nie powie, że powinna znowu coś narysować, ale się zaciekała. W końcu tego właśnie chciała i wyłącznie z tego powodu raczyła się trudzić sporządzeniem tak skomplikowanego rysunku w wilgotnej, obskurnej jaskini, chociaż mogła spożytkować ten czas na przymierzanie sukien i klejnotów lub udział we wspaniałych przyjęciach, podczas których goście przymilali się młodej królowej.

Six przebywała we własnym świecie, wodząc rękami po malowidle.

Przytknęła policzek do skalnej ściany i wyciągnęła rękę za siebie.

- Pójdź, moje dziecko.

Krągłą twarz Violet wykrzywił gniew.

- Chciałaś powiedzieć: „moja królowo”.

Wiedźma albo jej nie dosłyszała, albo nie miała ochoty się poprawić.

- Pospiesz się. Czas zacząć rysować złączenia. Violet wstała.

- Teraz? Już dawno po obiedzie. Umieram z głodu.

Six, pocierając policzkiem o podobiznę Richarda niczym kot łbem o czyjaś nogę, w ogóle nie zainteresowała się obiadem. Poruszyła długimi palcami, kiwając na dziewczynę.

- To musi być teraz. Pospiesz się. Nie wolno nam zmarnować tak cennej i rzadkiej okazji. Złączenia, których potrzebujemy, zabiorą trochę czasu, a trudno powiedzieć, ile go będziemy miały.

- No to czemu nie zaczęłyśmy wcześniej, kiedy...

- Należy zacząć teraz, kiedy jest w pustce. - Six poruszała dłonią. - Łatwiej mu wydrapać oczy, kiedy jest ślepy - dodała tym swoim syczącym głosem.

- Nie rozumiem, czemu...

- Bo tak trzeba. Chcesz tego czy nie?

Violet opuściła skrzyżowane ramiona i przestała się sprzeciwiać. Przybrała ponurą, zawziętą minę.

- Chcę.

Twarcz kościstej wiedźmy na mgnienie oka skrzywiła się w szczwanym uśmiešku.

- No to zaczynajmy. Musisz teraz dokończyć złączenia. Violet, znienacka bardzo zdecydowana, wzięła kolorową kredę z niewielkiej skalnej półki za swoim królewskim stołkiem. Podeszła ku Six, a ta postukała długim, cienkim palcem w skałę.

- Zacznij od symbolu sztyletu, jak cię uczyłam i jak ćwiczyłaś, dla pewności, że przy zapoczątkowaniu złącza to, co przyszykowałam, będzie gotowe ciąc szybko i pewnie.

- Wiem, wiem - powiedziała zarozumiale Violet, dotykając czubkiem żółtej kredy punktu jednego ze skomplikowanych jarzących się symboli po lewej stronie Richarda.

Six chwyciła ją za nadgarstek i odciągnęła jej rękę na tyle, by kreda nie

dotykała skalnej ściany. Przesunęła rękę dziewczyny o parę cali i pozwoliła, żeby kreda znów dotknęła symbolu, ale w następnym apeksie wzoru z obrzeżem składającym się z dziesiątków punktów.

- Mówiłam ci - rzekła z wymuszoną uprzejmością, pomagając Violet zacząć linię - że popełniony tu błąd pograży nas na bardzo długo.

- Wiem, po prostu wybrałam nie ten wierzchołek, co trzeba - burknęła Violet. - Ale już go mam.

Six, nie zwracając uwagi na królową, utkwiała wzrok w rysunku. Skinęła z aprobatą głową, obserwując, jak kreda zaczyna sunąć po skale.

- Zmień na czerwoną - odpowiedziała wiedźma cicho, kiedy Violet przesunęła kredę o parę cali przez pustą przestrzeń.

Violet, bez sprzeciwu i bez wahania, zmieniła kredę na czerwoną i zaczęła nią sunąć pod kątem do żółtej linii, którą już wyrysowała. Poprowadziła czerwoną linię przez połowę odległości do Richarda i bez odpowiedzi zmieniła czerwień na błękit.

Zawahała się, a potem spojrzała na Six.

- To jest węzeł, prawda? Six już kiwała głową.

- Tak - mruknęła, zadowolona z tego, co widzi. - Dobrze, zatocz krąg i potem zakończ pierwszą ligaturę.

Violet narysowała błękitne koło u końca czerwonej linii, a potem przecięła linią pustą przestrzeń na gładkiej, ciemnej kamiennej ścianie. Kiedy błękitna kreda dotknęła jednego z koniuszków następnego symbolu, zawróciła i narysowała linię od kręgu do Richarda. Dopełniona triada linii, którą właśnie wykreśliła Violet, zaczęła się jarzyć. Z błękitnego kręgu strzelił snop światła niczym z okna w ciemnym kamieniu.

Six nagle uniosła rękę, zatrzymując Violet, zanim ta zdążyła dotknąć kredą kolejnego punktu sekwencji.

- Co się stało? - spytała dziewczyna.

- Coś... jest... nie tak...

Wiedźma przycisnęła policzek do malowidła, tym razem dokładnie do twarzy Richarda.

- Całkiem nie tak...

Richard ponownie wciągnął do płuc srebrzyste upojenie, lecz przy tych wszystkich gnębiących go troskach nie bardzo przypominało to cudowne doznania, których zwykle doświadczał w sylfie.

Zdał sobie jednak sprawę, że kiedy podróżował w sylfie, zwykle był czymś ogromnie zatroskany. W końcu to właśnie takie czy inne niepokoje skłaniały go do podróżowania w niej. Nigdy nie odczuwał czegoś takiego. Był to nie tyle strach, ile złe przeczucia - nieokreślone, ale przygniatające. Z każdym oddechem ów widmowy ciężar coraz bardziej go przytłaczał.

W sylfie właściwie nie widziało się tak jak zwykle, nie istniało poczucie czasu, góry czy dołu. Coś jednak było widać: były barwy i - niekiedy - niewyraźne kształty, które pojawiały się i równie nagle znikwały. Istniało również doznanie oszałamiającej szybkości, które sprawiało, że Richard czuł się jak strzała wypuszczona z potężnego łuku. A równocześnie miało się wrażenie unoszenia w skondensowanej pustce sylfy. Te odmienne odczucia, zmieszane, tworzyły uderzającą do głowy całość, co z kolei powstrzymywało go od dzielenia owego doświadczenia na elementy składowe.

Kiedy tak pędził w żywym srebro sylfy, zaczął odsuwać od siebie niepokój. I wtedy poczuł, jak coś leciutko musnęło jego skórę, wyczuł ukradkowe dotknięcie - i natychmiast zrozumiał, że czegoś takiego nie doświadczył podczas wcześniejszych podróży. Wstrząsnął nim dreszcz lęku.

Uświadomił sobie, że złe przeczucia nie są tak namacalne jak owo dotknięcie.

Kiedy dryfował, otoczony bezkresną srebrzystą pustką, starał się oddzielić wrażenie, że coś go dotknęło, od całej reszty. Czuł, jak pieśczośliwie okala go łagodne odosobnienie sylfy, chroniąc przed straszliwym pędem, który w innym wypadku mógłby roznieść na strzępy. Nadal też czuł kojący spokój, który tłumił jego lęk przed wciąganiem do płuc płynnego srebra.

Ale Richard czuł coś jeszcze, chociaż na razie nie potrafił oddzielić tego niepokojącego odczucia od innych i rozpoznać.

Narastało w nim przekonanie, że coś jest nie tak. Potwornie źle. Było to tym bardziej zatrważające, że nie mógł pojąć, skąd wie, że coś się popsuło. Starał się zrozumieć, skąd mu to przyszło do głowy.

Uznał, że to pewnie przez to ukradkowe dotknięcie. Pomyślał przelotnie, czy mógł to sobie wyobrazić, lecz odrzucił taką możliwość. Poczuł to.

Zupełnie jakby zaistniała jakaś potworna skaza. Jakby leżał na grzejącej się w słońcu łące, w przepiękny dzień, otoczony wspaniałymi barwami i wonią kwiatów, obserwując sunące wolno po błękitnym niebie obłoczki... i

nagle poczuł słabą woń gnijących zwłok, po czym uświadomił sobie, że ten nieokreślony dźwięk to brzęczenie much.

To, co zwykle wydawało się pozaczasowym pędem w gładkim srebrze sylfy, zaczęło się przeradzać w dręczące poczucie unieruchomienia.

Cara trzymała jego prawą dłoń w żelaznym uścisku, lecz Nicci jeszcze mocniej ścisnęła mu lewą. Pojął, że to znak, że i ona coś wyczuła. Żałował, że nie może jej spytać, co poczuła, lecz w sylfie nie można było rozmawiać.

Richard szerzej otworzył oczy, starając się wyraźniej zobaczyć to, co go otaczało, ale był to mroczny, cichy świat, w którym można było dostrzec głównie lśnienie snopów blasku - żółtego, czerwonego i błękitnego - przeszywających mrok, w którym mknęli. Chłopak nie sądził, żeby te snopy blasku się poruszały, jak niegdyś. Jednak w sylfie trudno było mieć pewność co do takich rzeczy. Miało się tu zwykle mgliste poczucie jakichś zdarzeń, nic więcej.

Richard zdał sobie sprawę, że przed nim coś jest, coś poruszającego się płynnie w srebrzystym mroku. Początkowo wyglądało to jak długie, wąskie płatki, które właśnie zaczęły się rozchyłać. Ale gdy się zbliżyło, spostrzegł, że bardziej przypomina to liczne ramiona - cienkie, długie, wijące się - sterczące z centralnej części, której z jakiegoś powodu nie mógł rozpoznać.

Było to coś zupełnie niepojętego. A kiedy jeszcze się zbliżyło, Richardowi zaczęło się wydawać, że to coś zbudowane jest z kawałków szkła tworzących rozwierającą się przed nim strukturę. Przez te przezroczyste, rozwierające się ramiona dostrzegł padające za tym czymś snopy blasku.

To było najdziwniejsze ze wszystkiego, co w życiu widział. I choć bardzo się starał, nie mógł tego pojąć. Jakby to coś tu było i zarazem nie było.

I wtedy pojął, ogarnięty lodowatym strachem.

W tej samej chwili Nicci tak mocno szarpnęła go za rękę, że niemal wyrwała mu ją z barku. Szarpnięcie musiało go pociągnąć w tył, bo Cara, nadal wczepiona w jego prawą dłoń, opłynęła go dokoła. Richard się uchylił. Przejrzysty kształt śmignął przed jego twarzą, mijając go o włos.

Nicci w porę go odciągnęła.

Teraz chłopak już wiedział, co to było.

To była bestia.

Wrażenie, że w pobliżu jest zło, stało się nagle tak silne, że Richarda ogarnęła paralizująca panika. Bestia przemknęła obok niego niczym zjawą i

zawróciła. Szkliste ramiona rozwarły się, wyciągnęły i znów próbowały go złapać.

Nicci gwałtownym szarpnięciem znów odciągnęła go od szeroko rozpostartej przed nim gwiaździstej sieci macek. A macki znów spróbowały go otoczyć.

Richard wyszarpnął dłoń z ręki Cary i dobył noża. Mord-Sith natychmiast złapała go za koszulę, żeby się z nim nie rozdzielać.

Starał się jak mógł ciąć wyciągające się ku niemu, usiłujące zamknąć go w śmiertelnym uścisku macki. Raz-dwa okazało się, że walka nożem w sylfie jest prawie niemożliwa. Ciekłe srebro uniemożliwiało szybkie ciosy. Zupełnie jakby próbował manewrować w miodzie. Zmienił taktykę i czekał, żeby ramiona go oplotły, żeby zbliżyło się do niego szkliste centrum.

Kiedy tak się stało, skierował nóż ku ośrodkowi przejrzystego zagrożenia. Ale istota, zamiast się nadziać na ostrze, jedynie złożyła się wokół noża i bez wysiłku odsunęła.

A potem znów zaatakowała - z nagłą, nieokiełznaną furią, którą Richard wyczuł. Stwór poruszał się z płynną gracją. Ciekłe srebro sylfy w niczym mu nie przeszkadzało.

Przy jednym boku chłopak widział migotliwą sylwetkę Cary, nadal wczepioną w jego koszulę i usiłującą atakować bestię drugą ręką. Przy drugim, jak wiedział, Nicci próbowała wykorzystać magię. Ale wyglądało na to, że jej dar nie działa w sylfie.

Jedna macka bestii owinęła się wokół ramienia Richarda, druga wokół ręki Cary. Mord-Sith chwyciła go za nadgarstek drugą dłonią. Bestia mocniej zacisnęła mackę wokół jej ramienia i bez trudu ich rozdzieliła. W jednej chwili Cara zniknęła. W mętnowym mroku Richard nie wiedział, gdzie się podziała i w jakiej może być odległości. Co gorsza, nie wiedział, czy jest cała i zdrowa, czy też bestia ją uśmierciła.

Nicci objęła go ramieniem w pasie i trzymała ile sił, a z mroku wyłoniły się kolejne przejrzyste macki i oplotły ich. Jakby się dostali w gniazdo węży, splecionych ze sobą i oplatających ich, które mocno zaciskają opłot, kiedy je zaatakować. Ta wokół nogi Richarda owinęła się tak ciasno, że aż pomyślał, iż oddzieli mu ciało od kości.

Chociaż nie słyszał Nicci w zwykłym tego słowa znaczeniu, był świadom jej stłumionych okrzyków wściekłości, kiedy walczyła z usidlającym ich

stworem. Migotała szaleńczo wokół niej dziwaczna błyskawica i wiedział, że stara się wykorzystać swą moc, ale to w ogóle na bestię nie działało.

Nie zwracając uwagi na ból zadawany przez oplatające go już macki, Richard ciął raz za razem, dźgał grube ramiona, które jedynie po części tu były. Uderzał nożem z pełną determinacją furją i udało mu się odciąć niektóre macki od „cielska” bestii. Odcięte, wiły się szaleńczo i odpływały w otaczającą ich pustkę, jakby tonęły w morzu bez dna.

Ale to na nic - z mroku wyciągały się ku niemu kolejne wijące się macki. Zupełnie jakby się znalazł na dnie czarnej studni z mrowiem rozeźlonych żmij. Richard walczył ile sił, tnąc, dźgając i rąbiąc. Ręce bolały go z wysiłku. Nicci kurczowo trzymała się go jedną ręką, a drugą szarpała macki. Wyginała się i skręcała, więc pojął, że straszliwie cierpi. Dał spokój oplatającym go mackom i wściekle ciął te, które sprawiały ból czarodziejce, starając się ją od niego oderwać.

I gwałtownie ją od niego oderwały.

Richard został sam w bezkresie, a przejrzysta, śliska, krzepka istota usiłowała przyciągnąć go ku swojemu centrum, ku czemuś, co warczało, kłapało i szczekało.

Nie było jak walczyć z takim stworem, zdobyć przewagi nad taką krzepą, uciec z opłotu tyłu macek. A oplątywały go coraz to nowe.

Z całej siły - zanim unieruchomiły mu ramię - pchnął nóż ku środkowej części, której nie mógł wyraźnie zobaczyć.

Trafił. Bestia zawyła, aż rozbolały go uszy. Macki odrobinę się rozluźniły - nie puściły go, ale na tyle poluzowały chwyt, że Richard potężnym skrzętem ciała wyrwał się stworowi. I w jednej chwili, niczym trzymane w wilgotnych palcach nasiono dyni, wyswobodził się z morderczego uścisku.

Usiłował odpłynąć, uciec przed młóiącymi przejrzystymi mackami, które zbliżały się ku niemu, ale stwór był szybszy, silniejszy i niezmordowany.

- Tutaj! - ponagliła Six, trąc kłykciami o centrum jakiegoś symbolu.

Violet pobiegła z kredą tam, gdzie wskazywała jej doradczyni. Jej palce pracowały szybko i pewnie. Grzbietem drugiej dłoni ocierała pot z twarzy, następnie palcami otarła pot z oczu. Rachel jeszcze nigdy nie widziała, żeby Violet pracowała tak szybko i tak ciężko.

Dziewczynka nie wiedziała, co się dzieje, ale nie było wątpliwości, że coś poszło nie tak, jak Six oczekiwała. Kobieta była bliska paniki lub wściekłości.

A Rachel obawiała się tak jednego, jak i drugiego.

Violet pospiesznie uzupełniała złączenia, zmieniając kolory kredy i przechodząc do kolejnych punktów, a wiedźma znów zaczęła cicho śpiewać swoje inkantacje. Zgrzytliwy dźwięk szeptanych słów rozdzierał duszę Rachel. Nie rozumiała ich znaczenia, lecz były wymawiane w złowrogiej intencji i to ją przerażało.

Dziewczynka obejrzała się ku odległemu wejściu do jaskini, ale na zewnątrz było ciemno i nic nie zobaczyła. Chciała uciec, lecz nie odważyła się. Wiedziała, że jeżeli Violet lub Six będą musiały przerwać to, co robią, i gonić ją, to bardzo źle się to dla niej skończy.

Chase nauczył ją „kietznać impulsy”, jak to nazywał, i czekać na prawdziwą sposobność. Przestrzegał ją, że jeżeli nie grozi jej nagła śmierć, powinna działać tylko wtedy, gdy już obmyśli dokładny plan postępowania. Powiedział, że nie powinna działać pod wpływem ślepego strachu, lecz starać się znaleźć sposób zwiększający jej szanse.

Tak więc chociaż tamte dwie były tak zajęte, Rachel wiedziała, że skoro są tu obie, i to tak podekscytowane, zareagują na każdy jej występki szybko i gwałtownie. To nie była odpowiednia okazja. Zerwanie się z miejsca i ucieczka nie były dobrym planem i ona o tym wiedziała.

Rachel siedziała cicho i spokojnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi, a wiedźma ostrożnie postukała pięścią kilka jarzących się węzłów w złączeniach, które Violet już wyrysowała. Każdy jaskrawy krąg, w który uderzyła, ciemniał z niskim, warkotliwym odgłosem, od którego małej mrówki chodziły po plecach. Jaskinia zdawała się buczeć w rytm narastających i opadających zaklęć Six.

Violet, rysując szybkimi, pewnymi ruchami, spojrzała w bok, by sprawdzić, jak przesuwa się Six. A Six, gasząca kolejno snopy blasku, doganiała królową. Violet, niczym w transie, przyspieszyła. Kreda stuknęła, kreśląc linie na kamiennej ścianie. Dźwięk kredy odpowiadał rytmowi zaśpiewu wiedźmy.

Dokoła postaci Richarda kobieta, recytująca zaklęcia wznoszącym się śpiewnym szeptem, od którego w jaskini rozszalał się wyjący wicher, tarła pięścią punkty w złączeniach rysowanych przez Violet od wielu godzin, i to bez przerwy. Rachel myślała, że Violet padnie z wyczerpania, ale działo się wprost przeciwnie - królowa pracowała gorączkowo, niczym w transie,

starając się wyprzedzać Six. I choć jej dłoń śmigła, każda linia była właściwie wyrysowana, każdy punkt przecięcia wypadł tam, gdzie trzeba. Wiedźma kazała Violet bez końca ćwiczyć rysowanie symboli i teraz przynosiło to efekty.

Postać Richarda była niemal całkowicie opleciona siecią symboli i linii złączeń.

Wykrzyczawszy osobliwe słowo, by było słyszalne poprzez wycie wichru, Six zgasiła ostatni snop światła przy postaci Richarda. Wicher nagle ucichł. Kawalczki liści i inne szczątki opadały w znieruchomiłym powietrzu.

Six przerwała zaśpiew. Zmarszczyła brwi. Czubkami palców dotknęła niektórych symboli, jakby wyczuwała ich tętno. W jaskini zamigotały błyski barwnego światła.

- To był on - wyszeptała do siebie kobieta. Violet znieruchomiła, łapiąc oddech.

- Co?

- Apogeum do niższego apeksu. - Six spojrzała jadownicie na wystraszoną Violet. - No już!

Dziewczyna bez wahania obróciła się ku ścianie i zaczęła rysować linie wijące się w dół od jednego z centralnych elementów ponad głową Richarda.

Six uniosła dłoń.

- Bądź w pogotowiu, lecz nie dotykaj punktów pierwotnej inwokacji, dopóki ci nie powiem.

Violet przytaknęła. Oczy Six uciekły w tył głowy, a ona umieściła czubki palców nad postacią Richarda. Violet i Rachel patrzyły, a Six cicho szeptała dziwne słowa.

Rozdział 31

Nicci wynurzyła się ponad srebrzystą powierzchnię sylfy. Ciężka ciecz spłynęła z jej włosów i twarzy. Barwy i blask wybuchły z cichej, aksamitnej czerni. Oddychaj.

Nicci natychmiast, z wielkim wysiłkiem, wypchnęła z płuc srebrną ciecz. Oddychaj.

Konieczność przeważała nad strachem i Nicci rozpaczliwie zaczerpnęła powietrza. Paliło niczym opary kwasu.

Miała wrażenie, że komnata wiruje. Zobaczyła czerwoną plamę. Przesunęła się sztywno i znów spazmatycznie wciągnęła powietrze. Udało jej się dotrzeć do obrzeża, przerzucić ramię przez murek okalający studnię sylfy i unieść się. Ogarniała ją panika.

Jakaś dłoń chwyciła jej ramię. Nicci zdołała podnieść plecak i przełożyć go przez obmurówkę. Pojawiła się druga dłoń i pomogła jej unieść się na tyle, by mogła przerzucić oba ramiona przez murek wokół sylfy. Czerwień, którą widziała, okazała się Carą.

- Gdzie jest lord Rahl?!

Nicci spojrzała ze zdumieniem w przenikliwe błękitne oczy Mord-Sith. Nie miała pojęcia, że błękit może tak ranić. Zamknęła oczy i pokręciła głową, usiłując oprzytomnieć, zebrać myśli i uwolnić się od gromkiego głosu Cary, który wstrząsał nią do głębi.

- Richard...

Niczego tak nie pragnęła, jak pomóc mu.

- Richard...

Cara stęknęła z wysiłku, unosząc bezwładną Nicci i przechylając ją przez obmurówkę studni. Czarodziejka, czując się jak rozbitek ocalały z katastrofy statku podczas sztormu, zsunęła się na drugą stronę murku. Nie była w stanie przyłożyć się do własnego ocalenia. Cara przyklekła i chwyciła Nicci, zanim jej bezwładne ciało uderzyło o kamienną posadzkę.

Kiedy już Mord-Sith ułożyła ją na podłodze, Nicci zebrała wszystkie siły i uniosła się na trzęsących rękach. Nie mogła odzyskać zwykłej sprawności i sił. To było okropne - ciało nie chciało wykonywać poleceń. Z ogromnym wysiłkiem zdołała się w końcu podnieść i usiąść, ciężko opierając plecy o

obmurówkę studni sylfy. Nadal spazmatycznie wciągała powietrze i starała się zapanować nad oddechem. Ciągłe wszystko ją bolało. Przez chwilę wspierała się o kamienny murek, zbierając siły. Cara złapała ją za kołnierz i potrząsnęła nią.

- Nicci, gdzie jest lord Rahl?!

Czarodziejka zamrugła i rozejrzała się, próbując to sobie wszystko poukładać. Tak bardzo ją bolało. Ból przypominał jej o razach Jaganga, o tym, jak podczas jego ataków wściekłości zaczynała czuć ból poprzez częściowe otumanienie i odrętwienie. Ale teraz nie Jagang to sprawił. To był skutek czegoś, co się wydarzyło w sylfie. Nigdy przedtem podróż nie sprawiała bólu. Nigdy.

- Gdzie jest lord Rahl?!

Nicci skrzywiła się, bo niosący się echem po komnacie krzyk sprawił jej ból. Przełknęła ślinę; gardło też miała obolałe.

- Nie wiem. - Oparła łokcie o kolana i przeczesła włosy palcami, oburącz trzymając pękającą z bólu głowę. - Drogie duchy, nie wiem.

Cara tak szybko i mocno pochyliła się nad studnią, że Nicci zlekła się, iż do niej wpadnie. Instynktownie chwyciła Mord-Sith za nogi, myśląc, że ta na pewno polecą przez murek. Nic takiego się jednak nie stało.

- Sylfo! - Krzyk Cary znów odbił się echem od kamiennych ścian starej, zakurzonej komnaty.

Nicci podzielała jej wzburzenie, lecz wiedziała, że to się na nic nie przyda.

Zignorowała rozdzierający ból stawów i chwiejnie wstała. Uczucie, że wszystko wiruje, powoli mijało. Ujrzała, że srebrna twarz sylfy unosi się ze studni, że w szklistej powierzchni formują się rysy.

- Gdzie jest lord Rahl? - spytała Mord-Sith. Sylfa zignorowała jej pytanie. Spojrzała na Nicci.

- Już nigdy nie wolno ci tego zrobić, kiedy będziesz we mnie. - W komnacie rozległ się łagodny, osobliwy głos.

- Masz na myśli magię? - domyśliła się Nicci.

- Z wielkim trudem zniosłam rozpetaną we mnie taką moc, ale to mogło być gorsze i dla ciebie, i dla każdego, kto w tym czasie podróżował. Już nigdy nie wolno ci wykorzystywać swojej mocy podczas podróży. W najlepszym razie odchorujesz to. Ale może się to skończyć o wiele gorzej. To jest

niebezpieczne dla wszystkich.

- Ma rację - odezwała się półgłosem Cara. - Kiedy zaczęłaś czarować, to bolało, jakby mnie dręczono Agielem. Nogi dalej nie pracują jak trzeba.

- Moje też - przyznała Nicci. - Ale przecież nie mogłam pozwolić, żeby bestia dopadła Richarda. Musiałam spróbować go obronić, prawda?

Cara, zażenowana tym, iż mogła choć zasugerować, że nie zrobiłaby wszystkiego, by chronić Richarda, potrząsnęła głową.

- Zniosłabym o wiele gorsze rzeczy, żeby chronić lorda Rahla. Zrobiłaś, co trzeba. Nie dbam o to, co mówi sylfa.

- Ja też - powiedziała Nicci. Ale teraz nie chodziło ani o nią, ani o Carę. Popatrzyła na sylfę. - Gdzie jest Richard? Co się z nim stało? Gdzie jest?

- Nie mogę...

Cierpliwość Cary, o ile w ogóle istniała, wyczerpała się gwałtownie. Skoczyła ku sylfie, jakby miała ochotę zacisnąć dłonie na jej srebrnej szyi.

- Gdzie on jest?!

Twarz cofnęła się poza zasięg rąk. Nicci złapała Carę za strój i odciągnęła, stawiając obok siebie. Twarz Mord-Sith, czerwona z wściekłości, niemal dorównywała barwą uniformowi.

- Sylfo, to ogromnie ważne - powiedziała Nicci, starając się, by jej głos brzmiał rzeczowo. - Byliśmy z Richardem, z lordem Rahlem, twoim panem, kiedy nas zaatakowano. To dlatego musiałam użyć swojej mocy. Usiłowałam go chronić. Ta bestia jest niezmiernie groźna.

Doskonale rysy zniekształcił strach.

- Wiem. Sprawiała mi ból. Nicci się zdumiała.

- Bestia sprawiała ci ból?

Sylfa przytaknęła. Odbicia komnaty przepływały przez gładką, posągowo piękną srebrną twarz. Nicci patrzyła zadziwiona, jak przy dolnych powiekach sylfy formują się srebrzyste łzy i spływają po gładkich policzkach.

- Sprawiała mi ból. Nie chciała podróżować. - Srebrzyste czoło zmarszczyło się z oburzenia towarzyszącego udręce. - Nie miała prawa wykorzystać mnie w ten sposób. Sprawiała mi ból.

Nieci i Cara wymieniły spojrzenia.

Cara może i była zdumiona, ale na pewno nie wyglądała na ogarniętą współczuciem. Prawdę mówiąc, w owej chwili zatroskanie Nicci o Richarda przeważało nad wszystkim innym.

- Przykro mi, sylfo - odezwała się czarodziejka - ale...
- Gdzie on jest?! - warknęła Cara. - Powiedz nam, gdzie jest lord Rahl.
Sylfa się wahała.

- On już nie podróżuje.

- No to gdzie jest? - powtórzyła Cara.

Głos sylfy stał się chłodny i wyniosły.

- Nigdy nie ujawniam informacji o tych, którzy ze mną byli.

- On nie jest zwyczajnym podróżnym! - wrzasnęła wściekle Mord-Sith. -

To lord Rahl!

Sylfa cofnęła się pod przeciwległą ścianę studni. Nicci wyciągnęła ku Carze rękę, chcąc, żeby się opanowała i żeby na moment zamilkła.

- Kiedy razem podróżowaliśmy, zaatakowało nas coś złego. Wiesz o tym.

- Usiłowała usunąć z głosu groźbę, ale wiedziała, że nie bardzo jej się to udaje. Narastający lęk o Richarda utrudniał myślenie - lęk i gorączkowe ostrzeżenia Jebry, że nawet na chwilę nie powinny się rozdzielać z chłopakiem. - Sylfo, ta zła istota ściagała twojego pana, Richarda. Jesteśmy przyjaciółkami Richarda, o tym również wiesz. Potrzebuje naszej pomocy.

- Lord Rahl może być ranny - dodała Cara. Nicci kiwnięciem głową poparła słowa Mord-Sith.

- Musimy się do niego dostać.

Panująca w kamiennej komnacie cisza aż raniła. Nicci nadal usiłowała się przyzwyczaić do tego, że wróciła, stłumić szarpiący nią straszliwy ból oraz wymyślić, co teraz zrobić.

- Musimy dotrzeć do Richarda - powtórzyła.

Srebrzysta twarz uniosła się nieco bardziej, pociągając za sobą ze studni płynną srebrną szyję. Sylfa patrzyła zaintrygowana na Nicci.

- Pragniesz podróżować?

Czarodziejka ostatkiem sił pohamowała wściekłość.

- Tak. Racja. Pragniemy podróżować.

Cara, biorąc z niej przykład, wskazała w głąb studni.

- Tak. To prawda. Pragniemy podróżować.

- Już nigdy nie posłużę się w tobie moją mocą, obiecuję. - Nicci skinęła na sylfę, żeby się zbliżyła. - Pragniemy podróżować. Natychmiast.

Sylfa rozpogodziła się, jakby wszystko już wybaczone.

- Będziecie zadowolone. - Wyraźnie pragnęła je zadowolić. - Pójdźcie,

będziemy podróżować.

Nieci oparła kolano na obmurówce. Mięśnie ud zaboląły z wysiłku. Zignorowała piekący ból mięśni i stawów i wdrapała się na szeroki kamienny murek. Była zadowolona, że wreszcie znalazły sposób, by skłonić sylfę do spełnienia ich życzeń. - Jeżeli im nie powie, gdzie jest Richard, to przynajmniej je tam zabierze.

- Tak, będziemy podróżować - powiedziała Nicci, nadal próbując złapać oddech.

Sylfa utworzyła ramię i otoczyła nim Nicci w talii, podtrzymując ją na murku.

- Więc pójdźcie. Dokąd pragniecie podróżować?

- Tam, gdzie jest lord Rahl - odparła Cara, lokując się na murku obok Nicci. - Zabierz nas tam - specjalnie dla sylfy się uśmiechnęła - a będziemy zadowolone.

Sylfa znieruchomiała i wpatrzyła się w nią. Ramię się cofnęło, a potem wtopiło w łagodnie falującą powierzchnię. Srebrzysta twarz stała się nagle chłodna i obojętna.

- Nie mogę udzielać informacji o innych klientach. Nicci zacisnęła pięści.

- On nie jest jakimś tam klientem! To twój pan i ma kłopoty! Jest naszym przyjacielem! Musisz nas do niego zabrać!

Lustrzana twarz sylfy się odsunęła.

- Nie mogę czegoś takiego zrobić.

Nicci i Cara przez chwilę stały bez słowa. Znalazły się w kropce i nie miały pojęcia, jak skłonić sylfę do współpracy. Nicci miała ochotę wrzasnąć, rozplakać się lub rozpętać taką moc, żeby gotująca się sylfa zaczęła mówić.

- Jeżeli nam nie pomożesz - rzekła w końcu spokojnie - doznasz więcej bólu niż od bestii. Już ja się o to postaram. Proszę, nie każ mi się do tego uciekać. Wiemy, że chcesz chronić Richarda. I my staramy się go chronić.

Sylfa patrzyła bez słowa, niczym srebrny posąg, jakby próbowała oszacować groźbę.

Cara przycisnęła palce do skroni.

- Zupełnie jakbyśmy próbowały przekonać kubel wody - mruknęła.

Czarodziejka spojrzała gniewnie na sylfę.

- Zabierzesz nas do swojego pana. To rozkaz.

- Lepiej zrób, co mówi - dorzuciła Cara - bo inaczej, gdy ona już z tobą

skończy, będziesz miała ze mną do czynienia. - Ujęła w dłoń Agiel, aby podkreślić groźbę. Ale kiedy to zrobiła, zamarła, wpatrując się w oręż. Krew odpłynęła jej z twarzy. Nawet pobielełe dłonie ostro kontrastowały z czerwonym skórzanym uniformem.

Nicci nachyliła się ku niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Co się stało?

Rozdziawione usta Cary wreszcie się poruszyły.

- Jest martwy.

- O czym ty mówisz?

W błękitnych oczach Cary widać było nieokiełznany lęk.

- Agiel jest martwy w mojej dłoni. Nie czuję go.

Nicci wyraźnie słyszała w głosie Mord-Sith zaskoczenie i przerażenie, lecz nie pojmowała, co jest tego przyczyną. Nie sprawiający bólu Agiel chyba nie mógł być powodem takiej paniki. Ale przerażenie i tak się udzielało.

- Czy to coś oznacza? - spytała Nicci, bojąc się odpowiedzi. Sylfa przyglądała się im z drugiej strony studni.

- Agiel działa dzięki więzi z lordem Rahlem, dzięki jego darowi. - Wyciągnęła przed siebie oręż niczym dowód. - Jeżeli Agiel jest martwy, to lord Rahl też.

- Słuchaj, jeśli będzie trzeba, wykorzystam moją moc, żeby nakłonić sylfę, by nas do niego zabrała. Ale nie wyciągaj pochopnych wniosków, Caro. Nie możemy wiedzieć...

- Nie ma go tam.

- Gdzie go nie ma?

- Nigdzie. - Cara bez przerwy wpatrywała się w smukły oręż, który trzymała w drżących palcach. - Już nie czuję więzi. - Przejrzyste błękitne oczy spojrzały na Nicci. - Więż zawsze nam mówi, gdzie jest lord Rahl. Już go nie wyczuwam. Już nie czuję, gdzie jest. Nie ma go tam. Nigdzie go nie ma.

Nicci dostała mdłości. Zrobiło się jej słabo. Zdrętwiały jej palce dłoni i stóp.

Odwróciła się ku sylfie. Sylfy nie było.

Nicci przechyliła się przez murek i zajrzała do studni. Daleko w ciemnościach ujrzała niknący srebrzysty blask, po którym została jedynie czerń.

Odwróciła się ku Carze i chwyciła ją za ramię. Zeskoczyła z obmurówki, ciągnąc za sobą Mord-Sith.

- Chodź. Znam kogoś, kto nam powie, gdzie jest Richard.

Rozdział 32

Nicci, z Carą u boku, pędziła oświetlonym pochodniami korytarzem po wymyślnie tkanych, tłumiących ich kroki dywanach. Mijały otwarte na ciemność drzwi i komnaty, w których oliwne lampki oświetlały ciepłym blaskiem puste meble. Wieża, niemal równie wielka jak chroniąca ją pod kamiennymi ramionami góra, wydawała się pusta i nawiedzona. Nicci spędziła wiele dziesięcioleci w rozległym kompleksie budynków tworzącym Pałac Proroków, który nieco przypominał wieżę, lecz Pałac Proroków zaludniały setki mieszkających w nim ludzi - od Ksieni po chłopców stajennych. I tam byli czarodzieje, choć tylko pobierający nauki. Wieżę wzniesiono dla ludzi, a przecież stała milcząca i pusta, pozbawiona mieszkańców, którzy daliby jej życie. Jeżeli jakieś miejsce można nazwać samotnym i opuszczonym, to wieża właśnie taka była.

Cara biegła ile sił w nogach, gnana lojalnością i miłością do Richarda oraz strachem, że spotkało go to, co najgorsze. Nicci pędziła równie szybko, jakby bała się nawet wziąć pod uwagę możliwość, że on nie żyje, jakby próbowała wyprzedzić samą śmierć. Nie mogła sobie pozwolić na dopuszczenie takiej możliwości, bo natychmiast wpadłaby w rozpacz. Świat bez Richarda byłby dla niej martwy.

Mord-Sith pojechała po śliskiej posadzce z szarego marmuru, zwalniając na tyle, żeby zakręcić, kiedy Nicci położyła dłoń na chłodnym, czarnym marmurowym słupku poręczy schodów i ruszyła w górę szerokimi, czarnymi granitowymi stopniami. Okna wysoko w górze były ciemne, przez co wyglądały jak obszary czarnej próżni w świetle. Schody, oświetlane kilkoma zbliżeniowymi szklanymi kulami, wiodły w górę niebotycznej wieży, na jakąś niesamowitą wysokość, i czarodziejka miała wrażenie, że jest na samym dnie bardzo głębokiej kamiennej studni.

Odgłos ich kroków niósł się echem po wieży niczym niesamowite szepty dawno zmarłych osób, które niegdyś kroczyły tymi samymi korytarzami, wchodziły po tych samych schodach, śmiały się, kochały i mieszkaly tutaj. U szczytu trzeciej kondygnacji schodów Nicci, z nogami obolałymi od wysiłku, poprowadziła je szerokim korytarzem. Biegając mimo pilastrów o ciepłych czerwonych, brązowych i wiśniowych barwach - rozdzielających połączenie

oprawnych w ołów szyb o żywych kolorach - wskazała w przód, dając Carze znak, że skręca w następny korytarz w prawo.

Wreszcie, w sieci mniejszych korytarzy prowadzących do ich pokoi, Nicci zobaczyła w oddali idącego ku nim Zedda. Rikka deptała mu po piętach. Stary czarodziej, z ponurą miną, zatrzymał się i czekał, aż doń podejda.

- Co się dzieje? - zapytał, wyczytawszy z ich twarzy, że coś się nie powiodło.

- Gdzie jest lord Rahl? - spytała Rikka, zatrzymując się tuż za nim.

Nicci rozpoznała niespokojną minę Rikki. Taką samą minę miała Cara, kiedy odkryła, że jej Agiel nie działa. Nicci zerknęła w dół i zobaczyła, że Rikka zaciska swój Agiel w pięści o zbielejących kłykciach, zupełnie tak samo jak przedtem Cara. Talizmany ich więzi z lordem Rahlem były teraz martwe.

- Gdzie mój wnuk? - spytał Zedd niespokojnym głosem. - Dlaczego go z wami nie ma?

Ostatnie słowa zabrzmiały jak oskarżenie, przypomnienie o ostrzeżeniach Jebry i o obietnicy Nicci.

- Zeddzie - zaczęła Nicci - nie możemy powiedzieć na pewno.

Zorander przekrzywił głowę, siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony. Rzucił Nicci spojrzenie świadczące, że czarodziej bierze w nim górę nad zaniepokojonym mężczyzną.

- Nie kręć, dziecko.

Gdyby sytuacja nie była tak śmiertelnie poważna, Nicci by się roześmiała.

- Wracaliśmy razem sylfą do wieży - wyjaśniła - i gdzieś po drodze, bo podczas podróży nie wie się, gdzie się akurat jest, zaatakowała nas bestia.

Zedd spojrział na Carę.

- Bestia.

Cara skinęła głową.

- I co?

- Sama nie wiem. - Nicci podniosła rękę, zaniepokojona i poirytowana, szukając odpowiednich słów, żeby opisać tamto wydarzenie. - Staraliśmy się ją odegnąć. Miała mnóstwo wężowatych ramion. Szarpaliśmy się z nią. Usiłowałam posłużyć się przeciwko niej moją Han...

- W sylfie?

- Tak, ale to prawie nic nie dało. Próbowaliśmy wszystkiego, co tylko

przyszło mi do głowy. A potem bestia oderwała Carę i mnie od Richarda. Nie mogliśmy go odnaleźć w mroku. Staraliśmy się, ale nie mogliśmy niczego znaleźć, nawet jedna drugiej. Jak już mówiłam, kiedy podróżujesz w sylfie, nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Nie widzisz, właściwie nie słyszysz. To ogromnie dezorientujące miejsce i choć staraliśmy się ze wszystkich sił, nie mogliśmy odszukać Richarda.

Zedd był coraz bardziej rozeźlony.

- To dlaczego jesteście tutaj, a nie w sylfie, szukając go?

- Sylfa wypłuta nas - odezwała się Cara. - I znalazłyśmy się znowu tutaj, w wieży. Nicci i ja staraliśmy się, każda na swoją rękę, odnaleźć lorda Rahla, ale... nic tam nie było. Ani bestii, ani lorda Rahla. A potem sylfa dostarczyła nas tutaj, do miejsca, do którego dążyliśmy, kiedy nas zaatakowano.

- No to co robicie tutaj, na górze? - spytał ponownie groźnym głosem. - Dlaczego nie wróciłyście do sylfy i nie szukacie go albo, co byłoby lepsze, nie nakłaniacie sylfy, żeby wam powiedziała, gdzie jest?

Nicci widziała, że Zedd zaciska pięści. Wiedziała, co czuje. Delikatnie ujęła jego ramię.

- Zeddzie, sylfa nie powiedziała by, gdzie on jest. Próbowaliśmy, uwierz mi. Może i można by ją do tego nakłonić, sama nie wiem, ale chyba znam lepszy sposób. Jest ktoś, kto mógłby nam powiedzieć, gdzie jest Richard. To Jebra. Nie chcę już marnować czasu i uważam, że Jebra mogłaby nam szybciej to powiedzieć niż sylfa.

Zedd zacisnął wąskie wargi. Namyślał się.

- Warto spróbować - orzekł w końcu - ale musisz zrozumieć, że była w okropnym stanie, kiedy odeszliście. W najlepszych chwilach była niepoczyna, a czasami bliska hysterii. Staraliśmy się ją uspokoić, ale bez skutku. Boję się, że po tym, co przeszła, jeszcze trudniej jest jej stawić czoło nagłemu powrotowi wizji. Najwyraźniej trudno jej się zmierzyć z tym, że wróciły, wspominając o naturze tej ostatniej. Wreszcie położyliśmy ją do łóżka w nadziei, że jak odpocznie, to nabierze sił i łatwiej jej będzie się otrząsnąć z zamętu wywołanego wizją. Przynajmniej nie jest w takim stanie jak królowa Cyrilla. Walczy o to, by nie popaść w szaleństwo. Zdaje sobie sprawę, że musi być w stanie nam pomóc, lecz w tej chwili rozpacz bierze górę nad rozsądkiem. Jestem również przekonany, że ma w tym udział jej wyczerpanie. Mamy nadzieję, że kiedy wypocznie, powie nam więcej, niż

dotychczas powiedziała.

- A co powiedziała? - spytała Nicci, licząc, że odpowiedź dostarczy jakiejś wskazówki.

Zedd chwilę patrzył jej w oczy.

- Powiedziała, że wrócisz bez Richarda.

Nicci wpatrywała się w czarodzieja.

- A co się z nim stało? Zedd odwrócił wzrok.

- To właśnie usiłujemy z niej wydobyć.

- Mój Agiel jest martwy - odezwała się Rikka. - Nie czuję więzi. Nie wyczuwam lorda Rahla. A jeżeli on nie żyje?

Zedd odwrócił się nieco i uniósł rękę, nakazując, żeby Mord-Sith się uspokoiła.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Przyczyny mogą być rozmaite.

Cary ta uwaga ani trochę nie pocieszyła.

- Na przykład jakie? - spytała.

Czarodziej skierował na nią swoje orzechowe oczy i przez chwilę przypatrywał się jej badawczo, rozmyślając nad odpowiedzią.

- Nie wiem, Caro. Po prostu nie wiem. Od kiedy Jebra powiedziała mi, że z wami nie wróci, rozważam każdą z nich. Możliwości jest bardzo wiele, ale na razie brakuje nam wskazówek. Obiecuję, że niczego nie pominiemy.

Nicci odchrząknęła. Ucisk w gardle narastał.

- W tym momencie musimy przede wszystkim spróbować dowiedzieć się od Jebra, gdzie on jest. Jeżeli nam się to uda, będziemy mogli zadziałać. A jeżeli będziemy mogli działać, będziemy mieć szansę pomóc Richardowi.

- O ile nadal żyje - odezwała się Rikka.

Nicci zacisnęła zęby i spojrzała gniewnie na Mord-Sith.

- Żyje.

Rikka przełknęła ślinę.

- Ja tylko mówiłam...

- Nicci ma rację - zdecydowanie stwierdziła Cara. - Mówimy o lordzie Rahlu. On żyje. - Łza spłynęła jej po policzku. - Żyje.

- Niemniej - rzekł zbolalym głosem czarodziej - powinniśmy się przygotować na najgorsze. - Kiedy zobaczył minę Cary, leciutko uśmiechnął się do Mord-Sith. - Rozmowa o tym nie sprawi, że to się ziści. Co jest, to jest. Mówię jedynie, że musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Tego

wymaga rozsądek. Sam Richard by tak postąpił, gdyby zaginęło któreś z nas, i tego by od nas oczekiwał, gdyby z nim coś się stało. Nie oczekiwałabyś, że będzie dalej walczył, gdyby tobie coś się przydarzyło? Po prostu nie możemy, zwyczajnie nie możemy nie liczyć się z faktami ani odrzucić naszych obowiązków. Richard chciałby, żebyśmy dalej walczyli, walczyli dla nas samych.

Nicci znów pomyślała, że słyszy wypowiedź Pierwszego Czarodzieja. Zrozumiała, skąd wzięła się u Richarda ta jego niezwykła stanowczość.

Cara patrzyła gniewnie na Zedda.

- Mówisz, jakby był martwy. A nie jest.

Zorander uśmiechnął się do niej i skinął głową. Ale nie potrafił sprawić, by to wyglądało przekonująco.

- Muszę porozmawiać z Jebra - odezwała się Nicci. - Teraz jest najodpowiedniejsza chwila. Co jeszcze mówiła o swojej wizji?

Czarodziej westchnął.

- Niewiele. Od poprzedniej minęły lata, a ta była nie tylko zupełnie niespodziewana, ale i najwyraźniej niezmiernie przerażająca. Zacząłem się obawiać, że być może ten brak wizji ma związek z zanikiem magii, o którym wspomniał Richard. Jeżeli tak, to wiele można wywnioskować z tego, że owa wizja przedarła się przez zanikający dar Jebra. Kiedy była przytomna i w miarę logicznie rozumowała, nie bardzo potrafiła uchwycić całość wizji, objawione w niej wydarzenia.

- Może zdołamy pomóc jej poskładać to wszystko w spójną całość - powiedziała Nicci tak łagodnie, jak tylko zdołała, chociaż twardo postanowiła zmusić Jebra, żeby zrobiła, co trzeba.

Zedd najwyraźniej nie sądził, że to coś da, ale wolał spróbować, niż skapitulować przed niewyobrażalnym.

- Tędy - oznajmił, odwracając się zamaszyście, i pospieszył słabo oświetlonym korytarzem.

Zatrzymali się obok niewielkich, półokrągłych u szczytu drzwi z mahoniowych płycin rzeźbionych w splątane łodygi i liście pnączy. Zedd, otoczony przez Nicci i obie Mord-Sith, zapukał delikatnie. Czekał na reakcję, polecił Rikce:

- Idź po Nathana. Powiedz mu, że to pilne i że musi się spakować. Będzie musiał natychmiast wyruszyć.

Nieci podejrzewała, o co Zedd zamierza poprosić Nathana, ale wyrzuciła tę myśl z głowy. Inaczej musiałyby pomyśleć o tym, co było nie do pomyślenia. Toteż skupiła się na bieżącej sprawie. Musiała skłonić Jebre, by powiedziała, gdzie jest Richard i co się z nim dzieje. W razie potrzeby skorzysta ze swego daru, tak jak postanowiła.

Rikka pobiegła korytarzem, a Zedd zastukał ponownie, tym razem głośniejsze. Jebra nie zareagowała. Obejrzał się na Nicci. Skubał mankiet rękawa swojej skromnej szaty.

- Wyczuwasz coś... dziwnego?

Nicci tak zaprzętały gorączkowe myśli i emocje, że nie zwracała uwagi na nic. W końcu byli w wieży. Wszędzie były alarmy, które powinny ich chronić przed każdą niepożądaną wizytą. Wyciszyła myśli, wyostriżyła wszystkie zmysły.

- Kiedy już o tym wspomniałeś, to rzeczywiście, wyczuwam coś... osobliwego.

- Jak niby co? - spytała Cara, chwytając Agiel w dłoń. Przez chwilę miała zaskoczona minę, a potem sobie przypomniała.

Nicci delikatnie zdjęła dłoń czarodzieja z klamki, zanim otworzył drzwi.

- Czy ktoś tam z nią jest? Może Tom albo Friedrich? Zedd spojrzał na nią chmurnie.

- O ile wiem, to nie. Tych dwóch nie ma w wieży, są na patrolu. Siedziałem przy Jebra, kiedy wyczułem, że nadchodzą. Spała. Chciałem być w pobliżu, na wypadek gdyby się obudziła i mogła powiedzieć mi coś jeszcze o swojej wizji. Zostawiłem ją i wyszedłem wam na spotkanie, mając nadzieję, że pomyliła się co do Richarda. Ann i Nathan już się położyli. Może któreś z nich tam jest.

Nicci, której wewnętrzne zmysły były teraz w pełnym pogotowiu, pokręciła głową.

- To żadne z nich. To coś innego.

Zastanawiając się nad tym, Zedd patrzył przed siebie jak ktoś, kto nasłuchuje dźwięku, lecz Nicci wiedziała, że czarodziej wcale nie nasłuchuje ostrzegawczego sygnału. Robił to samo co ona: wykorzystywał swój dar, żeby badać to, czego nie mogli zobaczyć ani usłyszeć, starał się wyczuć obecność życia. Ale to, co potrafiła spostrzec Nicci, świadczyło, że w pobliżu są tylko oni - ona, Zedd i Cara - a po tamtej stronie drzwi słabiej wyczuwalna Jebra.

Jednak było tam coś jeszcze. Jakieś dziwne odczucie. Obecność, ale odczucie było inne, niż gdyby za drzwiami ktoś się czał. Miała wszakże wrażenie, że całkiem niedawno czuła coś podobnego. Zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć.

- W całym tym sektorze umieściłem dodatkowe alarmy - powiedział Zedd.

Nicci skinęła głową.

- Wiem. Wyczułam je.

- Mowy nie ma, żeby ktoś mógł się przez nie przedostać. Wiedziałbym o tym. Kurczę, nawet mysz nie przedostałaby się przez sidła, które zastawiłem.

- Czy to mogło się stać z powodu, o którym mówił nam lord Rahl? - spytała cicho Cara. - Czyli dlatego, że coś się dzieje z magią? Może coś się stało z waszym darem i dlatego wyczuwacie to, co wyczuwacie?

Zedd zerknął na nią krzywo.

- Uważasz, że nasz dar jest... jaki? Zmącony? Mord-Sith wrzuciła ramionami.

- Nie znam się za bardzo na magii - powiedziała - ale może to to samo co z moim Agielem. Może w tym cały problem. Lord Rahl zdecydowanie twierdził, że magia została skażona. Może twoje magiczne zmysły zostały skażone w taki sam sposób. A może wyciągnęłam złe wnioski. Może to ta skaza.

Zedd prychnął, rozeźlony tym pomysłem. Uniósł rękę i oliwne lampy na stołach po obu stronach drzwi zgasły.

- No, ta część mojej mocy działa, a to znaczy, że reszta też - szepnęła. Znów położył dłoń na klamce i twardo spojrział na Nicci. - Bądź gotowa na wszystko.

- Zaczekaj - odparła czarodziejka.

Zedd obejrzał się przez ramię. Twarz była ledwie widoczna w przyćmionym świetle, ale oczy - nie. Dostrzegła w nich jakąś cząstkę oczu Richarda.

- O co chodzi? - zapytał.

Nicci złączyła palce i pospiesznie usiłowała przypomnieć sobie szczegóły. Wreszcie powiedziała, potrząsając palcem:

- Kiedy bestia zaatakowała nas podczas podróży, miałam dziwne

odczucie. Zlekceważyłam to, bo już sam pobyt w sylfie jest tak osobliwy, że trudno orzec, czy to, co się odczuwa, jest ważne, a tym bardziej czy to coś niezwykłego. Najzwyczajniejsze odczucia mogą się wydać niezwykle, a nawet cudowne. Nie wiesz, czy to po prostu kulminacja wszystkich nieznanych doznań czy coś więcej.

- Kiedy dokładnie miałaś to odczucie? - spytał Zedd, nagle ogromnie zainteresowany jej słowami. - Przez całą podróż czy w jakiejś konkretnej chwili?

- Jak już mówiłam, to było wtedy, kiedy bestia nas zaatakowała.

- Bądź konkretniej szta. Zastanów się. Wtedy, gdy bestia zaatakowała? A może wtedy, gdy pochwyciła Richarda? Albo ciebie?

Nicci ścisnęła palcami skronie, mocno zamknęła powieki i desperacko próbowała sobie wszystko dokładnie przypomnieć.

- Nie... nie, to było wtedy, kiedy zostałam oderwana od Richarda. Nie natychmiast, ale tuż po tym.

- Jaka była kolejność wydarzeń?

- Bestia zaatakowała. Walczyliśmy z nią. Staralam się wykorzystać dar, ale to nic nie dało. Bestia zadawała mi ból. Richard odciął jej nożem kilka macek. Ocalił mnie od zmiżdżenia. Potem bestia oderwała od niego Carę. A wkrótce również mnie. I właśnie wtedy, nie od razu, ale po chwili, to poczułam. Wiem, bo poczułam to, kiedy gorączkowo szukałam Richarda. - Popatrzyła na czarodzieja. - Chodzi o to, że tuż po tym, jak miałam to dziwne odczucie, nie mogłam już wyczuć bestii. Szukałam, starając się odnaleźć Richarda, ale nie mogłam. A kiedy sylfa odstawiła nas do wieży, owo odczucie szybko zbladło i zapomniałam o nim.

- Co przypominało?

- Było dokładnie takie samo jak to za drzwiami. Zedd długo się w nią wpatrywał.

- To za drzwiami jest takie samo? Rodzaj... szumiącego strumienia mocy? Nicci skinęła głową.

- Magiczne wyładowanie, które wydaje się nie mieć źródła.

- Magia często sprawia wrażenie dryfującej - odezwała się Cara. - Więc co w tym takiego dziwnego?

Zedd potrząsnął głową.

- Magia nie jest czymś, co samoistnie pływa sobie tu i tam. Magia nie ma

świadomości, lecz to tutaj w pewien sposób imituje świadomy zamiar.

- Tak - potwierdziła Nicci. - I ja tak to odczuwam. I dlatego to jest takie dziwne. Bo tego rodzaju magia nie może nie mieć źródła. To dominacja generująca charakterystyczne kontrolne pola osobowości, ale bez iskry życia potrzebnej do ich wytworzenia.

Zedd się wyprostował.

- To bardzo dobry opis tego, co wyczuwam. - Zerknął podejrzliwie na drzwi. - Uważam, że jeżeli znajdziemy się bliżej, będziemy mogli lepiej to wyczuć i domyślić się, co to jest. Jeżeli się wystarczająco zbliżymy, może będziemy mogli to przeanalizować. - Popatrzył na jedną i na drugą. - Bądźmy ostrożni, dobrze?

Stanęli tuż obok siebie w ciemnym korytarzu, a czarodziej ostrożnie nacisnął klamkę i powoli otworzył drzwi. Przy uchylonych drzwiach Nicci nie wyczuła nic więcej, niż czuła przy zamkniętych. Zedd na chwilę wsunął głowę do środka, a potem całkiem otworzył drzwi. Komnata była ciemna, jedynie mglisty blask z korytarza podświetlał kształty i cienie tego, co się w niej znajdowało.

Przy przeciwległej ścianie, po ich lewej, Nicci wyczuła puste krzesło. Przez jego oparcie przewieszono starannie złożony szal. W pobliżu drzwi, po tej samej stronie komnaty, stał niski, okrągły stolik, a na nim zgaszona lampa. Za stolikiem było puste łóżko. Zmięte prześcieradła leżały na podłodze. Nicci rozejrzała się, podobnie jak Zedd i Cara, ale nie zobaczyła Jebry. Jeżeli była w komnacie, to może nie widzieli jej przez tę ciemność. W środku dziwne odczucie było silniejsze, lecz wewnętrznej percepcji Nicci to nie pomogło.

Zedd posłał iskrę Han do lampy. Knot był mocno przykręcony, więc światło nie mogło rozproszyć gęstych cieni w kątach oraz przy szafie, po drugiej stronie komnaty. Ale i tak nie wypatrzyli Jebry.

Nicci, wygasivszy emocje i skupivszy się na percepcji kierowanej przez Han, minęła Zedda i zatrzymała się, nieruchoma i spięta, pośrodku komnaty. Za pomocą swojego daru usiłowała otworzyć się na obecność innej osobowości czającej się w mrokach - ale żadnej nie wyczuła.

Słaby wiaterek poruszył firankami. Dwuskrzydłowe drzwi na niewielki balkon, zrobione z małych szybek, były otwarte. Nicci wiedziała - jej komnata była w pobliżu - że i ten balkon wychodzi na ciemne miasto leżące

daleko w dole, u podnóża góry.

Stojąca na poręczy balkonu postać odcinała się od zalanego księżycową poświatą tła.

Za Nicci czarodziej podkręcił knot w lampce oliwnej. Światło nabrało mocy i Nicci ujrzała, że to Jebra jest na balkonie. Bosa, stała na kamiennej balustradzie plecami do komnaty.

- Drogie duchy - wyszeptała Cara - zamierza skoczyć.

Wszyscy troje stali nieruchomo, bojąc się zrobić coś, co wystraszyłoby biedaczkę i skłoniło ją do skoku, nim zdążyliby do niej dobiec. Jeszcze nie wiedziała, że tam są.

- Jebro - odezwał się cicho i łagodnie Zedd - przyszliśmy do ciebie.

Jeżeli go usłyszała, to nie okazała tego. Nicci nie sądziła, by Jebra słyszała cokolwiek prócz hipnotyzującego szeptu magii, którą ona odczuwała jako łagodne fale obcej mocy, mijające ją i płynące ku widzącej, która niczym kamienny posąg tkwiła na balustradzie balkonu. Jebra patrzyła na leżące daleko w dole Aydindril. Łagodny wiaterek wicherzył jej krótkie włosy.

Nicci wiedziała, że choć balkon wychodzi na leżącą w dole dolinę, to nie wystaje poza skraj wieży. Ale i tak Jebrze groził upadek na położone setki stóp niżej wewnętrzne podwórce, pomosty, ramparty lub łupkowe dachy wieży. Przy tej wysokości nie miało znaczenia, że nie spadłaby z góry. Na pewno zabiłaby się o któryś z kamiennych elementów wieży.

- Gwiazdy - odezwała się Jebra cichym, wysokim głosem do pustej przestrzeni przed sobą.

Zedd chwycił Nicci za ramię i przyciągnął ją do siebie. Przysunął usta do jej ucha.

- Uważam, że ktoś szuka tych samych informacji co my. Ktoś sonduje jej umysł. To właśnie wyczuwamy. To złodziej, złodziej myśli.

- Jagang - wyszeptała Cara.

Nicci zdawała sobie sprawę, że to logiczny wniosek. Więz z Richardem została zerwana, więc Jagang teoretycznie mógł coś takiego zrobić. Bez Richarda, pełniącego funkcję lorda Rahla, wszyscy, każde z nich, stali się nagle podatni na zakusy imperatora.

Na wspomnienie Jaganga władającego jej umysłem i wolą Nicci poczuła falę lodowatego strachu. Bez lorda Rahla nie istniała chroniąca ich wszystkich więź. Jeżeli imperator grasował tej nocy, z łatwością mógł

odkryć, że już nie są chronieni. Nawiedzający Sny potrafi, w dowolnym momencie i bez ostrzeżenia, niewidzialny i niewyczuwalny, wśliznąć się do ich umysłów i wdrzeć do ich myśli.

Ale Nicci znała Jaganga. Wiedziała, jak to jest, kiedy opanowuje czyjś umysł. W końcu niegdyś władał jej umysłem, kontrolował ją i kierował nią poprzez tę straszliwą obecność. To było coś innego.

- Nie - powiedziała. - To nie Jagang. To, co wyczuwam, jest inne.

- Skąd masz tę pewność? - wyszeptał Zedd.

Nicci wreszcie oderwała wzrok od Jebra i skierowała go na zachmurzonego czarodzieja.

- Bo gdyby to był Jagang - szepnęła - nic byś nie wyczuł. Nawiedzający Sny nie zostawia śladów. Nie wiadomo, czy gdzieś jest czy nie. To jest zupełnie inne.

Zedd potarł gładko wygoloną brodę.

- A przecież wydaje się znajome - mruknął do siebie.

- Gwiazdy - rzuciła ponownie Jebra w noc poza balkonem. Zedd ruszył ku otwartym dwuskrzydłowym drzwiom, ale Nicci chwyciła go za ramię i zatrzymała.

- Zaczekaj - szepnęła.

- Gwiazdy opadły na ziemię - powiedziała osobliwym tonem Jebra.

Zedd i Nicci wymienili spojrzenia.

- Gwiazdy wśród trawy - powtórzyła widząca tym samym martwym głosem.

Czarodziej zeszywniał.

- Drogie duchy. Teraz to rozpoznaję. Nicci pochyliła się ku niemu.

- Obecność?

Z wolna potaknął.

- To wiedźma posługująca się swoją mocą. Jebra rozłożyła ramiona.

- Zamierza skoczyć! - krzyknęła Nicci, kiedy widząca zaczęła opadać w noc.

Rozdział 35

Richard gwałtownie zakaszłał.

Ból przywrócił mu świadomość. Usłyszał, jak bezskutecznie usiłuje jęknąć. Miał w płucach za mało powietrza, żeby wydać jęk. Wraz ze świadomością wrócił dławiący strach przed uduszeniem, jakby się topił.

Znowu zakaszłał, krzywiąc się przy tym z bólu. Próbował krzyknąć z męki i zwinął się w kulę na ziemi, mocno przyciskając ręce do brzucha, by powstrzymać kolejny atak spazmatycznego kaszlu.

Oddychaj.

Richard uznał ten osobliwy głos, najwyraźniej dochodzący z jakichś piekielnych czeluści, za objaw szaleństwa. Robił, co tylko mógł, żeby nie oddychać. Ostrożnie, płytko, bardzo płytko wciągał powietrze, starając się zapobiec kolejnemu bolesnemu atakowi kaszlu.

Oddychaj.

Nie wiedział, gdzie jest, i właściwie nic go to nie obchodziło. Liczyło się tylko to wrażenie, że się dusi. Nie chciał oddychać, choć rozpaczliwie potrzebował powietrza. Tamto odczucie było tak przytłaczające, tak okropne, że nie tylko odbierało siły, ale i górowało nad wszystkim. Lepiej umrzeć, niż dłużej to znosić. Nie zniósłby tego dłużej.

Richard nie chciał się poruszyć, bo z każdą chwilą łatwiej było nie oddychać. Zdawało się, że gdyby jeszcze trochę dłużej powstrzymał się od oddychania, ból i cierpienie zniknęłyby za grzbietem istniejącego gdzieś przed nim ciemnego wzgórza. Starał się leżeć nieruchomo w nadziei, że świat przestanie wirować, zanim on zwymiotuje. Nawet sobie nie próbował wyobrazić, jaki ból by mu to sprawiło. Gdyby mógł tak spokojnie poleżeć odrobinę dłużej, wszystko stałoby się łatwiejsze. Gdyby mógł tak nieruchomo poleżeć trochę dłużej, wszystko by odpłynęło.

Oddychaj.

Zignorował daleki, jedwabisty głos. Wrócił myślami do okresu w przeszłości, kiedy też tak cierpiał. Działo się to, gdy Denna więziła go, skutego i bezsilnego, gdy był zdany na jej łaskę, gdy dręczyła go, aż majaczył z męki.

Ale Denna nauczyła go znosić ból. Wyobraził ją sobie, jak stoi,

obserwując go, czeka, czy on przekroczy granicę i osunie się w śmierć. Bywało wtedy, że docierał do szczytu owego odległego mrocznego wzgórza i zaczynał schodzić na drugą stronę.

Kiedy tak się działo, Denna była obok, przyciskała usta do jego ust i energicznie wdmuchiwała weń swoje życie. Nie tylko kontrolowała jego życie, ale i śmierć. Przywłaszczyła sobie wszystko. Nawet jego śmierć nie należała do niego, lecz do niej.

Przyglądała mu się teraz. Jej srebrna twarz się zbliżyła. Czekala, co on zrobi. Zastanawiał się, czy pozwoli mu umrzeć, czy też znowu przytknie usta do jego ust i...

Oddychaj.

Richard patrzył na nią ze zdumieniem. Denna wcale nie wyglądała jak srebrny posąg.

- Musisz oddychać - powiedział do niego jedwabisty głos. - Umrzesz, jeżeli tego nie zrobisz.

Richard wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w piękną twarz, łagodnie oświetloną chłodnym księżycowym blaskiem. Próbował wciągnąć do płuc trochę więcej powietrza. Mocno zamknął oczy.

- Boli - wyszeptał, zużywając na to cały płytki oddech.

- Musisz oddychać. To życie.

Życie. Richard nie wiedział, czy chce żyć. Był taki zmęczony, taki wyczerpany, śmierć tak kusila. Żadnej walki. Żadnego cierpienia. Żadnej rozpacz. Nigdy więcej samotności. Ani łez. Dręczącej tęsknoty za Kahlan.

Kahlan.

Oddychaj.

Kto jej pomoże, jeżeli on umrze?

Głębiej wciągnął powietrze, ignorując ból, z jakim wdzieralo się do płuc. Myślał nie o bólu, lecz o uśmiechu Kahlan.

Znów wciągnął powietrze. Jeszcze głębiej.

Srebrna dłoń łagodnie gładziła go po ramieniu, jakby chciała zmniejszyć udrukę walki o życie. Przyglądająca mu się twarz była smutna i pełna współczucia.

Oddychaj.

Richard skinął głową, zacisnął pięści i spazmatycznie wciągał palące lodem nocne powietrze.

Wykaszał stróżkę czerwonej cieczy i skrzepy krwi o metalicznym posmaku. Znów zaczerpnął powietrza, co dało mu siłę do wykrztuszenia większych ilości palącej płuca cieczy. Jakiś czas leżał na boku, na zmianę spazmatycznie wciągając powietrze i wypluwając ciecz.

Kiedy znów oddychał, choć nierówno, opadł na plecy, mając nadzieję, że skończy się to wirowanie. Zamknął oczy, ale to tylko wszystko pogorszyło, bo do wirowania doszło kołysanie. Żołądek się kurczył, groziły mu torsje.

Otworzył oczy i mimo ciemności wpatrzył się w liście nad sobą. Sklepienie z konarów pokrywały głównie liście klonu. Spoglądanie na liście - swoje i znajome - przynosiło ulgę. W księżycowej poświacie wypatrzył i inne gatunki drzew. Żeby oderwać myśli od bólu i mdłości, spróbował rozpoznać wszystkie drzewa, które widzi. Było tam trochę sercowatych liści lipy i - wysoko ponad nimi - konar lub dwa drzewa wyglądającego na sosnę wejmutkę. W oddali, po obu stronach, znajdowały się kępy świerków i jodeł balsamicznych oraz dębów. Ale w pobliżu rosły głównie klony. Przy każdym powiewie wiatru słyszał charakterystyczny, delikatny chrzęst liści topoli.

Richard wyraźnie czuł, że - oprócz bólu towarzyszącego kłopotom z oddychaniem - coś złego stało się w jego wnętrzu. Coś o wiele bardziej fundamentalnego, bardziej elementarnego.

Nie była to rana w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz wiedział, że coś jest bardzo nie w porządku. Starał się rozpoznać to odczucie, lecz bez skutku. To było wrażenie pustki, czczości i beznadziejnego smutku, nie mające związku z dobrze znanymi emocjami jego życia, na przykład potrzebą odnalezienia Kahlan lub świadomością tego, co zrobił, szcując d'harańskie wojska na Stary Świat. Zastanowił się, czy to aby nie łączy się z niepokojącymi sprawami, o których powiedziała mu Shota, ale nie.

Bardziej przypominało poczucie zatrwającej wewnętrznej pustki, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Dlatego tak trudno było mu to rozpoznać - było to zupełnie obce doznanie. Uświadomił sobie, że istniało coś, jakaś część jego osobowości, o której nigdy nie myślał, której nigdy nie traktował jako czegoś odrębnego, a której teraz brakowało.

Richard miał wrażenie, że już nie jest sobą.

Przypomniała mu się księga napisana przez Baraccusa, Sekrety mocy czarodzieja wojny, o której mówiła Shota, i opowieść wiedźmy o owym czarodzieju. Pomyślał, że może to jego wewnętrzny głos stara mu się

podpowiedzieć, że taka książka mogłaby mu pomóc w tej sytuacji. Musiał przyznać, że sprawa w jakiś sposób łączyła się z jego darem.

Od myśli o tej książce przeszedł do rozważań o matce, o słowach Shoty, że ona wcale nie zginęła w pożarze sama. Zedd upierał się, że przeszukał zgliszcza domu i nie znalazł żadnych innych kości. Jakże tak mogło być? Albo Zedd się mylił, albo Shota. Ale z jakiegoś powodu nie mógł uwierzyć, żeby któreś z nich było w błędzie.

Gdzieś w głębi jego umysłu kryła się odpowiedź. Ale choć bardzo się starał, nie mógł jej stamtąd wydobyć.

Richard - jak mu się to co jakiś czas zdarzało - zatęsknił za matką. Ciekaw był, co by powiedziała o tym wszystkim, co mu się przytrafiło. Nie widziała, jak dorastał, jak się stał mężczyzną. Znała go tylko jako chłopczyka.

Wiedział, że matka kochałaby Kahlan. Że cieszyłaby się z jego szczęścia i była dumna z takiej synowej jak Kahlan. Zawsze chciała, żeby mu się powiodło w życiu. A lepszego życia niż z Kahlan nie mogło być.

Ale w jego życiu nie było już Kahlan.

Żył jednak i - biorąc wszystko pod uwagę - to było wszystko, czego mógł obecnie oczekiwać. Przynajmniej mógł się starać zrealizować marzenia. Umarli nie mają marzeń.

Richard leżał na plecach, pozwalając, żeby powietrze wysyciło jego palące mięśnie, wracając do siebie, odzyskując panowanie nad sobą. Był taki słaby, że ledwie mógłby się ruszyć, więc nawet nie próbował. Leżał, odzyskiwał siły i przypominając sobie wszystko, co się wydarzyło, starał się to sobie poukładać.

Właśnie podróżował sylfą do wieży razem z Nicci i Carą, kiedy ich zaatakowano. To była bestia. Pojawiła się w zupełnie innej postaci niż kiedykolwiek przedtem, ale taka zmienność kształtów leżała w jej naturze. Jednego tylko mógł być pewien - że bestia będzie go ścigać, póki go nie uśmierci.

Pamiętał, że z nią walczył. Dotknął miejsca na nodze, które jedna z macek ścisnęła tak mocno, iż pomyślał, że wyrwie mu fragmenty mięśni. Udo było obrzmiałe i bolało przy dotyku, ale, na szczęście, nie wyczuł otwartej rany. Pamiętał, że odciął kilka macek stwora. Ze Nicci próbowała użyć swojej mocy, a on chciał, żeby przestała, bo moc jakoś rozchodziła się w sylfie i to, co było przeznaczone dla bestii, dosięgało i jego. Podejrzewał, że

gdyby nie płynne srebro sylfy, magia Nicci by go zabiła. Za to na pewno nie zrobiła krzywdy bestii - przynajmniej nie na tyle, by ją choć trochę powstrzymać. I bestię musiała sylfa do pewnego stopnia chronić.

Pamiętał, jak oderwano od niego Carę. Jak równie gwałtownie rozdzielono go z Nicci. Jak bestia próbowała go rozszarpać. I pamiętał, jak mu się zniemacka udało jej wyrwać.

Ale wtedy stało się coś, czego nie rozumiał.

Kiedy już się uwolnił od bestii, poraziło go jakieś obce, bolesne odczucie, które wdarło się aż do samego środka jego duszy. Było zupełnie inne niż ból wywołany przez moc Nicci... lub inną magię.

Magia.

Gdy już o tym pomyślał, uświadomił sobie, że ma rację. To była jakaś magia.

Choć był to efekt zaklęcia zupełnie inny od tych, które do tej pory odczuł, rozpoznał dotknięcie magii. I choć już się uwolnił od bestii - i nawet nie wiedział, gdzie w owej chwili ona jest - właśnie wtedy wszystko się nagle zmieniło.

Kiedy spazmatycznie zachłysnął się z bólu wywołanego nagłym uderzeniem obcej mocy, płynne srebro sylfy znów wypełniło mu płuca. Ten oddech wywołał szok i przerażenie.

Richard przypomniał sobie, że poczuł coś takiego, kiedy był mały. Wraz z kilkoma innymi chłopcami nurkował do dna stawu po kamyki; takie sobie urządzili zawody. Całe popołudnie pływanie i skakania z gałęzi zwieszających się nad niewielkim, ale głębokim stawem wzbilo mu z dna. Richard, nurkując po kamyki, stracił w mętnej wodzie wyczucie kierunku. Brakowało mu powietrza, kiedy uderzył głową w grubą gałąź. Zdezorientowany, uznał, że skoro uderzył w niską gałąź, to na pewno się wynurzył i trafił na jeden z konarów wiszących nisko nad stawem. Ale tak nie było. To była zatopiona gałąź. Zanim sobie uświadomił, co naprawdę zrobił, wciągnął do płuc trochę mętnej wody.

Był blisko powierzchni, blisko brzegu, blisko przyjaciół. To było okropne przeżycie, ale szybko minęło i raz-dwa wrócił do siebie, zapamiętując, że z wodą trzeba bardziej uważać.

Owo wspomnienie z dzieciństwa i naturalna niechęć do wdychania wody jeszcze bardziej utrudniły za pierwszym razem oddychanie w sylfie. Ale

przewycięzył lęk i okazało się, że to upajające doznanie.

Jednak kiedy nagle poczuł, że się topi w sylfie, w pobliżu nie było żadnej powierzchni, żadnego brzegu, żadnej pomocy. Coś takiego nigdy wcześniej się w sylfie nie zdarzyło. Nie miał jak uciec, jak się wynurzyć i nie było nikogo, kto by mu pomógł.

Richard rozejrzał się w księżycowej poświacie. Sylfa tkwiła blisko, przyglądała mu się. Uświadomił sobie, że nie jest w studni, gdzie ją zawsze wcześniej widywał. Byli na ziemi, w jakimś skąpo zalesionym miejscu. Słyszał tylko i wyłącznie odgłosy natury. Czuł jedynie zapachy lasu.

Pod liśćmi, igliwiami, leśnymi szczątkami i korzeniami Richard wyczuwał chropowatą kamienną podłogę. Spoiny były szerokie, szersze niż na palec. Nie były to wąskie złącza, jak w pieczołowicie zbudowanym pałacu, lecz na pewno były dziełem ludzkich rąk.

A srebrna twarz sylfy, zamiast wyglądać ze studni, unosiła się z niewielkiego, nieregularnego otworu w kamiennej posadzce, najwyraźniej bardzo starej. Odłamki tej posadzki leżały teraz na zeschniętych liściach i szczątkach gałęzi, jakby je coś wysadziło od spodu - jakby sylfa przebiła się przez posadzkę.

Richard usiadł.

- Nic ci nie jest, sylfo?

- Nic, panie.

- Wiesz, co się stało? Miałem wrażenie, że tonę.

- Bo tak było.

Chłopak wpatrywał się w oświetloną księżycem twarz.

- Ale jak to możliwe? Co się stało?

Spod ziemi wynurzyło się srebrne ramię, srebrne palce musnęły mu czoło, badając go.

- Nie masz niezbędnej do podróżowania magii. Richard zamrugnął, oszołomiony.

- Nie rozumiem. Już wiele razy podróżowałem.

- Przedtem miałeś to, co niezbędne.

- A teraz nie mam?

Sylfa chwilę mu się przyglądała.

- Teraz nie masz - potwierdziła. Richardowi zdawało się, że ma przywidzenia.

- Ale przecież mam dar obu magii. Mogę podróżować.

Sylfa ostrożnie wyciągnęła rękę i znów dotknęła jego twarzy. Potem przesunęła dłoń na pierś i leciutko ucisnęła. W końcu ramię schowało się w ciemnej wyrwie w kamiennej posadzce.

- Nie masz niezbędnej magii.

- Już to mówiłaś. To bez sensu. Przecież już podróżowałem.

- I w trakcie podróży utraciłeś to, co niezbędne. Chłopak szeroko otworzył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że utraciłem dar jednej magii?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nie masz daru. W ogóle nie masz daru. Nie możesz podróżować.

Musiał to sobie powtórzyć w pamięci, żeby się upewnić, że dobrze usłyszał. Nie rozumiał, jak mógł nie pojąć tego, co sylfa powiedziała. Gorączkowo trawił fragmenty splątanych myśli, usiłując pojąć, jak do tego mogło dojść.

Coś mu przyszło do głowy. Czy to możliwe, iż spowodowała to skaza uczyniona przez demony? Czy owa skaza wreszcie dopadła również jego i pozbawiła go daru? Niszczyła dar podstępnie, a on o tym nie wiedział, aż wreszcie dar zniknął?

Ale to nie wyjaśniało tego, co poczuł w sylfie, kiedy tylko wyrwał się bestii, a tuż przed tym, jak zaczął się topić - nagłego wrażenia, że pojawia się jakaś mroczna, podstępna magia i dosięga go, kiedy jest najbardziej bezbronny.

Richard rozejrzał się, ale zobaczył tylko drzewa. Rosły na tyle gęsto, że w księżycowej poświacie nie mógł dostrzec niczego poza ich granicą. Był przewodnikiem, toteż nie znosił uczucia, że nie wie, gdzie jest.

- Gdzie jesteśmy? Jak się tu dostaliśmy?

- Kiedy to się stało, kiedy utraciłeś to, co niezbędne do podróżowania, musiałam cię tutaj przynieść.

- A gdzie jest to „tutaj”?

- Przykro mi, ale nie wiem, gdzie to dokładnie jest.

- Jak mogłaś mnie tutaj przynieść i nie wiedzieć, gdzie jesteśmy? Zawsze wiesz, gdzie jesteś, i znasz miejsca, do których możesz podróżować.

- Już ci mówiłam, że nigdy tu nie byłam. To awaryjne przejście. Wiedziałam o nim, oczywiście, ale nigdy tu nie byłam. Nigdy nie zdarzył się

we mnie wypadek. Ta okropna bestia sprawiła mi ból. Staralam się utrzymać was wszystkich przy życiu. I wtedy wtargnęło we mnie coś jeszcze. Podobnie jak bestia, wniknęło bez mojej zgody. Zadało mi gwałt.

To potwierdziło znany Richardowi przebieg zdarzeń, wrażenie, że tuż po tym, jak się wyrwał bestii, pojawiło się coś innego, jakaś moc, która go poraziła.

- Przykro mi, że cierpiełaś, sylfo. Co się stało z bestią?

- Kiedy ta druga moc we mnie wniknęła, bestia się zapodziała.

- Chcesz powiedzieć, że ta moc ją zniszczyła?

- Nie. Moc nie dotknęła bestii. Uderzyła tylko w ciebie, z całą gwałtownością. A potem już nie miałeś tego, co niezbędne do podróżowania. Kiedy to się stało, bestia gwałtownie czegoś we mnie przez krótki czas szukała i wreszcie zniknęła. Nie mogłam dłużej cię w sobie zatrzymać, więc musiałam znaleźć najbliższe wyjście awaryjne.

- A co z Nicci i Carą? Są ranne? Są bezpieczne?

- I one ucierpiały przez to, co mnie spotkało, a jedna z nich próbowała użyć we mnie swojej mocy, czego robić nie wolno. Kiedy cię już tu przyniosłam, zabrałam je do wieży, dokąd chciały podróżować. Powiedziałam tej, która chciała użyć mocy, że to był niebezpieczny postępek i że nie wolno jej tego robić.

- Chyba rozumiem - odezwał się Richard. - Mnie też sprawiło to ból. Bardzo ucierpiały?

- Są bezpieczne w wieży.

- Więc musimy się znajdować gdzieś pomiędzy Pałacem Ludu a wieżą - rzekł właściwie do siebie chłopak.

- Nie.

Popatrzył na srebrzystą twarz.

- Nie rozumiem. Udawaliśmy się z pałacu do wieży. Skoro mnie tu wypuściłaś, to miejsce, to awaryjne wyjście, powinno się znajdować między pałacem a wieżą.

- Choć nie znam tego miejsca, wiem, gdzie się znajduje. Jesteśmy trochę dalej niż w połowie Midlandów od wieży, za kotliną Agaden, prawie w Dziczy.

Richard miał wrażenie, że świat się przesunął i przeniósł go daleko od miejsca, w którym był.

- Ale... ale to dużo dalej od Pałacu Ludu niż wieża. Dlaczego nie zabrałaś mnie do najbliższego miejsca, do wieży?

- Ja nie działałam w taki sposób. To, co tobie może się wydawać najkrótszą odległością między dwoma miejscami, dla mnie nią nie jest. Jestem równocześnie w wielu miejscach.

Chłopak pochylił się ku sylfie.

- Jak możesz być w wielu miejscach równocześnie?

- Masz jedną stopę na ciemnym kamieniu, a drugą na jaśniejszym. Jesteś równocześnie w dwóch miejscach.

Richard westchnął.

- Chyba rozumiem.

- Mój sposób podróżowania różni się od twojego. To miejsce, choć dla ciebie w połowie Midlandów, dla mnie było najbliższe. Musiałam natychmiast wydobyć cię na twój świat, żebyś mógł oddychać. Już nie miałeś tego, co niezbędne do podróżowania. Twoje płuca były wypełnione mną. A dla tych, którzy nie mają daru, oddychanie mną jest trujące. Zabija ich. Ale dla ciebie, skoro już we mnie byłeś i mną oddychałeś, istniał krótki okres przejściowy i dlatego moja obecność w płucach nie była od razu śmiertelna. Wkrótce byś umarł, ale nie natychmiast. Wiedziałam, że czas dzielący cię od śmierci nie jest długi. Postarałam się zrobić, co w mojej mocy, żeby cię ocalić, zanieść cię w miejsce, gdzie wróciłbyś do swojego świata i odzyskał siły. Zabrałam cię tutaj, złamałam pieczęć i ponownie wyniosłam na twój świat. Byłeś zraniony, ale wiedziałam, że tkwiące w twoim wnętrzu elementy mojej istoty przez jakiś czas podtrzymają w tobie życie.

- Dlaczego tak postanowiłaś, skoro już nie mogłem podróżować, bo nie miałem daru?

- Stworzono mnie tak, bym mogła pomóc w nagłych wypadkach. Te właściwości są we mnie, a więc były i w tobie. Pomogły zapoczątkować proces zdrowienia. Miały się ujawnić wyłącznie w nagłych wypadkach i ostrzeżono mnie, że i tak nie wiadomo, czy zadziałają, bo są zmienne, których nie można kontrolować. Kiedy spałeś pomiędzy światami, a moja magia, która nadal w tobie była, starała się usunąć to, co stało się dla ciebie trucizną, dostarczyłam je obie do wieży. Wróciwszy, czekałam przy tobie, aż na tyle wyzdrowiejesz, byś mógł znowu oddychać, a wtedy pomogłam ci sobie przypomnieć, co powinieneś robić, by żyć. Przez jakiś czas nie

wiedziała, czy to się uda. Nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkała. Okropnie było czekać i patrzeć, jak tu leżysz, nie wiedząc, czy w ogóle będziesz mógł znów oddychać. Bałam się, że cię zawiodłam, że stanę się przyczyną twojej śmierci.

Richard długą chwilę wpatrywał się w srebrną twarz. Na koniec uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję, sylfo. Uratowałaś mi życie. Zrobiłaś, co trzeba. Postąpiłaś właściwie.

- Jesteś moim panem. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

- Dla mnie jest to równie zadziwiające jak dla ciebie. - Chłopak usiłował to przemyśleć, zrozumieć, ale oddychanie po tym, jak niemal utonął w sylfie, nadal sprawiało mu ból, więc miał kłopoty ze skupieniem się. Wsparł ręce o kolana. - Nie sądzę, żebyś mogła odnieść mnie do wieży.

- Ależ mogłabym, panie. Jeżeli chcesz podróżować, to cię zabiorę.

Aż się wyprostował.

- Mogłabyś? Kiedy?

- Musisz tylko odzyskać niezbędną magię, a wtedy znów będę mogła cię zabrać. Wtedy będziemy podróżować. Będziesz zadowolony.

Odzyskać niezbędną magię. Nawet nie wiedział, jak się posługiwać magią, którą ma... którą niegdyś miał. Nie miał pojęcia, co się stało z jego darem, i zupełnie nie wiedział, jak go odzyskać. Wiele razy pragnął się go pozbyć, ale teraz, gdy to się wreszcie stało, potrafił myśleć jedynie o tym, jak go odzyskać.

Kiedy dar zniknął, bestia najwyraźniej zgubiła go w sylfie. Pocięchą po utracie daru było to, że teraz będzie miał o jeden problem mniej - nie będzie się musiał przejmować bestią, bo przecież była sprzęgnięta z nim poprzez dar, w ten sposób go wyczuwała i ścigała. W magii musiała istnieć równowaga, może więc to było przeciwwagą dla utraty daru.

Richard przeczesał włosy palcami.

- Przynajmniej Nicci i Cara wyszły z tego cało i są bezpieczne. - Popatrzył na sylfę. - Jesteś pewna, że nic im nie jest?

- Tak, panie. Są bezpieczne. Zabrałam je do wieży, dokąd chciały podróżować. Miały to, co niezbędne do podróżowania.

- I powiedziałaś im, gdzie jestem. Powiedziałaś im, co się stało. Sylfa wydawała się zdumiona tym, co bardziej brzmiało jak stwierdzenie niż

pytanie.

- Nie, panie. Nigdy bym nie ujawniła tego, co robię z innymi.

- No, wspaniale - mruknął, starając się, żeby tonem nie zdradzić irytacji.

- Ale mnie powiedziałaś o innych.

- Jesteś moim panem. Robię z tobą to, czego nie zrobiłabym z nikim innym.

- Sylfo, to są moje przyjaciółki. Na pewno ogromnie się o mnie martwią.

Musisz im powiedzieć to, co powinny wiedzieć.

Srebrna głowa skłoniła się ku niemu.

- Panie, nie mogę cię zdradzić. Nie zrobiłabym tego.

- To nie zdrada. Powiadam ci, że spokojnie możesz im powiedzieć, co się stało.

Mina sylfy świadczyła, że to najdziwniejsza prośba, jaką usłyszała.

- Panie, chcesz, żebym powiedziała innym o nas, o tym, co robimy, kiedy jesteśmy razem?

- Spróbuj zrozumieć, sylfo. Nie jesteś już kurtyzaną.

- Ale ludzie wykorzystują mnie dla przyjemności.

- To nie to samo. - Richard przecesał włosy palcami, usiłując usunąć z głosu gniew. - Posłuchaj, czarodzieje z pradawnych czasów zmienili cię w sylfę z tego, kim i czym byłaś.

Sylfa z powagą skinęła głową.

- Wiem, panie. Pamiętam. W końcu to właśnie mnie to spotkało.

- Teraz jesteś inna. To nie to samo. Nie możesz utożsamiać tych dwóch spraw. Są inne.

- Powierzono mi obowiązek służenia innym w tej nowej postaci. Moja natura nadal we mnie jest.

- Ale niektórzy z tych, co z ciebie korzystają, bardzo cenią twoją pomoc.

- Zawsze ceniono mnie za to, co robię.

- To się różni od tego, co robiłaś przedtem. - Richard wolałby uniknąć tej sprzeczki; miał ważniejsze powody do zmartwień. - Sylfo, kiedy z nami podróżujesz, często pomagasz ratować życie innych. Kiedy podróżowałaś z nami do Pałacu Ludu, pomagałaś mi zakończyć wojnę. Spełniasz dobre uczynki.

- Skoro tak mówisz, panie. Ale musisz zrozumieć, że ci, którzy mnie stworzyli, uczynili mnie taką, jaka jestem. Wykorzystali to, czym niegdyś

byłam, do stworzenia mnie taką, jaka teraz jestem. Nie mogę być inna, niż jestem. I tak samo nie mogę pragnąć być inna, jak ty nie możesz teraz podróżować tylko dlatego, że tego chcesz.

Richard westchnął.

- Myślę, że nie. - Łamał dłonią suche gałązki, rozmyślając o tym wszystkim. Wymienił długie spojrzenie z obserwującą go piękną twarzą, która chłoneła każde jego słowo. - Zdarza się, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zaufać innym - rzekł w końcu cicho. - To jedna z takich chwil.

Jego słowa najwyraźniej podziały. Piękna srebrna twarz znalazła się odrobinę bliżej.

- Jesteś nim - wyszeptała sylfa.

- Nim? Kim?

- Tym, którego nadejście zapowiedział mi Baraccus.

Richardowi zjeżyły się włoski na karku.

- Znałaś Baraccusa?

- Był niegdyś moim panem, jak teraz ty.

- No oczywiście - wyszeptał do siebie chłopak. - Był Pierwszym Czarodziejem.

- To właśnie on nalegał, żebym miała te składowe dla nagłych wypadków. I on nakazał, żeby powstało to awaryjne wyjście. Gdyby o to nie zadbał, umarłbyś. Był bardzo mądry.

- Bardzo mądry - potwierdził Richard, wpatrując się w sylfę szeroko otwartymi oczami. - Mówiłaś, że Baraccus coś ci powiedział o tym, który nadejdzie?

Sylfa skinęła głową.

- Był dla mnie miły. Jego żona mnie nie znosiła, ale Baraccus był dla mnie miły.

- Znałaś jego żonę?

- Magdę.

- Dlaczego miałyby cię nie znosić?

- Ponieważ Baraccus był dla mnie miły. I ponieważ go od niej zabierałam.

- Chcesz powiedzieć, że zabierałaś go, kiedy życzył sobie podróżować.

- Oczywiście. A kiedy mówiłam mu, że będzie zadowolony, ona splatała ramiona i gniewnie na mnie patrzyła.

Richard uśmiechnął się leciutko.

- Była zazdrosna.

- Kochała go i nie chciała, żeby ją opuszczał. Gdy wracałam z nim po podróży, często tam była i czekała na niego. Zawsze się uśmiechał, widząc ją, a ona odwzajemniała uśmiech.

- A co Baraccus powiedział ci o mnie?

- Powiedział to samo, co ty przed chwilą: że zdarza się, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zaufać innym. Tak powiedział i ty też tak powiedziałaś. Oznajmił, że pewnego dnia inny pan powie dokładnie te same słowa, a potem doda dokładnie to samo, co ty dodałaś: „To jedna z takich chwil”. Powiedział mi, że jeśli pan wypowie kiedyś te słowa, będzie to oznaczało, że jest tym właściwym i że mam mu przekazać pewne informacje.

Richard czuł, jak jeżą mu się włoski na ramionach.

- Zabrałaś dokądś Magdę Searus, prawda?

- Tak, panie. A potem już nigdy nie widziałam Baraccusa. Ale wcześniej, kiedy mówił mi, że pewnego dnia ktoś wypowie te słowa, nakazał, żebym mu przekazała wieść od niego.

- Zostawił wiadomość? - Gdy potaknęła, skinął dłonią. - Więc jak ona brzmi?

- „Przykro mi. Nie znam odpowiedzi, które by cię ocaliły. Gdy- bym znał, to uwierz, proszę, z chęcią bym ci je przekazał. Ale wiem, że jest w tobie dobro. Wierzę w ciebie. Wiem, że masz w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć. Będą chwile, że w siebie zwątpisz. Nie poddawaj się. Przypomnij sobie wtedy, że w ciebie wierzę, że wiem, iż potrafisz dokonać tego, co dokonać musisz. Jesteś wyjątkową osobą. Wierz w siebie. Wiedz, że ja wierzę, iż jesteś tym, kto może tego dokonać”.

Richard siedział nieruchomo. Wciąż słyszał te słowa. Były dziwnie znajome.

- Słyszałem już niemal te same słowa.

Sylfa przysunęła się jeszcze bliżej, jej twarz wyrażała napięcie.

- Słyszałeś?

Chłopak skoncentrował się. Powtarzał sobie te słowa, starając się sobie przypomnieć...

I przypominał. To było zaraz po tym, jak Shota powiedziała mu o Baraccusie. Na moment przed odejściem powiedziała do niego dokładnie to samo. W słowach Shoty było coś, co przywołało jakieś niejasne

wspomnienia.

- To była Shota, wiedźma - rzekł Richard, przypominając sobie. - To ona je powiedziała.

Sylfa się cofnęła.

- Przykro mi, panie. Nie przeszedłeś próby. Spojrzał na nią.

- Jakiej próby?

- Tej, której właśnie poddał cię Baraccus. Przykro mi, ale nie przeszedłeś tej próby. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. - I bez jednego słowa zniknęła niespodziewanie w czarnej dziurze w kamieniu.

Richard padł na brzuch, zagładając w otwór.

- Nie! Zaczekaj! Nie odchódź!

Jego głos poniósł się echem w pustym czarnym szybie. Sylfa zniknęła. A bez daru nie mógł jej znowu przywołać.

Rozdział 34

Nicci usłyszała ciche stukanie do drzwi. Zedd podniósł wzrok, ale nie wstał. Cara, z dłońmi splecionymi na plecach, zapatrzona za okno, obejrzała się przez ramię. Nicci stała najbliżej drzwi, więc otworzyła. Niewielki płomyk tkwiącej na stole lampki był za słaby, żeby rozproszyć panujący w komnacie mrok, lecz rzucił odrobinę ciepłego blasku na twarz wysokiego Proroka.

- Co się dzieje? - zapytał swoim niskim głosem Nathan i popatrzył podejrzliwie na wszystkich. - Rikka nie chciała nic powiedzieć prócz tego, że wróciłyście z Carą i że Zedd chce się ze mną natychmiast zobaczyć.

- To prawda - odezwał się Zedd. - Wejdz, proszę.

Nathan wmaszerował, rozglądając się po ciemnej komnacie.

- Gdzie jest Richard? Nicci przełknęła ślinę.

- Nie wrócił z nami...

- Nie wrócił? - Prorok przystanął, widząc ponurą minę czarodziejki. -
Dobre duchy...

Zedd, siedzący przy łóżku Jebry, nie podniósł wzroku. Jebra była nieprzytomna. Kiedy starali się zamknąć jej oczy, powieki znów się rozchyłyły. Wreszcie przestali próbować i pozwolili jej wpatrywać się w sufit.

Zedd już się zatroszczył, najlepiej jak potrafił, ojej złamaną nogę. Jebra miała szczęście, że Cara była nie tylko szybka, ale i silna i że zdążyła złapać ją za kostkę na moment przed tym, jak poleciała za balkon. Ale i tak siła bezwładu rzuciła widzącą w dół i pod balkon. Wtedy to trafiła nogą w spornik i złamała ją sobie. Nicci sądziła, że Jebra była już nieprzytomna, kiedy zaczęła spadać.

To było paskudne złamanie. Zedd natychmiast zajął się nogą, ale z powodu stanu Jebry nie mógł wiele zrobić. Zdołał jedynie nastawić kości, ująć nogę w łubki i zapoczątkować zrastanie. Kiedy widząca się wreszcie ocknie, będzie mógł dokończyć uzdrawianie. O ile się ocknie. Nicci miała co do tego wątpliwości.

Czarodziejka wiedziała, że złamana noga to najmniejszy problem Jebry. Choć próbowali wszystkiego, nie byli w stanie wyrwać jej z katatonii. Zedd próbował. I ona sama też. Wypróbowała nawet niebezpieczne zaklęcia z

magią subtraktywną. Zedd początkowo się temu sprzeciwiał, ale kiedy wykazała mu, że nie mają wyboru, niechętnie się zgodził.

Niestety, nawet to nic nie dało. Umysł Jebry był przed nimi zamknięty. Nie mogli przełamać zaklęcia, które rzuciła na nią wiedźma. Nicci sądziła, że miało być nieodwracalne. Gdyby coś o nim wiedzieli, może mieliby szansę złamać urok, lecz nie mieli pojęcia o jego istocie.

Nathan pochylił się i przyłożył dwa palce do skroni nieprzytomnej kobiety. Wyprostował się i bezsilnie pokręcił głową w odpowiedzi na pytającą minę Zedda.

Nieci nigdy się z czymś takim nie spotkała. Za to Zedd na początku pocierał brodę, rozmyślając. Mruczał, że jest w tym coś dziwnie znajomego. Ale nie potrafił powiedzieć co. Mimo nalegań Nicci i własnych wysiłków nie był w stanie sprecyzować, dlaczego mu się wydaje, że już się kiedyś spotkał z podobnym zaklęciem.

W końcu jest, przypomniał im, Pierwszym Czarodziejem i spędził sporą część życia na studiowaniu takich spraw. Uważał, że powinien rozpoznać sieć uplecioną wokół Jebry. Nieci wiedziała, że gdyby biedaczka była przytomna, ogromnie ułatwiłoby to zadanie, ale Zedd nie szukał wymówek, by usprawiedliwić niepowodzenie w rozpoznaniu rzuconego zaklęcia.

Nicci usłyszała jakiś hałas w korytarzu. Nathan tam wyrżał.

- O co chodzi? - zawołał ktoś z daleka. To była Ann, która eskortowana przez Rikkę, spieszyła korytarzem. - Co się dzieje?

Kiedy weszła do komnaty, z trudem chwytając oddech, Nathan położył jej na ramieniu wielką dłoń.

- Coś się stało Richardowi.

Z luźnego koczka na karku sterczały pasma siwych włosów, niczym nastroszone pióra. Powiodła spojrzeniem po obecnych, szacując, na ile każde z nich się tym przejęło. To była szybka, efektywna ocena, zdaniem Nicci charakterystyczna dla Ann. Jako Ksieni Sióstr Światła zawsze była władczą i majestatyczną i potrafiła w każdym wzbudzić lęk: od wysoko postawionych Sióstr po chłopców stajennych. I chociaż Nicci już nie była Siostrą Światła, miała się na baczności, ilekroć była Ksieni wchodziła do komnaty. Niski wzrost ani trochę nie osłabiał otaczającej Ann groźnej aury.

Ann spojrzała przenikliwie na Nathana.

- Co się stało? Czy chłopak jest ranny... ?

- Jeszcze nie wiem - odezwał się Prorok, ruchem ręki powstrzymując lawinę pytań, zanim na niego spadła. - Pozwól niewieście wyjaśnić.

- Jedno wiemy na pewno - powiedziała Nicci, kiedy Ann skierowała na nią pałające gniewem spojrzenie. Gdy wracaliśmy w sylfie z Pałacu Ludu, zaatakowała nas bestia. Staraliśmy się z Carą pomóc Richardowi w walce z nią, ale potem zostaliśmy rozdzieleni. Kiedy tylko to się stało, wyczułam jakąś pochodzącą z zewnątrz magię. Potem Cara i ja znalazłyśmy się z powrotem w wieży. Richarda z nami nie było. Nie mamy pojęcia, co się z nim stało, kiedy dotknęła go ta dziwna moc, którą wyczułam. I nie zobaczyłyśmy już bestii. Po naszym powrocie na Jebre rzucono urok i rozpoznałam, że zrobiła to ta sama osoba, która dotknęła swoją mocą Richarda w sylfie. Ponieważ Zedd rozpoznał charakterystyczną strukturę, wiemy teraz, że w obu przypadkach była to moc wiedźmy.

- I mój Agiel nie działa - wtrąciła Cara, unosząc oręż. - Pękła nasza więź z lordem Rahlem. Już nie wyczuwamy jego obecności.

- Drogi Stwórco - szepnęła Ann, opuszczając wzrok. Zedd wskazał leżącą na łóżku kobietę.

- Moc tej wiedźmy pozbawiła Jebre przytomności. Nie możemy jej wybudzić. Chociaż wiem, że sprawiło to zaklęcie wiedźmy, nie mogę pojąć, jak wiedźma zdołała rzucić z daleka taki urok. Według mojej wiedzy one nie tylko trzymają się na uboczu, ale i nie są w stanie robić takich rzeczy. To przekracza ich możliwości.

- Jesteś pewien, że to była wiedźma? - spytała Ann.

Zedd głęboko zaczerpnął powietrza i poważnie zastanowił się nad pytaniem.

- Miałem już do czynienia z wiedźmą. Gdy kot wbije w ciebie pazurki, to szybko tego nie zapomnisz. Nie wiem, kto to uczynił, lecz rozpoznałem to uczucie. To na pewno wiedźma.

Nicci skrzyżowała ramiona na piersi.

- Chyba możemy stwierdzić, która to wiedźma. To Six. I nie zapominaj, że choć rozpoznałeś „podpis” wiedźmy, wcale nie oznacza to, iż znasz możliwości osoby, która rzuciła czar. W końcu jeżeli ktoś rozpozna, iż masz moc czarodzieja, wcale nie oznacza to, że poznał twoje możliwości i uzdolnienia.

- To prawda - przyznał z westchnieniem Zedd. Nathan gestem zakończył

temat więdzm.

- Czy Jebra powiedziała jeszcze coś o swojej wizji? Cokolwiek?

Zedd i Nicci spojrzeli na siebie.

- Dopiero wtedy, gdy spadło na nią to zakłęcie. Nim się znalazła w tym stanie, powiedziała: „Gwiazdy. Gwiazdy opadły na ziemię. Gwiazdy wśród trawy”.

- Gwiazdy... - powtórzył Nathan. Chodził po komnatce, podpierając łokieć dłonią i stukając czubkami palców drugiej w brodę. W końcu spojrzął na Zedda. - Przykro mi, ale nie widzę znaczenia takiego proroctwa. Bardzo możliwe, że wypowiedziała tylko fragment. W takim wypadku za mało tego jest, żebym mógł to rozwinąć.

W Nicci zamarło serce. Miała nadzieję, że Prorok zdoła rozszyfrować przepowiednię widzącej.

Ann drapała się w nos, szukając słów.

- Czyli jest możliwe, że... że... - odkaszlnęła - że straciliśmy Richarda. Że ta wiedźma go zabiła.

Cara bojowo postąpiła ku niej.

- Lord Rahl nie umarł!

W dzwoniącej ciszy Zedd wstał z krzesła. Ostrzegawczo spojrzął na Carę, a potem rzekł do Ann:

- Ja też nie sądzę, by tak było.

Ann przeniosła wzrok z groźnej miny Cary na Zedda.

- Wiem, dlaczego ona w to nie wierzy. Ale ty? Wskazał na Jembrę.

- Z powodu kobiety leżącej na tym łóżku. Ann się nachmurzyła.

- Co masz na myśli?

- Pierwsza od lat wizja Jembry dotyczyła Richarda.

- Właśnie - wtrąciła Nicci. - Miała wizję o tym, co go spotka. Powiedziała do mnie, konkretnie do mnie, żebym go nie zostawiała samego nawet na chwilę.

Była Ksieni uniosła brew.

- A jednak to zrobiłaś. Nicci zignorowała zniewagę.

- Tak. Nie z rozmysłu, lecz przez bestię. Bestia była nieprzewidywalnym czynnikiem, przypadkowym zdarzeniem.

Ann była skonsternowana, więc Zedd wyjaśnił:

- Uważamy, że wiedźma zamierzała dotknąć Richarda swoją mocą. Ale

bestia wmieszała się w nieodpowiednim momencie i zepsuła cały misterny plan.

Ann bardziej się nachmurzyła.

- No i?

- Przez bestię nie trafiła Richarda tak, jak zamierzała - odezwała się Nicci. - Przez bestię zgubiła Richarda w sylfie, tak samo jak my. I teraz ma problem. Musi go odnaleźć.

- Toteż zrobiła to samo co my - dodał Zedd. - Zjawiała się tutaj, a przynajmniej przysłała swoją moc, żeby wydobyć z widzającej, gdzie on będzie.

- Szukała proroctwa? - zapytała Ann. - Wiedzmy widzą zdarzenia w strumieniu czasu. Po co jej widząca?

Zedd rozłożył ręce.

- Tak, widzą zdarzenia, lecz co Nathan na pewno wyjaśni lepiej ode mnie, nie mogą zobaczyć dokładnie tego, co chcą zobaczyć, kiedy chcą to zobaczyć.

Nathan kiwał głową.

- Proroctwo ma w sobie coś przypadkowego. Przychodzi, kiedy chce, a nie wtedy, kiedy ty sobie tego życzysz. Może dawni czarodzieje potrafili korzystać z proroctw, kiedy chcieli, ale jeżeli tak było, to nie przekazali tej wiedzy potomnym. Rzadko możesz wybrać przy proroctwie, które wydarzenia chcesz zobaczyć.

Zedd uniósł palec, podkreślając swoje zdanie.

- Six zapewne dowiedziała się, albo dzięki swoim zdolnościom, albo zaklęciom wiążącym się z wydarzeniami, że Jebra miała wizję, która ujawniła, co się przydarzy Richardowi i gdzie on potem będzie. Zatem po prostu wdarła się do jej umysłu i skradła tę informację.

- Uważam, że właśnie dlatego nie możemy dobrać Jebra - wtrąciła Nicci. - Nie wydaje mi się, żeby Six chciała, by jeszcze ktoś uzyskał informację, którą ona już posiadała. Jebra wypowiedziała ledwie kilka słów, ale założyłabym się, że wiedźma wydobyła z niej wszystko, całą wizję. Sądzę, że dlatego Six zmusiła ją potem do skoku z balkonu. Chciała, żeby Jebra się zabiła i nie mogła już nikomu opowiedzieć o swojej wizji. Gdy to się nie udało, zaklęcie pozbawiło Jebra świadomości. To zupełnie Six wystarczy, a jest o wiele łatwiejsze niż zabicie z tak daleka.

Nathan zmarszczył czoło. Poruszał dłonią, jakby manipulował tymi wydarzeniami w wyobraźni, rozmyślając o nich.

- Czyli uważasz, że Jebra w swej przepowiedni ujawniła, że Richard znajdzie gwiazdy, które spadły na ziemię? Że będzie tam, gdzie gwiazdy są wśród trawy? W miejscu podobnym do tego, w którym się znajduje meteoryty?

Zedd splótł dłonie za plecami i przytaknął.

- Na to wygląda.

Nathan zapatrzył się przed siebie. Zastanawiał się, od czasu do czasu kiwając głową.

Ann nie wyglądała na przekonaną.

- A więc uważasz, że Richard żyje - spytała - i że ta Six rzuciła na niego urok?

Nicci zdecydowanym skinieniem głowy odpowiedziała na pytanie byłej Ksieni.

- Do takiego wniosku doszliśmy z Zeddem - dodała. Ann nachyliła się ku dawnej podwładnej.

- W jakim celu? Potrafię sobie wyobrazić, dlaczego Six chciałyby zamordować Richarda, ale po co chciałyby go dostać w swoje ręce?

Nicci nie wystraszyło uporczywe spojrzenie byłej Ksieni.

- Six naruszyła prawa żyjącej tu wiedźmy, Shoty. Dlaczego? Co Six zabrała? Kompaniona Shoty, Samuela - odpowiedziała na własne pytanie. - A Samuel ma Miecz Prawdy, który niegdyś do niego należał.

Ann wyraźnie się w tym wszystkim pogubiła.

- A co to ma wspólnego z tą historią?

- Do czego Samuel wykorzystał miecz? Co ukradł? - zapytała Nicci.

Oczy Ann zrobiły się wielkie.

- Jedną ze szkatuł Ordenu.

- Siostrze Mroku - dodała Nicci. - Za pomocą Miecza Prawdy.

Ann, wytrącona z równowagi, spojrzała na Zedda.

- Ale do czego ta Six potrzebuje Richarda?

Czarodziej wbił wzrok w podłogę i masował palcami zmarszczone czoło.

- Żeby otworzyć właściwą szkatułę Ordenu, trzeba mieć bardzo ważną księgę. Sądzę, że właśnie wy dwoje powinniście się orientować, o jaki wolumin chodzi.

Nathana nagle olśniło i aż szczęka mu opadła.

- Księga Opisania Mroków - wyszeptała Ann. Zedd skinął głową.

- Jedyne egzemplarze tej książki istnieją w pamięci Richarda. Spalił oryginał, kiedy nauczył się tekstu na pamięć.

- Musimy odnaleźć go pierwsi - stwierdziła Ann.

Zedd chrząknął drwiąco i uniósł brwi z kpiącym zadziwieniem, jakby sam nigdy na to nie wpadł bez jej pomocy.

- Mamy bardziej palący problem - odezwała się Nicci. Stojąca po przeciwnej stronie komnaty Cara pomachała Agielem.

- Dopóki nie odnajdziemy lorda Rahla, nie będzie więzi.

- A bez więzi - uzupełniła Nicci - jesteśmy zdani na łaskę Nawiedzającego Sny.

Nagle zrozumienie poraziło Ann niczym piorun.

- Trzeba natychmiast coś zrobić - dodał Zedd. - Zagrożenie jest poważne, a czasu mamy niewiele. Jeżeli nic nie zrobimy, w każdej chwili możemy przegrać tę wojnę.

- Do czego zmierzasz? - spytał podejrzliwie Nathan. Zorander popatrzył na nachmurzonego Proroka.

- Chcemy, żebyś został lordem Rahlem. Nie możemy pozwolić, by nasi ludzie choć chwilę dłużej byli pozbawieni więzi. A potem powinniśmy natychmiast wyruszyć do Pałacu Ludu.

Nathan stał milczący i posepny. Był wysoki, miał szerokie bary. Siwe włosy sięgały mu do ramion. Wyglądał władczo i majestatycznie. Nicci zabolowało serce, że ktoś inny niż Richard będzie lordem Rahlem.

Ale nie mieli wyboru: w przeciwnym razie Nawiedzający Sny pustoszyłyby ich umysły. Aż za dobrze wiedziała, jak to jest. Wiedziała, że więź z Richardem nie tylko ocaliła jej życie, ale i objawiła radość istnienia. Jej więź z Richardem nie była formalnym poddaniem się władzy lorda Rahla, jak w przypadku mieszkańców D'Hary. Raczej było to podporządkowanie się Richardowi jako mężczyźnie. Mężczyźnie, którego pokochała niemal w tej samej chwili, w której ujrzała w jego szarych oczach płomień życia. Richard nie tylko nauczył ją znowu żyć, ale i kochać.

Cierpiała, wiedząc, że nigdy nie będzie do niej należał, wiedząc, że oddał serce innej, której ona nawet nie pamiętała. Lepiej byłoby, gdyby Nicci mogła sobie przypomnieć tę Kahlan, wiedzieć, że tamta jest bystra, kochająca i

piękna, bo wtedy mogłaby się cieszyć szczęściem Richarda. Ciężko było się cieszyć, że on kocha fantom.

- Rozumiem - powiedział w końcu Nathan głębokim głosem.

Ann sprawiała wrażenie, że ma tysiące argumentów przeciw - po jednym na każdy rok życia Proroka - ale udało jej się zachować je dla siebie, bo zdawała sobie sprawę, co oznacza brak lorda Rahla.

- D'harańskie wojska nie są daleko od pałacu - powiedział Nathan. - Wkrótce będą musiały stawić czoło hordzie Jaganga. Uważam, że masz rację, iż najlepiej wspomogę naszą sprawę, będąc tam.

Nicci jeszcze żadnemu z nich o tym nie powiedziała. Odkasznęła, żeby mieć pewność, iż głos jej nie zawiedzie.

- Richard wygłosił mowę do armii. To dlatego udał się do D'Hary. Powiedział im, że nie mogą walczyć z Imperialnym Ładem i zwyciężyć.

Twarz Ann spurpurowiała.

- Więc czego od nich oczekuje?! Jeżeli nie walki z armią Ładu, to... czego?

- Żeby spustoszyli Stary Świat - powiedziała stanowczo Nicci. Zedd, Nathan i Ann wpatrywali się w nią bez słowa.

- Co im kazał? - spytał z niedowierzaniem Zedd.

- To jedyny sposób - stwierdziła Nicci. - Nie możemy się łudzić, że zniszczymy ich armię. Richard chce, żeby wojska d'harańskie zniszczyły ich wolę walki. To nasza jedyna szansa.

- Drogie duchy - wyszeptał Zedd, odwracając się. Podeszedł do okna i zapatrzył się w noc. Gdy wreszcie znów na nich spojrzął, oczy miał pełne łez.

- Byłem w jego sytuacji. Musiałem nakazać naszym, żeby zrobili to, co było konieczne. - Znów potrząsnął głową. - Biedny chłopak. Obawiam się, że ma rację. Powinienem sam to dostrzec. Pewnie nie chciałem. Czasem trzeba stracić odwagę, żeby zrobić to, co musi się stać.

Cara podeszła i opadła na kolano przed Nathanem. Skłoniła głowę.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Zedd opadł na kolano. I Rikka. I Nicci. W końcu, choć opornie, Ann poszła za ich przykładem.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - rzekli chórem. - Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas

twoje miłosierdzie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Nathan stał dumnie wyprostowany, milczący i splótłszy dłonie, patrzył - jak na lorda Rahla przystało - na pochylone głowy. Kiedy skończyli ślubowanie, wstali, trochę zaniepokojeni ukrytym znaczeniem tego, co właśnie zrobili, a co oznaczało, że Richard już nie jest lordem Rahlem.

- Dokonało się - oznajmiła Cara. Wzięła w palce smukły oręż i wpatrzyła się weń błękitnymi oczami. - Mój Agiel ożył. - Uśmiechnęła się smutno. - Więź została odnowiona. Wszyscy D'Harańczycy to odczują i pojmą, że znów mamy lorda Rahla.

Nathan głęboko odetchnął.

- Mamy przynajmniej ten atut.

- Nathanie - odezwał się Zedd - musisz od razu ruszać do D'Hary. Na większych przełęczach na wschód od wieży są oddziały Imperialnego Ładu, które starają się wejść „tylnymi drzwiami”. Powiem ci, jak je ominąć. Najlepiej, żeby lord Rahl, strażnik więzi, był przy tych, którzy zostali osamotnieni w pałacu.

- A co z armią Jaganga? - spytała zatroskana Ann, kiedy już Nathan kiwnął głową na zgodę. - Co twoim zdaniem zrobi imperator, kiedy się przekona, że wojska D'Hary zniknęły, nim zdążył wziąć je w kleszcze?

Zedd wzruszył ramionami.

- Zacznie oblegać Pałac Ludu. Będzie tam Verna i parę jej Sióstr, żeby pomóc w obronie, ale Pałac Ludu jest zbudowany na planie zaklęcia wzmagającego moc Rahla i tłumiącego moc innych. Verna i jej Siostry nie będą mogły w pełni korzystać ze swoich uzdolnień. W tej chwili Nathan jest jedynym Rahlem, jakiego mamy, i tylko on może pomóc w obronie pałacu i jego mieszkańców.

- I dlatego chcemy, żeby Nathan natychmiast wyruszył do pałacu - dodała Nicci.

- Jeszcze tej nocy - dorzucił Zedd.

Nathan spojrział w oczy najpierw czarodziejowi, a potem Nicci.

- Rozumiem. Zrobię, co w mojej mocy. Miejmy nadzieję, że pewnego dnia Richard będzie mógł znów przejąć ode mnie tę rolę.

Jego słowa zmniejszyły trochę ciężar przygniatający serce Nicci.

- Będziemy nad tym pracować - zapewnił go Zedd.

- Możesz na to liczyć - odezwała się Nicci. Cara skierowała Agiel ku Prorokowi.

- I lepiej nie nabijaj sobie głowy głupimi pomysłami, że mógłbyś zachować urząd. Należy do lorda Rahla.

Nathan uniósł brew.

- Teraz ja jestem lordem Rahlem. Cara się skrzywiła.

- Wiesz, co mam na myśli. Nathan ospale się uśmiechnął. Ann dźgnęła go palcem w żebra.

- I nie nabijaj sobie głowy mrzonkami, lordzie Rahlu. Idę z tobą, żeby pilnować, byś się nie wplątał w kłopoty.

Nathan wzruszył ramionami.

- Lordowi Rahlowi przydałaby się dworka. Nadasz się.

Rozdział 35

Richard całą wieczność leżał na starej, zimnej kamiennej podłodze w głębi odludnego lasu, zapatrzony w czarną otchłań, nie mając pojęcia, co robić. Wreszcie znów usiadł. Wzywał sylfę aż do zachrypnięcia, ale bez rezultatu. Sylfa zniknęła.

Wsparł łokcie o kolana. Opuścił głowę i splótł dłonie na karku. Miał wrażenie, jakby się zgubił i nie wiedział, co dalej robić. Ileż to już razy, od opuszczenia lasów Hartlandu, miał to samo poczucie, sądził, że dotarł do kresu? Mimo to zawsze znajdował jakieś wyjście z sytuacji. Jednak nie wiedział, czy i tym razem tak będzie.

Kiedy dorastał, nie miał pojęcia, że urodził się z darem. Nic nie wiedział o magii. Gdy się przekonał, że ma dar, wcale go nie chciał. Chciał się go pozbyć, jakby to była choroba, którą odziedziczył. Chciał być sobą. Ale wreszcie docenił swoje zdolności i zrozumiał, że stanowią część jego istoty. Ostatecznie wiele razy pomogły mu ocalić nie tylko jego życie, ale i życie Kahlan oraz wielu innych. Dar był częścią niego, czymś, czego nie mógł się pozbyć, podobnie jak serca czy płuc.

A teraz w jakiś sposób utracił ów dar.

Najpierw, kiedy sylfa powiedziała mu, że już nie ma magii niezbędnej do podróży, nie mógł uwierzyć, że to możliwe, że jego dar w końcu naprawdę zniknął. Pomyślał, że to musi być jakaś niewydolność magii, jakaś anomalia. Dawniej, gdy chciał się pozbyć daru, dopytywał się, jak może do tego doprowadzić, i dowiedział się, że coś takiego nie jest możliwe.

Ale choć wydawało mu się to niemożliwe, wiedział, że to prawda. Wiedział, bo wraz z darem utracił możliwość przypomnienia sobie Księgi Opisania Mroków. - Równie dobrze mógłby się jej nigdy nie nauczyć, bo razem z darem stracił nagle pamięć o tekście.

Księga Opisania Mroków była magiczną księgą. Dar był niezbędny, żeby mocą czytać, żeby zapamiętać choć pojedyncze słowo tekstu. Bez daru Richard nie mógłby czytać magicznych ksiąg, a dokładniej mówiąc, wystarczająco długo pamiętać tekstu, by wiedzieć, że w ogóle było co czytać. Bez daru magiczne księgi wydawały się puste. Teraz Księga Opisania Mroków zniknęła z jego pamięci.

Nie przeszedł próby, choć nawet nie wiedział, że jakąś próbę przechodzi. Nawet nie za bardzo rozumiał, na czym ta próba polegała. Ale jej nie przeszedł.

Miał wrażenie, że zawiódł Kahlan.

Nie mógł pojąć, jak te słowa mogły być testem zostawionym przez Baraccusa. Jak mogły go sprawdzać? I na jaki temat? Nie wiedział, o jakiej próbie mówiła sylfa, więc nie potrafił się domyślić, dlaczego zawiódł.

Żałował, że nie ma tu Zedda, który by mu pomógł. Albo Nicci, albo Nathana - kogoś, kogokolwiek. Otrząsnął się i zapytał sam siebie, ile razy tej nocy pragnął odpowiedzi, pomocy, ratunku. Żadne z tych życzeń nie zostało spełnione. Wiedział, że z życzeniami zawsze tak jest.

Napomniął się, że marnuje cenny czas na uzalanie się nad sobą. Powinien myśleć, a nie siedzieć i czekać, aż ktoś się zjawi i pomyśli za niego.

Znow położył się na kamieniach i wpatrzył w sklepienie z gałęzi i liści oraz widoczne ponad nimi gwiazdy. Uśmiechnął się, kpiąc z siebie, że może spadająca gwiazda spełni jego życzenia.

Odsunął na bok rozmyślenia o życzeniach i wrócił do właściwej sprawy.

Setki razy powracał do tego w myślach i nadal nie widział w tym sensu. W wieści przekazanej przez sylfę Baraccus doniósł, że nie zna odpowiedzi, które by ocaliły Richarda. Wierzył jednak, że chłopak ma w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć. Baraccus przekazał, że Richard ma wierzyć w siebie i wiedzieć, że on w niego wierzy, chociaż nie wymienił jego imienia.

Wiadomość, rozumował chłopak, była przeznaczona dla tego, kto się urodzi z darem magii subtraktywnej. Baraccus zadbał o to, żeby owa magia wydostała się ze Świątyni Wichrów, lecz nie znał imienia tej osoby, nie wiedział, kto to będzie. Przynajmniej Richard tak uważał. Sensowniejsze było, że Baraccus przemawiał wprost, osobiście, nie używając imion. Wiadomość była dostatecznie jasna i bez imienia osoby, która w końcu to usłyszy. To nadawało jej pozór bezpośredniego przekazu.

Jakżeż mogło być próbą? Jak Richard mógł jej nie przejść?

Westchnął z irytacją, wrywając długie źdźbło trawy z jednej z bocznych, pozbawionych zaprawy spoin. Zastanawiał się nad tym, gryząc miękki koniec źdźbła.

Czyżby Baraccus obdarzył sylfę jakimiś umiejętnościami, podobnymi do zdolności działania w nagłych wypadkach, żeby wiedziała, czy Richard ma

to, co niezbędne do zwycięstwa, czy nie? Czyżby owa dana sylfie przenikliwość ostrzegła ją, że Richard nie stanął na wysokości zadania? Źródło. Richard wpatrywał się w gwiazdy i nieustannie o tym rozmyślał. Powiedział sylfie, że usłyszał te słowa od Shoty, a wtedy sylfa zniemacka odeszła.

Czyżby Sylfa знаła Shotę? Może, według Baraccusa, Richard nie powinien się zadawać z wiedźmą. Może właśnie dlatego chłopak zawiódł - bo nie działał sam, samodzielnie. Skrzywił się. Trudno mu było uznać, że Baraccus mógł nie chcieć, żeby współpracował z ludźmi, szukał odpowiedzi, rozwiązywał problemy.

Wciąż na nowo wracał do tych słów, oczywiście, na ile je zapamiętał.

„Przykro mi. Nie znam odpowiedzi, które by cię ocaliły. Gdybym znał, to uwierz, proszę, z chęcią bym ci je przekazał. Ale wiem, że jest w tobie dobro. Wierzę w ciebie. Wiem, że masz w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć. Będą chwile, że w sobie zwątpisz. Nie poddawaj się. Przypomnij sobie wtedy, że w ciebie wierzę, że wiem, iż potrafisz dokonać tego, co dokonać musisz. Jesteś wyjątkową osobą. Wierz w siebie. Wiedz, że ja wierzę, iż jesteś tym, kto może tego dokonać”.

Taką wiadomość, według sylfy, zostawił mu Baraccus. Richard pamiętał jednak, że powiedziała mu to Shota, nie tak dawno temu, kiedy widział ją ostatni raz, tuż przed jej odejściem.

Właściwie nie wierzył w zbiegi okoliczności. A już na pewno nie w tym wypadku. Shota nie mogła przypadkowo wypowiedzieć słów, które Baraccus polecił sylfie mu przekazać. Wiadomość była zbyt długa, zbyt szczegółowa, miała zbyt charakterystyczne cechy.

A jeśli to nie był zbieg okoliczności - a Richard był pewien, że nie był - dlaczego Shota użyła tych samych słów co Baraccus? Czy była to jakaś wiadomość? Próbowała mu coś przekazać? Ostrzec go przed czymś?

Jeżeli wiedźma chciała mu pomóc, to dlaczego nie ostrzegła go przed tą próbą i nie powiedziała mu? Jeżeli nie mogła podsunąć mu odpowiedzi, przynajmniej mogła powiedzieć, co to będzie za test. Ale Zedd często powtarzał, że wiedźma nigdy nie mówi tego, co ktoś chciałby wiedzieć, bez wspomnienia o tym, o czym wolałby nie wiedzieć. Czyżby o to chodziło? Wątpił, bo przecież powiedziała mu wtedy o wielu okropieństwach i, jak się potem okazało, pomogło mu to zrozumieć, co powinien zrobić z armią,

zamiast pozwolić, żeby się starła z Jagangiem w rozstrzygającej bitwie.

Jednak nie dawało mu spokoju to, że w wiadomości były rzadko spotykane frazy: „odpowiedzi, które by cię ocaliły”; „z chęcią bym ci je przekazał”; „wiem, że jest w tobie dobro”; „masz w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć”; „wiedz, że ja wierzę, iż jesteś tym”. Troszkę się to różniło od sposobu mówienia ludzi. Nie jakoś drastycznie, ale zdania były odrobinę dziwaczne, niemal dziecinne, a przy tym na swój sposób wyszukane. Richard westchnął. Nie mógł tego uchwycić, bo dość niekonwencjonalnie posłużono się tu językiem.

I nagle sobie przypomniał.

Zrozumiał, dlaczego te słowa wydały mu się tak niepokojąco znajome, kiedy wypowiedziała je Shota. Bo już wcześniej słyszał dokładnie te same słowa.

Dokładnie to samo powiedział nocny ognik wieczorem, owego dnia, w którym Richard poznał Kahlan.

Byli pod sosną-Strażniczką. Kahlan zapytała, czy boi się magii, a potem, zadowolona z jego odpowiedzi, wyjęła buteleczkę z ognikiem. Nocnym ognikiem, Shar. Shar przeprowadziła Kahlan przez granicę, lecz teraz umierała. Ognik nie mógł żyć z dala od swojej ojczyzny i swoich siostrzyc. Shar nie miała już sił, żeby znów pokonać granicę.

Richard przypomniał sobie, jak Kahlan powiedziała: „Shar poświęciła życie, żeby mi pomóc, gdyby bowiem Rahl Posępny zwyciężył, to zginęłoby i jej plemię”.

To właśnie ognik pierwszy powiedział Richardowi, że Rahl Posępny go ściga. Shar ostrzegła, że jeżeli Richard ucieknie, to go złapią i zabiją. Chłopak podziękował ognikowi za to, że pomógł Kahlan. Wyznał, że będzie żył dłużej, bo Kahlan ocaliła go od popełnienia szaleństwa, i dodał, że jego życie stało się lepsze, odkąd poznał dziewczynę. Podziękował Shar, że pomogła Kahlan bezpiecznie przebyć granicę.

Shar powiedziała mu, że w niego wierzy, i całą resztę dokładnie tak, jak Baraccus przekazał przez sylfę. Wtedy myślał, że ten troszkę dziwny sposób wysławiania się jest charakterystyczny dla ogników, i pewnie tak było, ale Baraccus nie bez powodu posłużył się tymi samymi słowami.

Shota też to zrobiła - albo rozmyślnie, albo nieświadoma ich źródła - bez wątplenia po to, by pomóc mu przypomnieć sobie słowa Shar.

Prawdopodobnie nie miała pojęcia, dlaczego wypowiedziała dokładnie te słowa, lecz miały go one skłonić do myślenia. Do przypomnienia sobie. I zapewne tylko z powodu straszliwej wizji Kahlan asystującej przy jego egzekucji Richard nie skojarzył słów Shoty z tymi, które parę lat wcześniej usłyszał od nocnego ognika. Ta wizja przytłumiła wszystko inne.

Chłopak nasłuchiwał nocnych odgłosów lasu - grania owadów, liści szeleszczących na wietrze, dalekiego krzyku przedrzeźniacza - i zaczęło mu się przypominać coś jeszcze.

Shar wymówiła jego imię, choć go jej nie przedstawiono. Podejrzewał, że może je usłyszała, kiedy tkwiła w buteleczce w sakiewce Kahlan.

A może już знаła jego imię.

Oczy Richarda otworzyły się tak szeroko, jakby chciały wypaść z oczodołów, bo przypomniawszy sobie jeszcze coś. Zapytał Shar, dlaczego Rahl Poępny chce go zabić - czy dlatego, że pomógł Kahlan, czy z jakiegoś innego powodu. Shar zbliżyła się i zapytała:

„Inny powód? Sekrety?”

Sekrety.

Richard skoczył na równe nogi i głośno krzyknął, wstrząśnięty nagłym zrozumieniem.

Przycisnął nadgarstki do skroni, nie mogąc powstrzymać kolejnego krzyku.

- Rozumiem! Drogie duchy, rozumiem! Sekrety.

W tamtej chwili pomyślał, że ognik wie o zębie, który chował pod koszulą - ale wcale nie o to chodziło. To nie miało nic wspólnego z zębem. Shar pytała go o coś zupełnie innego. Dawła mu pierwszą okazję odzyskania księgi, tajemnej księgi, którą zostawił dla niego Baraccus.

Ale na to było za wcześnie. Richard nie był jeszcze gotowy.

I wtedy nie przeszedł testu Baraccusa. Tamtej nocy, z ognikiem. Ale Baraccus pewnie nie mógł wiedzieć, kiedy Richard będzie gotowy. Musiał znaleźć sposób, żeby od czasu do czasu go sprawdzać. Shota powiedziała, że choć Baraccus zadbał o to, by Richard urodził się z darem, to wcale nie oznacza, iż zrobi, co trzeba.

Baraccus nie pozbawił go wolnej woli i dlatego co jakiś czas musiał wystawiać urodzonego z darem na próbę, by się przekonać, czy umie on już wykorzystywać moc do wykonania tego, co powinno zostać wykonane.

Richard był ciekaw, ile z tego, co go spotkało, było dziełem Baraccusa. Ale w tej chwili nie miał jak zdobyć odpowiedzi na to pytanie.

Wiedział, że kiedy sylfa oznajmiła, że nie przeszedł testu, oznaczało to, iż nie przeszedł go co najmniej drugi raz. Test sylfy był rezerwowy, powtórkowy - na czas, kiedy Richard więcej się dowie. Kiedy już będzie wiedzieć, kim naprawdę jest.

Sekrety.

Richard miał wrażenie, że moc zrozumienia rozsadzi mu głowę. Kłębiły się w nim wszystkie emocje, jakich kiedykolwiek doświadczył, napełniając go ekscytacją i niepokojem.

Rzucił się na kamienną podłogę i tak zacisnął dłonie na obrzeżu otworu, że aż zbieleły mu kłykcie.

- Sylfo! Wracaj! Wiem, o co chodziło Baraccusowi! Zrozumiałem! Sylfo!

W odległości paru cali w chłodne, wysrebrzone księżycem powietrze wzniosł się płynny metal, tworząc idealne rysy sylfy. To był cudowny widok - w przepięknej srebrzystej twarzy odbijały się chwiejące się na wietrze drzewa i jego twarz.

Sylfa się uśmiechnęła.

- Pragniesz zmienić odpowiedź, panie? Richard chętnie by ją ucałował.

- Tak.

Przechyliła na bok głowę.

- Co chcesz mi powierzyć, panie?

- Powiedział mi to wcześniej nocny ognik. Nie tylko Shota. - Chłopak gestykulował, chcąc powiedzieć wszystko naraz, zanim sylfa zdąży orzec, że nie przeszedł próby. - Shota była druga. To nocny ognik pierwszy powiedział te słowa, te same co Baraccus. I właśnie tej wiedzy chciał ode mnie Baraccus: że to nocny ognik.

Richard niemal się spodziewał, że srebrne ramię otoczy jego szyję i przyciągnie go bliżej.

- Coś jeszcze, panie? - wyszeptała miękko sylfa.

- Tak. Baraccus chciał, żebym dzięki tej wiadomości uświadomił sobie, iż to, co dla mnie, wyłącznie dla mnie, zostawił, jest ukryte u nocnych ogników.

Sylfa znowu się przysunęła, uśmiechając znacząco. Chłonęła go wzrokiem. Po raz pierwszy jej usta poruszyły się, kiedy mówiła. Rozległ się leciutko ochryply szept poddania.

- Przeszedłeś próbę, panie. Jestem zadowolona.

- Nie ty jedna - odparł Richard.

Sylfa się roześmiała; dźwięk był czysty i piękny jak blask księżyca.

- Wiesz, gdzie mieszkają ogniki, panie? Richard pokręcił głową.

- Nie, ale Kahlan trochę opowiadała mi o nich i o ich ojczyźnie. Kahlan to moja żona. Podróżowała już w tobie i była zadowolona, ale jej nie pamiętasz, bo porwali ją bardzo źli ludzie, którzy rzucili czar, by wszyscy o niej zapomnieli. Coś podobnego i ciebie spotkało. Usiłuję ją odnaleźć, zanim ci źli ludzie zdążą nas wszystkich skrzywdzić. To wszystko przez to. Dlatego Baraccus coś dla mnie zostawił. Coś, co ma mi pomóc w moich staraniach.

- Rozumiem. Raduję się z twojego sukcesu, panie.

- Kahlan opowiedziała mi o miejscu, w którym mieszkają nocne ogniki. Mówiła, że tam jest pięknie.

- I mnie Baraccus tak powiedział.

- Kahlan mówiła, że w dzień nie widzi się ogników, tylko nocą. Pewnie dlatego nazywa siebie nocnymi ognikami. Powiedziała, że są jak gwiazdy, które spadły z nieba. Że jest tak, jakby się widziało gwiazdy wśród trawy.

Sylfa przytakiwała jego ekscytacji.

- Rada jestem, żeś zadowolony, panie.

- Możesz tam dotrzeć? Do ojczyzny nocnych ogników, spadłych na ziemię gwiazd?

- Obawiam się, że nie, nawet gdybyś mógł podróżować - odparła sylfa. - Baraccus nakazał, by to awaryjne wyjście zbudowano tu z jakiegoś powodu. Nie życzył sobie, bym mogła dotrzeć do ojczyzny nocnych ogników, bo nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że on tam chadza. Nie chciał, żeby stała się celem podróży. Wolał, żeby to miejsce pozostało na uboczu, żeby to było sekretne miejsce spadłych na ziemię gwiazd. Baraccus powiedział mi, że to wyjście nie leży daleko od ogników, ale że tylko tutaj, na tę odległość od nich, mogę dotrzeć. Nie chciał, bym choć napomknęła, że takie miejsce istnieje, lub wypaplała cokolwiek, co dotyczy moich przyszłych panów. W ten sposób cię chronił. Dlatego nie mogłam powiedzieć twoim przyjaciółkom, gdzie jesteś. Owe sekretność i bezpieczeństwo wymagały, żeby przedłożyć właściwe słowa od właściwej osoby. To nie tylko cię chroniło, ale i, pozbawiając wsparcia przyjaciół, kazało ci samodzielnie myśleć.

Richardowi aż się kręciło w głowie od tego wszystkiego. Nachylił się ku

sylfie, szukając potwierdzenia tego, co już wiedział.

- Przyniosłaś tu żonę Baraccusa, Magdę, prawda? I ona coś ze sobą miała.

- Tak. To tutaj przyniosłam Magdę po tym, jak ostatni raz widziałam pana Baraccusa. Zanim podróżowała z powrotem, naprawiła te kamienie. Wtedy widziałam ją ostatni raz. I od tamtej pory nikt tutaj nie był. Przeszedłeś próbę, panie. To droga do tajemnej biblioteki, którą zostawił dla ciebie Baraccus.

Rozdział 36

Kahlan ostrożnie stąpała wśród gruzów starożytnych budowli, które przez tysiąclecia popadły w ruinę i wreszcie się zawaliły, rozrzucając fragmenty ścian po stromym stoku. Zakurzone odłamki cegieł i kamieni rozsiane były po suchej, spękanej ziemi. W mroku łatwo byłoby się potknąć i upaść, a droga w dół była daleka. Jillian - ciemna, niewielka sylwetka tuż przed nimi - wspinała się po rumowisku równie zwinnie jak śnieżny kozioł. Siostra Ulicia, idąca przed Kahlan, i dwie pozostałe Siostry, za dziewczyną, sapały i dyszały z wysiłku przy mozolnej wspinaczce. Choć tak się im spieszyło, zaczynały być zmęczone. Często traciły równowagę i ześlizgiwały się, niemal spadając ze skarpy.

Kahlan pomyślała, że należałoby im doradzić, by z dokończeniem wspinaczki wśród ruin Caski poczekały do rana. Ale nie zamierzała im tego proponować. Siostry robiły, co chciały, i nic nie mogła na to poradzić. Gdyby cokolwiek im doradziła, dostałaby lanie za to, że się wtrąca.

Kahlan z przyjemnością zobaczyłaby, jak któraś z Sióstr spada i skręca sobie kark, wiedziała jednak, że dwie byłyby równie dokuczliwe jak trzy. Nawet jedna z Sióstr mogłaby zmienić jej życie w koszmar. Każda mogła z łatwością wykorzystać żelazną obrożę na szyi Kahlan i za jej pośrednictwem zadać dziewczynie niewypowiedziany ból. Zatem wspinała się, nie czyniąc żadnych uwag o sensowności takiego marszu w księżycowej poświacie.

Ponieważ szlak Jillian był zdradziecki, musiały zostawić konie u podnóża skalnego cypla. Niemniej niektórych przedmiotów Siostry nie zamierzały spuszczać z oczu, a już tym bardziej zostawiać, więc Kahlan musiała je nieść razem z innymi pakunkami, które mogła udźwignąć. Taszczenie takich ciężarów po stromym szlaku wymagało ogromnego wysiłku. Jillian chciała pomóc nieść niektóre pakunki, ale Siostry na to nie pozwoliły. Oznajmiły, że Kahlan jest niewolnicą i ma wykonywać niewolniczą robotę. Powiedziały Jillian, żeby lepiej doprowadziła je do Tovi. Kahlan dała jej wzrokiem znak, żeby zrobiła, co każą. Napomniała się w duchu, że taka praca tylko wzmocni jej siły, za to Siostry, unikające każdego wysiłku, osłabną.

Kahlan chciała zachować siły. Pewnego dnia będą jej potrzebne. Ale to był długi dzień i zaczynała słabnąć.

Przynajmniej zbliżały się do końca długiej, pospiesznej podróży. Wkrótce Siostry się spotkają i może wtedy na jakiś czas się uspokoją, będą mniej spięte, nie tak skore do gniewu. I choć cieszyła się na dzień, dwa wytchnienia, równocześnie niepokoiło ją to, co to może oznaczać.

Siostry wyraźnie dały do zrozumienia, że to będzie koniec podróży, kres ich wysiłków i początek nowej ery. Kahlan nie miała pojęcia, co też to mogło oznaczać, ale ogromnie ją to niepokoiło. Siostry często rozmawiały o tym, że czekająca je nagroda jest tuż-tuż. Ilekroć tamte się niecierpliwiły, Siostra Ulicia powtarzała: „Już niedługo”.

Kahlan nie wiedziała, co zamierzają, jakie ważne wydarzenie lada moment nastąpi, ale była przekonana, że ma to związek ze szkatułami, które niosła na plecach - ze szkatułami lorda Rahla. Idące za nią dwie Siostry czuwały nad szkatułami. Poprzedniej nocy Kahlan usłyszała, jak mówiły, że kiedy spotkają się z Tovi i będą mieć trzecią szkatułę, rozpoczną się przygotowania.

Dziewczyna westchnęła z ulgą, gdy w końcu dotarły na szczyt stromizny i stanęły u podnóża rozpadającego się muru. Miejscami spływająca woda podmyła i wypłukała całe jego partie. Po raz ostatni Kahlan obejrzała się na leżącą daleko w dole, oświetloną przez księżyc równinę, a potem weszła za Jillian w jedną z ciemnych wyrw w murze. Kiedy się już znalazła w wyłomie, pod zachowanym nad głowami murem, przekonała się, że ma on szerokość niewielkiego domu. Ktokolwiek go zbudował, musiał się ogromnie obawiać ewentualnego ataku.

Po drugiej stronie muru szlak stał się płaski i zaprowadził je między stojące blisko siebie budowle. Wiele budynków w pobliżu krawędzi stoku zawaliło się lub chyliło i lada chwila mogło runąć. Masywny mur zatrzymał większość gruzu, ale tu i tam fragmenty walących się budowli przeleciały nad nim. Roztrzaskane cegły i kamienne bloki oraz zaprawa zostały z czasem wypłukane rynnami odpływowymi.

Wkrótce dotarły do wąskiej ulicy wśród budynków w lepszym stanie. Gmachy na obrzeżu najbardziej odczuły skutki zmian pogody i dlatego były najmocniej zniszczone. Spośród domów wyszły na cmentarz. W księżycowej poświacie robił niesamowite wrażenie. Posągi stały tu i ówdzie niczym fantomy pośród zmarłych.

Kiedy szły pomiędzy grobami, Kahlan przekonała się, że budynki

zajmowały całą znajdującą się powyżej przestrzeń. Na czystym niebie wypatrzyła kruka Jillian, Lokeya. Dziewczynka nigdy go jej nie wskazała, najwyraźniej w nadziei, iż Siostry pomyślą, że to jakiś dziki ptak. Ale gdy Kahlan spoglądała na nią, niekiedy dawała jej oczami znak, żeby zerknęła w górę. Lokey wyczyniał podniebne sztuczki, które sprawiały, że Jillian się uśmiechała, o ile Siostry akurat patrzyły w inną stronę. Mimo kłopotów, jakie spadły na nią i na dziadka za sprawą Sióstr, szukała nawet najmniejszego powodu do radości. Kiedy Siostra Armina w pewnej chwili spostrzegła kruka, pomyślała, że to sęp lecący za nimi ponad spustoszonymi ziemiami. Kahlan nie wyprowadziła jej z błędu.

- Daleko jeszcze? - spytała Siostra Ulicia, zatrzymując się między nagrobkami.

Kahlan pomyślała, że Ulicia podejrzliwie odnosi się do Jillian.

- Niedaleko. Tam - wskazała dziewczynka - poprzez ten budynek. To przejście do zmarłych.

Siostra Cecilia prychnęła.

- Przejście do zmarłych. Tovi zawsze miała wycucie dramatyzmu.

Siostra Armina wzruszyła ramionami.

- Mnie się to wydaje stosowne.

- No to ruszamy - oznajmiła Siostra Ulicia, dając Jillian znak, że ma iść dalej.

Jillian znów poprowadziła je przez labirynt cmentarza, a potem przez opustoszałe miasto. Kahlan nie mogła się co do tego upewnić w księżycowej poświacie, ale wyglądało na to, że wszystko - każda ściana, każdy dach, każda ulica - ma tę samą barwę pyłu i śmierci. Upiorna cisza panująca wśród budynków sprawiała, że nocne powietrze wydawało się zupełnie nieruchome. Kahlan miała wrażenie, że idzie przez ogromny szkielet miasta, pozbawionego życia i każdego kawałka tkanki, tak że zostały z niego jedynie kruszące się beżowe kości.

Przy szerokiej ulicy, która musiała być niegdyś piękna - wskazywały na to ozdobne, obłe mury domów po obu stronach - Jillian niby cień przemknęła pod arkadami jednego z większych budynków. Wewnątrz mało co było widać. Kahlan słyszała, jak pod stopami dziewczynki chrzęszczą okruchy zaprawy. Siostry nie zauważały mozaiki. Tam, gdzie podłogę zalewała księżycowa poświata, Kahlan widziała wyblakłe płytki, które układały się w

obrazy drzew, drózek i muru okalającego cmentarz. Na mozaice byli nawet ludzie.

Przyglądając się mozaice i taszcząc ciężki bagaż, Kahlan potknęła się o wyszczerbioną płytkę i upadła na kolana. Siostra Ulicia natychmiast uderzyła ją w tył głowy i dziewczyna poleciała na twarz.

- Wstawaj, ty niezdarna krowo! - krzyknęła Ulicia, kopiąc Kahlan w żebra.

Kahlan starała się, ale z takim ciężarem na plecach łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

- Oczywiście, Sostro - wykrztusiła, spazmatycznie chwytając powietrze między jednym kopniakiem a drugim, w nadziei, że zyska czas na to, by się podnieść.

Jillian weszła pomiędzy nie.

- Daj jej spokój!

Siostra Ulicia wyprostowała się, patrząc gniewnie.

- Jak śmiesz się wtrącać?! Skręcę ci ten chudy kark.

- Raczej powinniśmy obedrzeć ją żywcem ze skóry - odezwała się Siostra Armina - i rzucić jej okrwawione ciało sępom.

Siostra Ulicia złapała Jillian za kołnierz.

- Zejdź mi z drogi, żebym mogła dać nauczkę tej leniwej krowie.

- Daj jej spokój - powtórzyła dziewczynka, z uporem tkwiąc w miejscu.

- Poderżnijmy gardło bachorowi i skończmy z nią - zaproponowała gderliwie Siostra Cecilia. - Nie mamy na to czasu. Teraz już same możemy trafić do Tovi.

Kahlan, wiedząc, iż musi uspokoić Siostry, zanim wprowadzą swój zamiar w czyn, wreszcie zdołała się podnieść. Natychmiast ujęła Jillian za ramię i odsunęła ją w bezpieczniejsze miejsce.

- Przepraszam, to moja wina - powiedziała. - Już możemy iść.

Odwróciła się, żeby ruszyć, ale nie zrobiła ani kroku. Wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić bez pozwolenia. Siostra Ulicia nawet nie drgnęła. Miała śmierć w oczach.

- Nie, dopóki ona nie zobaczy, jak dostajesz nauczkę, którą od jakiegoś czasu jesteśmy ci winne - oznajmiła. - Za bardzo się przyzwyczajasz do łagodnego traktowania po każdym występku.

- Zostawcie Kahlan w spokoju - odezwała się Jillian: zza jej pleców. Nie

pozwalala się zepchnąć na drugi plan.

Siostra Ulicia wsparła się pod boki.

- Bo co?

- Bo wam nie pokażę, gdzie jest Tovi.

- Ty głupi dzieciaku - warknęła Siostra Ulicia - my już wiemy, gdzie jest Tovi. Jest tutaj. Już nas do niej doprowadziłaś.

Jillian z wolna pokręciła głową.

- Tutaj są całe mile korytarzy. Zagubicie się między kośćmi. Zostawcie Kahlan w spokoju, bo nie pokażę wam drogi.

- Wyczuwam Tovi - oświadczyła Siostra Cecilia ze wzgardliwym sapnięciem. - Poderżnij jej gardło. Jesteśmy na tyle blisko, że odnajdę Tovi za pomocą mojego daru.

- I ja ją wyczuwam - wtrąciła Siostra Armina.

- To, że czujecie jej bliskość - powiedziała Jillian - wcale nie oznacza, że zdołacie odnaleźć prowadzący do niej korytarz. Tu, przy kościach, możecie być blisko niej, ale jeżeli choć raz skróćcie w złym kierunku, przejdziecie całe mile, a jej nie znajdziecie. Ludzie przyszli tutaj i umarli, bo nie mogli znaleźć wyjścia.

Siostra Ulicia splótła dłonie. Zastanawiała się, patrząc z wyższością na Jillian.

- Teraz nie mamy na to czasu - oznajmiła w końcu. - Ruszaj - nakazała dziewczynce, po czym spojrziała znacząco na pozostałe Siostry. - Już wkrótce wyrównamy ten rachunek. No i inne też. - Odwróciła się z groźną miną i oczy Jillian się rozszerzyły. - Prowadź do Tovi, bo ona może się niecierpliwieć i zacząć łamać twojemu dziadkowi kości... jedną po drugiej.

Mina dziewczynki zdradziła jej nagły niepokój. Natychmiast powiodła Siostry do labiryntu korytarzy i komnat na tyłach budynku. Miejscami korytarze były otwarte na księżycowy blask. Za to w innych miejscach były ciasne i czarne jak śmierć. Siostry zapaliły małe płomyki nad wnętrzem dłoni, żeby cokolwiek widzieć. Jillian zdumiało i wystraszyło, że potrafią coś takiego zrobić.

Wyszły z budynku na inny cmentarz. Jillian, nie zwalniając, prowadziła je przez sadybę zmarłych, wśród pagórków porośniętych sękatymi oliwkami i rzędów grobów upstrzonych kwiatami. Wreszcie zatrzymała je przy leżącej na boku płycie nagrobnej, obok czarnej dziury w ziemi.

- Mamy wejść do tej mysiej dziury? - spytała Siostra Armina.

- Jeżeli chcecie dotrzeć do Tovi. - Jillian chwyciła stojącą obok nagrobka latarnię i gdy tylko jedna z Sióstr ją zapaliła, ruszyła w dół.

Wszystkie podążyły za dziewczynką wąskimi schodami. Starożytne kamienne stopnie były nieregularne, ich brzegi - zaokrąglone i wygładzone od częstego używania. Dla Kahlan, niosącej na plecach wielki ciężar, było to niebezpieczne zejście. Siostry oświetlały sobie drogę chwiejnymi płomykami. Na podeście skręciły z biegiem stopni i schodziły coraz głębiej w dziedzinę grobów.

Kiedy wreszcie dotarły na dół, przejście podzieliło się na szersze korytarze wycięte w zwartej, ale miękkiej skale. Wszędzie dokoła były nisze wydrążone w kamiennych ścianach. Kahlan spostrzegła, że w każdej są kości.

- Uważajcie na głowy - ostrzegła je przez ramię Jillian, wchodząc w jedne z bocznych drzwi.

Wszystkie się pochyliły, wkraczając za nią do sali z sufitem równie niskim jak drzwi. Na skrzyżowaniach Jillian bez wahania wybierała drogę, jakby szła szlakiem wymalowanym na podłodze. Kahlan zauważyła, że w kurzu widoczne są nieliczne ślady stóp, ale widziała również ślady w wielu innych korytarzach. Były większe niż odbicia małych stóp dziewczynki.

Ciasny korytarz wreszcie doprowadził je do szerszych pomieszczeń. Szły przez nie kończący się ciąg sal wypełnionych porządnie ułożonymi stosami kości. W innych, węższych salach, widać było pełne kości nisze, jakby zaczynało brakować miejsca na pochówek wszystkich zmarłych.

Kilkupokojowe ciągi mieściły same czaszki. Kahlan oceniała, że czaszek muszą być tysiące. Wszystkie były starannie ułożone w obszernych niszach, a każda zwrócona w przód. Każda z nisz została wypełniona po samą górę. Kahlan patrzyła na puste oczodoły, odwzajemniające jej spojrzenie i obserwujące, jak przechodzi. Uświadomiła sobie, że to niegdyś byli ludzie. Że oni wszyscy niegdyś żyli. Każda z czaszek należała niegdyś do żyjącej, oddychającej i myślącej osoby. Osoby, której życie pełne było lęków i pragnień. To jej przypominało, jak cenne i krótkie jest życie, jak jest ważne, bo kiedy się skończy, to już na zawsze. Ponownie przypominała sobie, dlaczego chce odzyskać własne.

Przy Jillian Kahlan czuła, jakby ją znowu coś łączyło ze światem, z dawną

sobą. Kiedy dziewczynka patrzyła na nią i zapamiętywała ją, Kahlan miała wrażenie, że jest odrobinę bardziej żywa, jakby naprawdę była kimś i jej życie miało znaczenie.

Minęły sale z niszami pełnymi kości nóg i takie same z kośćmi rąk. Wzdłuż bocznych ścian niektórych sal tkwiły długie, wycięte w skale pojemniki. Wypełnione były porządnie ułożonymi mniejszymi kośćmi.

Takie rozdzielanie szkieletów wydało się Kahlan bardzo dziwne. Pomyślała, że na pewno lepiej by okazano szacunek zmarłym, zostawiając kości razem. Całkiem możliwe jednak, myślała dalej, że nie mieli zbyt wiele miejsca, a takie układanie ich w stosy pozwalało lepiej wykorzystać przestrzeń. A może wydrążenie niszy dla jednego ciała czy rodziny wymagało zbyt wiele pracy, gdy trzeba było chować tylu zmarłych. Może wybuchła jakaś zaraza, która uśmierciła sporą część ludności, i nie mogli sobie pozwolić na takie ceregiele.

Miasto w obrębie murów miało ciasną zabudowę. Przestrzeń musiała być na wagę złota. Jeżeli mieszkańcy i ich zmarli mieli pozostać w obrębie murów, to należało pójść na ustępstwa.

Wydawało się to dziwne, bo ziemie wokół Caski były puste aż po horyzont. Kahlan zastanawiała się, czy to mógł być czas wojny, kiedy poszanowanie dla zmarłych musiało ustąpić przed potrzebami żyjących. Skalny cypel był w tej okolicy najłatwiejszym miejscem do obrony. Część murów znajdowała się na skraju urwiska, ale zawsze przecież mogli rozbudowywać miasto w głąb skalnego cypla. Ale może rozbudowa tak masywnych murów miejskich okazała się zbyt trudna.

Kahlan zastanawiała się też, czy to możliwe, by ówcześni mieszkańcy nie żywili wobec zmarłych takich uczuć jak inne ludy. Bo w końcu jakie znaczenie miały kości? Życie już dawno je opuściło. Osoba, którą niegdyś tworzyły, już nie istniała. Tak naprawdę liczyło się tylko życie, świat umarłych kończył się wraz z ich śmiercią.

Ale tutejsi mieszkańcy musieli być przywiązani do tych kości, do ludzi, którymi kiedyś były. Bo czyż inaczej zadaliby sobie tyle trudu, żeby zbudować takie podziemne miasto umarłych? Kahlan dostrzegła również wyblakłe, pieczołowicie namalowane lub wyrzeźbione ozdoby wokół nisz. Nie, żyjący byli uczuciowo związani ze zmarłymi. Płakali po nich.

Rozmyślała, czy po jej śmierci ktoś będzie pamiętał, kim była, czy w ogóle

ktoś będzie wiedział, że taka osoba - Kahlan - żyła kiedyś i kochała życie. Zazdrościła tym wszystkim kościom. Przyjaciele i rodzina każdego znajdującego się tutaj stosu kości znali osobę, którą tworzyły, oplakiwali ją i złożyli owe szczątki drogiej osoby na spoczynek tak, aby żyjący pamiętali o tych, którzy odeszli.

Kahlan zastanawiała się, co się stało z ludźmi, którzy tu kiedyś żyli, którzy pochowali te wszystkie kości. Kto ich pochował. Opuszczone budynki świadczyły, że w mieście nikt nie pozostał. Z wyjątkiem Jillian. Kahlan dowiedziała się, że mała należy do gromadki koczowników, którzy od czasu do czasu zjawiają się tutaj.

Niespodziewanie dotarły do częściowo zawalonego odcinka korytarza; podłoga była usiana gruzem. Siostra Armina złapała dziewczynkę za ramię.

- Ta wycieczka po katakumbach robi się absurdalna. Lepiej, żebyś nas nie prowadziła w kółko, robiąc sobie głupie żarty.

Jillian wskazała przed siebie.

- Już prawie jesteśmy na miejscu. Chodźcie i przekonajcie się.

- No dobrze - odezwała się Ulicia. - Idziemy.

Jillian obeszła wielką kamienną płytę, która kiedyś chyba blokowała dalszą drogę. Na podłodze zostały ślady po tym, jak ją odciągano, żeby umożliwić przejście. Kiedy Jillian tam weszła, Kahlan przekonała się, że jej latarnia oświetla salę z półkami wyciętymi w litej skale. Półki zapchane były księgami. Skórzane grzbiety wyblakły, ale i tak widać było, że niegdyś przeważały tu intensywne czerwienie i głębokie błękity, choć trafiały się też inne kolory - od jasnej zieleni po złoto.

Siostry z zachwytem i zdumieniem patrzyły na te wszystkie księgi. Nagle wrócił im dobry nastrój. Siostra Armina cicho gwizdnęła i zwolniła, żeby się rozejrzeć po półkach. Siostra Cecilia głośno się roześmiała. Nawet Siostra Ulicia się uśmiechnęła, przesuwając palcami po zakurzonych grzbietach.

- Tędy - powiedziała Jillian.

Radośnie ruszyły za dziewczynką przez ciąg sal, przeważnie małych i ciasnych, z półkami pełnymi ksiąg. Jillian prowadziła labiryntem przejść wyłobionych w miękkiej skale, wchodząc coraz głębiej w podziemną bibliotekę. Siostry obracały głowy, zajęte odczytywaniem tytułów, które udało się im dostrzec, kiedy podążały za Jillian i Kahlan. Blask latarni wpadał w ciemne sale, które mijały, ukazując jeszcze więcej książek.

- Przekleństwo na Światło - szepnęła do siebie zachwycona Siostra Ulicia. - Znalazłyśmy główną składnicę w Casce. To tutaj powinna być księga. Założę się, że Tovi już jej szukała.

- Założę się, że już ją znalazła - odezwała się z ożywieniem Siostra Cecilia.

Siostra Ulicia uśmiechnęła się szeroko.

- Coś mi się zdaje, że masz rację.

Staranniej wyźłobionym przejściem o beczkowatym sklepieniu i ścianach ozdobionych malowidłem winnicy, które już dawno stało się duchem tego, czym niegdyś było, dotarły do znajdujących się za zakrętem dwuskrzydłowych drzwi. Każde skrzydło, rzeźbione w winne grona i liście, mogłoby stanowić pojedyncze szerokie drzwi. Kahlan przypuszczała, że za sprawą dwóch skrzydeł wejście wyglądało okazalej i że musiał istnieć po temu powód.

- Wyczuwam za nimi Tovi. Nareszcie - powiedziała Siostra Cecilia i westchnęła z ulgą.

- Myślę, że tej nocy powinniśmy zacząć rytuały - stwierdziła radośnie Siostra Armina.

Siostra Ulicia potaknęła, kładąc dłoń na klamce z brązu.

- Jeżeli Tovi udało się znaleźć księgę, a założę się, że już ją ma, to nie widzę powodu, dla którego nie mogłybyśmy od razu zaczynać, mając wreszcie wszystkie trzy szkatuły. - Uśmiechnęła się z rezerwą. - Im prędzej Opiekun zostanie uwolniony ze swojego więzienia, tym szybciej dostaniemy nagrodę.

Kahlan zastanawiała się, czy mogłaby w jakiś sposób pokrzyżować ich plany. Była przekonana, że kiedy już dokonają tego, co zamierzały, nie będzie odwrotu, i to dla nikogo. Pamiętała o szkatułach, które niosła, i rozmyślała, co by się stało, gdyby - gdy Siostry skierują całą uwagę na dawno nie widzianą Tovi - udało jej się roztrzaskać choć jedną. A może miałyby czas na rozbicie obu?

Kahlan wiedziała, że taki czyn wywołałby straszliwą wściekłość Sióstr. Sądziła, że pewnie by ją zabiły. Ale jakiś czas temu doszła do wniosku, że gdyby Siostronom się udało, i tak byłaby martwa.

Siostra Armina pochyliła się ku towarzyszkom.

- Myślę, że na samym początku powinniśmy wyrównać stary rachunek. -

Wykrzywiła się nienawistnie. - Aż za dobrze pamiętam, że ten arogancki bydlak wysłał mnie do namiotów. Nigdy nie zapomnę, co pozwolono z nami robić tym żołnierzom.

W oczach Siostry Ulicii zapłonęła żądza mordu.

- O, myślę, że ten rachunek wszystkie wyrównamy z przyjemnością. - Do gniewnego spojrzenia dodała pełen nienawiści uśmiech i nacisnęła klamkę z brązu. - No, to do roboty.

Rozdział 37

Siostra Ulicia zamasyście otworzyła drzwi i wkroczyła do czarnej jak smoła sali.

- Tovi? Co ty robisz w ciemności? Spisz? - Jej głos zdradzał irytację. - Zbudź się. To my. Wreszcie tu dotarliśmy.

Płomyki nad dłońmi Sióstr zdołały oświetlić jedynie pochodnie, tkwiące w uchwytych przymocowanych do ścian po obu stronach. Siostry posłały płomyki do pochodni, a te z sykiem zapłonęły. Blask zalał salę z półkami wyciętymi w żółtawych skalnych ścianach.

Po przeciwległej stronie niewielkiej sali stał ciężki stół z żelaza i desek. Za nim, w wysokim, ozdobnie rzeźbionym krześle, siedział krzepki mężczyzna. - Podpierał brodę kciukiem i obserwował je.

Kahlan jeszcze nigdy nie widziała tak groźnie wyglądającego człowieka.

Trzy Siostry znieruchomiały i szeroko otworzyły oczy. Wstrząśnięte, nie mogły uwierzyć własnym zmysłom.

Potęźnie zbudowany mężczyzna siedział spokojnie za stołem, przyglądając się trzem Siostrom. Nie odezwał się, nie poruszył, nie okazał ani odrobiny pośpiechu - co tylko zwiększało niemal namacalne poczucie zagrożenia. Słysać było wyłącznie syk pochodni.

Mężczyzna - o masywnych, umięśnionych barach i byczym karku - stanowił uosobienie niebezpieczeństwa. Był bez koszuli. Muskularne ramiona rozpychały rozchyloną, odsłaniającą potężną pierś kamizelę z jagnięcej skóry. Srebrne obręcze opasywały wydatne bicepsy. Na każdym z grubych palców miał srebrny lub złoty pierścień - nie dla ozdoby, lecz by bezczelnie chęć się grabieżami. Wygolona czaszka połyskiwała w migotliwym blasku pochodni. Kahlan nie mogła go sobie wyobrazić z włosami; to by osłabiało grozę, którą budził. Od złotego kółka w lewym nozdrzu do kółka w połowie lewego ucha biegł złoty łańcuszek. Był gładko wygolony, z wyjątkiem splecionych w warkoczyk wąsów opadających od kąćców drwiąco uśmiechniętych ust i takiegoż warkoczyka opadającego w połowie dolnej wargi.

I choć był tak groźny, straszny i pozbawiony skrupułów, i tak najgorsze były oczy, niczym z koszmaru. W ogóle nie miały białek. Przez ich

atramentową czerń przemykały posępne, mroczne cienie. Ale Kahlan i tak od razu wiedziała, kiedy na nią spojrział. Pod jego spojrzeniem poczuła się naga. Ogarnęła ją panika, kolana się pod nią uginały.

Kiedy przeniósł wzrok na Siostry, Kahlan sięgnęła na oślep po Jillian i opiekuńczo objęła ją ramieniem. Czuła, jak dziewczynka drży. Zorientowała się jednak, że obecność tego człowieka w ogóle małej nie zdziwiła.

Nie mogła zrozumieć milczenia Sióstr, ich bierności. Ten człowiek wyglądał tak groźnie, że jej zdaniem powinny go już spopielić dla własnego bezpieczeństwa. Siostry nigdy wcześniej nie wahały się zabić osoby, która mogłaby im sprawić kłopoty. A ten mężczyzna najwyraźniej był groźniejszy niż wszystkie kłopoty razem wzięte. Sprawiał wrażenie, iż z łatwością skruszyłby w garści ich czaszki, wyraz jego oczu zaś świadczył, że przywykł do oglądania czegoś takiego.

Za plecami Kahlan z ciemnych kątów sali wyszli dwaj krzepcy żołnierze i zamknęli dwuskrzydłowe drzwi. I oni groźnie wyglądali, a ich twarze pokrywał niesamowity tatuaż. Masywne mięśnie lśniły od potu i sadzy, jakby nigdy nie zmywali tłustego dymu ognisk. Kiedy stanęli przed zamkniętymi drzwiami, Kahlan przez odór palącej się smoły wyczuła kwaśną woń ich potu.

Ci dwaj na pewno byli gotowi na wszystko. Na ich piersi krzyżowały się grube, nabijane ćwiekami rzemienie, przy których wisały najrozmaitsze noże. Zawieszane u pasów bojowe topory i maczugi lśniły w blasku posykujących pochodni. Ich twarze też były nabijane metalowymi kolcami - uszy, brwi i grzbiet nosa. Zupełnie jakby wbili sobie tam gwoździe. Także oni mieli wygolone czaszki. Obaj nie całkiem przypominali ludzi, a już tym bardziej cywilizowanych. Byli raczej okazami rozmyślnego wypaczenia człowieczeństwa - istotami mającymi w sobie coś z bestii, które wybrały stal i ogień.

Mieli krótkie miecze, lecz ich nie dobyli. Ani trochę nie obawiali się Sióstr.

- Imperator Jagang... - rozległ się i zaraz umilkł słaby głos spanikowanej Siostry Ulicii. Imperator Jagang!

Te dwa słowa wstrząsnęły Kahlan aż do głębi.

Widziała z daleka jego armię oraz mijała miasta, które zaatakowali jego żołnierze - i bała się go bardziej niż Sióstr. Męskość nadawała otaczającej go

groźnej aurze dodatkowy, obcy wymiar.

Od kiedy pamiętała, robiły wszystko, żeby się trzymać z dala od Jaganga, a mimo to był tutaj, siedział przed nimi. Był swobodny, rozluźniony, jak ktoś, kto nad wszystkim panuje. Sprawiał wrażenie, że nie ma żadnych zmartwień. Nawet Siostry Mroku go nie niepokoiły.

Kahlan wiedziała, że nie jest to przypadkowe spotkanie. Zostało zainscenizowane.

Ale nie tylko zasłyszane rozmowy Sióstr i uparte unikanie spotkania z nim wzbudziły w Kahlan strach przed Jagangiem. Było coś jeszcze - coś głębszego, mroczny lęk zakorzeniony w jej duszy, coś w rodzaju wspomnienia, do którego nie mogła dotrzeć, zdradzającego swoje istnienie niewyraźnym, lecz złowieszczym cieniem.

Kahlan zerknęła w bok i przekonała się, że Siostry tkwią nieruchomo w miejscu, jakby się obróciły w kamień. Były przeraźliwie blade.

Siostra Ulicia miała na sobie błękitną suknię, wybraną specjalnie na spotkanie z Tovi. Strój był teraz zakurzony nie tylko po wspinaczkę na skalny cypel, ale i po zejściu w jego trzewia. Siostra Armina była w sukni z białymi koronkami przy mankietach i głębokim dekolcie. W tej sytuacji - na pylistym cmentarzu, w obecności pożądliwie patrzących żołdaków - koronki wyglądały naiwnie i śmiesznie. Siostra Cecilia, starsza, bardzo opanowana, jak zwykle schludna z kręconymi siwymi włosami, sprawiała wrażenie bliskiej szaleństwa.

Złowieszcze oczy Jaganga obserwowały trzy Siostry. Kahlan wiedziała, że napawał się tą chwilą, ich przerażeniem i paniką. Wiedziała, że gdyby Siostry mogły jakoś zareagować, już by to zrobiły.

Siostra Armina wysunęła język i zwilżyła wargi.

- Ekscelencjo - powiedziała cichym, pełnym napięcia głosem. Kahlan uznała, że to żałosna próba pełnego szacunku powitania, zrodzona z przerażenia, a nie z szacunku.

- Ekscelencjo - odezwała się drżącym głosem Siostra Cecilia. Kahlan zdarzało się, choć rzadko, widzieć Siostry ostrożne lub nieufne, ale nigdy nie widziała, żeby się bały. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłyby być wystraszone. Zawsze zdawało się, że nad wszystkim panują. Teraz ich charakterystyczna wyniosłość zniknęła.

Wszystkie trzy Siostry skłoniły się mechanicznie, niczym marionetki.

Siostra Ulicia wyprostowała się i przełknęła ślinę, drżąc z przerażenia. Choć była tak wystraszona, ciekawość i trudna do zniesienia cisza skłoniły ją do odezwania się.

- Co tutaj robisz, Ekscelencjo?

To tak kobiece pytanie zmieniło groźne, gniewne spojrzenie Jaganga w pełen wyższości uśmiech.

- Ulicio, Ulicio, Ulicio - westchnął ciężko. - Naprawdę jesteś przeraźliwie głupią suką.

Trzy kobiety opadły na kolano, jakby je powaliła niewidzialna pięść. Cichutko, płaczliwie zaskomlały.

- Błagamy, Ekscelencjo, my nie chcieliśmy...

- Dokładnie wiem, co chcieliście. Dobrze znam całą obrzydliwą zawartość waszych umysłów.

Kahlan nigdy nie widziała Siostry Ulicii wystraszonej, a już na pewno tak wstrząśniętej.

- Ekscelencjo... nie rozumiem...

- Jasne, że nie - odparł szyderczo, kiedy jej słowa rozplynęły się w ciszy. - I właśnie dlatego to wy klęczycie przede mną, a nie ja przed wami, na co tak liczyłyście, nieprawdaż, Armino?

Popatrzył na nią i Siostra Armina wydała pełen przerażenia okrzyk. Krew zaczęła się sączyć z jej uszu i ściekać po śnieżnobiałej szyi. Ale nie poruszyła się, tylko lekko drżała.

Jillian mocno wczepiła się w Kahlan, a ona dotknęła dłonią policzka dziewczynki, przytuliła ją i usiłowała pocieszyć, chociaż w obliczu takiego człowieka nie mogło być żadnego pocieszenia.

- Czyli masz też Tovi? - zapytała Siostra Ulicia, nadal tak zdumiona obrotem całej sprawy, że nie mogło jej się to pomieścić w głowie.

- Tovi! - Jagang wybuchnął gburowatym śmiechem. - Tovi! Ależ Tovi już od wieków nie żyje.

Siostra Ulicia wytrzeszczyła oczy w przerażeniu.

- Nie żyje?!

Machnął wzgardliwie ręką.

- Wreszcie została odesłana w zaświaty przez naszą wspólną przyjaciółkę, bardzo niewierną i zdradliwą przyjaciółkę. Coś mi się zdaje, że Opiekun zaświatów ma Tovi za złe, że go zawiodła. Będziecie miały całą

wieczność, żeby się przekonać, jak go to gniewa. - Znów się szyderczo uśmiechał, patrząc gniewnie na Ulicię. - Ale najpierw ja zajmę się wami w tym życiu.

Siostra Ulicia skłoniła głowę.

- Oczywiście, Ekscelencjo.

Kahlan zauważyła, że Siostra Armina się zmoczyła. Siostra Cecilia sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem... lub krzykiem.

- Ekscelencjo - zaryzykowała Siostra Ulicia - jak mogłeś... to znaczy przy naszej więzi.

- Wasza więź! - Jagang znów ryknął śmiechem, uderzając dłonią w stół. - Atak, wasza więź z lordem Rahlem. Wasza wzruszająca lojalność wobec lorda Rahla, która „chroni” was przed moimi talentami Nawiedzającego Sny.

Kahlan podupała na duchu, usłyszawszy, że Siostry zawarły jakiś sojusz z lordem Rahlem. Z jakiegoś powodu miała o nim lepsze zdanie. Zabolęło, że się pomyliła.

- My nie walczymy z Richardem Rahlem - odezwał się falsetem, splatając prześmiewczo ręce. Najwyraźniej cytował jakieś dawne słowa Ulicii. - To Jagang na niego dybie, chce go zniszczyć. My będziemy władać mocą Ordenu i wtedy damy Richardowi Rahlowi to, co jedynie my będziemy mogły mu dać. To wystarcza, żeby zachować naszą więź i chronić nas przed Nawiedzającym Sny. - Przestał udawać kobietę. - Wasza lojalność i oddanie wobec lorda Rahla są wzruszające. - Grzmotnął pięścią w stół. Spurpurowiał z wściekłości. - Czy wy, durne suki, naprawdę wierzycie, że uchroni was tą więź z lordem Rahlem, którą sobie wymyśliłyście?!

Kahlan przypomniała sobie rozmowę Sióstr na ten sam temat. Pamiętała, że wtedy też nic z tego nie mogła zrozumieć. Dlaczego Richard Rahl miałby mieć coś wspólnego z tymi złymi kobietami, a już zwłaszcza zawierać z nimi jakiś pakt? Czy naprawdę mogło tak być? Czyżby nie był lepszy od nich?

Ale i tak jedno było zupełnie pozbawione sensu. Jeżeli złożyły mu przysięgę, to dlaczego ukradły z jego pałacu szkatuły?

- Ale przecież magia więzi... - Głos Siostry Ulicii ucichł.

Jagang wstał, a wszystkie trzy zachłysnęły się oddechem i zaczęły jeszcze mocniej trząść. Kahlan była pewna, że gdyby mogły, cofnęłyby się

przynajmniej o krok, a nawet bardziej.

Potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć, że są tak głupie, by tego nie pojmować.

- Ulicio, byłem tamtego dnia w waszych umysłach i obserwowałem to żałosne wydarzenie. Byłem tam przed laty, kiedy proponowałyście Richardowi Rahlowi ten plan. I muszę wam powiedzieć, iż nie wierzyłem, że mówicie serio. Trudno mi było uwierzyć, że możecie być aż tak głupie, by sądzić, że jesteście w stanie zawrzeć taki układ, by się ode mnie uwolnić.

- Ale przecież się udało.

- Nie. Mowy nie było, żeby coś takiego zadziało. To był jedynie irracjonalny pomysł. Chciałyście wierzyć, że się uda, to i wierzyłyście.

- Byłeś tamtego dnia w naszych umysłach? - zapytała Siostra Cecilia. - Dlaczego pozwoliłeś nam wierzyć, że się udało?

Wbił w nią atramentowoczarne oczy.

- Nie pamiętasz, co wam powiedziałem na samym początku, kiedy po raz pierwszy przede mną stanęłyście? Kontrola. Powiedziałem wam, że to ważniejsze od zabijania. Powiedziałem wam wtedy, że mógłbym wszystkie sześć zabić, ale co by mi z tego przyszło. Dopóki nad wami panuję, nie stanowicie dla mnie zagrożenia, a mogę was wykorzystać na wiele sposobów. Nie, jasne, że tego nie pamiętacie, bo wołałyście myśleć, że jesteście na tyle bystre, by oszukać mnie tym swoim pokrętnym, nedorzecznym conceptem więzi. Uważacie, że jesteście zbyt cwane, by was przechytrzyć, i dlatego znów przede mną stoicie, nigdy nie wyrwawszy się spod mojej władzy.

- A mimo to pozwoliłeś... żebyśmy się zajmowały naszą sprawą? - zapytała Siostra Cecilia.

Jagang wzruszył ramionami i wyszedł z za stołu.

- Mogłem was powstrzymać w każdej chwili, gdybym zechciał. Wiedziałem, że mam was w garści. Ale co bym przez to zyskał? Ledwie kilka Sióstr Mroku więcej, których i tak miałem całe mnóstwo... choć do dziś ich liczba poważnie zmalała. - Nachylił się ku nim i wyjaśnił: - Takie jak wy masowo umierają za sprawę Bractwa Ładu. - Wyprostował się i dodał: - Ale wasz przypadek dostarczył mi czegoś wielce interesującego. Miałem Siostry Mroku, które coś knuły. - Postukał się grubym palcem w skroń. - Mające chytne plany i wiedzę, jak je zrealizować. Macie wiedzę zdobytą w

podziemiach Pałacu Proroków, podziemiach pełnych ksiąg, których już nie ma. I choćby wasze plany były czasem nie wiadomo jak bzdurne, czego przykładem wasza obecna sytuacja, wcale nie umniejsza to waszej wiedzy zdobytej przez dziesięciolecia studiów ani nie znaczy, że wszystkie były nie do zrealizowania.

- Czyli cały czas znałeś nasze plany? Od tego dnia z Richardem Rahlem?

Jagang spojrzał gniewnie na Siostrę Ulicę.

- Jasne, że tak. Znałem twój plan w chwili, kiedy go powzięłaś. - W jego głosie zabrzmiała groźba. - Myślałyście, że wkradam się jedynie do ludzkich snów. O nie. Myślałyście, że kiedy się budzicie, znikam z waszego umysłu. A byłem w nim. Kiedy już wniknę do czyjegoś umysłu, Ulicio, to tam jestem. Zawsze. Wiem, co i kiedy myślisz. Znam każde świństwo, które ci przyjdzie do głowy. Każdą myśl, każdy czyn, każde plugawe pragnienie, jakbyś o tym powiedziała na głos. Tailem przed tobą swoją obecność, więc naiwnie wierzyłaś, że mnie tam nie ma, a byłem. - Pogroził jej grubym paluchem. - O, Ulicio, byłem tam. Kiedy powiedziałaś Richardowi Rahlowi, że chcesz mu złożyć przysięgę w zamian za kogoś, na kim mu bardzo zależało, ledwie mogłem uwierzyć, iż według ciebie to zadziała.

Kahlan z jakiegoś powodu zrobiło się smutno, gdy usłyszała, że Richard Rahl ma kogoś, na kim mu bardzo zależy. Sądziła, że od dnia, w którym była w jego przepięknym ogrodzie, czuje, iż łączy ją z nim jakaś głęboka osobista więź, choćby to było jedynie wspólne upodobanie do roślin, przyrody, a zatem i otaczającego ich świata, świata życia. A teraz słyszała, że on układa się z Siostrami Mroku i że ma kogoś, na kim mu bardzo zależy. W jeszcze większym stopniu poczuła się nikim. Zastanawiała się, co też jej przedtem chodziło po głowie.

- Ale, ale - wydukała Siostra Ulicia - to działało... Jagang pokręcił głową.

- Wierność na waszych warunkach; wierność, chociaż nadal dążyłybyście do jego upadku, chociaż ciągnęłybyście to wszystko, czemu on jest przeciwny; wierność, choć wciąż byłybyście związane przysięgą z Opiekunem zaświatów, wierność, upichcona z waszych wyselekcjonowanych egoistycznych pragnień: to tylko życzenia. Życzenia nie spełnią twoich pragnień tylko dlatego, że tego chcesz.

Kahlan zrobiło się troszkę lżej, kiedy usłyszała, że Siostry nie przestały dążyć do upadku lorda Rahla. Może to oznaczało, że wcale nie był ich

sprzymierzeńcem. Może i jego, podobnie jak ją, wykorzystano wbrew jego woli.

- Ledwie wierzyłem własnym uszom, gdy słuchałem, jak przedstawiacie mu warunki waszej lojalności - mówił Jagang, zamaszycie gestykulując - twierdząc, że owa wierność będzie weryfikowana moralnym filtrem stosowanym przez was, a nie przez niego. Jeżeli już zamierzałaś brać te pomysły nie wiadomo skąd, to czemu nie oszczędziłaś sobie trudu i nie uznałaś, że samą siłą woli zamknęłaś swój umysł przed Nawiedzającym Sny? To by było równie skuteczne. - Potrząsnął głową. - Oj, Ulicio, Ulicio. Jakże okrutne jest życie, że nie spełniło twoich irracjonalnych pragnień. - Wykonał obszerny gest. - A równie zdumiewające jest, że także reszta twoich Sióstr w to wierzyła. Wiem to. Byłem również w ich umysłach, obserwowałem, jak się cieszą, że się ode mnie uwolnią, bo głosiłaś, że tą specyficzną wiernością zapewnisz więź z lordem Rahlem.

- Ale pozwoliłeś nam to zrobić - odezwała się Siostra Ulicia, nadal nie posiadając się ze zdumienia. - Dlaczego nas wtedy nie ukarałeś?

Jagang wzruszył ramionami.

- Miałem w garści mnóstwo Sióstr. To była interesująca sposobność. Bardzo dużo skorzystałem z wiedzy innych. Wiedza o różnych sprawach daje człowiekowi władzę, której by inaczej nie zyskał. Postanowiłem się przekonać, do czego dojdziecie, jeżeli zostawię was samym sobie. Przekonać się, czego się dla mnie dowiecie. W końcu w dowolnej chwili mogłem zabić każdą z was, gdyby mi się znudził ten eksperyment. Niekiedy ogromnie mnie to kusilo, na przykład, gdy Armina powiedziała: „Chętnie powiesiłabym Jaganga i zabawiła się z nim po swojemu”. - Uniósł brew. - Pamiętaj, Armino?

Nie martw się, jeżeli ci to uciekło z głowy. Będę ci o tym od czasu do czasu przypominał, ot, żeby odświeżyć ci pamięć. Siostra Armina błagalnie uniosła rękę.

- Ja... ja tylko...

Wbijał w nią gniewny wzrok, póki nie umilkła, nie będąc w stanie się usprawiedliwić.

- Tak, cały czas tam byłem - ciągnął. - Tak, wszystko widziałem. Tak, w dowolnej chwili mogłem was zabić. Ale mam coś, czego ty nie masz, Ulicio. Cierpliwość. Cierpliwością możesz przesunąć góry albo je obejść, albo się

przez nie przepawić.

- Przecież mogłeś dopaść Richarda Rahla, kiedy proponowałyśmy mu nasze warunki. Albo potem, w obozie.

- Wy też mogłyście go dopaść w obozie. Rzuciłyście na niego urok i był bezsilny. Mogłyście to wtedy zakończyć. Dlaczego tego nie zrobiłyście? Miałyście ważniejsze plany, więc zostawiłyście go w spokoju, sądząc, że więź z nim będzie was strzec, kiedy będziecie gonić za tym, co dla was takie ważne.

- Ale tobie nie był potrzebny - upierała się. - Mogłeś go wtedy dopaść.

- Zabijanie za karę nie jest złe, ale nie może się równać z tym, co można ludziom zrobić, póki żyją. Weźmy wasz przypadek. Jeżeli w tym życiu służyło się Stwórcy, to śmierć przynosi nie karę, lecz nagrodę na tamtym świecie. Ale wy trzy nie dostajecie blasku Stwórcy. I co bym z tego miał? Tymczasem dopóki ktoś żyje, mogę go dręczyć. - Nachylił się ku nim. - Zgadza się z tym?

- Tak, Ekscelencjo - zdołała wykrztusić Siostra Ulicia. Z jej ucha pociekła strużka krwi.

- Podobały mi się fragmenty waszego planu - oznajmił, prostując się. - Dobrze pasowały do moich zamierzeń. Na przykład te szkatuły Ordenu. Po co miałbym zabijać Richarda Rahla, gdy mam okazję zrobić o wiele więcej, niż po prostu go zgładzić. Chcę, by żył i niewypowiedziane cierpiał. Pozwalając mu żyć tamtego dnia w obozie, co i wy zrobiłyście, rzucając czar chainfire, wiedziałem, że będę mógł wykorzystać tę nową sposobność i wszystko mu odebrać. A ponieważ byłem w waszych umysłach, tak samo jak wy byłem chroniony przed chainfire. Teraz zaś, dzięki temu, co mi dałyście, mogę pozbawić Richarda Rahla jego władzy, krainy, ludu, przyjaciół, najbliższych. W imieniu Bractwa Ładu mogę odebrać mu wszystko. - Z całej siły zacisnął pięść i zgrzytnął zębami. - Za to, że przeciwstawia się naszej słusznej sprawie, zamierzam go złamać, a gdy już mu wszystko odbiorę, zadam mu każdą istniejącą torturę i zgaszę płomień tej duszy. A wy mi to wszystko umożliwiłyście.

Siostra Ulicia ze łzami w oczach kiwała głową nad wszystkim, co było dla niej stracone. Wydawała się pogodzona ze swoimi nowymi obowiązkami.

- Ekscelencjo, niczego nie dokonamy bez księgi, po którą tu przybyłyśmy. Jagang wziął ze stołu tom i pokazał im.

- Księga Opisania Mroków. Księga, po którą tu przyszłyście. Zadbalem o to, żeby ją odszukać, kiedy czekałem na was. - Odłożył książkę na stół. - Niezwykle rzadka księga. To, ma się rozumieć, jedna z paru kopii, których nigdy nie miano sporządzać, i dlatego ją tu ukryto. Rzecz jasna, byłem w waszych umysłach, kiedy się tego dowiedziałyście. Nawet dostarczyłyście mi sposób weryfikacji. - Przeniósł to swoje niepokojące spojrzenie na Kahlan. - I założyłyście jej na szyję obrozę, dzięki której mogę ją kontrolować. - Uśmiechnął się protekcjonalnie do Siostry Ulicii. - Rozumiesz, że skoro jestem w twoim umyśle, to wystarczy, iż rozkażę, i poprzez ciebie będę kontrolować każdy jej ruch równie łatwo, jak ty to robisz.

Kahlan straciła nadzieję, że uda jej się uciec. O ile Siostry były okrutne, o tyle ten człowiek był znacznie gorszy. Jeszcze nie poznała jego zamiarów, lecz nie miała złudzeń, iż mogłyby nie być plugawe.

Ale coś zaczęło do niej docierać. Z jakiegoś powodu była ważna dla Sióstr, a teraz również dla Jaganga. Jak mogłaby zostać wykorzystana do weryfikacji starożytnej, ukrytej przez tysiące lat księgi? Zawsze mówiono jej, że jest nikim, że jest tylko i wyłącznie niewolnicą. Zaczęła pojmować, że Siostry ją okłamywały. Chciały, żeby myślała, że jest nikim. A okazywało się, że jest dla nich wszystkich niezmiernie ważna.

Jagang wskazał Jillian.

- Oprócz obroży mam i ją, żeby łatwiej mi było przekonać tę tu Kahlan do zrobienia tego, co jej każę. Powiedz mi, kochanieńka, byłaś kiedy z mężczyzną?

Jillian wtuliła się w Kahlan.

- Obiecałeś, że wypuścisz mojego dziadka. Obiecałeś, że jeżeli zrobię dokładnie tak, jak mówisz, i przyprowadzę tu Siostry, uwolnisz jego i innych. Zrobiłam, co mi kazałeś.

- Tak, zrobiłaś. I naprawdę byłaś bardzo przekonująca. Byłem tam, w ich umysłach, cały czas, obserwując twój występ. Bezbłędnie wypełniałaś moje instrukcje. - Jego głos stał się równie groźny jak gniewne spojrzenie. - A teraz odpowiedz na pytanie albo twój dziadek i tamci staną się rankiem żerem dla sępów. Byłaś kiedyś z mężczyzną?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparła cicho.

- No tak. Jeżeli Kahlan nie zrobi wszystkiego, co jej każę, zostaniesz oddana moim żołnierzom, żeby się z tobą zabawili. Lubią takie dziewczuszki

jak ty, które jeszcze nie doświadczyły... pragnień, jakie oni mają.

Jillian mocniej zamknęła palce na spódnicy Kahlan. Przytuliła buzię do jej ręki, tłumiąc szloch. Kahlan ścisnęła jej ramię, usiłując ją pocieszyć, dać jej znać, że nie pozwoli - o ile zdoła - by spotkało ją coś złego.

- Masz mnie - odezwała się Kahlan. - Zostaw ją w spokoju.

- Tovi ma trzecią szkatułę - powiedziała Siostra Ulicia. Kahlan nie miała wątpliwości, że tamta stara się grać na zwłokę, zyskać na czasie i przypochlebić się Jagangowi.

Imperator zerknął na nią wściekle.

- Ukradziono jej szkatułę.

- Ukradziono? Pomogę ci ją odnaleźć.

Jagang przysiadł na stole i skrzyżował krzepkie ramiona.

- Ulicio, kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że nie tylko tkwię przed tobą, ale i jestem w twoim umyśle, i znam wszystkie twoje myśli. Ale knuj sobie, knuj. Nieźle ci idzie. Zawsze wymyślasz takie wspaniałe plany - rzekł z pełnym zadowolenia westchnieniem, podchodząc do niej. - Więcej udało ci się z nich zrealizować, niż się spodziewałem.

W jego głosie pojawiła się nutka, która przyprawiła Kahlan o dreszcze.

- Tylko popatrz, co zyskałem dzięki mojej cierpliwości - powiedział, odwracając się ku Kahlan i wbijając w nią spojrzenie swoich straszliwych, atramentowoczarnych oczu. - Chciałaś wiedzieć, dlaczego pozwoliłem wam chodzić, gdzie chcecie, i robić, co chcecie? Oto odpowiedź. Dając wam swobodę, Ulicio, zdobyłem najwspanialszą z nagród.

Teraz Kahlan nie miała już wątpliwości, że dobrze się domyśliła. Z jakiegoś powodu była cenna. Żałowała, że nie wie dlaczego. Żałowała, że nie wie, kim naprawdę jest.

Mogła tylko patrzeć, jak Jagang ku niej podchodzi. Nie było dokąd uciec. Ale na wypadek, gdyby jej coś takiego przyszło do głowy, zesłano gwałtowny ból, który spłynął ogniem po jej kręgosłupie i unieruchomił nogi. Wiedziała, że to Siostry posłużyły się obrożą, bo dokładnie to samo już kiedyś zrobiły. On, rzecz jasna, miał tego świadomość, bo cały czas był w ich umysłach, był tego świadkiem. A bezlitosna mina uzmysłowiła Kahlan, że tym razem to on jest przyczyną bólu.

Jagang wyciągnął rękę i wsunął grube paluchy we włosy Kahlan. Nie chciała, żeby ją dotykał, ale nie mogła temu zapobiec. Wpatrywał się w nią,

jakby zapomniał o pozostałych.

- Tak, Ulicio, z całą pewnością sprowadziłyście mi najwspanialszą zdobycz. Przyprawdziłyście mi Kahlan Amnell.

Amnell.

Teraz znała swoje nazwisko. Wyczuła leciutkie zawahanie, jakby należało po nim wymienić tytuł.

Jagang pochylił się ku niej z obleśnymi uśmiechem, którego podtekstu wołała nie zauważać. Nawet nie drgnęła, z własnej woli, choć właściwie nie miała wyboru. Przyłgnął do niej krzepkim, umięśnionym ciałem. Zupełnie jakby czuła ciężar napierającego na nią byka. Palcem odsunął jej włosy z szyi.

- Ale Kahlan nie wie, kim jest. Nie ma pojęcia, jaka jest cenna - szeptał do ucha, drapiąc zarostem policzek.

Kahlan po raz pierwszy żałowała, że nie jest niewidzialna. Wołałaby, żeby ten człowiek jej nie widział, tak jak wszyscy z wyjątkiem Sióstr i Jillian. Nie życzyła sobie, żeby ją rozpoznawał. Żeby był blisko niej.

- Nawet się nie domyślasz - szeptał głosem budzącym w niej przeraźliwy lęk - jakie to będzie dla ciebie nieprzyjemne. Oplaciło się być cierpliwym, znosić to wszystko od Ulicii. Staniemy się sobie bliscy, ty i ja. Jeżeli myślisz, że życzę wszystkiego, co najgorsze, lordowi Rahlowi, to nie masz pojęcia, co wymyśliłem dla ciebie, kochanieńka.

Kahlan nigdy w życiu nie była taka samotna i bezsilna. Poczwała, że wbrew woli łza spływa jej po policzku. Ale udało jej się stłumić szloch.

Rozdział 38

Kiedy Jagang się odwrócił i już na nią nie patrzył, Kahlan odetchnęła z ulgą, że wreszcie zabrał swoje łapska, choć tylko dotknął jej włosów. Drżała z bezsilności i lęku, wywołanych jego bliskością. Dobrze rozumiała to znaczące spojrzenie. Wiedziała, że może z nią zrobić, co tylko zechce, że jest całkowicie zdana na jego łaskę.

Nie. Ciągle jeszcze oddycha. Nie powinna się poddawać takim myślom. Nie może myśleć, że jest bezsilna.

Powinna rozumować, a nie ulegać panice. Panika w niczym jej nie pomoże. Może i nie ma kontroli nad własnym życiem, lecz wiedziała, że wyda się na pastwę Jaganga jeżeli pozwoli, by kierował nią obłądny strach. A tego właśnie chciał imperator.

Stojący przy ciężkim stole Jagang przysunął ku sobie księgę. Odchylił okładkę, wsparł się na obu rękach i w milczeniu patrzył na stronicę. Pochylone krzepkie bary, potężnie umięśnione plecy i gruby kark bardziej przypominały cielsko byka niż człowieka. To, co miał na sobie, jeszcze bardziej podkreślało jego mało ludzki wygląd. On i jego ludzie świadomie odrzucili najszlachetniejsze ludzkie ideały i przybrali dziki, zwierzęcy wygląd. Dążenie do niższych zamiast do wyższych form egzystencji ujawniało główny element zagrożenia, jakie stanowili ci ludzie. Chcieli być nie ludźmi, ale niższymi istotami.

Dwaj potężni strażnicy stali przy drzwiach; rozstawili stopy, dłonie spleli za plecami. Kahlan położyła dłoń na ramieniu Jillian, gdy dziewczynka spojrzała na nią, zaniepokojona obecnością żołnierzy, którzy od czasu do czasu zerkali na nią złowieszczo.

Obaj żołnierze nie widzieli Kahlan. Tak jej się przynajmniej zdawało. Obserwowała ich zachowanie i zauważyła, że co jakiś czas, zamiast na Jillian, spoglądali bez większego zainteresowania na Siostry. Kiedy Jagang do niej mówił, obaj wydawali się nieco skołowani. Zmilczeli, lecz Kahlan wiedziała, że musiało im się wydawać, że ich wódz mówi do siebie. Jak wszyscy inni - poza Jillian, Siostrami i Jagangiem tkwiącym w umysłach Sióstr - żołnierze zapominali o niej, nim się w ogóle zorientowali, że ją widzą. Żałowała, że nie jest równie niewidzialna dla ich wodza.

- A co z twoją armią, Ekscelencjo? - zapytała Siostra Ulicia, nadal wyraźnie usiłując zyskać na czasie przez wciągnięcie Jaganga w rozmowę. Ona też próbowała stłumić panikę.

Jagang obejrzał się przez ramię, wrednie uśmiechnięty.

- Jest blisko.

Zdumiona Siostra Ulicia aż zamrugła.

- Blisko?!

Skinął głową, nadal się uśmiechając.

- Tuż za północnym horyzontem, w D'Harze.

- Na północy... w D'Harze! - wyrwało się Siostrze Arminie. - Ależ to niemożliwe, Ekscelencjo.

Uniósł brew, wyraźnie napawając się ich zdumieniem.

- Muszą błędnie donosić o swojej lokalizacji - odezwała się Siostra Armina, chwytając w lot okazję, żeby przypochlebić się imperatorowi. Oblizła wargi. - Problem w tym, Ekscelencjo, że już dawno ich wyprzedziłyśmy. Nadal są w Midlandach i posuwają się na południe, żeby okrążyć blokujące drogę góry. Absolutnie nie mogli...

Jej drżący głos zamilkł, jakby spoglądanie na Jaganga pozbawiło ją całej odwagi, nawet odwagi odzywania się, i zmieniło w uosobienie lęku.

- Och, oni już obeszlili góry i skręcili ku północy, w D'Hare - wyjaśnił imperator. - Podzielałem na wasze umysły, żebyście poszły tam, dokąd chciałem i kiedy chciałem. Zależało mi na tym, żebyście myślały, że jesteście bezpieczne, że wiecie, gdzie jestem. Nigdy nie dosłyszaliście moich podszeptów, ale to one wami kierowały, choć nie byliście tego świadome.

- Przecież widziałyśmy twoje oddziały - powiedziała Siostra Cecilia. - Widziałyśmy je i ominęłyśmy. Zostawiłyśmy je daleko w tyle.

- Widziałyście to, co chciałem wam ukazać - rzekł Jagang z lekceważącym gestem. - Zdawało się wam, że idziecie tam, dokąd chcecie, a to ja was prowadziłem: wprost do siebie i trzonu mojej armii. Kazałem wam minąć kilka dywizji ariergardy, a potem parę jednostek zdążających na południe, do innych części Midlandów. Sprawiałem, że wierzyłyście w to, co chciałem, dbałem, byście się czuły pewnie, a równocześnie czuwałem nad tym, żeby główny trzon armii przemieszczał się zgodnie z moimi planami. Nasze wojska dotarły znacznie dalej, niż wam się zdawało. Chcę zakończyć tę wojnę i czuję, że ów cel wreszcie jest w zasięgu, więc odpowiednio

dostosowałem swoją taktykę. Zazwyczaj nie każę głównym siłom maszerować w takim wyczerpującym tempie, bo to osłabia armię i prowadzi do bezcelowych strat wśród żołnierzy, lecz koniec kampanii już się zarysowuje, więc warto ponieść straty. Poza tym to oni mają służyć sprawie Ładu, a nie na odwrót.

- Rozumiem - powiedziała cicho Armina, przygnębiona kolejnymi wieściami o tym, jak je oszukiwano i w jak trudnym położeniu się znalazły.

- No, a teraz mamy robotę.

Trzy Siostry zniecka skoczyły do przodu, jakby przywleczone na niewidocznych smyczach.

- Tak, Ekscelencjo - rzekły jednym głosem. Najwyraźniej Jagang warknął jakiś rozkaz, który tylko one mogły usłyszeć - ot, żeby im przypomnieć, że jest w ich umysłach.

Kahlan pomyślała, że choć może ją kontrolować za pośrednictwem obroży poprzez umysły Sióstr, to nic nie wskazuje na to, by mógł ją kontrolować bezpośrednio. Nie tylko jej nienawidził, ale też usiłował porazić strachem i w ten sposób pozbawić zdolności myślenia - dodatkowa kontrola, oprócz tej poprzez Siostry i obrożę. Zupełnie jakby go nie było w umyśle Kahlan, chociaż był w umysłach Sióstr.

Jasne, że nie mogła mieć co do tego pewności. W końcu zwodził Siostry, pozwalając im myśleć tak samo - że w ich umysłach nie ma Nawiedzającego Sny, który obserwuje każdą myśl. Więc chociaż musiała brać pod uwagę taką możliwość, zwyczajnie nie sądziła, że jest również w jej umyśle. I jeszcze jedno: traktował ją zupełnie inaczej niż Siostry. One były podstępnyymi brankami, ona - cenną zdobyczą.

Zwodził je w określonym celu. Podśluchiwał ich myśli. Coś knuły, a on chciał dyskretnie podśluchać, co planują, i wykorzystać to. Wiedział, że Kahlan myśli co najwyżej o ucieczce od Sióstr. Żadnych innych planów nie miała. Nawet nie pamiętała, kim naprawdę jest. Jagang nie miał czego podśluchiwać w jej umyśle. I nie było wątpliwości, że nie chce być jego branką, że pragnie odzyskać własne życie. Toteż niczego by się właściwie nie dowiedział, potajemnie szpiegując jej myśli - a przynajmniej nie teraz, póki nie zacznie rozumować, zamiast poddawać się ogłupiającej panice.

Ale jeżeli naprawdę nie było go w jej umyśle, to dlaczego? W końcu był Nawiedzającym Sny, człowiekiem obdarzonym taką mocą, że Siostry starały

się trzymać od niego z daleka - bez skutku, jak się okazało, właśnie z powodu owych uzdolnień i mocy. Ogromnie chciał pojmać Kahlan, tę najcenniejszą ze zdobyczy, jak ją nazwał. Gdyby był w jej umyśle, mógłby ją kontrolować tak samo jak Siostry, nie musiałyby wykorzystywać do tego ich daru. Nie wyglądał na człowieka, który by się uciekał do pośrednich metod kontroli, gdyby nie musiał. Nie potrzebowałby Sióstr, gdyby mógł wnikać do jej umysłu.

A po co teraz miałyby ukrywać swoją obecność w jej umyśle, gdyby naprawdę tam był? Co więcej, skoro była dla niego taka ważna, na pewno wołałyby tamten sposób kontrolowania jej, gdyby to było możliwe. Dlaczego więc nie mógł się dostać do jej umysłu i bezpośrednio jej kontrolować?

Najwyraźniej było coś jeszcze. Czuła, że są sprawy, o których wołał nie mówić.

- Oto ona - powiedział Jagang do Sióstr. - Oto Księga Opisania Mroków. Po nią tutaj przyszłyście, to jej potrzebujecie. Chcę, żebyście od razu zaczęły.

- Ależ, Ekscelencjo - odezwała się Siostra Ulicia, spłoszona tym pomysłem - mamy tylko dwie szkatuły. Potrzebne nam są wszystkie trzy.

- Wcale nie. Musicie skorzystać z tej księgi i dowiedzieć się, czy jedna z waszych dwóch szkatuł jest tą, której w istocie potrzebujecie. Gdyby ta brakująca szkatuła zniszczyła nas lub wszystko, co żywe, to po co nam ona?

Siostra Ulicia wyraźnie miała powody, by potrzebować właśnie tej szkatuły, ale wołała się nie sprzeciwiać.

- Cóż - rzekła, szukając właściwych słów - sądzę, że to zapewne prawda. W końcu nie miałyśmy jeszcze okazji przeczytać Księgi Opisania Mroków, więc niczego nie jesteśmy pewne. Inne źródła mogły się mylić. Przecież dlatego tu przybyłyśmy. Musimy się zapoznać z tą księgą. Być może jest, jak powiedziałaś, Ekscelencjo, i właściwie nie potrzebujemy trzeciej szkatuły.

Kahlan nie miała wątpliwości, że Siostra Ulicia w to nie wierzy. Ale Jagang się tym nie przejmował.

- Oto i ona. - Wskazał księgę leżącą na masywnym stole. - Jak już ją przestudiujecie, będziecie wiedziały, która szkatuła jest która. Której potrzebujemy. Jeżeli okaże się, że te dwie nie są tymi właściwymi, to może do tej pory odnajdzie się trzecia.

Siostry niezbyt miały ochotę się z tym zgodzić, ale wyraźnie nie chciały się sprzeczać.

W końcu, kiedy już wymieniły spojrzenia, Siostra Ulicia przyznała mu rację.

- Żadna z nas jeszcze nie widziała tej książki, więc musimy... z niej wyczytać, co tylko zdołamy. Uważam, że masz rację, Ekscelencjo. Należy przestudiować tę książkę.

Jagang przechylił głowę ku leżącemu na stole woluminowi.

- No to bierzcie się do tego.

Siostry stłoczyły się przy stole i pochyliły nad nim, ze złością, po raz pierwszy patrząc na książkę, której tak długo szukały. Czytały w milczeniu, a Jagang nie spuszczał oka z nich i z książki.

- Ekscelencjo - odezwała się Siostra Ulicia już po chwili - okazuje się, że nie możemy tak po prostu... zacząć, jak to ująłeś.

- Czemu?

- Spójrz tutaj. - Postukała w stronicę. - Zaraz na początku. To potwierdza nasze wcześniejsze podejrzenia o istnieniu odpowiednich zabezpieczeń. Napisano tu, że trzeba... - Zamilkła i obejrzała się przez ramię na Kahlan. - Zaraz na początku napisano - podjęła - że „Prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiedane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły, może zweryfikować jedynie... „ Możesz sam, Ekscelencjo, przeczytać.

Kahlan była pewna, że tamta nie chce wypowiedzieć czegoś na głos. Jagang też przeczytał to w milczeniu.

- I co z tego? - sprzeciwił się. - To jest czytane przez tego, kto ma w swojej mocy szkatuły. Ja to czytam, za waszym pośrednictwem. Teraz ja mam szkatuły.

Siostra Ulicia odkaszlnęła.

- Ekscelencjo, chcę być wobec ciebie absolutnie szczerą...

- Jestem w twoim umyśle, Ulicio. Nie możesz być wobec mnie nieszczerą. Wiem, że wątpisz w mój pomysł, lecz nie chcesz tego głośno przyznać. Czyli, jak się domyślasz, będę wiedzieć, kiedy spróbujesz mnie oszukać.

- Oczywiście, Ekscelencjo. - Wskazała książkę. - Ale sam widzisz, że to bardzo formalny wymóg.

- To znaczy?

- Weryfikacja, Ekscelencjo. To są instrukcje realizowania niezwykle złożonych procesów. Te sprawy są nie tylko ogromnie skomplikowane, ale i

ogromnie niebezpieczne. Dla nas wszystkich. I z tego powodu należy ściśle stosować się do tego, co tutaj napisano. Nie wolno do tego podchodzić beztrąsko. Nie wolno niczego domniemywać. Nie bez powodu wszystko jest tak niezwykle szczegółowe. Należy się zastanowić nad każdym słowem, każdym zdaniem, każdą formułą. Należy rozważyć każdą możliwość. Życie nas wszystkich zależy od najwyższej ostrożności w tych sprawach.

- No i co w tym takiego formalnego? Przecież wyraźnie napisano: „Prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiedane przez kogoś”. Nie są wypowiedane przez kogoś. Sami je czytamy.

- Właśnie w tym cały problem, Ekscelencjo. Nie czytamy ich bezpośrednio.

Twarz Jaganga spurpurowiała z wściekłości.

- No to co twoim zdaniem tutaj robimy?!

Siostra Ulicia spazmatycznie łapała powietrze, jakby jakaś niewidzialna dłoń złapała ją za gardło.

- Teraz ty masz w swojej mocy szkatuły, Ekscelencjo. Ale tak naprawdę nie czytasz Księgi Opisania Mroków.

Pochylił się ku niej groźnie.

- To co czytam?!

- Kopię - wyjaśniła. Jagang znieruchomiał.

- No i?

- No i w tym wypadku, technicznie rzecz biorąc, nie czytasz Księgi Opisania Mroków. Czytasz jej kopię. W rzeczy samej, czytasz coś, co mówi ktoś inny.

Jeszcze bardziej spochmurniał.

- Zatem kto ją czyta?

- Ten, kto sporządził kopię.

Jagang się wyprostował. Jego mina świadczyła, że wreszcie zrozumiał.

- Tak... to nie oryginał. W pewnym sensie słyszę to od tego, kto sporządził kopię. - Podrapał się po nie ogolonym policzku. - Czyli trzeba to zweryfikować.

- Otóż to, Ekscelencjo. - Siostrze Ulicii najwyraźniej ulżyło. Jagang obejrzał się przez ramię na Kahlan.

- Chodź tutaj.

Pospiesznie zrobiła, co jej kazał, chcąc uniknąć bólu w walce, którą by z

łatwością wygrał. Jillian trzymała się tuż przy niej, wyraźnie nie chcąc zostać w pobliżu dwóch groźnych żołnierzy.

Jagang złapał Kahlan za kark wielką łapą. Przyciągnął ją i nachylił ku księdze.

- Spójrz na to i powiedz mi, czy to autentyczne.

Gdy ją puścił, Kahlan nadal czuła bolesne pulsowanie w miejscach, w których krzepkie paluchy wbijały jej się w szyję. Oparła się chęci rozmasowania obolałych miejsc i podniosła księgę.

Nie miała pojęcia, jak stwierdzić, czy księga, której nigdy nie widziała, jest autentyczna czy nie. Nie miała pojęcia, co by potwierdzało autentyczność. Ale wiedziała, że Jagang nie zaakceptuje takiego usprawiedliwienia. Chciał usłyszeć odpowiedź, a nie to, że Kahlan jej nie zna.

Uznała, że przynajmniej powinna spróbować, i zaczęła oglądać księgę, starając się sprawiać wrażenie, że naprawdę się przykłada, choć jedynie odwracała puste karty.

- Przykro mi - powiedziała w końcu, bo nie przychodziło jej do głowy nic poza prawdą - ale to czyste karty. Nie mam czego weryfikować.

- Ona nie może dostrzec słów, Ekscelencjo - rzekła półgłosem Siostra Ulicia, jakby jej to w ogóle nie zdziwiło. - To magiczna księga. Żeby ją przeczytać, niezbędna jest nienaruszona więź ze specyficznymi rodzajami Han.

Jagang zerknął na obrożę na szyi Kahlan.

- Nienaruszona. - Zajrzał jej podejrzliwie w oczy. - Może kłamie. Może zwyczajnie nie chce nam powiedzieć, co widzi.

Kahlan zastanawiała się, czy to potwierdzenie tego, że nie jest w jej umyśle, lub tego, że z jakiegoś powodu dalej wprowadza w życie jakiś przebiegły plan. Nie sądziła, by w takiej chwili niechęć do ujawnienia obecności w jej umyśle - o ile tam był - na cokolwiek się przydała. W końcu to głównie z myślą o szkatułach i księdze oszukiwał Siostry. Wykorzystał swoją utajoną obecność, żeby doprowadzić je tutaj, do tej księgi.

Jagang zniechęca złapał Jillian za włosy. Zaskoczona dziewczynka krzyknęła. Najwyraźniej sprawiał jej ból. Robiła, co mogła, żeby nie drgnąć pod trzymającą ją za włosy ręką, bo inaczej mógłby ją oskalpować.

- Wydłubię jej oko - poinformował Kahlan imperator. - I wtedy spytam

jeszcze raz, czy księga jest autentyczna czy nie. Jeżeli z jakiegoś powodu się nie dowiem, wydlubię jej drugie oko. Wtedy zapytam ostatni raz, a jeśli znów mi nie odpowiesz, wydrę jej serce. Co ty na to?

Siostry stały bez słowa, przyglądając się temu. Nie próbowały się wtrącać. Jagang wyciągnął nóż z pochwy u pasa. Jillian zaczęła się krztusić z przerażenia, kiedy ją okręcił, przydusił do piersi, mocno przyciskając ramieniem szyję, żeby stała spokojnie, i przysunął nóż do oka.

- Daj mi się przyjrzeć księdze - powiedziała Kahlan, żeby uniknąć najgorszego.

Dwoma palcami dłoni trzymającej nóż podniósł księgę ze stołu i podał dziewczynie. Jeszcze raz, dokładniej, ją przekartkowała, upewniając się, że nie przegapiła ani jednej strony, na której coś mogłoby być - ale nadal nic nie widziała. Każda karta była pusta. Nie było niczego, co mogłaby zobaczyć, żadnego sposobu sprawdzenia, czy to autentyk czy nie. Zamknęła okładkę i przesunęła po niej dłońmi. Nie wiedziała, co zrobić. Nie wiedziała, czego szukać. Odwróciła księgę i obejrzała tylną okładkę. Popatrzyła na nie obcięte brzegi kart. Znów odwróciła księgę, patrząc na jej grzbiet ze złotymi literami tytułu.

Jillian wydała zduszony okrzyk, bo Jagang mocniej ścisnął jej gardło, unosząc ją nad podłogę. Przysunął czubek noża do prawego oka dziewczynki. Mrugała, nie mogąc się uchylić. Rzęsy muskały czubek ostrza.

- Czas oślepnąć - warknął imperator.

- To fałszywka - stwierdziła Kahlan. Spojrzał na nią.

- Co?

Kahlan podsunęła mu księgę.

- To błędna kopia. Fałszywka. Siostra Ulicia postąpiła krok ku nim.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Najwyraźniej zdumiało ją, że Kahlan potrafiła orzec, iż to fałszywa kopia, chociaż nie mogła odczytać ani jednego słowa.

Dziewczyna zignorowała ją. Nadal patrzyła w oczy Nawiedzającego Sny, w oczy jak z koszmaru. Przesuwały się w nich nieostre kształty, niczym chmury burzowe na niebie o północy. Musiała wykorzystać całą siłę woli, żeby nie odwrócić wzroku.

- Jesteś pewna? - zapytał Jagang.

- Tak - odparła z całym przekonaniem, na jakie było ją w tej chwili stać. -

To fałszywka.

Imperator, poświęcając całą uwagę Kahlan, puścił Jillian. Mała natychmiast schowała się za nią. Jagang patrzył Kahlan w oczy.

- Skąd wiesz, że to nie Księga Opisania Mroków?

Wciąż wyciągając ku niemu tom, Kahlan odwróciła go tak, żeby mógł zobaczyć grzbiet.

- Szukacie Księgi Opisania Mroków. A tutaj napisano Księga Opisania Mroku.

Wściekł się jeszcze bardziej.

- Co?!

- Pytałeś, skąd wiem, że to nie autentyk. Stąd. Napisano tu „Mroku”, a nie „Mroków”.

Siostra Cecilia ze znużeniem przesunęła dłonią po twarzy. Siostra Armina przewróciła oczami.

Ale Siostra Ulicia, marszcząc brwi, spojrzała na księgę i odczytała tytuł na grzbiecie.

- Ona ma rację.

- No i co z tego? - Jagang wyrzucił ręce w górę. - Zmieniono tylko litery. I wyszło „Mroku”, liczba pojedyncza zamiast mnogiej. Co z tego?

- To proste - powiedziała Kahlan. - Jedno jest prawdziwe, drugie nie.

- Proste? - zapytał. - Uważasz, że to proste?

- A o ileż jeszcze może być prostsze?

- To zapewne bez znaczenia - odezwała się Siostra Cecilia, ochoczo stając po stronie swego porywczego władcy. - Pojedyncza, mnoga, jakaż to różnica? To tylko okładka. Ważny jest wyłącznie tekst.

- To może być zwykła pomyłka - rzekł Jagang. - Może pomyliła się osoba, która oprawiała kopię. Księgę zapewne oprawiał ktoś inny, więc tekst jest bez wątplenia dobry.

- Właśnie - stwierdziła Siostra Armina, również stając po stronie imperatora. - Pomyliła się osoba, która oprawiała księgę, a nie ta, która zrobiła kopię. Jest wysoce nieprawdopodobne, żeby to był ten sam człowiek. Introligator był zapewne nieudolnym prostaczkiem. Ten, kto przepisywał tekst, musiał mieć dar. Liczą się wyłącznie słowa tekstu. To te informacje muszą być prawdziwe, a nie okładka. Nie ma wątpliwości, że to zwykły błąd rzemieślnika oprawiającego księgę i że to nic nie znaczy.

- W tym celu tutaj sprowadziłyśmy - przypomniała im półgłosem Siostra Ulicia. - Nie ma znaczenia, jak proste się to może wydawać. Księga jako taka ostrzega, że w tych okolicznościach musi zostać zweryfikowana przez... nią.

- To wysoce niebezpieczna sprawa. Takie wyjaśnienie jest zbyt proste - oznajmiła Siostra Cecilia.

Siostra Ulicia przekrzywiła ku niej głowę.

- Jeżeli asasyn idzie na ciebie z nożem, to czy jego ostrze jest dla ciebie zbyt zwyczajne, byś uwierzyła, że jest groźne?

Siostra Cecilia nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

- To zbyt zawiła sprawa, żeby można ją tak prosto rozstrzygnąć.

- Czyżby? - Siostra Ulicia spojrzała na nią z gniewnym lekceważeniem. - A gdzie jest napisane, że weryfikacja musi być zawiła? Napisano jedynie, że to ona musi jej dokonać. Żadne z nas nie zauważyło błędu. Ona tak. Wypełniła zalecenie.

Siostra Cecilia popatrzyła z góry na kobietę, która niegdyś była jej przełożoną. Siostra Ulicia już nie miała władzy, już nie trzeba było jej się przypochlebiać.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie - odezwał się Jagang, ciągle patrząc w spokojne oczy Kahlan. - Wątpię, czy ona wie, że to fałszywka. Po prostu próbuje ocalić własną skórę.

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Skoro wolisz tak myśleć. Ale może nie masz wątpliwości, bo chcesz wierzyć, że to wierna kopia - uniosła brew - a nie dlatego, że taka jest.

Jagang wpatrywał się w nią chwilę. Potem nagle wyrwał jej księgę i odwrócił się ku Siostrze.

- Musimy dobrze przyjrzeć się temu, co jest w środku. To ma znaczenie dla wybrania i otwarcia właściwej szkatuły. Musimy się upewnić, że w tekście nie ma żadnego błędu.

- Ekscelencjo - zaczęła Siostra Ulicia - może nie będzie można stwierdzić, czy to, co tu napisano, jest...

- Jagang rzucił księgę na stół, przerywając jej.

- Chcę, żebyście we trzy dokładnie przejrzały cały tekst. Sprawdźcie, czy zdołacie znaleźć jakiś powód, żeby to uznać za fałszywkę.

Siostra Ulicia odkaszlnęła.

- Możemy spróbować...

- Natychmiast! - Grzmiący głos wzbudził echa w sali. - A może wolicie iść do namiotów i zabawić moich żołnierzy? Wybór należy do was. Decydujcie.

Trzy Siostry skoczyły do stołu. Pochyliły się i zaczęły studiować księgę. Jagang wepchnął się między Ulicę i Cecilie, żeby śledzić, co czytają, i mieć pewność, że niczego nie przeoczą.

Rozdział 39

Kahlan się upewniła, że wszyscy czworo są zajęci, cichutko poprowadziła Jillian w głąb sali, nieopodal dwóch wielkich strażników.

- Chcę, żebyś uważnie mnie wysłuchała i zrobiła dokładnie to, co powiem - pouczyła małą szeptem, którego Jagang ani Siostry nie dosłyszeli.

Jillian spojrzała na nią bacznie i czekała.

- Muszę się co do czegoś upewnić. Zamierzam podejść do tych dwóch strażników...

- Co?!

- Ciii. - Kahlan zasłoniła dłonią usta dziewczynki.

Jillian popatrzyła na porywaczy, wystraszona, że przyciągnęła ich uwagę. Ale nic takiego się nie stało.

Kahlan, zadowolona, że dziewczynka zrozumiała, cofnęła dłoń.

- Zaczęłam podejrzewać, że te trzy czarodziejki rzuciły na mnie urok. I że dlatego nie pamiętam, kim jestem. To skutek działania jakiejś magii. Prawie nikt, poza nimi i Jagangiem, nie pamięta, że mnie widzi. Prawie nikt. Nie mam pojęcia, dlaczego ty mnie zapamiętujesz. Założyły mi również obrożę i mogą zadawać poprzez nią ból. Przypuszczam, że strażnicy mnie nie widzą, ale muszę się upewnić. Chcę, żebyś tutaj stała. Nie patrz na mnie, bo się tobą zainteresują.

- Ale...

Kahlan położyła palec na ustach.

- Posłuchaj mnie. Zrób, o co proszę. Jillian w końcu skinęła głową.

Kahlan, nie czekając, aż dziewczynka zmieni zdanie i zacznie się sprzeczać, raz jeszcze się upewniła, czy Jagang i Siostry pilnie czytają. Tak było, więc natychmiast ruszyła. Szła tak cicho, jak tylko była w stanie. Strażnicy mogli nie wiedzieć, że tu jest, ale gdyby Jagang lub Siostry ją usłyszeli, straciłaby okazję, zanim zdążyłaby cokolwiek zrobić.

Obaj żołnierze patrzyli przed siebie, obserwując imperatora. Od czasu do czasu ten stojący bliżej Jillian łypał na nią. Wodził po małej wzrokiem i Kahlan wiedziała, o czym myśli: miał nadzieję, że to jemu imperator da Jillian. Uznała, że w przypadku Jaganga takie sporadyczne nagrody miały być profitem dla tych, którzy zasłużyli sobie na tak odpowiedzialną funkcję

jak osobista straż imperatora. Jillian nie miała pojęcia, co jej grozi. Kahlan musiała jakoś zmienić bieg wypadków.

Kiedy już się znalazła przed strażnikami, uważała, by nie ustawić się pomiędzy nimi a czworgiem ludzi przy stole. Musiała też uważać, by nie przyciągnąć uwagi Sióstr lub Jaganga. Nawet jeśli obaj żołnierze nie byli w stanie jej zapamiętać na tak długo, by wiedzieć, że tam jest, nie miała ochoty się przekonać, co by się stało, gdyby w tajemniczy sposób nagle przestali widzieć swojego wodza. Obaj byli czujni, bez wątpienia świetnie wyszkoleni i trudno było powiedzieć, jaki drobiazg mógłby ich zaalarmować i skłonić do działania. A Kahlan zamierzała narobić mnóstwo kłopotów, ale dopiero wtedy, gdy będzie do tego gotowa.

Stojąc przed wielkimi żołnierzami, zorientowała się, że sięga im zaledwie do ramienia, więc niczego by im nie zasłoniła. Nie spojrzeli na nią, w ogóle jej nie zauważyli. Delikatnie dotknęła metalowego kółka w nosie jednego z nich. Zmarszczył nos, a potem się po nim podrapał, ale nie chwycił jej za rękę.

Kahlan, zadowolona z tego, gładko wyjęła nóż z pochwy przy rzemieniu opasującym pierś żołnierza. Kiedy ostrze pojawiło się w blasku pochodni, bardzo uważała, żeby wyciągać je płynnym ruchem i nie poruszyć pochwy. W końcu nóż się całkiem wysunął, a strażnik niczego nie zauważył.

Dobrze było mieć w dłoni oręż. Przypomniało jej to gospodę Pod Białym Koniem, gdzie Siostry zabiły prowadzące ją małżeństwo. Pamiętała, jak podniosła ciężki rzeźnicki tasak, chcąc powstrzymać je przed skrzywdzeniem córki właścicieli.

Pamiętała głębokie wewnętrzne zadowolenie z trzymania w dłoni oręża, bo dawało to jej poczucie, że może kontrolować własne życie, że łatwiej jej będzie przetrwać. Mieć broń to nie być zdaną na łaskę złych ludzi, którzy nie respektowali praw dyktowanych tak przez człowieka, jak i przez rozum, to nie być bezsilną ofiarą silniejszych, którzy wykorzystywali siłę do podporządkowywania sobie innych.

Kahlan okręciła nóż w dłoni, obserwując, jak połyskuje w migotliwym blasku pochodni. Zacisnęła w palcach rękojeść i chwilę wpatrywała się w ostre, lśniące ostrze.

To było ocalenie. Jeżeli nie dla niej, to przynajmniej dla Jillian.

Przypomniała sobie, gdzie jest i co robi, i pospiesznie wsunęła nóż do

buta. Obejrzała się, sprawdzając, czy Jillian wciąż cicho stoi tam, gdzie ją zostawiła. Oczy dziewczynki były wielkie ze zdumienia. Kahlan odwróciła się od niej i ostrożnie wyciągnęła kolejny nóż z pochwy przy rzemieniu na piersi drugiego strażnika. Ostrze było trochę cieńsze, broń nieco lepiej wyważona. Podobnie jak za pierwszym razem, wsunęła ostrze w cholewkę buta tak, że schowało się w środku. Uważała, żeby nóż nie dotykał jej kostki. A potem wbiła czubek w podeszwę buta. W takiej prowizorycznej pochwie nóż tkwił nieruchomo i nie mógł jej skaleczyć, kiedy szła.

Najciszej jak się dało, na palcach, Kahlan pospiesznie wróciła do wypłoszonej Jillian. Siostry i ich władca z ożywieniem rozmawiali o znaczeniu położenia gwiazd, pogody i pory roku dla powstawania i kumulowania się mocy potrzebnej do określonych zaklęć. Siostry wyjaśniały znaczenie ustępów, a Jagang co chwila o coś pytał, podważając ich hipotezy.

Kahlan była trochę zdziwiona, że on tak dobrze się w tym orientuje. Siostry przekonały się, że o pewnych sprawach dotyczących szkatuł Ordenu wie więcej od nich. Jagang nie wyglądał na człowieka ceniącego książkową wiedzę, lecz tu Kahlan się myliła. Nie rozumiała większości tego, o czym rozmawiali, za to Jagang był czytany i swobodnie dyskutował z Siostrami, zwłaszcza o sprawach, które - jak mówili - można znaleźć wyłącznie w najrzadszych księgach.

Nie był bydlakiem, tępym brutalem. Był jeszcze gorszy. Był bardzo bystrym bydlakiem.

- No dobrze - powiedział Kahlan na tyle cicho, żeby mieć pewność, iż tamci jej nie usłyszą. - Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Nie mamy za dużo czasu.

Jillian wciąż patrzyła na nią wielkimi oczami.

- Jak to zrobiłaś?

- Miałam rację. Nie widzą mnie.

- A to młynkowanie nożem?

Kahlan wzruszyła ramionami, zbywając pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć, i przeszła do ważniejszych spraw.

- Chcę cię stąd wydostać. To może być jedyna okazja. Jillian ten pomysł przeraził.

- Ale jak ucieknę, on zabije mojego dziadka i innych pewnie też. Nie mogę stąd pójść.

- I w ten sposób ma cię w garści. Ale prawda jest taka, że jeżeli nie uciekniesz, to pewnie i tak wszyscy zginiecie. Musisz zrozumieć, że to może być twoja jedyna szansa odzyskania wolności. Drugiej możesz już nie mieć.

- Jesteś tego absolutnie pewna? Jak mogę ryzykować życie dziadka, bo ty myślisz, że coś się może stać?

Kahlan głęboko odetchnęła. Wolałaby tego nie wyjaśniać.

- Nie mam czasu, żeby ci to ładnie i grzecznie wytłumaczyć, spokojnie cię przekonać. Mogę jedynie powiedzieć szczerą i brutalną prawdę. Zaraz to zrobię, więc słuchaj uważnie. Wiem, jacy są tacy ludzie, co robią z młodymi kobietami takimi jak ty i ja. Widziałam to na własne oczy. Widziałam ich nagie, pokaleczone ciała, leżące tam, gdzie żołnierze Imperialnego Ładu skończyli się z nimi zabawiać, lub wrzucone do rowów niczym odpadki. Jeżeli nie uciekniesz, w najlepszym razie spotka cię wiele złego. Przez resztę krótkiego życia będziesz niewolnicą, wykorzystywaną przez żołnierzy dla zaspokojenia ich żądz i dla zabawy, wykorzystywaną w sposób, którego nie chciałabyś poznać. Przez resztę życia albo panicznie się będziesz bać, albo szlochać. To w najlepszym wypadku. W najgorszym zostaniesz zabita, kiedy Jagang stąd odejdzie. Tak czy inaczej, nie możesz liczyć na to, że puści cię wolno. Bez względu na to, czy uciekniesz, czy zostaniesz, może pozwolić odejść twojemu dziadkowi i pozostałym, bo nie będzie mu się chciało kłopotać zabijaniem ich. Jagang ma na głowie ważniejsze sprawy. Ale ty jesteś dla niego cennym łupem. Może cię na przykład oddać tym dwóm strażnikom jako nagrodę za służbę. W ten właśnie sposób podobni Jagangowi skłaniają do lojalnej służby takich bezlitosnych brutalni jak ci dwaj. Dają im takie łakome kąski jak ty. Czy ty w ogóle masz pojęcie, co oni ci zrobią, zanim poderzną ci gardło? Wiesz, co?

Jillian chwilę milczała.

- Wiem, co Jagang miał na myśli, kiedy pytał, czy byłam kiedyś z mężczyzną, ale wolałam udawać, że nie wiem - odparła, przełknąwszy ślinę.

- Wiem, co miał na myśli, mówiąc, że odda mnie tym żołnierzom. I kiedy mówił, że oni lubią dostawać takie młode kobiety jak ja. Wiem, co miał na myśli, wspominając o ich pragnieniach. Rodzina przestrzegła mnie, co może mi grozić od takich obcych. Mama mi to wytłumaczyła. Ale myślę, że nie powiedziała mi wszystkiego, żebym nie miała koszmarnych snów. I że miałabym koszmary, gdybyś ty powiedziała mi to, co wiesz. Przedtem tylko

udawałam, że nie wiem, o czym Jagang mówi, żeby nie zauważył, jak bardzo się boję, żeby nie zrobił tego ze mną.

Kahlan nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Bardzo mądrze postąpiłaś, zachowując tę wiedzę dla siebie. Jillian skrzywiła wargi, tłumiąc płacz nad ponurym losem, który - jak właśnie przyznała - nie był dla niej tajemnicą.

- Masz jakiś plan?

- Tak. Masz długie nogi, ale i tak wątpię, czy zdołasz im uciec. Ale możesz wykorzystać to, co wiesz, a o czym oni nie mają pojęcia. Mówiłaś, że tutaj wystarczy raz źle skręcić i ludzie gubią się w labiryncie tuneli i sal. Jeżeli będziesz mieć choć niewielką przewagę, zdołasz ich zgubić na tych zakrętach. Ten labirynt jest taki skomplikowany, że pewnie nawet moc Sióstr nie pomoże im cię odnaleźć. Poza tym wątpię, żeby Jagang chciał marnować czas na takie próby.

Jillian nadal miała wątpliwości.

- Aleja...

- Jillian, masz okazję uciec. Innej możesz już nie mieć. Nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. A spotka, jeśli zostaniesz. Chcę, byś zrozumiała, że musisz wykorzystać tę szansę. Chcę, byś się stąd wydostała. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Dziewczynkę ogarnęło przerażenie.

- To znaczy... że nie idziesz ze mną?

Kahlan mocno zacisnęła usta i pokręciła głową. Poklepała metalową obrożę.

- Mogą mnie tym zatrzymać. To jakaś magia. Powalą mnie tym. Ale zanim to zrobią, to na tyle ich spowolnię, że zdążysz uciec.

- Ale będą cię dręczyć, a może i zabiją za to, że pomogłaś mi uciec.

- Tak czy inaczej, będą mnie dręczyć. Jagang już obiecał mi najgorsze, co zdoła wymyślić. Nie może zrobić więcej, niż i tak zrobić zamierza. A co do zabicia mnie... nie sądzę, żeby to zrobili, przynajmniej na razie. Nadal jestem im potrzebna. Pomagam ci uciec i już. Zdecydowałam. To mój wybór. To jedyna rzecz, którą mogę zrobić, o której mogę zdecydować. Jeżeli ci pomogę, całe moje życie, bez względu na to, co się ze mną stanie, będzie miało dla mnie większą wartość. Przynajmniej wreszcie zrobię coś, żeby się na nich odegrać. Przynajmniej będę mieć to jedno zwycięstwo nad nimi.

Jillian nie odrywała od niej oczu.

- Jesteś taka dzielna jak lord Rahl. Kahlan uniosła brwi.

- Masz na myśli Richarda Rahla? Znasz Richarda Rahla? Jillian przytaknęła.

- I on mi pomógł.

Kahlan w zadziwieniu pokręciła głową.

- Jak na kogoś, kto żyje w takiej głuszy, poznałaś wielu ważnych ludzi. Co on tutaj robił?

- Powstał z martwych.

- Co? - zdumiała się Kahlan.

- Właściwie to nie z martwych. Tak mi przynajmniej powiedział. Ale wyszedł ze studni zmarłych na cmentarzu, jak zapowiedziały opowieści. Jestem kapłanką kości. Jestem jego sługą, jestem zsyłającą sny. Jest moim mistrzem i panem. Przede mną było wiele kapłanek kości, ale on nigdy do nich nie przyszedł. Nigdy nie sądziłam, że powróci za mojego życia. On też przyszedł szukać ksiąg. I to on znalazł tę salę. Nawet nie podejrzewałam, że ona tutaj jest. Nikt z mojego ludu nie wiedział. Nawet mój dziadek nie wiedział, że jest tutaj to miejsce kości. Richard szukał księgi, która miała mu pomóc odnaleźć kogoś, kto jest dla niego ważny. Książka miała tytuł Chainfire. Kiedy odkrył to miejsce i mnie tu przyprowadził, znalazłam mu tę książkę. Był ogromnie podekscytowany. Był taki szczęśliwy, że to ja pomogłam znaleźć to, czego szukał. Gdy już tu z nim zesłam, cały czas poznawałam to miejsce, zapamiętywałam każdy zakręt i salę. Mam nadzieję, że pewnego dnia Richard powróci, jak mówił, i że wtedy będę mogła mu wszystko pokazać. Bardzo chcę, żeby był ze mnie dumny.

Kahlan czytała w oczach Jillian chęć usatysfakcjonowania tego człowieka, chęć zrobienia czegoś, co by cenił, skłonienia go, by uznał jej wysiłki i uzdolnienia. Chciała zadać dziewczynce tysiące pytań, lecz nie miała na to czasu. Ale jedno musiała zadać.

- Jaki on jest?

- Mistrz Rahl uratował mi życie. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on. - Jillian uśmiechnęła się nieprzytomnie. - Był... boja wiem... - Westchnęła, nie mogąc znaleźć słów.

- Rozumiem - powiedziała Kahlan, widząc rozmarzone spojrzenie oczu barwy miedzi.

- Ocalił mnie od śmierci z rąk żołnierzy, których Jagang wcześniej przysłał. Szukali tych ksiąg. Tak się bałam, że żołnierz, który mnie trzymał, podetnie mi gardło, ale Richard go zabił. Potem utulił mnie w ramionach i osuszył moje łzy. - Popatrzyła na Kahan, odrywając się od wspomnień. - I mojego dziadka też ocalił. No, może nie on sam, ale kobieta, która z nim była.

- Kobieta?

Jillian skinęła głową.

- Nicci. Powiedziała, że jest czarodziejką. Była taka piękna. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Nigdy przedtem nie widziałam tak pięknej kobiety. Była jak stojący przede mną dobry duch, z włosami jak blask słońca i oczami jak niebo.

Kahlan westchnęła. Dlaczego takiemu mężczyźnie nie miałyby towarzyszyć piękna kobieta. Kiedy już o tym usłyszała, nie mogła zrozumieć, czemu nigdy wcześniej nie wzięła tego pod uwagę.

Nie wiedziała dlaczego, ale miała wrażenie, że coś - jakaś nadzieja, której nie śmiała ubrać w słowa, a może nieokreślona tęsknota, którą wciąż czuła za czymś niezmiernie ważnym, ukrytym pod czarną zasłoną, jaką zakryto jej przeszłość - jej się właśnie wyniknęło.

Musiała odwrócić wzrok od oczu Jillian, by myśl o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła, nie pozbawiła jej opanowania.

Obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy imperator i jego Siostry nadal są zajęci, i przy okazji otarła z policzka nieoczekiwaną samotną łzę.

Siostry były jeszcze głębiej zatopione w dyskusji o fachowych terminach z księgi. Jagang pytał, skąd mogą mieć pewność, że pewne ustępy są prawidłowe.

Gdy Kahlan przestała ich obserwować, spostrzegła, że Jillian się w nią wpatruje.

- Ale nie była taka piękna jak ty. Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Kapłanka kości musi być dyplomatą.

- Nie - odparła Jillian, nagle zmartwiona, że Kahlan jej nie wierzy. - Naprawdę. W tobie jest coś takiego.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

Jillian zmarszczyła nos, z wysiłkiem szukając słów.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jesteś piękna i mądra i wiesz, co należy robić. Ale jest jeszcze coś.

Kahlan zastanawiała się, czy może to mieć jakiś związek z tym, kim naprawdę jest. Szukała kogoś, kto mógłby ją zobaczyć i zapamiętać, a może i dać jakąś wskazówkę.

- To znaczy co?

- Bo ja wiem? Coś szlachetnego.

- Szlachetnego? Jillian skinęła głową.

- W pewien sposób przypominasz mi lorda Rahla. Bez wahania ocalił mi życie, zupełnie tak jak ty chcesz to zrobić. Ale to nie tylko to. Nie umiem tego wytłumaczyć. Było w nim coś takiego... i w tobie jest to samo.

- To dobrze. Przynajmniej on i ja mamy coś wspólnego, bo zaraz ocalę ci życie. - Odetchnęła dla uspokojenia i znów zerknęła przez ramię. Tamci dalej z ożywieniem rozmawiali. Odwróciła się ku Jillian i spojrzała na nią z powagą. - Musimy to zrobić teraz.

- Ale nadal martwię się o dziadka... Kahlan długo patrzyła jej w oczy.

- Posłuchaj mnie, Jillian. Walczysz o życie. Innego życia mieć nie będziesz. Nie okażą ci litości, jeżeli zostaniesz. Wiem, że twój dziadek życzyłby sobie, żebyś wykorzystała tę szansę.

Jillian potaknęła.

- Rozumiem. Lord Rahl mówił mi to samo o znaczeniu mojego życia.

To z jakiegoś powodu podniosło Kahlan na duchu i sprawiło, że się uśmiechnęła. Ale uśmiech szybko zniknął, kiedy wróciła myślami do tego, co się miało zaraz stać. Nie wiedziała, czy Jagang i Siostry wkrótce skończą czy będą tym zajęci przez resztę nocy, lecz nie mogła zmarnować takiej okazji.

- Musimy to zrobić teraz, zanim stracę odwagę. Chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, co powiem.

- Dobrze - odparła Jillian.

- Oto, co zrobimy. Ty zostaniesz tutaj, a ja podejdem tam i zabiję tych dwóch żołnierzy.

Jillian szeroko otworzyła oczy.

- Co zrobisz?!

- Zabiję ich.

- Jak? Jesteś kobietą, a oni są wielcy. I jest ich dwóch.

- Można to zrobić, jeżeli się wie jak.

- Podetniesz im gardła? - domyśliła się Jillian.

- Nie. Byłoby dużo hałasu, gdybym to zrobiła. Poza tym w ten sposób nie mogłabym zabić obu równocześnie. Zabiorę im dwa kolejne noże, potem wśliznę się za nich i dźgnę ich dokładnie... tutaj.

Pchnęła Jillian palcem w plecy, nieco z boku, dokładnie w nerkę. Nawet takie lekkie dźgnięcie sprawiło, że dziewczyna stęknęła z bólu, tak wrażliwe było to miejsce.

- Pchnięcie w nerkę jest tak bolesne, że człowiek nawet nie może krzyknąć.

- Nie mówisz poważnie. Na pewno narobią wrzasku. Kahlan pokręciła głową.

- Kiedy dostaniesz w nerkę, ból jest tak wielki, że zaciska ci się gardło. Wrzask więźnie ci w płucach. To będzie nasza szansa. Zanim się osuną i uderzą o podłogę, musimy się dostać za te drzwi za nimi. Musimy to zrobić tak cicho, jak się da, by zyskać możliwie najwięcej czasu. Zapewne będziemy mieć tylko chwilę, zanim się zorientują, ale to wystarczy, żebyś uciekła. Stań dokładnie tutaj. Gdy tylko wbiję im noże w plecy, idź ku drzwiom najszybciej, jak zdołasz. Ale nie hałasuj. Będę z tobą przy drzwiach.

Jillian z trudem oddychała z przerażenia. Oczy miała pełne łez.

- Ale ja chcę, żebyś poszła ze mną. Kahlan przykucnęła i przytuliła ją.

- Wiem. Tylko to mogę zrobić, żeby cię ochronić, Jillian. Ale to wystarczy, żebyś się wydostała.

Dziewczynka otarła oczy.

- Ale co oni tobie zrobią?

- Martw się tylko o to, żeby stąd uciec. Jeżeli będę miała szansę, to obiecuję, że ucieknę. Powiedz Lokeyowi, żeby mnie wypatrywał, na wypadek gdyby mi się kiedyś udało uciec.

- Dobrze.

Kahlan wiedziała, że to próżna nadzieja. Ścisnęła ramię Jillian i wstała. Ostatni raz obejrzała się na tych czworo przy stole. W samą porę.

Jagang zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, co Kahlan robi. Stała cicho obok Jillian, przyglądając się, jak pracuje z Siostrami, jakby cały czas biernie czekała na swój los. Ponownie zajął się zajadłą dyskusją Siostry Ulicii z Siostrą Ceciliją. Siostra Ulicia jak zawsze obstawała przy swoim, a Siostra Cecilia starała się ułagodzić Jaganga, mówiąc to, co chciał usłyszeć.

Gdy Kahlan upewniła się, że cała uwaga Jaganga znów jest skupiona na księdze, ruszyła ku strażnikom. Jeden z nich akurat patrzył na Jillian z coraz mniej skrywaną żądzą, więc ostrożnie wyjęła długi nóż z wiszącej mu u pasa pochwy. Bez zwłoki przesunęła się ku drugiemu i zrobiła to samo. Stojąc za nimi, spojrzała na Jaganga i Siostry i stwierdziwszy, że są zajęci, popatrzyła na Jillian. Dziewczynka otarła dłonie o biodra i kiwnęła głową na znak, że jest gotowa.

Kahlan sięgnęła ku żołnierzowi po prawej i wyjęła nóż z pochwy wiszącej na rzemieniu u jego boku. Chwyła nóż zębami.

Nie ociągając się dłużej, przyjrzała się dolnej partii pleców żołnierzy, by wybrać miejsce, w które uderzy. Wybrała prawy bok mężczyzny po jej lewej i lewy bok tego po jej prawej - żeby cele były jak najbliżej siebie i żeby mogła pchnąć z całej siły.

Popatrzyła na jednego i na drugiego, upewniając się, że trafi w wybrane punkty. Gdyby chybiła, byłoby fatalnie, choć niekoniecznie dla żołnierzy. To Jillian zapłaciłaby za jej błąd. Musi trafić, i to za pierwszym razem.

Kahlan głęboko wciągnęła powietrze i niemal natychmiast energicznie je wypuściła, zwiększając siłę pchnięcia. Zatopiła noże w plecach żołnierzy. Weszły aż po rękojeść.

Obaj zeszywnieli, porażeni bólem.

Kahlan zdążyła już wziąć drugi oddech. Tym razem szybki wydech dodał sił do przekręcenia noży ku sobie, żeby ostrza się przesunęły i rozcięły nerki.

Obaj stali nieruchomo, nieco obróceny w bok, z plecami wygiętymi w łuk przez straszliwy ból. Wytrzeszczyli oczy i otworzyli usta, ale nie wydali żadnego dźwięku. Stali, śmiertelnie ranni, nie będąc w stanie zaczerpnąć tchu czy krzyknąć.

Gdy Kahlan ku niej spojrzała, Jillian już szła, więc odwróciła się i pospiesznie otworzyła jedno skrzydło drzwi. Nie chciała ułatwiać pościgu, otwierając oba.

Jillian już przy niej była. Pod żołnierzami zaczęły się uginać kolana. Kahlan położyła dłoń między łopatkami dziewczynki i wypchnęła ją za drzwi, na korytarz.

A potem wyjęła nóż z zębów.

- Uciekaj. W żadnym wypadku się nie zatrzymuj - powiedziała.

Jillian skinęła głową. Sprawiała wrażenie, że sam Opiekun depcze jej po

piętach.

Kahlan obróciła się, żeby zamknąć drzwi, ale akurat wtedy żołnierze uderzyli o podłogę.

Obróciły się ku niej cztery zaskoczone twarze. Zamknęła drzwi i pobiegła, jakby Opiekun i ją ścigał.

Daleko przed sobą widziała Jillian docierającą do skrzyżowania, na którym korytarze rozchodziły się w rozmaite strony. Dziewczynka zwolniła, obejrzała się na Kahlan. Wymieniły spojrzenie - i już jej nie było, zniknęła w jednym z korytarzy. Było tak ciemno, że z tej odległości Kahlan nie bardzo widziała, w który korytarz Jillian skręciła.

Z tyłu rozległ się trzask pękającego drewna, gdy wysadzono drzwi. Korytarz zalał nagle blask pochodni, oświetlając Kahlan. Natychmiast się zatrzymała i okręciła. Chwyciła nóż za czubek. Widziała w sali cienie pędzące ku wyrwanym drzwiom.

Z całej siły cisnęła nożem ku drzwiom, chociaż jeszcze nikogo w nich nie było.

Pierwsza wypadła rozwścieczona Siostra Cecilia. Nóż trafił ją w pierś. Kahlan miała nadzieję, że pierwszy będzie Jagang, lecz była niemal pewna, że to będzie Siostra, więc odpowiednio wycelowała. Nóż nie chybił - wbił się prosto w serce Cecylii.

Siostra ciężko upadła. Kahlan odwróciła się i pobiegła ile sił w nogach. Kiedy się odwracała, spostrzegła, jak tamci przewracają się o ciało Siostry Cecylii.

Biegła jak nigdy przedtem. Wzięła pierwszy zakręt w lewo. Nie miała pojęcia, który korytarz wybrała Jillian, ale i tak jej nie widziała. Dziewczynka zniknęła.

Kahlan ogarnęły radość i zadowolenie ze zwycięstwa. Udało się. Dotrzymała obietnicy złożonej Jillian i sobie. Przynajmniej ten jeden raz ich pokonała.

Biegła jak szalona, upajając się zwycięstwem. Nie tylko zabiła obu strażników, ale i Siostrę Cecylię. Syciła się zemstą, wspominając, jaki ból tamta jej zadawała i jak się z tego cieszyła.

Teraz, kiedy się udało i Jillian umknęła, Kahlan ogarnęła groza. Wiedziała, że nie ucieknie. Mogła jedynie biec, skręcając to tu, to tam, i czekać na koniec.

Nadszedł z nagłym bólem. Pomyślała, że coś takiego musieli poczuć obaj żołnierze.

Wiedziała, że pada na ziemię, ale właściwie tego nie poczuła.

A potem miała wrażenie, że wali się na nią sufit i całe wymarło miasto.

Świat stał się czarny jak grób.

Rozdział 40

Richard się zasapał, zanim wreszcie dotarł do szczytu wzniesienia; nie tylko tchu mu brakowało, ale i sił. Wiedział, że w drodze za mało jadł, i teraz za to płacił. Nogi miał jak z ołowiu. Żołądek skręcał mu się z głodu. Był słaby i chętnie by się położył, ale nie mógł, nie teraz, kiedy był już tak blisko. Kiedy stawka była tak wysoka.

Zjadł trochę pinioli i kilka garści czarnych jagód, na które natrafił, ale nie zboczył z trasy, żeby nazbierać ich więcej. Nie chciał poświęcać na to czasu.

Na szczęście miał ze sobą plecak, więc poprzedniego wieczoru, zaraz o zachodzie, zarzucił w niewielkim jezioru haczyki wędkarskie. Potem zebrał naręcze suchego drewna i rozpałił ognisko, krzesząc iskry krzemieniem. Zanim się na dobre rozpałiło, złapały się trzy pstrągi. Był taki wygłodzony, że kusilo go, by zjeść je na surowo, ale szybko się opiekały, więc zaczekał.

Nie chciał się zatrzymywać na dłużej, niż to konieczne, zatem niewiele spał w trakcie tej krótkiej wędrówki od sylfy. Uznał, że im szybciej dostanie księgę, którą Baraccus dla niego zostawił, tym lepiej dla niego. Księga i tak czekała tu na niego trzy tysiące lat. Nie chciał, żeby czekała choć jeszcze jedną noc. Rozmyślał o tym, że gdyby miał dość sprytu, żeby ją wcześniej odnaleźć, pewnie uniknąłby tych kłopotów, którym teraz musiał stawić czoło. Miał nadzieję, że księga pomoże mu odnaleźć Kahlan, a nawet odwrócić skażone zaklęcie chainfire.

Uznał, że najlepiej będzie odzyskać księgę najszybciej, jak się da. Wtedy trochę by poczytał, a przy okazji coś zjadł. Potem zatroszczy się o sen i powrót do wieży.

Wieża była daleko. Nie wiedział, gdzie dokładnie się znalazł, tyle tylko, że sporo na południe od kotliny Agaden, w niezamieszkaney okolicy albo w pobliżu, albo już w Dzicy, martwił się więc, jak mu się uda znaleźć jakieś konie. Jedna sprawa naraz, upomniał się, jedna sprawa naraz.

Chociaż trudno było się wspinać nocą po stromym, skalistym wzniesieniu, nie mógł się zatrzymać, wiedząc, że jest już tak blisko. Poza tym chciał zobaczyć nocne ogniki - a to mogło się udać jedynie nocą - więc nie zamierzał czekać ze wspinaczką do rana i potem cały dzień, żeby się znów ściemniło.

W końcu dotarł na szczyt i rozejrzał się, żeby się zorientować, gdzie jest. Za krawędzią stromego stoku rozciągał się płaski teren z rzadkim dębowym zagajnikiem. Wiejący za dnia wiaterek zamarł o zachodzie, powietrze było teraz zupełnie nieruchome. Cisza aż ciążyła. Z jakiegoś powodu na szczycie wzniesienia nie było słychać zwyczajnych nocnych odgłosów niewielkich zwierząt i owadów, którymi rozbrzmiewały bezkresne równiny w dole.

Richard natychmiast zauważył w księżycowej poświacie, że coś jest nie tak z drzewami. Wyglądało na to, że wszystkie obumarły. Grube, przysadziste pnie były poskręcane i zdeformowane. Kora łuszczyła się i zwisała postrzępionymi płatami. Pochylone i pokrzywione konary wyglądały jak szpony wyciągające się po każdego, kto ośmielił się tutaj wejść.

Do tej pory całą uwagę poświęcał wędrowce i wspinaczce, lecz nagle stał się czujny i zaczął nasłuchiwać w panującej tu niesamowitej ciszy. Szedł ostrożnie wśród drzew, starając się robić jak najmniej hałasu. Trudne to było, bo ziemię zaścielały suche patyki i liście. Wiszące nad jego głową gałęzie rzucały w księżycowym blasku dziwaczne cienie, a w powietrzu był chłód, od którego przeszywał dreszcz.

Kolejny krok i coś mu się złamało pod stopą z osobliwym trzaskiem. Przez te wszystkie lata, które spędził w lasach, nigdy nie słyszał takiego dźwięku.

Zamarł, nasłuchując i czekając. Gorączkowo usiłował się domyślić, co mogło spowodować ów dźwięk. Ale bez skutku. Kiedy niczego nie usłyszał i nie zauważył żadnego ruchu, ostrożnie się cofnął, unosząc stopę.

Rozejrzał się na wszystkie strony, ocenił każdy cień i przykucnął, żeby sprawdzić, na co nadepnął. Było ukryte w liściach. Ostrożnie rozgarnął gnijące listowie.

A tam, na poły zagrzebana w leśnej ziemi, pociemniała ze starości, tkwiła pęknięta ludzka czaszka, patrząc nań pustymi oczodołami. Pod jego ciężarem załamało się sklepienie czaszki. Wlepione w niego oczodoły nie ucierpiały.

Richard przyjrzał się uważnie poszyciu i zobaczył kolejne wybrzuszenia. Ujrzał też coś jeszcze: czaszki, które nie były pogrzebane pod ściółką. Z miejsca, w którym przykucnął, widział dobre pół tuzina czaszek przynajmniej w części leżących na liściach i jeszcze więcej obłych kształtów poniżej. Pod liśćmi znalazł resztę szkieletu człowieka, na którego czaszkę

nadepnął.

Podniósł się powoli i poszedł dalej, badając wzrokiem ziemię, powykręcane pnie drzew i wiszące mu nad głową gałęzie. Nikogo nie zobaczył i niczego nie usłyszał.

Teraz, kiedy już wiedział, czego szukać, niemal wszędzie dostrzegał czaszki. Przestał je liczyć, gdy dotarł do trzydziestki. Kości leżały to tu, to tam, nie w jednym miejscu, jakby ludzie zmarli równocześnie lub grupami. Z kilkoma wyjątkami wyglądało na to, że zmarli dokładnie tam, gdzie spoczywali. Podejrzewał, że ciała mogły zostać tam ułożone, ale nie miał jak tego sprawdzić. Wyjątek stanowiły leżące blisko siebie czaszki, ale uznał, że to mógł być przypadek - ludzie, którzy zmarli w pobliżu innego ciała.

Richard przysiadł, żeby obejrzeć niektóre czaszki, tak te na wierzchu, jak i zakopane pod ściółką. Początkowo myślał, że może to pole bitwy, ale z tego, co widział w księżycowej poświacie, wynikało, że ci ludzie nie zmarli w tym samym czasie. Jedne kości były w dobrym stanie, inne się rozsypywały. Niektóre były tak stare, że rozpadły się w pył przy dotknięciu. Przypominało to cmentarz z ciałami leżącymi na ziemi, a nie w grobach.

Zauważył też, że spokoju zmarłych nie zakłóciły żadne drapieżniki. Kiedy był leśnym przewodnikiem, natrafiał w lasach na szczątki. Zwierzęta zawsze dobierały się do martwych, czy to ludzi, czy innych zwierząt. Za to tutaj wyglądało to tak, jakby każde zwłoki rozpadły się z czasem, pozostawiając kości leżące dokładnie tak, jak padł zmarły: na boku, z rozrzuconymi ramionami albo twarzą w dół. Nikt nie został ułożony tak jak przy pogrzebie - z rękami skrzyżowanymi na piersi lub umieszczonymi wzdłuż boków. Sprawiali wrażenie, jakby padli martwi. Może i nie wyglądałoby to aż tak osobliwie, gdyby nie to, że drapieżniki nie tknęły żadnego z ciał.

Richard szedł i szedł przez dębowy zagajnik i zastanawiał się, czy kiedyś z niego wyjdzie. Łatwo byłoby się tutaj zgubić w pochmurną noc, a nawet w pochmurny dzień. Wszystko wyglądało tak samo. Drzewa stały w jednakowych odstępach i po niczym nie można się było zorientować, czy idzie się we właściwym kierunku - jedynych wskazówek dostarczały gwiazdy i księżyc.

Chyba już pół nocy Richard szedł przez las umarłych. Był pewien, że podążał w kierunku podanym przez sylfę, jednak sylfa nie wiedziała, na co

Richard natrafi. Przekazała mu tylko wskazówki, które zostawił jej Baraccus, a to było trzy tysiące lat temu. Od czasów Baraccusa krajobraz mógł się ogromnie zmienić. Ale kości wcale nie wyglądały na aż tak stare. W dębowym zagajniku mogły leżeć i kości mające tysiące lat, lecz już się pewnie rozpadły w proch.

Szedł, a las stawał się coraz mroczniejszy. Wreszcie wkroczył w czarne cienie mrocznej puszczy - olbrzymie sosny rosły blisko siebie, a ich pnie były niemal tak obszerne jak jego dom w lasach Hartlandu. Zupełnie jakby natrafił na wznoszącą się w niebo ścianę gór. Pnie były gładkie niczym kolumny, gałęzie pojawiały się gdzieś wysoko w górze, poza zasięgiem wzroku. Ale za to całkowicie zasłaniały niebo i poniżej, w labiryncie między masywnymi pniami, było zupełnie ciemno.

Richard zatrzymał się i zaczął zastanawiać, jak ma utrzymać kierunek w smolistej czerni, która się przed nim rozciągała, skoro nie może iść po prostej - nawet w przybliżeniu - linii.

I wtedy usłyszał szept.

Przekrzywił głowę, nasłuchując i próbując wyróżnić słowa. Nie udało mu się, więc ostrożnie wszedł głębiej w ciemność, pozwalając oczom przyzwyczać się do niej, zanim zrobił dalszych parę kroków. Wkrótce zaczął dostrzegać kształty drzew przed sobą i ruszył tam, coraz głębiej wchodząc w pobliskie wąwozy między pniami olbrzymich sosen.

- Zawróć - nadleciał szept.

- Kto tu jest? - szepnął.

- Zawróć - powiedział cichy głosik - albo na zawsze zostań z kośćmi tych, którzy tu przyszli przed tobą.

- Przyszedłem porozmawiać z nocnymi ognikami - rzekł Richard.

- To przyszedłeś na próżno. Zawróć zaraz - powtórzył mocniej głosik.

Chłopak spróbował porównać dźwięk tych słów ze wspomnieniem głosu tamtego ognika. Nie były jednakowe, ale miały wspólne cechy.

- Zbliź się, proszę, żebym mógł z tobą porozmawiać. Odpowiedziała mu cisza. Richard przeszedł w ciemności kilkanaście kroków.

- Ostatnie ostrzeżenie - rozległ się osobliwy głos. - Zawróć zaraz.

- Przeszedłem długą drogę. Nie odejdę bez rozmowy z ognikami. To ważna sprawa.

- Nie dla nas.

Richard stał z jedną ręką na biodrze i starał się wymyślić, co dalej. Wcale mu się dobrze nie myślało. Przeszkadzało mu w tym zmęczenie.

- Owszem, to ważne i dla was.

- Dlaczego?

- Przyszedłem po to, co zostawił dla mnie Baraccus.

- Tak mówili i ci, których kości minąłeś.

- Słuchaj, to ważne. W końcu od tego zależy również wasze życie. W tej walce nie będzie obojętnych widzów. Burza zagarnie wszystkich.

- Opowieści o skarbie, które słyszałeś, to puste kłamstwa. Nic tutaj nie ma.

- Skarb? Nie, nie rozumiesz. Nie o to chodzi. Uważam, że mnie nie rozumiesz. Już przeszedłem próby zalecone przez Baraccusa, dlatego tutaj jestem. Nazywam się Richard Rahl. Jestem mężem Kahlan Amnell, Matki Spowiedniczki.

- Nie znamy osoby, o której mówisz. Wracaj do niej, póki jeszcze możesz.

- W tym cały problem, że nie mogę. Próbuję ją odnaleźć. - Richard, sfrustrowany, przeczesał włosy palcami.

Już sam nie wiedział, ile ma czasu na to, żeby powiedzieć, co trzeba, lub co może pominąć, żeby przekonać ogniki do powodów, z jakich się tutaj znalazł. Żeby przekonać je, by mu pomogły.

- Niegdyś ją znałyście. Na Kahlan rzucono zaklęcie, żeby wszyscy o niej zapomnieli. I wy ją zapomniłyście, tak jak inni. Kahlan lubiła tu przychodzić. Jako Matka Spowiedniczka starała się chronić krainę nocnych ogników i nie dopuszczać tu obcych. Opowiadała mi o przepięknej krainie nocnych ogników. O otwartych polanach w prastarych, odległych lasach. Bywała wśród nocnych ogników, kiedy się gromadziły o zmierzchu, żeby tańczyć w trawach i kwiatach. Opowiadała mi, że spędziła wiele nocy, leżąc na plecach w trawie, a ogniki otaczały ją i rozmawiały z nią o wspólnych dla nich sprawach: o marzeniach, nadziejach i miłości. Uwierz, nocne ogniki ją znały. Była waszą przyjaciółką. - Ujrzał, jak zza pnia wyłania się małeńki płomyk.

- Odejdź albo twoje kości zostaną tam, z kośćmi tych, którzy szukali skarbu, i nikt cię już nie zobaczy ani się nie dowie, co cię spotkało.

- Jeżeli potrzebuję złota, to na nie pracuję. Nie interesuje mnie skarb.

Iskierka światła zaczęła się oddalać.

- Nie każdy skarb to złoto.

Kiedy ognik się oddalał, snopy wirującego blasku muskały pnie drzew, które mijał.

- Znałem Shar - zawołał Richard. Blask się zatrzymał. Przestał wirować.

Przez chwilę chłopak patrzył na wiszącą nieruchomo iskrę światła, słabiutko oświetlającą stłoczonych monarchów puszczy, którzy niczym wartownicy strzegli tego, co leżało dalej.

- Nie przyszedłeś tu z powodu legend mówiących, że można tutaj znaleźć skarb?

- Nie.

- Co wiesz o imieniu, które wypowiedziałeś?

- Byłem przy Shar po tym, jak przebyła granicę. Shar pokonała granicę, żeby pomóc pokonać Rahla Posepnego. Żeby pomóc mnie odnaleźć, bym i ja wziął udział w tej walce. Zanim umarła powiedziała, że gdybym potrzebował pomocy nocnych ogników, powinienem wymienić jej imię, a ogniki mi pomogą, bo żaden wróg nie znałby tego imienia. - Wskazał za siebie, ku zagajnikowi obumarłych dębów, gdzie spoczywały zapomniane, rozpadające się szczątki. - Myślę, że żadna z osób, których kości tam leżą, nie znała imienia Shar ani jakiegokolwiek innego ognika.

Blask wolno powrócił wśród drzew i wreszcie zatrzymał się w pobliżu Richarda. Chłopak czuł, jak lśniąco łagodnie snopy światła muskają jego twarz. Przypominało to leciuteńki dotyk pajęczyny.

Richard zbliżył się odrobinę.

- Rozmawiałem z Shar, zanim umarła. Powiedziała, że nie może ani chwili dłużej żyć z dala od reszty ogników i że nie ma siły, by wrócić do ojczystej krainy. Poddała mnie pierwszej próbie od Baraccusa. Powiedziała, że wierzy we mnie, że wierzy, iż mam w sobie to, co konieczne, by zwyciężyć. To było przesłanie od niego. Zapytała mnie o sekrety.

Ognik nabrał cieplej, różowawej barwy, przez chwilę wirując w milczeniu.

- I przeszedłeś test?

- Nie - przyznał Richard. - Było jeszcze za wcześnie, żebym to wszystko zrozumiał. Później wreszcie to pojąłem. Sylfa powiedziała, że teraz przeszedłem test, który zostawił dla mnie Baraccus.

- Jak się nazywasz?

- Dorastałem jako Richard Cypher. Potem dowiedziałem się, że jestem Richardem Rahlem. Nazywano mnie też inaczej: Poszukiwacz, prawowity następca, dawca śmierci, Richard Popędliwy, kamyk w stawie i Caharin. Czy któreś z tych imion jest ci znane?

- A czy jest ci znane imię Ghazi?

- Ghazi? - Chłopak zastanawiał się przez moment. - Nie. A powinno?

- Oznacza „ogień”. Ghazi dostał swoje imię dzięki proroctwu. Gdybyś był tym właściwym, znałbyś i to imię.

- Przykro mi, ale nie znam. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale muszę ci się przyznać, że nie przywiązuję zbyt dużej wagi do proroctw.

- Bardzo mi przykro, ale na tę krainę spadło nieszczęście. Dla ogników nastał czas cierpień. Nie możemy ci pomóc. Powinieneś teraz odejść.

Ognik znów zaczął się oddalać, wirował, odlatując między niebosiężnymi drzewami.

Richard zrobił krok w przód.

- Shar powiedziała, że jeżeli będę potrzebować pomocy ogników, to one mi pomogą! Potrzebuję waszej pomocy!

Iskierka światła ponownie się zatrzymała. Sposób, w jaki nieruchomo tkwiła w powietrzu, zdradził chłopakowi, że się nad czymś zastanawia. Po chwili zaczęła wolno wirować, rozsiewając snopy migotliwego blasku. Trochę się zbliżyła.

Ognik wypowiedział imię, którego Richard nie słyszał od lat.

Ścięło mu krew w żyłach.

- A czy to imię coś dla ciebie znaczy? - zapytał ognik.

- Skąd znasz imię mojej mamy? - wyszeptał Richard. Ognik z wolna podpłynął bliżej.

- Wiele, wiele pór roku temu Ghazi przebył mroczną granicę, żeby ją odnaleźć, pomóc jej, opowiedzieć jej o synu, przekazać wiele rzeczy, które powinna wiedzieć, wiele rzeczy, o których powinien się dowiedzieć jej syn. Ghazi nigdy nie wrócił.

Richard wpatrywał się w istotę szeroko otwartymi oczami.

- Co ogniki robią za dnia? Kiedy jest jasno?

Ognik, jarzący się srebrzysty węgielek, wirował powoli, muskając snopami blasku twarz chłopaka.

- Idziemy tam, gdzie jest ciemno. Nie lubimy być na świetle.

- Czy ogień wyrządza wam krzywdę? Snopy blasku pociemniały.

- Ogień może nas zabić.

- Drogie duchy... - wyszeptał Richard.

Ognik zbliżył się, migotliwy blask znów pojaśniał, a istota jakby się badawczo przyglądała Richardowi.

- O co chodzi?

- Co zapowiadało proroctwo dotyczące Ghaziego? - zapytał Richard.

Powoli wirujący blask znieruchomiał.

- Proroctwo mówiło o śmierci Ghaziego. Zapowiadało, że zginie w ogniu.

Richard na moment zamknął oczy.

- Wiele pór roku temu, kiedy byłem małym chłopcem, moja mama zginęła w ogniu.

Ognik milczał.

- Tak mi przykro - wykrztusił Richard, a w pamięci rozbrzmiewały mu słowa Shoty. - Myślę, że Ghazi zginął w moim domu. W naszym domu wybuchł pożar. Mama wyniosła mnie i brata, a potem po coś wróciła. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, po co. Zapewne otumaniał ją dym. Nie wyszła stamtąd. Nigdy jej już nie ujrzałem. Zginęła w płomieniach. Uważam, że wróciła po Ghaziego. Ze mama i Ghazi zginęli razem w tym pożarze i że on nigdy nie dopełnił tego, po co się zjawiał.

Ognik chwilę mu się przyglądał.

- Żałuję, że to się przytrafiło twojej mamie. Współczuję ci. Choć tyle czasu minęło, łzy wciąż napływają ci do oczu.

Richardowi brakło słów, mógł jedynie skinąć głową. Ognik znów zaczął szybciej wirować.

- Znamy cię pod imieniem Richard Cypher. Pójdź, Richardzie Cypherze, a powiemy ci to, co Ghazi miał przekazać twojej mamie.

Rozdział 41

Richard poszedł za migotliwą kropką blasku w starodawny las, miejsce ciszy i spokoju. Jeszcze nigdy nie widział tak olbrzymich drzew. Pomyślał, że to dziwne, iż tak małe istoty mogą żyć pośród takich olbrzymów.

Wydawało się, że idą godzinami, chociaż Richard wiedział, że ma takie wrażenie, bo jest bardzo zmęczony. Kiedy w końcu wyszli spośród drzew na rozległą polanę, ledwie wierzył własnym oczom. Było dokładnie tak, jak opowiadała Kahlan. Łąka migotała setkami nocnych ogników przesuwających się wśród wysokich źdźbeł trawy i kwiatów. Gwiazdy w górze, widoczne nad polaną, wydawały się bez życia, martwe, w porównaniu z gwiazdami w trawie.

To był przepiękny widok, lecz sprawił Richardowi ból, bo przypomniał mu o Kahlan, o ich pierwszym spotkaniu, kiedy to poznała go z Shar i opowiedziała o ognikach. W jego wspomnieniach ogniki były na zawsze związane z Kahlan.

A teraz, po tych wszystkich latach, wiedział, że jego mama wróciła w płomienie, żeby ratować jedną z tych istot. Nie zginęła sama.

Wszystko zaś dlatego, że przed tysiącami lat pewien człowiek poszedł do Świątyni Wichrów i zrobił coś, przez co Richard urodził się z darem obu magii. Darem, którego według sylfy już nie miał.

Kiedy wszedł w trawę, niektóre z ogników podpłynęły bliżej, ciekawe obcego. Błyskały jaśniej i ciemniej, jakby ze sobą rozmawiały.

- Jak cię zwa? - zapytał Richard swojego towarzysza.

- Jestem Tam.

Chłopak obserwował zbliżające się ogniki. Unosiły się wzdłuż jego ciała i odlatywały.

- Jest nas coraz mniej - odezwał się Tam. - Coś takiego nigdy wcześniej się nie zdarzyło. To dla nas czas cierpienia. Nie znam jego przyczyny.

- Po części i dlatego tutaj jestem - odparł Richard. - Mam nadzieję, że się dowiem, jak położyć kres temu, co powoduje tę chorobę ogników. Jeżeli mi się nie uda, znikniecie ze świata.

Tam milczał chwilę, rozmyślając. Inne ogniki, usłyszawszy słowa Richarda, odpłynęły. Chowały się w ciemnych zakamarkach pośród traw,

jakby szukały spokojnego miejsca, żeby się wypłakać. Za to inne się zbliżyły.

- Wielu znało Ghaziego - powiedział Tam. - Tęsknią za nim. Możesz nam powtórzyć coś z tego, co rzekł, zanim stracił życie? Tak jak powtórzyłeś słowa Shar?

- Bardzo mi przykro, Tamie, ale nigdy nie widziałem Ghaziego. Nawet nie wiedziałem, że przybył zobaczyć się z mamą. Ghazi i mama zginęli, nim zdążył nam cokolwiek powiedzieć o powodach swoich odwiedzin. - Richard zastanowił się, czy to aby nie była przyczyna pożaru.

Wiele ogników pociemniało, jakby się rozczarowały, że nie może im przekazać żadnych słów Ghaziego.

Richard przypomniał sobie o swojej sprawie.

- Tamie, zjawilem się tutaj z ważnego powodu - rzekł do swojego przewodnika. - Jak już mówiłem, może to również pomóc w kłopotach ogników. Przyszedłem, bo Baraccus coś dla mnie zostawił. Tutaj jest jego biblioteka. Przysłał tu żonę z księgą dla mnie.

- Magdę - odezwał się jeden z pobliskich ogników. Richard nie wiedział, który to był, lecz uznał, że jego głos brzmi o wiele bardziej kobieco niż głos Tama.

- Zgadza się.

- To było na długo przed naszym czasem - powiedziała - ale przekazano nam słowa Baraccusa. Nadal mamy sekrety, o których przechowanie nas prosił. Jestem Jass. Pójdź, ja i Tam cię zaprowadzimy.

Tam i Jass powiedli Richarda przez jedwabistą trawę ku olbrzymim drzewom po lewej. Za otwartą łąką, wśród drzew, znów wchodziło się w mroczny świat. Jedynie dwa ogniki oświetlały mu drogę.

- Jak to daleko? - zapytał chłopak.

- Niedaleko - odparła Jass.

- To miejsce w naszej krainie - rzekł Tam. - Miejsce, które możemy obserwować i czuwać nad nim. Przez tysiąclecia ziarno opowieści, zasiane w żyznej glebie okruchów wieści i zasilane życzeniami, zapuściło korzenie i zaczęło się rozrastać. Wreszcie obficie obrodziły roznoszone na skrzydłach szeptów plotki, że skrywamy legendarny złoty skarb. Nic nie mogło przekonać tych, którzy w to uwierzyli, że nie jest to prawda. Prawda nie błyszczała tym ludziom tak jak złoto. Tak zawładnęło nimi pragnienie złupienia nie należącego do nich bogactwa, że woleli raczej poświęcić

wszystko, co dla nich naprawdę cenne, niż uwierzyć, że to czcza uluda.

- To, co ukrywamy, nie jest skarbem - powiedziała Jass - lecz obietnicą złożoną przez naszych przodków.

- To w pewnym sensie skarb - rzekł Richard. - Przynajmniej dla właściwej osoby.

To, co dla nich leżało niedaleko, Richardowi wydało się dość odległe. Coraz więcej kosztowało go stawianie kroków. W brzuchu burczało mu z głodu, kiedy szli przez milczący las.

Musiało być dobrze w głębi nocy, kiedy drzewa się rozstąpiły i Richard ujrzał wreszcie rozciągającą się daleko w dole dolinę oświetloną blaskiem księżyca. Porastały ją bujne lasy wspinające się na stoki okalających ją gór. Miejsce, w którym stał, patrząc na dolinę, było nie tylko najwyżej położone, ale i roztaczał się z niego najwspanialszy widok na to, co Richard zawsze kochał. Tak chciałby obejrzeć te okolice, znaleźć się w tych lasach... ale razem z Kahlan. Bez niej piękno było tylko słowem. Bez uśmiechającej się do niego Kahlan świat był pusty i martwy.

- Tu jest biblioteka, którą mistrz Baraccus zostawił u nas dla bezpieczeństwa - powiedział Tam.

Richard się rozejrzał. Zobaczył tylko paprocie, trochę zwieszających się z mroków nad jego głową pnączy i potężne pnie sosen stojących wraz z nim na skraju wzniesienia.

- Gdzie? - spytał. - Nie widzę żadnego budynku.

- Tutaj - odparła Jass, podpłynęła do niewielkiego głazu i osiadła na nim.
- Pod spodem jest biblioteka.

Chłopak podrapał się po głowie. Wydawało mu się, że to dziwne miejsce na bibliotekę. Ale potem przypomniał sobie, że wejście do biblioteki w Casce odnalazł pod nagrobkiem. Więc i to nabrało sensu. Budynek już dawno by odnaleziono i obrabowano.

Pochylił się i oparł łokieć o głaz w wyżłobionymi, gładkim zagłębieniu. Był przekonany, że zabraknie mu sił, by poruszyć taki kamienny blok, ale i tak oparł się o niego całym ciężarem. Głaz zaczął się powoli, opornie, przesuwać w bok.

Ogniki zbliżyły się, patrząc wraz z Richardem na to, co było poniżej. Głaz leżał na niewielkiej, starannie wygładzonej krawędzi. W jej obrębie nie było żadnego otworu, żadnych schodów w głąb ziemi.

Richard uklęknął i zagłębił dłonie w tym, co było pod głazem wewnątrz skalnego obrzeża. Było to miękkie i suche.

- To tylko piasek.

- Tak - powiedziała Jass. - Kiedy zjawiała się Magda, wykonała zalecenia męża, użyła magii i zasypała to, co jest pod spodem.

Chłopak nie wierzył własnym uszom.

- Piaskiem?

- Tak - potwierdziła Jass.

- Dużo jest tego piasku? - zapytał Richard. Wcale mu się nie uśmiechało odkopywanie zasypanego zagłębienia, choćby i było malutkie.

- Widzisz tę małą rzekę w dolinie? - zapytała Jass. Richard zmrużył oczy w słabymi księżycowym blasku. Ujrzał iskrzącą się w poświacie powierzchnię wody płynącej wśród piaszczystych łąch.

- Tak, widzę.

- Opowieść, którą nam przekazano - wyjaśniła Jass - mówi, że Magda przyniosła potężne zaklęcie od Baraccusa. Za jego pomocą wywołała trąbę powietrzną, która podniosła piach z rzecznych brzegów i rzuciła go w ten otwór, wypełniając dla ochrony to, co było pod spodem.

- Dla ochrony? - zapytał Richard. - Przed czym?

- Przed każdymi, komu by się udało dotrzeć aż tutaj. Ten piach ma powstrzymać każdego, kto przyszedłby po to, co jest na dole.

- Cóż, skoro jest tu aż tyle piachu, to na pewno by ich spowolnił. - Richard zerknął podejrzliwie na oba ogniki wirujące powoli w księżycowej poświacie.

- Atak w ogóle, ile tam jest tego piachu?

Tam odplłynął poza krawędź urwiska.

- Widzisz tę półkę w dole?

Chłopak ostrożnie wychylił się poza krawędź i spojrział. Do wąskiej kamiennej półki musiało być kilkaset stóp.

- Widzę.

- To tam, na dole, znajdują się sale biblioteki.

- Sale biblioteki są zakopane pod całym tym piachem, aż tam, na samym spodzie?

- Tak - potwierdził ognik.

Richard osłupiał. Ten piach zakryłby pewnie cały pałac.

- Jak mam coś takiego wygrzebać? To by trwało całą wieczność.

Tam wrócił i znalazł się przy twarzy Richarda.

- Możliwe. Ale Baraccus powiedział, że jeżeli jesteś tym właściwym, będziesz wiedzieć, co robić.

- Jeżeli jestem tym właściwym? - Zniechęcenie przytłoczyło chłopaka niczym góra piachu. - Dlaczego zawsze muszę być tym właściwym?

Tam przez chwilę wirował.

- Nie do nas należy odpowiedź.

Richard jęknął rozczarowany, że jest tak blisko księgi, a zarazem tak daleko.

- Skoro jestem tym, co trzeba, dlaczego po prostu nie zostawił dla mnie wiadomości, żebym wiedział, co robić?

Tam i Jass przez chwilę milczeli, jakby się namyślali.

- Dotarł do nas jeszcze jeden przekaz - odezwała się w końcu Jass.

- Jaki?

- Baraccus powiedział, że ogniki będą tego strzec całe wieki, ale kiedy wreszcie przesypie się piasek czasu, ten, dla którego jest księga, przybędzie tutaj i ją zabierze. - Jass podpłynęła bliżej. - Czy to pomaga, Richardzie Cypherze?

Richard przesunął dłoń po twarzy. Dlaczego Baraccus zwyczajnie mu nie powiedział, jak zabrać Sekrety mocy czarodzieja wojny? Może uważał, że człowiek, dla którego księga jest przeznaczona, na tyle włada swoją mocą, że to tutaj nie będzie dla niego żadną przeszkodą. Że Richard będzie wiedział, jak wywołać magiczną trąbę powietrzną, która wysie stąd piach. Jeżeli tak, to Richard nie był „tym właściwym”. Nie tylko nie wiedział, jak korzystać ze swojej mocy, ale - od ostatniej podróży w sylfie - nie miał już daru.

Piasek czasu już się dla niego przesypał. Siostry Mroku włączyły do gry szkatuły Ordenu; demony skaziły świat życia, zapoczątkowując niszczenie magii, co zapewne było przyczyną nieszczęścia ogników; armia Imperialnego Ładu grasowała bez przeszkód po Nowym Świecie. I co dla niego najgorsze, Kahlan została uprowadzona, była w mocy zaklęcia chainfire i rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy.

A on stał tutaj i czekał, aż się przesypie piasek czasu.

Richard cofnął dłoń i zmarszczył brwi. Wychylił się poza krawędź urwiska i popatrzył na półkę, daleko w dół. Piasek czasu.

Zerknął w lewo i badawczo przyjrzał się skale. Nie dostrzegł niczego, co

mógłby wykorzystać, ale po prawej chyba zdołałby się spuścić po skale. Zdjął plecak, położył go na ziemi, wyjął składaną łopatkę i pospiesznie ją złożył.

- Kiedy piasek czasu się wreszcie przesypie, będzie tutaj ten, dla którego przeznaczona jest księga, i zabierze ją - zacytował. - Czy nie tak powiedzieliście?

- Tak - przyznała Jass. - Tak powiedzieliśmy. Richard znów popatrzył na urwisko.

- Muszę zejść na tę półkę - rzekł do ogników.

- Oświetlimy ci drogę - odezwał się Tam.

Zejście nie zajęło Richardowi wiele czasu. Było tak trudne, jak się spodziewał, ale już wkrótce stał na wąskiej półce, daleko od szczytu urwiska, gdzie przesunął głaz.

Dziobał skalną ścianę, aż znalazł to, czego szukał. Natychmiast zaczął kopać, odłupując tak ciasno upchnięte kamienie, że w słabym blasku księżycy i obu ogników nie mógł być pewny, czy to naprawdę to, o czym myśli. Kiedy skala zaczęła ustępować, nabrał pewności. Im więcej kamieni wylupywał, tym łatwiej pozbywał się kolejnych.

Większe kamienie musiał poluzowywać bardzo ostrożnie - jeden niewłaściwy ruch, a mógłby się ześliznąć i spaść z wąskiej półki. Niektóre z głazów w rosnącym otworze były tak duże, że nie mógł ich udźwignąć, więc musiał je wytoczyć. Na szczęście zdołał poruszyć kamienie pod większością z nich i potem mógł to zrobić. Stał z boku na skalnej półce, kamienie i głazy zaś spadały za nią. Patrzył, jak lecą cicho w noc i wreszcie z hukiem rozbijają się w lesie daleko w dole.

Nagle, gdy łopatka przebiła się do czegoś miękkiego, reszta kamiennego czopu zaczęła się ze zgrzytem obluzowywać i znienacka posypała się kaskada odłamków. Richard musiał uskokczyć. Piasek spływał głośno. Jego strumień sięgał daleko w przód i dopiero potem zaczynał się zakrzywiać.

Richard przyciskał plecy do skalnej ściany, a serce mu waliło, tak był zaskoczony nagłym oczyszczeniem się wydrążonego wnętrza klifu. Oba ogniki wirowały, obserwując zadziwiający widok. Jeden z nich - chłopak nie wiedział który - poleciał za opadającym strumieniem piachu i po jakimś czasie wrócił.

Zdawało się, że trwa to całą wieczność, ale w końcu strumień piachu zaczął się robić cieńszy, aż wreszcie tylko się sączył.

Richard nie ociągał się z wejściem do środka.

- Chodźcie - zawołał do ogników. - Potrzebuję światła.

Obie istoty posłuchały, prześliznęły się ponad jego ramionami i ruszyły przodem. Oświetliły salę. Chłopak dotarł tam, wyprostował się i otrzepał, a następnie rozejrzał po półkach pełnych książek. Dziwnie było wiedzieć, że jest jedyną osobą, która się tu znalazła po Magdzie Searus, kobiecie, która została pierwszą Spowiedniczką.

To przypomniało mu o Kahlan, o tym, że chce ją odnaleźć, więc natychmiast zaczął szukać. Wyglądało to na zwyczajną bibliotekę, z drzwiami w głębi, prowadzącymi do wnętrza klifu. Dostrzegł za nimi zarysy drzwi i spiralne schody. Chociaż tyle piachu już się wysypało, nadal było go tutaj sporo. Trzeba by czasu, żeby to wszystko uprzątnąć i zorientować się, co tu jest.

Ale po prawej, na kamiennym postumencie stojącym przy gładkiej skalnej ścianie, znajdowała się jedna jedyna księga. Richard zdjął ją z postumentu, zdmuchnął piasek i kurz.

Na okładce widniał tytuł: Sekrety mocy czarodzieja wojny.

Raz jeszcze przeczytał przeznaczone dla niego słowa, delikatnie wodząc palcami po złoconych literach.

To było niesamowite uczucie - świadomość, że czarodziej wojny, Pierwszy Czarodziej Baraccus, napisał tę księgę dla osoby, która narodzi się z darem uwolnionymi dzięki jego staraniom ze Świątyni Wichrów. Richard nareszcie znalazł skarb, który Baraccus dla niego zostawił.

Nocne ogniki unosiły się nad jego ramionami, przyglądając się, jak ze czcią wpatruje się w księgę, która w końcu odpowie na jego pytania, pomoże mu okiełznać dar.

Wreszcie, z bijącym sercem, Richard odchylił okładkę, żeby się przekonać, co chciał mu przekazać Baraccus.

Pierwsza stronica była pusta.

Przewrócił kilka następnych kart, ale wszystkie były puste. Przekartkował całą księgę, lecz nie znalazł ani jednego słowa. Wszystkie strony były czyste.

Kciukiem i palcami jednej dłoni ścisnął skronie. Zrobiło mu się słabo.

- Czy któreś z was widzi coś na stronicach?

- Nie - powiedziała Jass. - Przykro mi.

- Nie widzę żadnych znaków - dodał Tam.

Richard uświadomił sobie, w czym problem. Serce w nim zamarło.

Sekrety mocy czarodzieja wojny były poradnikiem uczącymi korzystania ze specyficznego daru. Potrzebna tu była magia. Richard z jakiegoś powodu nie miał dostępu do swojego daru. I dlatego żadne słowo tekstu nie pozostanie w jego pamięci. Zapomni je, nim zdoła zapamiętać, że je przeczytał.

Tak jak nie pamiętał teraz ani słowa z Księgi Opisania Mroków, nie zapamięta również tekstu Sekretów mocy czarodzieja wojny wystarczająco długo, by wiedzieć, że zobaczył te słowa. Skoro nie ma daru, karty będą mu się wydawały czyste.

Dopóki nie odkryje, co upośledza jego dar, nie będzie mógł przeczytać tej księgi.

- Muszę ją zabrać - powiedział Richard ognikom.

- Baraccus zapowiedział, że to zrobisz, Richardzie Cypherze - rzekł Tam.

Richard był ciekaw, czy Baraccus i o tym wiedział. Ale nie miał czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Wy dostał się z otworu i wspiął po skalnej ścianie urwiska.

Zauważył, że skała tworzy okap nad wejściem do biblioteki - pewnie po to, żeby woda z czasem nie naruszyła czopu lub nie przedostała się do środka. Piasek musiał być suchy nie tylko dlatego, żeby księgi nie zniszczały, ale i dlatego, żeby się mógł wysypać. Chłopak uznał, że na razie biblioteka jest całkiem dobrze chroniona przed deszczem.

Kiedy już był na urwisku, schował do plecaka cenną pustą księgę. Przekonał się, że w kamiennym obrzeżu wypełnionym przedtem piachem widać wiodące w mrok spiralne schody. Aby nikt nie znalazł biblioteki, z wysiłkiem przesunął głaz na miejsce.

Zasapany z wysiłku, zarzucił plecak na ramiona. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. W drodze powrotnej przez ciemny las mało co mówił do ogników. Podziękował im tylko za pomoc.

Kiedy ponownie znaleźli się na łące, zapatrzył się na nocne ogniki. Sunęły wśród trawy i kwiatów lub wirowały parami w skomplikowanym tańcu. Ciekaw był, o ile więcej ogników tu błyszczało, kiedy odwiedzała je Kahlan.

Tak tęsknił za Kahlan, że gardło ścisnęło mu się na myśl o niej. Była jego

całym światem. A cały świat zdawał się odpływać.

- Muszę iść - powiedział do Jass i Tama. - Mam nadzieję, że będę mógł wykorzystać to, co tu znalazłem, żeby zakończyć cierpienia nocnych ogników i innych.

- Powrócisz? - spytała Jass.

Richard wspomniął ukrytą bibliotekę i przytaknął.

- Tak. Mam nadzieję, że przyprowadzę Kahlan i że wtedy już będziecie ją pamiętać. Wiem, że ogromnie się ucieszy, widząc was znowu.

- Kiedy ją sobie przypomnimy - powiedziała Jass - i my będziemy się radować.

Richard skinął głową, niepewny swojego głosu, i wyruszył. Tam towarzyszył mu przez las, pomagając odnaleźć drogę. Ognik zatrzymał się na ostatniej linii prastarych drzew.

- Baraccus mądrze zrobił, wybrawszy ciebie, Richardzie Cypherze. Wierzę, że masz w sobie to, co konieczne do zwycięstwa. Dobrze ci życzę.

Chłopak uśmiechnął się smutno. Chciałby mieć tę pewność. Nie miał dostępu do swojego daru - o ile dar nadal w nim był - i nie miał pojęcia, jak mu się uda zwyciężyć. Może Zedd coś poradzi.

- Dziękuję, Tam. Ty i reszta ogników wspaniale chroniliście to, co Baraccus u was zostawił. Zrobię, co w mojej mocy, żeby chronić was i inne niewinne istoty, którym zagraża tak wielkie niebezpieczeństwo.

- Jeżeli przegrasz, Richardzie Cypherze, to nie dlatego, że szczydziłeś wysiłków. Wiem o tym. Gdybyś kiedyś znów potrzebował naszej pomocy, to - jak powiedziała ci Shar - wymów jedno z naszych imion, a spróbujemy ci pomóc.

Richard skinął głową i odszedł. Raz się odwrócił, żeby pomachać. Ognik chwilę wirował, świecąc różowo, a potem zniknął wśród drzew. Chłopak nagle poczuł się okropnie samotny; towarzyszył mu jedynie blask księżyca.

Zdawało się, że obumarłe dęby nigdy się nie skończą. Szedł z trudem, odrętwiały. Musiał coś zjeść i wypocząć, ale chciał się wydostać z tego niesamowitego miejsca i wrócić do zwykłego lasu. Widział kości wśród korzeni dębów, zupełnie jakby drzewa usiłowały zebrać umarłych i przytulić ich do piersi.

W pewnym fragmencie obumarłego lasu, kiedy tak szedł i szedł zatopiony w myślach, poczuł nagły chłód, od którego zadrżał i

spazmatycznie wciągnął do płuc ostry ziąb.

Jakby wszedł w okowy zimy.

Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł coś, co początkowo wyglądało jak pionowy cień wśród czaszek. Gdy wreszcie zrozumiał, co to naprawdę jest, wstrząsnął nim kolejny dreszcz.

Była to wysoka kobieta o czarnych, sztywnych włosach odziana w atramentowoczarny strój. Skórę miała tak bladą jak księżyc, przez co jej wychudła twarz zdawała się unosić w ciemności. Zaszuszonej skóra ciasno opinała kościstą twarz. Richard pomyślał, że tak muszą wyglądać umarli, którzy od jakiegoś czasu leżą w tym odludnym lesie i czekają, by robaki wykonały swoją robotę.

Groźny uśmiezek nie pozostawiał wątpliwości, iż ta osoba porzuca kości ludzi, którymi się posłużyła, właśnie w takim miejscu, wśród rozpadających się zmarłych.

Richardowi było tak zimno, że nie mógł się ruszyć. Uświadomił sobie, że dygocze, ale nie mógł przestać. Nie czuł palców rąk ani stóp. Chciał się poruszyć, uciec, lecz nie panował nad nogami.

Nie miał daru, żeby go przyzwać. Nie miał miecza, żeby go dobyć.

Czuł się bezsilny pod przyszpilającym go spojrzeniem wyblakłych niebieskich oczu.

Richard był ciekaw, czy jego szczątki zostaną w tym opuszczonym miejscu, by tu zgnić, zapomniane, pośród innych anonimowych kości ludzi, którzy przyszli tutaj gnani wzniosłymi marzeniami.

Ramiona kobiety uniosły się niczym skrzydła kruka i pochłonęła go noc.

Rozdział 42

Kahlan stopniowo docierał gwar głosów, odległych i bliskich. Była taka otumaniona, że nie wiedziała, czy są prawdziwe, czy też tylko jej się wydaje, że je słyszy. Wiedziała jedynie, że część tego, co przepływa przez jej umysł, to przywidzenia, chociaż wydają się takie realne. Zdawała sobie sprawę, że nie może być w jednej chwili na ukwieconej łące pośród gwiazd, w drugiej w samym środku zażartej walki z zasuszonymi zwłokami na koniach, a w trzeciej lecieć wśród chmur na grzbiecie czerwonego smoka. To wszystko wydawało się takie realne, lecz wiedziała, że nie może być prawdziwe.

W końcu nie istniało coś takiego jak smoki. Były tylko legendą.

Ale jeżeli naprawdę słyszała głosy, to nie mogła zrozumieć ani słowa. Docierały do niej jako samoistne, pozbawione źródła dźwięki, rezonując boleśnie z czymś w jej wnętrzu.

Za to na pewno w głowie jej pulsowało w powolnym rytmie i ilekroć przejmujący rytm narastał, miała wrażenie, że ciśnienie rozsadzi jej czaszkę. A kiedy rytm opadał, narastały mdłości tłumione przez kolejny, dręcząco bolesny ucisk.

Choć bardzo się starała, nie mogła unieść ciężkich powiek. Potrzebowałyby do tego więcej sił, niż teraz miała. Poza tym obawiała się, że może tu być światło, a to - była pewna - uraziłoby bezbronne oczy niczym długie igły.

Miała wrażenie, że unieruchamia ją jakiś nieznany, mocny ucisk, pod tym wszystkim zaś torturuje ją jakaś tajemna moc. Desperacko usiłowała się z tego wyzwolić i spróbowała poruszyć ramionami, ale były zbyt sztywne. Starła się poruszyć nogami albo choć ugiąć kolano, lecz jej nogi oplatała gęsta ciemność.

Jakiś dźwięk, chyba ostre słowo, wypłoszył Kahlan. Znalazła się bliżej rozbudzonej świadomości, poprzez otępiający chaos wracała do świata życia. Tym razem była pewna, że te dźwięki to głosy. Od czasu do czasu zaczęła rozróżniać pojedyncze słowa.

Chwytała się tych słów niczym liny ratunkowej i za ich pomocą wydobywała z mrocznych głębin nieświadomości. Oddychała miarowo, skupiając się na słowach. Odpychała od siebie pulsujący ból, bacznie

nasłuchując słów i starając się powiązać je w mające znaczenie ciągi. Rozpoznała kobiece głosy i głos mężczyzny. Gburowatego mężczyzny.

Jednak ból towarzyszący świadomości otępił jeszcze bardziej niż oniryczne cierpienie, które czuła, kiedy była nieprzytomna. Rzeczywistość nadawała bólowi jakiś straszliwy wymiar, łączyła go z ogromnym cierpieniem i nieustającą udręką.

Usiłując oderwać myśli od dręczącego ją bólu, Kahlan uchyliła powieki na tyle, by móc się ostrożnie rozejrzeć. Była we wnętrzu jakiejś konstrukcji. Przypominało to namiot z jasnobrązowego płótna, ale jeżeli to naprawdę był namiot, to o wiele większy niż te, które widywała. Z jednej strony wisiały wspaniałe dywany najwyraźniej tworzące dwuskrzydłowe drzwi.

Spoczywała na grubych futrach, położonych na jakimś podwyższeniu, nie na podłodze. Pociła się na tych futrach w gorącym, parnym powietrzu. Dobrze, że nie była przykryta kocami. Pomyślała, że może umieszczono ją tu, żeby się o nią nie potykać. Naprzeciwko miejsca, w którym leżała, stało krzesło z rzeźbionym oparciem, ale nikt na nim nie siedział.

Wokół pomieszczenia, na kufrach, stały lampy. Inne zawieszono na łańcuchach. Nie bardzo udawało im się rozproszyć mrok panujący w namiocie, ale przynajmniej woń palącej się oliwy tłumiła ciężki odór potu, zwierząt i gnoju. Kahlan poczuła ulgę, że światło nie rani jej oczu, czego się wcześniej obawiała.

Jedna z Sióstr chodziła tam i z powrotem w przyćmionym świetle niczym upiór, który nie może znaleźć swojego grobu.

Stłumione odgłosy dochodziły z zewnątrz poprzez grube płótno ścian namiotu obwieszonych dywanami. Brzmiało to tak, jakby wyciszone sanktuarium znajdowało się pośrodku miasta. Kahlan słyszała ściszone głosy tysięcy ludzi, tupot kopyt, turkot wozów, ryki mułów i metaliczny szcęk oręża oraz zbroi. Gdzieś dalej żołnierze wykrzykiwali rozkazy, śmiali się i przeklinali, a ci bliżej opowiadali sobie historie, których nie rozumiała.

Kahlan wiedziała, co to za armia. Widywała ją z daleka, przechodziła przez miejscowości, w których owa armia była, i widziała tych, których torturowali, gwałcili i mordowali jej żołnierze. Nie miała ochoty wychodzić na zewnątrz, nie chciała się znaleźć wśród takich dzikusów.

Gdy zauważyła, że Jagang spogląda w jej stronę, udała, że wciąż jest nieprzytomna - oddychała miarowo i leżała nieruchomo z niemal

zamkniętymi oczami. Najwyraźniej uznał, że jeszcze się nie ocknęła, i przeniósł wzrok na przechadzającą się Siostrę Ulicę.

- To nie może być takie proste - powiedziała stojąca przy stole Siostra Armina i wyniośle uniosła głowę.

Kahlan widziała jedynie brzeg leżącej na blacie książki w skórzanej oprawie.

- Armino - zapytał Jagang spokojnym, niemal miłym głosem - potrafisz sobie wyobrazić, jak bawi mnie pobyt w umyśle nieznośnej Siostry, którą posyłam do namiotów, żeby się nią zabawili moi żołnierze?

Kobieta zbladła, cofnęła się i trafiła plecami na ścianę namiotu.

- Nie, Ekscelencjo.

- Bycie świadkiem jej przerażenia? Tkwienie w umyśle takich kobiet i przyglądanie się, jakie są bezsilne, gdy krzepkie ręce zdzierają z nich suknie i obmacują ich ciała, przewracają je na ziemię i siłą rozwierają nogi, kiedy posuwają je żołnierze, dla których są jedynie chwilową zabawką? Żołnierze, którzy ani trochę im nie współczują i którzy nie dbają o to, jakie cierpienia zadają, spełniając swoje zachcianki? Możesz sobie wyobrazić, jaką przyjemność sprawia mi tkwienie w umysłach takich irytujących Sióstr, bycie, że tak powiem, naocznym świadkiem ich zasłużonej kary?

Siostra Armina, z oczami szeroko rozwartymi z przerażenia, odezwała się ledwie słyszalnie:

- Nie, Ekscelencjo.

- Zatem sugeruję, żebyś przestała gadać to, co według ciebie chcę usłyszeć, zamiast tego, co myślisz. Na nic mi twoje lizusostwo. W łóżku możesz mi pochlebiać, jeśli uważasz, że zasłużysz tym sobie na względy, co nie jest prawdą, lecz w tej sprawie interesuje mnie wyłącznie prawda. Twoja służalcza argumentacja nie zapewni nam sukcesu. Jedynie prawda. Jeśli masz do powiedzenia coś, czego warto wysłuchać, to powiedz to, ale przestań wreszcie przerywać Ulicii bzdurami, które twoim zdaniem chcę usłyszeć, bo raczej wcześniej niż później pošlę cię do namiotów. Zrozumiałaś?

Siostra Armina odwróciła wzrok.

- Tak, Ekscelencjo.

Jagang zajął się Siostrą Ulicą, która odetchnęła, aby się uspokoić. Przystanęła i wskazała leżącą na stole książkę.

- Cały problem w tym, Ekscelencjo, że nie sposób stwierdzić, czy skopiowany tekst jest wierny czy nie. Wiem, czego od nas oczekujesz, i uwierz, że próbowaliśmy, ale prawda jest taka, że nie możemy znaleźć niczego, co by przesądziło sprawę.

- Dlaczego?

- Cóż, jeśli na przykład napisano „ustaw szkatuły ku północy”, skąd, czytając to, mamy wiedzieć, czy to prawdziwe czy błędne zalecenie? Z tego, co wiemy, ustawienie ich ku północy może być wiernie przepisane z oryginalnego rękopisu, a wtedy zignorowanie tego zalecenia będzie miało fatalne następstwa, równie dobrze jednak może błędnie podawać kierunek, a wtedy wykonanie polecenia będzie fatalne w skutkach. Skąd mamy to wiedzieć? Możesz sobie życzyć, byśmy oceniły autentyczność księgi wyłącznie na podstawie lektury, lecz nie możemy tego zrobić. Wiem, że nie chcesz, bym kłamała, żeby cię zadowolić. Lepiej ci się przysłużę, mówiąc prawdę.

Jagang spoglądał na nią podejrzliwie.

- Uważaj, Ulicio, żeby nie wpaść w przymilny ton. Nie jestem w nastroju.

Siostra Ulicia skłoniła głowę.

- Oczywiście, Ekscelencjo.

Jagang skrzyżował krzepkie ramiona na masywnej piersi i wrócił do podstawowej sprawy.

- Czyli uważasz, że dlatego ci, którzy robili kopie, zostawili nam tamten sposób odróżnienia fałszu od prawdy?

- Tak, Ekscelencjo - odparła Siostra Ulicia, choć niepokoiło ją, że trwa przy zdaniu, które mu nie odpowiada. Ale skoro imperator mógł czytać jej myśli, to będzie wiedzieć, w co ona wierzy.

Kahlan sądziła, że Siostra Ulicia uznała, iż najlepszym sposobem uniknięcia jego gniewu jest szczerłość. Siostra Ulicia była bardzo sprytna.

- Zatem jesteś zdania, że to właściwe wytłumaczenie, że to nie pomyłka, ale coś rozmyślnego, celowego.

- Tak, Ekscelencjo. Musi istnieć sposób, by to stwierdzić. W przeciwnym razie jedynie szczęśliwy traf umożliwiłby właściwe wykorzystanie księgi. Szkatuły Ordenu wykonano jako przeciwwagę... - Umilkła i zerknęła ku Kahlan.

Dziewczyna jedynie leciutko uchylała powieki, więc Ulicia nie

zorientowała się, że już się ocknęła.

- Zapewne uznali - ponownie zwróciła się do Jaganga - że jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba skorzystania z tej przeciwwagi, to wyłącznie w rozpaczliwej sytuacji, a wtedy absolutnie będą musieli wiedzieć, czy księga jest wierna oryginałowi, bo inaczej stracą wszystko, w co wierzą. W końcu posługiwaliby się księgą dla ratowania tego wszystkiego, w co wierzą. Gdyby osoby posługujące się przeciwwagą myliły się co do używanej kopii, mogłyby nie tylko utracić życie. Ryzykowałyby zgubę świata życia.

- Chyba że ci, którzy zrobili fałszywe kopie, chcieli, żeby udaremniły one zakusy chciwego złodzieja - rzekł Jagang.

- Ekscelencjo - powiedziała Siostra Ulicia - żeby pokrzyżować zdradzieckie plany, opiekunowie szkatuł musieliby wiedzieć, jak odróżnić wierną kopię od fałszywej. Gdyby nie przekazali owego sposobu swoim następcom, uzależniliby ich przeżycie od czystego przypadku. Kopie sporządzili przede wszystkim dlatego, że obawiali się tego, co mogłoby się zdarzyć w przyszłości, gdyby istniał wyłącznie oryginał. W końcu jedynej istniejącej księdze groziło wiele niebezpieczeństw: ogień, woda, robaki, że już nie wspomnę o celowym zniszczeniu. Starali się doprowadzić do tego, żeby istniała wierna kopia, na wypadek gdyby trzeba było wykorzystać szkatuły, a oryginalna księga była niedostępna z najrozmaitszych powodów, których sobie nawet nie potrafili wyobrazić. Zdawanie przyszłości na los przypadku byłoby sprzeczne z ich planami co do sporządzenia kopii. Rozumiesz, o co mi chodzi? Skoro sporządzili tylko jedną wierną kopię, a reszta jest fałszywa, starali się nie dopuścić do bezprawnego wykorzystania szkatuł, tworząc dodatkową przeszkodę. Zarazem jednak na pewno nie chcieli, żeby uzasadnione użycie szkatuł zależało od ślepego przypadku. Zostawiliby swoim następcom sposób potwierdzenia prawdy. Skoro w tekście tej księgi nie ma sprzeczności, wydaje mi się, że twórcy kopii wymyślili inne sposoby odróżnienia prawdy od fałszu.

Jagang popatrzył na drugą Siostrę.

- O, Arminie coś przyszło do głowy. No mów, kochanieńka. Siostra Armina odkasznęła.

- Chciano, byśmy uwierzyli, że słowo w liczbie pojedynczej, a nie mnogiej służyło im jako jedyna wskazówka co do autentyczności tekstu? - Pokręciła głową. - Mimo że zgadzam się co do zasadniczej kwestii, uważam, że to zbyt

proste wyjaśnienie, o ile wręcz nie zbyt niejasny przekaz. W ten sposób odróżnienie prawdy od fałszu też byłoby uzależnione od przypadku, chyba że dali nam możliwość potwierdzenia tego.

- I dali, nieprawdaż? - Siostra Ulicia uniosła brew, nachylając się lekko ku Arminie. - Umieścili go tutaj, zaraz na samym początku, gdzie dokładnie wyjaśnili, jak sprawdzić, czy księga jest prawdziwa czy nie. Napisali, że o n a musi to zweryfikować.

I zweryfikowała.

Armina skrzyżowała ramiona na piersi.

- Jak mówiłam, to zbyt proste, żeby stanowiło odpowiedź.

- Jeżeli jest zbyt proste, Armino, to dlaczego tego nie zauważyłaś? - spytała Siostra Ulicia.

Kahlan bardziej przymknęła oczy, kiedy Siostra Ulicia na nią wskazała.

- Znalazła błąd. Dlaczego żadne z nas tego nie wychwyciło? Tylko ona to dostrzegła. Bez niej pewnie byśmy tego nie zauważyli, a jeśli nawet, zapewne uznalibyśmy, że to nie jest ważne, i zlekceważylibyśmy to. Zrobiła to, co nakazano jej w księdze. Znalazła błąd. Powiedziała, że to oznacza, iż ta kopia jest fałszywką. Czyli dokładnie wypełniła to, co zalecono jej w księdze. Niektórzy z nas mogą uważać, że to zbyt prosty błąd, by mógł być decydującą cechą, lecz to nie ma znaczenia. Faktem jest, że ona musiała zweryfikować prawdziwość kopii i że z powodu owego błędu, który tylko ona zauważyła, orzekła, że to fałszywka. Tylko to ma znaczenie. Musimy uznać jej opinię.

Zastanawiając się nad przemowami obu Sióstr, Jagang tarł mięsistą łapą swój byczy kark i spacerował przed stołem. Przez jakiś czas wpatrywał się w księgę, a potem rzekł:

- Jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić. - Obrzucił każdą z nich wściekłym spojrzeniem. - Znajdziemy inne kopie i porównamy je. Jeżeli wszystkie, lub tylko kilka z nich, będą miały ten sam błąd w tytule, zrozumiałe będzie, że nie ma to znaczenia. Natomiast jeśli wszystkie prócz jednej będą miały ten sam błąd, ta bez błędu zapewne będzie wierną kopią. Wtedy porównamy wszystkie wersje tekstu i jeżeli ta bez błędu w tytule będzie się różnić od pozostałych, zyskamy potwierdzenie, że to wierna kopia.

- Ekscelencjo - odezwała się Siostra Armina, z szacunkiem skłaniając głowę - to znakomity pomysł. Jeżeli odnajdziemy inne i tylko ta jedna będzie

mieć błąd, potwierdzi to moją opinię, że to wyłącznie zwyczajna omyłka niedouczonego introligatora.

Jagang wpatrywał się w nią przez moment, a potem podszedł do stojącego z boku kufra. Otworzył go i wyjął książkę. Rzucił ją na stół, tak że przejechała po blacie ku obu Siostrom.

Siostra Armina podniosła ją i przeczytała tytuł. Nawet w przyćmionym świetle oliwnych lamp Kahlan widziała, jak twarz tamtej pokrywa się ciemną czerwienią.

- Księga Opisania Mroku - wyszeptała Armina z niedowierzaniem.

- Mroku? - spytała Siostra Ulicia, patrząc Arminie przez ramię. - Nie mroków?

- Nie - rzekł Jagang. - To Księga Opisania Mroku, taka sama jak ta z Caski.

- Ale, ale - zająknęła się Siostra Armina - nie rozumiem. Skąd jest ta kopia?

Do gniewnego spojrzenia imperatora dołączył protekcyjny uśmiech.

- Z Pałacu Proroków.

Siostrze Arminie z wrażenia opadła szczęka. Siostra Ulicia zmarszczyła brwi.

- Co? Niemożliwe. Jesteś pewny?

- Czy jestem pewny? - Chrząknął drwiąco. - O tak, jestem. Mam tę książkę już od jakiegoś czasu. To jeden z powodów, dla których pozwoliłem wam, durne, na wasze poszukiwania. Potrzebna mi była ta sama kobieta, na którą polowałyście, bym mógł sprawdzić, czy to wierna kopia czy nie. I przez cały ten czas uważałem, że słowo „mrok” w tytule jest właśnie tym, które powinno tam być. Po prostu uznałem, że określa to, co określać powinno. Jednak nasza nieprzytomna w tej chwili przyjaciółka natychmiast zwróciła na nie uwagę.

- Ale jak ci się udało to wydostać z Pałacu Proroków? - zapytała Siostra Ulicia. - Z tego, co wyczytałyśmy, wynika, że te kopie były pogrzebane z kośćmi, jak ta w Casce, w ukrytych katakumbach. Zanim pałac został zniszczony, nie znaleziono w nim żadnych katakumb.

Jagang uśmiechnął się do siebie, jakby miał coś wyjaśniać dzieciom.

- Myślicie, że jesteście takie bystre, Ulicio, bo się dowiedziałyście o szkatułach, o księdze potrzebnej do ich otwarcia, o katakumbach i o osobie

niezbędnej do zweryfikowania tekstu księgi. Tymczasem ja od dziesięcioleci wiedziałem o tym, o czym wy dowiedziałyście się dopiero ostatnio. Od bardzo, bardzo dawna odwiedzam umysły, żeby wspomóc naszą sprawę. Byłybyście zdziwione, wiedząc, co odkryłem już dawno temu. Kiedy wy, Siostry, bawiłyście się w pałacowe intrygi, w walkę o władzę na waszej małej wysepce, w wielbienie Stwórcy lub Opiekuna, licząc na nagrody za wierność jednemu lub drugiemu, ja trudziłem się nad zjednoczeniem Starego Świata pod przewodnictwem Bractwa Ładu, którego sprawa jest sprawą samego Stwórcy, a więc i jedynie słuszną sprawą ludzkości. Kiedy wy nauczałyście młodych chłopców, jak być czarodziejem, ja ukazywałem tym samym chłopcom prawdziwe Światło. I chociaż Siostry nie miały o tym pojęcia, wielu z tych młodych czarodziejów zostało uczniami Ładu, by w przyszłości oddać się pracy na rzecz zbawienia ludzkości. Całe dziesięciolecie chodzili po Pałacu Proroków, pod nosem Sióstr, działając jako bracia Bractwa Ładu. A ja byłem w ich umysłach, kiedy czytali te wszystkie zakazane księgi w podziemiach pałacu. Jako Nawiedzający Sny kierowałem ich studiami. Wiedziałem, co się przyda. Skłoniłem ich, by szperali dla mnie. Jako bracia Ładu już dawno znaleźli tajemne wejście do katakumb. Było ukryte pod nie używanym i dawno zapomnianym składem w starszej części stajen. Wykradli z katakumb tę księgę oraz inne cenne woluminy i oddali mi je, kiedy wreszcie zjawiłem się w pałacu po triumfalnym zjednoczeniu Starego Świata. Mam tę kopię od wielu dziesięcioleci. Brakowało mi tylko możliwości przekroczenia wielkiej bariery, bym mógł zdobyć tak szkatuły, jak i środki weryfikacji. Ale wtedy Siostry wyświadczyły mi przysługę, bo swoimi machinacjami doprowadziły do tego, że bariera została zniszczona. Obawiam się, że po zniszczeniu Pałacu Proroków katakumby i przechowywane w nich księgi przepadły na zawsze. Ale ci młodzi ludzie przestudiowali większość z tych ukrytych tomów, a ja czytałem je ich oczami. Pałacu i katakumb już nie ma, lecz nie cała zgromadzona tam wiedza przepadła. Ci młodzi ludzie dorośli i zostali braćmi, wielu z nich nadal żyje i wspomaga naszą walkę. Kiedy się przekonałem, że obmyślacie plan porwania Matki Spowiedniczki, uświadomiłem sobie, że mogę wykorzystać wasz plan, żeby ją wreszcie dostać w swoje ręce i użyć do własnych celów. Toteż pozwoliłem wam sądzić, że robicie dokładnie to, czego chcecie, choć w gruncie rzeczy realizowałyście moje plany. Teraz mam księgę i Matkę Spowiedniczkę, która, według księgi,

ma potwierdzić jej autentyczność.

Siostry jedynie się w niego wpatrywały. Kahlan aż się zakręciło w głowie. Matka Spowiedniczka. Jest Matką Spowiedniczką. Co to, u licha, znaczy „Matka Spowiedniczka”? Jagang błysnął ku Siostronom szczerym uśmiechem.

- Byłyście skończonymi idiotkami, nieprawdaż?

- Tak, Ekscelencjo - przyznały chórem słabymi głosami.

- Czyli - podjął - mamy teraz dwie kopie Księgi Opisania Mroków i obie mają ten sam błąd w tytule: słowo „mroku” zamiast „mroków”.

- Ale to i tak tylko dwie - odezwała się Siostra Armina. - A jeżeli wszystkie pozostałe mają ten sam błąd?

- Nie sądzę, żeby tak było - wtrąciła Siostra Ulicia.

- Cóż, jeżeli tak, na pewno by to o czymś świadczyło, czyż nie? - Brew Jaganga uniosła się pytająco nad mrocznym okiem. - Teraz mam dwie kopie i obie mają ten sam błąd. Potrzebne nam będą pozostałe, żeby potwierdzić teorię, iż jedna ma w tytule prawidłowe słowo „mroków”. Czyli musimy utrzymywać Matkę Spowiedniczkę przy życiu, dopóki się nie przekonamy, czy naprawdę znalazła błąd pozwalający wskazać wierną kopię.

- A jeżeli wszystkie kopie mają ten sam błąd, Ekscelencjo? - zapytała Siostra Armina.

- To wtedy się przekonamy, że błąd w tytule nie jest odpowiednią metodą weryfikowania Księgi Opisania Mroków. Może się okazać, że będziemy musieli dać jej dostęp do samej kopii, żeby miała lepsze możliwości zweryfikowania jej, żeby wzięła pod uwagę to, czego teraz nie jest w stanie zobaczyć.

Siostra Armina uniosła dłoń.

- Ależ, Ekscelencjo, nie wiem, czy coś takiego jest w ogóle możliwe.

Jagang nie przejął się uwagą Siostry Arminy, odebrał jej księgę i położył na stole obok drugiej.

- Matka Spowiedniczka jest wciąż dla nas niezwykle ważna. Tylko ona może stwierdzić, która kopia jest prawdziwa. Nie możemy jeszcze mieć pewności, że już to zrobiła. Wypowiedziała się na podstawie jedynej dostępnej jej informacji. Potrzebna jest nam żywa.

- Tak, Ekscelencjo - powiedziała Siostra Armina.

- Chyba wraca do przytomności - odezwała się Siostra Ulicia.

Kahlan uświadomiła sobie, że nasłuchiwała tak bacznie, iż zapomniała zamknąć oczy, gdy Siostra Ulicia na nią zerknęła. Ulicia podeszła i przyjrzała się jej.

Kahlan nie chciała, by się zorientowali, że słyszała, jak nazywają ją Matką Spowiedniczką. Przeciągnęła się lekko, niby to wracając do przytomności, a równocześnie starała się domyślić, co też może oznaczać ten tytuł.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotała na pozór półprzytomnie.

- Jestem pewna, że wkrótce będzie to dla ciebie aż nazbyt oczywiste. - Siostra Ulicia mocno szturchnęła Kahlan w ramię. - No już, ocknij się.

- O co chodzi? Życzysz sobie czegoś, Siostro? - Kahlan tarła oczy kłykciami, starając się wyglądać na rozkojarzoną i oszołomioną. - Gdzie jesteśmy?

Siostra Ulicia zaczepiła palec o metalową obrożę na szyi dziewczyny i jednym szarpnięciem postawiła ją na nogi.

Zanim Siostra Ulicia zdążyła dodać coś jeszcze, mięsista łapa Jaganga chwyciła ją za ramię i odsunęła na bok. Chciał dopaść Kahlan. Złapał ją za koszulę pod szyją. Uniósł w powietrze.

- Zabiłaś dwóch zaufanych strażników - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Zabiłaś Siostrę Cecilię. - Gwałtownie narastała w nim wściekłość. Twarz mu poczerwieniała, brwi zmarszczyły się nad mrocznymi oczami i zdawało się, że wśród zamglonych kształtów, które przesuwają się niczym chmury przez te czarne oczy, zamigocze błyskawica. - Myślałaś, że zabicie ich ujdzie ci na sucho?!

- Wcale nie sądziłam, że ujdzie mi to na sucho - odpowiedziała Kahlan z całym spokojem, na który mogła się zdobyć. Tak jak podejrzewała, jej spokój tylko bardziej go rozwścieczył.

Ryknął z gniewu i tak nią potrząsnął, iż miała wrażenie, że popękają jej mięśnie szyi. Nie było wątpliwości, że jest to człowiek, który z byle powodu wpada w niepohamowaną furję. Mógł wtedy zabić.

Kahlan nie chciała umierać, ale wiedziała, że szybka śmierć może być lepsza od tego, co jej zapowiedział. I tak nie mogła tego w żaden sposób powstrzymać.

- Skoro nie sądziłaś, że ujdzie ci to na sucho, to jak śmiałaś coś takiego zrobić?!

- A co to za różnica? - spytała obojętnie, choć trzymał ją tak, że nie

dotykała stopami podłogi.

- O czym ty mówisz?!

- Już mi zapowiedziałeś, że masz dla mnie okropieństwa, jakich nigdy nie doświadczyłam. Wierzę ci. Ludzie twojego pokroju jedynie w ten sposób mogą wygrać: groźbami i brutalnością. A ponieważ jesteś takim napuszonym głupcem, popełniłeś błąd, mówiąc mi, że nawet sobie nie potrafię wyobrazić tych wszystkich okropnych rzeczy, które zamierzasz mi zrobić. To był twój wielki błąd.

- Błąd? O czym ty mówisz? - Przycisnął ją do swojego muskularnego cielska. - Jaki błąd?

- Popełniłeś taktyczny błąd, imperatorze - powiedziała Kahlan, sprawiając, że jego tytuł zabrzmiał jak obelga. Chciała, żeby się rozzłościł, i widziała, że jej się to udało.

Choć wisiała, trzymana przez jego pięści o zbielełych kłykciach, to starała się mówić spokojnie, a nawet powściągliwie.

- Wyraziłeś się jasno, że bez względu na to, co zrobię, i tak nie mam nic do stracenia, że nie zmienisz zdania. Zapowiedziałeś, że uczynisz mi wszystko, co najgorsze. Toteż mogę sobie pozwolić na wszystko, bo nie mam złudzeń, że okażesz mi łaskę. Ujawniając, że nie mogę mieć nadziei na miłosierdzie, dałeś mi atut, którego przedtem nie miałam. Popełniając ten błąd, uświadomiłeś mi, że nic nie stracę, zabijając twoich strażników, i że skoro i tak spotka mnie to, co najgorsze, to równie dobrze mogę się jeszcze zemścić na Siostrze Cecylii. Popełniając ów taktyczny błąd, pokazałeś mi, że wcale nie jesteś aż taki bystry, że jesteś jedynie brutalem i że można cię pokonać.

Na tyle poluzował chwyt, że Kahlan dotknęła noskami butów podłogi i mogła się choć trochę podeprzeć.

- Naprawdę jesteś niezła - powiedział, a szczwany uśmiezek zastąpił wściekłość. - Będę się dobrze bawić tym, co dla ciebie zaplanowałem.

- Wypomniałam ci twój błąd, a ty go powtarzasz? Najwyraźniej wolno się uczysz, prawda?

Wcześniej, kiedy w furii przyciągnął ją do siebie i przysunął jej twarz do swojej, kiedy jego łapska krzepko ją trzymały, Kahlan skorzystała z okazji i ostrożnie wyciągnęła nóż z pochwy u jego pasa. Dwoma palcami przesunęła nóż w dłoń. Był tak rozwścieczony, że niczego nie zauważył.

Po ostatniej obeldze Kahlan nie rozzłościł się, lecz zaczął się śmiać.

A ona już mocno zaciskała nóż w garści. Bez wahania i ostrzeżenia pchnęła tak mocno, jak tylko zdołała.

Chciała wbić mu ostrze pod zebra, rozciąć niezbędne do życia narządy, może nawet serce, gdyby zdołała sięgnąć aż tak daleko. Ale trzymana w ten sposób miała utrudnione ruchy i chybiła celu o milimetry - trafiła go w najniższe żebro. Czubek noża utkwiał w kości.

Nim zdążyła wyszarpnąć nóż i dźgnąć raz jeszcze, złapał ją za nadgarstek, wykręcił jej rękę i obrócił całą. Uderzyła plecami o jego pierś. Wyrwał jej nóż z garści, zanim jakoś zareagowała. Wiążące szyć ramię pozbawiało powietrza. Plecami czuła, jak ciężko dyszy z gniewu.

Wcale nie uznała się za pokonaną. Nim brak powietrza zdążył pozbawić ją przytomności, z całej siły kopnęła go obcasem w goleń. Krzyknął i wiedziała, że zabołało. Uderzyła łokciem prosto w świeżą ranę. Wzdrygnął się. Kiedy łokieć odbił się po ciosie, skrzyła go ku przodowi, żeby nabrać impetu, a potem szarpnęła w tył i trafiła Jaganga w szczękę. Ale był taki wielki i krzepki, że nie zrobiła mu krzywdy. Zupełnie jakby tłukła byka. Tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyła, tak jak by to było z bykiem.

Nie czekając na dalsze ciosy, Jagang złapał ją za koszulę, zanim mu się wyrwała. Uderzył ją w brzuch, a ona zgięła się wpół, tracąc oddech. Mimo przeraźliwego bólu spazmatycznie chwyciła powietrze.

Kahlan uświadomiła sobie, że klęczała, dopiero gdy złapał ją za włosy i postawił na nogi. Kolana się pod nią ugiwały.

Jagang szeroko się uśmiechał. Gniew zniknął - przegnały go nieoczekiwana, niebezpieczna awantura i sposobność do zadania bólu. Zaczynało mu się to podobać.

- Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? - wykrztusiła Kahlan do przyglądającego się jej imperatora.

- Zabić cię? A niby czemu miałbym cię zabić? Wtedy po prostu byłabyś martwa. Chcę, byś żyła po to, żebym mógł cię dręczyć.

Żadna z Sióstr się nie poruszyła, nie spróbowała powściągnąć swego mistrza. Kahlan wiedziała, że nie sprzeciwiłyby się niczemu, co by jej zrobił. Dopóki był nią zajęty, zostawiał je w spokoju. Nim zdążył jeszcze raz ją uderzyć, namiot nagle zalało światło, przyciągając uwagę Jaganga.

- Ekscelencjo - powiedział głęboki głos.

Rozległ się gdzieś z boku. Jeden z wielkoludów odchylił dywan i czekał. Był podobny do tych dwóch strażników, których wcześniej zabiła. Kahlan przypuszczała, że Jagang ma nieprzeliczone zastępy takich żołnierzy.

- Co jest?

- Jesteśmy gotowi do zwijania obozu, Ekscelencjo. Wybacz, że przeszkodziłem, ale chciałeś, żeby cię zawiadomić, jak tylko będziemy gotowi. Powiedziałeś, że mamy się pospieszyć.

Jagang puścił włosy Kahlan.

- W porządku. Zaczynajcie.

Zamachnął się niespodziewanie i uderzył ją w twarz tak mocno, że poleciała na podłogę.

Kiedy leżała, dochodząc do siebie, przycisnął dłoń do rany nad zębrem. Cofnął dłoń i sprawdził, jak silnie krwawi. Otarł dłoń o spodnie, najwyraźniej uznawszy, że to niewielka rana, którą nie warto się przejmować. Na jego odsłoniętej skórze Kahlan widziała sporo blizn, większość po ranach o wiele gorszych niż ta, którą mu zadała.

- Zadbajcie, żeby już nic nie przyszło jej do głowy - powiedział do Sióstr, idąc ku wyjściu odsłoniętemu przez strażnika.

Kahlan poczuła spływającą od obroży falę palącego bólu, która sunęła wzdłuż nerwów aż do palców stóp. Piekący ból sprawił, że się bezwiednie zachłysnęła oddechem.

Chciało jej się krzyczeć z wściekłości, że znów szarpie nią ów palący ból. Nienawidziła wykorzystywania obroży do kontrolowania jej. Nie cierpiała swojej bezsilności wobec bólu, który zadawały jej Siostry.

Siostra Ulicia podeszła i stanęła nad nią.

- To był głupi postępek, nieprawdaż?

Ból był taki, że Kahlan nie mogła odpowiedzieć. Ale gdyby mogła, powiedziała by Siostrze, że to wcale nie było głupie i że warto było to zrobić.

Będzie stawiać im opór, póki jej wystarczy tchu. W razie potrzeby aż do ostatniego tchnienia.

Rozdział 43

Wychodząc z namiotu imperatora, Kahlan aż się wzdrygnęła, gdy po raz pierwszy ujrzała z bliska armię Imperialnego Ładu. Poprzednio odległość trochę łagodziła wrażenie. I chociaż niby dobrze to wiedziała, i tak był to paraliżujący widok.

Zwarte tłumy żołnierzy sięgały aż po horyzont. Wszyscy byli w ruchu - pochylali się, zatrzymywali, odwracali, podnosili rynsztunek, ustawiali się w szeregi, siodłali konie, ładowali wozy, grupy jeźdźców niczym fale przemieszczały się wśród tłumów - więc przypominało to bezkresne, wzburzone, groźne czarne morze.

Jak okiem sięgnąć nie było ani jednego żołnierza - a widziała ich nieprzeliczone rzesze - który by wyglądał życzliwie lub nieszkodliwie. Wszyscy byli ponurzy i przerażający, jakby nic ich tak nie cieszyło jak zadawanie gwałtu. Powodowała nimi chęć swobodnego grabienia i mordowania. Kahlan aż się bała pomyśleć o tych, którzy znajdują się na drodze owych żołnierzy.

Kiedy dobrze się temu wszystkiemu przyjrzała, zaczęła dostrzegać różnice między żołnierzami. Ci najbliżej imperatora byli bardziej zdyscyplinowani i staranniej wykonywali swoją robotę. Bardziej też dbali o swój oręż. Wszyscy z kręgu otaczającego bezpośrednio namioty Jaganga wyglądali jak ci dwaj, których Kahlan zabiła.

Dalej znajdowali się żołnierze odziani w inne stroje ze skóry i kolczugi. Byli niemal tak wysocy i dobrze wyszkoleni jak ci stacjonujący najbliżej imperatora, lecz ich podstawowym orężem były topory o zakrzywionych ostrzach. Za nimi były kolejne pierścienie żołnierzy, w tym kusznicy i zbrojni w miecze, a także szeregi pikinierów, zbierających się w oddziały i szykujących do długiego marszu.

Każdy pierścień żołnierzy wokół imperatora miał odrębne, jednakowe dla wszystkich w nim umundurowanie. Wszyscy ci ludzie byli wysocy, muskularni, opancerzeni i uzbrojeni po zęby w solidnie wykonaną broń. To był rdzeń armii Jaganga - najgroźniejsi, najsilniejsi, najokrutniejsi żołnierze.

Niektórzy żołnierze z wewnętrznych kręgów wyglądali na oficerów. Jedni wydawali rozkazy posłańcom, inni niższym rangą, a jeszcze inni stali

grupkami przy mapach i układali jakieś plany. Od czasu do czasu podchodzili, żeby krótko porozmawiać z Jagangiem.

Za kręgami zawodowych żołnierzy znajdowała się hałastra stanowiąca największą część armii. Broń tych żołdaków - miecze, topory, piki, lance, maczugi, pałki i noże - była wykonana byle jak i przez to wyglądała jeszcze groźniej. To byli nieokrzesani ludzie, skorzy do bitki i wszelkich ekscesów. Z żołnierzami z otoczenia imperatora łączyło ich jedno - i ci, i tamci wyglądali na fanatyków, zajadłych fanatyków, gotowych siłą narzucać swoje przekonania. Kahlan miała wrażenie, że znalazła się na zdradzieckiej wyspie otoczonej rojącym się od potworów morzem.

Dziewczyna zauważyła w wewnętrznym kręgu coś jeszcze. Były tu kobiety. Początkowo nie dostrzegła ich, bo były ubrane w tak bure stroje, że wtapiały się w tłum żołnierzy. Tak bacznie się wszystkim przyglądały, że zaczęła podejrzewać, iż są to strzegące imperatora Siostry. Byli tu również właściwie nieuzbrojeni mężczyźni, którzy zachowywali się podobnie jak Siostry. Zapewne i oni mieli dar. Żaden z nich i żadna z owych Sióstr nie spojrzeli nawet ku Kahlan. Jedynie Siostry Ulicia i Armina oraz Jagang wiedzieli, że ona tutaj jest.

Byli także młodzi ludzie, zupełnie nieuzbrojeni, odziani w zwykłe, luźne spodnie - zapewne niewolnicy wykonujący najrozmaitsze posługi. Kahlan ujrzała, jak z niektórych namiotów w imperatorskim sektorze wysypują się młode kobiety, zaganiane następnie na wozy przed składaniem namiotów. Były skąpo odziane i żołnierze bezczelnie się na nie gapili, więc Kahlan nie miała wątpliwości, po co tutaj są. Miały puste, pozbawione życia oczy, zatem domyśliła się, że to branki zmuszone do prostytucji.

Tłuszcza za wewnętrznymi kręgami bezustannie hałasowała, natomiast większość z pobliskich żołnierzy w milczeniu szykowała się do zwijania obozu. Prawie wszyscy z tych wojowników mieli ćwieki, kółka, łańcuchy i wytatuowane twarze, przez co nie tylko wyglądali na dzikusów, ale w ogóle mało przypominali ludzi, jakby świadomie odrzucali wyższą wartość na rzecz niższej. Najwyraźniej wybrali bestialstwo. Wykonywali swoje zadania, mało co mówiąc, i słuchali rozkazów wykrzykiwanych przez oficerów na koniach. Sprawnie pakowali ekwipunek, szykowali broń i siodłali wierzchowce.

Tłumy poza wewnętrznymi kręgami nie były ani tak zdyscyplinowane,

ani tak staranne. Byle jak ładowały swój ekwipunek. Odchodząc, zostawiały za sobą sterty śmieci i połamanych łupów.

Wcale się tym nie przejmowali. Ich zadaniem było nawracanie tych, którzy nie podzielali ich przekonań.

Siostra Ulicia, dostrzegłszy reakcję Kahlan na tych groźnych żołnierzy, skinęła ku nim głową, a potem nachyliła się ku dziewczynie.

- Wiem, co czujesz - stwierdziła.

Kahlan w to wątpiła. Nie chciała nic mówić, bo była przekonana, że Jagang jest w umyśle Siostry, ciekawy, co Kahlan powie, kiedy nie ma go w pobliżu.

- Przecież to bez znaczenia, co czuję, nieprawdaż? - powiedziała do dwóch przyglądających jej się Sióstr. - I tak zrobi ze mną, co zechce. - Dotknęła ranki na policzku, śladu po jednym z pierścieni Jaganga; nareszcie przestała krwawić. - Jasno dał to do zrozumienia.

- O tak, zrobi, co zechce - odezwała się Siostra Ulicia.

- Z nami wszystkimi - dodała Siostra Armina. - Nie mogę uwierzyć, że byliśmy takie głupie.

Z Jagangiem wróciła grupa oficerów. Za nimi żołnierze prowadzili już osiodłane konie. Inni zabierali kufry, krzesła, stoły i mniejsze przedmioty z namiotu imperatora, po czym ładowali je w skrzynie stojące na podstawionych wozach. Gdy tylko namiot był pusty, zdjęto odciąg, potem maszty, a w końcu złożono sam namiot. W parę chwil to, co było miasteczkiem namiotów wokół stojącego pośrodku obszernego namiotu imperatora, stało się pustą parcelą.

Jagang dał znak jednemu z żołnierzy, by podał Kahlan wodze.

- Dzisiaj pojedziesz ze mną - rzekł.

Kahlan była ciekawa, co będzie robić następnego dnia, ale nie zapytała. Najwyraźniej miał co do niej plany. Nie wiedziała, jakie, ale bała się tego, co dla niej szykował.

Wsunęła stopę w strzemień i po chwili siedziała już w siodle. Rozejrzała się po morzu żołnierzy, oceniając szansę ucieczki. Może by się udało spośród nich wydostać, gdyż - z wyjątkiem obu Sióstr i Jaganga - nie zapamiętywali jej na tyle długo, by wiedzieć, że ją widzą. Wśród nich, choć to się zdawało niesamowite, była niewidzialna. Mieliby wrażenie, że to biegnie koń bez jeźdźca, i pewnie nie chcieliby, żeby ich stratował.

Siostry, bacznie ją obserwując, też dosiadły koni. Ustawily się po bokach Kahlan, żeby nie miała okazji rzucić się do ucieczki. A ona wiedziała, że chociaż dla żołnierzy byłaby niewidzialna, Siostry w każdej chwili mogłyby ją powalić za pośrednictwem obroży. I wcale nie musiałyby być w tym celu blisko; przekonała się o tym na własnej skórze. Nogi nadal bolały ją od tego, co zrobiły wcześniej. Dobrze, że miała jechać konno, bo z takimi obolałymi nogami daleko by nie uszła.

Morze żołnierzy już ruszyło mroczną, wzbierającą falą. Światło poranka lśniło w ostrzach milionów sztuk broni i sprawiało, że armia wyglądała jak woda. Niczym na tratwie utworzonej przez osobistą gwardię imperatora, w orszaku Sióstr, sług i niewolników, zaczęli wypływać na bezkresne, wzburzone morze wojska, które dążyło na północ.

Jechali, mając po prawej gorące, wschodzące słońce. Kahlan - między Siostrami, w otoczeniu osobistej straży imperatora - przemieszczała się wraz z sunącym na północ wojskiem. Z siodła miała doskonały widok. No i przynajmniej nie musiała dźwigać na plecach bagażu Sióstr, jak przedtem.

Miarowy mozolny marsz sprawił, że żołnierze szybko umilkli. Rozmawianie stało się zbyt trudne. Kahlan wkrótce zaczęła się pocić w upale. Dźwigający ciężkie plecaki żołnierze brnęli naprzód, wbijając oczy w ziemię. Gdyby któryś się zatrzymał, pewnie by go zdeptano. Widziała z tyłu miliony żołnierzy dążących wraz z nimi na północ.

W ciągu dnia wśród żołnierzy torowały sobie drogę wozy lub konni, rozwożąc strawę. Równomiernie rozlokowane wśród armii wozy przewoziły wodę. Wkrótce uformowały się przy nich kolejki maszerujących żołnierzy, którzy czekali na porcję napoju.

Okolo południa wśród ludzi imperatora zjawił się niewielki wóz. Przywiózł ciepłą strawę dla oficerów. Siostry podały Kahlan to samo, co dostali wszyscy - jakieś gąbczaste, słone mięso zawinięte w chlebowy placek. Nie było zbyt smaczne, ale Kahlan była okropnie głodna i ucieszyła się z posiłku.

O zmierzchu wszyscy byli wyczerpani mozolnym marszem. Jedli w drodze i w ogóle się nie zatrzymywali. Przebyli większą odległość, niż zdaniem Kahlan, tak olbrzymia armia mogłaby pokonać w jeden dzień. Miała wrażenie, że oblepiła ją większość wzbitego przez nich pyłu. Nie wiedziała, czy byłaby bardziej zadowolona z deszczu, który splukiwałby z

niej kurz, bo wtedy brnęliby w błocie.

Kahlan zdziwiła się, dostrzegłszy w oddali coś, co przypominało sektor imperatorski. Flagi nad namiotami łopotały na gorącym wietrze, jakby witały Jaganga. Uświadomiła sobie, że wozy z rzeczami imperatora musiały ich wyprzedzić i żołnierze już rozbili obóz. Armia była tak liczna i zajmowała tak wielki obszar, że upływały całe godziny, a może i dni, zanim każdy z żołnierzy minął to samo miejsce. Tak więc wozy nie musiały jechać poza obręb armii, żołnierze musieli po prostu zostawić im wolną drogę, żeby mogły pognać wśród nich naprzód i żeby ludzie imperatora zdążyli przed zmrokiem rozbić obóz, tak by wszystko było gotowe na przybycie Jaganga.

Kahlan widziała mięsiwa piekące się na roznach nad ogniskami. Wonie sprawiły, że żołądek rozboleł ją z głodu. Nad innymi ogniskami na żelaznych żurawiach wisały parujące kotły. Uwijali się niewolnicy, dźwigając najrozmaitsze rzeczy, pracując przy stołach, obracając różny, mieszając w kotłach i dodając rozmaite składniki, przygotowując wieczorny posiłek. Półmiski z chlebem, mięsem i owocami były już gotowe.

Jagang, jadący tuż przed Kahlan, zsiadł przy swoim obszernym namiocie. Podbiegł żołnierz, by wziąć od niego wodze. Kiedy Siostry i Kahlan też zsiadły, i do nich podbiegli młodzi żołnierze, by odprowadzić ich konie. Siostry, jakby działały na wydany bez słów rozkaz, poprowadziły Kahlan za Jagangiem. Weszli do namiotu pod szeroką, ozdobną kotarą, zwykle zasłaniającą wejście, a teraz przytrzymywaną przez muskularnego żołnierza z nagim torsem. Lśnił od potu, zapewne zmęczony stawianiem namiotów; wokół niego unosił się kwaśny zapaszek.

Wewnątrz było tak samo jak rankiem, kiedy wymaszerowali. Patrząc na to, trudno było uwierzyć, że w ogóle ruszyli się z miejsca. LAMPY były już zapalone. Kahlan ucieszyła woń palącej się oliwy, bo trochę tłumiła odór moczu, gnoju i potu. Krzątali się niewolnicy, szykując posiłek dla imperatora.

Jagang zniechęca się odwrócił, złapał Siostrę Ulicę za włosy i przyciągnął ku sobie. Krzyknęła z bólu i zdziwienia, ale raz-dwa przestała zawodzić i nie stawiała oporu, kiedy ciągnął ją ku sobie. Niewolnicy tylko przelotnie rzucili okiem, gdy Siostra Ulicia krzyknęła, i natychmiast wrócili do roboty, jakby niczego nie dostrzegli.

- Dlaczego nikt inny jej nie widzi? - zapytał Jagang. Kahlan wiedziała, o

czym mówi.

- Zakłęcie, Ekscelencjo. Zakłęcie chainfire. - Siostra Ulicia stała w dziwacznej, niewygodnej pozie, schylona, z trudem utrzymując równowagę. - Po to właśnie było to zakłęcie: żeby nikt jej nie widział. Wymyślono je, żeby dana osoba zniknęła. Myślę, że chciano stworzyć szpiega, którego by się nie dało wykryć. Posłużyliśmy się tym zaklęciem, żeby wynieść z Pałacu Ludu szkatuły tak, aby nikt nie wiedział, co zrobiłyśmy.

Kahlan serce podeszło do gardła, gdy usłyszała, jak ją wykorzystano, jak odebrano jej pamięć i życie. Czuła kulę w gardle, dowiedziawszy się, jak Siostry zlekceważyły jej drogocenne życie. Co dało tym kobietom prawo tak ukraść czyjeś życie?

Jeszcze niedawno uważała, że jest pozbawionym pamięci nikim, niewolnicą Sióstr. A teraz dowiedziała się, że jest Kahlan Amnell i Matką Spowiedniczką, cokolwiek to znaczyło. Teraz wiedziała już, iż zapomniała, że jej nazwisko brzmi Amnell i że jest tą jakąś Matką Spowiedniczką, bo Siostry rzuciły na nią czar.

- Tak to miało działać - rzekł Jagang. - No to dlaczego oberżysta ją widział? I ten skalny szczurek w Casce?

- Nnnie wwiem - wydukała Siostra Ulicia.

Przywłókł ją odrobinę bliżej. Chciała chwycić go za nadgarstki, by uchronić się od oskalpowania, ale uznała, że lepiej się nie sprzeciwiać niczemu, co z nią robił, i zwiesiła ręce.

- Zadam pytanie tak, żeby je zrozumiała nawet taka durna suka jak ty. Co zrobiłyście źle?

- Ależ, Ekscelencjo...

- Musiałyście coś zrobić źle, bo inaczej tych dwoje też by jej nie widziało. - Siostra Ulicia drżała, ale nie reagowała, kiedy ją łajał. - Ty i Armina ją widzicie, bo nadzorowałyście zakłęcie. Ja ją widzę, bo byłem w waszych umysłach i chroniło mnie to samo co was. Ale nikt inny nie powinien jej widzieć. A teraz - rzekł po przerwie na zgrzytnięcie zębami - zapytam jeszcze raz. W czym się pomyliłyście?

- W niczym, Ekscelencjo. Przysięgam.

Jagang skinął palcem na Arminę. Potulnie podeszła drobnymi kroczkami.

- Zechciałabyś odpowiedzieć na moje pytanie i wyznać, co zrobiłyście źle?

A może i ty wolisz zostać wysłana do namiotów razem z Ulicią?

Siostra Armina stłumiła panikę i rozłożyła ręce.

- Ekscelencjo, gdybym sobie mogła oszczędzić tego losu, odpowiadając, zrobiłabym to. Ale Ulicia ma rację. Nie popełniłyśmy żadnej pomyłki.

Jagang z gniewem spojrzał na Siostrę, którą trzymał za włosy.

- Wydaje mi się, że się mylicie. Zakłęcie powinno uczynić ją niewidzialną, tymczasem inni ją widzą. A mimo to obstajecie przy opowiadstce, która jest ewidentnym kłamstwem? Musiałyście popełnić jakiś błąd, bo inaczej tych dwoje ludzi też by jej nie widziało.

Siostra Ulicia, płacząc z bólu, spróbowała pokręcić głową.

- Nie, Ekscelencjo, to nie działa w ten sposób.

- Co nie działa w ten sposób?

- Zakłęcie chainfire. Kiedy się je wyzwoli, biegnie własnym torem. Zakłęcie wykonuje całą robotę. Jest samosterowne. My go nie naprowadzamy ani w żaden sposób nie kontrolujemy. W gruncie rzeczy, w trakcie tego procesu nie jest możliwa żadna interwencja. Wyzwała sieje, a potem już biegnie samo według z góry ustalonego porządku. Nawet nie wiemy, co to za procedury. Pod niektórymi względami przypomina to działanie zaklęcia strukturalnego.

Nie ośmieliłybyśmy się ingerować w żadne z nich. Moc wyzwolona w chainfire znacznie przekracza tę, którą potrafimy kierować, a poza tym nawet gdybyśmy chciały, i tak nie mamy możliwości zmiany takiego zaklęcia.

- Mówi prawdę, Ekscelencjo. Wiemy, co ono ma zrobić, jakie powinny być skutki, ale nie mamy pojęcia, jak działa. Co byśmy miały zmieniać? Chciałyśmy, żeby zadziało, wykonało to, do czego zostało stworzone. Nie miałyśmy powodu w nie ingerować, więc nie mogłyśmy niczego popsuć.

- My je tylko zapoczątkowałyśmy - upierała się Siostra Ulicia z płaczem. - Rzuciłyśmy czar weryfikacji, żeby się upewnić, że wszystko jest tak, jak być powinno, a potem je zainicjowałyśmy. Zakłęcie zrobiło resztę. Nie mamy pojęcia, dlaczego tych dwoje ludzi ją widziało. Zupełnie nas to zaskoczyło.

Jagang zwrócił gniewne spojrzenie na Siostrę Arminę.

- Potrafisz naprawić błąd?

- Nie mamy pojęcia, gdzie tkwi problem - odparła Siostra Armina - więc nie możemy tego naprawić. Nawet nie mamy pewności, że naprawdę coś

jest nie tak. Z tego, co wiemy, wynika, że może być i tak, iż zakłęcie po prostu tak działa: że będą nieliczni ludzie, którzy z nie znanych nam powodów nadal będą ją widzieć. To zakłęcie jest znacznie bardziej skomplikowane niż wszystko, z czym miałyśmy wcześniej do czynienia. Nie mamy pojęcia, co jest źle, o ile naprawdę coś jest źle, ani jak to poprawić.

- Sądzę, że może to być przypadkowa anomalia - zasugerowała Siostra Ulicia, kiedy cisza w namiocie stała się zbyt złowieszcza. - Takie rzeczy zdarzają się czasami w magii. Drobnostki, których nie przewidzieli twórcy zakłęcia, prześlizgują się i unikają jego wpływu. To może być właśnie coś takiego. W końcu to zakłęcie ma tysiące lat. Jego twórcy nigdy go nie wypróbowali, więc mogą być pewne nierozwikłane problemy, których nawet nie byli świadomi.

Jagang nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Coś musiałyście zrobić źle.

- Nie, Ekscelencjo. Nawet ci czarodzieje z pradawnych czasów nic już nie mogliby zrobić po zainicjowaniu zakłęcia. Ostatecznie magię Ordenu stworzono po to, żeby poradzić sobie z zakłęciem, gdyby kiedyś zostało rzucone. Nic innego nie zdoła odmienić jego przebiegu.

Kahlan nadstawiła uszu. Ciekawa była, dlaczego Siostry miałyby używać zakłęcia do wykradzenia szkatuł Ordenu, które przeznaczone były do odczynienia go. Może chciały mieć pewność, że nikt nie będzie się mógł nimi posłużyć.

Jagang wreszcie puścił Siostrę Ulicę, popychając ją na ziemię z pełnym niesmaku mruknięciem. Przycisnęła dłonie do głowy, żeby choć trochę stłumić ból.

Imperator chodził tam i z powrotem, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Zauważył, że ktoś zagląda do namiotu, zatrzymał się i dał znak. Weszło kilka kobiet z dzbanami i nalało czerwonego wina do stojących na stole kubków. Zaczęli wchodzić służący, niosąc półmiski i tace z najrozmaitszymi gorącymi daniami. Jagang znów spacerował, prawie nie zwracając uwagi na krzątających się niewolników.

Kiedy stół został zastawiony, imperator zasiadł na rzeźbionym krześle. Obserwował obie Siostry i rozmyślał. Niewolnicy w milczeniu ustawili się za nim, gotowi spełniać jego polecenia i przynieść mu wszystko, czego zażąda.

Wreszcie zainteresował się kolacją i wbił paluchy w szynkę. Wyrwał

garść gorącego mięsa. Drugą ręką odrywał z niego długie paski i zajadał je, przyglądając się Siostrze i Kahlan, jakby się zastanawiał, czy powinny żyć czy umrzeć.

Gdy skończył szynkę, wyjął zza pasa nóż i odciął kawałek pieczonej wołowiny. Nadział na sztych czerwony plaster i uniósłszy go, czekał. Krew ściekała po ostrzu i przedramieniu aż po oparty o stół łokieć. Uśmiechnął się do Kahlan.

- Lepszy użytek z mojego noża niż ten twój, nieprawdaż? Dziewczyna miała zamiar zamilczeć, ale nie wytrzymała.

- Bardziej mi się podobał ten, który ja z niego zrobiłam. Żałuję tylko, że nie trafiłam dokładniej. Wtedy nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

Uśmiechnął się do siebie.

- Może. - Łyknął wina, a potem zsunął zębami z noża obcięty kawałek wołowiny. Przyglądał się Kahlan i żując mięso, nakazał: - Zdejmuj odzienie.

Dziewczyna zamrugła.

- Co?

- Zdejmuj odzienie. - Machnął nożem. - Wszystko. Kahlan zacisnęła zęby.

- Nie. Skoro chcesz, żeby go nie było, będziesz musiał je ze mnie zedrzeć.

Wzruszył ramionami.

- Zrobię to później, dla przyjemności. Ale teraz się rozbieraj.

- Dlaczego? Uniósł brew.

- Bo tak powiedziałem. - Spojrzenie oczu jak z koszmaru przeniosło się na Siostrę Ulicę. - Opowiedz Kahlan o namiotach tortur.

- Ekscelencjo?

- Opowiedz jej o wielkim doświadczeniu, jakie mamy w nakłanianiu ludzi, żeby robili, co chcemy. Opowiedz jej, jakie tortury stosujemy.

Kahlan odezwała się, nim zdążyła to zrobić Siostra Ulicia.

- No to do dzieła, torturuj mnie. Nikt nie ma ochoty słuchać, jak pleciesz o tym niczym stara baba. Jestem pewna, że wolałbyś wydać mnie na męki, więc do dzieła.

- Och, nie zamierzam torturować ciebie, kochanieńka. - Urwał nogę pieczonej gęsi i skinął nią na stojącą za nim młodą kobietę. - Chcę, żeby torturowano ją.

Kahlan spojrzała na wystraszoną nagle kobietę, a potem popatrzyła chmurnie na Jaganga.

- Co?

Odgryzł kęs ciemnego gęsiego mięsa. Tłuszcz pociekł mu po palcach. Zlizął go z pierścieni.

- Cóż - rzekł, skubiąc wiszące z nogi kawałki mięsa - może jednak powinienem to wyjaśnić. Widzisz, mamy taką torturę, podczas której inkwizytor robi małe nacięcie w dolnej części brzucha. - Odwrócił się i stuknął gęsią nogą tuż pod pępkiem młodej kobiety. - Dokładnie tutaj. Apotem - powiedział, odwracając się, gęsia noga zaś zostawiła tłusty ślad na gołym ciele - inkwizytor wpycha w głąb brzucha szczypce i stara się uchwycić nimi jelito. Wszystko tam jest dość śliskie, a poddana temu osoba wcale nie leży spokojnie, chyba rozumiesz, co mam na myśli, więc trochę to trwa, zanim się porządnie uchwyci jelito. Kiedy inkwizytor już je w końcu złapie, powolutku wyciąga parę stóp. Ciężka to próba. - Pochylił się i urwał kolejny pas szynki. - Jeżeli nie zrobisz, jak powiedziałem, to wszyscy pójdziemy do namiotów tortur - machnął kawałkiem szynki w lewo - i pozwolimy, żeby jeden z naszych doświadczonych inkwizytorów zrobił to tej dziewczynie za mną. - Spojrzał lodowato na Kahlan. - A wszystko dlatego, że nie chcesz zrobić, co ci kazano. Będziesz musiała patrzeć na to. Będziesz słuchać jej krzyków, błagań o życie. Będziesz patrzeć, jak krwawi i jak wyciągają z niej wnętrzności. A kiedy inkwizytor wyciągnie kilka stóp, zacznie nawijać je na patyk, jak przedzę, żeby nie było bałaganu. Potem przerwie i spojrzy na mnie. Wtedy ja znów grzecznie poproszę, żebyś zrobiła, co kazałem. Jeżeli ponownie odmówisz, powolutku wyciągniemy jeszcze kilka stóp jej delikatnych, okrwawionych wnętrzności, nawijając je na patyk i słuchając, jak ona krzyczy, łka i błaga o śmierć. Cała procedura może trwać długo. To straszliwie powolna i bolesna tortura. - Obdarzył Kahlan promiennym uśmiechem. - I wtedy, pod koniec, zobaczysz jej przedśmiertne drgawki.

Kahlan spojrzała na dziewczynę. Nie poruszyła się, ale zbladła tak, że była biała niczym cukier w stojącej z boku stołu misie. Jagang powoli przeżuł kęs, a następnie popił go winem.

- A jeszcze później zobaczysz, jak rzucamy jej zwłoki na wózek umarłaków, razem z innymi pokiereszowanymi ciałami tych, którzy byli przesłuchiwani. W końcu dam Ulicii i Arminie wybór między odesłaniem do namiotów, by zabawiały moich ludzi, którzy mają dość nienasycone apetyty,

a takim wykorzystaniem obroży na twojej szyi, byś zaznała bólu, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłaś. Z zastrzeżeniem, że nie mogą pozwolić ci umrzeć ani zemdleć. Zechcę, rzecz jasna, byś to wszystko czuła.

Na zewnątrz nie milkł zgiełk armii, lecz w namiocie było zupełnie cicho. Jagang zjadł następny kawałek krwistej wołowiny.

- Kiedy Siostry już wyczerpią swoją wyobraźnię, a wierzę, że motywacja ogromnie ją pobudzi, osobiście pobiję cię niemal na śmierć - dodał. - A po tym wszystkim zedrę z ciebie ubranie i staniesz przede mną naga. - Wbił w nią te swoje oczy niczym z koszmaru. - Wybór należy do ciebie, kochanieńka. Tak czy inaczej, w końcu będziesz musiała wykonać mój rozkaz i staniesz przede mną naga. Co wybierasz? Ale szybko się decyduj. Drugiej szansy ci nie dam.

Kahlan nie miała wyboru. Opór był bezcelowy. Przełknęła ślinę i natychmiast zaczęła rozpinać koszulę.

Rozdział 44

Jagang nabrał z misy garść pekanów i wrzucił je do ust. Uśmiechał się zwycięsko, patrząc, jak Kahlan zaczyna się rozbierać. Jego zadowolenie sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej osamotniona i bezsilna.

Była pewna, że się zarumieniła. Już nie próbowała sprzeciwić się jego poleceniom. Wiedziała, że musi selekcjonować swoje potyczki, a tej nie mogła wygrać. Ciekawa była, czy w ogóle uda jej się którąś wygrać. Zaczynała wątpić, czy to możliwe. Nie będzie dla niej ratunku. To było jej życie, jej przyszłość, jedyne, co ją czeka. Nie miała na co czekać, nie miała do czego dążyć.

Rozbierała się najspokojniej, jak zdołała, rzucając ubranie na stosik i nie marnując czasu na składanie go. Wreszcie skończyła i stanęła, przygarbiona, w martwej ciszy, nie patrząc na Jaganga, bo nie chciała widzieć jego zadowolonej, pożądliwej miny. Robiła, co mogła, żeby nie zobaczył, jak drży.

- Wyprostuj się - polecił imperator.

Kahlan zrobiła, co kazał. Nagle poczuła się znużona. Nie fizycznym wysiłkiem, ale tym wszystkim. O co walczyła? Jakie życie ją czekało? Nie miała najmniejszej szansy na odzyskanie wolności, na miłość, na poczucie bezpieczeństwa. Jaką miała szansę na choć odrobinę szczęścia w życiu?

Żadną.

W tej chwili niczego tak nie pragnęła, jak zwinąć się w kłębek i zapłakać... albo przestać oddychać i skończyć z tym wszystkim. Jej wysiłki na nic się zdadzą wobec takiej siły, takiej liczebności, takich możliwości.

Opuściło ją zażenowanie. Nie obchodziło jej, że na nią patrzy. Była przekonana, że gdy tylko skończy kolację, nie poprzestanie na gapieniu się. I na to też nic nie mogła poradzić. W ogóle nie miała na nic wpływu. To była jedynie namiastka życia. Skoro nie mogła mieć wpływu nawet na to, nie mogła decydować, czy się podporządkuje czy nie, w gruncie rzeczy nie miała własnego życia. To inni mieli życie. Ona oddychała, patrzyła, czuła, słyszała, wyczuwała smak, a nawet myślała, ale nie żyła w pełnym znaczeniu tego słowa.

- Na wprost wejścia do mojego namiotu jest skała - rzekł Jagang, odchylając się na krześle. - Widziałas ją, kiedy nadjechaliliśmy, pamiętasz?

Kahlan podniosła na niego wzrok, czując się martwa wewnątrz.

Zrobiła, co jej kazał, niczym posłuszna niewolnica. Zastanowiła się nad pytaniem. Tak, pamiętała skałę. Była daleko, ale pamiętała, jak opływała ją mroczna fala żołnierzy.

- Tak, pamiętam - powiedziała głucho.

- To dobrze. - Pociągnął łyk i odstawił kubek. - Chcę, żebyś poszła do tej skały. Nie idź prosto do niej, wybierz okrężną drogę. - Uniósł brew. - Nie musisz się tak rumieniść, kochanieńka. Przecież żołnierze cię nie widzą, pamiętasz?

Kahlan wpatrywała się w niego.

- Więc dlaczego chcesz, żebym to zrobiła? Wzruszył ramionami.

- Zabiłaś mi dwóch strażników. Potrzebni mi nowi.

- Na zewnątrz masz mnóstwo żołnierzy. Jagang uśmiechnął się.

- Tak, ale oni ciebie nie widzą. Chcę takich, którzy będą cię widzieć.

Kahlan zrozumiała, o co mu chodzi. Nagle poczuła się znowu całkiem obnażona.

- Pomyślałem sobie, że chyba nie ma lepszego sposobu na wytropienie żołnierzy, którzy cię widzą, niż kazać ci się przespacerować między nimi w pełnej krasie. - Przez chwilę wodził po niej wzrokiem, a potem znów spojrzał jej w oczy. - Możesz mi wierzyć, że gdy cię zobaczą, od razu się z tym zdradzą. Nie mam wątpliwości, że gdy cię zobaczą, jak ten oberżysta lub ta dziewczyna, rzucą swoją robotę i zechcą cię uprzejmie powitać. - Zaśmiał się gromko z własnego żartu. Nikt z obecnych w namiocie nawet się nie uśmiechnął, ale on o to nie dbał. W końcu przestał się śmiać. - Jestem przekonany, że w całej tej masie żołnierzy znajdziemy paru, którzy będą cię widzieć. W takiej masie musi być więcej „anomalii”, jak to określiła Ulicia. - Przekrzywił ku niej głowę. - Wtedy będziemy mieć strażników, do których nie zdołasz się podkraść albo przemknąć między nimi, jak zrobiłaś z tamtymi. Bo widzisz, kochanieńka, popełniłaś taktyczny błąd. Powinnaś zachować tę sztuczkę na lepszą szansę ucieczki. A tak zmarnowałaś ją.

Wcale nie zmarnowała. Zrobiła, co musiała, żeby ocalić życie Jillian. Kahlan wiedziała, że nie zdoła odzyskać wolności, ale przynajmniej ofiarowała ów dar Jillian. Jednak nie było sensu się sprzeczać, więc nie kwestionowała tego, co uznał za punkt dla siebie w grze, którą z nią prowadził.

Nie potrafiła wymyślić niczego, co by go odwiodło od tego planu. Mogła jedynie mieć nadzieję, że pozostanie niewidzialna. Ale wcale nie czuła się niewidzialna. Nagle odniosła wrażenie, że jak tylko wyjdzie z namiotu imperatora, zobaczy ją każdy żołnierz w obozie. Już czuła pożądliwe spojrzenia oblesnych żołdaków.

Jagang dał znak.

- Ulicio, Armino, pójdziecie z nią, ale będziecie się trzymać sporo z tyłu. Nie chcę, by żołnierze, którzy ją zobaczą, zauważyli was, nim zdążą się z tym zdradzić. Chcę, by każdy z nich był na tyle napalony i zuchwały, żeby rzucił swoją robotę i ruszył ku naszej młodej damie.

Obie się skłoniły.

- Tak, Ekscelencjo - rzekły chórem.

Jagang porzucił rozradowaną minę. Znow był groźny.

- No to w drogę. Idźcie dużym łukiem w prawo, przez obóz, aż do tej skały, a potem łukiem wróćcie tutaj. Rusz się, kobieto!

Kahlan podeszła po miękkich dywanach do kobierca zasłaniającego wejście. Czuła jego pożądliwy wzrok. Odchyliła kobierzec i wysliznęła się z namiotu.

Na zewnątrz, spojrzawszy na rozległy obóz, zdrętwiała z przerażenia. Zmusiła się, dygocząc, by przejść między potężnymi żołnierzami przy namiocie imperatora. Łzy kłuły ją w oczy. Czuła się upokorzona i kompletnie naga przed tymi wszystkimi żołdakami.

Zatrzymała się przy pierwszym kręgu ochronnym, bojąc się wejść między tych, którzy byli poza nią. Miała ochotę krzyczeć z wściekłości, wstydu i zakłopotania. Czuła się wykorzystywana, przymuszana przez tych, którzy mieli nad nią władzę. Nie mogła się zmusić do zrobienia kroku. Obejrzała się przez ramię.

Jagang stał tuż przed namiotem, trzymając za włosy kobietę, którą miał wydać na tortury. Zalewała się łzami.

Kahlan odważyła się przedtem na coś bardzo trudnego, by ocalić życie Jillian. Postanowiła, że postąpi tak samo, by uratować życie kobiety, którą Jagang chciał wydać na tak okrutne męki. I ona była niewolnicą, od której nic nie zależało. Jedynie Kahlan mogła podjąć decyzję, która oszczędziłaby tej kobiecie straszliwego losu.

Odwróciła się ku pandemonium w obozie i ruszyła przed siebie. Grunt

był nierówny i musiała ostrożnie stawiać stopy, żeby uniknąć nie tylko kamieni, ale i szczątków połamanego ekwipunku oraz placków świeżego gnoju.

Napominała się, że żaden z tych żołnierzy jej nie widzi. Zatrzymała się przy kolejnej linii ochronnej, gdzie trzymali straż wielcy gwardziści. Zerknęła na najbliższego. Nie widział jej, obserwował tych, którzy byli za kręgiem. Jak dotąd nie widział jej żaden z żołnierzy. Obejrzała się - Siostry czekały, aż pójdzie dalej. Jagang nadal trzymał kobietę za włosy. Kahlan zrozumiała wiadomość i bez zwłoki ruszyła w drogę.

Zobaczyła w pobliżu konie i przez moment rozważała, czy ku nim nie pobiec. Wyobraziła sobie, jak wskakuje na konia i odjeżdża galopem, uciekając z obozu. Wiedziała, że to tylko fantazje. Siostry poraziłyby ją bólem poprzez obrożę i powstrzymały. Co więcej, kobieta, którą Jagang trzymał za włosy, umarłaby. On nie miał w zwyczaju rzucać gróźb na wiatr. Spełniał wszystkie, żeby nikt nigdy nie pomyślał, że kiedykolwiek blefuje.

Kahlan wiedziała, że taka ucieczka jest niemożliwa, lecz wyobrażanie jej sobie odwróciło jej uwagę od otaczających ją ze wszystkich stron żołnierzy, od tych wszystkich brudnych łap, od których nie mogła oderwać wzroku. Czuła się absolutnie bezradna i obnażona. Tkwiła pośrodku rozległego obozowiska niczym lilia w bagnie.

Szła szybko, myśląc, że im prędzej zatoczy krąg, tym prędzej wróci pod ochronę namiotu. To była straszna myśl: namiot Jaganga jej osłoną, ten okropny człowiek gwarantem jej bezpieczeństwa. Przynajmniej zejdzie im wtedy z oczu, a w tej chwili wyłącznie tego chciała. Tylko o tym myślała. Dotrzeć do skały i wrócić do namiotu. Im szybciej to zrobi, tym szybciej znów znajdzie się w środku.

Chyba że w tej masie żołnierzy będą tacy, którzy ją zobaczą. To zupełnie możliwe. Spotkała już dwie osoby, które ją widziały, i to w małej grupie ludzi. Ta armia liczyła miliony żołnierzy. Całkiem prawdopodobne, że natrafi na takich, którzy aż nazbyt wyraźnie ją zobaczą.

Co wtedy zrobi? Obejrzała się przez ramię. Siostry były gdzieś za rzeką żołnierzy. Co będzie, jeżeli któryś ją złapie, przewróci, powlecze gdzieś? Siostry wreszcie ruszyły za nią, ale były daleko w tyle. Kahlan zamartwiała się, co się stanie, jeżeli żołnierze ją zobaczą i pochwycają. A jeżeli dostrzeże ją cała grupa? Czy Siostry zdołają odciągnąć od niej cały tłum? Poza tym były

tak daleko. W jakiej fazie będzie gwałt, zanim dobiegną.

Ale Siostry mogły rzucać zaklęcia. Na pewno nie pozwoliłyby, żeby żołnierze ją zniewolili.

Zastanawiała się, na jakiej podstawie tak uważa.

Jagang. Chciał jej dla siebie. On nie był z tych, którzy pozwoliliby podwładnym zabawiać się ze swoim skarbem. Chciałby ją wziąć osobiście. Sama myśl, że leży na niej, wystarczyła, by Kahlan poczuła lodowaty dreszcz strachu.

Jednak teraz nie Jagang był problemem, lecz ci żołnierze. Mijając stojącego tyłem do niej wojownika, jednym płynnym ruchem wyjęła nóż z pochwy na jego biodrze. Zgrała ten ruch z kołysaniem się ramion, żeby Siostry - gdyby akurat się jej przyglądały - nie spostrzegły, co zrobiła. Żołnierz rozejrzał się, bo coś wyczuł. Choć przez chwilę patrzył wprost na nią, w końcu wrócił do rozmowy.

Żołnierze, wśród których szła, ciągle jeszcze należeli do zewnętrznych kręgów obronnych sektora imperatorskiego, ale teraz miała wejść między zwykłych żołdaków. Pili, śmiali się, grali na pieniądze i opowiadali sobie rozmaite historie, siedząc wokół ognisk. Stały wśród nich uwiązane konie. Tu i tam również wozy. Niektórzy już rozbili byle jakie namioty, inni gotowali coś nad ogniskami albo spali.

Widziała też prowadzone do namiotów kobiety; żadna nie szła chętnie. Widziała wychodzące stamtąd kobiety - zaraz łapali je żołnierze czekający na swoją kolej i wlekli do następnego namiotu. Kahlan przypomniała sobie, jak Jagang wspomniał, że za karę pośle Siostry do namiotów. Słyszała, jak łkają kobiety w tych namiotach, i pociła się ze strachu na myśl o tym, co ją czeka, kiedy w końcu wróci do namiotu Jaganga. Chociaż odesłanie do namiotów dla żołnierzy z pewnością byłoby czymś okropnym, Kahlan nie była w stanie współczuć Siostrze. Według niej gwałt byłby dla nich zbyt lekką karą. Zasługiwały na coś o wiele gorszego.

Jeden z pobliskich żołnierzy spojrział na nią. Kahlan dostrzegła w jego oczach błysk rozpoznania - w oczach wpatrzonych w nią. Widział ją. Rozdziawił usta, zachwycony faktem, że taka kobieta, by tak rzec, sama weszła mu w ramiona.

Zaczął się podnosić, ale nim zdążył się całkiem wyprostować, Kahlan rozplatała mu brzuch i poszła dalej, jakby się nic nie stało. Wstrząśnięty

żołnierz usiłował przytrzymać wypływające jelita. Zgiął się i padł na ziemię, stękając z przerażenia, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy uznali, że to po prostu jeden z wielu hałasów. Kiedy upadł, wnętrzności wypłynęły. Jego kompani odwrócili się, żeby popatrzeć. Jedni byli zaszokowani, inni się śmiali, a wszyscy myśleli, że właśnie przegrał bójkę na noże.

Kahlan nie zwolniła, nie obejrzała się. Szła, nie gubiąc rytmu i cały czas myśląc o tym, co ma zrobić: dotrzeć do skały, a potem wrócić do namiotu. Zatoczyć krąg. Zrobić, co jej kazano.

Gdy z tłumu wyskoczył żołnierz i rzucił się ku niej, napięła mięśnie i wykorzystwała jego impet, by wbić mu nóż pod żebra, rozcinając wnętrzności. Wyprowadzone od dołu cięcie, niczym cios, i ciężar osuwającego się żołnierza sprawiły, że pięść Kahlan wbiła się w otwartą ranę, w ciepłe wnętrzności. Runął jak worek z piachem, bez jednego dźwięku, więc była pewna, że zdołała przebić mu serce. Jako pamiątkę tego krótkiego starcia miała teraz czerwoną rękawiczkę z jego krwi.

Zastanawiała się, gdzie się tego wszystkiego nauczyła. Robiła to zupełnie instynktownie. Spływało to na nią równie naturalnie i zwyczajnie jak odczucia, których wcale nie trzeba przywoływać. Niczego o sobie nie pamiętała, ale wiedziała, jak się posługiwać bronią. Uznała, że powinna być z tego zadowolona.

Idąc przez morze żołnierzy, dotarła do wyspy zwiększonej aktywności. Żołnierze cofnęli się, zostawiając wolny plac, na którym grano w Ja'La. Dziesiątki tysięcy widzów dopingowało to jedną drużynę, to drugą. Gra była bardzo brutalna, a rozgrywający najbardziej dostawał w kość od zespołu przeciwnika. Kiedy padł, okrwawiony, połowa kibiców zaczęła dziko wiwatować.

- No, no, no - odezwał się żołnierz po jej lewej - jaka śliczniutka kurewka złożyła mi wizytę.

Kiedy się ku niemu odwracała, drugi, po prawej, złapał ją za nadgarstek, wykręcił jej rękę i odebrał nóż. W jednej chwili rzucili się na nią obaj, pochwycili ją i zaczęli odciągać od tłumu obserwującego Ja'La.

Kahlan szarpała się, chcąc się wyrwać, ale byli o wiele silniejsi i zaskoczyli ją. Złościła się na siebie, że pozwoliła się tak podejść. Nikt z pozostałych niczego nie zauważył. Tamci jej nie widzieli, była dla nich niewidzialna. Ale nie dla tych dwóch, którzy starali się ją zasłonić, żeby

żaden z kamratów nie odebrał im nowej zdobyczy. Równie dobrze mogłaby być sama z tymi dwoma.

Jeden z nich wepchnął jej rękę między nogi. Aż się zachłysnęła oddechem na taki gwałt. Kiedy się nachylił, żeby ją popieścić, zdołała wyrwać rękę. W jednej chwili odwinęła się i uderzyła go łokciem w twarz, łamiąc nos. Cofnął się z wrzaskiem, a krew zalewała mu oczy i policzki. Drugi się zaśmiał, dostrzegłszy w tym okazję, żeby mieć ją wyłącznie dla siebie. Zmienił kierunek, wlokąc ją ze sobą i jedną krzepką łapą trzymając oba jej przeguby, a drugą obmacując swój łup.

Kahlan szarpała się i skręcała, ale był dla niej o wiele za duży i za silny. Nie miała się o co zaprzeć, żeby mu się wyrwać.

- Zadziorna jesteś - powiedział jej do ucha. - Wyobrażasz sobie, że unikniesz wypełnienia świętego obowiązku wobec żołnierzy Ładu? Myślisz, że jesteś za dobra, żeby służyć w namiotach? Wcale nie. Oto mój namiot, więc czas, żebyś wypełniła swój obowiązek.

Kahlan okręciła się, żeby spróbować go ugryźć, kiedy włókł ją ku pobliskiemu pustemu namiotowi. Uderzył ją w twarz. Była ogłuszona. Rozgwar obozu zdawał się cichnąć. Mięśnie jej nie słuchały, nie mogła ich zmusić do stawiania oporu usmolonemu żołdakowi.

Nagle Kahlan ujrzała twarz Siostry Ulicii. Nigdy przedtem nie cieszyła się na widok którejś z Sióstr, ale teraz tak.

Siostra odwróciła uwagę żołnierza od dziewczyny, a potem przytknęła palce do jego czoła. Kahlan, wreszcie wolna, odskoczyła, jej porywacz zaś padł na kolana, ściskając głowę pięściami i krzycząc z bólu.

- Wstawaj - nakazała mu Siostra Ulicia - albo zrobię ci coś o wiele gorszego. - Podniósł się na miękkich nogach. - Masz natychmiast iść do namiotu imperatora i służyć tam jako specjalny strażnik.

Był trochę skołowany.

- Specjalny strażnik?

- Otóż to. Będziesz pilnować dla Jego Ekscelencji tej nieznośnej młodej damy.

Żołnierz spojrzał groźnie na Kahlan.

- Z przyjemnością.

- Z przyjemnością czy nie, ruszaj. To rozkaz imperatora Jaganga. - Wskazała kciukiem za ramię. - Tędy.

Żołnierz skłonił głowę, najwyraźniej wystraszony jej talentem do czarów. Patrzył na Siostrę z podejrzliwością, choć milczącą niechęcią. Ci żołnierze najwyraźniej niezbyt wysoko cenili mających dar.

- Wkrótce znowu się zobaczymy - obiecał Kahlan, zanim odbiegł wypełnić rozkaz.

Kahlan zobaczyła, jak Siostra Armina daje żołnierzowi ze złamanym nosem te same polecenia. Głos Siostry zagłuszały radosne wrzaski kibiców, ale żołnierz musiał ją dobrze słyszeć, bo zeszytywniał ze strachu, skłonił się jej i pobiegł za kolegą.

Siostra Ulicia popatrzyła na Kahlan.

- Łzy nic ci nie pomogą. Ruszaj.

Dziewczyna nie oponowała. Im szybciej się to skończy, tym lepiej. Natychmiast ruszyła w drogę, zadowolona, że udało się jej wyeliminować dwóch z czterech, którzy jak dotąd ją zobaczyli. Musiała ominąć grę Ja'La budzącą w żołnierzach coraz większą ekscytację. Raz się zatrzymała, stanęła na palcach i upewniła, gdzie jest skała, a następnie poszła ku niej.

Zanim wróciła do Jaganga, zebrali pięciu żołnierzy. Wszyscy stali przed namiotem, czekając na rozkazy. Ten ze złamanym nosem spojrzął na nią gniewnie, kiedy go mijala, prowadzona ku wejściu przez obie Siostry.

Po tym, jak Siostra Ulicia ją uratowała, Kahlan zdołała szybko się uzbroić. Tym razem zadbała o to, żeby wziąć dwa noże. Trzymała ich rękojeści w dłoniach, ostrza kryjąc po wewnętrznej stronie przedramienia, żeby idące za nią Siostry nie mogły ich wypatrzeć.

Udało się jej zabić kolejnych sześciu żołnierzy, którzy ją dostrzegli, i to tak, że Siostry nie zorientowały się, co zrobiła. Nie było to trudne - żaden z nich nie spodziewał się zagrożenia ze strony nagiej kobiety. Ogromnie się mylili. W ogóle nie uważali, więc mogła pchnąć szybko i celnie. Wokół było tyle hałasu, zamieszania, picia, wrzasków i bójk, że Siostry nawet nie zauważyły żołnierzy, których zabiła.

Kiedy nie mogła zabić tych, którzy ją widzieli - bo albo któraś z nich była za blisko, albo zbyt uważnie patrzyły i natychmiast rzuciły się ją ratować oraz przekazać żołnierzom ich nowy przydział - Kahlan upuszczała noże na ziemię i znikła w tłumie, by Siostry nie nabrały podejrzeń. A ponieważ większość żołnierzy jej nie widziała, z łatwością zdobywała nowe noże podczas tego długiego, szarpiącego nerwy spaceru przez obóz.

Gdy Kahlan znalazła się już w namiocie, Jagang rzucił jej odzienie.

- Ubierz się - rzekł.

Zamiast się dopytywać o powody rozkazu, którego się nie spodziewała, niezwłocznie go wypełniła. Dobrze było znów mieć coś na sobie, kiedy tak na nią patrzył nieruchomymi czarnymi oczami. Ale to i tak nie zmniejszyło jego zainteresowania tym, co zobaczył.

Wreszcie przeniósł wzrok na Siostry.

- Pouczyłem naszych nowych strażników o ich obowiązkach. - Uśmiechnął się tak, że obie Siostry z przerażeniem przełknęły ślinę. - Skoro tych kilku strażników zdejmie wam brzemię z barków, będziecie miały trochę wolnego czasu na pobyt w namiotach. Poleżycie sobie na plecach, spełniając inne obowiązki.

- Ależ, Ekscelencjo... - odezwała się drżącym głosem Siostra Armina - zrobiłyśmy wszystko, co kazałeś. Znalazłyśmy żołnierzy...

- Uważasz, że skoro przez krótki czas robiłyście, co kazałem, zapomnę, że całymi latami knułyście i spiskowałyście, jak mnie wykończyć? Myślisz, że tak łatwo zapomnę, że zaniedbałyście swoje obowiązki wobec innych, swoje zobowiązania wobec sprawy Ładu, swój moralny obowiązek poświęcenia doczesnych zachcianek na rzecz dobra innych?

- To nie było tak, Ekscelencjo. - Siostra Armina tarła dłonie, szukając słów, które mogłyby ją ocalić. - Tak, byłyśmy okropnymi egoistkami, przyznaję, ale wcale nie chciałyśmy ci wyrządzić krzywdy.

Parsknął śmiechem.

- Nie sądzisz, że uwolnienie Opiekuna zaświatów byłoby dla mnie szkodliwe? Ze wydanie ludzkości Opiekunowi umarłych byłoby działaniem wymierzonym we mnie, w nauki Ładu, w Stwórcę?

Siostra Armina zamilkła. Wiedziała, że nie ma żadnego argumentu. Kahlan zawsze uważała Siostry za źmije. A teraz wiły się przed kimś, kto miał skórę zbyt grubą, by mogły zatopić w niej kły.

Siostry Ulicia i Armina były atrakcyjnymi kobietami. Kahlan przeczuwała, że ich powierzchowność tylko pogorszy ich los wśród bydłaków tworzących armię Imperialnego Ładu.

- Kontroluję... - Jagang ugryzł się w język, zanim wymienił jej tytuł - Kahlan poprzez obrożę, poprzez wasz dar. Nie musicie być tu obecne, żebym w razie potrzeby mógł przyzwać tę moc. Wystarczy, byście żyły. Pouczę

żołnierzy, że nie życzę sobie, by was uśmiercili, sycąc się waszymi wdziękami.

- Dziękujemy, Ekscelencjo - wykrztusiła cicho Siostra Ulicia. Zaciskała spódnicę w pięściach o zbieleńszych kłykciach.

- Na zewnątrz czeka dwóch żołnierzy, których pouczono, co mają z wami zrobić. Idźcie z nimi. - Uśmiechnął się do nich niczym uosobienie śmierci. - Miłej nocy, moje panie. Zasłużyłyście sobie na to, i na o wiele więcej.

Kiedy wyszły z namiotu, Kahlan stała pośrodku, czekając na podobny los.

Jagang podszedł do niej. Wystraszyła się, że albo zemdleje z przerażenia, albo dostanie torsji na myśl o tym, co zaraz ją spotka.

Rozdział 45

Kahlan wpatrywała się we wzór dywanu, na którym stała. Nie chciała patrzeć wyzywająco w czarne oczy Jaganga. Wiedziała, że takie demonstrowanie męstwa nic by teraz nie dało.

Kiedy musiała iść za jadącymi konno Siostrami, zawsze tłumaczyła sobie, że dzięki temu będzie mieć siłę, kiedy będzie jej ona potrzebna. Teraz zastosowała podobną metodę i nie zamierzała dawać bezużytecznych pokazów męstwa. Skoro i tak nie mogła nic na to poradzić, pomstowanie przeciwko Jagangowi i temu, co miał zamiar z nią zrobić, byłoby jedynie marnowaniem sił.

Chciała zachować cały gniew na odpowiednią porę.

A taki czas na pewno nadejdzie. Obiecała sobie, że taki czas nadejdzie. I choćby się miała rzucić w paszczę śmierci, wyładuje płomienną wściekłość na tych, którzy jej to wszystko zrobili, jej i wszystkim innym niewinnym ofiarom Imperialnego Ładu.

Ujrzała pojawiające się przed nią buty Jaganga. Wstrzymała oddech, spodziewając się, że ją chwyci. Nie miała pojęcia, co zrobi, jeżeli to się stanie, jak zniesie to, co jak wiedziała, ma zamiar z nią zrobić. Uniosła wzrok na tyle, by widzieć, gdzie ma nóż u pasa. Oparł dłoń na jego rękojeści.

- Wychodzimy - oznajmił.

Kahlan spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wychodzimy? Po co?

- Dziś wieczorem odbywa się turniej Ja'La. Poszczególne jednostki naszej armii mają swoje drużyny. I od czasu do czasu odbywają się turnieje. Obecność imperatora obserwującego grę podnosi żołnierzy na duchu. Zbiera się również mężczyźni ze wszystkich podbitych krain Nowego Świata i pozwala im grać z naszymi drużynami. To dla nich wspaniała okazja włączenia się w nową kulturę, którą przynosimy podbitym ziemiom, zostania częścią Ładu, nauczenia się naszych zwyczajów. Najlepsi gracze mogą zostać bohaterami. Kobiety biją się o takich mężczyźni. Wszyscy zawodnicy z mojej drużyny są tacy. To bohaterowie, którzy nigdy nie przegrywają. Tłumy kobiet czekają na nich po rozgrywkach i aż się palą, by rozłożyć przed nimi nogi. Gracze Ja'La mogą przebierać w kobietach.

Kahlan pomyślała, że Jagang może przebierać w kobietach, które chętnie byłyby z mężczyzną o takiej władzy i potędze, a mimo to chętnie by ją zniewolił. Wolałby mieć to, czego mu odmawiają, to, na co nie zasłużył.

- Tego wieczoru niektóre drużyny grają o miejsce w rankingu. Wszyscy mają nadzieję, że pewnego dnia będą mogli zagrać z moją drużyną w wielkim turnieju o najwyższą nagrodę. Raz lub dwa razy w miesiącu moja ekipa gra z najlepszą z tamtych drużyn. Jeszcze nigdy nie przegrali. Każda nowa ekipa, która staje z nimi do walki, ma nadzieję, że to właśnie ona wygra z najlepszymi, z drużyną imperatora, i zostanie mistrzem rozgrywek. Taka ekipa zdobyłaby wiele nagród, w tym najpiękniejsze z kobiet, które teraz chcą być wyłącznie z moimi graczami.

Bawiło go opowiadanie Kahlan o zwyczajach takich kobiet, zupełnie jakby mówił w ten sposób o wszystkich kobietach i tym samym dawał jej do zrozumienia, że jego zdaniem w gruncie rzeczy jest taka sama. Wolałaby sobie podciąć żyły. Zignorowała insynuacje i zapytała:

- Skoro twoja drużyna nie gra, dlaczego chcesz patrzeć? Z pewnością ktoś taki jak ty nie zaszczycałby swą obecnością kibiców takich zwyczajnych rozgrywek tylko po to, żeby okazać wielkoduszność.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby to było osobliwe pytanie.

- Żeby obserwować ich strategię, rzecz jasna, poznać słabe i mocne punkty tych, którzy zostaną przeciwnikami mojej ekipy. - Znów się chytrze uśmiechał. - Ty też tak robisz. Oceniasz tych, którzy mogą być twoimi przeciwnikami. I nie próbuj mi wmówić, że jest inaczej. Widzę, jak patrzysz na broń, na rozkład pomieszczeń, stanowiska żołnierzy, wybierasz możliwości ukrycia się i drogi ucieczki. Zawsze wypatrujesz okazji, zawsze obserwujesz, zastanawiasz się, jak pokonać tych, którzy ci stoją na drodze. Ja'La dh Jin jest bardzo podobna. To strategiczna gra.

- Widziałam tę grę. Powiedziałabym, że strategia ma w niej drugorzędne znaczenie, że to przede wszystkim pokaz brutalności.

- Jeżeli nie bawi cię strategia - rzekł z pełnym wyższości uśmiechem - to bez wątpienia z przyjemnością popatrzysz, jak żołnierze się poca, wysilają i walczą ze sobą. To dlatego większość kobiet lubi obserwować Ja'La. Mężczyźni cenią grę za strategię, za wzajemne ustępstwa w turnieju, za okazję dopingowania swoich drużyn i możliwość wyobrażania sobie, że sami są takimi bohaterami. Kobiety lubią obserwować półnagie ciała i

lśniące od potu mięśnie. Lubią patrzeć, jak najsilniejsi zwyciężają, marzyć o tym, że pragną ich zwycięscy bohaterowie, a potem knuć, jak tu się z nimi spotkać.

- Ani jedno, ani drugie mnie nie interesuje. Ani brutalność, ani bezsensowne parzenie się.

Wzruszył ramionami.

- W moim języku Ja'La dh Jin znaczy „Gra o życie”. Czyż życie nie jest walką, brutalnym współzawodnictwem? Współzawodnictwem ludzi i płci? Życie, podobnie jak Ja'La, jest brutalną walką.

Kahlan wiedziała, że życie potrafi być okrutne, ale jej zdaniem to wcale nie definiowało ani życia, ani jego celów. Uważała też, że obie płci nie są przeciwnikami, lecz współdzielą trudy i radości życia.

- Dla takich jak ty jest takie - powiedziała. - To jedna z różnic między nami. Ja korzystam z przemocy tylko w ostateczności, tylko gdy jedynie dzięki niej mogę bronić swojego życia, swojego prawa do istnienia. Dla ciebie brutalność to sposób spełniania pragnień, nawet całkiem zwyczajnych, bo nie możesz niczego ofiarować w zamian za to, czego chcesz lub potrzebujesz. Dotyczy to również kobiet. Możesz to zdobyć jedynie siłą. Bierzesz, nie starając się zasłużyć. Ja jestem inna. Ty nie cenisz życia ani niczego, co ono niesie. Ja cenię. To dlatego musisz zniszczyć wszystko, co dobre. Bo zadaje kłam twojej negacji życia, wykazuje przez kontrast, że jedynie marnujesz swoją egzystencję. To dlatego ty i tobie podobni nienawidzicie takich jak ja. Bo jestem lepsza od ciebie i ty o tym wiesz.

- Takie przekonania są typowe dla grzeszników. Pogląd, że twoje życie jest cenne, to występki przeciwko Stwórcy i przeciwko bliźniemu.

Kiedy tylko gniewnie się w niego wpatrywała, uniósł brew, spojrzał na nią z przyganą i nachylił się bliżej. Uniósł gruby paluch ozdobiony złupionym złotym pierścieniem i trzymał go przed jej twarzą, jakby strofował egoistyczne, uparte dziecko, które lada moment dostanie zasłużone lanie.

- Bractwo Ładu naucza, że być lepszym od kogoś to być gorszym od wszystkich.

Kahlan mogła jedynie na niego patrzeć; cóż za prostacka ideologia. To świętoszkowate wygłoszenie bezpodstawnej opinii dało dziewczynie nagły wgląd w jego dziką naturę oraz w mściwy charakter samego Ładu. Ta

koncepcja odrzucała podstawy, na których wszystko się opierało - że każda żywa istota ma takie samo prawo do istnienia i decydowania o własnym życiu - żeby usprawiedliwić zawłaszczanie życia w imię wypaczonych poglądów Ładu na wspólne dobro.

Niechący wszystko ujawnił, wygłaszając tę prostą, irracjonalną zasadę.

Wyjaśniała niemoralność całej tej ich sprawy i emocje kierujące owymi spotworniałyymi żołdakami, gotowymi zabić każdego, kto nie podporządkuje się ich wierze. To był dogmat odrzucający cywilizację, wysławiający zdziczenie jako sposób życia, wymagający nieustannej przemocy, by zniszczyć każdą szlachetną ideę i człowieka, który ją głosi. To ruch przyciągający złodziei, którzy chcieli się uważać za uczciwych, i morderców, którzy chcieli rozgrzeszenia za ciężącą im na duszy krew swoich niewinnych ofiar.

Każde osiągnięcie przypisywano nie jego twórcy, lecz tym, którzy się do niego nie przyłożyli i na nie nie zasługiwali - właśnie dlatego, że nie przyłożyli do tego ręki i na nie nie zasłużyli. Ceniono złodziejstwo, a nie umiejętności i osiągnięcia.

To było wyklęcie indywidualności.

A równocześnie było to przeraźliwie zasmucające przyznanie się do słabości wobec życia, niezdolność wzniesienia się nad poziom prymitywnych bydła, które zawsze kulą się ze strachu, że ktoś może się okazać lepszy. Nie było to proste odrzucenie tego, co dobre, niechętny stosunek do dokonań i umiejętności. - To było coś o wiele gorszego. To był wyraz zapiekłej nienawiści do wszystkiego, co dobre, zrodzonej z niechęci do dążenia do jakiegokolwiek poprawy.

I, jak wszystkie irracjonalne wierzenia, było nie do zrealizowania. Trzeba było ignorować te zasady, żeby zwyciężyć, co już samo w sobie było pogwałceniem przekonań, za które walczyli. Nie było równości wśród żołnierzy Ładu, krzewicieli przymusowej wolności. Czy to gracz Ja'La, czy najlepszy z żołnierzy, czy imperator - ten najlepszy był nie tylko potrzebny, ale i poszukiwany, wysoko ceniony. Toteż jako całość nienawidzili owego łamania własnych nauk, którym nie potrafili sprostać, i bali się, że w końcu zostaną zdemaskowani. Karą za nieumiejętność życia zgodnego ze świętymi zasadami miało być samobiczowanie się lamentowaniem nad tym, jacy to wszyscy ludzie są bezwartościowi. Przenosili nienawiść do siebie na innych -

oskarżali swoje ofiary, czyniąc z nich kozły ofiarne.

Bo w końcu była to jedynie sfabrykowana świętość - bezmyślna bzdura powtarzana niczym mantra, co miało jej nadać wiarygodność, uświęcić ją.

- Już widziałam grę Ja'La - powiedziała Kahlan i odwróciła się od niego. - Nie mam ochoty znów tego oglądać.

Na jego twarz wypełznął lubieżny uśmiezek, niczym tłuste błocko z gnijącego wnętrza.

- Jeżeli nie bawi cię obserwowanie gry dla jej strategii i rywalizacji, to możesz błędzić oczami po obnażonych ciałach zawodników. Jestem przekonany, że takie widoki dodadzą ci apetytu na to, co się później wydarzy. Postaraj się nie być zbyt niecierpliwa.

Kahlan nagle poczuła się głupio, że tak odrzuca pretekst, by uniknąć jego łoża. Ale Ja'La grano wśród żołnierzy, a ona nie miała ochoty znowu się tam znaleźć. Tyle że nie miała wyboru. Nie znosiła przebywać wśród tych wstrętnych żołdaków. Nakazała sobie stłumić te odczucia. Żołnierze i tak nie mogli jej zobaczyć. Była głupia.

Pociągnął ją ku wyjściu z namiotu. Poszła bez sprzeciwu. To nie był czas na stawianie oporu.

Na zewnątrz czekało pięciu specjalnych strażników. Wszyscy zauważyli, że Kahlan jest ubrana, ale żaden się nie odezwał. Stali wyprężeni, czujni, gotowi skoczyć, gdyby im kazano. Najwyraźniej dawali z siebie wszystko przed imperatorem, chcąc zrobić na nim jak najlepsze wrażenie.

Kahlan uznała, że imperator może sobie pozwolić na to, by być lepszym od innych, i że to wcale nie czyni Jaganga najgorszym ze wszystkich. Walczył o zasady, których nie musiał przestrzegać, jak zresztą wszyscy jego żołnierze. Ale wołała mu tego nie wytykać.

- To twoi nowi strażnicy - wyjaśnił jej Jagang. - Nie będzie powtórki tamtego incydentu, bo oni cię widzą.

Wyglądali na zadowolonych z siebie i ufnych w bezradność kobiety, której mieli pilnować.

Kahlan szybko, ale dokładnie przyjrzała się pierwszemu zwerbowanemu przez Siostry, koledze tego ze złamanym nosem. Oceniała jego broń - nóż oraz byle jak zrobiony miecz z dwiema połówkami drewnianej rękojeści przydrutowanymi do trzpienia - i to, jak niezgrabnie z nią wygląda. Zrozumiała, że dzielnie wykorzystywał te narzędzia do mordowania

niewinnych kobiet i dzieci. Wątpiła, by kiedykolwiek korzystał z nich w walce z innymi żołnierzami. Był zwykłym oprychem, niczym więcej. Zastraszanie było jego ulubionym orężem.

Uśmiechał się, zadowolony z siebie, bo nie zrobiła na nim groźnego wrażenia. W końcu już raz, sam jeden, niemal zawlókł ją do swojego namiotu, niemal zmusił do wypełnienia obowiązku. W wyobraźni już niemal miał ją pod sobą.

- Ciebie - powiedziała, wskazując mu prosto między oczy - zabiję pierwszego.

Wszyscy parsknęli drwiąco. Powiodła po nich wzrokiem, po ich broni, dowiadując się tego, co jej było potrzebne. Wskazała tego ze złamanym nosem.

- Ty umrzesz drugi. Po nim.

- A co z nami trzema? - zapytał jeden z pozostałych, nie mogąc powściągnąć rehotu. - W jakiej kolejności nas zabijesz?

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Dowiesz się, jak zacznę ci podcinać gardło.

Wszyscy żołnierze się zaśmiali. Jagang nie.

- Lepiej zrobicie, traktując ją poważnie - rzekł. - Kiedy ostatnim razem złapała nóż, zabiła mi dwóch najlepszych osobistych gwardzistów, znacznie biegłej szych w żołnierskim fachu niż wy, no i jeszcze Siostrę Mroku. Sama, i to w parę sekund.

Przestali się śmiać.

- Macie się przyłożyć do roboty - warknął Jagang - bo osobiście was wypatroszę, jeśli mi choć przyjdzie na myśl, że zaniedbujecie obowiązki. A jeśli zniknie wam z oczu, wyślę was do namiotów tortur i rozkażę, żebyście umierali miesiąc i jeden dzień i żeby wasze cielska zgniły i zdechły, zanim wy to zrobicie.

Żołnierze nie mogli mieć już żadnych wątpliwości co do powagi rozkazów Jaganga i wartości jego łupu.

Wokół kroczącego dumnie wodza uformowała się eskorta złożona z setek, a może i tysięcy najlepszych gwardzistów. Pięciu specjalnych strażników otaczało Kahlan ze wszystkich stron, poza tą zajęta przez Jaganga. Weszli w głąb obozu klinem pancerzy i dobytej broni. Kahlan sądziła, że Jagang, jak to wódz, zastosował zwykłą osłonę przeciwko

szpiegom, ale uznała, że oznaczało to coś jeszcze. Był lepszy od pozostałych.

Rozdział 46

Kiedy po zawodach Ja'La wrócili do imperatorskiego sektora i obszernego namiotu Jaganga, Kahlan była już bardzo zaniepokojona. To nie był tylko zrozumiały lęk przed pozostaniem sam na sam z tak nieprzewidywalnym i niebezpiecznym człowiekiem, a nawet i nie paniczny strach przed tym, co zamierzał jej zrobić.

To było wszystko razem, wraz z ponurą świadomością ledwie skrywanego okrucieństwa. Twarz mu poczerwieniała, ruchy były bardziej zdecydowane, odzywki ostrzejsze, oczy dziksze. Obserwowanie Ja'La rozbudziło w Jagangu jeszcze większą agresję niż ta, która zdaniem Kahlan była dla niego normą. Gra go nakręciła. Podekscytowała go... w każdym znaczeniu tego słowa.

Na zawodach miał wrażenie, że jedna z drużyn nie wykorzystuje wszystkich swoich możliwości, że nie daje z siebie wszystkiego. Uznał, że się hamują i nie przykładają jak należy do rywalizacji. Kiedy przegrali, kazał ich stracić na boisku. Tłum wiwatował jeszcze głośniejsze niż podczas raczej dość nudnej gry. Sławiono Jaganga za to, że wydał na śmierć pokonanych. Kolejne mecze rozgrywano z o wiele większym zapałem na boisku przesiąkniętym krwią po egzekucji. Ja'La to gra, w której zawodnicy biegają, uskakują, wymijają jeden drugiego, blokują lub ścigają zawodnika z ciężką piłką - brokiem - starając się ją wyrwać, zaatakować nią albo zdobyć punkty. Często się przewracają lub padają, bo zbito ich z nóg. A wtedy przetaczają się po ziemi. W letnim skwarze, bez koszul, wkrótce lśnili nie tylko od potu, ale i od krwi. Kahlan widziała markietanki obserwujące grę zza linii bocznych i stwierdziła, że krew ani trochę ich nie odstraszała. Wprost przeciwnie jeszcze zapalczywiej usiłowały przyciągnąć uwagę graczy, którzy teraz wprawiali tłum w gorączkę swoją szybkością i agresją.

We wszystkich grach po tej zakończonej egzekucją - jak i w tej ją poprzedzającej - przegrywające drużyny, ponieważ grały z dziką determinacją, nie zostały skazane na śmierć. Zawodników jedynie wychłostano. Do wykonania kary służył straszliwy bicz ze związanych razem węzlastych sznurów. Każdy z tych sznurów był nabijany ciężkimi bryłkami metalu. Zawodnicy dostawali jedno uderzenie za każdy stracony punkt.

Większość drużyn przegrała kilkoma punktami, ale nawet jedno smgnięcie tym biczem rozdzierało nagie plecy zawodnika.

Tłum z zapalem wyliczał uderzenia należne każdemu z graczy pokonanej drużyny, która klęczała pośrodku boiska. Zwycięzcy często hasali na obrzeżu pola, popisując się przed tłumami, a ich przeciwnicy, klęcząc z pochylonymi głowami, dostawali chłostę.

To wszystko wzbudziło w Kahlan wstręt. Podnieciło natomiast Jaganga.

Kahlan poczuła ulgę, kiedy zawody się wreszcie skończyły, ale teraz - gdy wróciła do imperatorskiego sektora i miała wejść do namiotu - znów czuła lęk. Jagang był podekscytowany przemocą i krwią. Kahlan czytała w jego oczach, że przed niczym się nie cofnie.

A na tę noc została mu tylko ona.

Kiedy specjaliści strażnicy mieli już zostać rozstawieni przed namiotem, dziewczyna zauważyła wbiegającego do sektora żołnierza, za którym podążała mała grupka innych. Jagang przestał wydawać polecenia strażnikom Kahlan, gdy zauważył, jak pierścień osłony przepuszcza żołnierza i grupę oficerów. Kiedy ten wreszcie się zatrzymał, bez tchu, zameldował, że jest posłańcem.

- O co chodzi? - spytał Jagang posłańca, patrząc badawczo na pół tuzina towarzyszących mu oficerów.

Imperator nie lubił, jak mu przeszkadzano, kiedy miał myśli zajęte czym innym.

Kahlan wiedziała, że te myśli krążą wokół niej, że chce już z nią być w namiocie, sam na sam. Nadszedł czas i chciał się wreszcie do niej dobrać.

Jak dotąd nie dotknął jej w nieprzyzwoity sposób. Zostawiał to sobie na później. Podobnie jak każde miasto na trasie przemarszu jego armii musiało z przerażeniem czekać na nieuchronny atak, tak i ona czuła coraz większy strach, czekając na to, co się zbliżało. Usiłowała nie myśleć o tym, co z nią zrobi i jak to będzie, ale nie mogła myśleć o niczym innym, podobnie jak nie była w stanie uspokoić łomoczącego serca.

Posłaniec podał imperatorowi skórzaną tubę. Głucho stuknęło, kiedy Jagang zdjął wieczko. Dwoma palcami wyjął zrolowany kawałek papieru. Złamał woskową pieczęć, rozwinął list i uniósł go, żeby przeczytać w blasku pochodni umocowanych po obu stronach wejścia do namiotu. Pierścienie na każdym jego palcu lśniły w migotliwym blasku.

Imperator, najpierw zachmurzony, stopniowo zaczął się uśmiechać. Wreszcie głośno się roześmiał i popatrzył na swoich oficerów.

- Armia imperium D'Hary uciekła z pola bitwy. Zwiadowcy i Siostry donoszą to samo: D'Harańczycy byli tak przerażeni perspektywą stawienia czoła Jagangowi Sprawiedliwemu i wojskom Ładu, że uciekli i rozproszyli się na wszystkie strony, udowadniając, jakimi bezbożnymi tchórzami tak naprawdę są. Armia D'Hary już nie istnieje. Nic nie stoi pomiędzy nami a Pałacem Ludu.

Oficerowie wzniesli okrzyk na cześć swojego imperatora.

Nagle wszyscy byli w radosnym nastroju. Jagang pogratulował oficerom ich udziału w skłonieniu tamtych do ucieczki.

Kahlan stała z boku, słuchając, a wszyscy patrzyli na machającego listem Jaganga, który głosił, że koniec długiej wojny jest już bliski. Dziewczyna powolutku, ostrożnie unosiła nogę, póki nie wyczuła pod palcami rękojeści noża ukrytego w prawym bucie. Równie powoli, żeby nie przyciągnąć uwagi Jaganga lub tych pięciu żołnierzy, którzy ją widzieli, wyciągnęła nóż z buta i ukryła w dłoni. Wtedy z taką samą ostrożnością wyjęła nóż z drugiego buta.

Mocno uchwyciła obite skórą rękojeści starannie wykonanych noży i odpowiednio ułożyła palce, żeby chwyt był pewny. Teraz była uzbrojona, a to przegnało bezsilny strach przed tym, co czekało ją tej nocy. Teraz mogła na nich uderzyć. Wiedziała, że zapewne nie powstrzyma Jaganga i tego, co dla niej zaplanował, ale nie zamierzała poddać się bez walki. Miała teraz okazję kazać im za to zapłacić.

Nie poruszyła głową, a jedynie oczami, zapamiętując, gdzie każdy stoi. Jagang, niestety, był dość daleko. Kahlan wiedziała, że nie jest głupi. Gdyby ruszyła w jego stronę, od razu nabrałby podejrzeń. Wiedziałyby, że ochoczo czegoś takiego by nie zrobiła. Wiedziała również, że jest doświadczonym żołnierzem. Zareagowałby, zanim zdążyłaby się na niego rzucić. Zatem nawet gdyby był bliżej, i tak nic by z tego nie wyszło.

Były dogodniejsze cele, lepsza okazja zaskoczenia wroga. Pięciu specjalnych strażników stało w pobliżu, po jej lewej, oficerowie troszkę dalej, po jej prawej. Oficerowie jej nie widzieli. Za nimi był obóz z żołnierzami, którzy też jej nie widzieli. Ale chociaż oficerowie jej nie widzieli, tych pięciu i owszem, więc miałyby tylko chwilkę, nimby zareagowali.

Wiedziała, że może przelać sporo krwi, ale raczej nie ma szansy na

ucieczkę.

Mogła się ewentualnie potulnie podporządkować temu, co ją czekało, czyli gwałtowi.

Kahlan przywołała gniew. Jeszcze mocniej uchwyciła rękojeści noży. To była okazja, by odpłacić tym, którzy ją więzili.

Jednym mocnym, szybkim pchnięciem wbiła długi nóż trzymany w lewej ręce w sam środek piersi specjalnego strażnika, którego obiecała zabić najpierw. Jakaś część jej umysłu zarejestrowała jego zdumienie.

Wkrótce potem oczy tego ze złamanym nosem rozszerzyły zdziwienie, kiedy i on zdrętwiał, wstrząśnięty. Kahlan użyła noża wbitego w pierś pierwszego żołnierza jako podpory. Wsparta na nim, okręciła się wokół już rannego strażnika. Równocześnie zatoczyła łuk nożem trzymany w prawej dłoni. Ostrze rozcięło gardło tego ze złamanym nosem. Dwa uderzenia jej łomoczącego serca - i zabiła dwóch.

Zaparała się lewą nogą o padającego strażnika, żeby wyrwać mu z piersi nóż i odbić się w przeciwną stronę, ku oficerom. Z trzecim uderzeniem serca zaatakowała jednego z oficerów niczym podczas Ja'La. Pędząc na niego, wbiła nóż z prawej dłoni w jego brzuch i szarpnąwszy ostrze w górę, rozplatała go.

Jednocześnie drugim nożem trafiła w gardło tego, który stał nieco za pierwszym oficerem. Był wysokim rangą dowódcą i to w niego głównie mierzyła. Cięła go z taką siłą, że ostrze nie tylko poderżnęło gardło, ale i trafiło w szczelinę pomiędzy kręgami. Przerwało mu rdzeń kręgowy. Padł tak szybko, że Kahlan, mocno trzymając nóż, straciła równowagę i poleciała razem z nim.

Nim zdążyła złapać równowagę i wyszarpnąć nóż, poraziła ją moc z obroży. W tym samym momencie spadli na nią trzej pozostali specjaliści strażnicy, zbijając na dobre z nóg, tak że padła twarzą na ziemię. Obroża pozbawiła ją władzy w kończynach, więc żołnierze bez trudu ją rozbili.

Kiedy Jagang wykrzyczał rozkaz, postawili ją na nogi. Kahlan ciężko oddychała po tej krótkiej walce. Serce dalej szybko biło. Chociaż nie zdołała uciec, nie była niezadowolona. W końcu wcale nie uważała, że ma szansę na ucieczkę. Ale miała zamiar zabić paru oficerów i to jej się udało. Żałowała tylko, że specjaliści strażnicy pochwycili ją, zamiast zabić.

Jagang odprawił skołowanych oficerów, wyjaśniając im, że to efekt

zakłęcia, które wymknęło się spod kontroli. Zapewnił ich, że nad wszystkim panuje. Byli przyzwyczajeni do przemocy i przyjęli nagłą śmierć obu kolegów jeżeli nie ze spokojem, to z opanowaniem, podbudowani postawą imperatora.

Wychodząc z imperatorskiego sektora, wydali rozkazy żołnierzom, którzy przybiegli usunąć ciała. Gwardziści, którzy przyszli sprawdzić, co to za zamieszanie, z konsternacją patrzyli na zabitych w obrębie ich ochronnych pierścieni. Spojrzeli na Jaganga, badając jego nastrój, ale stwierdziwszy, że jest spokojny, pospiesznie zaczęli wynosić czterech martwych żołnierzy.

Kiedy wreszcie odeszli, Jagang spojrzał wściekle na Kahlan.

- Widzę, że dokładnie obserwowałaś grę. Większą uwagę zwracałaś na strategię niż na obnażone ciała muskularnych mężczyzn.

Kahlan popatrzyła w oczy trzem przytrzymującym ją strażnikom.

- Po prostu dotrzymałam obietnicy.

Jagang powoli wypuścił powietrze, jakby usiłował zapanować nad żądzą mordy.

- Jesteś niesamowitą kobietą i groźną przeciwniczką.

- Jestem dawcą śmierci - powiedziała. Spojrzał na cztery wynoszone w noc ciała.

- O tak, jesteś. - Przeniósł przenikliwe spojrzenie na trzech trzymających Kahlan żołnierzy. - Jest jakiś powód, dla którego miałbym nie wysłać was na tortury?

A oni, do tej pory zadowoleni, że ją powalili, znienacka przestali triumfować. Popatrzyli na siebie nerwowo.

- Ależ, Ekscelencjo - odezwał się jeden z nich - ci dwaj, którzy cię zawiedli, już zapłacili za to życiem. My trzej ją zatrzymaliśmy. Nie daliśmy jej uciec.

- To ja ją zatrzymałem - rzekł, ledwo hamując furię. - Zatrzymałem ją za pomocą obroży, którą ma na szyi. - Przez chwilę przyglądał im się w milczeniu, pozwalając, by gniew nieco opadł. - Ale nie bez powodu nazywają mnie Jagangiem Sprawiedliwym. Pozwolę wam trzem na razie żyć, lecz niech to będzie dla was nauczka. Ostrzegałem was, że ona jest niebezpieczna. Może teraz wreszcie pojmiecie, co miałem na myśli.

- Tak, Ekscelencjo - powiedzieli jeden przez drugiego. Jagang splótł

dłonie za plecami.

- Puśćcie ją.

Powiódł po nich pałającym wzrokiem, a następnie chwycił Kahlan za ramię i poprowadził ku wejściu do namiotu. Wciąż jeszcze niepewnie kroczyła po cierpieniu zadany przez obrożę. Bolały ją stawy, mięśnie rąk i nóg aż paliły.

Ciekawa była, czy Jagang mówił prawdę, twierdząc, że może się posługiwać obrożą pod nieobecność Sióstr. Teraz już wiedziała. Bez tej obroży może i miałyby szansę uciec, z nią - nie. Teraz już się nie ośmieli lekceważyć możliwości imperatora. Teraz przynajmniej wiedziała. Niekiedy gorzej nie mieć pewności, czy coś jest możliwe.

- Chcę, byście wszyscy trzej stali tej nocy na warcie przed moim namiotem. Jeżeli wyjdzie beze mnie, to lepiej dla was będzie, jak ją zatrzymacie.

Trzej żołnierze się skłonili.

- Tak, Ekscelencjo.

Już nie wyglądali na bardzo zadowolonych. Wyglądali na tych, kim byli - na ludzi, którym udało się uniknąć wyroku śmierci.

Kiedy żołnierze zajęli stanowiska, Jagang spojrzał ponuro na Kahlan.

- Ostatnim razem tylko poszłaś na spacer wśród żołnierzy. To był krótki spacer. Widziałaś ledwie drobną część mojej armii. Jutro będziesz miała okazję zobaczyć znacznie więcej moich żołnierzy. I znacznie więcej będzie mogło zobaczyć ciebie. Nie wiem, co to za anomalia, o której mówiła Ulicia, ani jaka jest jej przyczyna, ale właściwie nie ma to dla mnie znaczenia. Ważne jest to, że jak wszystko inne, zamierzam to obrócić na swoją korzyść. Zamierzam zadbać o to, żebyś była dobrze strzeżona. Jutro zrobimy sobie wycieczkę wśród oddziałów, a ty będziesz naga. W ten sposób pomożesz nam znaleźć sporo żołnierzy, którzy zostaną nowymi specjalnymi strażnikami. To będzie ekscytujący dzień.

Kahlan nie protestowała - i tak nic by jej to nie dało. Ze sposobu, w jaki to oznajmił, wywnioskowała, że zamierza sprawić, by było to dla niej nieprzyjemne. Podejrzewała, że jej upokorzenia dopiero się zaczynają.

Jagang wprowadził ją do swojego namiotu, jakby była królową. Wiedziała, że z niej kpi. Wchodząc, poczuła, że obroża przestaje działać. Nareszcie mogła z własnej woli poruszać nogami i rękami. Ból, na szczęście,

też zaczął znikać.

Wnętrze namiotu było niemal ciemne, oświetlały je wyłącznie świece. Dawały ciepły blask, za sprawą którego namiot wydawał się przytulny i bezpieczny, niemal jak sanktuarium. Ale wcale taki nie był.

Miała wrażenie, że prowadzą ją na egzekucję.

Rozdział 47

Niewolnicy, którzy przygotowali dla imperatora lekki nocny posiłek, zostali odprawieni. Wyraz ich oczu świadczył, że po tym, jak usłyszeli krzyki umierających żołnierzy, tylko się ucieszyli, gdy warknął, że mają się wynosić.

Jagang patrzył, jak pospiesznie opuszczają namiot, a potem przytknął gruby paluch do pleców Kahlan i w milczeniu poprowadził ją obok stołu z kubkami wina, półmiskami mięs, bochnami ciemnego chleba, misami orzechów i kompozycjami z owoców i słodczy do zasłoniętego kobiercem wejścia do wewnętrznej sypialni.

Sypialnia była odizolowana od reszty namiotu i od jego otoczenia czymś, co wyglądało jak pikowane płyciny, zapewne po to, żeby ją wyciszyć. Ściany obwieszono skórą i tkaninami w stonowane wzory. Pomieszczenie zostało starannie udekorowane wspianymi dywanami, kilkoma eleganckimi meblami, przeszklonymi biblioteczkami pełnymi książek oraz ozdobnymi srebrnymi i złotymi lampami. Łoże, zasłane futrami i jedwabiem, miało w narożnikach spiralne słupki z ciemnego drewna.

Kahlan ukryła za plecami drżące dłonie i patrzyła, jak Jagang przechodzi przez pokój i zdejmując swoją kamizelę z jagnięcych skór. Rzucił ją na krzesło przy sekretarzyku. Obnażone piersi i plecy imperatora porastały krótkie, kręjące się włoski. Bardziej przypominał niedźwiedzia niż człowieka. Absolutnie nie wyglądał na kogoś, kto ma łożo zasłane jedwabiem. Podejrzała, że tak naprawdę on wcale nie ceni tych rzeczy, lecz traktuje je jako oznakę swojego statusu. Stwierdziła, że musiał zapomnieć, iż w Ładzie nikt nie może być lepszy od swego bliźniego. I że nigdy nie obchodziło go, czy żołnierze w swych okropnych namiotach też mają atlasowe przykrycia.

Jagang spojrzał na nią.

- No, kobieto, zrzuć odzienie. A może wolisz, żebym je z ciebie zerwał? Wybór należy do ciebie.

- Czy sama je zdejmę, czy ty je zedrzesz, i tak będzie to gwałt. Wyprostował się i chwilę patrzył na nią bez słowa. W obozie zrobiło się znacznie ciszej, słychać było jedynie monotonny szmer stłumionych odległych głosów. Żołnierze byli zmęczeni całodziennym długim marszem oraz ekscytacją rozgrywkami Ja'La, Jagang zaś rozkazał, żeby każdego dnia

maszerowali szybkim tempem, aż dotrą do Pałacu Ludu, więc pewnie większość z nich już spała w swoich namiotach.

Jeden imperator nie wyciszył się na noc. Był podekscytowany rozgrywkami, a już ledwo nad sobą panował po tym, jak zabiła czterech żołnierzy. Kahlan właściwie to nie obchodziło. Jeżeli pobije ją do nieprzytomności, przynajmniej nie będzie świadoma tego, co zrobi jej później.

- Teraz należysz do mnie - rzekł cichym, groźnym głosem. - Należysz wyłącznie do mnie, do nikogo innego. Wyłącznie do mnie. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. Jeżeli postanowię poderżnąć ci gardło, masz obowiązek wykrwawić się dla mnie na śmierć. Jeżeli oddam cię tym trzem żołnierzom, którzy cię widzą, to się im podporządkujesz, czy ci się to spodoba czy nie, czy uczynisz to chętnie czy nie. Teraz należysz do mnie. Twój los będzie taki, jak postanowię. Nie masz wpływu na to, co cię spotka. Żadnego. Ja jeden będę o tym decydować.

- To i tak gwałt.

Trzema zamaszystymi krokami przebył pokój i uderzył ją w twarz tak, że aż poleciała na podłogę. Podniósł ją za włosy i rzucił na łóżko. Świat zawirował, kiedy leciała w powietrzu. O włos minęła drewniany słupek.

- Jasne, że to gwałt! Bo tak chcę! Po to tu przyszedłeś! Skoczył ku łóżu niczym rozwścieczony byk. W jego czarnych oczach szalały rozmyte kształty. Zanim się zorientowała, już na niej był. Kahlan wszystko sobie zaplanowała. Miała nie stawiać mu oporu, nie dawać mu tej satysfakcji, że musiał użyć siły, żeby ją mieć. Ale kiedy się na niej znalazł, usiadł okrakiem na jej biodrach, wszystkie te plany przepadły. Ogarnął ją nagły strach przed tym, czego desperacko nie chciała. Zapomniała o swoich postanowieniach i rozpaczliwie usiłowała odepchnąć jego ręce, ale był w takim nastroju, że nic go nie mogło powstrzymać. Poza tym była za słaba, żeby stawić mu opór. Nawet nie marnował czasu na ciosy, żeby pokonać jej sprzeciw. Jednym szarpnięciem rozerwał jej koszulę.

Kiedy się zatrzymał, Kahlan znieruchomiała, ciężko oddychając z wysiłku. Wpatrywał się w jej piersi.

Wykorzystała jego niespodziewany spokój, żeby się napomnieć. Dopiero co zabiła czterech bydlaków. Przetrwa to. To nieistotne w porównaniu z obrozą na szyi, z utratą wspomnień, z nieświadomością tego, kim i czym

jest, z byciem bezsilną niewolnicą Sióstr Mroku i imperatora tłumy oprychów.

To nie ma znaczenia. Jest zbyt mądra, żeby walczyć z nim w tak głupi sposób, niczym uczennica usiłująca odtrącić dłonie łobuza. Nie będzie tak walczyć. Nie powinna. Jest na to za mądra. Tak, jest przerażona, ale nie powinna ulegać panice. Bała się, kiedy zabijała tamtych czterech, ale zapanowała nad strachem i zrobiła, co trzeba.

Jest lepsza od niego. On jest tylko silniejszy. Może ją wziąć wyłącznie siłą. Ta świadomość daje jej władzę nad nim i on o tym wie. Nigdy mu się nie odda z własnej woli, bo jest lepsza od niego i dlatego zasługuje na znacznie więcej. Nigdy inaczej niż siłą nie zdobędzie takiej kobiety jak ona, bo jest słabym i bezwartościowym człowiekiem.

- Czy zadowala cię twój cenny łup, Ekscelencjo? - zakpiła.

- O tak. - Wredny uśmiezek Jaganga stał się jeszcze szerszy. - A teraz ściągaj te podróżne portki.

Kiedy nawet nie drgnęła, zrobił to za nią, rozpinając jeden guzik po drugim, jakby odsłaniał coś cennego. Leżała z rękami przy bokach. Zaczepił palce o pas spodni, zsunął je z nóg, a potem wywrócił na drugą stronę, przeciągając przez stopy. Rzucił je na podłogę i przyjrzał się jej niemal nagiemu ciału.

Kahlan przygryzała wewnątrz policzka, by nie odpychać w panice jego ręki, kiedy przesuwiał ją w górę nogi, obmacując miękkie udo. Siłą powstrzymywała łzy. Dałaby wszystko, żeby tutaj nie być, żeby się znaleźć obojętnie gdzie, byle nie na łasce tego potwora.

- A teraz reszta - wyszeptał ochryple. - Zdejmuj bieliznę. Powiedziałyby, że rozbieranie jej tylko bardziej go podnieciło, więc zrobiła, co kazał, starając się, żeby wypadło to najzwyczajniej w świecie.

Patrząc, jak wykonuje jego polecenie, usiadł na brzegu łoża i zzuł buty. Opuścił spodnie i zrzucił je. Obrzydzona i wystraszona jego nagością, Kahlan stchórzyła i odwróciła oczy.

Zastanawiała się, czy po tym wszystkim będzie się mogła zakochać i pozwoli się dotknąć mężczyźnie. Skarciła się za to. Nigdy nie będzie miała szansy się zakochać. Przejmowała się czymś, co nigdy nie nastąpi.

Łoże ugięło się pod jego ciężarem, kiedy legł obok niej. Przyglądał się jej, wodził dłonią po jej brzuchu. Oczekiwała, że to będzie szorstkie dotknięcie,

brutalny chwyt, a to było ukradkowe muśnięcie, powolna, wyważona ocena czegoś cennego. Nie sądziła, by owa delikatność potrwała długo.

- Naprawdę jesteś nadzwyczajna - rzekł schrypniętym głosem, bardziej do siebie niż do niej. - Teraz widzę, że oglądanie cię oczami innych to zupełnie nie to samo.

Ton głosu się zmienił. Gniew zniknął, zastąpiło go pożądanie. Lada chwila ulegnie nieokielznanej żądzy.

- Zupełnie nie to samo... Zawsze wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, ale kiedy teraz cię widzę... jesteś wspaniałym stworzeniem... Po prostu... wspaniałym.

Kahlan była ciekawa, co miał na myśli, mówiąc, że oglądał ją oczami innych. Zastanawiała się, czy chodziło mu o to, że obserwował ją oczami Sióstr. Przyszło jej do głowy coś, co ją rozzłościło: że przyglądał się, jak się rozbierała, myśląc, że jest przy niej wyłącznie Siostra. Takie pogwałcenie prywatności napełniło ją lodowatą wściekłością.

Był tam wtedy, obserwował ją, planował to wszystko. Ale równocześnie miała wrażenie, że mówił o czymś innym. Ze jego słowa miały inny podtekst, skrywały coś jeszcze. Powiedział to tak, jakby mówił o czymś w jej życiu sprzed Sióstr, nim zapomniała, kim jest. Była zła, myśląc o tym, jak obserwował ją za pośrednictwem Sióstr, ale myśl o tym, że widział ją wcześniej, w tym życiu, którego nie pamiętała, wstrząsnęła nią.

Znienacka przetoczył się na nią.

- Nawet nie wiesz, jak długo czekałem, żeby to z tobą zrobić.

Jej oddech i serce dopiero co zaczęły się uspokajać. Teraz wszystko działo się za szybko. Serce znów się w niej tłukło. Chciała go jakoś przystopować, dać sobie czas na wymyślenie, jak odwieść go od tego wszystkiego. Ale dotyk jego nagiego ciała sprawił, że miała pustkę w głowie. Nie potrafiła wymyślić, jak go powstrzymać. Uczepiła się jednego - jak ogromnie, z całego serca, nie chce, żeby to zrobił.

Przypomniała sobie o obietnicach, które sama sobie złożyła. Jest lepsza od niego i zgodnie z tym powinna reagować.

Milczała. Patrzyła mimo niego na dach namiotu oświetlony łagodnym blaskiem lamp.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnąłem to z tobą zrobić - odezwał się głosem, w którym nagle zabrzmiała groźba. - Nawet nie masz pojęcia, co cię

czeka.

Spojrzała w te jego oczy jak z koszmaru.

- Nie, nie mam. Więc do dzieła i oszczędź mi mowy, która nic dla mnie nie znaczy, skoro nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Odwróciła wzrok i znów zapatrzyła się w sufit. Chciała mu okazać obojętność. Pozwoliła myślom swobodnie błądzić. Nie było to łatwe, kiedy tak się do niej przyciskał, lada moment gotów się z nią zabawić, ale zrobiła, co mogła, żeby go zignorować, myśleć o innych sprawach. Nie chciała dawać mu satysfakcji z walki, którą mogła jedynie przegrać. Myślała o Ja'La - nie dlatego, że chciała o tym myśleć, ale dlatego, że były to świeże wspomnienia i łatwo je było przywołać.

Nagle ujął ją pod kolana i przyciągnął jej nogi niemal do piersi.

Ciężko jej było oddychać. Biodra bolały od takiego wygięcia, takiego rozłożenia nóg, ale stłumiła krzyk i usiłowała ignorować to, jak próbował nad nią zapanować, zdominować, kiedy będzie ją brał.

- Gdyby wiedział... to by go zabiło.

Kahlan spojrzała na niego. Ledwie mogła oddychać pod jego ciężarem.

- O kim ty mówisz?

Pomyślała, że może o jej ojcu, którego nie pamiętała. Może jej ojciec był dowódcą w armii i dlatego wiedziała, jak walczyć nożem. Nie miała pojęcia, o kim jeszcze mógłby mówić.

Chciała powiedzieć coś, co by mu odebrało pewność siebie, ale rozmyśliła się i milczała, obojętna.

Jagang przysunął usta do jej ucha. Szorstki zarost boleśnie drapał jej policzek i szyję. Oddychał szybko, urywanie. Lada chwila miał dać upust swojej żądzy.

- Gdybyś tylko wiedziała... to by cię zabiło - powiedział, najwyraźniej zachwycony tą myślą.

Choć jeszcze bardziej zdumiona, milczała, zatroskana tym, co on właściwie chciał powiedzieć.

Sądziła, że wreszcie spełni swoje lubieżne zachcianki, ale on tak trwał, rozwierając jej nogi i gapiąc się na nią. Kosmate ciało napierało, już-już miał zaspokoić swoje pragnienie. Pod jego ciężarem ledwie mogła oddychać, ale wiedziała, że wszystkie protesty na nic by się nie zdały, bo nic go nie obchodziło, jaki ból jej sprawia.

Właściwie chciała, żeby się pospieszył i wreszcie z tym skończył. Takie czekanie przyprawiało ją o szaleństwo. Chciałaby krzyczeć, ale nie pozwoliła sobie na to. Nie mogła się nie lękać, ile bólu jej sprawi, jak długo to potrwa... i że powtórzy to bez wątpienia nie tylko tej nocy, ale i kolejnych. Gdyby nie wgniatał jej w łóżko jego ciężar, dygotałaby z przerażenia.

- Nie - powiedział do siebie. - Nie, nie tego chcę. Kahlan osłupiała. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Puścił jej nogi, pozwolił, żeby opadły na łóżko, i uniósł się na rękach. Wolałaby, żeby nie leżał między jej nogami, bo wtedy mogłaby je złączyć.

- Nie - powtórzył. - Nie tak. Nie chcesz tego, ale to byłoby tylko uciążliwe. Nie spodobałoby ci się, ale nic poza tym. Chcę, żebyś wiedziała, kim jesteś, gdy będę to robić. Chcę, żebyś wiedziała, dlaczego ci to robię. Chcę, żebyś nienawidziła tego bardziej niż czegokolwiek w całym swoim życiu. Chcę być tym, kto zrobi to wam obojgu. Kiedy umieszczę w tobie moje nasienie, wypalę ci równocześnie w umyśle pamięć o tym, co to dla ciebie znaczy. Chcę, żeby to wspomnienie prześladowało cię przez całe życie, choćby nie wiem jak długie było, żeby prześladowało jego, ilekroć na ciebie spojrzy. Chcę, żeby się nauczył nienawidzić cię za to, nienawidzić to, co zaczęłaś dla niego uosabiać. Nienawidzić twoje dziecko, dziecko, które ci dam. Ale najpierw musisz wiedzieć, kim jesteś. Gdybym zrobił to z tobą teraz, jedynie zobojętniłoby cię to na to. Zmarnowałoby się cudowne cierpienie, którego byś doznała, wiedząc, kim jesteś, kiedy to by się z tobą działo.

- Więc mi to powiedz - odezwała się, niemal gotowa znieść gwałt, żeby się dowiedzieć.

Na jego usta powoli wypełził szczywany uśmiešek.

- Nie byłoby dobrze, gdybym ci powiedział. Słowa mogą być puste, bez znaczenia, pozbawione emocji. Musisz się dowiedzieć. Musisz sobie przypomnieć, kim jesteś, przypomnieć sobie wszystko, jeżeli to naprawdę ma być gwałt... a chcę, żeby to był najgorszy gwałt, gwałt, który da ci dziecko będące dla niego pamiątką, potworem. - Patrząc na nią, z wolna potrząsnął głową, zadowolony ze swojego pomysłu i swojej decyzji. - Ale żeby się tak stało, musisz mieć świadomość, kim jesteś i co to będzie dla ciebie oznaczać. Świadomość wszystkiego, co dotknie, co zrani, co na zawsze skazi.

Nagle się z niej stoczył. Kahlan spazmatycznie wciągnęła powietrze.

Zacisnęła zęby i wielką łapą chwycił jej pierś.

- Nie myśl, że coś cię ominie, kochanieńka. Nigdzie nie pójdziesz. Po prostu dbam, żeby to było dla ciebie o wiele gorsze, niż byłoby tej nocy. - Zarechotał, ściskając jej pierś. - No i gorsze dla niego.

Kahlan nie miała pojęcia, co mogłoby sprawić, żeby to było jeszcze gorsze. Mogła tylko pomyśleć, że w jego pojęciu gwałt rzuca cień na ofiarę. I on, i Ład uważali, że należy winić ofiarę.

Znienacka zepchnął ją z łoża. Wylądowała ciężko na podłodze, ale miękkie dywany choć trochę zamortyzowały upadek.

Jagang popatrzył na nią.

- Będziesz spać na podłodze, obok łóżka. Do łoża wezmę cię później. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Zniszczę cię, kiedy wróci pamięć. Wtedy dam ci to, na co zasługujesz, co tylko ja mogę ci dać, czym jedynie ja mogę zrujnować twoje życie... i jego.

Kahlan leżała na podłodze, bojąc się poruszyć, bojąc się, że on może zmienić zdanie. Czowała ogromną ulgę, że tej nocy ją to ominie.

Wychylił się z łoża, znalazł bliżej niej i patrzył na nią tymi niepokojącymi czarnymi oczami. Tak niespodziewanie wepchnął jej rękę między nogi, że aż krzyknęła. Uśmiechnął się do niej.

- A gdyby chodziło ci po głowie, żeby obmyślić ucieczkę albo, co gorsza, ubić mnie, gdy będę spać, lepiej od razu o tym zapomnij.

Nie uda ci się. Zapewniłoby ci to tylko pobyt w namiotach, potem, kiedy już wszystko w tobie zniszczę. Zadbam o to, żeby wszyscy ci żołnierze mieli to, na czym teraz są moje palce. Rozumiesz? Kahlan potaknęła, czując, jak po policzku spływa jej łza.

- Jeżeli dziś ruszysz się z tych dywanów przy łóżku, zatrzyma cię moc obroży. Chcesz to wypróbować?

Pokręciła głową, bojąc się, że głos mógłby ją zawieść. Cofnęła rękę.

- To dobrze.

Słyszała, jak odwraca się na bok, tyłem do niej. Leżała nieruchomo. Z trudem oddychała. Nie miała pojęcia, co się tej nocy stało, co to wszystko mogło oznaczać. Wiedziała jedynie, że jeszcze nigdy w życiu nie była taka samotna - przynajmniej w tym życiu, które pamiętała.

Dziwne, ale niemal żałowała, że jej nie zgwałcił. Gdyby to zrobił, nie trzęsłaby się teraz ze strachu przed tym, co powiedział, nie zastanawiałaby się, co miał na myśli. Teraz będzie się budzić każdego ranka, nie wiedząc,

czy tego właśnie dnia nie odzyska pamięci. Bo gdyby ją odzyskała, to jakoś pogorszyłoby jeszcze ten gwałt, sprawiło, że wszystko stałoby się o wiele, wiele gorsze.

Kahlan wierzyła mu. Choć tak bardzo chciał ją mieć - a wiedziała, jak się do tego palił - gdyby nie mówił prawdy, nie powstrzymałby się w takiej chwili.

Uświadomiła sobie, że już nie chce wiedzieć, kim jest. Jej przeszłość stała się dla niej zbyt niebezpieczna, żeby w ogóle kiedyś zapragnęła się dowiedzieć, kim jest. Gdyby to wiedziała, to on nie cofnąłby się przed najgorszym. Lepiej, żeby trwała w nieświadomości, bezpieczna.

Kiedy usłyszała, jak miarowo oddycha, a potem głośno chrapie, drżącymi rękami wciągnęła bieliznę i resztę ubrania.

Chociaż było lato, dygotała zlodowaciała ze strachu. Naciągnęła na siebie leżący w pobliżu dywan, nie ruszając się z miejsca, bo wołała nie sprawdzać prawdziwości ostrzeżeń Jaganga co do następstw każdej próby ucieczki. Nie było ucieczki. Tak miało wyglądać jej życie.

Mogła jedynie mieć nadzieję, że cała reszta pozostanie w niepamięci.

Gdyby kiedykolwiek przypomniała sobie, kim jest, jej życie stałoby się nieskończenie gorsze. Nie chciała, żeby do tego doszło. Zostanie za ciemną zasłoną. Tej nocy była nową osobą, odseparowaną od tej, którą była niegdyś. Tamta osoba miała na zawsze pozostać martwa.

Zastanawiała się, kim też może być ów mężczyzna, o którym mówił Jagang. Bała się myśleć o tym, co Jagang zrobiłby mu za jej pośrednictwem, żeby go zniszczyć.

Odegnała te myśli. To była dawna ona. Tamta osoba na zawsze odeszła i lepiej, żeby nigdy nie wróciła.

Osamotniona i zrozpaczona, Kahlan zwinęła się w kłębek i cicho załkała.

Rozdział 48

Richard szedł oszołomiony, patrząc na oświetloną księżycem ziemię. Przez mroczne otępienie potrafiła się przebić tylko jedna iskierka. Kahlan.

Tak bardzo za nią tęsknił. Był już taki zmęczony walką. Taki wyczerpany próbami. Taki znużony niepowodzeniami.

Boleśnie pragnął, żeby znów była przy nim. Pragnął odzyskać ich wspólne życie. Tulić ją... po prostu ją tulić.

Wspominał tamte chwile, sprzed lat, w domu duchów, kiedy nie wiedział, że jest Matką Spowiedniczką i że czuje się rozpaczliwie samotna i przytłoczona tajemnicami, które musi zachowywać dla siebie. Poprosiła, żeby ją przytulił, po prostu przytulił. Pamiętał cierpienie w jej głosie, bolesne pragnienie, żeby ją ktoś przytulił i pocieszył.

Oddałby wszystko, żeby teraz móc to zrobić.

- Stój - syknął do niego czyjś głos. - Czekał.

Richard się zatrzymał. Nie miał siły przejmować się tym, co się działo, chociaż wiedział, że powinien. Wyczytał z jej postawy napięcie. Była jak drapieżny ptak, przekrzywiający głowę i odrobinę unoszący skrzydła.

Nie mógł się wyzwolić z przytłaczającego go bezwładu, żeby starać się to wszystko przemyśleć. Jej postawa zdradzała gotowość do agresji, lecz dostrzegał pod tym cień strachu.

Wreszcie zdołał się skupić, żeby spróbować zrozumieć. Wtedy zobaczył w blasku księżycyca to, na co patrzyła Six - wyglądało to jak rozłożony w dolinie rozległy obóz. Był środek nocy, więc tam na dole było względnie spokojnie. Richard, mimo jej otępiającego wpływu, czuł narastający niepokój. Zobaczył coś jeszcze. Za rozbitym w dolinie obozem, na wysoczyźnie, ujrzał zamek, który wydał mu się znajomy.

- Chodź - syknęła Six, mijając go.

Chłopak powłókł się za nią, ponownie zapadając w odrętwiające zobojętnienie; w stan, w którym mógł myśleć jedynie o Kahlan.

Szli, jak mu się zdawało, całymi godzinami w tę głęboką noc. Six była cicha niczym wąż; szła, przystawała i znów szła, wybierając drugorzędne szlaki przez gęsty las. Richardowi dodawał ducha zapach jodeł, zwykłych i balsamicznych. Mchy i paprocie przypominały mu dzieciństwo.

Oczarowanie lasami zniknęło, kiedy zaczęli iść brukowanymi ulicami, mimo zamkniętych sklepów i ciemnych budynków. W mrokach stali żołnierze, po dwóch, zbrojni w piki. Richard miał wrażenie, że to wszystko jest tylko snem. Na poły się spodziewał, że wystarczyłoby, żeby sobie wyobraził lasy, a one znów by się pojawiły.

Wyobraził sobie Kahlan. Nie pojawiła się.

Z bocznej ulicy wyskoczyło dwóch żołnierzy w lśniących zbrojach. Padli na kolana przed Six i ucałowali rąbek jej czarnej sukni. Tylko trochę zwolniła przy tym ich unizonym pokłonie. Poszli za nimi ulicami, towarzysze nocnych cieni snujących za nią mrok.

To wszystko było jak ze snu. Richard wiedział, że powinien się z tego otrząsnąć, ale nie potrafił się do tego zmusić. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby wypełniać polecenia Six. Nic na to nie mógł poradzić. Czarowała go jej sunąca płynnie postać, urzekąco patrzenie w jej oczy, jej głos oszałamiał. Wypełniła w jego duszy pustkę po utraconym darze.

Jej obecność dopełniała go, nadawała jego życiu cel.

Dwaj towarzyszący im żołnierze cicho zaskrobali w żelazną furtę w wielkim kamiennym murze. Odslonięto wizjer w furcie. Ukazały się w nim oczy. Otworzyły się trochę szerzej na widok stojącego przed nimi bladego cienia. Richard słyszał, jak po tamtej stronie rzucają się zdejmować ciężką sztabę.

Furta się otworzyła. Six wpłynęła przez wejście, a Richard wszedł za nią. Zobaczył w księżycowej poświacie potężne kamienne mury, ale nie poświęcił im zbyt wiele uwagi. Bardziej fascynowała go węzowata postać prowadząca go przez aksamitną noc.

Kiedy już przeszli przez wielkie wrota, strażnicy zakrzętnęli się, otwierając kolejne i kolejne drzwi, wykrzykując rozkazy i przynosząc pochodnie.

- Tędy - rzekł jeden z nich, prowadząc ich na kamienne schody. Schodzili coraz głębiej, skręcając zgodnie z rytmem schodów.

Richard miał wrażenie, że zsuwają się w przęłyk jakiejś olbrzymiej kamiennej bestii. Ale póki Six go prowadziła, mogła go sobie ta bestia łykać. Na niższych poziomach, w zimnym i wilgotnym korytarzu, żołnierze poprowadzili ją do ponurego zakamarka. Na oślizłej podłodze rozrzucono siano. Gdzieś daleko kapłała woda.

- Oto pomieszczenie, którego zażądałaś - powiedział do niej jeden ze strażników.

Ciężkie drzwi poddały się ze skrzypieniem. Wewnątrz, na małym stoliku, stała świeca, którą zapalił od pochodni.

- To twój pokój na noc - poinformowała Richarda wiedźma. - Już wkrótce będzie jasno. Wtedy wrócę.

- Tak, pani - odparł.

Nachyliła się odrobinę ku niemu, na bezkrwistą twarz wypłynął wąty uśmiezek.

- O ile znam królową, zechce zacząć natychmiast. Jest raczej niecierpliwa, no i impulsywna. Bez wątpienia sprowadzi krzepkich strażników z batogami. Spodziewam się, że zanim minie ranek, ona już sprawi, że będziesz miał poranione plecy.

Richard wpatrywał się w nią. Nie potrafił tego pojąć.

- Pani?

- Królowa jest nie tylko zepsuta, ale i mściwa. Doświadczysz jej gniewu i nienawiści. Ale nie trap się. Potrzebny mi jesteś żywy. Będziesz cierpieł straszliwy ból, ale przeżyjesz.

Odwróciła się zamasyście i wypłynęła przez drzwi, cień, który zniknął w mroku. Strażnicy wyszli za nią. Drzwi zamknęły się z hukiem. Richard usłyszał szcęk zamka. Zanim się zorientował, został nagle sam w kamiennym pokoiku, porzucony, opuszczony i zapomniany.

W ciszy zaczął go ogarniać strach. Dlaczego królowa miałaby go krzywdzić? Po co Six potrzebowała go żywego?

Zamrugął. Chwile mijały, a jego umysł zaczął pracować. Wyglądało na to, że im dalej Six odchodziła, tym lepiej mu się myślało.

Pochodnie się wypaliły i trochę potrwało, nim oczy przywykły do blasku pojedynczej świecy. Richard rozejrzał się po kamiennej izdebce. Stał tu jedynie stolik i krzesło. Podłoga była kamienna. Ściany były kamienne. Na stropie były masywne belki.

Nagle go olśniło.

Denna.

To tutaj go przyprowadzono, kiedy Denna go pojmała. Rozpoznał stolik. Pamiętał Denne siedzącą na tym samym krześle. Podniósł wzrok i dokładnie tam, gdzie zapamiętał, ujrzał żelazny kołek.

Jego przeguby tkwiły w żelaznych kajdanach. Denna zaczepiła o ten kołek łączący je łańcuch. Wisiał tak, kiedy Mord-Sith torturowała go swoim Agielem. Z pamięci wypłynęły przerażające wspomnienia tej nocy, kiedy Denna go złamała. Nocy, kiedy jej się zdawało, że go złamała. Podzielił wtedy swój umysł. Ale pamiętał, co mu owej nocy robiła.

I przypomniał sobie, co ją skłoniło do takiej przemocy.

Wisiał na kołku, gdy księżniczka Violet przyszła popatrzeć. Księżniczka uznała, że chce wziąć w tym udział, że chce się przyłączyć do torturowania go. Denna dała potworkowi swój Agiel i pokazała, jak się nim posługiwać.

Richard pamiętał Violet chełpiącą się, jak to każe Kahlan zgwałcić, torturować i na koniec zabić.

Kopnął ją wtedy tak mocno, że pękła jej szczeka i odgryzła sobie język.

To była ta izdebka.

Richard oparł się o kamienną ścianę i zsunął na podłogę. Usiadł i odpoczywał. Musiał pomyśleć, rozgryźć to, zrozumieć, co się dzieje.

Opierał się o plecak, więc go zdjął i położył na kolanach. Coś mu przyszło do głowy. Zajrzał do środka, odsunął na bok strój czarodzieja wojny i złotą pelerynę i znalazł księgę, którą zostawił dla niego Baraccus. Przekartkował ją. Stronice dalej były czyste. Gdyby nie utracił swojego daru, mógłby ją przeczytać. Gdyby wiedział, jak wykorzystać swoją moc, mógłby się uratować. Gdyby.

Nagle się zdecydował. Nie mógł dopuścić, żeby znaleźli tę księgę. Six miała dar. Przynajmniej pewną formę daru. Nie mógł pozwolić, żeby to zobaczyła. Baraccus ukrył księgę na trzy tysiące lat. Była przeznaczona wyłącznie dla Richarda. Nie wolno mu zawieść takiego zaufania. Nie może dopuścić, by ktoś dowiedział się o tej księdze.

Wstał i obszedł izdebkę, szukając schowka dla księgi. Niczego nie znalazł. To była zwyczajna kamienna izdebka. Żadnych zakamarków, żadnych wnęk, żadnych obluzowanych kamieni. Niczego tu nie można było schować.

Kiedy tak stał pośrodku izdebki i rozmyślał, podniósł wzrok i zobaczył żelazny kołek. Przeszedł przez izdebkę, przyglądając się belkom. Jedna z nich, biegnąca równoległe do ściany, zwróciła jego uwagę - pomiędzy nią a ścianą było trochę miejsca. Widać też było na niej, jak na większości belek stropu, długie szczeliny powstałe, kiedy wysychało świeżo ociosane drewno.

Wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Natychmiast przyciągnął sobie krzesło i stanął na nim. Za nisko. Odsunął krzesło i przyciągnął stolik. Przeszedł z krzesła na stolik i wreszcie mógł dosięgnąć do żelaznego kołka. Poruszył nim, ale siedział mocno. Jeżeli miał ukryć księgę, potrzebny mu był ten kołek.

Uwiesił się całym ciężarem i oburącz szarpał kołkiem w górę i w dół. Wreszcie kołek zaczął się obluzowywać. Pracował szybko i z całej siły, i w końcu mógł nim poruszyć. Kręcił nim tam i z powrotem, aż ostatecznie wyjął go z belki.

Richard przeciągnął stolik w poblize ciemnego kąta izdebki i wdrapał się na blat. Sprawdził szczelinę w belce, a potem znalazł miejsce, gdzie odchylała się ku górze, ku poprzecznemu belkowaniu. Wetknął kołek w szczelinę w belce i porządnie zamocował.

Przyniósł plecak i włożył go pomiędzy ścianę a belkę. Kiedy już umieścić go tam tak płasko, jak tylko zdołał, upchnął go przy belce, aż się zaklinował o kołek. Wypróbował swoje dzieło, szarpiąc plecakiem, ale ten mocno siedział. Nie wysunie się, nie spadnie.

Zeskoczył na podłogę i ustawił stolik oraz krzesło tak, jak stały przedtem. Plecak przypominał kolorem stary dąb belki, no i był w mroku. Richard uznał, że nikt nie zauważy plecaka w tym prowizorycznym schowku, chyba że będzie go specjalnie szukał. Poza tym i tak nic innego nie mógł zrobić.

Zadowolony, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by schować księgę i strój czarodzieja wojny, aby nie wpadły w niepowołane ręce, położył się na kamiennej posadzce pod przeciwległą ścianą i usiłował zasnąć.

Ale stwierdził, że nie może spać, myśląc o tym, co Six przyobiecała mu na jutro. Dręczył go strach, nie mógł wyciszyć umysłu. Wiedział, że musi choć trochę odpocząć, ale nie potrafił się uspokoić.

Czuł ulgę, będąc z dala od Six. Od pobytu u ogników i spotkania z Six po wyjściu spośród odwiecznych drzew zupełnie stracił poczucie czasu. Kiedy był przy niej, nie mógł myśleć, nie mógł nic robić. Pochłaniała cały jego umysł.

Cały jego umysł.

Przypomniał sobie, jak niegdyś był w tej izdebce z Denną. Zapowiedziała mu, że będzie jej pupilkiem i że całkowicie go sobie podporządkuje. Wspomniał, jak obiecał sobie, że pozwoli jej robić, co tylko zechce, ale że

ocali część siebie, ukryje ją i nikogo, nawet siebie, do niej nie dopuści, póki nie będzie chciał otworzyć owej skrytki i znów stać się sobą.

Ponownie musiał to zrobić. Nie mógł pozwolić, by Six zawładnęła całym jego umysłem, jak w chwili, gdy go pojmowała. Nadal czuł jej wpływ, napór jej woli, ale teraz, kiedy jej przy nim nie było, oddziaływanie to było znacznie słabsze, czuł się od niej uwolniony i mógł myśleć. Mógł do pewnego stopnia decydować o tym, czego chce.

A chciał się uwolnić od wiedzy.

Stworzył w swoim umyśle miejsce - jak to już dawno zrobił w tej samej izdebce - i zamknął tam część siebie, swoje siły, rdzeń swojej woli, podobnie jak schował plecak tam, gdzie nikt go nie znajdzie.

Mógł myśleć i planować, więc poczuł ulgę. Chociaż nadal czuł w sobie kły wiedzy, wiedział, że ona już nie ma nad nim takiej kontroli, jak jej się wydaje. Nareszcie zdołał się trochę rozluźnić.

Wtedy pomyślał o Kahlan. Uśmiechnął się smutno, wspominając ją. Nakazał sobie myśleć o szczęśliwych chwilach, które razem z nią spędził. Rozmyślał o tym, jak ją tulił, całował, był z nią sam na sam nocą i słuchał, jak mu szepcze, że on wiele dla niej znaczy.

Zasnął, myśląc o Kahlan.

Rozdział 49

Richard zbudził się gwałtownie, słysząc, jak szczeka zamek w drzwiach. To było nieprzyjemne przebudzenie, bo w snach odwiedziła go Kahlan. Nie zapamiętał snów, lecz wiedział, że były o niej. Chłonał jej obecność tak, jakby naprawdę z nią był, a powrót do przytomności gwałtownie przerwał tę radość. Kiedy już się obudził, poczucie jej obecności natychmiast odpłynęło. Przygnębiła go ta wymiana choćby tylko śnionej obecności Kahlan na surową, czczą jawę. W jego snach świat był o wiele bogatszy. Chociaż ich nie pamiętał, wydawały się pełne słodyczy, niczym odległa muzyka. Już to wystarczało, by wiedział, że wolałby się raczej nie budzić.

Richard chciał usiąść i dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest obolały po nocy spędzonej na kamiennej posadzce. Umysł miał nadal zamroczony, więc pewnie przespał zaledwie parę godzin. Zobaczył wchodzących do kamiennej izdebki strażników i chwiejnie wstał, starając się przy tym rozciągnąć odrętwiałe mięśnie.

Six wpłynęła do izdebki niczym gniewny wicher. Jej skóra sprawiała upiorne wrażenie przez kontrast ze sztywnymi czarnymi włosami i rozwianą czarną suknią. Wyblakłe niebieskie oczy wpatrywały się w niego, jakby poza nim nic na świecie dla niej nie istniało. Richard czuł, że to spojrzenie przygniata go jak góra. To spojrzenie i jej obecność łamały jego wolę.

Zalewało go to niczym fala. Kiedy podeszła bliżej, walczył, żeby utrzymać głowę nad ciemną wodą, opierał się odbieraniu mu woli. Miał wrażenie, że walczy o życie w rozszalałej rzece, w której bystre prądy wciągają go pod wodę.

- Chodź, musimy pójść do jaskini. Nie mamy za dużo czasu.

Zamiast spytać, dlaczego jej zdaniem nie mają dużo czasu - chociaż wątpił, by w tej chwili zdołał zadać to pytanie - spytał o coś innego, co nadal wystarczająco mocno tkwiło w jego myślach.

- Wiesz, gdzie jest Kahlan?

Six przystanęła, lekko się odwróciła i spojrzała na niego.

- Oczywiście. Jest z Jagangiem.

Jagang. Richard osłupiał. Six nie tylko pamiętała Kahlan, ale i wiedziała,

gdzie ona jest. Wydawała się zadowolona z bólu, jaki mu właśnie sprawiła.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

- Teraz chodź. Spiesz się.

Coś było nie tak. Nie wiedział co, ale wyczuwał to w jej władzy nad nim. Trzymała go czarem urzeczenia, niczym na aksamitnej smyczy o żelaznej mocy, ale nie było tak jak przedtem. Wyczuwał, że coś się zmieniło. W jej zachowaniu znać było śladowe strapienie.

Ale mało go to obchodziło. Jagang miał Kahlan. Nie mógł pojąć, skąd Six w ogóle wiedziała, kim jest Kahlan, tak bardzo poraziło go znaczenie tych słów: „Jest z Jagangiem”.

Gdyby nie to, że Six wlokła go za sobą tym czarem, pewnie by się osunął na podłogę. Nie mógłby wymyślić gorszego koszmaru niż Kahlan w rękach Jaganga. Ogarnięty ślepym przerażeniem szedł za wiedźmą mrocznymi korytarzami. Musiał coś zrobić. Musiał pomóc Kahlan. Nie tylko była w rękach Sióstr Mroku, ale też były one w zмовie z jego i jej najgorszym wrogiem.

Najważniejsze - poza lękiem o Kahlan - było to, że wiedział, gdzie jest Jagang. Imperator maszerował w głąb D'Hary, ku Pałacowi Ludu. A Kahlan była teraz z nim.

Taki był zamyślony, że nawet nie spostrzegł, kiedy wyszli na zewnątrz. Natychmiast pojął, dlaczego Six była tak podenerwowana.

Na tereny zamkowe zewsząd wchodziło wojsko. To były owe oddziały, które nocą obozowały w dolinie.

Six zakłęta pod nosem, wypatrując, którądy uciec z podwórca. Każdym wejściem napływali żołnierze. Powrót do zamku, do kamiennej izdebki, już był odcięty przez kolumnę wojska maszerującą na zamkowe grunty.

Byli to usmoleni żołnierze, niektórzy w zbrojach płytowych, inni w kolczugach. Większość jednak nosiła pancerze z ciemnej skóry. Przy nabijanych ćwiekami rzemieniach, które przecinały ich pierś, wisiały skórzane sakwy z prowiantem i pochwy z nożami. U masywnych skórzanych pasów mieli topory, maczugi, cepy i miecze. Jeszcze nigdy nie widział tak groźnie wyglądających żołnierzy. Strażnicy, w kolczugach pod czerwonymi tunikami, nie byli tak głupi, żeby próbować powstrzymać takich wojaków, zwłaszcza tak licznych.

Richard nie miał wątpliwości, że na zamek wchodzi oddziały

Imperialnego Ładu.

- Zgodnie z umową - rzekł muskularny mężczyzna, podchodząc do Six - zjawiliśmy się, żeby dopilnować, by Tamarang przyłączył się do sprawy Imperialnego Ładu.

- Tak, oczywiście - powiedziała wiedźma. - Ale... zjawiliście się znacznie wcześniej, niż oczekiwaliśmy.

Wsparł dłoń na rękojeści miecza, ciemne oczy badały otoczenie. Richard zauważył, jak wysokiej klasy miał oręż, jak starannie wykonaną zbroję, jak zdecydowanie przejął dowodzenie. To był dowódca tych wszystkich żołnierzy.

- Poszło nam szybciej, niż się spodziewaliśmy - powiedział do Six. - Niektóre z miast i miasteczek na naszej trasie nie stawiały oporu, więc mogliśmy tu dotrzeć już teraz, a nie dopiero po zimie, jak sądziliśmy.

- Pozwól, że powitam cię w imieniu królowej - rzekła Six. - Właśnie do niej szłam.

Dowódca miał naramienniki i napierśnik z tłoczonej skóry ozdobione wzorami. Napierśnik dobrze mu służył; widać było na nim nacięcia i zadrapania po ciosach, które zatrzymał. Tył lewej małżowiny pokrywały pierścienie, a prawą połowę twarzy - wytatuowane łuski, jakby był w połowie człowiekiem, w połowie gadem.

- Ład działa dla dobra Ładu i naszej sprawy. Tamarang stanowi teraz część Imperialnego Ładu. Ufam, że wszyscy są tu zadowoleni z tego, iż są teraz ludźmi Ładu?

Odgłosy butów maszerujących po kamieniach zagłuszyły śpiew ptaków witających zbliżający się świt. Żołnierze otaczali ich coraz gęściej, nadchodząc podwórcową alejką aż ku Richardowi.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Six. Wyraźnie odzyskiwała panowanie nad sobą. - Królowa i ja ufamy, że dotrzycie umowy stanowiącej, że do zamku nie wejdzie nikt z Ładu, że zamek będzie pozostawiony do wyłącznego użytku Jej Wysokości, jej doradców i służby.

Żołnierz chwilę patrzył jej w oczy.

- Mnie to bez różnicy. Zamek nie jest mi do niczego potrzebny. - Zamrugał, jakby zdziwiony tym, że przystał na coś takiego. Wypiął pierś, odzyskując werwę. - Ale zgodnie z naszą umową reszta Tamarang jest teraz prowincją imperium Imperialnego Ładu.

Six skłoniła głowę na zgodę. Znów się leciutko uśmiechała.

- Zgodnie z umową.

Richard ledwie słuchał rozmowy. Wykorzystywał to, że Six nie trzymała go już tak mocno w garści, żeby się jej wymknąć. Wykorzystywał jej nieuważę niczym metalową sztabę, którą podważał jej niewidzialne, wbite w niego szpony. Udało mu się na tyle poluzować ów chwyt, że zdołał uwolnić umysł.

Czas, żeby zrobić coś dla siebie, dla Kahlan.

Chociaż utracił dar i Miecz Prawdy, pamiętał to, czego nauczył go miecz, oraz to, czego nauczył się przez całe życie. Mógł nie mieć daru, lecz pamiętał znaczenie symboli. Znał rytm tańca ze śmiercią.

Wciąż był tym, który dzierży miecz.

Musiał tylko jakiś chwycić.

Six uzgadniała z oficerem, na jakie tereny zamkowe wolno żołnierzom wejść, od jakich powinni się trzymać z daleka i co do nich należy w samym mieście, a Richard obejrzał się i zarejestrował drewniane rękojeści mieczy żołnierzy oraz obłożoną skórą rękojeść miecza niższego rangą oficera, który stał tuż za nim, po prawej.

Uśmiechnął się do niego, wyjmując z kieszeni miedziaka, i od niechcenia przetoczył pieniądze między palcami. Pozwolił, żeby miedziak się ześliznął i spadł, jakby był niezdarny. Kucnął, żeby go podnieść, podpierając się dla równowagi o piaszczystą ziemię obok alejki. Sięgnął po monetę i pozwolił, żeby piach przylgnął do wnętrza dłoni i palców. Podniósł miedziaka, nabierając przy okazji w dłoń trochę piaszczystej ziemi. Stojący z tyłu oficer, który obserwował przełożonego rozmawiającego z Six, spojrzał na Richarda dopiero wtedy, gdy ten otarł monetę i schował ją do kieszeni. Six była o wiele bardziej interesująca niż jakiś tam niezgraba. Richard udał, że machinalnie zaciera ręce, ale tak naprawdę wcierał w nie piach.

Nie chciał, żeby dłonie ślizgały mu się na skórze, kiedy już zacznie.

Nie odwracając się, odchylił się ku stojącemu za nim niższemu oficerowi. Tamten wpatrywał się jak urzeczony w Six, splatającą swoją sieć, mówiącą żołnierzom, czego od nich oczekuje. Richard kątem oka widział rękojeść miecza wiszącego u biodra oficera. Był wykonany o wiele staranniej niż broń większości żołnierzy.

Six i dowódca rozmawiali, a Richard odwrócił się odrobine, udając, że się

przeciąga. W mgnieniu oka jego ręka znalazła się na rękojeści miecza. W następnej chwili miecz już był jego.

Czuąc w dłoni oręż, chłopak natychmiast przypomniał sobie wszystko, czego się nauczył podczas długich godzin ćwiczeń. Nauki mogły po części pochodzić nie z tego świata, lecz wiedza nie była magią. To było doświadczenie zdobyte przez niezliczonych Poszukiwaczy, którzy poprzedzali Richarda. I choć nie miał już ich miecza, nadal miał ich wiedzę.

Oficer, wyraźnie podejrzewając, że Richard błaznuje, sięgnął, żeby odebrać mu broń. Chłopak podrzucił miecz, pchnął do tyłu i zabił go.

Żołnierze ruszyli do akcji. W chłodnym powietrzu świtu pojawiły się obnażone miecze. Wielcy wojownicy odczepili od pasów bojowe topory o księżycowatych ostrzach, maczugi i cepy.

Richard znalazł się nagle w swoim żywiole. Nareszcie miał jasny umysł. Nie sądził, że tak szybko odwoła się do oddzielonej dla zabezpieczenia części swego umysłu, ale nadszedł czas i musiał działać. To była jego szansa.

Wiedział, gdzie jest Kahlan, i musiał się do niej dostać.

Ci żołnierze stali mu na drodze.

Richard zakręcił mieczem, odcinając ramię trzymające topór. Krzyk i bryzgi krwi sprawiły, że najbliżej stojący żołnierze się wzdrygnęli. I w owej chwili Richard wykonał swój ruch. Rozciął żołnierza zamierzającego się nań mieczem, a mężczyzna umarł, nim zdążył całkiem unieść ramię. Chłopak uskoczył przed wyciągającą się ku niemu bronią.

Pomimo szczęku metalu i wrzasku żołnierzy Richard był już w swoim milczącym świecie, skupiony i skoncentrowany. Panował nad wszystkim. Mogli myśleć, że wystawili przeciwko niemu całą armię, ale to w pewnym sensie było dla niego korzystne. Nie walczył z armią. Walczył z konkretnymi żołnierzami. Oni myśleli jako zbiorowość, jeden pozwalał działać drugiemu, jakby starali się być olbrzymim bojowym krocionogiem.

To był ich błąd. Richard wykorzystywał go, zadając ciosy. Kiedy się wahali, czekając, aż zadziałają koledzy, czekając na okazję, Richard już szedł przez ich szeregi, zabijając ich. Pozwalał im na zamachy bronią i wypadki, w co wkładali całą swoją siłę, a sam płynnie omijał wyciągające się ku niemu ostrza. Każde jego pchnięcie trafiało w cel. Każdy zamach klingi zabijał. Jakby kroczył przez gęste zarośla, odcinając wyciągające się ku niemu gałęzie. Pozwalał, żeby impet miecza nadawał siłę kolejnemu uderzeniu,

bezustannie nim pracował, nie marnując sił i czasu na wycofywanie ostrza. Kiedy opuszczał broń, rozcinając szyję przeciwnika, przedłużał ten ruch i unosił ostrze, by przebić wroga, a potem wyciągał klingę i odskakiwał, a miecze, topory, maczugi i cepy trafiały tam, gdzie był przed chwilą. To był płynny, pełen gracji taniec wśród stękających, pochylających się i podskakujących żołnierzy. Ciąć, ciąć i ciąć, pozwolić, żeby wrzaski wypełniły ranek, żeby strach, iż nie są w stanie go powstrzymać, napęłnił pozostałych lękiem przed tym, co się może wydarzyć.

Richard cały czas nie tracił celu z oczu. Kierował się ku wyjściu poza mur. Choć atakował, uderzał i robił finty, wycinając sobie drogę wśród nawały żołnierzy, bezustannie dążył do owego wyjścia i wolności. Musiał się wydostać, by móc dotrzeć do Kahlan.

Niektórych stojących mu na drodze żołnierzy zabił, innych ominął. Nie chodziło mu o to, żeby zabić, ilu tylko zdoła, ale żeby dotrzeć do celu - do wyjścia.

Choć wykrzykiwano rozkazy, a żołnierze wrzeszczeli ze złości, starając się go dopaść, lub z bólu, kiedy rozcinał im brzuchy, patroszył ich lub przebijał mieczem, Richard, wyciszony i skoncentrowany, tkwił jakby w próżni. I stamtąd atakował. Szybko wybierał cele i równie szybko się z nimi rozprawiał. Nie marnował sił na zamierzanie się mieczem, lecz ciął pewnie. Jeżeli dostrzegł wśród nich jakiegoś przywódcę, kogoś bardziej wprawnego, na kogo popatrywali, atakując, to zabijał właśnie jego. Dążąc ku wyjściu w murze, prześlizgiwał się przez luki w ich obronie i cały czas ciął. Ani na moment nie zwolnił. Nie pozwalał, by wrogowie złapali oddech, kiedy ich atakował. Ciął bez litości, zabijając każdego żołnierza, którego zdołał. Uśmiercał go, czy żołnierz był groźny, czy wystraszony. Oczekiwali, że zastraszą go swoją liczebnością, ale się pomylili - nie robiła na nim wrażenia ani ich liczebność, ani bojowe okrzyki, z jakimi go atakowali. Zabijał ich bezlitośnie.

W końcu dotarł do wyjścia, ścinając głowę żołnierzowi tuż po lewej i zaraz potem innemu po prawej. Nareszcie żaden z żołdaków Imperialnego Ładu nie blokował wyjścia. Richard wypadł na zewnątrz.

Wszystko się nagle skończyło. Dalej była ściana celujących w niego łuczników. Łucznicy i kusznicy stali w półkolu za wyjściem, zamykając go w pułapce i celując w niego ostrymi stalowymi grotami. Richard aż za dobrze

wiedział, że nie ma żadnej szansy przeciwko setkom wymierzonych w niego strzał i bełtów, a już zwłaszcza z tej odległości. W przejściu pojawił się dowódca.

- To robi wrażenie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Naprawdę był zdumiony, ale było już po wszystkim. Richard ciężko westchnął i upuścił miecz.

Dowódca zbliżył się, zmarszczył brwi i przyjrzał się chłopakowi od stóp do głów. W przejściu w murze pojawiła się Six, czarna sylwetka na tle poranka.

Dowódca skrzyżował na piersi muskularne ramiona.

- Umiesz grać w Ja'La dh Jin?

Richard stwierdził, że dziwniejszego pytania w takiej chwili by nie wymyślił. Z tyłu, za niewielkim przejściem w murze, przez które udało mu się wydostać, ciężko ranni żołnierze krzyczeli, szlochali i błagali o pomoc.

Nie uchylił się od odpowiedzi na pytanie dowódcy.

- Tak, znam grę o życie.

Tamten się uśmiechnął, kiedy chłopak użył tłumaczenia Ja'La dh Jin z ojczyściej mowy imperatora.

Ani trochę nie przejmując się liczbą usieczonych przez Richarda żołnierzy, dowódca uśmiechał się do siebie i w zadziwieniu pokręcił głową. Richard też nie przejmował się zabitymi i rannymi. Sami postanowili się zaciągnąć do armii najeźdźców, grabić, gwałcić i mordować ludzi, którzy nic złego im nie zrobili, których jedynym grzechem było to, że nie wierzyli w zasady Ładu, którzy chcieli spokojnie i po swojemu żyć. Six stanęła obok dowódcy.

- Jestem wdzięczna za to, że tak mężnie zatrzymałeś tego niebezpiecznego człowieka. To skazany więzień i znajduje się pod moim nadzorem. Sama królowa będzie kierować wykonaniem kary.

Dowódca obejrzał się na nią.

- Właśnie zabił sporo moich żołnierzy. Teraz jest moim więźniem.

Six wyraźnie miała ochotę zionąć ogniem.

- Nie dopuszczę...

Setki strzał równocześnie wycelowały dokładnie w nią. Znieruchomiła i umilkła, oceniając zagrożenie. Najwyraźniej, podobnie jak Richard, wiedziała, że jej moc na nic się nie zda w obliczu tylu żołnierzy, którzy w

mgnieniu oka mogli wypuścić strzały. W jednej chwili mogłaby stracić życie.

- Ten człowiek jest moim więźniem - powiedziała do dowódcy spokojnie, lecz zdecydowanie. - Właśnie prowadziłam go do królowej na...

- Teraz jest moim więźniem. Wracaj do zamku. Te tereny należą obecnie do Ładu. To już nie są włości królowej ani twoje. On jest teraz nasz.

- Aleja...

- Możesz odejść. Chyba że wolisz złamać naszą umowę i sprawić, byśmy was wymordowali?

Wyblakłe błękitne oczy Six prześliznęły się po setkach celujących w nią żołnierzy.

- Nasza umowa, oczywiście, obowiązuje, dowódcu. - Przeniosła nań przenikliwy wzrok. - Dotrzymałam jej, jak ustalono, więc i ty jej dotrzyмай.

Pochylił głowę w leciutkim ukłonie.

- Znakomicie. A teraz zostaw nas naszym obowiązkom. Jak ustalono, ty i inni tutejsi oficjele możecie się zająć swoimi sprawami. Możesz chodzić, dokąd chcesz, a moi ludzie nie będą się naprzykrzać ani tobie, ani im, ani personelowi zamku.

Po raz ostatni obrzuciła Richarda morderczym spojrzeniem, a potem odwróciła się i odmaszerowała. Richard, wraz z dowódcą i jego żołnierzami, patrzył, jak wiedźma wpływa przez wejście w murze i sunie zakrwawioną alejką między zabitymi i umierającymi, w ogóle nie zwracając na nich uwagi. Zdażała ku bramie zamku. Żołnierze się rozstąpili i przepuścili ją.

Dowódca znów spojrzał na Richarda.

- Jak się nazywasz?

Chłopak wiedział, że nie może podać prawdziwego nazwiska. Nie mógł nawet podać tego, pod którym dorastał: Richard Cypher. Gdyby to zrobił, mogliby się zorientować, kim tak naprawdę jest. Gorączkowo usiłował wymyślić jakieś nazwisko, które mógłby podać. Przypomniało mu się to, którego lubił używać Zedd, kiedy nie chciał zdradzać, kim jest.

- Jestem Ruben Rybnik.

- No, Rubenie, dam ci dwie możliwości. Możemy obedrzeć cię żywcem ze skóry, nabić na pał, rozplatać ci brzuch i pozwolić ci się przyglądać, jak sępy wyciągają z ciebie flaki i biją się o nie.

Chłopak wiedział, że nie musi się obawiać takiego losu, bo wystarczyłoby, żeby zaatakował, a łucznicy by go ustrzelili. Ale nie chciał

umierać. Martwy nie mógłby pomóc Kahlan.

- Wcale mi się to nie podoba. Masz inną propozycję?

Na twarz dowódcy wypełził chytry uśmieszek, który pasował do gadziej połowy twarzy, wytatuowanej w łuski.

- Tak się składa, że mam. Otóż poszczególne dywizje armii mają swoje ekipy Ja'La. Nasza składa się z moich żołnierzy i najlepszych spośród tych, na których natrafiamy, ludzi pobłogosławionych przez Stwórcę talentem, wyjątkowym talentem. Wspaniale przebiłeś się przez moich ludzi do wejścia w murze, zupełnie jakbyś parł do bramki. Parłeś do bramki, nie pozwalając się zatrzymać, bez względu na to, co oni robili... Jesteś urodzonym rozgrywającym.

- Rozgrywający to niebezpieczna pozycja. Dowódca wzruszył ramionami.

- To gra o życie. Akurat brakuje nam rozgrywającego. Padł w ostatniej grze. Udało mu się uniknąć blokującego, ale przez to nie chwycił piłki i brok trafił go w żebra. Przebiły mu płuca. To była okropna, bolesna śmierć.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco. W oczach dowódcy błysnęła groźba.

- Zawsze możesz wybrać to pierwsze i patrzeć bez skóry, jak sępy biją się o twoje flaki.

- Będę miał okazję grać z ekipą imperatora?

- Ekipą imperatora - powtórzył dowódca. Przez chwilę wpatrywał się w Richarda, zaciekawiony, dlaczego zadał takie pytanie. - Ale z ciebie ambitny gość. - W końcu potaknął. - Wszystkie zarejestrowane drużyny marzą o grze z ekipą imperatora. Jeśli pokażesz, co jesteś wart, i dzięki twoim talentom rozgrywającego wygramy turniej, to możesz mieć okazję grać z ekipą imperatora. O ile pożyczysz tak długo.

- To chętnie się przyłączę. Dowódca się uśmiechnął.

- Chcesz zostać bohaterem? Tak? Graczem Ja'La, na którego cześć wiwatują? Sławnym graczem?

- Być może.

Mężczyzna pochylił się nieco ku niemu.

- Coś mi się zdaje, że marzysz o kobietach, które mógłbyś mieć po takim zwycięstwie. O spojrzeniach pięknych pań. O uśmiechach powabnych kobiet.

Richard pomyślał o pięknych zielonych oczach Kahlan, o jej uśmiechu.

- Tak, przemknęło mi to przez myśl.

- Przemknęło ci przez myśl! - prychnął dowódca. - No cóż, Rubenie, pozbadź się tej myśli. Nie jesteś graczem, który do nas przystał. Jesteś więźniem, i to na dodatek niebezpiecznym. Tacy jak ty są odpowiednio traktowani. Będziesz w klatce transportowanej wozem. Wypuścimy cię na rozgrywki czy treningi, ale poza tym będziesz po prostu zwierzęciem trzymanym w klatce. Podczas treningów będziesz musiał ciężko pracować z resztą drużyny, poznać jej mocne i słabe punkty. W końcu jesteś naszym rozgrywanym. Ale nawet wtedy będą cię pilnować.

Richard nie miał wyboru.

- Rozumiem.

Dowódca głęboko zaczerpnął powietrza i wsunął kciuki za pas z bronią.

- To dobrze. Jeżeli będziesz świetnie grać, jeżeli dasz z siebie wszystko w każdym meczu i jeżeli tak się zdarzy, że pokonamy ekipę imperatora, pozwolę ci wybrać sobie kobietę spośród tych, które tam będą, pragnąc przespać się z graczami.

- Zwycięzcami - poprawił go Richard. Dowódca skinął głową.

- Ze zwycięzcami. - Uniósł palec. - Ale popełnij choć jeden błąd, a zginiesz.

- Umowa stoi - powiedział chłopak. - Macie nowego rozgrywanego.

Dowódca podniósł rękę, dając innym oficerom znak, żeby podeszli. Stanęli przed nim na baczność.

- Podstawcie wóz, ten z żelazną klatką, dla tego tutaj naszego nowego rozgrywanego. Chyba już wiecie, jaki jest niebezpieczny. I tak go traktujcie. Chcę wykorzystać jego talent przeciwko naszym rywalom.

Jeden z oficerów przyjrzał się taksująco Richardowi.

- Miło byłoby wygrać więcej niż jeden raz. Dowódca przytaknął i zaczął wydawać rozkazy.

- Rozstawcie strażę przy zamku i w mieście, na tyle liczne, byśmy nie mieli kłopotu z mieszkańcami Tamarang. Potem każcie wszystkim robotnikom stawiać bazy dla naszych konwojów zaopatrzeniowych. Najpierw musicie znaleźć odpowiednio duży plac. Szukajcie tuż poza miastem, w pobliżu rzeki. Lato mija. Zima nadejdzie, zanim się spostrzeżecie, a ciągnące tędy często konwoje będą liczne. Wszystkie nasze oddziały w Nowym Świecie będą potrzebować zaopatrzenia, które pozwoli im przetrwać nadchodzącą zimę. Tamarang dostarczy tego, co będzie nam

potrzebne do budowy. Jest tu rzeczny port, do którego można kierować budulec, więc musicie zapewnić dojazd do nowego placu budowy i koszary dla wszystkich żołnierzy, którzy zostaną tam potem zakwaterowani.

Jeden z oficerów skinął głową.

- Wszystkie plany gotowe.

Richard zrozumiał, że Ład zamierza wykorzystać Tamarang do pomocy przy budowie bazy. Już przedtem się z czymś takim spotkał. Łatwiej było współpracować z miastami chętnie przyłączającymi się do Ładu, niż wszystko niszczyć i potem na nowo stawiać.

- Natychmiast odchodzę z naszymi oddziałami i tym konwojem - poinformował oficerów dowódca. - Jagang potrzebuje wszystkich żołnierzy do szturmowania imperium D'Hary.

Przywódca imperium D'Hary stał spokojnie, słuchając planów rozstrzygającego ataku na mieszkańców Nowego Świata, rzezi tych, którzy wierzyli w wolność, planów bitwy, która - o co zadbał - nigdy się nie odbędzie.

Rozdział 50

Rachel obudziła się, usłyszawszy, jak Violet człapie po sypialni. Przez szczelinę w drzwiczkach swojej żelaznej skrzynki widziała wysokie okno po przeciwległej stronie komnaty. Chociaż ciężkie kotary barwy królewskiego błękitu były zaciągnięte, barwa światła wnikałego przez wąską szparę świadczyła, że to dopiero świt.

Królowa Violet zwykle nie wstawała o tej porze.

Rachel nasłuchiwała, co Violet robi. Usłyszała długie ziewnięcie, a potem odgłosy towarzyszące ubieraniu królowej jaskini.

Po całej nocy w żelaznej skrzynce Rachel miała ścierpnięte nogi. Chciałaby wyjść i je rozprostować. Ale wołała tego głośno nie mówić. Przynajmniej poprzedniego wieczoru nie założyli jej klamry na język; czasami Violet nie chciało się tego dopilnować.

Nagle rozległo się BANG, BANG, BANG. Rachel podskoczyła, serce zaczęło się w niej tłuc. Violet uderzała obcasem w wierzch żelaznej skrzynki.

- Obudź się - odezwała się królowa. - Dziś wielki dzień. Nocą posłaniec wsunął wiadomość pod drzwiami. Six wróciła parę godzin przed świtem.

Violet zaczęła pogwizdywać i się ubierać. Było to trochę niezwykle, bo zazwyczaj przywoływała służbę, żeby przygotowała odzienie i ubrała ją. Teraz sama się ubierała, pogwizdując przy tym. Rachel rzadko słyszała, jak Violet gwizdże. Nie było wątpliwości, że powrót Six wprowadził ją w dobry nastrój.

Rachel zamarła, bo wiedziała, co to oznacza.

Oczy Violet pojawiły się tuż przed szczeliną w drzwiach sypialnej skrzynki, zasłaniając i tę odrobinę światła, która tamtędy wnikała.

- Przeprowadziła Richarda. Podziały uroki, które narysowałam. Dzisiaj będzie najgorszy dzień w jego życiu. Już ja o to zadbam. Dzisiaj zacnie płacić za zbrodnie wobec mnie.

Twarz zniknęła. Znów rozległo się pogwizdywanie. Królowa przeszła przez komnatę, skończyła się ubierać, wciągnęła pończochy i zasznurowała buty. Po paru chwilach wróciła i znów pochyliła się ku drzwiczkom.

- Pozwolę ci patrzeć, jak go będą batożyć. - Przekrzywiła głowę. - Co ty na to?

Rachel, wtulona w najdalszy kąt swojej skrzynki, przełknęła ślinę.

- Dziękuję, królowo Violet. Violet prychnęła, prostując się.

- Do zachodu nie zostanie mu na plecach ani odrobina ciała. - Podeszła do biurka w rogu i wróciła. Rachel usłyszała, jak klucz zgrzyta w zamku. Zasuwka odskoczyła i uderzyła o żelazną skrzynkę; Violet zdjęła ją ze skobla. - A to tylko początek tego, co mu zrobię. Ja...

Natarczywie zastukano do drzwi. Stłumiony głos poprosił, żeby je otworzono. To był głos Six.

- Chwileczkę, już idę - zawołała przez całą komnatę Violet. Rachel przysunęła się odrobinę do szczeliny i zobaczyła, jak królowa pośpiesznie zaczepia zasuwkę o skobel. Właśnie miała na nowo ją zamknąć, kiedy Six zaczęła walić w drzwi.

- No już, już - powiedziała Violet, zostawiając w spokoju zasuwkę, i pośpiesznie przeszła przez komnatę.

Przekręciła zatrzask dużych, masywnych drzwi, a te natychmiast się otworzyły. Six wpłynęła do komnaty niczym mroczna burzowa chmura.

- Masz go, prawda? Jest tutaj, zamknięty tam, gdzie go kazałam wpakować? - spytała Violet głosem drżącym z ekscytacji, gdy Six zamykała wielkie drzwi. - Możemy natychmiast zacząć go karać. Każę strażnikom zebrać...

- Armia go zabrała.

Rachel przysunęła się do żelaznych drzwiczek i ostrożnie wyjrzała przez szczelinę. Six stała tuż przed drzwiami. Królowa plecami do Rachel. Violet była w białej atlasowej sukni z ciemnoniebieskim pasem, białych pończochach i sznurowanych butach. Wpatrywała się w mroczną postać więdźmy.

- Co?

- Oddziały Imperialnego Ładu pojawiły się tuż przed świtem. Włazy się do miasta i na tereny zamkowe. Są ich tysiące, dziesiątki tysięcy, a może nawet setki tysięcy.

Skołowana Violet nie chciała wierzyć w to, co usłyszała. Szukała słów.

- Przecież to niemożliwe. Napisałaś, że jest zamknięty, tak jak kazałam, zamknięty w celi, w której mnie zranił.

- Bo był zamknięty. Przyszliśmy nocą i zamknęłam go tam, gdzie sobie życzyłaś. Potem wysłałam ci wiadomość i zajęłam się paroma sprawami,

czekając na ranek. Akurat go prowadziłam. Prowadziłam go, żeby stanął przed tobą, kiedy napotkaliśmy wkraczających żołnierzy. To jedna z tych bardzo licznych, idących przodem kolumn posiłkowych. Nie mają zamiaru mordować i grabić. Chcą ustanowić w Tamarang punkt etapowy dla innych konwojów z zaopatrzeniem ciągnących ze Starego Świata. Byli otwarci na moje propozycje...

- A co z Richardem?! Six ciężko westchnęła.

- Spóźniłam się. Nie mogłam nic zrobić. Tamci napływali ze wszystkich stron. Nasi ludzie nie mieli możliwości ich powstrzymać. Ci, którzy próbowali, zostali odepchnięci na bok. Uznałam, że najlepiej będzie osobiście pertraktować z ludźmi Ładu, próbując, póki mam po temu okazję, zapewnić bezpieczeństwo tobie i twoim ludziom. Rozmawiałam właśnie z ich dowódcą, uzyskując dla nas korzystne warunki w zamian za pomoc w wytyczeniu tras zaopatrzeniowych, kiedy zniecka objawił się Richard z mieczem.

Violet wsparła się pięściami pod boki.

- Co to znaczy „objawił się z mieczem”? - Coraz bardziej podnosiła głos. Narastała w niej wściekłość. - Przecież zadbałaś o to, żeby nie miał swojego miecza.

- To nie był Miecz Prawdy. To był inny miecz. Zwyczajny. Musiał odebrać go jakiemuś żołnierzowi, kiedy nikt nie patrzył. Ale choć był to zwykły miecz, potrafił się nim posługiwać. Nagle wybuchła walka. Richard był jak szalejąca śmierć. Tuzinami zabijał żołnierzy Imperialnego Ładu. To był obłąd. Żołnierzom zdawało się, że to poważna walka. Wszyscy ruszyli do boju, nawet nie wiedząc, przeciwko komu walczą. W jednej chwili świat oszalał. Nie mogę kontrolować takiego pandemonium. Zbyt wielu tam było żołnierzy, zbyt wiele przemocy. Potrzebowałabym czasu, żeby nad tym zapanować, a czasu nie było. Richard wydostał się poza mur...

- Uciekł! Po tym wszystkim uciekł!

- Nie. Za murem czekały setki łuczników. Znalazł się w pułapce. Pojmali go.

Violet westchnęła z ulgą.

- Wspaniale. Przez chwilę myślałam...

- Wcale nie wspaniale. Dowódca nie chciał go wydać. Richard zabił tylu jego żołnierzy, że dowodzący uznał, iż teraz jest jego więźniem. Chyba go

stracą. Wątpię, by dożył jutra. Kiedy już byłam w zamku i szłam tutaj, wyrzesałam przez okno i zobaczyłam, że pakuje Richarda do stojącej na wozie żelaznej klatki. Odjechał z maszerującymi na północ żołnierzami.

Violet była oburzona.

- Pozwoliłaś mu się wymknąć? Pozwoliłaś, żeby zabrały go te brudne chłystki? Moją zdobycz?

Nagle zrobiło się cicho i Rachel ujrzała, jak mrocznieje gniewne spojrzenie Six. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby wiedźma tak patrzyła na królową, i pomyślała, że Violet powinna być ostrożniejsza.

- Nie miałam wyboru - oznajmiła lodowato Six. - Celowały we mnie setki łuczników. Nie zostawili mi żadnego wyboru. Przecież wcale nie chciałam wydać im Richarda. W końcu jego schwytanie kosztowało mnie wiele wysiłku.

- Powinnaś temu przeszkodzić! Masz moc!

- Zbyt małą na...

- Ty tępą kretynko! Ty głupia, głupia, nic niewarta, prymitywna oślico! Powierzyłam ci ważne zadanie, a ty mnie zawiodłaś! Każę cię wychłostać prawie na śmierć! Nie jesteś lepsza od reszty moich nic niewartych, przygłupich doradców! Każę cię wybatożyć zamiast Richarda, żebyś miała nauczkę!

Rachel drgnęła, usłyszawszy donośne plaśnięcie. Policzek zbił Violet z nóg. Wylądowała na tyłku na podłodze.

- Jak śmiesz mnie w ten sposób dotykać?! - powiedziała, gładząc obolały policzek. - Każę ci za to ściąć głowę. Straż! Do mnie!

Niemal natychmiast zastukano w dwuskrzydłowe drzwi. Six otworzyła jedno skrzydło. Dwaj żołnierze z pikami spojrzeli na siedzącą na podłodze królową, a potem w wyblakłe niebieskie oczy kobiety trzymającej dłoń na klanec.

- Jeżeli jeszcze raz ośmielicie się zapukać do tych drzwi - wysyczała Six - to zjem na śniadanie wasze surowe wątroby i popiję je waszą krwią.

Obaj żołnierze zrobili się równie bladzi jak wiedźma.

- Wybacz, pani, że ci przeszkadziliśmy - powiedział jeden z nich.

- Tak, wybacz - dodał drugi. Zawrócili i odbiegli korytarzem.

Six, warcząc z wściekłości, złapała Violet za włosy i postawiła ją na nogi. A potem tak jej przyłożyła, że królowa poturlała się, zostawiając za sobą na

dywanach krwawy ślad.

- Ty niewdzięczny bachorze. Mam cię już po dziurki w nosie. Wystarczająco długo to znosiłam. Od tej pory będziesz trzymać gębę na kłódkę albo wyrwę ci jęzor, który dzięki mnie odzyskałaś.

Długie, kościste palce złapały Violet za włosy i podniosły ją, a potem rzuciły królową o ścianę. Rachel widziała, jak ramiona Violet zwiotczały. Nie próbowała się zasłonić, kiedy Six uderzała ją raz za razem. Z ust i nosa dziewczyny ciekła krew i rozchlapывwała się po ścianie. Na białej atlasowej sukni pojawił się krwawy śliniaczek.

Kiedy wysoka wiedźma puściła królową, ta opadła na podłogę i zaczęła szlochać.

- Zamknij się! - ryknęła Six, coraz bardziej wściekła. - Wstań! Natychmiast wstawaj albo się już nigdy nie podnoś!

Violet podniosła się z trudem i wreszcie stanęła przed Six, patrząc na nią oczami nie tylko pełnymi łez, ale i przerażenia. Uniosła podbródek. Najwyraźniej odsunęła od siebie lęk, wybierając oburzenie.

- Jak śmiesz traktować w ten sposób królową?! Każę...

- Królową? - Six uśmiechnęła się szyderczo. - Zawsze byłaś tylko marionetkową królową. A teraz już nawet nią nie jesteś. Już nie jesteś królową. Od tej chwili abdykujesz. Teraz ja jestem królową. Nie taką jak ty, nie napuszoną, głupią miernotą, która sądzi, że jest ważna, bo ma napady złego humoru i zwariowane pomysły, ale prawdziwą królową. Królową o prawdziwej władzy. Królową Six. Zrozumiano?

Gdy Violet zaczęła płakać ze złości i oburzenia, Six tak mocno dała jej w twarz, że głowa biedaczki poleciała w bok i jeszcze więcej krwi polało się na jasnoniebieskie wzory zdobiące ścianę. I znów nie zareagowała, nawet się nie próbowała zasłonić przed rozgniewaną wiedźmą.

Six wsparła pięści o guzowate biodra i pochyliła się ku Violet.

- Pytałam, czy rozumiałaś.

Violet, śmiertelnie przerażona okrutnie groźną nutką w głosie wiedźmy, skinęła głową.

- Więc powiedz to! - Six znowu ją spoliczkowała. - Odpowiedz swojej królowej, jak należy!

Dziewczyna głośniej załkała, jakby jedynie to mogło uratować dla niej tron.

- Powiedz, bo cię żywcem ugotuję, posiekam i nakarmię tobą wieprze.

- Tak... królowo Six.

- Znakomicie - wysyczała wiedźma z jadowitym uśmiechem i wyprostowała się. - Widzisz, jaka potrafisz być dla mnie miła? - Spojrzała w sufit, dotknęła palcem podbródka i zatonała w monarszych rozmyślaniach. - Czy w ogóle powinnam cię zachować przy życiu? A tak, wiem. Zostaniesz nadworną malarką. Podrzedną służką na moim dworze. Wykonuj swoją robotę, jak należy, a będziesz żyć. Zawieź mnie w jakikolwiek sposób, a staniesz się karmą dla wieprza. Zrozumiano?

Violet pokiwała głową, świdrowana gniewnym spojrzeniem.

- Tak, królowo Six.

Six uśmiechnęła się, zadowolona, że tak szybko wyszkoliła dziewczynę. Złapała byłą królową za kołnierz.

- Teraz mamy pilną sprawę. Wciąż możemy naprawić to wszystko.

- Ale jak? - zaskomliła Violet. - Bez Richarda...

- Wyrwałam mu kły. Jego dar jest teraz mój i on nie będzie miał do niego dostępu. To ja zdecyduję, kiedy należy się z nim porachować. A co do reszty, istnieje inny sposób, ale niestety dużo trudniejszy. Richarda wykorzystałam w pierwszej kolejności tylko dlatego, że pewne aspekty były o wiele mniej skomplikowane. Poza tym dzięki temu byłaś spokojna i pracowałaś bez sprzeciwu, kiedy tego chciałam. Drugi sposób jest znacznie bardziej skomplikowany, bo, nie tak jak przy Richardzie, jest tu wmieszanych kilku innych ludzi, więc musimy od razu zacząć.

- Jaki inny sposób?

Six błysnęła afektowanym uśmiechem.

- Narysujesz dla mnie kolejne obrazki. - Jedną ręką otworzyła drzwi, drugą wywlokła Violet na korytarz. - Chcę, żebyś narysowała kobietę. Kobietę w żelaznej obroży na szyi.

- O jakiej kobiecie mówisz? - spytała drżącym głosem dziewczyna.

Rachel ledwie je widziała w korytarzu, kiedy Six sięgnęła do klamki.

- Nie pamiętasz jej. Przez to będzie trudniej, lecz poinstruuję cię, jak wykonać potrzebne mi elementy. Ale i tak będzie to o wiele trudniejsze od wszystkiego, co przedtem rysowałaś. Obawiam się, że to wystawi na próbę nie tylko twój talent, ale i siły oraz wytrzymałość. Jeżeli nie chcesz skończyć jako karma dla wieprza, to dasz z siebie wszystko. Zrozumiano?

- Tak, królowo Six - odparła przez łyzy Violet.

Wiedźma zatrzasnęła drzwi sypialni i odeszła, wlokąc za sobą dziewczynę.

Nagle zrobiło się cicho i Rachel wstrzymała oddech, ciekawa, czy sobie o niej przypomną i wrócą. Czekwała, ale wreszcie znów zaczęła oddychać. Violet założyła zasuwkę, więc pewnie już więcej o niej nie pomyślała. Teraz miała znacznie większy problem niż zamartwianie się wypuszczeniem Rachel.

Dziewczynka przestraszyła się, że umrze w tej przeklętej skrzynce. Czy ktoś ją stąd kiedykolwiek wypuści? Czy Six wróci i skaże ją na śmierć? W końcu trzymano ją wyłącznie dla rozrywki Violet. Six nie musiała już dłużej udawać.

Teraz Six miała władzę.

Rachel знаła większość ludzi pracujących w zamku. Wiedziała, że nikt nie ośmieli się nic powiedzieć, kiedy Six oznajmi, że od dziś ona jest królową. Wszyscy bali się Violet, bo karała i skazywała na śmierć, lecz jeszcze bardziej bali się Six, bo to ona egzekwowała spełnianie kaprysów Violet. Poza tym, kiedy Six coś ludziom mówiła, to jakoś tak się działo, że mogli robić tylko to, co im kazała. Ci, którzy przeciwstawiali się wiedźmie, znikali. Rachel pomyślała, że wieprze wyglądają na dobrze odżywione.

Znowu wróciła myślami do tego, jak Six policzkowała Violet, a ta nawet nie próbowała się zasłonić. Rachel wiedziała, że Six to wiedźma. A wiedźmy potrafią odebrać ludziom możliwość obrony przed tym, co się dzieje. Robią, co wiedźma każe, choćby nie wiadomo jak tego nie chcieli. Jak ci dwaj gwardziści. Zobaczyli królową na podłodze, z zakrwawionym nosem i wołającą o pomoc, ale szybko zdecydowali, że zrobią, co każe Six, a nie Violet.

Rozdział 51

Rachel siedziała przez chwilę w żelaznej skrzynce, rozmyślając, zamartwiając się, zastanawiając się, co się z nią stanie.

I nagle coś przyszło jej do głowy.

Ostrożnie, cichutko - choć w komnacie nikogo nie było, a drzwi były zamknięte - przylgnęła do drzwiczek. Przyłożyła oko do szczeliny. Najpierw się rozejrzała, bojąc się, że może wiedźma ją w jakiś sposób obserwuje. Wiedźma czasami przychodziła do niej nocą... w snach. Rachel wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby Six zmaterializowała się pośrodku komnaty. Wśród służby krążyło wiele pogłosek o dziwnych rzeczach, jakie się działy w zamku od pojawienia się tej kobiety.

Ale komnata była pusta. Nikogo nie było, żadnej wysokiej postaci w czarnej sukni.

Rachel, pewna, że jest sama, zerknęła na zasuwkę. Wpatrywała się w nią przez moment, bo nie wierzyła własnym oczom.

Zasuwka wisiała na skoblu, ale nie była zablokowana.

Dziewczynka pamiętała, że Violet coś przy niej robiła, kiedy Six zastukała do drzwi, ale z pośpiechu musiała zapomnieć ją zablokować. Gdyby udało się jej zdjąć zasuwkę ze skobla, otworzyłyby drzwiczki. I wydostałaby się.

Six zabrała Violet do jaskini. Obie odeszły.

Rachel próbowała sięgnąć przez szczelinę i zdjąć zasuwkę, ale ta była za daleko. Przydałby się jej patyk, coś, czym mogłaby tam dosięgnąć. Gorączkowo przeszukała sypialną skrzynkę, ale niczego takiego nie było. Nie leżał tu sobie żaden patyk. Na zewnątrz było mnóstwo rzeczy, które mogłaby wykorzystać, ale były poza skrzynką. Dopóki zasuwka leżała w stalowym uchu, nie było mowy, żeby Rachel zdołała otworzyć drzwiczki. Równie dobrze mogłaby być zablokowana.

Padła na koc, przygnębiona, pozbawiona nadziei. Tęskniła za Chase'em. Przez pewien czas jej życie było niczym sen. Miała rodzinę, wspaniałego ojca, który nad nią czuwał i nauczył ją tylu rzeczy.

Dziewczynka machinalnie skubała luźny koniec grubej nici, którą obrębiono koc. Chase byłby rozczarowany, że się tak łatwo poddała, że się

nad sobą rozczuła, ale co miała robić? Nie miała w skrzynce niczego, czym mogłaby odchylić zasuwkę. Była w sukience i w butach. Buty nie zmieszczą się w szczelinę. Poza tym miała jeszcze tylko koc. Violet wszystko jej zabrała. Nie miała nic.

Kiedy tak skubała, nitka jeszcze bardziej się wypruła. Rachel spojrzała na owiniętą wokół palca nić i olśniło ją.

Zaczęła wyciągać nitkę, ścieg po ściegu. Wkrótce spruła jeden brzeg koca i miała całkiem długą nić. Złożyła ją na pół i skręciła w palcach. Była wystarczająco długa, żeby otrzymać kilka splotów skręconych w mocny sznurek. Zrobiła na końcu pętelkę i wróciła do szczeliny.

Ostrożnie rzuciła sznurkiem, starając się zaczepić pętelkę o koniec zasuwki, by mocją unieść ze stalowego ucha. Nie było to takie łatwe, jak się zdawało. Sznurek był za lekki, żeby można go było w miarę celnie rzucić. Wypróbowała rozmaite sposoby, ale albo nie dolatywał, albo - gdy już się zaczepił o zasuwkę - się zsuwał. Po prostu nie chciał się zaczepić o drugi koniec pręta. Sznurek był za lekki, a równocześnie zbyt sztywny, żeby się zaczepić o zasuwkę, kiedy już padał tam, gdzie Rachel chciała.

I znów udało się jej trafić pętelką na koniec zasuwki. Ale sznurek zwisał pod dziwnym kątem, zamiast leżeć tak, żeby go mogła zsunąć, zaczepić i podnieść zasuwkę.

Przyciągnęła sznurek, zwilżyła go śliną i spróbowała raz jeszcze. Wilgotny sznurek był trochę cięższy. Udało jej się rzucić trochę celniej. Ręka zaczynała ją boleć, bo musiała ją wykręcać, by rzucić sznurek. Miała wrażenie, że strawiła na tym cały ranek. Sznurek zaczął wysychać.

Rachel znów go przyciągnęła i solidnie zwilżyła w ustach. Wróciła do szczeliny i rzuciła. Za pierwszym razem wylądował na zasuwce. Pętelka była tuż za końcem pręta.

Dziewczynka zamarła. Tak jeszcze nigdy nie trafiła. Trudno było patrzeć przez szczelinę, w której tkwiła jej ręka. Ale Rachel spostrzegła, że gdyby pociągnęła, sznurek poszedłby w górę i nie zaczepił się tak, jak tego chciała.

Sznurek, mocno wilgotny, przyklejał się do długiego pręta, który zamykał drzwiczki, gdy był zablokowany. Wpadła na pewien pomysł. Zaczęła ostrożnie skręcać sznurek w palcach. Wilgotny od śliny przywierał do metalu i przesuwiał się, nie odklejając, aż pętelka się zsunęła. Rachel mrugała i wpatrywała się w sznurek. Wyglądało na to, że pętelka jest tam, gdzie

trzeba. Bała się poruszyć, popełnić błąd i utracić szansę. Bała się wykonać zły ruch, ponieważ nie przemyślała tego dokładnie.

Chase zawsze jej mówił, że powinna „ruszać głową” - nazywał to korzystaniem z rozumu - a potem działać zgodnie z tym, co podpowiada jej rozum.

Według niej pętka była na właściwym miejscu. Jeżeli pociągnie, a sznurek nie spadnie, przyklejony śliną do zasuwki, pętka zaczepi się o końcówkę pręta. Serce się w niej tłukło. Uświadomiła sobie, że dyszy.

Wstrzymała oddech i z największą ostrożnością zaczęła ciągnąć sznurek. Pętka zaczepiła o spłaszczony koniec. Jeżeli za mocno szarpnie, to ją zerwie.

Zmieniła kąt, żeby dobrze nasunąć pętelkę na koniec pręta, nie zdając jej ani nie zerwać.

Pętka naciągnęła się i nasunęła na koniec bolca. Rachel ledwie mogła w to uwierzyć. Ostrożnie, równomiernie pociągnęła sznurek w górę, unosząc zasuwkę z metalowego ucha. Kiedy już-już miała ją stamtąd wyjąć, koniec z otworem zaczepił o skobel. Spróbowała pociągnąć trochę mocniej, ale zasuwka nie tyle się uniosła, ile skręciła. Rachel bała się za mocno pociągnąć, żeby nie zerwać sznurka.

Parę razy składała nić, aż sznurek miał kilka skręconych warstw. Uznała, że powinien być wystarczająco mocny. Nie wiedziała, jak jest mocny i czy wytrzyma, jeżeli mocniej pociągnie. Poluzowała go trochę, opuszczając zasuwkę, następnie zaś lekko szarpnęła i szybko ruszała zasuwką w górę i w dół, chcąc, żeby wyskoczyła z metalowego ucha.

I nagle zasuwka wyskoczyła z metalowego ucha i opadła. Wisiała na sznurku, kołysząc się pod wystającą ze szczeliny ręką Rachel.

Dziewczynka pchnęła i drzwiczki otworzyły się, skrzypiąc. Grzbietami dłoni otarła z policzków łzy ulgi. Uwolniła się. Gdyby tak Chase mógł zobaczyć, czego dokonała.

Teraz musiała uciec z zamku, nim powrócą Violet i Six. Nie wiedziała, czy Violet jest świadoma, że nie zablokowała zasuwki. Jeżeli tak i wspomniała o tym Six, to wróć.

Rachel natychmiast ruszyła ku dużym drzwiom, ale przypomniała sobie o czymś ważnym. Zawróciła i podbiegła do stojącego w rogu biurka. Zsunęła wieko sekretarzyka, tak jak Violet, kiedy wypisywała rozkazy, decydujące o

tym, kogo mają tylko ukarać, a kto ma umrzeć. Złapała złoty uchwyt dolnej środkowej szuflady i wyciągnęła ją. Położyła szufladę z boku, wsunęła rękę do otworu i szukała. Palce trafiły na coś metalowego.

Wyciągnęła to. Klucz. Violet go jeszcze nie zabrała. Wciąż był tam, gdzie go chowała na noc.

Rachel poczuła ulgę. Wsunęła klucz do buta, wepchnęła szufladę na miejsce i zatrasnęła wieczko sekretarzyka.

Przypomniała sobie o swojej sypialnej skrzynce. Zamknęła drzwiczki i włożyła zasuwkę w metalowe ucho. Mocno dopchnęła zasuwkę, upewniając się, że się zablokowała. Na wszelki wypadek szarpnęła kilka razy, czego Violet zapomniała zrobić. Gdyby ktoś wszedł do komnaty, uznałby, że Rachel jest nadal zamknięta w skrzynce. Jeżeli będzie mieć szczęście, Violet lub Six nawet tego nie sprawdzą, a ona tymczasem dawno stąd zniknie.

Podbiegła do dwuskrzydłowych drzwi i uchyliła je odrobinę, by wyjrzeć. W korytarzu nikogo nie zauważyła. Wyśliznęła się z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Znów się rozejrzała i ruszyła ku schodom. Wbiegła na górę najszybciej, jak mogła. Na następnym piętrze, w wyłożonym boazerią korytarzu bez okien, poszła ku komnacie, która powinna być zamknięta. Lampy z odbłyśnikami wciąż się paliły. Płonęły całą noc, na wypadek gdyby królowa zechciała się udać do swojego skarbcza. Przez chwilę Rachel skakała na jednej nodze, wyciągając z buta klucz.

Z kluczem w dłoni dotarła do drzwi, których szukała, i obejrzała się przez ramię. A wtedy zobaczyła zbliżającego się korytarzem człowieka. Był to jeden z kamerdynerów. Znała go z widzenia, lecz nie wiedziała, jak się nazywa.

- Panienska Rachel? - spytał zdziwiony, kiedy do niej doszedł. Skinęła głową.

- Tak. O co chodzi?

- No właśnie. - Spojrzał na drzwi. - O co chodzi?

Chase nauczył ją radzić sobie z ludźmi zadającymi pytania, na które nie chciała odpowiedzieć. Nauczył ją też odwracać od siebie podejrzenia tak, by wydawało się, że to tamta osoba coś knuje. Często bawili się w ten sposób w obozowisku. Wiedziała, że właśnie teraz musi to zrobić. I tym razem nie była to gra. To było śmiertelnie poważne.

Przybrała swoją najlepszą groźną minę. I tego nauczył ją Chase. Poradził

jej, żeby sobie po prostu wyobraziła, że jakiś chłopak chce ją pocałować.

- A na co to wygląda? Tamten uniósł brew.

- Jakbyś miała zamiar wejść do skarbcza królowej.

- Zamierzasz obrabować mnie z klejnotów królowej, po które mnie posłała? Dlatego czaiłeś się za rogiem, czekając, aż ktoś zostanie przysłany po klejnoty? Żebyś mógł je ukraść?

- Czaić się... Okraść cię... Oczywiście, że nie. Ja tylko chcę wiedzieć...

- Chcesz wiedzieć? - Rachel wsparła się pod boki. - Ty chcesz wiedzieć? Czy to ty czuwasz nad klejnotami? A może poszedłbyś spytać królową Violet o to, co chcesz wiedzieć? Jestem przekonana, że nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby wypytywał ją kamerdyner. Może tylko każe cię wychłostać, a nie ściąć ci głowę. Wypełniam jej polecenie, muszę coś stąd przynieść. Mam przywołać strażników, żeby chronili i mnie, i klejnoty królowej, które powinnam jej zanieść?

- Strażników? Oczywiście, że nie...

- No to po co wtykasz nos w nie swoje sprawy? - Rozejrzała się, ale nikogo nie zobaczyła. - Straże! - wrzasnęła, ale niezbyt głośno. - Straże! Złodziej dybie na klejnoty królowej!

Kamerdyner wpadł w panikę i usiłował ją uciszyć, ale potem zaniechał tych prób i umknął bez słowa. Ani razu się nie odwrócił. Rachel szybko przekręciła klucz w zamku, znów sprawdziła korytarz i wśliznęła się do środka. Nie sądziła, by ktoś ją usłyszał, ale nie zamierzała spędzić tu więcej czasu, niż to konieczne.

Nawet nie spojrzała na całą ścianę szufladek z wypolerowanego drewna. W dziesiątkach szufladek spoczywały naszyjniki, bransolety, brosze, tiary i pierścienie. Natychmiast podeszła do białego marmurowego postumentu stojącego w przeciwległym kącie pomieszczenia. Niegdyś królowa Milena trzymała na tym postumencie swój ulubiony skarb, wysadzaną drogimi kamieniami szkatułkę, którą pyszniła się przy każdej okazji.

Teraz na tym miejscu stała inna szkatułka. Wyglądała, jakby ją zrobiono z najczarniejszych myśli Opiekuna. Była tak czarna, że pełna bezcennych klejnotów komnata wydawała się czymś znikomym w porównaniu z tym przeraźliwie złowieszczym przedmiotem.

Rachel wcale nie miała ochoty dotykać wysadzanej klejnotami szkatuły Ordenu należącej królowej Mileny. A jeszcze bardziej odpychała ją myśl o

dotknięciu tej tutaj.

Ale musiała to zrobić.

Wiedziała, że musi się spieszyć, jeżeli w ogóle ma mieć szansę na wydostanie się stąd. Trudno było zgadnąć, czy Violet przypomni sobie, że nie zamknęła sypialnej skrzynki w swojej komnacie. Mogłaby o tym powiedzieć Six albo wiedźma mogłaby to po prostu wyczytać w jej myślach. Rachel podejrzewała, że Six to potrafi. Gdyby wiedziały, że Rachel nie jest zamknięta w skrzynce, wróciłyby.

Zdjęła czarną szkatułę z białego marmurowego postumentu i wepchnęła do skórzanego worka leżącego pod ścianą. To był ten sam worek, w którym Samuel przyniósł Six szkatułę.

Idąc ku drzwiom, przystanęła przed wysokim lustrem w drewnianej ramie. Nie cierpiała przeglądać się w lustrze, nie znosiła widoku swoich włosów obciętych przez Violet. Kiedy wcześniej mieszkała w zamku, jako towarzyszka zabaw księżniczki Violet, nigdy nie mogła mieć długich włosów, bo była nikim. Gdy tylko Violet odzyskała Rachel, wzięła parę wielkich nożyc i obcięła piękne, długie blond włosy dziewczynki. A teraz Rachel po raz pierwszy miała okazję dobrze przyjrzeć się jej dziełu. Otarła łzy z policzków.

Chase powiedział jej - kiedy wówczas ją zabrał - że jeżeli chce być jego córką, powinna zapuścić włosy. Przez ostatnie parę lat jej włosy zrobiły się długie i lśniące i miała wrażenie, że naprawdę zasługuje na to, by być jego córką. Teraz, w lustrze, wyglądała inaczej niż owego dnia, kiedy była tutaj, pomagając czarodziejowi Gillerowi wykraść wysadzaną klejnotami szkatułę Ordenu. Miała inne rysy. Mniej dziecinne, mniej... ładniutkie. Wchodziła w niewdzięczny wiek, „tyczkowatą fazę”, jak mówił Chase, z której rozkwitnie w piękną kobietę, jak jej obiecał. Ale ten dzień wydawał się tak okropnie daleki. Poza tym, skoro nie ma Chase'a, kto będzie patrzył, jak dorasta, i kogo to będzie obchodzić.

Teraz Chase nie żył, a jej włosy znów były krótko obcięte. Violet nie tylko je skróciła, ale i okropnie nierówno przystrzygła. Dziewczynka wyglądała przez to jak kundel sypiający przy kupie gnoju. Ale Rachel zobaczyła w lustrze coś jeszcze. Zobaczyła kobietę, którą się stanie pewnego dnia, tak jak obiecał Chase.

Co Chase pomyślałby, gdyby ją teraz zobaczył, z tymi ściętymi włosami?

Rachel odepchnęła od siebie te myśli i zarzuciła na ramię ramię ściągnięty skórzany worek. Uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz, a potem uchyliła jeszcze odrobinę i spojrzała w drugą stronę. Nadal pusto. Pospiesznie wyszła, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Pamiętała korytarze i korytarzyki zamku równie dobrze jak uśmiech Chase'a, do którego zmuszała go, kiedy usiłował się nie uśmiechnąć. Zawsze najbardziej lubiła, jak się śmiał, kiedy próbował gniewnie na nią patrzeć.

Wybrała schody dla służby, żeby ominąć większość gwardzistów. Trzymali się przede wszystkim głównych korytarzy. Ludzie nieustannie się krzątali, wypełniając swoje obowiązki. Nikt jeszcze nie wiedział, że mają nową królową. Rachel nie miała pojęcia, co sobie o tym pomyśla. Na pewno nienawidzili Violet, ale Six ich przerażała.

Plotkujące praczki z tobołkami odwracały się, patrząc na przebiegającą obok nich dziewczynkę. Mężczyźni dźwigający zaopatrzenie w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Rachel nikomu nie patrzyła w oczy, żeby nie przyszło im do głowy o coś zapytać.

Dotarła do drzwi bocznego holu, z którego wychodziło się z zamku. Skręciła za róg i znalazła się twarzą w twarz z dwoma gwardzistami. Na kolczugach mieli czerwone tuniki, obaj zbrojni byli w piki o połyskujących grotach. U pasów wisały im miecze.

Rachel widziała, że nie mają zamiaru jej przepuścić, póki się nie dowiedzą, co tu robi i dokąd idzie.

- Musicie uciekać! - zawołała do nich. - Szybko! - Odwróciła się i wskazała za siebie. - Do zamku wchodzi żołnierze Imperialnego Ładu! Tamtędy!

Jeden z gwardzistów oburącz wsparł się na pice.

- Nie mamy się czego bać. To nasi sprzymierzeńcy.

- Chcą poucinać głowy wszystkim gwardzistom królowej! Słyszałam, jak dowódca wydawał im rozkazy! „Ściąć wszystkich”, powiedział! „Będzie więcej dla nas”, powiedział. I ci wszyscy żołnierze złapali za swoje wielkie bojowe topory. Powiedziano im, że mogą sobie zabrać wszystko z tych ścieżek. Spieszcie się! Nadchodzą! Ratujcie się!

Obaj rozdziawili usta.

- Tędy! - zawołała Rachel, wskazując ku schodom dla służby. - Nie przyjdzie im do głowy, żeby tam zajrzeć. Spieszcie się! Ostrzegę innych!

Podziękowali skinieniem głowy i ruszyli ku drzwiom prowadzącym na

schody dla służby. Kiedy zniknęli, Rachel ruszyła w swoją stronę i szybko wyszła z zamku. Wybrała ścieżkę, z której korzystała służba, idąc do miasta po to, co było potrzebne w zamku. Wszędzie były patrole wielkich, groźnych żołnierzy, ale nie zaczepiali służących, więc Rachel przyłączyła się do grupy cieśli i szła przy wysokim kole ich ręcznego wózka. Kryła twarz za ładunkiem desek.

Żołnierze rzadko zwracali uwagę na służbę, głównie przyglądali się co ładniejszym kobietom. Rachel szła z opuszczoną głową. Z tymi obciętymi krzywo włosami wyglądała jak ostatnia ofiara i żaden patrol jej nie zatrzymał.

Wyszli za wielki kamienny mur, ale trzymała się służących, póki nie dotarli do lasu. Wtedy obejrzała się przez ramię - żaden z żołnierzy nie patrzył w jej stronę.

Rachel, zwinna i szybka jak kotka, wśliznęła się między drzewa. Gdy tylko znalazła się wśród grubych pni balsamicznych jodeł i sosen, zaczęła biec. Biegła ścieżkami płowej zwierzyny, wybierając te, które prowadziły na zachód lub na północ. Kiedy już biegła, zawładnęła nią panika. Mogła myśleć wyłącznie o ucieczce. To była jej szansa. Musiała biec, musiała uciec.

Wiedziała, że jeżeli złapią ją tutaj żołnierze Imperialnego Ładu, będzie w tarapatkach. Nie wiedziała, co dokładnie jej zrobią, ale miała całkiem niezłe ogólne pojęcie. Chase udzielił jej tej lekcji pewnej ciemnej nocy przy ognisku. Pokrótce ostrzegł ją, co tacy jak oni mogliby jej zrobić.

Powiedział, żeby nie dała się schwytać takim jak oni. Że jeżeli już się na nich natknie i będą chcieli ją złapać, to musi z nimi walczyć wszystkim, co ma pod ręką. Chase mówił, że nie chce jej wystraszyć, ale że chce, by była bezpieczna. I tak się rozplakała. Poczowała się lepiej dopiero wtedy, kiedy osłonił ją swoim wielkim ramieniem.

Uświadomiła sobie, że nie ma niczego, czym mogłaby walczyć. Odebrano jej noże. Żałowała, że nie była mądrzejsza i przed odejściem z zamku nie rozejrzała się po komnacie Violet za swoimi nożami. Tak się spieszyła, że w ogóle o tym nie pomyślała. Powinna przynajmniej iść przez kuchnię, skoro już była w sektorze obsługi, i uzbroić się w nóż. Ale tak się cieszyła, taka była dumna z tego, że zrobiła sznurek i że się wydostała, iż w ogóle nie przyszło jej do głowy zdobyć jakąś broń. Chase prawdopodobnie wystarczająco się wściekł, by ożyć i naurągać jej za to, że była taka bezmyślna. Twarz paliła ją

ze wstydu.

Przystanąła, ujrawszy leżącą na ziemi grubą gałąź. Podniosła ją i wypróbowała. Wydawała się odpowiednia. Uderzyła nią jodłę - mocno stuknęło. Była trochę ciężka, wolałaby nieść coś lżejszego, ale przynajmniej miała jakiś oręż.

Zwolniła nieco, lecz cały czas podążała naprzód, chcąc się znaleźć jak najdalej od zamku. Nie wiedziała, kiedy odkryją jej zniknięcie, i nie miała pojęcia, czy Six jest równie dobra w tropieniu jak we wszystkim innym. Zastanawiała się, czy wiedźma może spojrzeć w misę wody i zobaczyć, gdzie ona teraz jest. Na tę myśl znowu przyspieszyła.

Wczesnym popołudniem dotarła do szlaku. Wyglądało na to, że prowadzi mniej więcej na północ. Wiedziała, że Aydindril jest gdzieś na północy. Nie miała pojęcia, czy uda jej się odnaleźć coś leżącego tak daleko, ale nie przychodziło jej do głowy, dokąd jeszcze mogłaby pójść. Jeżeli zdoła wrócić do wieży, do Zedda, to on jej pomoże.

Była tak zamyślona, że nie zauważyła tego żołnierza, póki o mało na niego nie wpadła. Podniosła wzrok i zorientowała się, że to żołnierz Imperialnego Ładu.

- No, no, cóż my tutaj mamy?

Zaczął wyciągać ku niej ręce, lecz Rachel zamachnęła się swoją pałką i z całej siły grzmotnęła go w kolano. Wrzasnął i padł na ziemię, trzymając się za staw i przeklinając ją.

Ruszyła biegiem. Wróciła na ścieżki zwierząt, bo była mniejsza i łatwiej jej było tędy biec niż wielkim żołnierzom. Brzmiało to tak, jakby nagle gonilo ją z tuzin żołnierzy, przedzierając się przez zarośla. Gdzieś w oddali ciągle słyszała tego, któremu przyłożyła w kolano. Klął na cały głos i wołał do kompanów, żeby ją złapali.

Wypadła na polanę, zasapana i niemal wykończona, i zobaczyła, że żołnierze blokują dalszą część ścieżki. Wszyscy rzucili się ku niej.

Uskoczyła w bok i pobiegła. Wydawało się, że wszędzie dokoła są żołnierze. Była przerażona. Nie wiedziała, jak przed nimi uciec.

Usłyszała, że jeden z nich padł. Nie odwróciła się, biegła dalej. Usłyszała, że padł następny - krótko krzyknął i zamilkł. Ciekawa była, czy gnając na złamanie karku, trafiali stopami w dziury czy też wykręcali sobie kostki o niskie pnącza.

Jeszcze jeden stęknął. Tym razem Rachel zatrzymała się i pospiesznie zerknęła za siebie. To nie był ani upadek, ani skręcona kostka. To był odgłos wydany przez umierającego. Rachel patrzyła wielkimi oczami. Kolejny żołnierz wrzasnął, jakby go żywcem obdzierali ze skóry.

Zastanowiła się, w jakim lesie się znalazła i jakie tu grasują potwory.

Odwróciła się i pobiegła. Będzie bez szans, jeżeli ją złapią. Nie miała pojęcia, co jeszcze się działo, ale nie mogła dać się złapać żołnierzom, bo poderzną jej gardło za to, że wpędziła ich w tarapaty.

Nagle z chaszczy wyskoczyli trzej żołnierze, wrzeszcząc z wściekłości. Rachel pisnęła, biegnąc ile sił w nogach, popędzana przerażeniem. Ale oni mieli dłuższe nogi i doganiali ją.

Jeden z nich nagle się zatrzymał. Dziewczynka obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że wojownik wygina się, jakby cierpiał. Wtedy dostrzegła, że z piersi sterczy mu dobra stopa żelaza. Dwaj pozostali odwrócili się ku nieoczekiwanemu zagrożeniu z tyłu.

Kiedy ten przeszyty mieczem zaczął padać, Rachel spojrzała poza niego i rozdziawiła usta.

To był Chase, wspaniały jak samo życie.

Nie mogła tego pojąć.

Dwaj żołnierze ruszyli na niego. Pokonał ich szybkimi, mocnymi pchnięciami, zabijając w mgnieniu oka. Ale spośród drzew wysypali się nowi. Rachel spostrzegła, że tylko z jednej strony atakuje olbrzymiego strażnika granicy przynajmniej sześciu wielkich żołnierzy Imperialnego Ładu.

Pobiegła ku niemu, gdy walczył z wszystkimi równocześnie. Kiedy zabił żołdaka po jednej stronie, kompan z drugiego boku wykorzystał możliwość i ruszył na niego. Rachel walnęła go pałką pod kolana. Nogi się pod nim ugięły. Chase okręcił się i przebił go mieczem, a potem skontrował atak kolejnych żołnierzy, stękających z wysiłku przy próbach zgładzenia jednego olbrzyma. Zgrzytali zębami i warczeli, usiłowali unieruchomić mu ręce, żeby inni mogli go pchnąć. Rachel biła ich pałką, ile miała sił, ale nadaremnie.

Kiedy jeden z żołnierzy padł martwy, wyrwała nóż z pochwy u jego pasa i natychmiast dźgnęła w nogi tego, który zachodził Chase'a od tyłu. Wrzasnął i się odwrócił. Chase natychmiast go zabił.

Nagle zrobiło się cicho, słychać było wyłącznie ciężki oddech Rachel i

Chase'a. Wszyscy żołnierze byli martwi.

Rachel wpatrywała się w Chase'a. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Bała się, że on zniknie, niczym fantom.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się tym swoim cudownymi uśmiechem.

- Co ty tu robisz, Chase?

- Przyszedłem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- W porządku? Więziono mnie w zamku. Myślałam, że nie żyjesz. Musiałam sama się ocalić. Co cię tak długo zatrzymało?

Wzruszył ramionami.

- Nie chciałem ci psuć przyjemności. Czyż nie lepiej, że sama tego wszystkiego dokonałaś?

- No cóż - powiedziała, lekko skonsternowana. - Przydałaby mi się pomoc.

- Czyżby? - Wcale go to nie wzruszyło. - Świetnie sobie poradziłaś.

- Ale ty nic nie wiesz. To było okropne. Znowu mnie zamykali w skrzynce i krępowali język, tak że nie mogłam mówić.

Chase zerknął na nią nieufnie.

- Nie wydaje mi się, żebyś wzięła ze sobą ten zacisk na język, co? To pewnie bardzo użyteczne ustrojstwo.

Rachel uśmiechnęła się i objęła go w pasie. Kiedy go pierwszy raz zobaczyła, musiała się tulić do jego nóg, taka była przy nim malutka. Rozkoszowała się krzepiącym dotknięciem jego wielkiej dłoni, spoczywającej na jej plecach. Znowu wszystko na świecie było tak, jak powinno.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała i zaczęła płakać. Zmierzwił jej nierówno obcięte włosy.

- Nigdy bym ci tego nie zrobił, mała. Obiecałem, że się tobą zaopiekuję, i mówiłem poważnie.

- Chyba już muszę być twoją córką.

- Pewnie tak. Masz paskudne włosy. Jeżeli chcesz przy mnie zostać, znowu musisz je zapuścić. Skoro chcesz być moją córką, nie możesz ich tak dziabnąć. Już ci to mówiłem.

Rachel uśmiechnęła się przez łzy. Chase z całą pewnością był żywy.

Rozdział 52

Nicci, wraz z depczącą jej po piętach Carą, wmaszerowała przez olbrzymie, obłożone mosiądzem drzwi, na których wygrawerowano wymyślne symbole. Migotliwy blask błyskawic wpadał przez dwanaście zaokrąglonych górą okien rozmieszczonych między olbrzymimi mahoniowymi kolumnami i oświetlał rzędy bibliotecznych szaf, które wypełniały przeogromny pokój. Udało im się naprawić zaledwie najgorsze uszkodzenia wysokich na dwa piętra okien, ale mieli nadzieję, że to wystarczy, żeby pokój znów mógł być używany jako pole powstrzymujące. Niektóre spośród ciemnozielonych aksamitnych kotar ze złotymi frędzlami wilgotniały, kiedy silniejsze porywy wichru wpychały do środka deszcz przez pozostałe dziury w szybach.

Widząc to, co się unosiło nad stołem pośrodku pokoju, gdzie niedawno sama lewitowała, Nicci miała nadzieję, że przez brakujące szybki wpaść może jedynie deszcz.

Zedd podszedł pospiesznie i chwycił ją za ramiona. W oczach miał rozpacz.

- Znalazłaś go? Żyje, prawda? Nic mu się nie stało? Nicci wzięła oddech.

- Przeżył wydarzenia w sylfie, Zeddzie. Choć tego się dowiedziałam.

Sylfa już im to powiedziała. Była tam Rikka. Pilnowała studni, kiedy sylfa nieoczekiwanie powróciła. Wszyscy byli zdumieni, że w ogóle wróciła, a już zwłaszcza po to, żeby powiedzieć im, co się stało.

Srebrzysta istota nagle nabrała ochoty do rozmowy - do pewnego stopnia - o tym, co się stało z Richardem. Nie zamierzała wypaplać, gdzie była z jednym ze swoich podróżników. Zrobiła to, ponieważ Richard, jej pan, kazał jej powiedzieć, że jest bezpieczny, i poinformować, dokąd poszedł. Pragnęła spełnić jego życzenie.

Niestety, była z natury skryta i nie potrafili z niej wydobyć szczerych odpowiedzi na większość pytań. Zedd stwierdził, że sylfa nie jest przewrotna. Po prostu nie mogła być inna, niż ją stworzono. Pozostawała wierna swojej naturze. Powiedział, że muszą się pogodzić z jej sposobem udzielania informacji i zrobić, co w ich mocy, żeby się jak najwięcej od niej dowiedzieć.

Zedd wykrył też na sylfie ślady mocy pozostawione przez wiedźmę. Byli przekonani, że to musi być Six. Nie mieli pojęcia, co Six knuje, ale przynajmniej dowiedzieli się od sylfy, że Richard wymknął się ze szponów wiedźmy.

- Ale gdzie on jest? Czy sylfa was tam zabrała? Zaniósła was tam, gdzie go zostawiła?

- Tak. - Nicci spojrzała na Mord-Sith, a potem położyła dłoń na ramieniu czarodzieja. - Kiedy znalazłyśmy się w miejscu, w którym go zostawiła, sylfa powiedziała nam, dokąd poszedł. Do krainy nocnych ogników. Jeszcze spory kawałek musiałyśmy przejść, żeby tam dotrzeć.

Zedd patrzył ze zdumieniem.

- Do nocnych ogników?

- Tak. Jednak Richarda tam nie było.

- Przynajmniej żyje. Wygląda na to, że kieruje się własną wolą, a nie wolą tej wiedźmy - stwierdził Zedd. Najwyraźniej trochę mu ulżyło. - Co powiedziały? Co ogniki były w stanie ci powiedzieć?

Nicci ciężko westchnęła.

- Szkoda, że nie możesz podróżować, Zeddzie. Żałuję, że cię tam nie było. Może tobie zechciałyby powiedzieć więcej, niż powiedziały nam. Nawet nie pozwoliły nam wejść poza ten dziwny martwy las.

- Martwy las? Jaki martwy las? Nicci uniosła dłonie.

- Nie wiem, Zeddzie. Nie jestem znawczynią przyrody. Był tam rozległy obszar z dębami, ale wszystkie były martwe...

- Dąbrowa obumarła? - Czarodziej pochylił się ku niej. - Mówisz serio? Dęby są martwe?

Nicci wzruszyła ramionami.

- Tak sądzę. To na pewno były dęby. Richard nauczył mnie, jak je rozpoznać. Ale wszystkie były obumarłe.

Zedd odwrócił wzrok, skrobał się w brew.

- Były kości pośród tych dębów?

- Tak - odezwała się Cara, kiwając głową. - Pośród tych martwych dębów wszędzie leżały kości.

- Kurczę - zaklął Zedd pod nosem.

- Co? - zapytała Nicci. - O co chodzi? Spojrzał na nią.

- Ale rozmawialiście z ognikami? Czarodziejka potaknęła.

- Powiedział, że ma na imię Tam.

Zedd pocierał podbródek i patrzył przed siebie, zamyślony.

- Tam... nie znam go.

- Był jeszcze inny, Jass - dodała Nicci.

Zedd wyduł usta, szukając w pamięci takiego imienia.

- Tego ognika też nie znam.

- Jass powiedziała, że Richard szukał kobiety, którą ogniki powinny znać.

- Musiało chodzić o Kahlan - rzekł czarodziej, znacząco kiwając głową.

- I my tak pomyślałyśmy - odezwała się Cara.

- Ale dlaczego miałby jej szukać u ogników? - spytał Zedd raczej siebie niż Nicci, ale ona i tak odpowiedziała.

- O tym sylfa nie chciała nam nic powiedzieć. Ujawniła tylko, dokąd go zabrała. Najwyraźniej Richard nie pouczył zbyt dokładnie sylfy, co ma nam powiedzieć. Nie chciała wyjść poza jego wyraźne instrukcje. Jak powiedziałaś, taka już jest jej natura. Ogniki też nie chciały nam powiedzieć, po co u nich był. Stwierdziły, że miał po temu swoje powody, o których inni niekoniecznie muszą wiedzieć. Wyjaśniły, że nie mogą czegoś takiego ujawniać bez jego zgody.

- Innym nie, ale... ale... - Zedd umilkł, wzburzony. Popatrzył na nie. - Czy powiedziały wam, co Richard u nich robił? W ogóle o czymś wspomniały? Musimy wiedzieć, po co poszedł do ogników. Wracił tutaj i coś się w trakcie tej podróży stało. Coś, przez co stracił dar, więc pewnie Six maczała w tym palce. A potem powędrował do ogników. Dlaczego? Co mu powiedziały? Co się wydarzyło, kiedy tam był?

- Przykro mi, Zeddzie - odezwała się Nicci. - Naprawdę niewiele zdołałyśmy się dowiedzieć. Sylfa nam trochę powiedziała. Zdradziła, co się przytrafiło Richardowi, dokąd go zabrała i że poszedł do ogników. Ale albo sama więcej nie wiedziała, albo z jakiegoś powodu nie chciała nam powiedzieć reszty. Richard nie wrócił do sylfy, ale to nie dziwi, skoro i tak nie może już podróżować. Bardzo możliwe, że sylfa naprawdę więcej nie wie. Richard pewnie ruszył stamtąd na piechotę. Myślę, że kierowałby się tutaj, do wieży. W końcu tu zmierzał, kiedy coś złego stało się w sylfie. Z jakiegoś powodu powędrował do ogników, ale to może mieć więcej wspólnego z geografią niż z czymkolwiek innym. Był znacznie bliżej ich niż nas, więc może postanowił się tam na krótko zatrzymać, a potem wracać do

nas. Może to tylko to. A co do ogników, to i one nam zbyt wiele nie powiedziały. Nie chciały nas wpuścić za obumarły las, między wielkie prastare drzewa, które tam rosły. Ale przynajmniej jest parę dobrych nowin. Przynajmniej jesteśmy pewni, że Richard żyje i że poszedł do krainy ogników. To jest ważne: Richard żyje. Znając go, można założyć, że najszybciej, jak się da, spróbuje zdobyć konia i pewnie zjawi się tu prędzej, niż się spodziewamy. Zedd uścisnął jej ramię.

- Masz rację, moja droga.

Nicci ten gest dodał otuchy, zupełnie jakby wykonał go sam Richard. Bo zrobiłby coś takiego w równie trudnej chwili. Zedd nagle zmarszczył brwi.

- Powiedziałaś, że ogniki nie chciały was wpuścić między wielkie sosny?

Nicci skinęła głową.

- Właśnie. Nie pozwoliły nam się zapuścić dalej niż do obumarłego lasu i nie pozwoliły zobaczyć innych ogników.

- W pewnym sensie to zrozumiałe. - Zedd, zamyślony, potarł palcem skroń. - Ogniki to bardzo skryte istoty i mało kogo wpuszczają do swojej krainy. Ale to dziwne, że w tej sytuacji i z przesłaniem ode mnie nie zaprosiły was tam.

- One wymierają. Czarodziej spojrzał na nią.

- Co?

- Tam powiedział, że ogniki wymierają i że to dlatego nie chcą nas wpuścić. Mówił, że to czas niesnasek między ognikami, czas wielkiego smutku i strapienia. Nie życzą sobie teraz żadnych obcych.

- Drogie duchy - wyszeptał Zedd. - Richard miał rację. Nicci ogarnął niepokój.

- O czym ty mówisz? Co do czego Richard miał rację?

- Obumierające dęby. Chronią krainę ogników. Same ogniki też wymierają. To część kaskady zdarzeń. W tym właśnie pokoju Richard już nam o tym mówił. Zupełnie jakbym potrzebował więcej dowodów, żeby mu uwierzyć.

- Więcej dowodów? O czym ty mówisz?

Ujął Nicci za łokieć i odwrócił ją ku unoszącym się nad stołem formom uroków.

- Spójrz tutaj.

- Zeddzie - odezwała się karcąco Nicci - to sieć weryfikacji chainfire. I

podejrzanie przypomina tę z wewnętrznej perspektywy.

- Właśnie.

- Wiem, że mam rację. Pytanie, o co chodzi. Do czego zmierzasz?

- Znalazłem sposób zapoczątkowania wewnętrznej perspektywy, i to takiej, w której nie musisz tkwić. Nie jest dokładnie taka sama - powiedział, lekceważąco machnąwszy ręką - ale to wystarczy do moich celów.

Nicci była zdumiona, że potrafił zrobić coś takiego. I zarazem było coś niepokojącego w patrzeniu na to, co niemal kosztowało ją życie. Ale nie to ją najbardziej poruszyło.

- Dlaczego są dwie? - zapytała. - Istnieje tylko jedno zakłęcie chainfire. Dlaczego tutaj są dwie formy zaklęcia?

Zedd błysnął ku niej cierpkim uśmiechem.

- W tym cały problem. Otóż Richard twierdził, że demony były w świecie życia. Jeżeli to prawda, to ich obecność skaziłaby świat życia, skaziłaby magię. A przecież nikt z nas nie widział na to dowodu. To paradoks takiej kontaminacji: niszczy w tobie zdolność dostrzeżenia jej. Chciałem znaleźć sposób na to, by przekonać się, czy Richard miał rację...

- Richard Rahl ma rację.

Zedd skwitował to patetyczne oświadczenie ruchem kościstego ramienia.

- Ale musiałem się przekonać, czy potrafię znaleźć jakiś dowód. W ogóle nie rozumiem tej gadaniny o symbolach, którą nas uraczył. I ja mu wierzę, Nicci, lecz nie rozumiem, jak on dostrzega mowę symboli, jakim sposobem doszedł do tych wniosków. Potrzebuję dowodu, który zrozumiem.

Nicci skrzyżowała ramiona, wpatrzona w dwie formy zaklęcia.

- Wiem, co czujesz. Wierzę mu, a on mówi do rzeczy, ale czasem czuję się zdezorientowana, jak kiedyś, jako nowicjuszka, gdy były testy ze spraw omawianych na lekcjach, które opuściłam. Kiedy Richard... - Zamilkła. Opuściła ramiona. - Zeddzie, te dwie formy zaklęcia nie są takie same.

Jego uśmiech stał się szczywany.

- Wiem.

Czarodziejka zbliżyła się do stołu, do obu sieci uplecionych z połyskujących linii. Uważnie się im przyjrzała. Wskazała na jedną.

- To jest zakłęcie chainfire. Rozpoznaję je. To drugie jest identyczne, a jednak nie takie samo. To lustrzane odbicie prawdziwego zaklęcia.

- Wiem. - Bardzo był z siebie dumny.

- To niemożliwe.

- Też tak myślałem, ale potem przypomniałem sobie Księgę odwrócenia i podwojenia.

Nicci obróciła się na pięcie ku staremu czarodziejowi.

- Wiesz, gdzie jest Księga odwrócenia i podwojenia? Zedd zrobił nieokreślony gest.

- No cóż, jakoś tak wpadła mi w ręce jej kopia. Nicci zerknęła nań podejrzliwie.

- Wpadła ci w ręce jej kopia?

Odchrząknął.

- Chodzi o to - powiedział, ujmując jej ramię i obracając ją ponownie ku połyskującym liniom - że zapamiętałem, iż czytając wiele, wiele lat temu ową księgę, natrafiłem na techniki podwajania form zaklęcia. Wtedy nie miało to dla mnie sensu. Po co ktoś miałby podwajać formę zaklęcia? Ale było w tym coś jeszcze. Księga uczyła, jak odwrócić podwojoną formę zaklęcia. Największe wariactwo, o jakim słyszałem. Wtedy zlekceważyłem tę księgę i jej niejasne procedury. Po co komuś coś takiego? Komu by się to mogło przydać? Pomyślałem, że nikomu. - Uniósł palec. - No i, myśląc o kontaminacji spowodowanej przez demony i starając się znaleźć sposób na udowodnienie teorii Richarda, przypomniałem sobie nagle, że niegdyś czytałem tę księgę, i olśniło mnie. Już wiedziałem, po co ktoś miałby podwajać i odwracać formę zaklęcia.

Nicci traciła rozeznanie.

- No dobrze, poddaję się. Po co?

Zedd z ożywieniem wskazał obie formy zaklęcia.

- Oto dlaczego. Patrz. Ta jest oryginalna, bardzo podobna do tej, w której tkwiłaś, ale bez niektórych bardziej złożonych i niestabilnych elementów. - Machnął ręką na znak, że to bez znaczenia. - Do tego celu nie są nam potrzebne. Ta tutaj to to samo zaklęcie, powielone i odwrócone. To kopia.

- Tyle rozumiem - odezwała się Nicci - ale dalej nie wiem, czemu miałyby służyć taka osobliwa analiza.

Zedd, uśmiechając się znacząco, musnął palcami jej ramię.

- Skazy.

- Skazy? Ale co... - Aż wstrzymała oddech, kiedy to do niej dotarło. - Kiedy

powielasz zaklęcie i je odwracasz, skaza się nie odwraca!

- Otóż to - oznajmił czarodziej, z szelmowskim błyskiem w oku I niczym belfer potrząsnął palcem. - Skaza się nie przenicuje. Forma zaklęcia to tylko prezentacja zaklęcia, namiastka czegoś prawdziwego. Dlatego można nią manipulować, przenicowywać ją. To nie jest prawdziwe zaklęcie. Prawdziwego nie mogłabyś odwrócić. Ale magia z takich „instrukcji obsługi” nie działa na skazy, a tylko na specyficzną, docelową magię. Skaza jest prawdziwa. Pozostaje taka sama. - Spowaźniał, docierając do sedna. - Kiedy aktywujesz formę zaklęcia, niesie ona ze sobą skazę, która w nim tkwi. Kiedy powielasz formę zaklęcia, przenosi ona ze sobą tę samą skazę. Ale kiedy ją odwracasz, skaza nie może przejść tej przemiany, bo jest prawdziwa. To nie duplikat czegoś realnie istniejącego, jak formy zaklęcia. Nie zapominaj, że to właśnie skaza omal cię nie zabiła.

Nicci przeniosła spojrzenie z przenikliwych orzechowych oczu Zedda na dwie lśniące formy zaklęcia. Były lustrzanymi odbiciami. Zaczęła szukać struktury. Przyglądała się każdej linii, każdemu elementowi, sprawdzając, czy druga forma zaklęcia jest taka sama, tylko odwrócona. I wtedy to zobaczyła.

- Tutaj - szepnęła, wskazując. - Ta część jest w obu jednakowa. Nie jest odwrócona. Nie jest lustrzanym odbiciem, jak wszystko inne. Jest taka sama w obu, za to wszystko inne jest odwrócone.

- Otóż to - rzekł triumfalnie Zedd. - I właśnie w tym celu powstała Księga odwrócenia i podwojenia. Żeby wykrywać skazy, których inaczej nie można byłoby zobaczyć lub odkryć.

Nicci wpatrywała się w starca, widząc go w nowym świetle. Znała Księgę odwrócenia i podwojenia, ale podobnie jak inni, którzy ją czytali, nie rozumiała, po co ją stworzono. Oczywiście, dyskutowano o księdze, ale nikt nigdy nie potrafił wyjaśnić celu powstania tak ezoterycznej księgi o magii. Wykraczała poza konwencjonalną wiedzę o działaniu i celowości magii. W końcu zaczęła uchodzić za zwykłą ciekawostkę z minionych czasów. I tak ją prezentowano studentom: jako osobliwość, relikw z pradawnych czasów, bezużyteczny, a jednak godny zauważenia, gdyż przetrwał.

Zedd, podobnie jak Richard, nigdy nie lekceważył najmniejszej nawet cząstki wiedzy. Tak jak wszystkie inne wiadomości, trzymał ją gdzieś na dnie pamięci, na wypadek gdyby się kiedyś przydała. Gdy trudno mu było

znaleźć jakąś odpowiedź, przerzucał indeks dawno zapomnianych spraw, tkwiący w jakimś zakurzonej zakamarku jego pamięci.

Richard robił to samo. Wiedza, raz nabyta, pozostawała w jego umyśle. Umożliwiało mu to ułożenie wszystkiego w nowym porządku, znalezienie zadziwiających rozwiązań i często zmianę starych, ustalonych metod postępowania. Wielu ludzi uważało, że taki sposób myślenia - a już zwłaszcza o magii - niebezpiecznie ociera się o herezję.

Nicci dostrzegała prawdziwą wartość takiego dochodzenia do prawdy. Właściwe rozwiązanie problemów powstawało w takim właśnie procesie myślenia, logiki i rozumowania opartym na tym, co się wiedziało. To była charakterystyczna cecha Poszukiwacza, baza do poszukiwań prawdy. Była to również jedna z tych cech Richarda, które tak urzekły Nicci. Był studentem nie mającym formalnego przygotowania, a potrafił intuicyjnie zrozumieć najbardziej skomplikowane tematy, i to w sposób niedostępny innym.

Zedd pochylił się, pociągając za sobą Nicci.

- Spójrz tutaj. Widzisz? Rozpoznajesz to?

- Część, która się nie przenicowała? - Czarodziejka pokręciła głową. - Nie. Co to jest?

- To skaza pozostawiona przez demony. To rozpoznaję. To pająk w magicznej sieci.

Nicci się wyprostowała.

- Czyli to dowodzi, że Richard miał rację.

- Chłopak dobrze to zrozumiał - przyznał Zedd. - Naprawdę nie wiem, jak to zrobił, ale dobrze to wychwycił. Kiedy już została w ten sposób wyizolowana, rozpoznaję skazę zostawioną przez demony, podobnie jak rozpoznaję rudawą plamkę rdzy. On potrafił to wyczytać z mowy linii i miał rację. Zakęcie jest skażone, a źródłem skazy były demony. W ten sposób demony erodują i niszczą magię. Jeżeli ów mechanizm skaził ten urok, to musiał również skazić inne związane z magią rzeczy.

- Czy właśnie to zabija nocne ogniki? - zapytała Cara.

- Na to wygląda - odparł Zedd. - Dęby wokół ich krainy też były obdarzone ochronną magią. Teraz dęby i nocne ogniki wymierają równocześnie, co jest w najwyższym stopniu podejrzane.

Nicci podeszła do okien. Patrzyła na widoczne za nieprzejrzystymi szybami niewyraźne błyskawice.

- Umierają magiczne istoty. Tak jak Richard zapowiedział. Tęskniła za nim tak bardzo, że miała wrażenie, iż na jej duszę pada cień śmierci. Wyschnie i umrze, jeżeli szybko go nie odnajdą. Czowała, że nie przeżyje, gdyby już nigdy miała go nie zobaczyć, nie dojrzeć iskry życia w jego szarych oczach.

- Zeddzie, myślisz, że i co do reszty miał rację? Ze naprawdę były smoki, a my wszyscy zapomnieliśmy, że takie istoty żyły na świecie? Że Richard miał rację, mówiąc, że znika świat, który znamy, że przechodzi do krainy legend?

Czarodziej westchnął.

- Nie wiem, moja droga. Naprawdę nie wiem. Chciałbym wierzyć, że się co do tego myli, ale już dawno nauczyłem się nie zakładać przeciwko Richardowi.

Nicci uśmiechnęła się do siebie. Ona też się tego nauczyła.

Rozdział 53

Nicci - odezwał się Zedd z wahaniem, gestykulując i szukając słów - jesteś... hmm, kimś, kto żywi do Richarda takie same uczucia jak ja, szanuje go i jest wobec niego lojalny. W pewnym sensie wydaje się nawet, że ty... - Wyrzucił ramiona w górę, a potem pozwolił im opaść. - Sam nie wiem.

- Zeddzie, ty, Cara i ja kochamy Richarda, jeżeli właśnie to usiłujesz powiedzieć.

- Celnie to ujęłaś. W ogóle nie pamiętam tej Kahlan, ale sądzę, że powinienem myśleć p tobie tak, jak pewnie myślałbym o niej. Jako o kimś więcej niż walczącej u jego boku powiernicy.

Nicci miała wrażenie, że właśnie trafiła ją błyskawica. Nie śmiała brać pod uwagę emocjonalnego ładunku jego słów. Z największym trudem zachowała panowanie nad sobą i tylko poruszyła brwiami.

- Do czego zmierzasz? - spytała.

- Podobnie jak Richard i Cara, zacząłem mieć o tobie jak najlepsze zdanie, zwłaszcza w porównaniu z tym, co myślałem o tobie na początku. Nabrałem do ciebie zaufania, jak mówię, niczym do synowej.

Nicci przełknęła ślinę, ale unikała jego wzroku.

- Dziękuję, Zeddzie. Zważywszy na to, skąd przychodzę i co sama o sobie myślałam na początku, oznacza to dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Żeby ludzie naprawdę, szczerze... - Odkaszlnęła i wreszcie spojrzała na niego. Choć jego słowa zrobiły na niej wielkie wrażenie, nie sądziła, by chciał im nadać jakieś szczególne znaczenie. Raczej traktował je jako wstęp do czegoś ważnego. - Chcesz mi coś powiedzieć?

Potaknęła.

- Dowiedziałem się jeszcze czegoś. To wielce niepokojące. Nie powiedziałbym o tym nikomu, ale poza Richardem nikomu nie mogę ufać bardziej niż tobie i Carze. Stałyście się więcej niż przyjaciółkami w całej tej sprawie. Ja tylko próbuję znaleźć sposób, żeby wyrazić, jak bardzo...

Kiedy umilkł i zapatrzył się przed siebie, Nicci łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Odzyskamy go, Zeddzie, obiecuję. Dobrze wiesz, co do niego czujemy. Richard całkowicie odmienił moje życie. Jeżeli jest coś, o czym chcesz

porozmawiać, sprawi mi przyjemność myśl, że możesz zaufać mnie i Carze niemal tak, jak zaufałybyś Richardowi. Chyba do tego zmierzasz, prawda? Wszyscy myślimy to samo o nim i o naszej sprawie. Ja... - Postukała palcami o palce. - Wiesz, co chciałam powiedzieć.

Nicci poczuła, że się rumieni. Bała się, że za dużo powiedziała.

- Usiłuję powiedzieć - wyznał w końcu Zedd - że potrzebna mi twoja pomoc, wasza pomoc, i że chcę, byście wiedziały, ile obie dla mnie znaczą i że nie ujawniam tych rzeczy lekko i beztrudnie. Całe życie trzymałem to w tajemnicy, bo tak należało. To nie jest najłatwiejsze, ale konieczne. Jednak sprawy się zmieniły i już nie mogę zachowywać pewnych wiadomości tylko dla siebie. Stawka jest teraz o wiele wyższa niż kiedykolwiek przedtem.

Nicci skinęła głową i poświęciła czarodziejowi całą uwagę.

- Rozumiem. Postaram się okazać godną twojego zaufania. Zedd wyduł usta.

- Ta książka, Księga odwrócenia i podwojenia, była ukryta w miejscu, o którego istnieniu wiem tylko ja. Była w katakumbach pod wieżą.

Nicci i Cara wymienili spojrzenie.

- Zeddzie, mówisz, że pod wieżą są kości? I księgi? Czarodziej potaknął.

- Mnóstwo książek. To tam znalazłem Księgę odwrócenia i podwojenia. - Odszedł o parę kroków i zapatrzył się na okna migoczące blaskiem burzy, która szalała za polem powstrzymującym. - Nikt prócz mnie nie dowiedział się, że tam na dole są kości. Znalazłem je, kiedy byłem chłopcem. Wiedziałem, że nikt tam nie był od wieków. Na zakurzonej przez tysiące lat posadzce nie było widać ani jednego śladu stopy. To ja pierwszy naznaczyłem ten pył wieków. Nikt nie musiał tłumaczyć mi znaczenia tego faktu. Odkrycie katakumb raczej mnie wystraszyło. I tak byłem już wypłoszony, bo usiłowałem znaleźć drogę, którą mógłbym się wśliznąć do wieży. Kiedy znalazłem katakumby, instynktownie wiedziałem, że nie ukryto by ich tu bez ważnego powodu, więc nikomu o nich nie powiedziałem, chociaż czasem bardzo pragnąłem to zrobić. Nigdy nikomu o nich nie powiedziałem. Nawet miałem wrażenie, że pozwoliły mi wejść, ale w zamian oczekiwały, że dochowam tajemnicę. Nie tylko poważnie potraktowałem ten obowiązek, ale naprawdę poczułem się opiekunem tego nie znanego komukolwiek miejsca. W końcu były tam szczątki wielu ludzi, może i moich przodków.

Wiedziałem, że zawsze znajdą się tacy, którzy zechcą wykorzystać takie znalezisko, i nie chciałem, żeby coś takiego przydarzyło się miejscu tak wyraźnie uświęconemu dla tych, którzy je ukryli. Poza tym czułem się trochę winny, że zakłóciłem spokój miejsca pochówku dla takiej drobnostki jak potajemny powrót do wieży, żeby uniknąć kłopotów za to, że wyszedłem bez pozwolenia. Wymknąłem się z wieży, żeby pójść na targ w Aydindril i popatrzeć na te wszystkie sprzedawane tam błyskotki. Były znacznie bardziej zajmujące niż nieciekawa nauka, której miałem poświęcać cały mój czas. Po tym przypadkowym odkryciu popytałem dyskretnie tu i tam i zorientowałem się, że nawet najstarsi znani mi czarodzieje nie wiedzą o tym miejscu pod wieżą. Z czasem uświadomiłem sobie, że nie tylko nie podejrzewano jego istnienia, ale i nie krążyły o nim żadne pogłoski. Kiedy byłem chłopcem, nauka zajmowała mi niemal cały czas. Wtedy w wieży mieszkało wielu ludzi, a moje zadania nigdy nie pozwalały mi spędzić na dole więcej niż parę godzin. Szybko się przekonałem, że jest tam wiele ksiąg, które mamy na górze, w wieży, zatem uznałem, że to wcale nie takie ważne znalezisko, jak mi się początkowo zdawało. - Uśmiechnął się z rezerwą. - Wyobrażałem sobie, że jestem wielkim odkrywcą, który znalazł starożytne skarby. Tymi skarbami były przede wszystkim kości i księgi. Na górze było całe mnóstwo nudnych ksiąg, które musiałem przestudiować, więc nowe ich rzędy wcale nie były tak ekscytujące jak myśli o powleczonych bursztynem strukturalnych zakłęciach czy inkrustowanych klejnotami kłątwach. Ale na dole niczego takiego nie było. Tylko kości i stare księgi. W katakumbach są całe amfilady komnat pełnych zakurzonych starych ksiąg. Nigdy nie miałem czasu, żeby obejrzeć te wszystkie komnaty. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, ile ukryto tam tomów. Nigdy nie miałem czasu, by sprawdzić więcej niż tylko małą ich część. Jak już mówiłem, wiele z nich widziałem na górze, w wieży, a z tych, których nie znałem, żadna nie zaciekawiała mnie na tyle, bym ją zapamiętał. No, jedynie parę, w tym Księga odwrócenia i podwojenia. Kiedy dorosłem, zakochałem się w najwspanialszej z kobiet i wkrótce została ona moją żoną. Urodziła drugie światło mojego życia, córkę, która wyrosła na matkę Richarda. Jako pracujący w wieży młody czarodziej zawsze miałem więcej roboty niż dzień godzin. Nie miałem czasu chodzić między kości. A potem na świecie rozszalała się wielka wojna z D'Hara. To były mroczne czasy zażartej walki. Zostałem Pierwszymi Czarodziejem.

Bitwy były straszliwe, jak to bitwy. Musiałem wysłać ludzi na śmierć. Musiałem patrzeć w oczy czarodziejów, młodych i starych, o których wiedziałem, że nie stają na wysokości zadania, i mówić im, żeby zrobili, co w ich mocy, mając świadomość, że to będzie o wiele za mało i że prawdopodobnie zginą przy tych wysiłkach. W głębi serca wiedziałem, że gdybym sam to zrobił, toby się udało, ale było tak wiele tego typu prac, które należało wykonać, a ja byłem tylko jeden. Czasem uważałem, że odpowiedzialność, wiedza i talent to przekleństwo. Ledwie mogłem znieść patrzenie w oczy tym wszystkim niewinnym ludziom, którzy polegali na mnie jako na Pierwszym Czarodzieju, i świadomość, że jeżeli zawiodę, to oni umrą. Dlatego wiem, przez co przechodzi Richard. Byłem na jego miejscu. Dźwigałem na barkach świat. - Machnął ręką, żeby odpędzić tę melancholię. - Tak czy inaczej, przez te wszystkie obowiązki katakumby znowu stały zapomniane, jak przed tysiącami lat, zanim je odnalazłem. Po prostu nie miałem czasu, żeby sprawdzić, co tam jest. Z moich chłopięcych poszukiwań zostało mi przekonanie, że można tam znaleźć jedynie stare i stosunkowo mało ważne księgi pogrzebane wraz z zapomnianymi kośćmi. A było tyle niecierpiących zwłoki spraw związanych z życiem i śmiercią. Dla mnie najważniejsze było to, że dzięki katakumbom miałem potajemną drogę do wieży. Okazało się to wprost bezcenne, kiedy Siostry Mroku zajęły Wieżę Czarodzieja. Gdy byłem młodszy, po wojnie, w której zginęła moja żona, przemówiliśmy się z radą co do szkatuł Ordenu. A potem... Rahl Posepny zgwałcił moją córkę. Zostawiłem Midlandy, odszedłem na dobre i zabrałem ze sobą córkę przez granicę do Westlandu. Była wszystkim, co mi zostało i co było dla mnie ważne. Myślałem, że całe życie przeżyję za granicą, w Westlandzie. Później urodził się Richard. Patrzyłem, jak rośnie. Córka była z niego taka dumna. Martwiłem się w skrytości ducha, że ma dar, i niepokoiłem, że pewnego dnia przyjdą po niego siły spoza granic. Następnie był pożar i nagle moja córka, matka Richarda, zniknęła z mojego życia, z jego życia. Szukałem pociechy u Richarda. Dałem mu wszystko, co mogłem, żeby stał się tym, kim mógł być. Spędziłem z nim kilka najlepszych lat mojego życia. Bez mojej wiedzy - jako że zrobiłem co mogłem, żeby zapomnieć o zewnętrznym świecie - Ann i Nathan, kierując się prorocstwem, pomogli George'owi Cypherowi wynieść z Wieży Czarodzieja Księgę Opisanie Mroków. Ukryłem ją w prywatnej enklawie Pierwszego

Czarodzieja.

- Chwileczkę - przerwała mu Nicci. - Chcesz powiedzieć, że Księga Opisania Mroków, jedna z najważniejszych istniejących ksiąg, po prostu leżała sobie w wieży?

- Wcale „sobie nie leżała”. Jak mówiłem, była w enklawie Pierwszego Czarodzieja. To najbezpieczniejsze miejsce w wieży i bynajmniej nie tak łatwo tam wejść.

- Skoro jest takie bezpieczne - przypomniała mu Nicci - to jak Ann, Nathan i George Cypher weszli tam, żeby zabrać księgę?

Zedd westchnął, patrząc na nią spod krzaczastych brwi.

- I to konkretnie zaczęło mnie niepokoić. Jedyna kopia tak ważnej księgi okazała się tak słabo chroniona...

- Właśnie to Richard chciał ci powiedzieć - odezwała się Nicci, bo nagle zrozumiała. - Dlatego tak się spieszył, żeby tu wrócić. Mówił, że natychmiast musi się z tobą spotkać. To dlatego!

Zedd zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

Podeszła do czarodzieja i wyjęła z kieszeni małą książeczkę.

- Tą książką posłużył się Rahl Posępny, żeby włączyć do gry szkatuły Ordenu...

- Co to jest?!

- To książka, którą posłużył się Rahl Posępny, żeby włączyć do gry szkatuły Ordenu - powtórzyła zdumionemu Zeddowi. - Znaleźliśmy ją w Pałacu Ludu. Obiecałam Richardowi, że ją przestudiuję i sprawdzę, czy jest tam jakiś sposób na odwrócenie tego, co zrobiła Siostra Ulicia, a może nawet wycofanie szkatuł Ordenu z gry. Staralam się wytłumaczyć Richardowi, że magia nie działa w ten sposób, ale przecież go znasz. Nie tak łatwo godzi się z tym, że czegoś nie można zrobić.

Zedd patrzył na książkę w jej dłoni niczym na żmiję, która mogłaby kogoś ukąsić.

- Ten chłopak zawsze potrafi się w coś wplątać.

- Zeddzie, tu jest ostrzeżenie, że do korzystania z tej książki potrzebny jest klucz. W przeciwnym razie, bez klucza, wszystko, czego się dokonało na podstawie tego dzieła, będzie nie tylko bezprzedmiotowe, ale i fatalne w skutkach. Napisano tu, że w ciągu jednego pełnego roku należy się posłużyć

kluczem, żeby dopełnić tego, co zostało dokonane za pomocą tej książki.

- Klucz - wyszeptał czarodziej, jakby to był koniec świata. - Szkatuły muszą zostać otwarte w ciągu roku od włączenia ich do gry. Żeby otworzyć szkatuły, potrzebna jest Księga Opisania Mroków. To ona musi być kluczem.

- Też tak myślę - powiedziała Nicci. - Problem w tym, że znaleźliśmy informację z czasów wielkiej wojny, iż pewni czarodzieje zrobili pięć kopii książki, „która nigdy nie miała być kopiowana”.

- I uważasz, że książką, „która nigdy nie miała być kopiowana”, jest Księga Opisania Mroków?

- Tak. Istnieje księga proroctw, która głosi, że „będą drzeć z lęku przed tym, co uczynili, i rzuca cień klucza pomiędzy kości”.

Zedd wpatrywał się w nią, jakby cały świat walił się w gruzy.

- Drogie duchy. To brzmi jak cytat z Opowieści Yanklee.

- Bo tak jest. Ale - dodała Nicci - wszystkie kopie prócz jednej są fałszywe. Pięć kopii: cztery fałszywki, jedna prawdziwa.

Czarodziej przycisnął dłoń do czoła. Nicci zwróciła uwagę, że oddycha szybciej niż zwykle. Wyglądał, jakby miał zemdleć.

- Zeddzie, co ci jest? Palce mu drżały.

- Pamiętasz, jak mówiłaś, że tak łatwo było wykraść Księgę Opisania Mroków? I mnie to zawsze trapiło, ale o tym nie rozmyślałem. Po prostu była to kolejna z tych myśli, które nigdy w pełni nie wypływają na powierzchnię umysłu.

- Tak. - Nicci cierpliwie czekała na ciąg dalszy.

- Kiedy przypominałem sobie Księgę odwrócenia i podwojenia, wreszcie uświadomiłem sobie, gdzie widziałem ją jako chłopiec: w katakumbach. Musiałem przetestować to zaklęcie, więc gdy udaliście się z Richardem do Pałacu Ludu, wróciłem po nią do katakumb.

Nicci wiedziała, co usłyszy, zanim jeszcze to powiedział.

- I kiedy szukałem Księgi odwrócenia i podwojenia, znalazłem kopię Księgi Opisania Mroków.

- Będą drzeć z lęku przed tym, co uczynili, i rzuca cień klucza pomiędzy kości - ponownie zacytowała Nicci.

Zedd skinął głową.

- Całe życie nie wiedziałem, że jest tam kopia tej książki. Uczono mnie, że istnieje tylko jeden egzemplarz. Już samo to było dla mnie sygnałem, jaka

ważna jest ta książka. Ale skoro była taka ważna, to dlaczego nie znajdowała się w bezpieczniejszym miejscu? To pytanie zawsze tkwiło w głębi mojego umysłu. Między innymi dlatego tak się rozgniewałem na radę za to, że rozdawała szkatuły Ordenu jako prezenty czy nagrody. Wiedziałem, jak niebezpieczne są te szkatuły, ale nikt mi nie wierzył. Wszyscy uważali, że powtarzam im po prostu starożytnie zabobony lub dziecinne bajeczki. Nikt nie wierzył po części dlatego, że nigdy nie odnaleziono księgi potrzebnej, żeby włączyć szkatuły do gry. A bez księgi szkatuły były tylko zmyśloną opowiastką. - Wskazał tom w dłoni Nicci. - Nikt nawet nie znał tytułu tej książki. Wygląda na to, że jest w górnod'harańskim. Potrzebny nam będzie ktoś, kto to przetłumaczy.

- Znam górnod'harański - powiedziała Nicci.

- No oczywiście - stwierdził Zedd, jakby go już nic nie mogło zdziwić. - Więc jak brzmi tytuł?

- Księga życia.

Zedd zrobił się niemal tak biały jak jego rozwichrzone włosy. Najwyraźniej nie wyszedł jeszcze z szoku.

- Księga życia - powtórzył, ze znużeniem przeciągając dłonią po twarzy. - Cóż za dobrze dobrany tytuł - powiedział. - Moc Ordenu zrodziła się z samego życia. Otwórz właściwą szkatułę, a zdobędziesz moc Ordenu: samą esencję życia, władzę nad wszystkim, co ożywione i nieożywione. Dadzą ci niezwykłą moc. Otwórz złą, a magia się o ciebie upomni i zginiesz. A otwórz tę drugą niewłaściwą szkatułę i wszystko, co żyje, odejdzie w niebyt. To byłby kres całego życia. Magia Ordenu jest bliźniacza wobec magii samego życia, a śmierć jest częścią wszystkiego, co żyje, więc magia Ordenu jest związana tak z życiem, jak i ze śmiercią. A klucz ma pomóc w ustaleniu, która szkatuła jest która. Otwierająca je osoba może zaryzykować, ale byłaby głupia, robiąc to bez uprzedniego posłużenia się kluczem, żeby mieć pewność, która jest która.

- Głupia - wtrąciła Nicci - jak Siostry Mroku, którym jest właściwie obojętne, czy otworzą złą czy dobrą szkatułę?

Zedd tylko się w nią wpatrywał.

- Więc mówisz, że znalazłeś jedną z kopii - odezwała się w końcu Cara, gdy Zedd milczał, zatopiony w myślach.

Nicci była zadowolona, że to Cara go popędziła, kiedy był taki

wstrząśnięty rozmyślaniami o okropnych wydarzeniach, których grozy nawet sobie nie potrafiła wyobrazić.

- Obawiam się, że to wcale nie jest najgorsze - powiedział. - Richard jako chłopiec nauczył się na pamięć Księgi Opisania Mroków. George Cypher bał się, że księga wpadnie w niepowołane ręce, ale był na tyle mądry, że nie chciał zaprzepaścić zawartej w niej wiedzy i kazał Richardowi się jej nauczyć. Kiedy już Richard zapamiętał każde słowo, razem z George'em Cypherem, człowiekiem, który go wychowywał i którego wówczas uważał za ojca, spalili Księgę Opisania Mroków. Gdy Rahl Posępny pojmał Richarda i otwierał szkatuły, kazał mu czytać instrukcje z księgi. Nie pamiętam, jak to było, pewnie przez to zaklęcie chainfire. Ale byłem tam. Tę część pamiętam całkiem dobrze, bo byłem taki wstrząśnięty, z dwóch powodów. Po pierwsze, bo dowiedziałem się, że księgę wykradzono z wieży, z mojej enklawy, żeby Richard mógł się jej nauczyć, po drugie zaś, bo to była magiczna księga, a to oznaczało, że Richard mógł się nauczyć tekstu i wypowiadać go tylko dlatego, że miał dar. Kiedy znalazłem w katakumbach kopię Księgi Opisania Mroków, byłem do głębi wstrząśnięty. Czytałem ją i jestem przekonany, że to słowo w słowo to, czego nauczył się Richard.

Nicci przekrzywiła głowę.

- Była taka sama? Jesteś pewien?

- Tak - rzekł dobitnie Zedd. - Obie były identyczne. Czarodziejka zaczynała się czuć nieswojo.

- To może oznaczać tylko jedno z dwojga. Albo jedna była oryginałem, a druga prawdziwą kopią klucza... albo obie były fałszywymi kluczami, fałszywymi kopiami.

- Nie, nie mogły być fałszywkami - upierał się Zedd. - Kiedy Richard odczytywał księgę, pominął ważny fragment na samym końcu. I dzięki temu pokonał Rahla Posępnego. Zamienił ją w fałszywkę, wprowadzając w błąd Rahla Posępnego, żeby go pokonać. Często powtarzałem Richardowi, że czasem sztuczka to najlepsza magia.

Nicci położyła książeczkę na stole.

- To niekoniecznie oznacza, że to prawdziwy klucz, a nie fałszywy. Spójrz na to. - Otworzyła Księgę życia i postukała w pierwszą stronicę, na której było tylko jedno zdanie, żeby podkreślić, jakie jest ważne, jak doniosłe. - To wstępne wprowadzenie do Księgi życia. Już to przetłumaczyłam. Zawiera

ostrzeżenie dla każdego, kto będzie czytać tę książkę. Napisano tu: „Niechaj odejdą ci, którzy przybyli z nienawiścią, albowiem w swojej nienawiści jedynie się zawiodą”.

Zedd patrzył przymrużonymi oczami na górnod'harańskie słowa widniejące samotnie na stronicy.

- Czyli twierdzisz, że skoro Rahl Posępny uciekł się do szkatuł Ordenu z nienawiści, i tak zostałby zniszczony przez prawdziwą Księgę Opisania Mroków, jak został zniszczony przez fałszywkę?

- To jedna z możliwości - odparła Nicci. Czarodziej pokręcił głową.

- Nie wierzę w to. Niektóra magia działa poprzez interpretację celu. Tak działa Miecz Prawdy. Ludzie, którzy nienawidzą, zwykle nie dostrzegają u siebie tej skazy. Uważają, że to prawowita nienawiść. Właśnie to zepsucie czyni ich tak złymi i niebezpiecznymi. Są zdolni do najgorszych występków i uważają się za bohaterów, bo je popełnili.

- Zatem chcesz mnie przekonać, że to był przypadek, szczęśliwy traf, że obie te książki okazały się jedynymi prawdziwymi kluczami? I że przez przypadek były tak blisko siebie? Uważasz, że czarodzieje, którzy zrobili kopie i wysłali je do odległych tajemnych skrytek, zostawiliby tę jedyną prawdziwą kopię właśnie tutaj, w pobliżu prawdziwego klucza? Wobec tego po co zadawaliby sobie trud takiego rozproszenia kopii?

Zedd tarł podbródek palcami, rozmyślając nad tą sprawą.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- Przy takich książkach musi istnieć sposób potwierdzenia kopii, uprawomocnienia jej.

- I jest - powiedział Zedd. - Na początku Księgi Opisania Mroków napisano: „Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiedane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły”. Kopia oznacza „wypowiedane przez kogoś” - dodał. - Osoba sporządzająca kopię jakby wypowiada słowa. Czytelnik nie czyta oryginału. Chyba że jest to oryginalny klucz odczytywany przez tego, kto wprowadza szkatuły do gry. W każdym innym przypadku wymagana jest weryfikacja.

- Kahlan - odezwała się Nicci.

Oboje na nią spojrzeli, a ich miny świadczyły, że zrozumieli.

- Zeddzie - powiedziała w końcu czarodziejka, przerywając ciszę - nikt z

nas nie pamięta Kahlan. Jeżeli ją odnajdziemy i uda nam się jakoś odczynić ten urok chainfire... to czy jest jakiś sposób, żeby przypomniała sobie to, o czym teraz nie pamięta?

Wzrok Zedda powędrował do dwóch jarzących się form zaklęć nad stołem.

- Nie.

Nicci nie spodziewała się takiej kategoryczności.

- Jesteś pewien?

- Większej pewności mieć nie mogę. Zaklęcie niszczy pamięć. Nie zamazuje jej, nie blokuje do niej dostępu. Niszczy ją. Nie sprawia, że ludzie zapominają, ono wymazuje pamięć. Osoby, na które rzucono to straszliwe zaklęcie, tracą pamięć.

- Ale musi być jakiś sposób - upierała się Cara. - Jakaś taka czy inna magia, która by im przywróciła pamięć.

- Jak przywróciła? Czymś, czego nikt z nas nie pamięta? Pamięć to materia życia. Magia działa w charakterystyczny dla siebie sposób, jak wszystko, co istnieje. Magia to nie jakaś superinteligentna świadomość istniejąca sobie za zasłoną, wiedząca, czego chcemy dokonać, i mogąca ot, tak wyjąć z kieszeni czyjąś całą pamięć, czyjeś całe życie i oddać to nam, bo tego sobie życzymy.

Mord-Sith nie wyglądała na przekonaną.

- Ale...

- Spójrz na to w ten sposób. Jeżeli zepchnę ze stołu tę książkę, to spadnie na podłogę. Sprawia to niewidoczna siła grawitacji. Grawitacja działa w charakterystyczny sposób. Nie mogę machnąć rękami i nakazać grawitacji, żeby przygotowała mi obiad. Tak samo jest z pamięcią i magią. Zaklęcie chainfire zniszczyło jej pamięć. Nie można tego naprawić. Nie możesz odzyskać czegoś, co było, ale już nie istnieje. Po prostu nie możesz. Co zniknęło, to zniknęło.

Cara przesunęła dłonią po długim blond warkoczu.

- No to wygląda na to, że mamy poważne kłopoty.

- Istotnie - przyznał czarodziej.

Nicci chciała stwierdzić, że to serce Richarda jest w tarapatkach, ale nie odważyła się wypowiedzieć tego na głos. Martwiła się o niego, przygnębiało ją to, czemu pewnego dnia będzie musiał stawić czoło. Ale nie chciała być tą,

która pierwsza o tym powie.

- Zatem, co Richard będzie musiał zrobić kiedy ją odnajdzie? - spytała słabym głosem Nicci.

Zedd, z dłońmi splecionymi na plecach, wpatrywał się w nią chwilę, a potem odwrócił wzrok.

- Jest inny sposób, żeby stwierdzić, która kopia jest prawdziwa - odezwała się Cara.

Zedd i Nicci spojrzeli na nią, zaskoczeni i zadowoleni ze zmiany tematu.

- Trzeba znaleźć pozostałe kopie i porównać je - wyjaśniła Mord-Sith. - Ta, której Richard się nauczył, już nie istnieje. Jeżeli znajdziecie inne, będziecie mogli je porównać. Ta, która będzie się różnić, będzie musiała być prawdziwą kopią. A cztery pozostałe, takie same, będą fałszywkami.

Zedd uniósł brew.

- A co, jeżeli ludzie sporządzający kopie martwili się, że pewnego dnia bystra Mord-Sith wpadnie na ten pomysł, i sporządzili kopie różniące się od siebie, żeby ich nie można było porównać?

Cara się skrzywiła.

- Och.

Nicci wyrzuciła ręce w górę.

- No i jak niby mielibyśmy odszukać te kopie? Były ukryte przez trzy tysiące lat.

- Nie tylko o to chodzi - odezwał się Zedd. - Nathan powiedział nam, że pod Pałacem Proroków były katakumby i że teraz to wszystko jest zniszczone. Wiem to, bo na własne oczy widziałem czar ognia. Nie powinno nic zostać, a nawet jeżeli uchowala się jakaś część katakumb, to przecież pałac był zbudowany na wyspie. Po zniszczeniu wyspy woda i tak wdarłaby się do każdego podziemnego pomieszczenia, które by ocalało. Tamtejsza kopia, o ile któraś tam była, została zniszczona. Był to prawdziwy czy fałszywy klucz? A jeżeli przez te wszystkie lata inne też zostały zniszczone? Pytanie, jak się upewnić, czy ta, której się nauczył Richard, i ta, którą znalazłem, są dwoma prawdziwymi kluczami.

Nicci patrzyła przed siebie.

- Obawiam się, że to mogą być fałszywe kopie. Ta, której się nauczył Richard, i ta, którą znalazłeś w katakumbach.

Zedd zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Nie znam żadnego sposobu, by się co do tego upewnić.

- Mogą być dwa sposoby - powiedziała. - Jeśli chodzi o pierwszy, jeszcze niczego konkretnego nie mogę powiedzieć. Dopiero zaczęłam tłumaczyć Księgę życia. Są w niej wzmianki o używaniu klucza. Napisano, że jeżeli osoba, która włączyła szkatuły do gry, nie użyje właściwie klucza, zostanie zniszczona wraz ze szkatułami.

- Użyje właściwie klucza - powtórzył zamyślony Zedd.

- Zgodnie z tym tekstem - ciągnęła Nicci - gdyby Rahl Posępny nie użył właściwie prawdziwego klucza, na przykład pomijając ostatnią partię - a mówiłeś, że Richard tak zrobił, recytując dla niego tekst - zostałyby zniszczone, ale szkatuły Ordenu także. Jak wiemy, szkatuły Ordenu nie zostały zniszczone, co wskazuje, że Richard mógł mu podać fałszywy klucz i Rahl Posępny otworzył niewłaściwą szkatułę, co go zabiło. Nie napisano tutaj, że szkatuły zostaną zniszczone, jeżeli użyje się fałszywego klucza, bo kiedy powstawała ta księga, jeszcze nie było fałszywych kluczy i tego problemu w ogóle nie brano pod uwagę.

Zedd zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Jesteś tego pewna?

- Nie - przyznała czarodziejka. - To zawile i dopiero zaczęłam tłumaczyć. Przejrzałam tę część, bo dotyczy używania klucza przy kolejnych wymaganych fazach. Są tu także formuły, które należy brać pod uwagę. Mówiłam tylko o swoim pierwszym wrażeniu. - Przeczesała palcami włosy, stojąc przed stołem, na którym leżała otwarta książeczka, z jedną dłonią wspartą o biodro. - Rozumiesz, do czego zmierzam? - Wskazała na wolumin. - Jeżeli Richard skaził prawdziwy klucz, sprawiając, że Rahl Posępny wybrał złą szkatułę, to według tego szkatuły powinny zostać zniszczone wraz z nim. To by przemawiało za tym, że Richard nauczył się fałszywego klucza.

- Może. Powiedziałaś, że jeszcze nie masz co do tego pewności. - Zedd, przechadzając się, masował sobie kark. - Nie popełniamy błędu, wyciągając pochopne wnioski.

Nicci potaknęła.

- Mówiłaś, że jest jeszcze coś? - spytał Zedd.

Nicci skinęła głową, a potem zacytowała najważniejsze proroctwo o którym powiedział im Nathan.

- „Gdy w roku cykad głosiciel poświęcenia się i cierpienia tak pod

sztandarem ludu, jak i Światła rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce, będzie to znak, że proroctwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa. Zachowajcie ostrożność, albowiem wszelkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają się w owej wróżbie. Gałęzie wyłącznie jednego pnia łączą się zaś z pierwotnym źródłem. Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”. Rozumiesz? - spytała zaraz potem. - „Głosićiel poświęcenia się i cierpienia tak pod sztandarem ludu, jak i Światła” to Jagang i Imperialny Ład. Dalsze słowa mówią, że kiedy „rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce, będzie to znak, że proroctwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa”. Rozdzielił swoją armię. Połowa blokuje przełęcz, a druga połowa okrążyła góry i weszła do D’Hary od południa. Jak mówi tekst, „czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa”.

Jakby na potwierdzenie jej słów za oknami zapłonęła błyskawica, a grzmot wstrząsnął wieżą.

Zedd się nachmurzył.

- Nie nadążam za twoim rozumowaniem.

- Dlaczego Ann i Nathan ukradli tę księgę dla Richarda? Bo źle zinterpretowali proroctwo. Uznali, że rozstrzygająca bitwa to zmagania z Rahlem Posępnym. Myśleli, że Richardowi będzie potrzebna Księga Opisania Mroków, by mógł pokonać Rahla Posępnego w tej rozstrzygającej potyczce. Znaleźli, jak sądzili, jedyny istniejący egzemplarz. Nie rozumiesz? To było zbyt łatwe. Richard urodził się do obecnej bitwy, tej z Jagangiem i z tym, do czego doprowadziły Siostry Mroku, włączając do gry szkatuły Ordenu. To dalszy ciąg rozstrzygającej batalii, która się zaczęła od Rahla Posępnego. Uważam, że proroctwa mogą robić aluzje do tego, że Richard nauczył się złego klucza: „Zachowajcie ostrożność, albowiem wszelkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają się w owej wróżbie”. Istotne rozwidlenia - prawdziwe klucze? - są profetycznym źródłem tej rozstrzygającej batalii. Tekst mówi, że inne rozwidlenia są fałszywe. Może w innych rozwidleniach tkwią fałszywe klucze. Czyż nie mogło być tak, że walka z Rahlem Posępnym była fałszywym rozwidleniem? Ann i Nathan zbyt mało wówczas wiedzieli. Ujawniło się zbyt mało faktów, więc poszli tym rozwidleniem, przygotowując Richarda do walki z Rahlem Posępnym, a nie z

Jagangiem. Ale to proroctwo głosi: „jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”. Ten straszliwy mrok to władza Ładu, moc Ładu rozpętana przez Siostry Mroku. Chcą zasnuć mrokiem świat życia. Ann, Nathan i Richard szykowali się nie do tej walki, co trzeba. To w obecnej batalii powinien walczyć.

Zedd chodził tam i z powrotem, zamyślony. Zmarszczki mu się pogłębiły. Wreszcie zatrzymał się i odwrócił ku Nicci.

- Może, Nicci. Może. Studiowaniu proroctw poświęciłaś znacznie więcej czasu niż ja. Może i dobrze rozumiesz. A może nie. Proroctwo, jak wyjaśniał Nathan, nie nadaje się do takiej analizy, jaką zaprezentowałaś. To sposób komunikowania się proroków. Raczej niekoniecznie powinno być studiowane, analizowane czy pojmowane przez tych, którzy nie mają daru prorokowania. I tak jak Ann i Nathan mogli pochopnie wyciągnąć wnioski bez wystarczającej ilości informacji, tak i ty możesz zbyt wcześnie wysnuwać swoje.

Nicci skinęła głową, przyznając mu rację.

- Mam nadzieję, Zeddzie, że masz słuszność, naprawdę. To nie jest spór, w którym chciałabym zwyciężyć. Tylko dlatego o tym mówię, że moim zdaniem powinniśmy rozważyć implikacje.

Czarodziej potaknął.

- Jest jeszcze coś, co trzeba rozważyć. Richard nie poddaje się proroctwu. Kieruje się wolną wolą, a proroctwo jakby się otwiera, żeby się do niego dostosować. W tamtym przypadku może istotnie Rahl Posępny był fałszywym rozwidleniem, ale gdyby zwyciężył, istnieją profetyczne źródła i na tę ewentualność. Zwolennicy proroctwa mogli na ich podstawie twierdzić, że Rahl Posępny to właściwe rozwidlenie. Moglibyśmy się teraz znajdować na jednej z innych gałęzi, a ta byłaby fałszywa. Możesz znaleźć proroctwo na potwierdzenie niemal wszystkiego.

- Bo ja wiem - powiedziała Nicci, przeczesując włosy palcami. - Może i masz rację.

Była taka zmęczona. Musiała się choć trochę przespać. Może potem będzie mogła myśleć jaśniej. Może troska kierowała ją na fałszywe tory.

- Obecnie nie możemy w żaden sposób stwierdzić, czy te kopie Księgi Opisania Mroków - ta, którą znalazłem, i ta, którą zna Richard, są

prawdziwymi czy fałszywymi kluczami.

- No to co zrobimy? - zapytała. Zedd zatrzymał się i spojrział na nią.

- Odzyskamy Richarda, a on znajdzie sposób na powstrzymanie tego zagrożenia.

Nicci się uśmiechnęła. Potrafił dodać jej otuchy w najczarniejszych chwilach - zupełnie jak Richard.

- Ale coś ci powiem - dodał czarodziej. - Zanim to się stanie, lepiej się dowiedzmy, czy klucz, którego się nauczył, jest prawdziwy czy fałszywy.

Nicci zamknęła Księgę życia i podniosła ją ze stołu.

- Muszę przeczytać całą tę książkę, od deski do deski. Muszę się przekonać, czy jest tam sposób na zrobienie tego, o co pytał Richard: na wycofanie szkatuł z gry lub zneutralizowanie zagrożenia. Jeżeli nie, to lepiej, żebym знаła tekst na wylot, by w razie potrzeby pomóc Richardowi w znalezieniu odpowiedzi na to wszystko.

Zedd badawczo popatrzył jej w oczy.

- To będzie ciężka robota. Zajmie wiele czasu. Na zrozumienie tak zawilej księgi mogą być potrzebne całe miesiące. Mogę tylko mieć nadzieję, że mamy tyle czasu. Chcę jednak powiedzieć, że się z tobą zgadzam. I chyba lepiej od razu zabierz się do roboty.

Nicci schowała książeczkę do kieszeni.

- Pewnie tak. Mogą być tutaj księgi, które by się przydały. Jeżeli jakaś przyjdzie mi na myśl lub zostanie wspomniana w tekście, dam ci znać. Z tego, co już widziałam, są tam techniczne sprawy, przy których pewnie mi się przyda pomoc. Jeżeli się zapłaczę, chętnie skorzystam z pomocy Pierwszego Czarodzieja.

- Masz ją zapewnioną. - Zedd uśmiechnął się. Pogroziła mu palcem.

- A jeżeli przyjdzie ci do głowy, jak odnaleźć Richarda, to lepiej mi o tym powiedz, zanim jeszcze dokończysz tę myśl.

- Zgoda. - Uśmiech Zedda zrobił się szerszy.

- A co, jeżeli nie odnajdziemy lorda Rahla? - zapytała Cara. Oboje spojrzeli na nią. W dalekiej dolinie rozległ się grzmot.

Deszcz monotonnie dzwonił o szyby.

- Odzyskamy go - rzekła twardo Nicci, odmawiając wzięcia pod uwagę czegoś tak straszliwego.

- Nic nigdy nie jest proste - mruknął Zedd.

Rozdział 54

Kahlan, choć tak zmęczona jazdą, była pod wielkim wrażeniem tego, co się ukazało w oddali. Za rozlewającą się ciemną falą żołnierzy Imperialnego Ładu, za purpurowo-Szarymi cieniami kładącymi się na rozległej równinie, wznosił się olbrzymi płaskowyż skupiający ostatnie złociste promienie zachodzącego słońca.

Na płaskowyżu stała budowla wielka niczym miasto. Wysokie zewnętrzne mury lśniły w blednym wieczornym świetle. Białe marmur, stiuk i kamień, z którego były liczne budynki najrozmaitszych rozmiarów, kształtów i wysokości, iskrzyły się w gasnącym blasku dnia. Dachy osłaniały to miejsce przed nadchodzącą chłodną nocą kończącej się jesieni, jakby opatulaly to wszystko spódniami.

Nareszcie zobaczyła coś dobrego, coś szlachetnego, coś pięknego po nie kończących się tygodniach ponurej wędrówki w towarzystwie posępnych żołnierzy, którzy bezustannie wypatrywali kogoś, na kim by się mogli wyładować.

Kahlan miała wrażenie, że to świętokradztwo sprowadzać takich żołnierzy w pobliże tego miejsca. Wstydziła się, że jest wśród bluźnierczej hołoty zgromadzonej u stóp owego jaśniejącego dzieła człowieka, które dumnie wznosiło się przed nimi. Kiedy patrzyła na tę budowlę, jej serce śpiewało. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ją już wcześniej widziała, lecz miała wrażenie, że tak.

Wszędzie dokoła słyhać było stękających żołnierzy, porykujące muły, parskające konie, skrzypiące wozy, szcęk zbroi i oręża - odgłosy bestii, która nadciągnęła, żeby zniszczyć to, co dobre. Smród ciągnął się za nimi niczym toksyczna chmura, uświadamiając każdemu, na kogo natrafili, jakimi szkodnikami są w istocie ci żołnierze. Jakby ktoś potrzebował dodatkowego dowodu.

Wokół Kahlan jechali specjaliści strażnicy, którzy od tygodni nie spuszczały jej z oka. Było ich czterdziestu trzech. Kahlan policzyła ich, żeby móc śledzić. Wykorzystała podróż, żeby poznać ich twarze i obyczaje. Wiedziała, którzy są niezdarni, którzy głupi, którzy bystrzy, którzy dobrzy w robieniu bronią. Podczas dłużeń się niezliczonych dni badała ich mocne i

słabe punkty, planując i wyobrażając sobie, jak mogłaby zabić każdego z nich.

Jak dotąd nie zabiła żadnego. Uznała, że w tak długiej podróży najlepiej będzie wykonywać polecenia, okazywać posłuszeństwo. Wszyscy jej strażnicy zostali ostrzeżeni, że należy do Jaganga i że nie mogą nawet tknąć jej palcem - no, chyba żeby udaremnić próbę ucieczki.

Kahlan chciała się wtopić w monotonię codzienności, aby strzegący jej żołnierze zaczęli myśleć, że jest nieszkodliwa, niegroźna, a nawet zastraszona. Aby się stała kolejnym z ich nużących obowiązków. Miała wiele okazji, żeby zabić kilku z nich, lecz nigdy ich nie wykorzystała, bez względu na to, jak byłoby to łatwe. Wołała, żeby czuli się przy niej bezpieczni, spokojni, nawet znudzeni. Taka ślepotą na niebezpieczeństwo lepiej się jej pewnego dnia przysłuży niż atak, który i tak na nic by się teraz nie zdał. Nie pomógłby jej w ucieczce, natomiast tylko sprowokowałby Jaganga do użycia obroży, a może i własnych łap, żeby sprawić jej ból. Ponieważ i tak nie potrzebował pretekstu, nie widziała powodu, żeby mu takowego dostarczać.

Jeden Jagang nie dał się zwieść, nie popadł w obojętność i nonszalancję. Nie lekceważył ani jej, ani jej woli. Wydawało się, że bawi go obserwowanie jej taktyki, nawet tak mało interesującej jak brak działania. Podobnie jak ona, miał w swoim arsenale cierpliwość. On jeden ani na chwilę nie tracił czujności. Kahlan sądziła, że świetnie wie, co ona robi.

I tak go ignorowała. Myślała sobie, że nawet jeżeli wie, co ona robi, to i tak osłabi to jego czujność, którą utrzymywał, chociaż nic się nie działo. Czekanie na coś, co nie nadchodzi, nuży, nawet jeśli wiesz, że to nieuniknione. Nawet jeśli wiedział, że ona w końcu czegoś spróbuje, całe tygodnie potulności zapewnią jej element zaskoczenia, choćby tylko chwilowego. Ten atut może wszystko odmienić, kiedy nadejdzie czas.

Jednak niekiedy nie mogła go ignorować. Gdy był w złym humorze, a ona go rozgniewała - zwykle samą swoją obecnością, a nie jakimś postępkim - bił ją do krwi. Dwukrotnie musiała uleczyć ją Siostra, boby się wykrwawiła. Kiedy był w jednym ze swoich naprawdę paskudnych nastrojów, zwykle kończyło się czymś gorszym niż zwyczajne bicie. Był bardzo pomysłowy, jeśli chodziło o znęcanie się nad kobietą. Kiedy miał taki sadystyczny nastrój, fascynował go nie tylko ból, ale i upokorzenie. Przekonała się, że nie przestanie, póki nie doprowadzi jej do płaczu z jednego lub drugiego

powodu.

Jeżeli płakała, to tylko dlatego, że nie mogła powstrzymać łez, gdy pogrążała się w przepastnych czeluściach bólu, upokorzenia czy rozpacz. Jagang radośnie obserwował wtedy, jak płacze. Nie robiła tego, żeby się poddać, żeby przestał się nad nią pastwić, ale dlatego, że była w takim stanie, iż nad sobą nie panowała. I to mu się podobało.

Sprowadzał też do namiotu kobiety, a Kahlan musiała tkwić na dywanie przy łóżku, gdzie zawsze sypiała, jakby była jego psem. Zwykle sprowadzał jakąś nieszczęsną brankę, która była bardziej niż niechętna. Zupełnie jakby wyszukiwał takie, które się najbardziej obawiały jego uwagi, a potem brutalnie wprowadzał je w obowiązki niewolnicy imperatora i jego łoża. Gdy zasypiał, Kahlan tuliła przerażoną kobietę, mówiąc jej, że pewnego dnia będzie lepiej, i pocieszając, jak tylko umiała.

Może robił tak, ponieważ uwielbiał takie rzeczy, ale była to jedynie uboczna korzyść. Ale przede wszystkim chodziło mu o to, żeby bezustannie przypominać Kahlan, co ją czeka, kiedy wróci jej pamięć.

Kahlan chciała, żeby jej pamięć nigdy nie wróciła. Odzyskanie pamięci byłoby jej klęską.

Teraz, kiedy wreszcie dotarli na miejsce przeznaczenia, będzie więcej czasu na rozgrywkę Ja'La. Kahlan sądziła, że będą turnieje. Miała nadzieję, że to odwróci od niej uwagę Jaganga, zajmie go. Będzie musiała mu towarzyszyć - musiała się trzymać blisko - ale to było o wiele lepsze, niż być z nim sam na sam.

Gdy dotarli do namiotów imperatora, początkowo się zdziwiła, że jego sektor i w ogóle cały obóz jest tak daleko od ich odległego celu. A był tak blisko. Wydawało się, że wystarczy jeszcze godzina, dwie jazdy, a dotrą tam.

Kahlan nie zapytała, dlaczego się tak nagle zatrzymali, ale poznała powód, kiedy oficerowie zjawili się wieczorem na odprawę.

- Chcę, żeby tej nocy wszystkie Siostry czuwały - zalecił im Jagang. - Nie wiadomo, jakie złe moce wróg może na nas zesłać z tak niewielkiej odległości.

Kahlan zauważyła, że stojące w pobliżu Siostry Ulicia i Armina z ulgą przyjęły te rozkazy. Oznaczało to, że nie będą musiały tej nocy zabawiać żołnierzy. W trakcie trwającego długie tygodnie marszu niemal co wieczór były wysyłane do namiotów za występki przeciwko Jagangowi. Obie

postarzały się o całe lata.

Niegdyś były dość atrakcyjnymi kobietami - teraz już nie. Obie utraciły całą urodę. Ich oczy z ciemnymi workami były puste i półprzytomne. Błękitne jak niebo oczy Siostry Arminy zawsze patrzyły z lekkim zdziwieniem, jakby nie mogła uwierzyć w swój los. Twarze im się pobruździły, przez co wyglądały na wycieńczone i przybite. Zawsze były brudne, włosy miały skudłone, a suknie podarte. Często pojawiały się rankiem posiniaczone.

Kahlan nie lubiła patrzeć, jak inni cierpią, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia dla tych dwóch. Gdyby nie one, nie znalazłaby się w rękach człowieka, który tylko odliczał chwile do odzyskania przez nią pamięci, żeby ochoczo zacząć zadawać jej cierpienie, które - jak jej obiecał - będzie nie do wytrzymania, tak fizycznie, jak i psychicznie. Nieraz obiecywał jej, że kiedy odzyska pamięć, to ją zapłodni, ona zaś urodzi mu dziecko. Zawsze twierdził, że chłopca. Zawsze też w zawołanych słowach dodawał, że gdy odzyska pamięć, w pełni zrozumie, jakim potworem będzie dla niej taki męski potomek.

Z punktu widzenia Kahlan cokolwiek Jagang robił tym dwóm kobietom, i tak było to za mało.

Nie chodziło jej tylko o to, co jej uczyniły. Ze strzępków rozmów, które złożyła w całość, zorientowała się w charakterze ich intrygi i tym, co obie chciały wyrządzić wszystkim. Już samo to wystarczało, by żadne traktowanie nie było dla nich zbyt brutalne. Jednak gdyby to ona miała decydować, po prostu skazałaby je na śmierć. Kahlan nie ceniła tortur. Uważała, że te dwie zwyczajnie nie zasługują na to, by żyć. Zrzekły się prawa do istnienia, popełniając wyrządzone dotychczas ludziom krzywdy, a już zwłaszcza przez to, że zamierzały pozbawić innych życia. Z tego samego powodu zasługiwała na śmierć cała ta armia.

Kahlan pragnęła jedynie, by i Jaganga spotkał podobny los.

- Przynajmniej ich armia uciekła - powiedział do imperatora jeden ze starszych oficerów, kiedy odprowadzano konia wodza. Inny żołnierz zabrał klacz Kahlan.

Temu oficerowi brakowało połowy lewego ucha. Dawno temu się wygoiło i zrobiła się tam bardzo rzucająca się w oczy narośl. Żołnierze, którzy nie zdołali tego zignorować, czasem tracili ucho.

- Nie zostali im żadni obrońcy - dodał drugi oficer.
- Jestem przekonany, że tam, na górze, mają ludzi z darem - powiedział Jagang - ale to nie powinna być przeszkoda, która nas powstrzyma.

- Raporty zwiadowców i szpiegów mówią, że droga na stoku jest wąska, za wąska na zmasowany atak. Jest tam także most zwodzony, który podnieśli. Trudno będzie tą drogą ściągnąć materiał, a potem się bronić, próbując przerzucić most nad przepaścią. Zamknięto również wielkie wrota prowadzące do wewnętrznej drogi na płaskowyż. Przez tysiące lat opierały się wszelkim atakom. Poza tym mający dar informują, że ich moc słabnie w pobliżu pałacu.

Jangang się uśmiechnął.

- Mam pewne pomysły.

Kiedy imperator i oficerowie rozmawiali, Kahlan zauważyła w oddali grupkę jeźdźców gnających na złamanie karku przez obóz. Nadciągali od południa. Gwałtownie zatrzymywali konie przy każdym punkcie kontrolnym, rozmawiali krótko z wartownikami i byli przepuszczani.

Jangang też zauważył jeźdźców. Rozmowa ucichła i oficerowie oraz ich wódz patrzyli, jak konni docierają do wewnętrznej ochrony i zsiadają w chmurze pyłu. Czekali przy ostatnim kręgu na pozwolenie wejścia do imperatorskiego sektora.

Zbliżyli się, kiedy Jangang dał znak. Spieszyli się, chociaż wyglądali na bardzo zmęczonych.

Idący na przodzie był zylasty, starszy, o twardym spojrzeniu ciemnych oczu. Zasalutował.

- I cóż jest aż tak naglącego? - zapytał Jangang.

- Ekscelencjo, zaatakowano miasta Starego Świata.

- Ach tak. - Jangang westchnął, zniecierpliwiony. - Pewnie to ci buntownicy, głównie z Altur'Rang. Jeszcze się z nimi nie rozprawiono?

- Nie, Ekscelencjo, to nie buntownicy, chociaż i oni sprawiają kłopoty, dowodzeni przez tego jakiegoś kowala. Zbyt wiele miast zostało zaatakowanych, żeby to mogła być robota buntowników.

Imperator zerknął na niego podejrzliwie.

- Które miasta zaatakowano?

Żołnierz wyciągnął zwój zza zakurzonej koszuli.

- Oto lista tych, które do tej pory spisaliśmy.

- Do tej pory? - Jagang uniósł brew, rozwijając zwój.

- Tak, Ekscelencjo. Wieści mówią, że przez kraj przetacza się fala zniszczenia.

Jagang przeglądał długą listę miast. Kahlan usiłowała dyskretnie spoglądać na raport kątem oka. Widziała dwie kolumny nazw miast i miasteczek. Na zwoju musiano spisać ponad trzydzieści pięć, czterdzieści miejscowości.

- Nie rozumiem, co ma oznaczać „przetacza się przez kraj” - warknął Jagang. - To są rozrzucone tu i tam miejscowości. Nie leżą w jednej linii, w grupie czy jednym fragmencie Starego Świata. Są rozrzucone po całym obszarze.

Żołnierz odkaszlnął.

- Tak, Ekscelencjo. Tak mówi raport.

- Coś musiało zostać wyolbrzymione. - Dla podkreślenia swoich słów imperator dźgał papier tłustym paluchem; srebrne pierścienie na każdym palcu połyskiwały w gasnącym świetle. - Na przykład TakaMar. Zaatakowano TakaMar? Niezadowolony tłum niewiele by zyskał, atakując to miasto. Stacjonował tam garnizon wojska. To punkt tranzytowy dla konwojów z zaopatrzeniem. Byli tam nawet Bracia z Bractwa Ładu, którzy czuwali nad miastem.

Nie pozwoliliby, żeby hołota szalała w TakaMar. Ten raport na pewno jest wyolbrzymiony przez nerwowych głupców, którzy się boją własnego cienia.

Żołnierz skłonił się przepaszająco.

- TakaMar, Ekscelencjo, to jedno z miast, które widziałem na własne oczy.

- No i?! - ryknął Jagang. - Coś widział?! Gadaj!!!

- Przy wszystkich drogach do miasta stoją pale z osmalonymi czaszkami - zaczął kurier.

- Ile tych czaszek? - Imperator niedbale machnął ręką. - Kilkadziesiąt? Ze sto?

- Ekscelencjo, tego się nie dało zliczyć. Poprzestałem na kilku tysiącach, a gdzie tam jeszcze było do pełnej liczby. Miasto już nie istnieje.

- Nie istnieje? - zdumiał się Jagang. - Jak to, nie istnieje? Przecież to niemożliwe.

- Zostało spalone do gołej ziemi, Ekscelencjo. Nie ostał się ani jeden budynek. Pożary tak szalały, że nie wytrzymał tego żaden budulec. Wycięto wszystkie sady, aż do wzgórz. Całe mile okolicznych pól, gotowych do zbiorów, wypalono. Ziemię zasolono. Już nigdy nic tam nie urośnie. Żyzna niegdyś gleba niczego już nie zrodzi. Zupełnie jakby to wszystko zniszczył Opiekun we własnej osobie.

- Gdzie byli żołnierze?! Czym się wtedy zajmowali?!

- Czaszki na palach należały do stacjonujących tam żołnierzy. Obawiam się, że absolutnie wszystkich.

Jagang zerknął na Kahlan, jakby jakimś sposobem była odpowiedzialna za tę katastrofę. Gniewne spojrzenie uświadomiło jej że z jakiegoś powodu łączy ją z tymi tarapatami. Zgniół papier w pięści i znów popatrzył na kuriera.

- A co z Braćmi Ładu? Powiedzieli, co się stało i dlaczego nie zdołali tego powstrzymać?

- W TakaMar było sześciu Braci, Ekscelencjo. Zostali nabici na pale ustawione pośrodku dróg prowadzących do miasta. Obdarto ich ze skóry od szyi w dół. Na głowach mieli swoje birety, żeby każdy wiedział, kim byli. Mieszkańcy, którzy uciekli z miasta, mówią, że atak nastąpił nocą. Byli tak przerażeni, że niezbyt wiele zdołaliśmy z nich wyciągnąć. Wiem tylko, że napastnicy to żołnierze imperium D'Hary. Tego wszyscy byli pewni. Wszyscy stracili swoje domy. Napastnicy nie próbowali zabijać uciekinierów, jeżeli nie stawiali oporu, ale nie taili przed nimi, że zamierzają spustoszyć cały Stary Świat i ubić każdego, kto wspiera Imperialny Ład. Powiedzieli im, że to Ład i jego nauki ściągnęły na nich to nieszczęście i doprowadzą do ruiny tak ich, jak i ich - krainę. Przysięgali, że będą prześladować mieszkańców Starego Świata aż po grób, a potem i do najciemniejszych zakamarków zaświatów, jeżeli nie odrzucą nauk Ładu i płynących z nich agresywnych obyczajów.

Kahlan dopiero wtedy uświadomiła sobie, że się uśmiecha, gdy Jagang się ku niej okrzyknął i tak dał jej w twarz, że upadła. Wiedziała, że tej nocy pobije ją do krwi.

Ale nie dbała o to. Niech tam, ale usłyszała, co usłyszała. Nie mogła przestać się uśmiechać.

Rozdział 55

Nicci ciasniej otuliła się peleryną i oparła ramieniem o wielką kamienną blankę. Popatrzyła przez krenelaż na wijącą się daleko w dole drogę, obserwując czterech jeźdźców zmierzających ku wieży. Byli jeszcze dość daleko, ale raczej się domyślała, kto to może być.

Ziewnęła i spojrzała na leżące poniżej Aydindril oraz rozległe okoliczne lasy. Żywe barwy jesieni zaczynały blaknąć. Widok drzew porastających stoki gór i duma, z jaką ogłaszały zmianę pór roku, sprawiły, że pomyślała o Richardzie. Kochał drzewa. Nicci też zaczęła je kochać, ponieważ przypominały jej o nim.

Widziała drzewa również w innym świetle. Odmierzały upływ czasu, zmiany pór roku, zmianę schematów, które były teraz także częścią jej świata, przez swe związki ze wszystkim, co czytała w Księdze życia. Wszystko było misternie splecione - jak działała moc Ordenu i jak owa moc funkcjonowała poprzez swój związek ze światem życia. Świat, pory roku, gwiazdy i fazy księżyca były elementami równania, które składały się na moc Ordenu i które trzymały ją w ryzach. Im dłużej czytała i im więcej się dowiadywała, tym lepiej wyczuwała wokół siebie tętno czasu i życia.

Nabrała również pewności, że Richard nauczył się fałszywego klucza.

Nigdy nie powiedziała tego Zeddowi. W tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Poza tym trudno to było wytłumaczyć. Chodziło nie tyle o to, co mówiła Księga życia, ile o to, jak mówiła. Księga była w innym języku, nie tylko w górnod'harańskim. Choć spisano ją w górnod'harańskim, jej właściwym językiem były wzajemne połączenia z mocą wzywaną poprzez tekst. Formuły, zaklęcia i procedury były tylko jednym aspektem.

Na wiele sposobów przypominało to Nicci, jak Richard tak przekonująco opowiadał o języku symboli i emblematów. Zaczynała rozumieć, o co mu chodziło, kiedy widziała to wyłożone w Księdze życia. Zaczynała widzieć linie i załamania w pewnych formułach jako swego rodzaju język. Zaczynała naprawdę pojmować, o co chodziło Richardowi.

Księga życia zmusiła Nicci do innego spojrzenia na świat życia, a to bardzo przypominało jej sposób, w jaki Richard patrzył na świat przez pryzmat ekscytacji, zachwytu i miłości istnienia. W pewnym sensie było to

dogłębne rozpoznanie właściwej natury rzeczy i ujrzenie ich takimi, jakie są, a nie takimi, jak je sobie wyobrażają ludzie.

Po części było tak, ponieważ Księga życia to nie tylko magia addytywna, ale i subtraktywną, podobnie jak śmierć jest częścią procesu życia. Tekst obejmował całość. Dlatego Nicci nie mogła tego wyjaśnić Zeddowi. On nie miał daru magii subtraktywnej. Czyli brakowało mu tego, co było niezbędne do zrozumienia Księgi życia. Mogłaby wytłumaczyć mu formuły, wyłożyć procedury, pokazać zaklęcia, ale większość z tego byłby w stanie oglądać jedynie poprzez filtr swoich ograniczonych uzdolnień. Część zdołałby pojąć rozumowo, lecz nie mógłby tego przeprowadzić.

To tak, jakby ktoś słyszał o miłości, rozumiał głębię tego uczucia oraz to, jak ono wpływa na ludzi, lecz sam nigdy go nie doświadczył. Bez osobistego doświadczenia były to jedynie akademickie, jałowe rozważania.

Nie poznasz magii, póki jej nie poczujesz.

Właśnie w ten sposób Nicci uświadomiła sobie, że Richard nauczył się fałszywego klucza. Miała rację, mówiąc wcześniej, że jeżeli osoba, która włączyła szkatuły do gry, pomyli się co do właściwego użycia prawdziwego klucza, to zostanie zniszczona wraz ze szkatułami. Ale kryło się za tym coś jeszcze. Istniała cała skomplikowana natura procesów związanych z użyciem szkatuł, ukazująca tę koncepcję w sposób, który słowa jedynie opisywały bardziej uproszczoną i skondensowaną metodą.

Poprzez przedstawione w książce mechanizmy mogła dojrzeć, jak działa moc. Przez bardziej dogłębne zrozumienie tego działania mogła pojąć, jak magia, jeśli się ją wyzwoli, potrzebuje klucza dla dopełnienia. Poprzez zrozumienie owego procesu pojmowała, że jeżeli klucz został niewłaściwie użyty, to same szkatuły niechybnie ulegną zniszczeniu, a wraz z nimi osoba, która popełniła ów fatalny błąd. Magia po prostu nie mogła pozwolić na brak dopełnienia.

To jakby się rzuciło kamień, a ten - bez żadnego zewnętrznego oddziaływania - zawisłby w powietrzu, zamiast spaść na ziemię. Tak się po prostu nie może stać. Podobnie magia Ordenu działa według własnych praw. I zgodnie z tymi prawami musi zniszczyć szkatuły, jeżeli klucz zostanie niewłaściwie użyty. Kamień musi spaść.

Gdy Richard wykorzystał zapamiętany tekst, który uważał za Księgę Opisaną Mroków, zmienił go, by skłonić Rahla Posępnego do otwarcia

niewłaściwej szkatuły. Ale była to jedynie niewłaściwa szkatuła, wskazana w sprytniej imitacji, która podszywała się pod związki z Księgą życia. Atak naprawdę była to tylko podróbka, fałszywy klucz. Gdyby był prawdziwy i gdyby go w ten sposób niewłaściwie wykorzystano, szkatuły już by nie istniały.

Fałszywy klucz, sprytna podróbka, nie mógł sprawić, żeby magia Ordenu zniszczyła szkatuły. Ale prawdziwy klucz, użyty w taki sposób, spowodowałby zapadnięcie się struktury zaklęcia i zniszczenie szkatuły.

W końcu szkatuły Ordenu powstały jako przeciwwaga dla zaklęcia chainfire. Błędne użycie klucza oznaczało, że ktoś nie mający właściwych intencji i wiedzy usiłuje zdobyć dostęp do mocy Ordenu, ingerując w to, do czego została stworzona. Księga życia wyraźnie informowała, że w strukturze form zaklęć istnieje zabezpieczenie, które - gdyby wszystko nie zostało zrobione jak trzeba, czyli dopełnione kluczem we właściwy, opisany sposób - doprowadzi do autodestrukcji formuł i uroków. W całkiem podobny sposób Richard zniszczył sieć weryfikacji, żeby uratować Nicci.

Prawda była taka, że Richard nauczył się fałszywego klucza.

- Co jest? - rozległ się głos Zedda.

Nicci obejrzała się przez ramię. - Stary czarodziej maszerował szerokim rampartem. Wiedziała, że musi odłożyć na bok te rozważania. Gdyby powiedziała teraz Zeddowi o fałszywym kluczu, tylko by go skłoniła do dyskusji. A to by do niczego nie doprowadziło.

W końcu tak naprawdę to Richard powinien się dowiedzieć, że nauczył się fałszywego klucza.

- Czterej jeźdźcy - poinformowała go Nicci.

Zedd zatrzymał się przy ścianie. Spojrzał w dół i chrząknął na znak, że ich widzi.

- Wygląda mi to na Toma i Friedricha - odezwała się Cara. - Musieli znaleźć kogoś kręcącego się w pobliżu.

- Raczej nie - powiedziała Nicci. - Nie wyglądają na więźniów. Widzę błysk stali. Mężczyzna ma broń. Tom rozbroiłby każdego, kto by mu się wydał podejrzany. A drugi jeździec wygląda jak dziewczynka.

- Rachel? - spytał Zedd, marszcząc brwi i bardziej się wychylając, żeby lepiej widzieć drogę między drzewami; jeszcze parę dni i te złocistobrązowe liście znikną na zimę. - Naprawdę myślisz, że to może być ona?

- Tak mi się wydaje - rzekła Nicci. Odwrócił się i przyjrzał jej krytycznie.

- Okropnie wyglądasz.

- Dziękuję ci bardzo. To właśnie kobieta chciałaby usłyszeć od dżentelmena.

Sapnięciem zbył swoją obcesowość.

- Kiedy ostatnio choć trochę spałaś? Czarodziejka znowu ziewnęła.

- Bo ja wiem? Latem, kiedy wróciłam z Pałacu Ludu z tą książką Skrzywił się na tę mało udaną próbę dowcipkowania. Nie wiedziała, dlaczego próbuje być przy nim zabawna. Zedd potrafił doprowadzić ludzi do śmiechu samym chrząknięciem. Za to ilekroć ona powiedziała coś jej zdaniem zabawnego, wszyscy tylko się na nią gapili, jak teraz Cara.

- Jak idzie?

Nicci wiedziała, o co mu chodzi. Odgarnęła z twarzy włosy, przytrzymując je przed wiatrem.

- Przydałaby mi się twoja pomoc przy pewnych mapach nieba i obliczeniach kątów. Przyspieszyłoby to sprawy, gdybym nie musiała tego robić sama. Zajęłabym się dalszym tłumaczeniem i innymi problemami.

Zedd czule dotknął pleców czarodziejki i delikatnie je pomasaował, dodając jej otuchy.

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim? - spytała, znów ziewając.

- Że się trochę prześpisz. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Zgoda, Zeddzie. - Wskazała podbródkiem. - Ale najpierw chodźmy się przekonać, kim są nasi goście.

Akurat wychodzili z wielkich drzwi wieży przy bocznym wejściu z padokiem, kiedy jeźdźcy wynurzyli się z łukowatego przejścia w murze.

Tom i Friedrich towarzyszyli Chase'owi i Rachel. Włosy małej były krótko obcięte, a Chase był zaskakująco zdrowy jak na człowieka zranionego Mieczem Prawdy.

- Chase! - krzyknął Zedd. - Ty żyjesz!

- Martwy raczej nie jechałby w siodle. - Cara zachichotała. Nicci spojrzała na Mord-Sith, zaciekawiona, skąd u niej tak nagłe poczucie humoru.

- Znaleźliśmy ich, gdy wracali - odezwał się Tom. - To pierwsi ludzie, jakich zobaczyliśmy od miesięcy.

- Dobrze, że Rachel wróciła - dodał Friedrich. Starszy pan patrzył na

dziewczynkę z uśmiechem, dając jej do zrozumienia, jak bardzo poważnie to mówi.

Zedd pochwycił Rachel, kiedy zsuwała się z siodła, a Cara wzięła cugle.

- Ależ ty się robisz ciężka - rzekł czarodziej.

- Chase mnie ocalił - oznajmiła dziewczynka. - Był okropnie dzielny. Trzeba było go widzieć. Sam jeden zabił setkę żołnierzy.

- Setkę! No, no, jaki wspaniały czyn.

- Jednego dźgnęłaś dla mnie w nogę - odezwał się strażnik, zsiadając z konia. - Inaczej miałbym tylko dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Rachel wierzgnęła nóżkami, dając znak, że chce na ziemię.

- Przywiozłam coś ważnego, Zeddzie.

Postawił ją, a ona odczepiła od siodła skórzany worek. Przyniosła go ku granitowym schodom, położyła na stopniu i odwiązała rzemyk.

Kiedy odsunęła skórę, w rześkim późnojesiennym dniu objawiła się ciemność. Nicci miała wrażenie, że patrzy w atramentowy mrok oczu Jaganga.

- Rachel, skąd to masz? - zdumiał się Zedd.

- Miał to ten Samuel, który ma miecz Richarda. Dźgnął Chase'a i zabrał mnie ze sobą. Potem dał to wiedźmie Six i Violet, królowej Tamarang, chociaż wątpię, czy ona dalej jest królową. Nawet nie wiesz, jaka ta Six jest zła.

- Chyba potrafię to sobie wyobrazić - uspokoił ją Zedd. Z lekkim trudem nadążając za opowieścią, uniósł trochę skórzany worek, żeby lepiej zajrzeć do środka.

Nicci, wpatrzona w stojącą przed nią na schodach jedną ze szkatuł Ordena, miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła. Po całych tygodniach studiowania książki omawiającej szkatuły widok jednej z nich zadziwiał i niepokoił. Teoria to jedno, a ujście prawdziwego obiektu to zupełnie co innego.

- Nie mogłam im tego zostawić - oznajmiła Rachel. - Więc kiedy nadarzyła się okazja ucieczki, ukradłam to i zabrałam ze sobą.

Zedd zwichrzył krótkie blond włosy.

- Dobrze zrobiłaś, mała. Zawsze wiedziałem, że jesteś świetna. Rachel objęła czarodzieja za szyję.

- Six kazała Violet rysować podobizny Richarda. Bałam się, patrząc na to,

co robiły.

- W pieczarze? - spytał Zedd. Kiedy Rachel potaknęła, spojrzął na Nicci. - To wiele wyjaśnia.

Nicci podeszła bliżej.

- Był tam Richard? Widziałaś go? Rachel pokręciła główką.

- Nie. Six zniknęła pewnego dnia. Kiedy wreszcie wróciła, powiedziała Violet, że prowadziła go do zamku, ale pojmał go Imperialny Ład.

- Imperialny Ład... - rzekł Zedd.

Nicci starała się sobie wyobrazić, co było gorsze: Richard w łapach więdźmy czy pojmany przez Imperialny Ład.

Pomyślała, że najgorsze to Richard pozbawiony daru, miecza i będący więźniem Ładu.

Rozdział 56

Kahlan ciasniej opatulila się peleryną, idąc obok imperatora, jego stała, potulna towarzyszka. Nie był to jej wybór - zmuszono ją do tego czynem lub groźbą. Nocą sypiała na dywanie obok jego łoża, żeby nie zapomniała, gdzie skończy. Za dnia była zawsze u jego boku, jak pies na smyczy. Jej „smyczą” była żelazna obroża, za pomocą której zawsze mógł ją zmusić do posłuszeństwa.

Nie potrafiła pojąć, z czego mogła się zrodzić taka zapiekła nienawiść do niej, co go napępniało takim pragnieniem ukarania jej za grzechy, którymi obarczał wszystkich wrogów. Zasługiwał na wszystko, co zrobiła, żeby zapewnić sobie taką nienawiść.

Kiedy przez obóz przemknął lodowaty zimowy wichur, Kahlan osłoniła peleryną policzek, a żołnierze odwracali twarze od kłębow niesionego wichrem piachu. Jesień szybko się kończyła, lada chwila miała zapanować zima. Kahlan podejrzewała, że na otwartych równinach wokół płaskowyżu z Pałacem Ludu wcale nie będzie przyjemnie, lecz wiedziała, że Jagang za nic nie wypuści tej kości z zębów. Był nieustępliwy i wytrwały.

Podobno gdzieś we wnętrzu płaskowyżu kryła się następna kopia Księgi Opisania Mroków i Jagang zamierzał ją zdobyć.

Na równinach Azrith trwała budowa. Ciągnęła się przez jesień i Kahlan wiedziała, że potrwa w zimie, nawet całą zimę, gdyby było trzeba. Jeżeli, oczywiście, ziemia nie zamarźnie. Podejrzewała, że Jagang ma plany i na taki wypadek - zapewne ogniska, żeby nie dawały ziemi zamarznąć. Sądziła też, że nawet zamarzającą ziemię da się kopać, jeśli będzie sucho.

Nie można było wyłamać wielkich wewnętrznych drzwi do wnętrza płaskowyżu, a droga na stoku zupełnie się nie nadawała do szturmowania taką masą żołnierzy.

Jagang miał rozwiązanie tego problemu.

Zamierzał zbudować wielką drogę podjazdową, która pozwoli jego armii pomaszerować wprost pod mury pałacu na płaskowyżu. Powiedział swoim oficerom, że kiedy już dotrą pod mury, pomogą im się przez nie przedrzeć maszyny oblężnicze. Ale najpierw muszą się tam dostać.

W tym celu daleko za rozległym obozowiskiem, bliżej płaskowyżu, armia

budowała rampę. Szerokość owej rampy była oszałamiająca. Musiała być szeroka z dwóch powodów, obu równie ważnych. Po pierwsze, by przypościć atak na tyle zmasowany, żeby obrońcy nie mogli go odeprzeć. Po drugie, płaskowyż wznosił się wysoko ponad równiny Azrith, zatem żeby rampa mogła go dosięgnąć i nie zawalić się, musiała mieć imponującą podstawę. Właściwie musieli zbudować przy płaskowyżu górę, żeby się dostać na jego szczyt. Istotnie, Jagang był zawzięty i wytrwały.

Od osiągnięcia założonego celu dzieliła ich zniechęcająca odległość. Ze względu na wymaganą wysokość rampa musiała być okropnie długa, by można było doprowadzić po niej żołnierzy i podtoczyć maszyny pod same mury Pałacu Ludu.

Początkowo zdawało się, że to szalony pomysł, projekt niemożliwy do zrealizowania, ale zadziwiające, co mogą osiągnąć miliony nie mających nic innego do roboty żołnierzy i zdeterminowany imperator, który w ogóle nie dba o ich dobro. Dopóki było jasno, a czasem również przy blasku pochodni, długie, wijące się rzędy żołnierzy niosły pojemniki z ziemią i kamieniami na budowę stale wydłużającej się rampy lub wykopywały wielkie hałdy potrzebnych materiałów. Kamienie mieszano z ziemią, żeby tworzywo było solidniejsze. Inni żołnierze zwykłymi ciężkimi ubijakami utwardzali świeżo narzucaną ziemię.

Niemal wszyscy żołnierze z obozu brali udział w tym przedsięwzięciu. Chociaż praca była nużąca i zniechęcająca, przy tak ogromnej liczbie robotników stale postępowała. Rampa nieustannie rosła. Oczywiście, im się stawała wyższa, tymi więcej czasu pochłaniała, bo potrzeba było coraz więcej materiałów.

Kahlan uważała, iż to zrozumiałe, że tacy ludzie prochem sposobią się do ataku na marmurową budowlę. Pasowało to do filozofii Ładu - grzebać się w pyle i prochu ziemi, by zniszczyć jedno z najwspanialszych dzieł człowieka.

Nie miała pojęcia, ile czasu może zająć dokończenie tego projektu, ale Jagang nie zamierzał odstępować od swojego planu, póki go nie zrealizuje. Koniec był już w zasięgu wzroku, jak lubił powtarzać swoim oficerom, i oczekiwał od nich całkowitego oddania i poświęcenia się wspólnemu szlachetnemu celowi. Był nieprzejednany w swojej determinacji zdobycia ostatniego bastionu wolności.

Kiedy ze skraju imperatorskiego sektora obserwowali budowę, Kahlan

zauważyła konnego posłańca. Na południu widziała długą smugę kurzu wzbijanego przez zbliżający się konwój zaopatrzeniowy. Przyglądała mu się od wielu godzin, a teraz jadące przodem wozy zaczynały wjeżdżać na teren obozu.

Jagangowi ulżyło, że konwój z zaopatrzeniem wreszcie się pojawił. Tak liczna armia wymagała wszelkiego rodzaju stałych dostaw, przede wszystkim żywności. Na równinach Azrith nie mieli gdzie zdobywać pożywienia: nie było tu farm, zasiewów, stad zwierząt domowych. Utrzymanie armii przy życiu i w kondycji niezbędnej do budowy sięgającej nieba rampy imperatora wymagałoby stałych dostaw ze Starego Świata.

Posłaniec zsiadł z konia, zbliżył się i cierpliwie czekał. Jagang wreszcie skinął na niego i na kilku oficerów.

Żołnierz się skłonił.

- Ekscelencjo, przybyłem z dostawami przysłanymi przez dobrych ludzi z naszych rodzinnych stron. Wielu z poświęceniem zadbało o to, żeby nasze dzielne oddziały miały to, co niezbędne do pokonania wroga.

- Z całą pewnością przydadzą nam się te dostawy. Wszyscy żołnierze ciężko pracują i muszą dbać, żeby zachowali siły.

- Z naszym konwojem przyjechało też kilka drużyn Ja'La dh Jin, które chcą się przyłączyć do turnieju w nadziei, że pewnego dnia będą miały zaszczyt walczyć ze sławną ekipą Ekscelencji.

- Co to za drużyny? - spytał z roztargnieniem Jagang, przeglądając pismo, które wręczył mu posłaniec.

- Większość to zespoły żołnierzy z rozmaitych dywizji. Jedna należy do dowódcy naszego konwoju. Oprócz własnych żołnierzy ma w niej ludzi z Nowego Świata, zebranych w drodze na północ. Uważa, że drużyna z takimi ludźmi z Nowego Świata dostarczy Ekscelencji rozrywki.

Jagang skinął głową, czytając.

- Tym poganom dobrze zrobi nauka naszych obyczajów. Ja'La dh Jin to dobry sposób wprowadzenia innych ludów w naszą kulturę i zwyczaje. Odwraca proste umysły od jałowej egzystencji, którą wszyscy musimy przecierpieć w tym pozbawionym znaczenia życiu.

Tamten się skłonił.

- Tak, Ekscelencjo.

Jagang wreszcie skończył czytać i podniósł wzrok.

- Słyszałem plotki. Czy ta drużyna z brańcami jest taka dobra, jak mi się obiko o uszy?

- Wydają się wspaniali, Ekscelencjo. Pokonali drużyny, których nie powinni pokonać. Najpierw myślano, że to po prostu szczęśliwy traf. Ale teraz już nikt tak nie myśli. Mówi się, że mają najlepszego z rozgrywających.

Jagang mruknął z niedowierzaniem.

- Najlepszy to jest w mojej drużynie. Kurier skłonił się pokornie.

- Tak, Ekscelencjo. Oczywiście masz rację.

- Jakie wieści przywiozłeś z naszych rodzinnych stron? Żołnierz się zawahał.

- Przykro mi, Ekscelencjo, ale muszę przekazać niepokojące informacje. Kiedy w Starym Świecie formował się konwój z dostawami, który miał wyruszyć po nas, napadnięto na niego i zniszczono. Wszyscy rekruci, którzy mieli być wysłani na północ, żeby zasilić naszą armię... Obawiam się, Ekscelencjo, że wszystkich zabito. Ich głowy zatknięto na stojące wzdłuż drogi pale. Linia pali ciągnęła się od jednego miasta do drugiego, a oba spalono do cna. Płonie wiele miast, lasów, pól. Pożary są tak intensywne, że przy odpowiednim wietrze wyczuwaliśmy dym nawet tak daleko na północy. Trudno się zorientować, co się w istocie dzieje, ale wiadomo, że to dzieło żołnierzy z Nowego Świata.

Jagang spojrział na Kahlan. Podejrzewała, że sprawdza, czy się uśmiechnie, jak poprzednim razem. Nie musiała się uśmiechać. Mogła zachowywać kamienną twarz i radować się w duchu. Miała wrażenie, że wiwatuje na cześć tych nieznanych żołnierzy, którzy zaczynali irytować Jaganga wyrządzanymi przez siebie szkodami.

Równie złe jak same spustoszenia były pogłoski szerzące się w obozie. Napaści w ich rodzinnych stronach denerwowały żołnierzy, którzy zawsze uważali, że Stary Świat jest nie tylko odporny na ataki, ale i niezwyciężony. Pogłoski szerzyły się wśród żołnierzy i olbrzymiały. Jagang już skazał pewną liczbę żołnierzy, którzy roznosili takie wieści. Kahlan miała nikłe kontakty z żołnierzami - większość i tak jej nie widziała - zatem nie wiedziała, czy egzekucje wyciszyły te plotki. Niemniej w to wątpiła. Skoro denerwowały żołnierzy same pogłoski o takich sprawach, mogła sobie wyobrazić, jaki strach zaczyna ogarniać mieszkańców Starego Świata. Ich armia gdzieś daleko szukała zwycięstwa, a oni pewnie - myślała - są właściwie bezbronni.

- Raporty donoszą, Ekscelencjo, że ci łupieżcy niszczą wszystko na swojej drodze. Palą zasiewy, zabijają inwentarz, burzą młyny, rozbijają zapory, rujnują każdy warsztat produkujący na potrzeby naszych szlachetnych wysiłków szerzenia słowa Ładu. Szczególnie ciężko doświadczani są ci, którzy wspierają naszych ludzi, przekazując im nauki Ładu. Ci, którzy zaszczipiają potrzebę poświęcenia się, by wesprzeć nasze wysiłki zmierzające do zniszczenia pogan z północy.

Jagang na pozór zachowywał spokój, ale i Kahlan, i obserwujący go oficerowi wiedzieli, że wewnątrz gotuje się z wściekłości.

- Wiadomo coś o tym, kto atakuje naszych nauczycieli, naszych przywódców? Jakiś konkretny wróg?

Żołnierz znowu skłonił się pokornie.

- Ekscelencjo, z przykrością donoszę, że wszystkim naszym nauczycielom i Braciom, których zamordowano przy próbach szerzenia nauk Ładu i Stwórcy... hmm... każdemu z nich brakowało prawego ucha.

Jagang spurpurowiał z wściekłości. Kahlan widziała, jak mu pracują mięśnie, kiedy zaciskał zęby.

- Myślisz, Ekscelencjo, że to mogą być ci sami ludzie, którzy prześladowali nas, kiedy wkraczaliśmy w głąb Midlandów? - zapytał jeden z oficerów.

- Jasne, że tak!!! - zaryczał Jagang. - Chcę, żeby coś w tej sprawie zrobiono - polecił oficerom. - Zrozumiano?

- Tak, Ekscelencjo - odparli chórem, skłonili głowy i już ich nie podnieśli.

- Życzę sobie, by położono kres tym niedogodnościom. Potrzebny nam stały napływ konwojów zaopatrzeniowych. Jesteśmy bliscy zakończenia tej wojny wspaniałym zwycięstwem. Nie pozwolę, żeby nasze wysiłki poszły na marne. Zrozumiano?

- Tak, Ekscelencjo - odparli chórem i jeszcze niżej pochyłili głowy.

- No to do roboty. Wszyscy!!!

Szybko odeszli wypełniać rozkazy. Jagang ruszył za swój sektor. Kahlan poczuła płynący z obroży prąd bólu, który nakazywał, by dotrzymała mu kroku. Jak zawsze, Jaganga otoczyli zbrojni - jego królewska świta i straż.

Rozdział 57

Richard wyglądał przez pręty małego okienka w bocznej ścianie żelaznej klatki, a wóz, podskakując, toczył się przez rozległe obozowisko.

- Rubenie, rzuć no na to okiem - odezwał się Johnrock. Uchwycił się prętów i uśmiechał, zachwycony tym, co widział.

Richard obejrzał się na towarzysza.

- Niezły widok - przyznał.

- Myślisz, że jest tu ktoś, kto nas pokona?

- Wcześniej czy później się o tym przekonamy - odparł Richard.

- Mówię ci, Rubenie, chętnie bym spróbował roztrzaskać parę głów w ekipie imperatora. - Zerknął z ukosa na chłopaka. - Myślisz, że jak pokonamy ekipę imperatora, to nas puszczą do domu?

- Poważnie mówisz? Tamten się zaśmiał.

- To był żart, Rubenie.

- Marny - orzekł Richard.

- Pewnie tak. - Johnrock westchnął. - Mówią, że ekipa imperatora jest najlepsza. Nie chciałbym znów poczuć tego bicia.

- I mnie jeden raz wystarczy.

Dzielili żelazną klatkę od pojmania Richarda w Tamarang. Johnrock już był więźniem. Był wielkim mężczyzną, młynarzem z południowych rejonów Midlandów. Zanim konwój zaopatrzeniowy dotarł do jego wioski, pojawił się tam patrol i żołnierze uznali, że - zważywszy na jego posturę - Johnrock będzie wspaniałym uzupełnieniem ekipy.

Richard nie wiedział, jak Johnrock się naprawdę nazywa.

Kazał mówić do siebie Johnrock, bo był wielki i miał krzepkie mięśnie od dźwigania worków z ziarnem. On znał Richarda jako Rubena Rybnika. Chociaż Johnrock też był więźniem, chłopak nie sądził, by bezpiecznie było wyjawiać swoje prawdziwe nazwisko.

Johnrock zdradził Richardowi, że połamał ręce trzem spośród żołnierzy, którzy się go starali pojmać, zanim wreszcie sobie z nim poradzili. Richard powiedział tylko, że celowali do niego z łuków, więc się poddał. Johnrock wydawał się lekko zażenowany tym, co uważał za brak ducha walki.

Na przekór głupkowatemu, krzywemu uśmiezkowi - a uśmiechał się

często, bez względu na okoliczności - Johnrock był bystry i miał analityczny umysł. Polubił Richarda, bo on jeden nie uznał go za głupka i tak go nie traktował. Johnrock z całą pewnością nie był głupi.

W końcu uznał, że pomylił się co do braku odwagi Richarda, i zapytał, czy mógłby być prawoskrzydłowym chłopaka w rozgrywkach Ja'La. Pozycja skrzydłowego była dość niewdzięczna, wystawiała go bowiem na ataki przeciwników. Johnrock widział jednak jej zalety, bo pozwalała mu rozwalać łby żołnierzom Ładu, a widzowie jeszcze nagradzali go za to brawami. Choć był taki wielki, był również szybki, a kombinacja ta czyniła zeń doskonałego człowieka na prawe skrzydło Richarda. Uwielbiał być w pobliżu chłopaka w czasie gry i obserwować, jak wyładowuje on swoją furję na boisku Ja'La w sposób, którego inne ekipy w ogóle się nie spodziewały. Razem tworzyli wspaniały zespół. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz obaj wiedzieli, że ten drugi wykorzysta każdą okazję, by choć trochę zemścić się na tych, którzy ich pojмали.

Wydawało się, że obóz za żelaznymi prętami nie ma końca. Richard cierpiał, widząc, gdzie są - na równinach Azrith, w pobliżu Pałacu Ludu. Nie chciał nadal patrzeć. Usiadł, oparł się o przeciwległą ściankę klatki i wsparł rękę o kolano, a wóz toczył się i kołysał wśród niezliczonych hord.

Był zadowolony, że wojska D'Hary dawno stąd odeszły, bo Ład starłby je na proch. Atak mieli wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do Starego Świata. Pewnie już siali tam spustoszenie.

Richard miał nadzieję, że realizują plan - wyprowadzają szybkie i zażarte ataki, trzymają się oddzielnie, uderzają we wszystko w Starym Świecie, niczego nie oszczędzają. Nie chciał, by ktokolwiek w Starym Świecie czuł się bezpieczny. Musieli ponieść konsekwencje czynów, których podstawą były ich wierzenia.

Żołnierze w obozie patrzyli na wozy. Były mile widziane, pewnie ze względu na żywność, którą wiozły. Richard miał nadzieję, że się najedzą. Pamiętał, jakie rozkazy wydał, więc był to pewnie jeden z ostatnich konwojów zaopatrzeniowych ze Starego Świata. A bez dostaw, zimą, która lada chwila się rozpocznie, armia Jaganga znajdzie się na równinach Azrith w ciężkim położeniu, czego się w ogóle nie spodziewa.

Prawie wszyscy stojący w pobliżu żołnierze gapili się na klatkę Richarda, usiłując go zobaczyć. Domyślał się, że po obozie już krążą pogłoski o nim i o

jego drużynie Ja'La. Kiedy po drodze zatrzymywali się w wojskowych posterunkach, żeby grać z tamtejszymi drużynami, przekonał się, że ich sława ich poprzedzała. Ci żołnierze uwielbiali tę grę i cieszyli się na rozgrywki, zwłaszcza że na pewno będzie ciekawiej i wzrosną zakłady, skoro zjawiała się drużyna Richarda - a właściwie drużyna Rubena, jak ją potocznie zwano. Drużyna należała rzecz jasna do dowódcy z gadzią buźką. Ci żołnierze właściwie nie mieli innych rozrywek, poza brankami oczywiście. Richard starał się o tym nie myśleć, bo tylko go to gniewało, a w tej klatce i tak nic nie mógł na to poradzić.

Pewnego dnia, po szczególnie brutalnej grze, którą z łatwością wygrali, Johnrock przyznał, że nie rozumie, dlaczego Richard tak łatwo dał się pojmać. Chłopak wreszcie powiedział mu, co się stało. Młynarz początkowo nie wierzył, więc Richard poradził mu, żeby wypytał gadzią buźkę. Zrobił tak i przekonał się, że Richard mówił prawdę. Johnrock cenił wolność i uważał, że warto o nią walczyć. To wtedy właśnie zapytał, czy może zostać prawoskrzydłowym Richarda.

Kiedyś Richard dawał upust swojemu gniewowi poprzez Miecz Prawdy, a teraz poprzez brok i mecze Ja'La. Nawet własna drużyna, choć zadowolona z jego przywództwa, w pewnym stopniu się go obawiała. Oprócz Johnrocka. Johnrock nie bał się Richarda. On grał tak samo - jakby to była gra na śmierć i życie.

I była taka dla ich przeciwników spośród żołnierzy Imperialnego Ładu, którzy mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie. Często gracze, zwłaszcza rywale drużyny Richarda, zostawali w trakcie meczu ciężko ranni, a nawet umierali. Jeden z żołnierzy z drużyny Richarda także zginął w trakcie gry. Dostał w głowę ciężkim brokiem, kiedy się zagapił. Pękł mu kark.

Richard pamiętał, jak chodził z Kahlan ulicami Aydindril i widział dzieci grające w Ja'La. Ofiarował im lżejsze piłki, na które mogły wymienić ciężkie broki. Nie chciał, żeby ucierpiały przy grze. Teraz wszystkie te dzieci uciekły z Aydindril.

- To bardzo złe miejsce dla nas, Rubenie - powiedział cicho Johnrock, obserwując obóz. Wydawał się dziwnie ponury. - Bardzo złe miejsce dla nas, żeby być niewolnikami.

- Jeżeli uważasz się za niewolnika, to nim jesteś - rzekł Richard.

Johnrock długo na niego patrzył.

- No to i ja nie jestem niewolnikiem, Rubenie. Chłopak skinął głową.

- I świetnie, Johnrocku.

Młynarz znów zaczął obserwować bezkresne obozowisko, przez które jechali. Prawdopodobnie nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Richard przypomniał sobie własne zdziwienie, kiedy po raz pierwszy opuścił lasy Hartlandu i zobaczył, co jest poza nimi.

- Spójrz tylko na to - odezwał się cicho Johnrock, patrząc przez pręty.

Richard nie bardzo miał ochotę.

- A co to jest?

- Mnóstwo żołnierzy, ale jakichś innych. Wszyscy wyglądają tak samo. Lepsza broń, lepiej zorganizowani. Więksi. Groźnie wyglądają. Wszyscy rozstępują się przed nimi. - Obejrzał się przez ramię na chłopaka. - Założę się, że to imperator przyszedł popatrzeć, jak przejeżdżamy, obejrząc sobie przeciwników własnej ekipy, którzy stawili się na rozgrywki. Z tego, co słyszałem, wynika, że typ strzeżony przez tych wielkoludów w kolczugach to Jagang we własnej osobie.

Richard podszedł do okienka, żeby popatrzeć. Uchwycił się prętów i przysunął do nich twarz, żeby lepiej widzieć, kiedy mijali strażników i ich podopiecznego.

- Faktycznie, to chyba Jagang - przyznał.

Imperator patrzył w inną stronę, obserwując pozostałe drużyny Ja'La złożone z żołnierzy Imperialnego Ładu. Oni, rzecz jasna, nie byli zamknięci w stojących na wozach żelaznych klatkach.

Jagang patrzył, jak dumnie maszerują, niosąc proporce swoich drużyn.

I wtedy ją zobaczył.

- Kahlan!

Odwróciła się ku jego głosowi, nie bardzo wiedząc, skąd dochodzi. Richard tak mocno zaciskał dłonie na prętach, że niemal je wygiął. Choć nie była daleko, pewnie go nie słyszała w całym tym hałasie. Zgromadzeni żołnierze wiwatowali na cześć maszerujących drużyn.

Długie włosy spływały na pelerynę. Richardowi serce tak waliło, iż miał wrażenie, że zaraz pęknie.

- Kahlan!

Bardziej się ku niemu odwróciła.

Ich oczy się spotkały. Patrzył w jej zielone oczy.

Gdy Jagang zaczął się odwracać, natychmiast skierowała się ku niemu, patrząc tam, gdzie i on. Obrócił się razem z nią.

I zniknęła, przesłonięta żołnierzami, wozami, końmi i namiotami. Zniknęła w oddali.

Richard oparł się o ścianę i płytko oddychał.

Johnrock usiadł przy nim.

- Co się stało, Rubenie? Wyglądasz, jakbyś zobaczył zjawę wśród tych żołnierzy.

Chłopak tylko patrzył wielkimi oczami, spazmatycznie chwytając powietrze.

- To była moja żona. Johnrock się zaśmiał.

- Chcesz powiedzieć, żeś zobaczył kobietę, którą chcesz, jak wygramy? Dowódca mówi, że jeżeli pokonamy ekipę imperatora, to będziemy sobie mogli po jednej wybrać. Zobaczyłeś taką, którą chcesz?

- To była ona...

- Rubenie, wyglądasz jak ktoś, kto się właśnie zakochał. Richard uświadomił sobie, że się uśmiecha od ucha do ucha.

- To była ona. Żyje. Chciałbym, żebyś ją mógł zobaczyć, Johnrocku. Żyje. Wygląda zupełnie tak samo. Drogie duchy, to była Kahlan. To była ona.

- Lepiej zapanuj nad oddechem, Rubenie, bo zejdziesz, nim będziemy mieli okazję rozwalić parę łbów.

- Będziemy grać z ekipą imperatora, Johnrocku.

- Najpierw musimy wygrać mnóstwo meczy.

Richard ledwie go słyszał. Śmiał się radośnie, nie mogąc nad tym zapanować.

- To była ona. Żyje. - Objął Johnrocka i mocno go uściskał. - Ona żyje!

- Skoro tak mówisz, Rubenie.

Kahlan starannie kontrolowała oddech, próbując uspokoić rozszalałe serce. Nie mogła zrozumieć, co nią tak wstrząsnęło. Nie знаła tego mężczyzny w klatce. Przelotnie ujrzała jego twarz, kiedy wóz koło nich przejeżdżał, ale z jakiegoś powodu wstrząsnęło nią to do głębi.

Gdy drugi raz wykrzyczał jej imię, Jagang zareagował, jakby coś słyszał, i Kahlan natychmiast się odwróciła, żeby niczego nie podejrzewał. Nie wiedziała, dlaczego to było tak ogromnie ważne.

Nieprawda. Wiedziała. Ten człowiek był w klatce. Gdyby ją znał, Jagang

mógłby go skrzywdzić, a może nawet zabić.

Ale było w tym coś jeszcze. Ten mężczyzna ją znał. Musiał być związany z jej przeszłością. Przeszłością, o której chciała zapomnieć.

Jednak gdy spojrzała w jego szare oczy, w mgnieniu oka wszystko się zmieniło. Zniknęło otępiające pogodzenie z losem. Już nie chciała pogrzebać przeszłości. Nagle zapragnęła wszystko wiedzieć.

Jego spojrzenie było tak intensywne - tak pełne czegoś ważnego, tak witalne - że natychmiast jej uświadomiło, jak ważne jest życie.

Patrząc w jego szare oczy, Kahlan pojęła, że musi się dowiedzieć, kim jest. Bez względu na konsekwencje, bez względu na cenę, musi poznać prawdę. Musi odzyskać życie. Prawda była jedynym sposobem.

Groźby Jaganga, który mówił, co jej wtedy zrobi, mogły się okazać zupełnie realne, lecz znieczulona uświadomiła sobie, że prawdziwe niebezpieczeństwo polega na tym, iż on ją zastrasza, by zrezygnowała z własnego życia, własnej woli, własnej egzystencji... by się poddała jego kontroli. Grożąc tym, co jej zrobi, jeżeli sobie przypomni, kim jest, narzucał jej, jak ma żyć, czynił z niej niewolnicę. Jeżeli postąpi zgodnie z jego wolą, będzie to oznaczało, że się poddała, zrezygnowała ze swojej.

Nie mogła sobie na coś takiego pozwolić. Jej życie miało o wiele większe znaczenie niż to wszystko. Może być jego branką, ale nie jest jego niewolnicą. Niewolnictwo to stan umysłu. Nie była niewolnicą.

Nie podporządkuje mu swojej woli. Odzyska swoje życie. Jej życie należało wyłącznie do niej i powinna je odzyskać. Nie odwiedzie jej od tego nic, co Jagang mógłby zrobić, nic, czym mógłby jej grozić.

Kahlan czuła, jak po policzku sływa jej łza radości. Ten mężczyzna, którego nawet nie pamiętała, właśnie przywrócił jej wolę odzyskania życia, zapal do życia. Był to pierwszy prawdziwy oddech, odkąd utraciła pamięć. Tak chciałaby mu podziękować.

Rozdział 58

Nicci maszerowała przez rozległe hole Pałacu Ludu, ciągnąc za sobą Carę, Nathana i grupę gwardzistów. Irytowała się, ilekroć ktoś nazwał Nathana „lordem Rahlem”. Wiedziała, że to konieczne, ale dla niej jedynym lordem Rahlem był Richard.

Chyba wszystko by dała, żeby ponownie zobaczyć jego szare oczy. Tu, w pałacu, niemal czuła jego obecność. Przypuszczała, że to przez czar, na którym wzniesiono tę budowlę. Pałac zbudowano w formie zaklęcia dla lorda Rahla. Richard był lordem Rahlem. Przynajmniej dla niej.

Wiedziała jednak, że i inni - Cara na pierwszym miejscu - myślą tak samo. Gdy była sama z Carą, co się często zdarzało, rozumiały się bez słów. Obie czuły ten sam niepokój. Obie chciały, żeby Richard powrócił.

Cara wysunęła się naprzód, prowadząc ich przez płataninę małych korytarzy dla służby do żelaznych schodów wiodących w górę czarnej studni. Na szczycie odrzuciła klapę. Wyszli na pomost obserwacyjny, w chłodny blask. Stali na skraju zewnętrznego muru, na skraju płaskowyżu, i mieli wrażenie, że stoją na skraju świata.

Daleko w dole, niczym czarna plama rozlewająca się niemal po odległy horyzont, znajdowała się armia Imperialnego Ładu.

- Widzisz, o co mi chodzi? - odezwał się Nathan, stając obok niej i wskazując odległą budowlę.

Początkowo trudno było coś dostrzec, ale szybko nabierało to sensu.

- Masz rację - rzekła. - To wygląda jak rampa. Myślisz, że naprawdę mogą zbudować rampę sięgającą aż tutaj?

Nathan chwilę wpatrywał się w budowlę.

- Sam nie wiem, ale powiedziałbym, że jeżeli Jagang zadaje już sobie cały ten trud, to ma powody uważać, iż zdoła tego dokonać.

- Jeżeli uda im się doprowadzić taką szeroką rampę aż tutaj - odezwała się Cara - będziemy w tarapatkach.

- Raczej będziemy martwi - poprawił ją Nathan.

Nicci przyglądała się, co robią żołnierze Ładu, i szacowała odległość do miejsca prac.

- Jesteś Rahlem, Nathanie. To miejsce wzmacnia twoją moc. Pewnie

mógłbyś posłać im trochę ognia czarodzieja i zniszczyć to.

- Też na to wpadłem. Podejrzewam, że mają tam Siostry zdolne ochronić ich przed takimi działaniami. Nie jestem biegły w takiej obronie i jeszcze niczego nie próbowałem. Chcę odczekać, aż dłużej przy tym popracują, aż nabiorą pewności siebie. Uderzę, kiedy więcej zrobią i znajdą się bliżej. Będę miał większe możliwości wyrządzenia poważnych szkód. Gdybym był w stanie teraz to zniszczyć, nie straciliby zbyt wiele. Lepiej odczekać, aż naprawdę włożą w to sporo wysiłku i czasu.

Nicci popatrzyła na wysokiego Proroka.

- Ależ ty jesteś podstępny, Nathanie. Obdarzył ją tym swoim uśmiechem Rahla.

- Wolę myśleć, że jestem pomysłowy.

Nicci przyglądała się obozowisku za placem budowy. Było na tyle daleko, żeby ich mający dar mieli mnóstwo czasu na zareagowanie na atak. Długo była z armią Jaganga i sporo wiedziała o ich sposobie rozumowania. Wiedziała o kręgach ochronnych, jakimi oficerowie Jaganga i jego mający dar otoczą armię. A wśród tych z darem były również Siostry Mroku.

- Spójrz tam. - Wskazała. - Wygląda na to, że właśnie zjawił się konwój zaopatrzeniowy.

Nathan przytaknął.

- Wkrótce będzie zima. Armia wyraźnie nie ma zamiaru nigdzie się ruszyć, więc będą potrzebowali mnóstwa dostaw, żeby utrzymać przy życiu tych żołnierzy.

Nicci zastanawiała się, co by można zrobić, ale w końcu uznała, że z tego miejsca, w którym stali - niewiele.

- Richard posłał armię na południe, do Starego Świata, żeby między innymi napadała na ich konwoje zaopatrzeniowe. Miejmy nadzieję, że im się to powiedzie. Gdyby wszyscy ci ludzie zagłodzili się na śmierć, rozwiązałoby to nasz problem. A tymczasem pomyślę o tym, jak moglibyśmy pomóc im umrzeć. - Odwróciła się od przygnębiającego widoku obozowiska i konwoju, który przywiózł im to, czego potrzebowali, żeby móc zostać i oblegać pałac. - Chodź - powiedziała do Nathana. - Muszę wracać, ale może byś mi to pokazał, zanim odejdę.

Czarodziej poprowadził ich przez pałac, ale raczej nie przez rozległe hole, a przez mniejsze sektory dla personelu. To było pospieszne schodzenie

przez kamienne wnętrza pałacu, prowadzące coraz głębiej w ciemne, wewnętrzne rejony pod budowlą, których większość ludzi w ogóle nie widziała. W tych rejonach były eleganckie, choć skromne kamienne hole. Nie miały wymyślnych ozdób - miejscami były z wypolerowanego kamienia, miejscami z kosztownego drewna. Były to prywatne korytarze wykorzystywane przez lorda Rahla i jego ludzi.

Nicci zjawiała się w Pałacu Ludu, żeby odwiedzić Ogród Życia. Potem sprawdziła, jak Berdine radzi sobie z wyszukiwaniem informacji i jak idzie Nathanowi. Oboje chcieli jej opowiedzieć o swoich trudnościach. Właściwie nie zamierzała poświęcać na to czasu, ale zmusiła się, żeby ich cierpliwie wysłuchać.

Po obejrzeniu miejsca, w którym tkwiły szkatuły Ordenu, była zbyt rozkojarzona, żeby się skupić na tym, o czym jej opowiadali. Tym razem inaczej patrzyła na opuszczony Ogród Życia. Zapamiętywała, gdzie Rahl Posępny otwierał szkatuły, gdzie one stały. Badała umiejscowienie pomieszczenia, ilość światła, kąty względem rozmaitych znanych map nieba w powiązaniu z tym, jak słońce i księżyc przechodzą przez ten punkt, obszar, na którym inwokowano zaklęcia.

Po tłumaczeniu Księgi Życia Nicci inaczej patrzyła na Ogród Życia. Patrzyła na niego poprzez kontekst magii Ordenu i tego, jak wykorzystywano to pomieszczenie. Dało jej to cenny wgląd w ostatnie miejsce, w którym się posłużyło szkatułami. Takie praktyczne odnośniki dały jej odpowiedź na parę pytań i potwierdziły część wniosków, do których doszła.

W końcu Nathan dotarł do podwójnych drzwi, przed którymi stali gwardziści. Dał znak i otworzyli jedno skrzydło białych drzwi. Dalej była ściana z białego kamienia, który wyglądał, jakby się częściowo stopił.

- Byłeś tam? - spytała Proroka.

- Nie - przyznał. - W moim wieku staram się jak najdalej trzymać od grobów.

Nicci przestąpiła niewielki próg i zanurkowała w niskie przejście.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała Carze, która już miała iść za nią.

- Na pewno?

- To się wiąże z magią.

Mord-Sith zmarszczyła nos, jakby poczuła skwaśniałe mleko, i zaczęła

na zewnątrz z Prorokiem.

Nicci posłała iskrę Han do widocznej z boku pochodni. Zapaliła się nawet po tak długim czasie. Wtedy zobaczyła, że wielka, sklepiona komnata została wykonana z różowego granitu. Posadzka była z białego marmuru. Na ścianach znajdowały się dziesiątki złotych waz, każda umieszczona pod pochodnią. Nicci w zamyśleniu je policzyła. Pięćdziesiąt siedem. Wydało jej się, że ta liczba ma znaczenie. Prawdopodobnie wazy i pochodnie symbolizowały wiek człowieka spoczywającego w trumnie pośrodku komnaty.

Miejsce to budziło niepokój, i to nie tylko dlatego, że było kryptą. Wodziła palcami po symbolach wyciętych w granitowych ścianach tuż pod wazami. Słowa okalające całą komnatę i złotą trumnę były górnod'harańskie. Inskrypcje stanowiły instrukcje od ojca dla syna, wyjaśniające, jak udać się do zaświatów i powrócić. Cóż za spuścizna.

Takie zaklęcia zawierały magię subtraktywną. I właśnie to powodowało topienie się ścian. Odcięcie ich przez zamurowanie tego miejsca specjalnym kamieniem ogromnie spowolniło cały proces, ale nie powstrzymało go całkowicie.

- No i? - spytał Nathan, wtykając głowę przez wytopiony otwór. - Jakies pomysły?

Nicci wyszła stamtąd i otrzepała dłonie.

- Sama nie wiem. Nie sądzę, żeby zagrażało nam jakieś rychłe niebezpieczeństwo, ale są tu wmieszane mroczne rzeczy, więc mogą się mylić. Uważam, że najlepiej byłoby to zamknąć za inwokacją trójkową.

Nathan potaknął zamyślony.

- Chcesz to zrobić? Spleść to z subtraktywną?

- Najlepiej byłoby, gdybyś ty to zrobił. Jesteś Rahlem. To byłoby skuteczniejsze. Nawet gdybym użyła magii subtraktywnej, to tam, w środku, już i tak są splecione obie, no i było to stworzone przez Rahla. Taka moc przełamie każdą inwokację, którą mogłabym stworzyć pod ochronnym czarem pałacu.

Krótko się nad tym zastanawiał.

- Natychmiast się tym zajmę. - Obejrzał się na kryptę. - Domyślasz się, dlaczego zaklęcie przepała się przez ściany?

- Tak z marszu powiedziałabym, że zostało aktywowane, bo w Ogrodzie

Życia otwarto jedną ze szkatuł Ordenu. Podejrzewam, że wytworzyła się jakaś harmoniczna reakcja. Jeszcze nie jest na tyle aktywna, żebym mogła ocenić cel elementu subtraktywnego, ale słowa wyryte na trumnie i ścianach wskazują, że tekst ten miał pomóc w zawładnięciu mocą Ordenu, więc działają w harmonicznej odpowiedzi, bo się znajdowały w pobliżu owej mocy.

Nathan skinął głową, zadumany.

- Racja. Wykonam inwokację trójkową i będę miał na to oko.

- Muszę wracać. Wpadnę później, żeby sprawdzić, czy miałeś jakieś wieści od Richarda i jak Ład sobie tam radzi.

- Powiedz Zeddowi, że nad wszystkim panuję i że okrążyłem wroga.

- Powiem mu. - Nicci się uśmiechnęła.

Wracając z Carą u boku przez rozległe hole pałacu, Nicci pograżyła się w myślach. Nie była pewna, co teraz robić. Ze wszystkich stron nadciągały niepokojące problemy. Większość była mglista i niedookreślona. Nie miała z kim przedyskutować tego wszystkiego, o czym rozmyślała. Zedd był pomocny w jednym, z Carą można było porozmawiać o innych sprawach.

Tylko Richard potrafiłby pojąć, jak zaczynała rozumieć podstawowe sprawy. Bo to właśnie on zaznajomił ją z pojęciem kreatywnej magii. Nadal dokładnie pamiętała tę rozmowę z nim, pewnej nocy w obozie. To była jedna z wielu ważnych chwil z chłopakiem.

Były również rzeczy, które Richard powinien wiedzieć. Były wydarzenia - co najmniej niepokojące - które łączyły się z nim i ze szkatułami Ordenu. Można by rzec, że rozpałił ognisko pod ingrediencjami, które były nie tylko groźne, ale zaczynały bulgotać i wrzeć, i mogły wytworzyć najbardziej zdradzieckie połączenia, o ile się temu nie zacznie przeciwdziałać.

Były związane z tym proroctwa, których - nie będąc Prorokiem - wołała sama nie interpretować. Były i inne, które zaczynała rozumieć aż za dobrze i nie mogła ich pomijać.

Wśród tych ostatnich było przede wszystkim proroctwo głoszące:

„Gdy w roku cykad” - który właśnie trwał - „głosiciel poświęcenia się i cierpienia tak pod sztandarem ludu, jak i Światła, rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce” - co Jagang zrobił - „będzie to znak, że proroctwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa. Zachowajcie ostrożność, albowiem wszelkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają

się w owej wróżbie. Gałęzie wyłącznie jednego pnia łączą się zaś z pierwotnym źródłem” - to był ten czas: zwyciężaj albo giń, wszystko albo nic; przełomowa chwila, która na zawsze ustali bieg przyszłości - „Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”.

Zaczynała rozumieć, że to proroctwo ma związek ze szkatułami Ordenu, ale nie miała pojęcia jaki. Od czasu do czasu już-już miała to uchwycić, ale jej się nie udawało. Wiedziała, że tuż pod powierzchnią owego proroctwa znajduje się klucz.

Równocześnie miała wrażenie, że wydarzenia płyną niepowstrzymaną falą i że musi coś zrobić, zanim się wymkną spod kontroli. Wiedziała, że z każdym dniem te możliwości będą się dla nich zamykać. Siostry Mroku, włączywszy do gry szkatuły Ordenu, już odebrały im możliwość wykorzystania mocy Ordenu do tego, do czego została stworzona: żeby zneutralizować zainicjowanie kaskady chainfire. Demony skaziły chainfire, więc gwałtownie tracili możliwość wykorzystania daru do naprawienia szkody.

Trudno było powiedzieć, jak długo jeszcze każde z nich będzie na tyle panować nad swoim darem, żeby służyć pomocą w pokonywaniu przeszkód, jakie się przed nimi piętrzyły.

Księga życia nabrała dla niej wielkiego znaczenia, co przedtem w ogóle nie przyszłoby jej na myśl. Przestudiowała też kilka niezwykle niejasnych ksiąg o teorii Ordenicznej, które Zedd dla niej wyszukał. I one pogłębiły jej zrozumienie, ale to wszystko prowadziło tylko do jeszcze poważniejszych pytań.

Nicci zatrzymała się zaskoczona i podniosła wzrok.

- Co to było?

- Dzwon na modły - odparła Cara, trochę zdziwiona reakcją czarodziejki.

Nicci obserwowała, jak ludzie zaczynają się zbierać na pobliskim skwerze z sadzawką pośrodku. Sadzawka, z dużym czarnym głazem ustawionym trochę z boku, była pod otwartym niebem.

- Może powinniśmy pójść na modły - odezwała się Cara. - To czasami pomaga, jak cię coś niepokoi, a ty jesteś zmartwiona.

Nicci spojrzała chmurnie na Mord-Sith, zastanawiając się, skąd wie, że coś ją trapi. Ale uznała, że nie było trudno to zauważyć.

- Nie mam czasu modły - odparła. - Muszę wracać i rozgryźć to. Mina Cary świadczyła, że nie uważa, iż to dobry pomysł. Wskazała ku skwerowi.

- Myślenie o lordzie Rahlu może pomóc.

- Myślenie o Nathanie nic mi nie da. Nie obchodzi mnie, czy wszyscy uważają go za lorda Rahla. Richard jest lordem Rahlem.

Cara się uśmiechnęła.

- Wiem. I to właśnie miałam na myśli. - Ujęła czarodziejkę za ramię i powlokła ku sadzawce. - Chodź.

Nicci wpatrywała się w kobietę, która ją ciągnęła, i nagle powiedziała:

- Uważam, że nic złego się nie stanie, jeśli się tu na krótko zatrzymamy, żeby pomyśleć o Richardzie.

Cara skinęła głową. Wyglądała w tym momencie na bardzo rozsądną. Ludzie z szacunkiem rozstępowali się przed Mord-Sith maszerującą ku sadzawce. Nicci zobaczyła, że w ciemnej wodzie pływają ryby. Zanim się spostrzegła, już klęczała obok Cary, przyciskając czoło do posadzki.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - zaintonował jednym głosem tłum. - Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Nicci dołączyła do innych i głosy wspólnie poniosły się echem przez hole. Słowa „mistrz Rahl” i „Richard” były dla niej tożsame. Były jednym i tym samym.

Niemal wbrew jej woli skłębione myśli Nicci się uspokoiły, kiedy cicho śpiewała z pozostałymi.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Zatraciła się w tych słowach. Słońce ogrzewało jej plecy. Jutro miał być pierwszy dzień zimy, lecz wewnątrz pałacu lorda Rahla słońce grzało, zupełnie jak na górze, w Ogrodzie Życia. Dziwnie było pomyśleć, że Rahl Pośpny i jego ojciec, Panis Rahl, poprzedni lordowie Rahlowie, zmienili to miejsce w siedlisko zła.

Uświadomiła sobie, że ta budowla była po prostu... budowlą. To człowiek

miał znaczenie. To on decydował. Człowiek nadawał ton, który inni naśladowali, czy to czysto czy fałszywie. Modły na swój sposób były oficjalnym potwierdzeniem tej koncepcji.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Te słowa rozbrzmiewały w umyśle Nicci. Tak bardzo tęskniła za Richardem. Choć jego serce należało do innej, brakowało jej jego widoku, jego uśmiechu, rozmów z nim. Tylko tyle kiedykolwiek dostanie, ale to jej wystarczy. Jego przyjaźń, to, ile znaczy w jej życiu, a ona w jego.

Richard szczęśliwy, Richard żywy, będący... Richardem.

Nasze życie należy do ciebie. Nicci nagle podniosła się na kolana.

Zrozumiała. Spojrzała na nią zdumiona Cara, a inni śpiewali.

- Co się dzieje.

Nasze życie należy do ciebie. Wiedziała, co musi zrobić. Wstała pospiesznie.

- Chodź. Muszę wracać do wieży.

Biegły przez hole, a Nicci słyszała niosący się korytarzami szmer głosów.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Nicci zatraciła się w słowach, które nagle nabrały dla niej takiego znaczenia, jakiego przedtem nie miały.

Wreszcie zrozumiała, jak wszystko do siebie pasuje, i wiedziała, co musi zrobić.

Zedd wstał z krzesła przy biurku w niewielkiej komnatce, kiedy zobaczył Nicci stojącą w drzwiach. Blask lampy łagodził rysy jego znajomej twarzy.

- Wróciłaś, Nicci. Jak sprawy w Pałacu Ludu? Czarodziejka ledwie usłyszała pytanie. Nie była w stanie odpowiedzieć.

Zedd podszedł bliżej, orzechowe oczy patrzyły z troską.

- Co się stało, Nicci? Wyglądasz jak fantom, który się zjawił, by nawiedzać hole.

Musiała się zmusić do mówienia.

- Ufasz Richardowi? Zedd zmarszczył brwi.

- A co to za pytanie?

- Zawierzysz mu swoje życie? Zedd machnął ręką.

- No pewnie. O co chodzi?

- Zawierzysz mu życie wszystkich?

Pierwszy Czarodziej ostrożnie chwycił ją za ramię.

- Nicci, kocham tego chłopaka.

- Błagam, Zeddzie. Zawierzysz mu życie wszystkich? Troska z orzechowych oczu odmalowała się i na twarzy, pogłębiając zmarszczki. Wreszcie skinął głową.

- Jasne, że tak. Gdybym miał kiedy powierzyć komuś własne życie czy życie innych, to byłby to Richard. W końcu to ja obwołałem go Poszukiwaczem.

Nicci potaknęła i odwróciła się.

- Dzięki, Zeddzie.

Odrobinę zebrał szaty i pospieszył za nią.

- Potrzebna ci jakaś pomoc, Nicci?

- Nie. Dziękuję. Wszystko w porządku.

Zedd ostatecznie kiwnął głową, biorąc jej słowo za dobrą monetę, i wrócił do książki, którą czytał.

Nicci szła korytarzami wieży, nawet ich nie widząc. Szła, jakby do celu prowadziła ją niewidzialna jarząca się linia. Tak jak Richard mówił, że potrafi iść za jarzącymi się liniami formy zaklęcia.

- Dokąd idziemy? - zapytała Cara, spiesząc za nią.

- Ufasz Richardowi? Zawierzysz mu życie?

- Jasne - odparła bez wahania Mord-Sith. Nicci skinęła głową i maszerowała dalej.

Mijała korytarze, skrzyżowania, komnaty i schody, właściwie ich nie zauważając. Zapatrzona w swój cel, dotarła wreszcie do wzmocnionej części wieży i do olbrzymiej komnaty, w której sieć weryfikacjiomal nie pozbawiła jej życia. Umarłaby, gdyby nie Richard. Uparł się, że znajdzie sposób, by ją uratować, choć tamci nie wierzyli, że to się da zrobić.

Zawierzyłaby Richardowi własne życie, a dzięki niemu było ono dla niej bardzo cenne.

Przy dwuskrzydłowych drzwiach obróciła się ku Carze.

- Muszę być sama.
- Aleja...
- Tu chodzi o magię.
- Och - powiedziała Mord-Sith. - No dobrze. Poczekam tu, w holu, na wypadek gdybyś czegoś potrzebowała.
- Dziękuję, Caro. Jesteś dobrą przyjaciółką.
- Nigdy nie miałam prawdziwych przyjaciół, takich, których naprawdę warto mieć, póki się nie pojawił lord Rahl.
Nicci leciutko się uśmiechnęła.
- A ja nie miałam po co żyć, póki się nie pojawił Richard.
Nicci zamknęła dwuskrzydłowe drzwi. Za nią błyskawice rozjaśniały wysokie na dwa piętra okna. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek tu była, gdy nie szalała burza.

Teraz burza szalała nad całym światem.

Błyskawice rozjaśniały komnatę ostrym blaskiem. Ale było tu coś, co nie odbijało nawet tak jaskrawego światła. Czekало niczym sama śmierć.

Czarodziejka położyła przed stojącą pośrodku stołu atramentowoczną szkatułę Ordenu otwartą Księgę życia. Zdawało się, że ilekroć błyskawica usiłuje zabłysnąć, czarna skrzynka łyka blask, zanim jeszcze zdąży się on na dobre rozpalić. Patrząc na szkatułę, patrzyło się w wieczność.

Nicci inwokowała pierwsze zaklęcie, przywołując ciemność dorównującą czerni leżącej przed nią złowieszczej skrzynki. Napomniała się, że tak jak w przypadku Pałacu Ludu, to osoba decyduje o znaczeniu. Moc wypełniła komnatę z hukiem gromu, blokując drzwi. Nikt nie mógł wejść. Pole powstrzymujące okien już się nie liczyło. Wyczarowała coś o wiele potężniejszego. Komnata była cicha i smolście czarna. Nicci widziała dzięki mocom, które przywołała.

Wypowiedziała słowa napisane na pierwszej stronicy, inwokując kolejne zaklęcie, które otwierało drogę do podstawowych formuł. Użyła smużki magii subtraktywnej, żeby ściąć czubek opuszki palca, i sączącą się krwią zaczęła rysować przed szkatułą Ordenu niezbędne diagramy. Kiedy z rany pociekło więcej krwi, otoczyła samą szkatułę polem powstrzymującym. Przypominało to pole komnaty, ale było znacznie silniejsze. Gdyby się jej najpierw nie otoczyło takim polem, moc równa uwolnionej ze szkatuły Ordenu mogłaby bezwiednie rozedrzyć zasłonę i doprowadzić do śmierci

osoby robiącej to, co teraz robiła Nicci.

Niemal nie musząc czytać w księdze, którą - jak jej się zdawało - studiowała pół życia, przeszła do równania określającego chwilę w roku: pierwszy dzień zimy.

Kiedy to skończyła, narysowała krwią dwa przeciwstawne symbole i połączenie z apeksem odpowiedniej mapy.

I tak to trwało - jedna podstawowa formuła za drugą - przez następną godzinę, z wyliczeniami pozwalającymi przejść od powstałej warstwy magii do następnej fazy. Każdy węzeł w księdze wymagał zastosowania odpowiedniego poziomu mocy. Za każdym razem Nicci pozwalała jej płynąć.

Nie było innego sposobu.

Noc mijała, a linie zakłęcia narastały wokół szkatuły - pod pewnymi względami podobne do sieci weryfikacji chainfire, bo jarzyły się zielono. Jednak inne były krystalicznie białe, a jeszcze inne, z elementów subtraktywnych, czarniejsze od czerni, przez co wyglądały niczym smugi pustki w tym świecie, niczym szczeliny patrzące w zaświaty.

Kiedy Nicci zakończyła ostatnią inkantację, usłyszała wreszcie szept samego Ordenu - potwierdzenie, że wszystko zrobiła właściwie. Choć w gruncie rzeczy nie był to głos, lecz słowa, które formowały się w jej umyśle.

Moc jest uwolniona, szeptał mrok słowami przypominającymi chrzęst lodu.

- Powołuję się na ten czas, to miejsce i ten świat, żeby wziąć udział w tej grze ze szkatułami Ordenu.

Wymień gracza.

Nicci położyła dłonie na czarnej jak śmierć skrzynce, która spoczywała przed nią.

- Graczem jest Richard Rahl. Spełnij jego wolę. Wykonaj jego rozkazy, jeżeli okaże się godny, zabij go, jeżeli nie, zniszcz nas, jeżeli nas zawiedzie.

Dokonało się. Od tej chwili moc Ordenu jest w grze przy Richardzie Rahlu.

Proroctwo zapowiadało: „Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”.

Nicci uświadomiła sobie, że jeżeli Richard ma zwyciężyć, musi ich poprowadzić do tej ostatecznej walki. A do tego potrzebne mu były szkatuły

w grze. W ten sposób naprawdę stanie się dopełnieniem proroctwa: fuer grissa ost drauka - dawcą śmierci.

Proroctwo głosiło, że mają iść za Richardem, ale było coś ponad proroctwem. Proroctwo jedynie oficjalnie potwierdzało to, co Nicci wiedziała - że Richard uosabia wartości sprzyjające życiu.

Właściwie wcale nie podążali za proroctwem. To ono podążało za Richardem.

Było to ostateczne opowiedzenie się za Richardem, trzymanie się go w tym, co zrobił ze szkatułami Ordenu, w tym, co uczynił z życiem i ze śmiercią. Była to ostateczna próba, która wykaże, kim był, kim jest, kim się stanie.

Richard sam wymienił warunki tego pojedynku, gdy przemawiał do dowódców d'harańskich oddziałów, tłumacząc im, jak od teraz należy prowadzić wojnę: wszystko albo nic.

I to nie będzie inne.

Teraz to już naprawdę wszystko albo nic.

Ulicia i jej Siostry Mroku też otworzyły wrota do mocy Ordenu. Teraz walka naprawdę była zharmonizowana. Jeżeli Nicci miała rację co do Richarda, a wiedziała, że ma, obie moce były obecnie należycie zaangażowane w walkę, która zadecyduje o wszystkim.

Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok.

Musieli zaufać Richardowi w tej walce. I dlatego Nicci musiała w jego imieniu włączyć do gry szkatułę Ordenu. Siostry Mroku nie były już wyłącznymi dysponentkami mocy Ordenu. W tym sensie Nicci właśnie włączyła Richarda do gry, dając mu możliwość wygrania tej walki.

Bez tego, co właśnie zrobiła, nie tylko by nie zwyciężył, ale nawet by nie przeżył.

Nicci miała wrażenie, że tkwi w innym świecie. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, było po burzy.

Pierwsze promienie światła muskały okna.

Był świt pierwszego dnia zimy.

Richard miał rok na otworzenie właściwej szkatuły.

W jego dłoniach spoczywało życie wszystkich istot.

Nicci zawierzyła mu własne życie. I dopiero co zawierzyła mu życie

innych.

Gdyby nie ufała Richardowi, nie warto byłoby żyć.

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27

Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 35
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58